

PAULLINA SIMONS

CZERWONE LIŚCIE

*Mojemu Kevinowi
oraz Bobowi Tavetianowi
- jesteś zawsze w naszych sercach*

PODZIĘKOWANIA

Niniejsza książka jest powieścią. Wszelkie nieścisłości są zamierzone, wszelkie błędy zaś moje.

Oto osoby, którym winna jestem podziękowania:

Bob Wyatt - za to, że jest moim przyjacielem, że rozśmieszał mnie w najbardziej nieoczekiwanych momentach redagowanego maszynopisu i że żył razem ze mną tą książką przez dziewięć miesięcy. Joy Harris, Tobie też dziękuję.

Oficerowie policji Patrick O'Neill i E. Douglas Hackett - za dbałość o szczegóły i cierpliwość.

Oron Strauss, redaktor naczelny „Dartmouth Review” - za to, że pozwolił mi bawić się z labradorem.

Clint Bean z Hanover Chamber of Commerce i Kris Wielgus z kobiecej drużyny koszykówki college'u Dartmouth, dziękuję wam obojgu.

Jackie Feldmann i Kerri Basso, serdecznie Wam dziękuję za opiekę nad małym Mishą. Co ja bym bez Was zrobiła?

Natasho, Misho i Ty, jeszcze nienarodzone maleństwo - mamusia Was kocha.

PROLOG

W Greenwich Point Park, gdzie słone powietrze znad cieśniny Long Island miesza się z zapachem opadłych liści, dwoje dzieci wchodziło po schodach prowadzących do miejsca, w którym niegdyś wznosił się zamek. Dzieci były same.

Wcześniej minęły strażnika parkowego, który wesoło im pomachał, widać dobrze oboje znał. Park był rozległy, od celu dzieliła je długa droga, ale słońce świeciło i wciąż było ciepło. Dziewczynka ścisnęła w dłoni biało-czerwona papierową torbę, chłopiec miał czapkę baseballową i niósł latawiec. Obeszli zachodni kraniec zatoki i znaleźli stolik ogrodowy blisko plaży. Dziewczynka chciała od razu zdjąć buty, by pod stopami poczuć gładkie kamienie, lecz chłopiec się nie zgodził: najpierw coś zjedzą. Westchnęła więc i posłusznie usiadła. Nie smuciła się długo, była szczęśliwa, że tu przyszli.

Po posiłku zrzuciła białe płócienne buty, wstała i radośnie ruszyła w stronę wody. Kamienie pokrywał śliski mech, lecz to jej nie przeszkadzało. Zbierała rozrzucone po plaży muszle i uważnie oglądała. Otwarte od razu wyrzucała; pamiętała, co kiedyś powiedział jej ojciec: „Jeśli są otwarte, to znaczy że nie żyją i do niczego się nie nadają”. Zamknięte czarne muszle chowała do torby. Powędrowały tam także kraby, które przyniósł chłopiec.

Przez piętnaście minut próbowali ustalić, czy odległe o jakieś pięćdziesiąt metrów zmarszczki na tafli wody to fale, czy też wydry. Dziewczynka twierdziła, że to wydry, ale chłopiec się z niej śmiał. Fale, powtarzał, to tylko fale. Nie przekonał jej. Z odległości wyglądały, jakby miały czarne plecy i co chwila wyskakiwały z wody. Skakały w jednym miejscu, więc może chłopiec jednak miał rację, chociaż dziewczynka wolałaby, żeby się mylił. Zawsze uważał, że to on ma słuszość. A poza tym jaka to przyjemność myśleć, że w parku widzieli wydry.

Dziewczynka ruszyła z powrotem w kierunku drzew. Chłopiec pobiegł za nią i złapał ją za włosy. Przyśpieszyła kroku, starając się skakać po kamieniach.

Była bardzo ładna. Krótkie włosy miała schludnie uczesane, bez zarzutu uszyta bluzeczka szeleściła od krochmalu, na białej kurtce nie znalazłoby się brudnych smug na rękawach, choć często się to zdarza dzieciom w tym wieku. Płócienne buty były czyściuteńkie, a sznurowadła wyglądały na nowe. Zdjęcie ich i chodzenie boso po omszałych kamieniach stanowiło jedyny

dziecięcy kaprys, na jaki dziewczynka sobie pozwalała.

Lubiła pikniki na plaży i puszczanie latawca po drugiej stronie wielkiego parku, za to podczas środkowej części wyprawy zwykle trochę się niepokoiła. Pragnęła już ganiać po zielonej łące i odwijać linkę latawca. Kiedy unosił się wysoko, dziewczynka zwalniała sznurek i biegła za chłopcem, wołając:

- Wyżej, wyżej, wyżej...

Jesień była jej ulubioną porą roku, zwłaszcza tutaj, gdzie podmuchy słonego wiatru zrzuciły czerwone liście z dębów.

- Chcesz od razu iść na łąkę? - zawołała zadyszana do chłopca. Zabrakło jej tchu. Zatrzymała się, by włożyć buty, więc on też przystanął, a potem ruszył w jej stronę.

- Przecież tam idziemy. A co proponujesz?

- Żeby nie wchodzić na górę do zamku - odparła.

Nie odrywał od niej wzroku.

- Dobra. - Wzruszył ramionami. - Myślałem, że lubisz zamek.

Chwilę milczała, a później odrzekła przeprasząco:

- Bardzo lubię, ale jestem zmęczona.

- Chodź, nie bądź takim dzieckiem. - Machnięciem ręki podkreślił swoje słowa.

Dokładała więc starań, aby nie być.

Szli ścieżką pomiędzy wysokimi prostymi dębami, okrążyli małą przystań, za którą wznosił się mur.

Chłopiec wskoczył na mur, który miał tylko niespełna metr wysokości, lecz oddzielał ścieżkę od wody po drugiej stronie. Za każdym razem kiedy dziewczynka wdrapywała się na mur, bała się, że spadnie. I kto ją wtedy uratuje? Na pewno nie on, nie umiał przecież pływać. Trzymanie się za ręce nie wchodziło w grę, szerokość muru wynosiła zaledwie pół metra. Nie, musiała wejść na mur, żeby pokazać, że się nie boi.

Lecz się bała, choć jednocześnie była podniecona. Już czuła wilgoć pod pachami.

- Nie chcę tego robić - szepnęła, ale on jej nie słyszał i stąpał już po murze prowadzącym do zamku. Dziewczynka zadrżała i z westchnieniem poszła w ślady swego towarzysza.

Z ruin niewiele pozostało; rozległe wody cieśniny i splątany gąszcz forsycji szeptały cicho o minionej chwale budowli.

Zamek z rycerzami, księżniczkami, zbrojami. Zamek ze służbą i białymi lnianymi obrusami.

Zamek z sekretnymi komnatami, ukrytymi przejściami i tajemnym życiem. Ja też mam sekrety, pomyślała dziewczynka, ostrożnie stawiając stopy. Księżniczka w białej sukni i lśniących pantofelkach ma swoje tajemnice.

- Poczekaj na mnie! - zawołała i ruszyła szybciej. - Poczekaj!

I

DZIEWCZYNA

W CZARNYCH BUTACH

*Nie tylko rozum, lecz i sumienie
ugina się przed naszym najsilniejszym popędem,
tym mieszkającym w nas tyranem.*

FRIEDRICH NIETZSCHE

ROZDZIAŁ PIERWSZY

NIEDZIELA

Czworo przyjaciół grało w koszykówkę dopiero od kilku minut, lecz Kristina Kim już się pociła. Poprosiła o czas i złapała ręcznik. Sędziujący mecz Frankie Absalom oraz labrador dziewczyny, Arystoteles, spojrzeli na nią zdziwieni. Kristina wytarła twarz, patrząc im prosto w oczy.

- Gorąco mi, okay.

Frankie, okutany w płaszcz, narciarską czapkę i koc, prychnął.

- Co to, nie w formie? - zażartował.

Arystoteles dyszał, wydmuchując obłoczki pary w zimne powietrze. W trakcie rozgrywanych w niedzielne popołudnia meczów nie wolno mu było biegać za panią i przestrzegał tego zakazu, chociaż wyrażał swój psi protest machaniem ogona.

Jim Shaw, Conni Tobias i Albert Maplethorpe zeszli z boiska. Kristina ze sportowej torby wyjęła butelkę wody mineralnej Poland Spring, polala sobie nią twarz i znowu wytarła się ręcznikiem. Był mroźny dzień pod koniec listopada, lecz ona wprost płonęła.

Jim ścisnął ją za kark.

- Co się dzieje, Krissy, dobrze się czujesz?

- Dalibyście spokój, naprawdę! - wtrącił Albert. - Co to ma być? Zyskujecie na czasie?

Kristina marzyła, by jakimś cudem była już pierwsza, kiedy to miała spotkać się z Howardem Kimem w Peter Christian's Tavern. Pragnęła mieć ten lunch za sobą i tak się już zniecierpliwiła, że nie mogła myśleć o niczym innym.

- Nie jestem w formie - przyznała, zwracając się do Frankiego i ignorując uwagę Alberta. Jim dalej masował jej kark. - Sezon zaczyna się w następną sobotę, a ja jestem straszna.

- Nie - zaprzeczyła Conni. - Jesteś dobra. Wczoraj grałaś rewelacyjnie.

Kristina machnęła dłonią beztrąsko; miała nadzieję, że nikt nie zauważył rumieńca na jej twarzy.

- Och, to był tylko mecz towarzyski.

- Krissy, zdobyłaś czterdzieści siedem punktów!

- Tak, tak, wiem. Ale drużyna Cornell nie grała dobrze.
- Nie przypuszczam, że wiedzą, jak to się robi - rzucił Jim, masując teraz ramię Kristinie.
- Która godzina, Frankie? - zapytała.
- Siedem po dwunastej.

- No, ludzie, grajmy - powiedziała. - Drużyny?

Pierwszy mecz grali parami, Albert i Conni przeciwko Kristinie i Jimowi.

- Dobrze się czujesz, kochanie? - zapytał Jim, kładąc jej dłoń na plecach.

Spojrzała na niego z namysłem i pogładziła go po zimnym policzku.

- Nic mi nie jest, tylko gorąco jak w piekle.

Conni zadrżała.

- Tak, ja też cała się pocę.

Kristina zerknęła na nią z ukosa i uśmiechnęła się, myśląc, że tamta sobie z niej żartuje. Conni nie odpowiedziała uśmiechem. Przygryzając wargę, Kristina zwróciła się do Conni i Alberta:

- Dać wam fory?

Oboje na poły żartobliwie fuknęli.

- Wypchaj się swoimi forami. Zasłoń twarz włosami, to dasz nam fory. A poza tym i tak wygramy - odezwał się Albert. Conni milczała.

Przegrali dwadzieścia do szesnastu.

Kristina była wysoką, długonogą dziewczyną z grzywą czarnych jak sadza włosów, które okalały jej twarz i sięgały do połowy pleców. Lubiła nosić je rozpuszczone. Jej kuczka czupryna rozpraszała drużynę przeciwną, tak więc w czasie rozgrywek play-off Ivy League na polecenie sędziego musiała związywać włosy. Niewiele to pomagało, pod koniec meczu i tak miała je na twarzy.

Tutaj, na podjeździe budynku należącego do stowarzyszenia Phi Beta Epsilon, w którym mieszkał Frankie - jednego z najmniej szacownych akademików przy Webster Avenue albo w Zakątku Żaków, jak nazywali tę ulicę studenci Dartmouth - Kristina nigdy nie spinała włosów. Grali przy starym słupie z porzewiałą, pozbawioną siatki obręczą. Kristinie to nie przeszkadzało. Mecze dwa na dwa stanowiły dla niej świetny trening. Dzięki nim nabierała zręczności.

Dzisiaj wszakże dłonie miała śliskie i ciągle gubiła piłkę, którą nawet mająca niespełna metr sześćdziesiąt Conni bez problemu jej odbierała. Kristina próbowała przerzucić piłkę z ręki do

ręki za plecami, ale jej się nie udało i Conni z Albertem strzelili kosza. Wszyscy sobie z niej żartowali, lecz Kristina, bez reszty zajęta spotkaniem z Howardem, nie śmiała się z przyjaciółmi. Zwykle, skacząc do kosza, potrafiła okręcić się w powietrzu, nie dzisiaj jednak, aczkolwiek była niewątpliwie najlepszym graczem z całej czwórki.

Na koniec każdego udanego rzutu przybijała piątkę Jimowi, na moment przylegając palcami do jego palców. Pozwalał na to, lecz gdy tylko odsuwała dłoń, nie próbował jej zatrzymać.

Podczas gry Kristina żuła gumę. Przy jednym z zeskoków ugryzła się w język, wypluła więc gumę, a razem z nią krew.

Frankie wyznaczał kary, krzyczał, kiedy ktoś sfaulował przeciwnika i notował punkty na kartce, siedząc na złożonym kocu z kolanami podciągniętymi pod brodę i żując gumę. Narciarską czapkę zsunął na uszy.

Kiedy skończyli rozgrywkę, Kristina zapytała o godzinę.

- Ostatnio pytałaś mnie piętnaście minut temu - zdziwił się Frankie. - No wiesz, każdy mecz trwa kwadrans, tyle pamiętam. Spieszysz się?

- Nie, skąd - zaprzeczyła natychmiast, znowu polewając twarz wodą.

- No, grajmy.

- Odpocznijmy! - wykrzyknęła Conni. - Pięć minut przerwy.

- Nie, jestem nabuzowana - odrzekła Kristina. - Jak gramy?

- Jezu, Krissy, sama nie wiem. - Conni spojrzała na nią uważnie. - Co zwykle robimy, kiedy nas pokonacie?

- Ty i ja przeciwko chłopakom?

- No właśnie.

Kristina nie miała zamiaru pozwolić, by sarkazm koleżanki ją zirytował.

- Doskonale. Chłopcy, chcecie fory?

Dla niej utrudnieniem była Conni, lecz Kristina nigdy nie powiedziała tego głośno.

Jim pchnął ją ramieniem na słup.

- Mam dobre przecucia - oświadczył, cmokając dziewczynę lekko w policzek.

Zwróciła ku niemu twarz, próbując pocałować go w usta, odsunął się jednak. W jego wzroku malował się chłód.

Jest zły z powodu ostatniej nocy, pomyślała. Później, później. Kristina i Conni pokonały Alberta i Jima osiemnaście do szesnastu.

- Jejku, chłopaki, ale byliście blisko - orzekła Kristina po meczu.

Jim nie grał dobrze. Biegał za wolno, rzucał piłkę zbyt nisko i nie próbował odebrać jej Kristinie ani blokować. Niemal mogłaby przysiąc, że widząc ją w akcji, zgrzyta zębami, lecz uznała, że to jej dręczona wyrzutami sumienia wyobraźnia. Tylko czemu szczęka tak mu się zaciska przy każdym kozłowaniu? - pomyślała.

- Nie traktuj nas protekcyjnie, panno Mistrzyni All-Ivy League! - zawołał Jim. - Możemy po meczu urządzić bieg na tysiąc pięćset metrów i zobaczymy, co będzie.

Kristina uznała, że w tej chwili przebiegłaby półtora kilometra w równe cztery sekundy. Która godzina? Która może być godzina?

- Która godzina, Frankie?

Frankie podał jej zegarek. Dwunasta czterdzieści trzy. Kristina ociekała potem. Zostało jeszcze siedemnaście minut.

W trakcie kolejnego kwadransa ona i Albert pokonali Conni i Jima czterdzieści do ośmiu. Kristina gnała za każdą piłką, markując podania i blokując Conni, którą zwykle zostawiała w spokoju. Jak gdyby szybszy bieg miał przyspieszyć upływ czasu.

- Dobry mecz - orzekła, z trudem łapiąc oddech.

- Naprawdę wolę oglądać koszykówkę niż w nią grać. Wiecie, na przykład jak Krissy daje w tyłek tym z Crimson.

- Tak, ale jesteś dobrą zawodniczką, a tylko to się liczy - odparła Kristina.

- Naprawdę? Tylko to się liczy? - zapytała z naciskiem Conni, patrząc na nią uważnie. - To, że jestem dobrą zawodniczką?

- Jasne - rzuciła swobodnie.

- Nie - wtrącił Albert, obejmując Conni i uśmiechając się znacząco. - Jest wiele innych rzeczy, które się liczą.

Kristina złapała swój plecak, leżący na brunatnej trawie.

- Spotkamy się później.

- Czekaj! - zawołała za nią Conni. Dogoniła ją i zniżonym głosem powiedziała: - Myślałam, że mi pomożesz... no wiesz, przy... - Urwała, zerkając na Alberta.

- A tak, przy torcie - szepnęła Kristina.

- Szs!

- Szs... przepraszam. - Kristina mówiła ciszej, lecz jej wewnętrzny silnik pracował na tak

wysokich obrotach, że ledwo siebie słyszała. - Muszę już iść. - Już, już, już, krzyczał w jej wnętrzu głos. - Wpadnę później, okay?

- Kristina! Orzechy laskowe i inne dodatki, wszystko trzeba pokroić. Zabierze mi to mnóstwo czasu. I jeszcze trzeba zrobić lukier, no, chodź ze mną.

Nachylając się, Kristina szepnęła jej do ucha:

- Muszę ci coś...

Akurat w tej chwili podeszli do nich chłopcy i nie miała okazji wyjaśnić Conni, że Albert nie znosi orzechów, zwłaszcza laskowych.

- A co wy tu knujecie?

- Nic - odrzekła pośpiesznie.

Conni uniosła ręce. Jim się roześmiał, a Kristina po raz drugi spróbowała odejść.

- Zobaczmy się później! - zawołała, dostrzegając utkwione w sobie oczy Alberta. Odwróciła wzrok i wytarła mokre czoło.

- Poczekaj! - Jim zrównał się z nią.

Ruszyli w milczeniu Webster Avenue w kierunku North Street. Na trawniku przed akademikiem Alpha Beta Gamma grupa studentów ustawiała ogromnego indyka z papier mâché.

Kristina miała nadzieję, że Jim nie zauważy jej pośpiechu i nie zapyta o poprzednią noc. Nie zrobił tego, lecz to, o co zapytał, było jeszcze gorsze.

- Pójdziemy na lunch?

- Lunch? - powtórzyła, zbita z tropu. W gruncie rzeczy nie spodziewała się, że po cotygodniowym meczu uda jej się zniknąć niepostrzeżenie dla Jima, lecz w ciągu niemal trzyletniego związku nie powiedziała mu o Howardzie i nie zamierzała robić tego teraz, kiedy w jej życiu miał się rozpocząć nowy okres. Na rogu North Main Street skręcili w prawo. - Jim, muszę napisać ten artykuł o karze śmierci do „Review”. Już jestem spóźniona.

Pogładził ją po karku.

- Masz trochę czasu.

- Tak? Wczoraj mówiłeś coś innego.

- Wczoraj? - Cofnął dłoń. - Wczoraj cię nie widziałem, Kristino - odrzekł z naciskiem.

Zarumieniła się gwałtownie.

- Widziałeś, wczoraj rano.

- Nieprawda, ani rano, ani wieczorem. - Jim potrząsnął głową.

Kristina próbowała powstrzymać westchnięcie, lecz wymknęło się jej spomiędzy suchych i napiętych warg.

- Ach tak! Wczoraj wieczorem poszłam do Czerwonych Liści.

- Do Czerwonych Liści, co? - powtórzył Jim. - Jak często każą ci pracować w sobotnie wieczory?

Dom pod Czerwonymi Liśćmi był schroniskiem dla ciężarnych nastolatek i Kristina od pierwszego roku studiów tam pracowała.

- Zazwyczaj nie każą. Ale Evelyn, no wiesz...

- Tak, wiem. Co z nią?

- Ona jest w ciąży...

- Czyżby? - zapytał Jim. - To chyba nic niezwykłego w tym domu, no nie?

- I ma depresję - ciągnęła Kristina bez żadnej prawie przerwy. - Potrzebowała mnie, więc... więc zostałam na noc.

- Na noc?

- No tak. Już wcześniej tak robiłam.

- Jasne.

W jego tonie brzmiał sceptycyzm, lecz na twarzy pojawiła się ulga. Kristina roześmiała się i rzuciła:

- Boże, wyglądasz, jakbym ci powiedziała, że wygrałeś los na loterii!

Potargła mu włosy, nie zwalniając kroku.

- Wcale nie - zaprzeczył, przybierając obojętną minę. - To jest o wiele lepsze.

Kristina niemal drżała z niepokoju. Dzięki Bogu, że idą i Jim tego nie widzi. Ujęła go za rękę. Minęli już Bibliotekę Bakera i teraz zbliżali się do Tuck Mall, gdzie mieścił się ich akademik. Chciała, by Jim tutaj ją zostawił i nie szedł dalej na Main Street.

- Zmarzłaś - zauważył.

- Dlaczego tak mówisz? - zapytała Kristina, po raz kolejny ocierając twarz z potu. - Jestem rozgrzana jak lawa.

- Masz gęsią skórę na nogach.

Kristina była ubrana w czarne szorty ze spandeksu i zieloną uniwersytecką koszulkę.

- Masz rację, zmarzłam na kość.

- Hej, co się z tobą dzieje? - Jim przyjrzał jej się uważnie.

- Nic - odrzekła natychmiast, uśmiechając się tak szeroko, jak tylko mogła. - Zupełnie nic. Zobaczyła, że jej nie uwierzył, a wyraz podejrzliwości na jego twarzy jeszcze się pogłębił.

- No chodź, zjemy razem lunch - zaproponował.

- Przykro mi, Jimbo, ale naprawdę nie mogę. Muszę odwalić robotę przed Świętem Dziękczynienia. Mam naprawdę mnóstwo pracy.

- No dobra, w takim razie pójde z tobą do redakcji. Sam też mam coś do zrobienia - powiedział z westchnieniem.

Jim był redaktorem „Dartmouth Review”.

- Wielki Boże! - wykrzyknęła Kristina. Znalazła się w pułapce. - Jim, błagam! Potrzebuję kilku godzin. Muszę usiąść i się zastanowić, po prostu muszę być sama, żeby uporządkować myśli. Zgoda?

Jim przystanął. Kristina także, choć dalej poruszała nogami w miejscu.

- Zobaczymy się później? - zapytał.

- Jimbo... - zaczęła, przybierając czuły ton, lecz czułość zmieszana z pośpiechem i niepokojem sprawiła, że to zdrobnienie zabrzmiało pośpiesznie i ochryple, serdecznie i niemilo zarazem. Odchrząknęła. - Ależ oczywiście, że się spotkamy. O czwartej się uczymy, pamiętasz? A o drugiej mam trening. Do zobaczenia później, dobrze?

- Dlaczego nie przeprowadzisz się do Leede Arena? - zapytał zrzędlawie Jim. - Wiecznie tam jesteś.

- Jimmy, muszę trenować. Nie dostałam się do reprezentacji dzięki samemu talentowi.

- Czy twoje studia na tym nie cierpią? - zapytał wciąż kwaśnym tonem.

- No, nie znajdę się na liście dziekana w tym semestrze, jeśli o to ci chodzi.

Skinął głową, a potem, jakby po namyśle, zauważył:

- Wczoraj wieczorem wszędzie cię szukałem. Wszędzie. - Nie odpowiedziała, więc ciągnął dalej: - Nawet w magazynie bibliotecznym.

- Przykro mi. Powinna była zatelefonować, że jestem w Czerwonych Liściach. - Kristina dotknęła jego twarzy.

- Szkoda, że tego nie zrobiłaś. Zasnąłem chyba dopiero po pierwszej. Ciągle do ciebie dzwoniłem.

- Po pierwszej, tak? - Kristina zdobyła się na uśmiech. - To o dwie godziny później niż twoja zwykła pora, prawda?

- Cha, cha - powiedział ironicznym tonem.
- Muszę iść, Jim. - Kristina głośno wypuściła powietrze. - Do zobaczenia.

Pochylił się i pocałował ją. Oddała mu pocałunek, po czym odeszła, przyśpieszając kroku aż do biegu. Sznurowadła w jej znoszonych adidasach rozplatały się, więc na sekundę przystanęła, by je związać. Upuściła przy tym plecak. Zanim spostrzegła, że go nie ma, była już przy Collis Cafe. Wróciła po plecak i sprintem ruszyła pod zielonymi iglakami przy Main Street prosto do Peter Christian's Tavern.

Ojej, no to zaczynamy, pomyślała Kristina. Wzięła trzy głębokie oddechy i wkroczyła do mrocznego, mieszczącego się w piwnicy lokalu.

- Przepraszam za spóźnienie - odezwała się, opadając na krzesło naprzeciwko Howarda, który uprzejmie się uśmiechał.

- Nie jest tak źle - odrzekł, wyraźnie i dokładnie wymawiając słowa. Spojrzał na zegarek. - Tylko kwadrans.

Jak zwykle Kristinie wydało się dziwne i nieprawdopodobne, że Howard posługuje się tak doskonałym angielskim. Pochyliła się i pocałowała go szybko.

- Dlaczego jesteś taka mokra? - zapytał, wycierając policzek.
- Graliśmy w kosza. Cała się spościłam. - Z uśmiechem wzięła serwetkę i osuszyła twarz.

Howard patrzył bez słowa.

Kristina łyknęła kawy i wykrzywiła się z niesmakiem.

- Zimna - wyjaśniła, odstawiając filiżankę. Nie chciała, by Howard dostrzegł, że dłonie jej drżą.

- Mówisz to tak, jakbyś sama się przeziębiła.
- Howardzie - spytała z rozbawieniem - zamierzasz uprawiać ze mną gry słowne?
- Czemu tak cię to dziwi? Mam poczucie humoru - odrzekł poważnie.
- Wiem o tym. - Łagodnie poklepała go po ramieniu. - Wiem o tym dobrze.
- A ty się przeziębiłaś, prawda?
- Tak. - W gruncie rzeczy nie była to prawda, wiedziała jednak, jak ważną sprawą dla niego jest troszczenie się o nią.
- Gdzie twój płaszcz? Czemu jesteś tylko w szortach?
- Nie myśl o moim płaszczu. - Wzruszyła ramionami, jakby nie miało to znaczenia.
- Wciąż tak postępujesz.

- Jak?
- Nie chcesz odpowiednio się ubierać zimą.
- Według mnie to dodaje mi sił.
- Zwłaszcza wirusy mogą dodać ci sił. Angina. Zapalenie płuc.
- Nigdy na nic takiego nie chorowałam - zapewniła go Kristina. Zrzędził i bawił się w matkę, ale to było miłe. - Jestem zdrowa jak rydz.

Z właściwą rozmową poczekali, aż kelner przyjmie od nich zamówienia. Kristina miała ochotę na sałatkę z pysznym pikantnym sosem musztardowym, ale to był jej pierwszy posiłek - słone krakersy się nie liczyły - a nie chciała jeść na pusty żołądek musztardy i octu. Zamiast tego zamówiła więc placek marchwiowy.

Próbowała zmusić się do spokoju, lecz cała była napięta. Ostatniej nocy niewiele spała, a raniem, cudownym raniem, wstała o siódmej i patrzyła na zalane słońcem wzgórze Vermontu. Teraz jednak czuła tylko obawę na myśl o zdenerwowanym Jimie i cierpliwym Howardzie - solidnym i uprzejmym, spoglądającym na nią łagodnymi, poważnymi oczami przez okulary w czarnych oprawkach.

- Jak ci się wiedzie? - zapytała, usiłując się uspokoić.
 - Świetnie, Kristino, naprawdę nieźle. Jestem zajęty.
 - Cóż, to dobrze - odrzekła, lecz on milczał. - Prawda? Bardzo dobrze jest być zajęтым.
- Musisz być... zadowolony... że jesteś, no wiesz, zajęty. - Zdawała sobie sprawę, że papie bez sensu. Boże! - Masz wiele interesujących spraw?

Przez chwilę jej się przyglądał.

- Jak interesujące może być prawo o spółkach? Zobaczmy lepiej te papiery, Kristino.
- Nerwowym ruchem wyjęła z plecaka szarą kopertę i podała ją Howardowi ze słowami:
- Wygląda na to, że wszystko w porządku.

Na moment znieruchomiał.

- Naprawdę w porządku? Nie jestem taki pewny.

Kristina z rozmysłem puściła mimo uszu prawdziwy sens jego słów.

- Naprawdę, wszystko zgodnie z literą prawa.

Przejrzawszy pobieżnie dokumenty, odłożył je na bok.

- Nie mieliśmy okazji, żeby o tym porozmawiać. Coś się wydarzyło?

Rzeczywiście, coś się wydarzyło - umarła babka Kristiny, lecz Howard o tym nie wiedział. I

nigdy się nie dowie.

- Według mnie tak będzie najlepiej, to wszystko - odrzekła, bawiąc się widelcem. Skosztowała polewy ze śmietankowego sera na placku. Był dobry, tylko że ona nie czuła już głodu.

- Tak sądzisz?

- Jasne. Naturalnie.

- Dlaczego? Dlaczego tak nagle chcesz się rozwieść?

Miał na sobie garnitur i wyglądał tak miło; przeszył ją znajomy smutek. Czy to znaczy, że nigdy więcej go nie zobaczę? Tak się przyzwyczaiłam do myśli, że on tam jest.

Wzruszając ramionami, odłożyła widelec. Kawa była zimna, placek smaczny, a jej żołądek pusty.

- Wcale nie nagle. Pomyślałam, że już najwyższy czas.

- Dlaczego?

- Ponieważ niedługo skończę dwadzieścia jeden lat, Howardzie, ponieważ chcę rozpocząć własne życie. A jeśli będę chciała wyjść za mąż?... A jeśli ty zechcesz się ożenić?

- Czy jest ktoś, za kogo chcesz wyjść, Kristino?

- Jeszcze nie, ale kto wie? - Uśmiechnęła się lekko. - Pan Idealny może stać tuż za rogiem.

- Hmm, myślałem, że twoim panem Idealnym jest Jim.

Kristina kaszlnęła.

- Właśnie jego miałam na myśli. To Jim. - Cieszyła się, że o tym rozmawiają. Wreszcie się uspokoiła. Już nie była taka rozpalona.

Howard nachylił się nad stolikiem i zniżył głos, i tak już spokojny i cichy.

- Czy to twój pomysł? - zapytał.

Kristina oparła się o krzesło. Siedzieli w kącie za schodami; piwnica była słabo oświetlona i ponura.

- Howardzie, nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Pytałem, czy to twój pomysł.

- Wiem, o co pytałeś, tylko nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Kristino, to pytanie, na które odpowiada się „tak” albo „nie”.

- Dla ciebie każde pytanie jest takie - rzuciła poirytowana.

- W większości istotnie takie są - odrzekł spokojnie. - Spróbujmy jeszcze raz. Kristino, czy to

twój pomysł?

Nie mogła nie odpowiedzieć.

- Mój w jakim sensie?

- W takim, czy sama na to wpadłaś, czy też ktoś inny zasugerował ci, że powinniśmy się rozwieść?

Na tak postawione pytanie nie była w stanie odpowiedzieć, toteż zaczęła się wykręcać:

- Któż inny mógłby...

Urwała. Howard patrzył na nią uważnie, a ponieważ doskonale pojęła, o co mu chodzi, uznała, że dalsze udawanie nie ma sensu. Skłamała więc:

- Tak, Howardzie, to był mój pomysł.

Patrzył na nią obojętnie, lecz na dnie jego poważnych piwnych oczu kryła się wielka serdeczność.

- Jedz swój placek - odezwał się w końcu łagodnie.

- A kogo obchodzi placek? - rzuciła kwaśno.

- Mnie obchodzi rozwód.

Kristina głęboko westchnęła.

- Wiem, Howardzie - odpowiedziała - ale uwierz mi, wszystko dobrze się ułoży.

- Nie potrafię w to uwierzyć, Kristino.

- Dlaczego?

- Wiesz, że twój ojciec prosił mnie, żebym się tobą zaopiekował.

- Nie prosił, tylko ci kazał.

- To nie tak. Zawarliśmy umowę.

- I według mnie ty jej dotrzymałaś. Tylko że, po pierwsze, jutro kończę dwadzieścia jeden lat.

A po drugie, ojciec nie żyje. Najwyższa pora, Howardzie.

- Umowa to umowa. Nie uwzględniliśmy w niej twojego wieku ani jego śmierci.

- Och, Howardzie! - westchnęła. - Daj spokój.

- Nie mogę.

- Proszę, nie martw się o mnie. Wszystko wspaniale się ułoży, przyrzekam.

Sama chciała w to wierzyć.

Odwrócił od niej wzrok i kiwając głową, powiedział:

- Tak nagle, jak grom z jasnego nieba.

- Wcale nie nagle! Po pięciu latach. Tak będzie lepiej. Dla ciebie byłam tylko środkiem do celu.

Widząc minę mężczyzny, zrozumiała, że go zraniła. Te słowa musiały strasznie go dotknąć.

- Przepraszam - rzuciła pośpiesznie. - Wiesz, o co mi chodzi. Jesteś dobrym człowiekiem, zasługujesz na coś lepszego. - Miała nadzieję, że mówi to, co trzeba, lecz była niespokojna. Bawiła się serwetką, później zaczęła bębnić brudnym widelcem o blat stolika. - Daj spokój, już dawno z nawiązką wywiązałeś się z umowy z moim ojcem. A jeśli miałeś jakieś wątpliwości, czemu nie zgłaszałeś zastrzeżeń we wrześnie, kiedy cię zawiadomiłam, że występuję o rozwód?

Teraz na Howarda przyszła kolej, by westchnąć.

- Przyszedł do mnie i poprosił o dodatkowe tysiąc dolarów. Czuję, że mam prawo wiedzieć, na co potrzebne ci te pieniądze. A gdybyś miała własne środki, czy w ogóle coś bym od ciebie usłyszał, czy może po prostu skontaktowałby się ze mną twój adwokat?

- Ja nie mam adwokata, Howardzie. Wynajęłam jakiegoś kanciarza za tysiąc dolców wolnych od podatku. On nawet nie miał pojęcia, ile wynoszą opłaty sądowe. Najpierw twierdził, że stówę, potem, że trzy. Może lepiej będzie, żebyś się temu przyjrzał.

- Obecnie nic nie mogę z tym zrobić. - Howard odsunął na bok kopertę. Odchrząknął. - Dla mnie najważniejszą sprawą jest to, czy u ciebie wszystko w porządku, czy jesteś bezpieczna.

- Wszystko u mnie w porządku i jestem bezpieczna - oznajmiła Kristina, po czym z uśmiechem dodała: - Jedyne niebezpieczeństwo grozi mi na boisku, kiedy przeciwniczki próbują mnie faulować.

- A jak często się to zdarza?

- Przez cały czas.

- Wciąż uwielbiasz koszykówkę?

- Żartujesz sobie? To mnie trzyma przy życiu. W meczu pokazowym z Cornwell zdobyłam rekordową liczbę punktów - oznajmiła z dumą.

- Dalej nie pojmuję, jak to się stało, że grasz w koszykówkę.

Kristina wzruszyła ramionami.

- A jak cokolwiek się zdarza? Palec Boży. W tej szkole, do której mnie wysłałeś, koszykówka była jedynym sportem na jako takim poziomie.

- O nie! - Howard potarł dłonią czoło. - Tylko nie zaczynaj znowu filozofować.

Kristina z ustami pełnymi płacka powtórzyła mu, co angielski filozof Bertrand Russell

powiedział kiedyś o swych życiowych poszukiwaniach:

- „Kiedy dorastałem, coraz bardziej interesowała mnie filozofia, co spotykało się z głęboką dezaprobatą mojej rodziny. Za każdym razem, gdy temat ów wyływał w rozmowie, odpowiadali z niezachwianą regularnością: «Czym jest umysł?» «To nieważne». «A co jest ważne?». «To bez znaczenia». Po pięćdziesiątym czy sześćdziesiątym razie uwaga ta przestała mnie bawić”.

Spojrzał jej w oczy i prawie z uśmiechem zapytał:

- A czy ja przestałem cię bawić?

- Jeszcze nie, Howardzie.

Oboje umilkli.

- Masz czas na specjalizację?

- Dwie specjalizacje. Tak, mam wszystko oprócz czasu - odrzekła Kristina.

W przeciwieństwie do Jima, który wybrał dwie specjalizacje, ponieważ przygotowywał się do kariery i dorosłego życia, ona zdecydowała się na to, bo chciała nappełnić swój zagubiony umysł mądrymi myślami innych ludzi, tak by jej własne po troszeczkę zaczęły ją opuszczać, znikać na zawsze i by w ciągu całego dnia nie miała ani jednej wolnej minuty, w czasie której jej leniwy umysł lub beczynne ręce gotowe byłyby do realizacji diabelskich podszeptów.

- A co u Jima?

- Świetnie sobie radzi. W tym roku jest redaktorem „Dartmouth Review”.

- Aha - uśmiechnął się lekko Howard. - Dobrze ocenia twoją pracę?

- Nie - odparła z udanym rozdrażnieniem. - Ode mnie wymaga więcej niż od innych. Mówi, że „Review” to ciężka robota. Nie może się doczekać ukończenia college’u.

- Co zamierza potem robić?

- Studiować prawo. - Kristina starała się, by w jej głosie zabrzmiała duma, lecz jej się nie udało. - Chce zostać sędzią Sądu Najwyższego.

Na Howardzie nie zrobiło to wrażenia.

- To miłe. A ty?

- Chcę ukończyć szkołę. - Kristina nie wybiegała dalej w przyszłość. - A co mam niby jeszcze robić?

- No, nie wiem - odpowiedział Howard. - Znaleźć dobrą pracę?

- Błagam, Howardzie. To jest college humanistyczny. Jakie twoim zdaniem mamy kwalifikacje? Jesteśmy wnikliwymi czytelnikami, to wszystko. No, jeszcze radzimy sobie z

komputerem, ale nic więcej.

- W końcu będziesz musiała iść do pracy.

Dziewczyna prychnęła.

- Po co? I gdzie? A z moimi specjalizacjami do czego właściwie będę się nadawać?

- Nie wiem - odrzekł wolno. - A co robią inni, którzy także specjalizują się w filozofii i religii?

- Uczą, naturalnie - wyjaśniła radośnie. - Uczą filozofii i religii.

Howard uśmiechnął się, a Kristina odpowiedziała mu tym samym.

Będzie jej go brakować.

Teraz wyczuwała, że chciałby ją o coś zapytać. Zacisnął usta i miał ten skoncentrowany wyraz twarzy, jak zawsze, gdy stawał przed trudnym problemem. A było wiele trudnych problemów. Zwykle ich unikał, dzisiaj jednak zmagął się sam ze sobą. W końcu zwyciężył takt. Kristina miała ochotę zaskoczyć Howarda i przynajmniej ten jeden raz odpowiedzieć na jego zadawane tylko w duchu pytania, tylko że dzisiaj nie miało to sensu. Babcia umarła, a oni byli już legalnie rozwiedzeni. Jutro zaś są jej dwudzieste pierwsze urodziny.

- A ten, jakże on ma na imię... Albert?

- U niego wszystko w porządku - odrzekła pośpiesznie. - Wszyscy miewają się dobrze.

- Co zamierza robić po skończeniu college'u?

- Nie jestem pewna. - Wzruszyła ramionami, udając obojętność. - Mówi, że chce zostać dziennikarzem sportowym.

- Dziennikarzem sportowym?

- Tak, tylko że niestety nie umie pisać.

- Rozumiem.

- Albo rybakiem. - Pokręciła głową.

- A umie łowić ryby? - zapytał Howard.

- Tak myślę - odpowiedziała z pozorną beztroską.

- Poszedł do college'u Ivy League, żeby zostać rybakiem?

- Bardzo dobrym rybakiem - odrzekła krótko, pragnąc zakończyć już ten temat.

Howard chwilę milczał.

- Wyjdiesz za Jima? - zapytał cicho.

Uśmiechnęła się smutno.

- Nie wiem, czy będzie chciał się ze mną ożenić.

- Na pewno tak.

- Nie, myślę, że nie. - Kristina potrząsnęła głową.

Howard uważnie się jej przyglądał.

- Za bardzo się martwisz - powiedziała.

- Martwię się o ciebie.

- Spójrz na mnie! - zawołała wesoło. - Świetnie sobie radzę.

- Tak - odrzekł, ale nie wydawał się przekonany. Wstał. - Chodźmy.

- Nie mogę spędzić z tobą całego dnia, Howardzie - odezwała się przeproszającym tonem.

- Wiem, dziś wieczorem lecę do domu. Nawet nie zarezerwowałem sobie pokoju w Inn. Na jutro przewidują burzę śnieżną.

- A czy to jakaś nowość?

Wkładając płaszcz, Howard zapytał:

- Masz jakieś plany?

- Na burzę? Nie.

- Chodziło mi o święta.

- Wiem, o co ci chodziło. - Kristina się uśmiechnęła. - Chyba pojedę z Jimem do Delaware.

Nie była to prawda, choć jeszcze nie powiedziała nic Jimowi. Musiała zostać w Hanover - w sobotę był mecz Darmouth z Uniwersytetem Pensylwanii - kto jednak chciałby spędzać w akademiku Święto Dziękczynienia? Zależało jej tylko na tym, by Howard nie myślał, że nie ma żadnych planów.

- Wydawało mi się, że nie lubisz jeździć z Jimem.

Boże, ależ on ma doskonałą pamięć! - przemknęło Kristinie przez głowę.

- No wiesz... odnoszę wrażenie, że jego rodzina mnie nie lubi.

- Nie?

- Nie.

- Dlaczego?

- Chyba nie podobają im się moje włosy. Kiedy byłam tam ostatnio, zachowywali się... widziałam wyraźnie, że nie mogą przestać się zastanawiać i wręcz umierają z ochoty, żeby mnie zapytać, czemu taka miła dziewczyna jak ja nie spędza świąt z własną rodziną?

Byli wtedy na pierwszym roku i Kristina poprosiła Jima, by uprzedził rodziców, że jej bliscy

nie żyją. Mimo to wiedziała, że odznaczająca się doskonałymi manierami pani Shaw wciąż powstrzymuje się, by czegoś nie powiedzieć. Jej niewyartykułowane głośno pytania wisiały w powietrzu, aż zapleśniały i zgniły, a Kristina nigdy więcej nie odwiedziła domu w Delaware.

- Powinnaś pojechać z Jimem. Jestem pewny, że on by tego chciał.

- Też jestem tego pewna - odparła, pragnąc wyjaśnić, jak trudno było spędzać Święto Dziękczynienia z Jimem i jego obytymi w świecie, uprzejmymi rodzicami, którzy otaczali ją duszącym kocem troski i uprzejmości.

Rozważała, czy nie pojechać do Cold Spring Harbor z Conni i Albertem. Od początku tego roku jednakże między Kristina a Conni nie układało się dobrze. Panowało między nimi napięcie, wisiało w powietrzu w ten sam nieprzyjemny sposób, jak niezadane pytania rodziców Jima.

Kiedy na pierwszym roku razem zamieszkały przy Mass Row w apartamencie składającym się z dwóch sypialni, łazienki i salonu, co noc grały w pokera lub blackjacka i co noc nie spały, bo nie potrafiły przestać gadać. Wybrały te same zajęcia, razem jadły u Thayera i w Collis Café i chodziły oglądać filmy do Hopkins Center. Razem uczyły się w bibliotece, a Boże Narodzenie na pierwszym roku Kristina spędziła w Cold Spring Harbor, gdzie przez trzy tygodnie niemal dobrze się bawiła. Constance Sarah Tobias miała miłą rodzinę. Jej starszy brat Douglas był zabawny, a rodzice szanowali cudzą prywatność i nie przeszkadzali Kristinie.

Tylko że przebywanie razem stało się trudniejsze po konflikcie między Jimem a Albertem. Dość szybko jednak sprawy wróciły do normy. Tak przynajmniej odbierała to Kristina. Norma to była ciągła nauka i sesje, wykłady i sale ćwiczeń, biblioteki Sanborna, Bakera i Feldberga. Norma to były pieczone ziti u Thayera i kanapki w Collis Cafe, filmy w Hopkins Center, sobotnie imprezy w akademiku i kac w niedzielne poranki, a także mecze dwa na dwa. Kristina sądziła, że dobrze się między nimi układa, lecz nie rozumiała Constance.

Wiele wysiłku włożyła w to, by wyrzucić z pamięci incydent, do którego doszło ostatniej zimy na moście, i wybaczyła Conni chwilową utratę rozsądku.

Podejrzewała, że relacje pomiędzy czwórką nierozłącznych przyjaciół uległy zmianie, gdy ona i Albert na drugim semestrze pierwszego roku wyjechali do Edynburga w Szkocji w ramach wymiany studentów. Lecz co człowiek ma zrobić ze starą przyjaźnią? Jak sobie radzić z przyjaciółmi z college'u? Po Edynburgu nadal się razem uczyli i jedli, dalej razem chodzili na imprezy. Jesteśmy jak rodzina, pomyślała. Nagle zrobiło jej się zimno. Nieważne, jak trudne

pojawiają się problemy, nie można zerwać ze sobą.

Howard zapłacił i wyszli z lokalu. Zamiast włożyć swój szary płaszcz, okrył nim Kristinę. Otuliła się, żalując, że będzie musiała mu oddać okrycie. Płaszcz był ciepły i pachniał Howardem, solidną wodą kolońską, jakiej zwykle używał. Yves Saint Laurent?

- Kristino, muszę ci coś powiedzieć.

- Tak?

Stali na szczycie schodów prowadzących do restauracji. Dziewczyna zastanawiała się gorączkowo.

- Pieniądze się skończyły.

Odprężyła się nagle.

- Wiem.

- Wiesz? I co zamierzasz zrobić?

Miała mnóstwo planów. Na jutro. Dzisiaj była kompletnie splukana. Rozważała, czy nie pożyczyć od Howarda kilka dolarów na prezent urodzinowy dla Alberta, lecz sumienie jej nie pozwoliło.

- Dam sobie radę. Nie martw się o mnie.

- Posłuchaj - zaproponował, walcząc ze sobą. - Jeśli potrzebujesz małej sumy, ja...

- Howardzie! - Kristina ścisnęła go za rękę. - Proszę, przestań. Niczego mi nie potrzeba.

Naprawdę.

- Dalej pracujesz w Czerwonych Liściach?

- Tak. Mam dość pieniędzy.

Poszli do oddalonego o kilka kroków sklepu, gdzie Howard kupił sobie bluzę z napisem: „Dziesięć powodów, dla których jestem dumny, że moja córka studiuje w Dartmouth”. Powód numer dziesięć brzmiał: „Ponieważ jej oceny maturalne były za wysokie, żeby poszła do Harvardu”.

Powiedział, że ten powód najbardziej mu się podoba.

- Tylko że ja nie jestem twoją córką, Howardzie - zauważyła Kristina.

- Nie w tym rzecz. Przecież to miało być zabawne. A poza tym czasami żałuję, że nie jesteś.

Spojrzała na niego, zaskoczona.

- Dlaczego?

- Wtedy cały czas mógłbym się tobą opiekować. I nigdy nie musiałbym ci mówić, że

skończyły się pieniądze - odrzekł tonem pełnym goryczy.

- Błagam, Howardzie - powiedziała cicho - błagam.

- Chcesz, żebym odprowadził cię do domu?

- Nie, dziękuję! - zawołała z uśmiechem.

Poszła z nim na parking, gdzie zostawił wynajęte auto, pontiaca bon-neville.

- A jak twój samochód? - zapytał Howard.

- Och, sam wiesz. Stary gruchot. Nienawidzę go. Płyn przeciw zamarzaniu szyb wycieka na siedzenie pasażera i strasznie cuchnie. W całym samochodzie śmierdzi. Poza tym bardzo głośno chodzi. Chyba tłumik wysiada.

- A co cię obchodzi siedzenie pasażera? Przecież ty prowadzisz.

Kristina już miała powiedzieć, że czasami siedzi po stronie pasażera - czasami, kiedy wokół są góry, drzewa i świeci słońce. Siedziała tam, gdy jechali do Fahrenbrae, ośrodka wypoczynkowego położonego wysoko na wzgórzach Vermontu.

- Potrzebujesz pieniędzy na naprawę?

To zadziwiające, że mimo całej sumy, którą jej dawał, ciągle była splukana. Trudno sobie wyobrazić, że dziewczyna dysponująca dwudziestoma tysiącami dolarów na rok może być biedna - cóż za obelga dla ludzi naprawdę ubogich! - mimo to jednak po opłaceniu czesnego, akademika i jedzenia, książek oraz benzyny do gruchota nie zostawało jej więcej niż pięćset dolarów. Tak właśnie postanowił ojciec: żadnych środków na rozrywki. Ale nawet pięćset dolarów na dziesięć miesięcy to niewiele, około dolara sześćdziesięciu sześciu centów na dzień. Wystarczy na batonik i gazetę. Jeśli Kristina zaciskała pasa i rezygnowała z batonika, mogła raz na kilka tygodni iść do kina. A jeśli naprawdę uważała, mogła nawet kupić sobie małą torebkę popcornu.

Delikatnie dotknęła twarzy Howarda i przytulając go mocno, szepnęła:

- Nie chcę pieniędzy od ciebie.

Oddał jej uścisk.

- Bo wiesz, choć pieniędzy twojego ojca już nie ma, mam trochę swoich. - Nie patrzył na nią, Kristina zauważyła to, lecz szczerze odpowiedziała:

- Jestem o tym przekonana, Howardzie. Zawsze umiałeś o siebie zadbać. Nie muszę się o ciebie martwić.

- Odwieźć cię? Wyglądasz na zmarzniętą - zaproponował, odsuwając się od niej.

Potrząsnęła głową.

- Dzięki, mam teraz trening, a potem z Jimem uczymy się Arystotelesa na jutrzejsze kolokwium. I przed Świętem Dziękczynienia muszę napisać artykuł o karze śmierci do „Review”. Sam wiesz, ciągle to samo.

- O karze śmierci? Czy w New Hampshire w ogóle jest kara śmierci?

- Jasne - odrzekła Kristina. - Musiałbyś co prawda porwać i zabić policjanta, w dodatku napadając na bank, żeby zdobyć pieniądze na prochy, które sprzedasz dzieciom, ale kara śmierci jest.

- Ilu ludzi ginie co roku?

- Jak, z rąk przestępców?

Howard lekko się zaśmiał.

- Śmieszne. Nie, z rąk wymiaru sprawiedliwości.

Zastanowiła się przez chwilę, a potem zaczęła udawać, że liczy:

- W sumie, włączając w to tych, co mieli zostać straceni w zeszłym roku i w latach poprzednich, zobaczmy... jeden... trzech... dwadzieścia siedem... nikt.

Wybuchnął gromkim śmiechem.

- A jaką pozycję zamierzasz zająć? O ile pamiętam, sprzeciwiałaś się karze śmierci.

- To było dawniej. Nie pozwalano mi wyrażać innej opinii w tej przeklętej szkole, do której mnie posłałeś. W gruncie rzeczy nie wiem, jaki jest mój pogląd. Jeszcze nie zaczęłam pisać. Zwykle wygłaszam opinię w środku artykułu, a drugą połowę poświęcam na obronę mojego nowego zdania.

- Nie uważasz, że zabójcy zasługują na śmierć?

- Sama nie wiem - odrzekła niepewnie. - Wydaje mi się, że czytam za dużo Nietzschego.

Wywrócił kompletnie mój zdrowy rozsądek...

- Jaki zdrowy rozsądek? - przerwał Howard.

Kristina szturchnęła go w zębra.

- Jeśli oni nie zasługują na śmierć, to na co właściwie zasługują? Bo na coś muszą, nie sądzisz? Jak traktuje się ich w Hongkongu?

- Zostają skazani na śmierć.

Kristina nie miała wyrobionego zdania o karze śmierci. Wiązało się to w jakiś sposób z Bogiem. Gdzieś tam był Bóg pomiędzy tymi wszystkimi kursami religii wschodnich i

współczesnej myśli religijnej, moralności i etyki, pomiędzy wszystkimi tymi wzniosłymi słowami był gdzieś Bóg, lecz ona nie rozumiała, co do niej mówi. Większość życia spędziła na usuwaniu Boga ze swej egzystencji. Co według Mahatmy Gandhiego było jedną z siedmiu największych złych rzeczy? „Przyjemność bez sumienia”. Gandhiego także usuwała ze świadomości, aczkolwiek jego credo wisiało na korkowej tablicy nad jej biurkiem jako wieczne memento. Co Gandhi sądziłby o karze śmierci w ogóle? I konkretnie - jaki byłby jego stosunek do człowieka, który go zabił? Gandhi by mu wybaczył, Kristina była tego pewna. Podobnie jak papież Jan Paweł II wybaczył swemu niedoszłemu zabójcy. Lecz to właśnie Gandhi napisał, że siódmym największym złem jest „polityka bez zasad”. Gandhi bez wątpienia miał zasady.

- Czy John Lennon wybaczyłby Markowi Davidowi Chapmanowi? - zapytał Howard.

- Ha, widzę, że doskonale się orientujesz w popkulturze, co? Moim zdaniem nie wybaczyłby - uznała. - Miał zbyt wiele spraw, dla których warto żyć.

- Więc tak definiujesz ideę wybaczenia. Sądzisz, że łatwiej wybaczyć zabójcy, jeśli twoje życie jest puste.

- O wiele łatwiej - zgodziła się Kristina. Lecz przecież życie papieża nie było puste, nie, wcale nie. A jednak z drugiej strony nie miał pięcioletniego synka Seana.

Howard wciąż przestępował z nogi na nogę.

- Zmarłeś - powiedziała Kristina, zdejmując z ramion płaszcz. - Proszę.

Wziął go, lecz nie włożył. Oboje stali teraz, trzęsąc się z zimna.

- Wiesz - zaczął Howard z wahaniem - możesz spędzić Święto Dziękczynienia w Nowym Jorku. Obejrzelibyśmy Davida i Shauna Cassidych w „Blood Brothers”.

Więc ją zaprosił. Zwlekał wprawdzie do ostatniej chwili, ale to zrobił. Kristina poczuła się niezręcznie. Po raz kolejny poklepała go po ramieniu.

- Wszystko w porządku, Howardzie - odezwała się cicho. - To tylko święto.

- Wiem, ale nie podoba mi się myśl, że jesteś tu sama i nieszczęśliwa w czasie tego głupiego święta.

- Nie będę sama, okay? - zapewniła go z uśmiechem. - Ani nieszczęśliwa.

Pragnęła, by Howard raz jeszcze ją objął, lecz tego nie zrobił. Nigdy pierwszy jej nie dotykał. Zachowywał się tak uprzejmie, że Kristina zastanawiała się, czy pod jego łagodnym szacunkiem nie kryje się niesmak. To było niemal tak, jakby zgodnie z religią Howarda dotknięcie Kristiny Kim było grzechem.

- Czy kiedyś się zobaczymy? - zapytał.
- Mam taką nadzieję, Howardzie. Naprawdę. - I znowu wyczuła w nim rezerwę.
- Dobrze więc. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

Kristina wyrzuciła zaciśniętą pięść w powietrze. Jej długim palcom lepiej było razem. Ciepłej.

- Dziękuję - odpowiedziała. - Teraz jestem dorosła.
- Byłaś dorosła przez cały ten czas, odkąd cię znam - zauważył Howard.
- Tak, ale wcześniej byłam dzieckiem.
- To musiało być dawno temu - odparł smutno. Jej także zrobiło się smutno.
- Wcale nie tak dawno, Howardzie.

Z nosa jej ciekło, oddychała ciężko przez otwarte usta. Howard chwilę milczał, a później ją objął.

- Do widzenia, Kristino - odezwał się cicho.

Słowa uwięzły jej w gardle.

- Do widzenia, Howardzie. - Poklepała go po ramieniu. Nie chciała, aby zobaczył w jej oczach łzy.

Kiedy wsiadł do samochodu, odwróciła się szybko.

Po jego odjeździe stała bez ruchu na chodniku, wpatrzona w słońce. Już za nim tęsknię, pomyślała. Muszę zadzwonić do niego za kilka tygodni i złożyć mu życzenia na Boże Narodzenie.

Była zadowolona z przebiegu lunchu, przede wszystkim jednak cieszyła się, że ma to już za sobą.

Spojrzała na kino Nugget. Grali „Wiek niewinności”. Pomyślała przelotnie, żeby wejść, sprawdziła nawet godzinę, ale film już się zaczął, a trwał długo. Następny seans zaczynał się dopiero o piątej - o tej porze Jim Shaw z „Etyką nikomachejską” Arystotelesa pod pachą będzie już na nią czekał. I jeszcze tort orzechowy Alberta. A poza tym, czy Frankie, który widział „Wiek niewinności”, nie mówił jej, że to film o sztucach? Czy nie oświadczył, że utensylia kuchenne istotnie błyszcząły w głównych rolach?

Mimo to chciała zobaczyć ten film. Daniel Day-Lewis przypominał jej Edynburg, gdzie Kristina widziała „Moją lewą stopę”.

Wolno ruszyła w kierunku budynku redakcji „Dartmouth Review”. Kiedy już wchodziła po schodach, jej wzrok spoczął na oknie wystawowym butiku Rare Essentials. Zobaczyła w nim

czarne buty. Ładne.

Kara śmierci może poczekać.

Weszła do sklepu. Natychmiast u jej boku pojawiła się elegancko ubrana sprzedawczyni.

- Podobają mi się te buty.

- O tak, są naprawdę ładne - przytaknęła gorliwie sprzedawczyni. - Kanadyjskie.

Och, z Kanady, pomyślała z uśmiechem Kristina. W takim razie muszą być ładne. Obejrzała je dokładnie i poprosiła o rozmiar dziewięć i pół, niestety, była tylko dziesiątka. Buty okazały się trochę za duże, ale były naprawdę ładne, ze skórzanymi sznurowadłami.

- Są wodoodporne - dodała sprzedawczyni.

- Wodoodporne? I z Kanady? - zapytała żartobliwie Kristina. - Czego jeszcze dziewczyna może chcieć od czarnych butów? Ile kosztują?

- Sto osiem dolarów.

Kristina nie miała stu ośmiu dolarów, tylko trzy.

Zapłaciła kartą American Express. Zyskała dzięki temu sześć tygodni na zdobycie stu ośmiu dolarów. A to nie będzie trudne, pomyślała wesoło.

- Kristina Kim - powiedziała sprzedawczyni, załatwiając formalności. - To niezwykle nazwisko.

Kristina podpisała się na rachunku.

- Tak pani myśli?

- Ładnie brzmi - oceniła sprzedawczyni, oddając jej kartę. - Brzmi... sama nie wiem... azjatycko?

Dziewczyna spojrzała na nią uważnie.

- Czy według pani wyglądam na Azjatkę?

- Oczywiście że nie. Tylko że...

- Miłego dnia - przerwała jej Kristina, wychodząc ze sklepu z torbą z czarnymi butami.

Chryste!

Tak jej się spodobały nowe buty, że od razu postanowiła je włożyć. Czy Howard nie wspominał o nadchodzącej zamieci? W tym roku nie przeszła jeszcze po kamiennym murze. Może więc po raz pierwszy zrobi to w czasie burzy śnieżnej. Po raz pierwszy w nowych czarnych butach.

Usiadła na szczycie schodów prowadzących do budynku Chamber of Commerce, gdzie

mieściła się redakcja, i zaczęła rozwiązywać adidasy.

Spencer Patrick O'Malley skończył niedzielny lunch w Molly's Balloon, taki sam od pięciu lat. Spencer był zwolennikiem przyzwyczajęń. Kiedy po przyjściu powiesił kurtkę na sąsiednim krześle, zjawiała się kelnerka i z prowokacyjnym uśmiechem powitała go:

- Cześć, Tracy.

- Cześć, Kelly - odparł, myśląc, że dziewczyna więcej by z nim osiągnęła, gdyby tylko nazywała go „Spencer”.

- To samo co zwykle?

- To samo będzie świetnie.

Kelnerka przyniosła mu margarite z lodem i dodatkową solą na krawędzi szklanki, a później specjalność lokalu - pyszne chrupiące łódeczki z kartofli, faszerowane bekonem - oraz *guacamole* z frytkami i wołowe *burrito*. Na deser zjadł cytrynowe ciastko.

Wychodząc, Spencer wpadł na siedmioletnią dziewczynkę, która nagle zaczęła płakać. W kilka zaledwie sekund zorientował się, że jej dwa paluszki utknęły pomiędzy drzwiami. Pomógł jej się uwolnić i wprowadził małą do środka. Kelnerka przyniosła trochę lodu na przytrzaśnięte palce, a potem z toalety wyszła matka dziewczynki. Wszyscy mu dziękowali. Opuszczając restaurację, Spencer myślał o tym, jak różnie bywa z dziećmi. W jednej chwili wszystko jest cudowne, w następnej nie wiesz, co się dzieje.

Z dłońmi w kieszeniach ruszył wolnym krokiem Main Street, rozważając, czy iść na spacer do oddalonego o półtora kilometra Occom Park. Było wprawdzie zimno i wietrznie, ale przecież odpowiednio się ubrał. Kurtka na kożusku, wełniana czapka i rękawiczki zapewniały mu ciepło, choć mimo że zapięty był aż pod szyję, ręce trzymał w kieszeniach, a pod dżinsami i swetrem miał ciepłą bieliznę, twarz bolała go od mrozu.

Czasami, podczas ostrych zim w New Hampshire, Spencer żałował, że nie ruszył na południe zamiast na zachód, kiedy opuszczał swoje rodzinne Long Island, by poszukać gdzieś pracy. Wówczas nie miało dla niego znaczenia, dokąd zmierza, dlatego więc zdecydował się zatrzymać w tym sennym miasteczku z białymi budynkami, czarnymi okiennicami i nieprawdopodobnie mroźnymi zimami?

Zastanawiając się, ile czasu potrwa, nim jego twarz pokryje się szronem przy takiej pogodzie, pogładził się po policzku. Dzisiaj się nie golił - był to luksus, na który pozwalał sobie wyłącznie w niedziele i tylko od czasu, gdy przestał chodzić do kościoła.

Kiedy mijał Chamber of Commerce, zobaczył dziewczynę na szczycie schodów. W gruncie rzeczy to nie ona sama zwróciła jego uwagę, mało co zresztą widział w tej nasuniętej na oczy czapce. Nie, to nie dziewczyna go zainteresowała, tylko to, co robiła. Była bosa, nie nosiła nawet skarpetek, które chroniłyby ją przed lodowatymi betonowymi stopniami. Miała na sobie szorty. Obok niej stał czarny skórzany but, drugi trzymała w rękach.

Musiała być nawet kilkanaście stopni przy tym ostrym wietrze i Spencerowi robiło się zimno od samego patrzenia na tę dziewczynę. Z jedną nogą postawioną na stopniu i drugą opartą na kolano usiłowała włożyć but. Zmagala się tak chwilę, w końcu wyprostowała nogę i próbowała go wciągnąć.

Jak zahipnotyzowany, Spencer wolno podszedł do schodów i patrzył, aż wreszcie udało jej się włożyć but. Zamiast jednak od razu wsunąć drugi, dziewczyna zajęła się sznurowaniem, bosą stopą dalej stojąc na betonowym stopniu. Spencer powędrował wzrokiem od stopy poprzez długie gołe nogi do ciemnozielonego T-shirtu, a stamtąd do twarzy i rozwianych włosów dziewczyny. Wyjął rękę z kieszeni i ponownie pogładził się po policzku.

Skórę miała bardzo jasną, aczkolwiek policzki zaczerwieniły się już od wiatru. Na moment oderwała wzrok od butów i spojrzała Spencerowi prosto w oczy. Miała cudowną owalną twarz, młodą twarz, o ile nie widziało się jej oczu. Były otoczone głębokimi zmarszczkami, co dodawało jej lat. Połączenie niewinności malującej się w ślicznych piwnych oczach i bruzd wokół nich tworzyło niepokojącą kombinację.

Spencer odchrząknął i powiedział:

- Wie pani, ludzkie ciało traci jeden stopień ciepła na minutę.
- Aha - odrzekła, uśmiechając się lekko. - Dziękuję za informację.
- Tak. A ja przyglądam się pani od około pięciu minut. Może sześcioro.

Ruchem głowy odrzuciła włosy z twarzy, dalej zajęta sznurowaniem buta.

- I jak wyglądam?

Zobaczył jej oczy i usta uśmiechające się do niego, zachował jednak powagę - nie było to trudne, ponieważ dokładał starań, by być człowiekiem poważnym.

- Na zmarzniętą - oświadczył.
- Właściwie zgodnie z pana wyliczeniami powinnam już być martwa. Stopień na minutę, co?
- No, jeszcze nie martwa - zaprzeczył. - Ale porządnie zmarznięta. Na kość. Bez czucia w kończynach.

- Wie pan, może ma pan rację. Nawet zimna już nie czuję. - Dotknęła stopy.

- Widzi pani?

- Więc najlepiej będzie, jeśli przestanie mi pan przeszkadzać - odparła wesoło - żebyśmy mogła włożyć drugi but i mieć przynajmniej szansę na przeżycie.

Spencer w milczeniu patrzył, jak sznurowała drugi but.

- Gdzie pani skarpetki? - zapytał.

- W praniu - wyjaśniła, wstając. - A kim pan jest?

Patrzyła wprost na niego. Była piękna, obiektywnie, niezaprzeczalnie piękna. Wysoka i szczupła, o urodzie modelki, nawet z tymi niesfornymi włosami. Oczy ma niezgłębione, pomyślał Spencer, z takim niemożliwym do opisanego wyrazem. Poczł znajomy skurcz żołądka. Był wciąż dość młody, by pamiętać czasy szkoły średniej, gdy odczuwał ten skurcz za każdym razem, kiedy szedł korytarzem i mijał dziewczęta w białych swetrach, przyciskające książki do swych nastoletnich piersi.

Wszedł na schody, zdjął rękawiczkę i wyciągnął rękę do nieznajomej.

- Jestem Spencer Patrick O'Malley.

Ujęła jego dłoń i łagodnie uściśniła. Zaskoczyło go ciepło jej palców. Ciepła ręka bosej dziewczyny w listopadzie w New Hampshire.

- Spencer jak Spencer Tracy? - zapytała. Spencer głęboko odetchnął.

- Tak. Ale to nie mój krewny.

- Wcale go pan nie przypomina. Kristina Kim.

- Miło mi, Kristino. Mogę gdzieś cię podwieźć, żebyś się rozgrzała?

- Nie, dziękuję. Idę do tego budynku.

- Do Chamber of Commerce?

- Nie, do redakcji „Review”.

- Aha. Czy nie są cokolwiek ekstremalni w swoich poglądach?

- Oni nie - roześmiała się - ale reakcja na nich tak. - Wciąż trzymała jego dłoń w swojej; teraz wolno się cofnęła. - Gdybyś miał chusteczkę higieniczną, byłabym wdzięczna.

- Przykro mi, ale nie mam. - Patrzył na jej ożywioną twarz. - Na pewno jesteś z północy. Zimnokrwista.

- Nie jestem z północy, ale na pewno zimnokrwista... Kiedy byłam mała i zimą jeździłam do mojej babci nad jezioro Winnepesaukee, rozbijałam lód i wkładałam stopę do wody, żeby się

przekonać, jak długo wytrzymam.

Spencer przez chwilę przetrwał jej słowa.

- I jak długo - zapytał wreszcie - wytrzymywałaś?

Uśmiechnęła się z dumą.

- Mój rekord wynosił czterdzieści jeden sekund.

Gwizdnął z uznaniem.

- Czterdzieści jeden, tak? A jak to się miało do odmrożeń?

- Też były spore. Ale i tak pobiłam rekord.

- Nie wątpię - oświadczył. - Czy to były zawody?

- Jasne. Nikt nie robi tego dla samej przyjemności.

- Naturalnie że nie. - Uniósł brwi. - Żeby coś takiego zrobić, trzeba mieć naprawdę poważny powód.

- To racja. - Kristina uśmiechnęła się łobuzersko.

Zaintrygowało go to.

- Z kim się zakładałaś?

- Och, no wiesz. - Wykonała nieokreślony gest dłonią, podkreślający jeszcze mglistość odpowiedzi. - Z przyjaciółmi.

To stawało się coraz ciekawsze.

- Hmm - mruknął Spencer. - Z przyjaciółmi. Mała dziewczynka w lasach...

- Nad jeziorem - poprawiła go.

- Nad jeziorem - zgodził się. - Siedzi na brzegu, rozbija lód, wkłada bosą stopę do wody. To brzmi tak... - Nie potrafił znaleźć właściwych słów. Przypomniał sobie własne dzieciństwo i wchodzenie na lód pokrywający staw niedaleko jego domu. Nawet jeśli od tygodni panował solidny mróz, Spencer zawsze się denerwował, ponieważ dla niego lód to była woda, a słyszał tylko o jednym człowieku, który potrafił chodzić po wodzie, i wiedział bez cienia wątpliwości, że sam nim nie jest. - Tak... zaskakująco - zakończył. - Kto cię pilnował?

- Dorośli nie są w stanie pilnować cię bez przerwy, sam wiesz - odrzekła ze wzrokiem utkwionym w swoich butach, a Spencer musiał przyznać jej rację. Dorośli niezwykle rzadko go pilnowali.

- Dlaczego to robiłaś? - zapytał. - Dlaczego wkładałaś stopę do lodowatej wody?

- Bo się bałam.

- I miałaś powody.
- Robiłam to - wyjaśniła - żeby pokazać, że się nie boję.
- Pokazać komu?
- Sobie - odpowiedziała, trochę zbyt pośpiesznie. - Sobie... i przyjaciołom.

Spencer widział, że Kristina drży. Chciał oddać jej swoją ciepłą kurtkę, ale nie przypuszczał, by ją wzięła. Nie wyglądała na taką dziewczynę.

- Hej - odezwał się pod wpływem nagłego impulsu. - Masz ochotę na filiżankę kawy?

Potrząsnęła odmownie głową i wyminęła go. Ruszył za nią.

- No, zgódź się. Filiżanka kawy. Rozgrzejesz się.

- Rozgrzeję się? - powtórzyła. - Dziś pewnie jest ze dwadzieścia stopni mrozu. Kiedy potem wyjdę, znowu będzie mi zimno. Naprawdę bym chciała, ale mam milion spraw do załatwienia.

- Co też masz do roboty akurat dzisiaj? Przecież jest niedziela. Nawet Bóg odpoczywał w niedzielę.

- Tak, ale czy Bóg trenował koszykówkę? Czy miał kolokwium z Arystotelesa w poniedziałek? Dzięki, może jednak kiedy indziej.

Spojrzała na niego. Wyraz jej czarnych oczu był niezgłębiony, a równocześnie malował się w nich ból. Spencer naprawdę chciał z nią dłużej porozmawiać.

- Zgódź się. - O'Malley był zdecydowany nalegać. Od jakiegoś już czasu nie zapraszał nikogo na kawę. - To nie będzie trwało długo, obiecuję.

Kristina westchnęła i uśmiechnęła się lekko.

- No, chodź.

Przekrzywiła głowę na bok.

- Stawiasz czy się napraszasz?

- I to, i to - odrzekł, nie chcąc pokazać, jak bardzo się cieszy.

- Dobra, w takim razie chodźmy do EBA. Mają tam portugalskie bułeczki, za które warto umrzeć.

- Wiem - odrzekł z dumą. - Pożeram je tuzinami.

Skręcili w lewo na Albert Street i ruszyli do Everything but Anchovies, gdzie usiedli koło szaf chłodniczych z coca-colą.

Spencer zdjął rękawiczki, kurtkę i czapkę. Zobaczył, że Kristina mu się przygląda.

- A co z włosami? - zapytała.

Przesunął dłonią po swoim jeżu. Ostrzygł się niemal do gołej skóry.

- Och, no wiesz.

- Nie wiem. Jesteś wojskowym?

Podobała mu się nowa fryzura. Brak włosów sprawił, że jego mocno osadzone niebieskie oczy nabrały wyrazistości.

- Czasami człowiek coś takiego po prostu robi.

Nie chciał jej opowiadać, że jedna z koleżanek w pracy zachorowała na raka i kiedy zaczęła tracić włosy po chemoterapii, on i reszta kolegów ogolili głowy, żeby dodać jej otuchy. Ironia losu polegała na tym, że chora przychodziła do pracy w peruce, liczył się jednak spontaniczny akt męskiej solidarności. Spencer, wyglądający na najłagodniejszego z ludzi dzięki miękkim irlandzkim rysom, od których odstawały tylko okrągłe jak u Kupidyna usta, z krótkimi włosami sprawiał wrażenie twardziela.

Dotykając podbródka, pożałował, że się nie ogolił. Kristinie jednak najwyraźniej to nie przeszkadzało.

Zamówiła bułeczkę i czekoladę na gorąco. Spencer nie znosił gorącej czekolady, lecz wziął to samo.

- Spencer Patrick O'Malley - odezwała się dziewczyna. - Studiujesz w Dartmouth, jak wszyscy w tym mieście?

- Nie, pracuję w policji.

- Na komendzie w Hanover?

- Tak.

- Naprawdę? - ożywiła się Kristina. - Fiu! - Nachyliła się nad stolikiem. - A co tam robisz?

- Jestem detektywem w stopniu sierżanta. - Awans dostał zaledwie kilka tygodni temu, lecz nie zamierzał jej tego mówić.

- Ojej, detektyw. A sporo... wyśledziłeś?

Już chciał powiedzieć: Wyśledziłem ciebie, i to kącikiem oka, zamiast tego jednak wyjaśnił:

- Sporo. Śledzę samochody zaparkowane w niedozwolonych miejscach oraz źle ustawione liczniki. Śledzę pijanych kierowców w sobotnie noce.

Patrzyła na niego niepewnie, z wyrazem zainteresowania i ciekawości w ciepłych, łagodnych piwnych oczach.

- A ty grasz w koszykówkę? - zapytał.

- Tak.

- Czasami chodzę na mecze męskiej koszykówki.

- Błąd - odrzekła Kristina. - Jesteśmy o wiele lepsze. W zeszłym roku zdobyliśmy mistrzostwo.

Spojrzał na jej dłonie, długie i szczupłe, o wypielęgnowanych czerwonych paznokciach. Spencer wolał krótkie i bez lakieru, u tej dziewczyny jednak długie paznokcie wyglądały dobrze.

Wskazując na nie zapytał:

- Trudno z tym kozłować?

Ze śmiechem zerknęła na swoje palce.

- To kwestia przyzwyczajenia. Wiesz, drużyna przeciwna potrzebuje wszelkich forów, jakie tylko są możliwe.

- Hmm - mruknął Spencer z namysłem. - Studentki niezwykle rzadko noszą takie długie paznokcie, zwłaszcza jeśli grają w koszykówkę.

Kristina wzruszyła ramionami.

- Mnie się podobają.

- Jesteś dobra?

- Bardzo dobra - oświadczyła. - W pierwszej drużynie All-Ivy trzy lata z rzędu.

- Aha. - Zrobiła na nim wrażenie, lecz nie chciał tego okazać. - A co to właściwie jest All-Ivy?

- Nie wiesz? I co z ciebie za detektyw! - Przez kilka sekund patrzyła na niego z udawaną wyższością. Spencer o mało nie wybuchnął śmiechem. - Dla twojej informacji gracze All-Ivy wybierani są przez trenerów z dziewięciu szkół wyższych należących do Ivy League. Na każdą pozycję na boisku jest ktoś z All-Ivy. Liga wybiera pięciu graczy do pierwszej drużyny, pięciu do drugiej i pięciu honorowych. Ja jestem rozgrywającą. W drużynie Big Green poza mną nie ma zawodniczki pierwszoligowej All-Ivy... - urwała nagle, oblewając się rumieńcem.

Nachylił się nad filiżanką i zapytał:

- Kristino, czy próbujesz mi zaimponować?

- Nie, jasne że nie - odrzekła szybko, zaczerwieniona i zakłopotana.

- Ale mi zaimponowałaś - powiedział, a ona odprężyła się i uśmiechnęła.

- Jesteś dobrym detektywem?

Spencer już miał zamiar żartobliwym głosem wygłosić listę swych kwalifikacji i spraw

zakończonych sukcesem, zrezygnował jednak. Skinął tylko głową i powiedział:

- Mówi się, że niektórzy detektywi są świetni w czasie przesłuchania, a inni doskonale się sprawdzają na miejscu zbrodni. Żeby być naprawdę dobrym, trzeba być dobrym w obu tych sprawach.

- A pan w czym jest dobry, detektywie O'Malley?

Pytanie to wydało mu się dwuznaczne. Uniósł brwi.

- Musi tobą kierować imperatyw kategoryczny - dodała Kristina.

Spojrzał na nią oszołomiony.

- Kategoryczny co?

- No wiesz... - Wzruszyła ramionami, odgryzając wielki kawał bułeczki. Dopiero kiedy dokładnie go przeżuła i połknęła, mówiła dalej: - Imperatyw kategoryczny oznacza działanie, które obiektywnie jest niezbędne samo w sobie, bez odniesienia do innych celów.

O'Malley szeroko otworzył oczy.

- A, jasne. Mam sporo takich imperatywów.

Kristina ugryzła następny kawałek.

- Nie, tylko jeden - zaprzeczyła. - Masz tylko jeden. Tak mówi Kant. W „Metafizyce moralności”. Oznacza to...

- Mniej więcej wiem, co to oznacza - przerwał jej Spencer. - Przypuszczam, że nie pracowałbym jako policjant, gdybym nie czuł do tej pracy pociągu, i to bez odniesienia do jakichkolwiek innych celów - powtórzył kpiąco jej słowa.

- Robisz to dobrze.

- Najlepiej, jak potrafię.

- Więc w czym jesteś dobry?

Postanowił potraktować ją poważnie.

- Jestem jak pies myśliwski. Lubię myśleć, że mam intuicję... chociaż mój partner Will pewnie by się nie zgodził. Mówi, że jestem psem, któremu zepsuł się węch od peperoni.

- Chyba myślisz o moim psie - odrzekła Kristina. - Mam wrażenie, że umiesz słuchać.

- Umieję słuchać - zgodził się Spencer. - Jestem także niezłym obserwatorem. Przyglądam się ludziom i zwykle więcej się o nich dowiaduję ze sposobu, w jaki siedzą i patrzą na mnie, niż z tego, co mi mówią.

- A czego się dowiedziałeś, obserwując mnie? - zapytała z uśmiechem.

- Że się mnie nie boisz. Patrzysz mi prosto w oczy - odpowiedział, uśmiechając się również.

- Uważasz więc, że się nie boję, detektywie?

- Tak uważam - wyznał z powagą. - Patrzysz na mnie i się nie boisz.

- Nic by mi nie przyszło ze strachu - odparła Kristina, odwracając wzrok. O'Malley to zauważył.

Nachylając się bliżej i zniżając głos, zapytał:

- A czego ty się boisz?

- Jak, w ogóle? Czy najbardziej?

Chwilę zastanawiał się nad jej pytaniem.

- Najbardziej - zdecydował wreszcie.

- Śmierci. Nie, nie śmierci. Umierania.

Spencer skinął głową.

- A ty? Czego najbardziej boi się gliniarz? - zapytała Kristina.

- Nie wiem nic o gliniarzach, mnie jednak najbardziej przeraża to, że musiałbym żyć z wyrzutami sumienia. Lubię spać nocami.

- A czy już ci dokuczało sumienie?

- Na razie nie.

Kristina popijała czekoladę małymi łyčzkami.

- W takiej pracy jak twoja nie możesz sobie pozwolić na błędy. Na złe ocenianie ludzi.

- Masz rację - zgodził się Spencer. Dokąd ona zmierza? - Rzadko się mylę w ocenie ludzi.

Spojrzała na niego chytrze.

- A czy twoim zdaniem mylisz się co do mnie?

Zmusił się do uśmiechu.

- Nie. Jesteś odważna i inteligentna. - Chciał dodać, że także bardzo piękna, lecz oczywiście nie mówi się takich rzeczy dziewczynie z Dartmouth przy kawie. Poza tym tego akurat nie trzeba jej mówić.

- Czy jesteś elastyczny, detektywie?

- Jestem sztywny jak deska. To jedna z moich wad.

- Nie wyglądasz na człowieka, który ma wiele wad.

- Starasz się być uprzejma. Mam mnóstwo złych nawyków.

- Tak? A jakich? I kto ich nie ma?

- Ty na przykład.
- Ja? - Roześmiała się głośno. - Mam więcej złych nawyków, niż ty zjadłeś obiadów.
- Wymień jeden.

Chwilę się zastanawiała.

- Obsesyjnie sprzątam - wyznała.
- Naprawdę? A ja jestem obsesyjnie bałaganiarski.
- Naprawdę lubię wygrywać w kosza.
- Naprawdę lubię zamykać prowadzone śledztwa.
- Nigdy nie ubieram się dość ciepło, kiedy wychodzę z domu, i zawsze się przeziębiam. -

Jakby na potwierdzenie tych słów Kristina kichnęła.

- Czyżby? A ja zawsze wkładam za wiele rzeczy i spływam potem.
- Ciągłe robię rzeczy, które komplikują mi życie.
- Ciągłe robię rzeczy, które mają na celu jak najbardziej uprościć mi życie.

Chwilę milczała.

- Czasami piję.

On też nie odpowiedział od razu.

- Ha! Żebym pił tylko czasami.

Uśmiechnęli się do siebie.

- Masz dwadzieścia jeden lat, Kristino?
- Kończę jutro - przyznała się, niezwykle ożywiona. - Wreszcie.
- Rozumiem. Nie mówiłaś mi nic o picciu, dobra?
- O picciu? Miałam na myśli kawę.
- Doskonale. Nie wracajmy do tego. - Umilkł na chwilę, a potem spytał: - Więc cieszysz się, że jutro kończysz dwadzieścia jeden lat? Ze zwykłych powodów?

Kiwnęła głową.

- I jeszcze innych - dodała, unosząc brwi. Nie wyjaśniła jednak, o co jej chodzi, a Spencer nie nalegał.

Pili czekoladę i pogryzali portugalskie bułeczki, podobne do angielskich, lecz większe i słodsze.

- Czy prowadziłeś interesujące sprawy, detektywie O'Malley? Muszę napisać artykuł o karze śmierci do „Review” i chciałabym wspomnieć też o przestępcach.

- Ha, w dzisiejszych czasach to prawdziwie rewolucyjny czyn - zauważył Spencer. Kristina coraz bardziej mu się podobała.

- Możesz mi powiedzieć coś o kryminalistach?

- Na przykład co?

- Dlaczego jedni ludzie zabijają innych?

Zastanawiał się nad jej pytaniem. Umiała zbić go z tropu. Była za ładna.

- Władza - odrzekł wreszcie. - Władza i zastraszenie. O to im chodzi.

- Władza i zastraszenie, tak? Seryjni zabójcy, mężowie używający przemocy, gwałciciele - we wszystkich tych przypadkach jest tak samo?

- Tak, we wszystkich.

- To naprawdę dobre wyjaśnienie. - Kristina się uśmiechnęła. - Trafia mi do przekonania.

- Dość już o karze śmierci. Opowiedz mi o sobie.

- Co mianowicie?

- Cokolwiek. Na którym roku jesteś?

- Na ostatnim.

- W czym się specjalizujesz?

- Filozofia i religia.

- Interesujące. Co więc filozofia mówi nam o powodach, dla których ludzie zabijają innych ludzi?

- A skąd mam wiedzieć? Nie zagłębam się w takie szczegóły. Nietzsche twierdzi, że nie powinniśmy przejmować się złem ani karać dewiantów.

- Dlaczego?

- Ponieważ kryminalista jedynie realizuje swoją wolną wolę, którą obdarzyło go społeczeństwo i za którą teraz chce go ukarać, czyli chce go ukarać za to, co uczyniło z niego istotę ludzką, a nie zwierzę.

- Ten Nietzsche z pewnością nie mieszkał w Nowym Jorku - oświadczył Spencer. Kristina wybuchnęła śmiechem. - Wiesz, chyba nie mogę się z tym zgodzić - ciągnął. - Wolna wola nie pochodzi od społeczeństwa, lecz od Boga. Społeczeństwo próbuje tylko wziąć w cugle nadmiar wolnej woli u tych swoich członków, którzy sami tego nie potrafią.

- Przypuszczalnie masz rację - zgodziła się dziewczyna. - Tylko że Nietzsche nie wierzył w Boga.

- Za to ja - odparł cicho Spencer - nie wierzę w Nietzschego. Przyglądała mu się z rozbawieniem.

- O co chodzi? - zapytał.

- O nic - odrzekła od razu. - Skąd pochodzisz, Spencerze?

- Urodziłem się i wychowałem na Long Island.

- Tak? Moja najlepsza przyjaciółka jest z Cold Spring Harbor.

- Cold Spring Harbor? O tej miejscowości czytałem tylko w książkach. Zwykłych śmiertelników jak ja tam nie wpuszczają.

- Nie bądź niemądry. Więc skąd jesteś?

- Z Farmingville.

- Nigdy nie słyszałam takiej nazwy.

- Nikt nie słyszał. Ja w każdym razie stamtąd jestem.

- A co cię tu przywiodło?

- Sam nie wiem. Zmęczyło mnie ściganie piratów drogowych na Long Island Expressway, więc wsiadłem w samochód i pojechałem na północ.

- I zatrzymałeś się w Hanover?

- I zatrzymałem się w Hanover. Lubię budynek rektoratu Dartmouth. Pierwszą noc tutaj spędziłem w strasznie drogiej Hanover Inn i słyszałem, jak zegar na wieży wygrywa melodie. Wtedy to była wolna wersja „Seasons in the Sun”.

Kristina parsknęła śmiechem.

- Zostałeś w Hanover, bo zegar na wieży grał tę piosenkę?

- Zostałem, żeby wam, snobistycznym chłopakom i dziewczętom z Dartmouth, wlepić mandaty za złe parkowanie.

Powiedział to poważnym tonem, choć w rzeczywistości żartował. Kristina znowu się roześmiała. Podobało mu się, że od razu wiedziała, kiedy on żartuje.

- Teraz mieszkam na stałe w Hanover i czuję się, jakbym studiował w Dartmouth bez wydawania dwudziestu pięciu tysięcy rocznie na czesne.

- I nie zdobywam żadnego wykształcenia.

- Strzał w dziesiątkę. - Potrząsnął głową. - Doskonale. Sądziś, że nie zdobywam żadnego wykształcenia, obserwując was wszystkich?

- A zdobywasz?

- Zdobywam.

- Czyli lubisz swoją pracę?

- I to bardzo. - Spencer kiwnął głową

- A czego w niej nie lubisz?

- Najgorszą rzeczą jest to, że kiedy pojawia się jakaś wielka sprawa, od razu przysyłają ci ekipę z Concord... - Dostrzegł jej pytający wzrok i wyjaśnił: - Zastępców prokuratora okręgowego z własnymi śledczymi, a czasami też policjantów z Haverhill. To naprawdę mnie wkurza. Jakbym sam nie umiał wykonać własnej pracy. Mówię im, że mogę wypisywać mandaty wraz z najlepszymi z tamtych, niech tylko dadzą mi szansę.

I znowu ją rozbawił.

- A jaka była twoja najpoważniejsza sprawa?

- Student medycyny z Etiopii, który zarabiał siekierą swoją dziewczynę i jej współlokatorkę. Kristina szeroko otworzyła oczy.

- Och, to musiało być straszne.

- Tak. Byłem pierwszym policjantem na miejscu zbrodni. Wykrzywiła twarz ze wstrętem.

- Ty znalazłeś ciała?

- Tak.

- Ojej. Czy to było okropne?

- Tak okropne, jak tylko możesz sobie wyobrazić.

- Nawet nie umiem sobie tego wyobrazić. - Zniżyła głos. - Nigdy nie widziałam martwego człowieka.

- Nigdy? Naprawdę? - Nie mieściło mu się to w głowie. On sam uczestniczył w pogrzebach krewnych, odkąd skończył dwa lata.

- Nigdy. - Kristina odchrząknęła. - Moja babka umarła kilka miesięcy temu, ale nie pojechałam na pogrzeb.

- Dlaczego nie? Wzruszyła ramionami.

- Bo mnie nie zawiadomiono.

- Nie zawiadomiono cię o pogrzebie babki? - Tym razem to on szeroko otworzył oczy. - A cóż ty masz za rodzinę?

- Niezbyt ze sobą związaną - przyznała i zaraz zmieniła temat. - W sprawie tego Etiopczyka też twoim zdaniem chodziło o władzę i zastraszenie?

- Wyłącznie - odrzekł Spencer. - Dziewczyna nie chciała za niego wyjść, więc dał jej do zrozumienia, co o tym myśli.

- Rozumiem. Co się z nim stało?

- Odsiaduje dożywocie.

- Aha, to sprawiedliwa kara.

- Sprawiedliwa? Sam nie wiem. Z zimną krwią zabił dwie osoby. Może sam też powinien był umrzeć.

- Tak sądzisz?

- W przypadku morderstwa z premedytacją? Tak.

Skończyli już czekoladę i bułeczki, lecz Spencer wcale nie miał ochoty wstawać i wychodzić.

Kristina zapytała go, czy jest szefem.

- Chciałbym, ale nie, mam przełożonego. Nazywa się Ken Gallagher.

- Irlandczyk jak ty?

Skinął głową.

Dziewczyna nad czymś się zastanawiała.

- Nie wiedziałam, że policjanci zarabiają tak dużo, że stać ich na mieszkanie w Hanover.

- To przez was w mieście są takie wysokie ceny. Domy z trzema sypialniami zaczynają się od dwustu sześćdziesięciu tysięcy dolarów. Czynnosc za mieszkanie z dwoma sypialniami wynosi dziewięćset.

- Z tego wynika, że sporo zarabiasz.

- Nie, rzuciłem palenie.

- Żeby ci wystarczyło na mieszkanie w Hanover?

- Właśnie.

- Ale nie zrezygnowałeś z zapraszania dziewczyn na kawę - zauważyła wesoło.

- Zrezygnowałem... tylko że dziś złamałem swoje zasady.

- Rozumiem.

- Skąd się wzięło twoje nazwisko? - zapytał Spencer.

- Jest niecodzienne, prawda? - Najwyraźniej nie chciała o tym rozmawiać, więc nie drażył tematu.

- Często odwiedzasz rodzinę? - zapytała Kristina.

- Nie, a ty?

- Też nie.

- Twoi rodzice muszą być dumni, że jesteś w Dartmouth. Ja poszedłem na stanowy uniwersytet, ale po roku wstąpiłem do policji.

- Tęsknisz za domem?

Spencer kiwnął głową.

- Brakuje mi moich braci i sióstr.

- Tak? A ile masz rodzeństwa?

- Więcej, niż ty zjadłaś obiadów - powtórzył jej wyrażenie. - Ośmioro. Pięciu braci i trzy siostry.

- Mój Boże, w życiu nie spotkałam nikogo, kto miałby tyle rodzeństwa. Tylko o tym czytałam.

- Tak, mamy wielką rodzinę.

- Jesteście katolikami czy co?

- Nie, protestantami - odparł ze śmiechem Spencer. - Jasne, że katolikami. Czego się spodziewałaś po takim nazwisku jak O'Malley?

Kristina oparła się o krzesło.

- Chryste, jak twoja mama sobie radziła?

- Nie mam pojęcia, ale wydaje mi się, że po piątym była wykończona. Mną właściwie opiekowały się siostry.

- Ale dziewięcioro dzieci...

- Jedenaścioro - poprawił ją detektyw. - Byli jeszcze bliźniacy, którzy umarli w niemowlęctwie na zapalenie płuc.

- Och, nie.

- Tak.

Przez chwilę panowało milczenie.

- Twoja mama musiała wymyślić tyle imion - odezwała się Kristina z namysłem. - Ja miałam trudności z jednym.

Spencer uważnie jej się przyjrzał, nim zapytał:

- A miałaś... powód, żeby się nad tym zastanawiać?

- Nie - zaprzeczyła pośpiesznie - to były tylko takie rozmowy. Przychodził mi na myśl Oskar. Albo Orlando.

- To nie są roboty, Kristino, tylko dzieci. Oskar? Orlando?
- Więc rozumiesz, o co mi chodzi?
- Nie przejmuj się - pocieszył ją. - Jak się urodziłem, mama zapomniała, że ma już jednego syna Patricka, więc tak mnie ochrzciła.

Wybuchnęła śmiechem.

- Ja nie uważałem tego za śmieszne. W końcu któreś z dzieci jej o tym powiedziało, ale nie był to mój brat Patrick. No i nazwała mnie Spencerem. I tak jestem Spencer Patrick O'Malley.

- Po tym aktorze?
- Tak, mama przepadała za Spencerem Tracym... Ja wolałbym Patricka.
- Spencer mi się podoba. - Kristina oblizwała koniuszki palców.

Przekrzywił głowę i cicho odpowiedział:

- Dzięki.
- Co twoja mama robi teraz?
- Jest babcią. Ośmioro z jej dzieci zawarło związki małżeńskie.
- Mają mnóstwo pociech?
- Można tak powiedzieć. Dwadzieścioro jeden. Wiesz, idźcie i rozmnażajcie się.
- Wszchemocny Boże, faktycznie wzięliście sobie ten nakaz do serca. A ty... jesteś jednym z tych żonatych?

Dlaczego właściwie tak pokierował rozmową? Skoro jednak dotarli do tego punktu, nie zamierzał traktować niegrzecznie tej pięknej, ciekawej dziewczyny o świeżej twarzy i oczach jak czarne stawy.

- Byłem jednym z żonatych - odparł wolno i cicho.
- Aha. - Na jej twarzy pojawił się wyraz zrozumienia. - Nie udało się, tak?
- Można tak to ująć. Zginęła w wypadku samochodowym.
- Och, tak mi przykro. - Kristina uniosła dłoń do ust.
- Nie ma sprawy. - Machnął ręką. - Na początku było trudno, ale teraz uczę się z tym żyć.

Minęło kilka lat.

- Ile?
- Pięć.
- I dlatego wyjechałeś z Long Island?
- Poniekąd.

Zapadło milczenie. Kelnerka przyniosła już rachunek, oni jednak dalej siedzieli. Kristina nie zbierała się do odejścia.

- Jak miała na imię twoja żona? - zapytała.

- Andrea. Andie.

- Bardzo ładne imię. Była ładna?

Po chwili namysłu Spencer wyjął portfel z tylnej kieszeni dzinsów.

- Czy nie powinniście nosić broni? - zapytała Kristina, próbując zajrzeć mu za plecy.

- Nie, jeśli nie jesteśmy na służbie - wyjaśnił i podał jej zdjęcie Andie. - Proszę.

Przez chwilę wpatrywała się w zdjęcie.

- Wygląda tak młodo - powiedziała. - Chyba... jest do mnie trochę podobna.

- Naprawdę? Nie zauważyłem. - Czy to był tylko zbieg okoliczności, że jego Andie przypomina tę dziewczynę? Tak. To był przypadek.

Podczas gdy O'Malley płacił, Samantha, właścicielka EBA, podeszła do Kristiny, poklepała ją po ramieniu i pochwaliła:

- Wspaniale grałaś w zeszłym tygodniu, Krissyface. Ile punktów?

- Czterdzieści siedem - odrzekła dziewczyna.

- To właściwie niesprawiedliwe, prawda? Te biedactwa z Cornell nigdy nie wygrywają.

Podnosząc się z miejsca Kristina wesoło oznajmiła:

- I nigdy nie wygrają, dopóki ja żyję.

- Co za dziewczyna! - wykrzyknęła Samantha.

W drodze do wyjścia Spencer szepnął Kristinie do ucha:

- Muszę przyjść i zobaczyć cię w akcji.

- Bardzo proszę. Gramy... - urwała, zaraz jednak dokończyła: - w tydzień po Święcie Dziękczynienia. W piątek i sobotę. Przyjdź wtedy. - Wyciągnęła do niego rękę i dodała: - Cieszę się, że cię poznałam, Spencerze. Dzięki za bułeczki.

Łagodnie uściskał jej dłoń.

- Nie ma za co, Kristino.

Spojrzała na zegar na budynku Stinsona. Trzecia czterdzieści pięć. Pokiwała głową i powiedziała na koniec:

- Jeśli chcesz wiedzieć, dla ciebie zawałam trening.

- Hmm... A warto było?

Uśmiechnęła się i machając mu na pożegnanie, odeszła szybkim krokiem.

Kiedy zniknęła za rogiem, Spencer odczekał minutę, a później ruszył za nią, pragnąc jeszcze raz z daleka ją zobaczyć.

Serce waliło Kristinie tak mocno, że miała ochotę skakać w rytm jego uderzeń, kiedy biegła przez Main Street. Zawaliła trening, bo siedziała naprzeciw niebieskookiego, krótkowłosego policjanta o okrągłych ustach, który patrzył na nią tak, jak nikt od dawna na nią nie patrzył. Spencer Patrick O'Malley.

- Spencer Patrick O'Malley - szepnęła, biegnąc w kierunku Tuck Mall z plecakiem w ręku.

Kiedy dotarła do akademika Hinmana, zastała swój pokój otwarty i pusty. Nie było ani Arystotelesa, ani Jima. Kristina rzuciła plecak na podłogę i złapała szczotkę do włosów. Dłonie jednak miała zdrętwiałe z zimna, palce nie chciały jej słuchać. Z przykrością myślała, że tak fatalnie zaprezentowała się przed Spencerem. Liczy się pierwsze wrażenie. Co prawda był nieogolony, ale poza tym tak przystojny, że to akurat nie miało znaczenia.

Usiadła na łóżku. Czowała mrowienie w dłoniach, wsunęła je więc między nogi, żeby się rozgrzać. Wiedziała, że nie musi długo czekać.

Rozległo się pukanie i do pokoju zajrzał Albert.

- Jesteś już - powiedział i otworzył szeroko drzwi, wpuszczając psa. Arystoteles wskoczył na łóżko, a potem na Kristinę. Poglądziła go, nie odrywając wzroku od Alberta.

- Wyprowadziłem go na spacer.

- Dzięki. Gdzie jest Conni?

- Nie można dzisiaj się z nią dogadać. Nie mów mi tylko, że piecze tort?

- Nie powiem - odrzekła Kristina z roztargnieniem. Wciąż myślała o Spencerze.

Albert stał w progu. Chciała go poprosić, żeby wszedł i zamknął drzwi, lecz w każdej chwili mógł pojawić się Jim.

- Jedziesz z Conni na święta do Cold Spring Harbor? - zapytała Kristina.

- Tak jak w zeszłym roku. Chcesz wybrać się z nami? A może jedziesz z Jimem?

- Och, jasne...

Zrobił krok w jej kierunku.

- Więc jedź z nami.

Kristina pokręciła głową, ciągle mu się przypatrując. Kiedy Albert był młodszy, chciał uprawiać gimnastykę, zbyt szybko jednak wyrósł i zrobił się za wysoki i kościsty. Teraz uprawiał

zen. Długie ciemne włosy wiązał w kucyk, w lewym uchu nosił małe złote kółko.

- Posłuchaj - zaczęła Kristina - muszę ci coś powiedzieć...

- Jak poszło? - przerwał jej Albert.

Przez moment nie rozumiała, o co mu chodzi.

- Z Howardem - dodał niecierpliwie. - Jak poszło z Howardem?

- Dobrze... Wszystko załatwione.

- I co?

- I nic. - Rozcierała dłonie, by krew zaczęła szybciej krążyć. Albert podszedł jeszcze bliżej.

- Nie robił trudności?

- Nie, zachował się przyzwoicie. Zapytał tylko, czy to mój pomysł.

Albert roześmiał się głośno i Kristina po raz pierwszy pomyślała, że jego śmiech brzmi sztucznie.

- Powiedziałas mu prawdę?

- Prawdę? - powtórzyła. - Czyli co dokładnie?

- Prawda to potwierdzenie faktu albo okoliczności - wyjaśnił.

- Ach, naturalnie. Cóż, powiedziałam mu, że to był mój pomysł. Czy to potwierdzenie faktu?

- Wystarczające, Rocky. - Albert zrobił kolejny krok w kierunku łóżka. - Wystarczające.

Kristina bardzo lubiła, gdy nazywał ją tym starym przezwiskiem, mimo to ruchem ręki dała mu znać, by zbytnio się nie zbliżał. Nie chciała go powstrzymywać, ale był środek dnia.

- Posłuchaj - odezwał się - mam pomysł na Święto Dziękczynienia.

Co sądzisz o...

Urwał, bo w progu stanął Jim Shaw.

- Jimbo! - zawołała cicho Kristina. - Cześć. Gotowy?

Albert powitał go skinieniem głowy. Jim odpowiedział mu tym, samym.

- Gotowy - odrzekł, nie ruszając się z miejsca.

Kristina, cała spięta, pogładziła Arystotelesa, a potem przerwała niezręczne milczenie:

- Jak przygotowania do twoich urodzin, Albercie?

- Dobrze. Będzie gorzej, gdy skosztuję tego, co upiekła Conni.

- Nazywasz to pieczeniem? - rzuciła Kristina, usiłując jakoś rozładować ciężką atmosferę.

- Przynajmniej Conni coś dla ciebie robi - wtrącił Jim głosem nabrzmiałym wrogością i znowu zapadła cisza.

- No, jestem pewny, że będzie to smaczne - odrzekł tamten uszczypliwym tonem.

Kristina spojrzała zaskoczona, bo Albert nigdy nie był uszczypliwy.

- Krissy, chodźmy już - powiedział Jim.

- Jasne, Krissy - zakpił Albert. - Biegnij.

Wstała z łóżka, wzięła z podłogi książki i podeszła do chłopców. Z trudem nad sobą panowała.

- Nie zapomnij płaszcz - odezwał się Albert. - Na dworze jest mróz.

- A gdzie masz płaszcz? - zapytał Jim, kołyszając plecakiem.

Kristina rozejrzała się po pokoju, w którym panował kompletny bałagan. Mimo że zawsze powtarzała, iż porządek w pokoju jest symptomem choroby umysłu (bo jakże ona, studiująca dzieła największych myślicieli świata, mogłaby kłopotać się tak przyziemnymi sprawami jak sprzątanie?), na dnie serca nienawidziła bałaganu i dokładała starań, by w swoim pokoju spędzać jak najmniej czasu. Dawno, dawno temu była najschludniejszą dziewczyną na świecie, lecz już przed przyjazdem do Dartmouth przekonała się, że bałagan ułatwia ukrywanie wielu spraw przed Howardem. Kiedy wszystko było na swoim miejscu, od razu trafiał na to, co nie trzeba.

Co jakiś czas Kristina obsesyjnie sprzątała, po czym natychmiast rozrzucała wszystko po pokoju.

Żałowała, że dzisiaj nie zrobiła porządku, ponieważ nie mogła znaleźć płaszcz.

- Ciekawe, gdzie on się podział?

- No wiesz, jeśli chcesz znaleźć płaszcz, to najlepiej od razu po przyjściu wieszać go w szafie.

- Dzięki za radę, Jim. Gdzie on może być?

- Nie miałś go na sobie dzisiaj - przypomniał jej Jim. Albert milczał.

- Zazwyczaj nie noszę płaszcz, kiedy gram w kosza - rzuciła szorstko Kristina. Nie miała zamiaru warczeć, ale właśnie sobie przypomniała, gdzie jest jej płaszcz.

Nie było go w Czerwonych Liściach, bo nie spędziła tam ostatniej nocy. Zostawiła go w Fahrenbrae.

Nie miała innego płaszcz; ten kupiła jej matka na piętnaste urodziny. W sześć lat później czerwony kaszmir wypłowiał, a tu i ówdzie znaczyły go plamy. Płaszcz jednak dalej należał do jej ulubionych rzeczy, tak jak kocięta i gorący strudel z jabłkami.

Nie spojrzała na Alberta, kiedy go mijała.

- Chodźmy - zwróciła się do Jima.

- Kristina, włóż coś...

- Idziemy, Jim - przerwała mu podniesionym głosem.

Zobaczyła, że spojrzał szeroko otwartymi oczyma na Alberta, który w odpowiedzi wzruszył ramionami i złożył ręce w modlitewnym geście zen. Jim poszedł za nią.

- Powinnaś jednak czasami zamykać pokój na klucz - zauważył. - Tak mówi regulamin akademika, wiesz o tym.

- Tak, i co wtedy stanie się z psem? - zapytała.

Zeszli po trzech kondygnacjach schodów do bocznych drzwi, położonych najbliżej lasu i stromego wzgórza. Obok biegła długa ścieżka z niskimi drewnianymi stopniami, która skręcała ku Tuck Drive w dole, a stamtąd do rzeki Connecticut. Od drewnianych schodów do wejścia służbowego do Biblioteki Feldberga prowadził długi betonowy most z kamienną, niespełna metrową balustradą, który wisiał nad stromym, porośniętym drzewami zboczem i znajdującym się dwadzieścia metrów niżej podjazdem.

- Hej - Jim wskazał most - jeszcze po nim nie przeszłaś.

Kristina spojrzała na most, a potem na swego towarzysza.

- Nie byłam dostatecznie pijana. Nie było dość zimno.

- A tak, zapomniałem. Nie chodzisz po nim, póki nie ma mrozu. W przeciwnym wypadku nie stanowi to wyzwania, racja?

- Racja - potwierdziła, myśląc: On chce mnie sprowokować. Dlaczego?

- Wiesz, na jutro zapowiadają zamiecie - ciągnął Jim.

- No to może jutro się przejdę - oznajmiła spokojnie.

Jim nic nie powiedział. Szybkim krokiem poszli do biblioteki.

Uczyli się w sali 1902. Myśli Kristiny błędziły daleko od filozofii Arystotelesa, wspominała bowiem ubiegłe święta Dziękczynienia. Wkrótce będzie środa i przyjaciele wyjadą. Czy stołówki w ogóle są czynne podczas przerwy? Nie umiała sobie przypomnieć, jak to było w poprzednich latach. Pamiętała tylko, że jadła mnóstwo zup w Lou's Diner i portugalskich bułeczek w EBA. Oraz tony pomarańczy w swoim pokoju.

Jim czytał, od czasu do czasu zadając Kristinie pytanie dotyczące przerabianego materiału, ona jednak miała już dość. Pragnęła powiedzieć: Chodźmy stąd. Zmywajmy się, wracajmy, żeby zjeść dzieło Conni i zaśpiewać Albertowi „Sto lat”.

Pogładziła Jima po ręce. Był taki okres, kiedy bardzo mnie lubił, pomyślała, a może tylko to

sobie wyobrażałam? Jesteś taki inteligentny, zwiedziłeś cały świat, masz przed sobą świetlaną przyszłość, ale co się stało z nami? Fatalnie nam wyszło.

Podniosła się z miejsca.

- Jim, wracajmy.

- Jeszcze nie skończyłem, Krissy.

- Wiem, ale Conni upiekła tort. A ja muszę wyprowadzić psa na spacer.

- Albert go wyprowadzi - uspokajał ją Jim.

Zamknęła książki i zebrała je ze stołu z ciemnego wiśniowego drewna.

- Ja idę. Chodź ze mną, proszę.

Jim znowu utkwiał wzrok w książce.

- Nie - oświadczył. - Zostanę, póki nie skończę.

Arystoteles napisał, że pobożność wymaga, byśmy przedkładali prawdę nad przyjaciół. Kristina potrząsnęła głową. „Etyka nikomachejska” zawsze była dla niej najtrudniejsza, tak jak „Metafizyka moralności” Kanta. Przez większość życia walczyła z własnym imperatywem kategorycznym i z ludźmi, którzy nie zawsze robili na niej wrażenie. Spencer robił.

Ludzie są dobrzy pod jednym względem, lecz źli pod wieloma innymi, napisał Arystoteles. Nadal zastanawiała się nad tym zdaniem. Dla niej zło oznaczało brak lub tłumienie własnego sumienia.

Delikatnie położyła dłoń na szyi Jima i pocałowała go w czubek głowy.

- Przepraszam, Jimbo. - Przepraszała za niezliczone sprawy. - Nie mam ochoty na naukę. Przyjdź szybko, dobrze? Mamy jeść tort.

- Tak - mruknął, nie podnosząc na nią wzroku.

Zebraли się wokół wysokiego tortu, który Conni zrobiła dla Alberta. Całość nierówną warstwą pokrywał kawowy lukier, połyskiwały na nim siekane orzechy i kawałki czekolady. Zdobiły go dwadzieścia dwie świece.

Conni, mimo że wystrojona stosownie do okazji, nie była w urodzinowym nastroju. Umalowane na różowo usta miała ściągnięte, niebieski cień do powiek nie zdołał ukryć twardych linii wokół oczu.

Cała piątka wpatrywała się w tort, jakby to było zarżnięte jagnię. Tylko Arystoteles patrzył tak, jakby miał przed sobą ostatni kęs jedzenia na świecie.

Na przyjęcie przyszedł Frankie Absalom. Zwykle trudno było wywabić go z Epsilon House,

dla Alberta jednak, starego współlokatora, zrobiłby niemal wszystko.

W drugim semestrze pierwszego roku Albert wyprowadził się od Jima i przeniósł do Frankiego. Obaj, Albert i Jim, doszli wówczas do wniosku, że nie powinni dalej ze sobą mieszkać. Obecnie Albert zajmował jedynekę niedaleko pokoju Kristiny, a Frankie był członkiem bractwa Epsilon.

Kristina zerknęła na Conni, która zmusiła się do wesołego uśmiechu i zaintonowała „Happy Birthday”. Dołączyli do niej wszyscy, także Albert, śpiewający najgłośniej.

- Albert! - wykrzyknęła Conni. - Pomyśl życzenie i zdmuchnij świece. Tylko niech to życzenie będzie naprawdę dobre - dodała aluzyjnie, wsuwając dłoń w tylną kieszeń jego spodni. Kristinie przeszło przez głowę, że koleżanka strasznie się stara, by zachowywać się normalnie. Co właściwie ją dręczy?

Albert spojrzał na Conni stojącą po jego lewej ręce, na Kristinę po prawej i na Jima naprzeciwko, po czym rzekł:

- Naprawdę dobre życzenie, tak? Niech będzie.

Zamknął oczy i zdmuchnął wszystkie świece. Conni i Kristina nagrodziły go oklaskami, Frankie wzniósł okrzyk i zaczął śpiewać „For He’s a Jolly Good Fellow”, a Jim bez przekonania skomentował:

- Nieźle.

Arystoteles szczerknął dwukrotnie.

Conni krzątała się, rozkładając tort na talerze i wręczając gościom plastikowe widelczyki. Kristina stała bez ruchu. Nie miała ochoty tu być. Doskonały nastrój, w który wprawiły ją spotkania najpierw z Howardem, a

później ze Spencerem, ustąpił depresyjnym myślom. Kilka dni wcześniej Conni powiedziała jej, że oboje z Albertem zastanawiają się nad zaręczynami. „Och, to świetnie - odrzekła wtedy Kristina. - Urządzicie przyjęcie? Zaręczycie się, bo chcecie się pobrać? Chryste, to super”.

A dzisiaj Jim był po prostu okropny. Nigdy nie grzeszył nadmierną wylewnością, ostatnio jednak zachowywał się coraz dziwniej. Teraz nawet nie chce stać obok mnie, pomyślała ze smutkiem. Ale z nas para. Może to my powinniśmy zaręczyć się i pobrać!

Frankie z ożywieniem opowiadał Jimowi jakieś bzdury, lecz zawsze mówił w sposób, który stanowił odzwierciedlenie jego ekscentrycznych strojów: koszul z zakładkami i spodni w paski, jaskrawych kombinezonów kierowców, dżinsów tak obszernych, że musiały je podtrzymywać

tęczowe szelki. Conni podała kawałek tortu Kristinie; zjadła, pokiwała głową i mruknięciem wyraziła zachwyt. Ciasto było suche i okropne. Kristina obserwowała Alberta: włożył kawałek do ust, wolno przeżuł i powiedział: „Och, nie jest takie złe, wcale nie”. A Conni, promieniejąc zadowoleniem, nie odrywała od niego oczu. Roześmiała się radośnie.

Wysoki, piskliwy głos przyjaciółki zawsze zgrzytał Kristinie w uszach, za to lubiła jej zaraźliwy śmiech. Conni przykładła wagę do tego, by ubierać się seksownie. Nosiła czarne staniki i figi, obcisłe topy i przyciasne dżinsy, czasami wkładała pończochy i pas. Kristina miała wrażenie, że Conni tak się stroi, ponieważ ona sama nigdy tego nie robiła. Wśród sportowców strojenie się nie należało do dobrego tonu - w jej stylu były drelichowe spodnie, szorty ze spandexu, legginsy i uniwersyteckie bluzy. A także dżinsy. Koszykarki nie nosiły topów.

Kristina i Conni były najlepszymi przyjaciółkami, dopóki Kristina nie zaczęła grać w kosza. Tak przynajmniej odpowiadała Kristina, gdy ją pytano, co się stało z ich przyjaźnią. Lecz to było kłamstwo. To nie koszykówka wpłynęła na ich przyjaźń.

Dlaczego Conni tak głośno się śmieje? - myślała Kristina, siedząc jak w transie. Ona się nie śmiała, Jim także miał kamienną twarz. Albert przekomarzał się z Frankiem, flirtował z Conni, a kiedy uznał, że ta nie widzi, przesunął swój tort w kierunku Kristiny, która natychmiast odepchnęła go z powrotem. Uniosła wzrok i zobaczyła, że Conni to wszystko widziała. Śmiech zniknął z jej niebieskich oczu. Kristina zignorowała talerzyk, nawet na niego nie patrząc.

Wszyscy się zrzucili, by kupić Albertowi zegarek Pierre'a Cardina, ponieważ nigdy i nigdzie nie zjawiał się punktualnie. Ściśle rzecz biorąc, zrzucili się Conni i Jim - tylko oni mieli pieniądze.

Kristina pragnęła, żeby Jim przestał patrzeć na nią z taką nieszczęśliwą miną. Jakie on ma prawo czuć się nieszczęśliwy? Na studia poświęcał tyle czasu, co ona na treningi, pracuje w „Review” z takim samym zaangażowaniem, jak ona w Czerwonych Liściach. To on nigdy nie chce zostać na noc, bo musi być w łóżku o jedenastej.

Starając się omijać go wzrokiem, usiadła przy stoliku, starym uniwersyteckim meblu z blatem z formiki i stalowymi nogami. Jim wpędzał ją w zły nastrój, choć sama nie wiedziała dlaczego. Nakarmiła Arystotelesa resztką swojego tortu oraz tym, co zostało na talerzyku Alberta. Później wszyscy wstali, gdyż inni studenci też chcieli skorzystać z kuchni. Przyjęcie dobiegło końca.

Półokrągła sala telewizyjna z maleńką kuchnią sprawiała wrażenie półwyspu przyczepionego do Auli Hinmana. W kuchence, ironicznie zwanej Kafeką Hinmana, nie było nawet lodówki.

Znajdowały się w niej maszyna do lodu, w której studenci przechowywali napoje, elektryczny piecyk, kuchenka mikrofalowa i zlew z brudnymi naczyniami. Meble były tak stare, że zapewne pochodziły z czasów samego Johna Holmesa Hinmana, rocznik 1902.

Kristina i Jim siedzieli w niskich pluszowych fotelach, a Conni i Albert na wytartej brązowej sofie i oglądali program na trzydziestodwucalowym mitsubishi. W innych świetlicach znajdowały się dodatkowe monitory, lecz nie tutaj. Kristina z rozczuleniem wspominała akademik przy Mass Row, gdzie mieszkała na pierwszym roku. Mieli tam sale do nauki, oddzielne kuchnie i salę telewizyjną z pięćdziesięciocalowym odbiornikiem marki Sony.

Conni trzymała Alberta za rękę. Zawsze za coś go trzyma, pomyślała złośliwie Kristina, zaraz jednak się zawstydziła. W końcu Conni jest dziewczyną Alberta. Właśnie tak powinna się zachowywać.

Frankie wrócił już do Epsilon House, a Arystoteles leżał na podłodze. Czworo przyjaciół w milczeniu oglądało telewizję, aczkolwiek Kristina pamiętała czasy, kiedy tyle gadali, że inni prosili, by wyszli. Zwykle też szli w końcu do któregoś pokoju, grali w karty na podłodze i dyskutowali o polityce, filozofii, Bogu i śmierci. Albo omawiali filmy, których wcale nie widzieli, lecz wyrażali o nich zasadnicze opinie. Zresztą większość dyskusji dotyczyła zasad.

Tylko Jim, który jako jeden z głównych przedmiotów wybrał historię, wymagał faktów. Albert tłumaczył, że studentów religii i filozofii fakty nie interesują, Jim jednak tego nie rozumiał. Kristina powątpiewała, czy specjalizująca się w socjologii koleżanka dokładnie widzi różnicę pomiędzy faktem a teorią. W początkach ich wspólnego mieszkania Conni spojrzała kiedyś niewinnie na Kristinę i zapytała:

- Krissy, co to jest socjalizm?

Rok wcześniej we czworo dyskutowali o konwencjach partyjnych, później o debatach prezydenckich i wreszcie o ponurych rewelacjach na temat przyszłego prezydenta zamieszczanych w magazynie „Penthouse”.

Po wyborach drugi rok spędzili na rozmowach o opiece zdrowotnej i homoseksualistach w wojsku, aczkolwiek kwestie te ich nie dotyczyły: Conni i Jim mieli ubezpieczenie rodziców, a Kristina i Albert nigdy nie chodzili do lekarza. I o ile Kristina się orientowała, żaden z chłopców nie zamierzał też wstąpić do wojska, nawet Frankie, który miał wyrobiony pogląd na homoseksualistów w armii, jak również na żołnierzy, skoro już o tym mowa.

Byli studentami college’u. Wszystko stanowiło pożywkę dla dyskusji, także i metody

zbierania plonów w stanie Iowa, gdzie żadne z nich nigdy nie postawiło nogi. Lecz wszystko oznaczało cokolwiek. Jim wygłaszał zdecydowane opinie, Albert grał rolę adwokata diabła, Kristina była umiarkowana w swoich poglądach, a Conni miała zdanie w kilku tylko kwestiach.

Kiedyś Conni znaczyła dużo dla Jima. Gdy się przekonał, że zależy jej na jego współlokatorze, Albercie Maplethorpie, to także dużo znaczyło. Jim jakoś się z tą sprawą uporał i wyglądało na to, że wybaczył Albertowi. Zaczął spotykać się z Kristiną i cała czwórka bardzo się do siebie zbliżyła. Tak bardzo, że na pierwszym roku, późno w nocy, po wypiciu wielu piw, grali w prawdę lub wyznania. Nie robili niczego skandalicznego, lecz rozmowy przypominały prześwietlenia rentgenowskie.

Dalej się nie posunęli, ponieważ Kristinie zależało, by pozostali dobrymi przyjaciółmi. To im się udało. Byłoby straszną szkodą, gdyby łącząca ich zażyłość została zerwana przez związek Alberta i Conni, z założenia przecież nieistotny.

Tylko że Kristina doskonale się orientowała, że Constance Tobias wcale tak nie myśli. Dla niej Albert znaczył wszystko. Na początku tego roku koleżanka z grupy zapytała ją:

- Albert dalej jest twoim chłopakiem?

A Conni odpowiedziała:

- Teraz i na zawsze.

Obejrzawszy wiadomości o jedenastej, podnieśli się z miejsc. Kristina się przeciągnęła, a Conni uniosła twarz ku Albertowi, który zaraz ją pocałował. Kristina przymknęła oczy.

- No to dobranoc - powiedziała Conni, ujmując Alberta za rękę i opierając się o niego biustem. - Jutro zaczynam za kwadrans ósma.

- Kristino, wyprowadzisz psa? - zapytał Albert, patrząc wprost na nią. Pograżona w myślach, nie od razu odpowiedziała.

- Jasne, pewnie że tak. - Zmusiła się do uśmiechu.

- Nie chcesz, żebym ja z nim poszedł? - Albert nie ustępował. - Nie mam nic przeciw temu. Wiem, że boisz się wychodzić wieczorami.

Jim zrobił kilka kroków do przodu.

- Kristina da sobie radę, dzięki.

Zerknęła na niego zdziwiona.

- Dam sobie radę, dzięki - powtórzyła.

- Dadzą sobie radę, Albercie. - Conni pociągnęła go za rękę. - Chodźmy już.

Po wyjściu Alberta i Conni Jim odezwał się zrzędliwie:

- Mam go wyprowadzić? Muszę iść po płaszcz.

Kristina potrząsnęła głową.

- Nie przejmuj się, Jimbo. Sama to zrobię.

- Ty też nie masz płaszcza. A gdzie go właściwie zostawiłaś?

- Nie wiem - odpowiedziała, zastanawiając się, kiedy będzie mogła pojechać do Fahrenbrae.

Następnego dnia miała zajęcia, trening, a o drugiej dyżur w Czerwonych Liściach. No cóż, jest cały długi weekend na odzyskanie płaszcza. To mnóstwo czasu.

Powinna była się zgodzić, żeby Albert albo Jim wyprowadzili psa; w gruncie rzeczy wcale nie miała ochoty na spacer. Było późno i czuła się zmęczona. Arystoteles uwielbiał mroczne ponure lasy za budynkami Hinmana i Feldberga, Kristina wręcz przeciwnie.

- No to jak, mam z nim iść czy nie? - zapytał Jim.

- Nie, ja pójdę... - przerwała. Była zmęczona i wyczerpana. - Chcesz u mnie zostać?

- Zostać? - powtórzył Jim.

- Tak - odrzekła, próbując się uśmiechnąć.

- Krissy, jutro zaczynam za piętnaście ósma.

- Wiem, ja też.

- Jestem wykończony. Może jutro?

Spojrzała na niego zrezygnowana.

- Jasne, Jimbo. Może jutro.

Musiał usłyszeć jakąś nutkę w jej głosie, bo dodał:

- Jutro są twoje urodziny, prawda? Tak, na pewno jutro.

Jakoś udało jej się uśmiechnąć.

- Dobrze. - Pocałowała go. - Nie jesteś na mnie zły ani nic w tym rodzaju, prawda, Jimbo?

- Nie, a dlaczego pytasz? Są jakieś powody? - zapytał Jim. Usta miał sztywne z napięcia.

- Nie - odrzekła, nie patrząc na niego. - W takim razie dobranoc.

Szybko wyprowadziła psa w mroźną noc. Wyrwał się w stronę drewnianych stopni wiodących do lasu.

- Nie, Arystoteles - oznajmiła stanowczo. - Nie idziemy tam. Powinieneś o tym wiedzieć.

Posłuchał niechętnie. Jakiś czas węszył dookoła, później Kristina zabrała go na swój most. Był źle oświetlony, mimo to poszła na drugi koniec, dała się nawet zaciągnąć kilka kroków w

ciemność, aby pies się załatwił. Serce waliło jej młotem, gdy czekała na Arystotelesa, nasłuchując przytłumionych leśnych odgłosów. Jakiś trzask w pobliżu sprawił, że szarpnęła za smycz.

- Arystoteles, do nogi! - zawołała i biegiem ruszyła z powrotem.

W pokoju zgasiła główną lampę i popatrzyła przez okno na dziedziniec Biblioteki Feldberga.

Dochodziła północ.

Zdejmując nowiutkie czarne buty, przypomniała sobie Spencera O'Malleya.

Przystojny młody detektyw patrzył na mnie tak, jakbym była filiżanką najlepszej gorącej czekolady, jaką w życiu pił. Miły mężczyzna z zimnymi dłońmi, któremu oczy wyskakiwały z orbit na mój widok. Ale po co mi teraz czyjeś wyskakujące z orbit oczy? Zdawało mi się, że moim celem jest uporządkowanie własnego życia. W którym roku przyjąłem takie sylwestrowe postanowienie? *Co* roku. Próbuję tego dokonać, odkąd skończyłam jedenaście lat. Co roku jest to pierwsza pozycja z dziesięciu na liście przypiętej do korkowej tablicy niebieską pinezką. Dobra. To jest także mój cel na rok 1994, tym razem jednak potraktuję sprawę poważnie.

Kristina zdjęła dzinsy i włożyła czyste czarne figi. Ściągnęła uniwersytecką bluzę i stanik i przebrała się w różową koszulę, w której spała. Kiedy była młodsza, dumą napawały ją gładkie linie własnego ciała i czyste kolory. Była podobna do matki. Jako nastolatka zawsze nosiła krótką fryzurę, a do szkoły z polecenia mamy chodziła wyłącznie w sukienkach. Kiedyś była młodą damą, lecz w Dartmouth zaczęła grać w koszykówkę, gdzie najbardziej liczyły się szybkość i energia. W Dartmouth Kristina nie miała ani jednej sukienki.

Wyszła na korytarz do łazienki, żeby wyszczotkować zęby i umyć twarz.

Po powrocie zastała u siebie Alberta, który w ciemności siedział na łóżku. Zamknąwszy drzwi na klucz, usiadła obok chłopaka, ogarnięta ulgą z powodu jego obecności. Pogładził palcami jej wciąż wilgotny policzek. W rewanżu Kristina odsunęła mu włosy z twarzy. Rozwiązał kucyk i włosy zwisały mu luźno do ramion.

- Nie mogę długo zostać - odezwał się. - I tak ledwo udało mi się wyjść. Powiedziałem jej, że muszę przynieść kondomy. Ona na to, że ma kilka. Więc oznajmiłem, że tym razem mam ochotę na kolorowe. Czerwone, białe i niebieskie. Z czerwoną poświęcą racy...

- Cóż za patriotyzm. - Kristina uśmiechnęła się i przysunęła bliżej do niego. Pogładził ją po drugim policzku i czole. Patrzyła mu w twarz, ich oczy były blisko siebie. Delikatnie wsunęła mu palce we włosy. - Rozumiem - dodała cicho. Stykali się ramionami.

- Chciałem z tobą o czymś porozmawiać.
- Dobrze - odrzekła z czułością. - A o czym?

Była taka szczęśliwa, że przyszedł. Wcześniej myślała, że to musi się skończyć. Wiedziała, że to musi się skończyć. Kiedy jednak była z nim, wcale nie chciała, by cokolwiek się kończyło.

- Wyjedźmy gdzieś - zaproponował Albert.
- Kiedy?
- Teraz. Na Święto Dziękczynienia.

Przez chwilę patrzyła w okno.

- Dokąd? - zapytała wreszcie.

- Do Kanady! - rzucił cicho. - Wynajmiemy samochód i pojedziemy za rzekę, na drugim brzegu skręcimy w prawo i ruszymy przed siebie. Znajdziemy jakiś fajny domek, a w drodze powrotnej możemy zatrzymać się w Montrealu. Co ty na to? - Albert spojrzał jej w oczy. Widząc wyraz jej twarzy, zapytał z dziwną nutką w głosie: - A co? Znowu nie mamy pieniędzy?

- Nie, mamy... - urwała. - Mamy trochę. Dostałam od Howarda na urodziny.
- A trochę to ile dokładnie?

Chwilkę zastanawiała się gorączkowo.

- Dziesięć tysięcy dolarów.

Albert uważnie jej się przyglądał, Kristina zaś dokładała starań, by zachować obojętny wyraz twarzy.

- Wystarczy na podróż do Kanady - odezwał się w końcu. - A może te pieniądze są tylko dla ciebie?

- Nie bądź taki. Są dla nas - odrzekła, gładząc go po ramieniu.
- Nieprawda. Dla ciebie.
- Dla nas - powtórzyła z naciskiem.
- Dla ciebie. - Znowu w jego głosie pojawiła się ta dziwna nutka. Prawą dłonią dotknął jej policzka. - Rocky, chcesz jechać? - zapytał łagodnie.
- Błagam - szepnęła. - Nie możemy. W sobotę gram.

Albert prychnął.

- Uniwersytet Pensylwanii. Sam bym ich pokonał i to z zamkniętymi oczami. Wasz trzeci zespół jest lepszy od ich pierwszego, z tobą czy bez ciebie.

- Nie mogę urwać się z meczu!

Wzruszył ramionami.

- Jakbyś tego wcześniej nie robiła. Wielka mi sprawa! Trenerka po-wrzeszczy na ciebie przez dwie minuty, ty błysniesz na treningu przez tydzień i wszystko będzie znowu w porządku.

- No, ostatnim razem, kiedy urwałam się z meczu, zagroziła mi, że następnym razem posadzi mnie na miesiąc na ławce rezerwowych.

- Kristino - zaczął Albert z uśmiechem - trenerka dobrze wie, że sama najgorzej na tym wyjdzie. Bez ciebie może tylko przegrywać i to wysoko. - Przytulił ją mocno. - Jesteś za dobra.

Oddała mu uścisk.

- No, Rocky - nalegał Albert. - Powiedz coś.

Objęła go mocniej i pokręciła głową.

- Proponujesz co, żebyśmy zniknęli na kilka dni? A potem co? Wiesz dobrze, że musimy wrócić. Wrócić tutaj i dalej żyć. Nie ma od tego ucieczki.

- A kto chce uciec? Mówię tylko, żebyśmy pojechali...

- Gdybyśmy mogli pojechać na Alaskę - ciągnęła Kristina - powiedziałabyś, żebyśmy tam jechali. Gdybyśmy mieli więcej pieniędzy, powiedziałabyś, żebyśmy nigdy tu nie wracali, tylko podróżowali dookoła świata, żebyśmy uwolnili się od tego życia, od Dartmouth, od Howarda...

- Od Howarda już się uwolniliśmy - przerwał jej ostro.

- ...od Connecticut, od Luke'a i Laury, Jima i Conni - ciągnęła Kristina. - Porzuciłbyś nawet Arystotelesa, gdyby znaczyło to, że...

- Że co?

- Że nikt nas nie rozpozna. Porzuciłbyś wszystko, prawda?

Albert położył dłoń na jej piersiach, by poczuć bicie serca.

- A ty nie?

- Nie wszystko, na pewno nie. - Zabrakło jej powietrza. - Choć Bóg wie, że chcę...

- Chcesz? - zapytał z naciskiem. - Naprawdę chcesz?

- Być wolna? Bardziej niż czegokolwiek innego - odparła z pasją. On jednak źle zrozumiał jej słowa.

- Więc jedźmy! - szepnął. - Kristino, Edynburg! Pamiętasz Edynburg?

Wspomnienie Edynburga sprawiło, że palce jej na moment zeszywniały, a serce ścisnęło się kurczowo.

- Jasne, że pamiętam. Ale co potem? Będę musiała tu wrócić i stanąć twarzą w twarz z Jimem.

A co z Conni? Pamiętasz, co się stało wtedy? Teraz byłoby podobnie, tylko o wiele gorzej.

- Coś wykombinuję. - Uśmiechnął się z czułością. - Jestem w tym dobry.
- Nie - rzuciła. Rozmawiali przyciszonymi głosami, lecz jej „nie” zabrzmiało o oktawę wyżej.
- Żaden problem - perswadował Albert. - Zrobię wszystko, żeby wyrwać się stąd na kilka dni.
- Skąd ten pośpiech? Dopiero co byliśmy w Fahrenbrae.

Machnął niecierpliwie ręką.

- Fahrenbrae jest za blisko. Możemy pojechać do Kanady na kilka długich dni. Będziemy zjeżdżać na sankach. Pamiętasz, jak lubiłaś kiedyś sanki?

- Jasne - potwierdziła Kristina. Jej opór słabł. - Boże, po prostu nie możemy.
- Przestań, Rock - powiedział łagodnie Albert, wciąż ją przytulając. - Przestań się ze mną kłócić.

- To tylko święta.

Niełatwo było odwieść go od raz powziętego zamiaru, mimo to cofnął rękę.

- To nie jest dobre - oświadczyła Kristina z żalnym uśmiechem.
- Zgadzam się. A według ciebie co powinniśmy zrobić? Przerwać?
- Tak - odrzekła natychmiast i ponuro się roześmiała.

- Och, Kristino. Kristino! Ile razy w roku twoim zdaniem powinniśmy prowadzić takie rozmowy?

- Aż przestaniemy.

- A niech to! Jakoś sobie nie przypominam, żebyś mówiła coś takiego tamtego ranka w Fahrenbrae.

- Wzgórza były zbyt piękne - powiedziała cicho, głosem nabrzmiałym uczuciem. - Ty byłeś zbyt piękny.

- A teraz nie jestem piękny? - Nachylił się ku niej.

- Zbyt piękny. - Odwróciła wzrok.

Zapadło milczenie. Kristina wyobraziła sobie wyjazd do Kanady z Albertem.

- Albercie, wiem, że się ze mną zgodzisz. Musimy z tym skończyć. Musimy odzyskać zdrowy rozsądek. Ty chodzisz z Conni, ja z Jimem... - zamilkła na chwilę, po czym dodała: - Albo nie. Wszystko jedno. Nasze drogi muszą się rozejść.

- Próbowaliśmy już i nic z tego nie wyszło. Nie wiem, jak odzyskać zdrowy rozsądek... A ty? Nie wydaje mi się... Oboje jesteśmy szaleni.

- Tak, szaleni - szepnęła suchymi ustami.

- Szaleni! - wykrzyknął Albert i jednym ruchem pociągnął ją za sobą na łóżko. - Rocky, dlaczego mi to robisz? Dlaczego robisz mi to przez cały czas? - zapytał, gorączkowo całując jej rozchyłone usta i ściskając dłonie tak mocno, że czuła ból.

Zamknęła oczy i przyciągnęła jego głowę ku swojej twarzy; jego wargi napierały na jej usta gwałtownie, namiętnie. Jęknęła w jego ramionach. Położył ją na łóżku.

- Kristino - szepnął - co my zrobimy?

Jej jedyną odpowiedzią był stłumiony, chrapliwy jęk. Albert zsunął z jej piersi różową koszulę, a potem na powrót pchnął Kristinę na łóżko.

- Trochę bardziej zwariujemy, a potem uciekniemy na zawsze - szepnęła.

- Uciekniemy? - powtórzył, ocierając się o nią, sprawiając jej ból, zmuszając, by pojękiwała z cierpienia i pożądania. - Uciekniemy? O czym ty mówisz? Nie mamy dokąd uciec.

- Słodkie piekło - szepnęła cicho. - Prawie jak niebo. - Jego dłoń mocno zakryła jej usta. - Nie chcę być przeklęta - szepnęła przez jego palce. Miała ochotę się rozplakać.

Pochylił się nad jej piersiami i lekko zacisnął zęby na sutku. Gładziła Alberta po ramionach, głowie, włosach, twarzy.

- Kristino, Kristino - perswadował cicho. - Nie jesteśmy przeklęci. Jesteśmy zakochani.

- Nie - jęknęła, podczas gdy jego dłonie wędrowały ku jej udom. - Jesteśmy przeklęci. - Wygięła się w łuk, by łatwiej mógł zdjąć jej figi.

- Rocky, kochanie. Rocky, Kristino, Rocky... - Albert uniósł się znowu i pocałował ją w usta.

- Och, Albert. Proszę... błagam... przerwijmy.

Na moment się odsunął i spojrzał na nią.

- Jak mogę przerwać? - zapytał szeptem. - Jak mogę, skoro przy tobie staję się tak cholernie słaby, nie widzę jasno...

Kiedy zdjął dzinsy, a ona wyciągnęła ku niemu rękę, był gotowy. Jęczała cicho, wtulona w szyję Alberta, a on oddychał głośno. Objął ją mocno i wszedł w nią.

Pukanie do drzwi sprawiło, że znieruchomieli.

- Kristina?

To była Conni.

Kristina wstrzymała oddech i zakryła dłonią usta Alberta, którego ciężkie dyszenie było jedynym odgłosem w pokoju. Pukanie się powtórzyło.

- Kristino, szukam Alberta. Wiesz, gdzie on jest?

Kristina objęła go mocno, a potem wypuściła powietrze z płuc.

- To ty, Conni? Nie widziałam go. Słuchaj, jest naprawdę późno. Gałka w drzwiach się poruszyła.

- Czy możesz otworzyć? - zawołała zniecierpliwiona koleżanka.

- Conni, jestem wykończona, ledwo patrzę na oczy - odrzekła Kristina głośno, by zagłuszyć jęk Alberta. - Już zasypiałam. Pogadamy rano, dobra?

- Możesz na sekundę otworzyć drzwi? Muszę z tobą porozmawiać.

- Jutro, Conni, okay? Tamta zaczęła walić do drzwi.

- Nie, nie okay, Kristino. To nie jest w porządku. Otwórz drzwi!

- Proszę, zostaw mnie w spokoju, dobrze? Miałam ciężki dzień. Pogadamy rano.

Conni dalej waliła w drzwi, lecz Albert i Kristina przestali słuchać. Albert odwrócił ją na brzuch. Ukryła twarz w poduszce, by zagłuszyć jęki. Czowała dłoń Alberta na głowie, a na plecach jego twarde ciało.

Krzyki i walenie do drzwi nie ustawały.

W końcu Kristina usłyszała, jak ktoś na korytarzu krzyczy do Conni, żeby się, do cholery, zamknęła albo wezwą ochronę. Na Conni nie zrobiło to jednak wrażenia. Kilka minut później ktoś pod drzwiami polecił, by odeszła. Odmówiła. Ochroniarz zapukał i poprosił Kristinę o otwarcie drzwi.

Albert pieścił ją, oboje leżeli wyczerpani miłosnymi zmaganiem. Dmuchał na jej spoconą twarz, by trochę ochłonęła.

Kristina odpowiedziała ochroniarzowi, że nie czuje się dobrze, próbuje zasnąć i nie jest ubrana. Jakoś udało mu się w końcu zabrać Conni spod drzwi.

- Boże wielki, Albercie, nie możemy tak żyć - szepnęła Kristina, gdy na korytarzu zapanował spokój.

- Masz rację. Jedźmy do Kanady.

- Co, na zawsze?

- Tak, jedźmy do Kanady na zawsze.

Odepchnęła go lekko.

- Człowieku, w tej chwili powiesz absolutnie wszystko, tak?

- Wszystko. - Uśmiechnął się lekko.

Leżał na boku, oparty na łokciu. Znowu dmuchnął jej w twarz, a później ją pocałował.

Kristina myślała o Conni. Co właściwie Albert jej powie?

- Kanada, tak? - odezwała się z wahaniem. - A dlaczego Kanada? Jest tak daleko.
- Im dalej, tym lepiej. Nie mów mi tylko, że nie chcesz jechać.
- Tego nie powiedziałam - odparła ostrożnie, z namysłem.
- Jedźmy - nalegał Albert. - Mamy pieniądze, tak przynajmniej mówiłaś. Nic nas nie zatrzymuje.

Kristina miała ochotę zapytać go o zaręczyny z Conni: „Jak zamierzasz w tym samym czasie zabrać mnie do Kanady i zaręczyć się z nią?”. Albert trącił ją lekko.

- Zgoda?
- A kiedy wydamy pieniądze, to co?
- Nic. Zdobędziemy jakieś.
- Skąd niby?

Odsunął się i zapatrzył w sufit.

- Howard i ja jesteśmy teraz rozwiedzeni - ciągnęła Kristina. - Babcia umarła.
- Muszą jeszcze gdzieś być pieniądze - rzekł Albert.
- O czym ty mówisz? - zapytała, czując lekki dreszcz. - Powtarzam ci, że już nic nie ma.
- No to co? Znajdziemy pracę. Zarobimy na życie.
- Będziesz szukał pracy, Albercie? - zapytała kpiąco.
- Jasne, a czemu nie? - Podłożył ręce pod głowę. - Wszystkiego raz w życiu zamierzam spróbować.

Teraz Kristina podparła się na łokciu i utkwiała wzrok w jego twarzy. Chciała opowiedzieć mu o pieniądzech, czekała jednak na właściwy moment. Może kiedy Albert ożeni się już z Conni. Rozbawił ją ten mały żart.

- Z czego się śmiejesz? - zapytał Albert.
- Z niczego - odrzekła szybko. To nie była odpowiednia pora.
- Rocky, jeśli ja zerwę z Conni, czy ty zerwiesz z Jimem?

Och, tylko znowu nie to. Chciała powiedzieć: „Zerwiesz z Conni? A kiedy, przed czy po zaręczynach?”. Zachowała to jednak dla siebie.

- Albercie, proszę. Proszę.

Zgrzytnął zębami.

- Po prostu nie rozumiem tego twojego Jima.

- A co, bo jest miłym facetem. Bo dobrze mnie traktuje? - zapytała obronnym tonem.

- Bo uprawianie seksu z tobą jest sprzeczne z jego religią - odparł nieprzyjemnie Albert. - Co za para.

- Cóż, nie miałam pojęcia, że nie będzie chciał się kochać, kiedy zaczynałam z nim chodzić, prawda?

- Nie, Rocky, nie chodzi o brak ochoty jako takiej. On nie chce się kochać z tobą.

- Ale tobie tak jest łatwiej, czyż nie?

- Tak. Na początku nie mogłem znieść myśli, że on cię dotyka... -przerwał, a potem dodał: - Że ktokolwiek cię dotyka.

- A jak według ciebie ja się czuję, kiedy sobie przypomnę o tobie i Connie?

Zamilkli oboje. Kristina myślała o Święcie Dziękczynienia. Pragnęła być z Albertem. Nie chciała zostać sama. Nie chodziło o spędzenie świąt z Jimem, Conni, Howardem czy w pojedynkę, lecz o to, żeby być z nim, daleko - w Kanadzie.

- Nie musimy nigdzie wyjeżdżać - odezwał się Albert. - Mamy dziesięć tysięcy dolców. Możemy je zaoszczędzić.

- Możemy - powtórzyła ostrożnie.

- Tak. Nigdy nie mamy szmalu. - Odsunął się jeszcze bardziej. - Ja ciągle jestem spłukany.

- A na co ci pieniądze? - zapytała Kristina. - Przecież Conni zawsze za wszystko płaci.

- Nie tylko Conni, droga Rocky - odrzekł Albert, patrząc na nią w mroku. - Nie tylko ona.

A później zasnęli nadzy na wąskim łóżku w jej pokoju.

ROZDZIAŁ DRUGI

PONIEDZIAŁEK

Kristina pośpiesznie przygotowywała się do zajęć ze współczesnej myśli chrześcijańskiej, które zaczynały się za piętnaście ósma. Aby zaoszczędzić na czasie, włożyła ubranie z niedzieli. Albert siedział na łóżku obok wyciągniętego na grzbiecie Arystotelesa.

- Zrzuć go - poleciła. - Jego sierść będzie na wszystkim.

Albert nawet się nie poruszył.

- Jego sierść od dawna jest na wszystkim.

- Albert! - Kristina podniosła głos. - Arystoteles, złaź!

Pies zeskoczył, kuląc ogon. Wiedział, że nie powinien leżeć na łóżku. Kristina usiadła obok Alberta, rozcierając nogę.

- Co powiesz Conni?

Nie był w najlepszym nastroju. Oczy mu się zapadły, jak zawsze po źle przespanej nocy. Błada cera i wielkie czarne oczy nadawały mu lekko trupi wygląd.

- Nie przejmuj się, coś wymyślę.

- Jestem tego pewna - odrzekła Kristina poważnie. - Powiedz jej, że zasnąłeś w swoim pokoju.

- Rocky, nigdy nie uda ci się wymyślić przekonującego kłamstwa. Zasnąłem i nie słyszałem, jak robi awanturę? Świetne, nie ma co.

Kristina spojrzała w okno na poranną szarość. Wyglądało na to, że znowu jest zimno. Czowała się źle na wspomnienie Conni walącej w drzwi i obawiającej się najgorszego: zdrady i oszustwa.

- Powiem jej - odezwał się Albert - że nie wyprowadziłaś Arystotelesa, więc ja to zrobiłem. Poszedłem z nim za las do Frankiego i byłem tak skonany, że u niego zasnąłem.

- A jeśli dzwoniła do Frankiego?

- On nigdy nie odbiera telefonu po północy.

- A jeśli tam poszła?

- Nie poszła. Nigdy by tam sama nie poszła.

- Nie zawiadomisz Frankiego o swoim planie?

- To akurat nie problem.

- A, rozumiem. Frankie jest twoim wygodnym alibi, tak?

- Żadnym alibi, tylko przyjacielem. - Albert wstał i zmierzył ją ponurym spojrzeniem. - Co w ciebie wstąpiło?

Potrząsnęła głową. Czuła się z minuty na minutę gorzej.

- Nic, tylko...

Co się stało z postanowieniem rozpoczęcia wszystkiego od nowa? Zmiany życia? Czy nie tak sobie wczoraj mówiła?

- Conni mi uwierz, przekonasz się. - Albert wziął smycz i wsunął Arystotelesowi obrozę na kark. - Pamiętaj, że ona pragnie mi wierzyć.

Dlaczego chciałaby znać prawdę? Co by z nią zrobiła? To najważniejsza kwestia, o której nie można zapominać. Wszystko, co muszę zrobić, to pozwolić jej wierzyć w to, w co pragnie wierzyć. To takie proste.

Podnosząc się z łóżka, Kristina zapytała z przygnębieniem:

- Naprawdę takie proste? Przecież to najgłupsza wymówka.

Wzruszył ramionami.

- Więc wymyśl lepszą.

Kristina zebrała ze stołu książki.

- Nie możemy tego robić, Albercie. Ja nie mogę.

Podszedł do niej blisko.

- Teraz tak mówisz... - zawiesił znacząco głos, wolną dłonią gładząc ją po plecach.

- Ja tak myślę. - Odepchnęła go od siebie. - Po prostu dłużej tak nie mogę. Zaczynam samej siebie nienawidzić i... - nie dokończyła.

- I co?

- Nic.

- I zaczynasz nienawidzić mnie?

- Tego nie powiedziałam.

- Nie musiałaś. - Czarne oczy Alberta płonęły. Cofnęła się, nieprzyzwyczajona do rzadkich u niego wybuchów gniewu.

- Muszę lecieć - oznajmiła.

Znowu wzruszył ramionami.

- Gdzie jest twój płaszcz?

- W Fahrenbrae.

- Aha. Weź moją kurtkę.

- A ty?

- Mam dwie. - Otworzył drzwi i ostrożnie wyrzwał na korytarz. - Droga wolna - szepnął, po czym szybkim krokiem ruszył do swojego pokoju. Kristina szła za nim.

- Nie mogę wziąć twojej kurtki. Zobaczą mnie w niej Jim albo Conni i co im wtedy powiem?

- Wymyślisz coś sprytnego.

- Tak? „Och, zostawiłam płaszcz tam, gdzie spędziliśmy z Albertem upojną noc, a potem pożyczył mi kurtkę”.

- Nie, coś sprytniejszego.

Kristina głęboko westchnęła.

- Do zobaczenia, Albercie.

Chwilę jej się przyglądał.

- Do zobaczenia wieczorem - powiedział, podając jej brązową skórzaną kurtkę. Kristina potrząsnęła odmownie głową i cofnęła się ku szklanym drzwiom prowadzącym do bocznych schodów. - Rock! - zawołał za nią, jakby po namyśle. - Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

Kiwnęła głową bez śladu uśmiechu na twarzy.

- Czy przynajmniej pomyślisz o Kanadzie?

Kristina uśmiechnęła się smutno, nie kryjąc niedowierzania. Szklane drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem.

Po ostatnich zajęciach miała trening, a później wzięła prysznic i poszła do samochodu. Jej długie włosy wciąż były wilgotne, gdy wsiadła i przekręciła kluczyk w stacyjce. Mustang kaszłał i prychnął przez kilka chwil.

Miły samochodzik, pomyślała. No, dalej, dalej, miły, kochany, słodki samochodziku. Zaopiekuję się tobą, jeśli zachorujesz. Jesteś moim przyjacielem. Taki jesteś fajny, ruszaj wreszcie. I w końcu silnik zaczął gładko pracować. Kristina zamknęła oczy. Dzięki Bogu. Ty wstrętny gruchocie.

Ktoś gwałtownie zapukał w szybę. Kristina uniosła powieki. Conni cofnęła się i skrzyżowała ręce na piersi.

O nie, pomyślała Kristina, otwierając nieco okno.

- Cześć, Conni, co się stało? Jestem spóźniona.

- Zawsze jesteś spóźniona - odparła Conni.

- Przez co wcale mniej się nie spóźniam - zauważyła Kristina miłym głosem. Czowała się strasznie.

- Co się dzieje? - zapytała Conni, gorączkowo nawijając kosmyk włosów na palec. - Czemu nie otworzyłaś drzwi wczoraj wieczorem?

- Mówiłam ci, że byłam wykończona. Spałam, kiedy zapukałaś.

Przyjaciółka nie spuszczała z niej stalowego wzroku.

- Spałaś, co? Ale drzwi mogłaś otworzyć.

- Jasne, mogłam, tylko nie chciałam. Byłam goła i czułam się wykończona. A wszystko wskazywało na to, że masz na korytarzu towarzystwo.

Conni zmrużyła oczy.

- A ty miałaś towarzystwo w pokoju?

Kristinę ogarnęło przerażenie. Więc tutaj to nastąpi? Właśnie tutaj, na parkingu?

- Constance - powiedziała wolno - o co właściwie mnie oskarżasz?

- O nic. O nic. Tylko byłam wściekła, że nie otworzyłaś drzwi. Zwykle nie zamykasz ich na klucz... A wiem, że nie byłaś z Jimem.

- Skąd wiesz?

- Bo szukałam Alberta.

- W pokoju Jima?

- Wszędzie.

Kristina westchnęła.

- Conn, jak często znajdujesz Alberta w pokoju Jima? Albert nigdy do niego nie chodzi. Nigdy.

- A ty skąd wiesz?

- Ponieważ tak mówi Jim. - W gruncie rzeczy Kristina wiedziała o tym od Alberta. Nie czuł się dobrze w towarzystwie Jima. Uspokajając się trochę, dodała: - Przykro mi, że się zdenerwowałaś. Następnym razem na pewno otworzę drzwi, w porządku?

- Wiesz, byłam taka... po prostu nie wiedziałam, gdzie jest Albert. Wyszedł tylko na chwilkę do swojego pokoju.

- Aha. - Kristina zastanawiała się, co jeszcze powiedzieć. - Mam nadzieję, że w końcu się pokazał.

- Nie - odrzekła tamta płaczliwie. - I w tym problem.

Nastąpiła chwila ciszy. Kristina odwróciła wzrok od Conni, która najwyraźniej się zastanawiała, przestępując z nogi na nogę, i spojrzała na parking, na wznoszący się za nim akademik Hinmana. Widziała okno swojego pokoju na trzecim piętrze. Jak miło byłoby się znaleźć tam teraz samej. Zerknęła na prawo, na swój most. Most Kristiny. Może jeśli niedługo spadnie śnieg... Wypije kilka drinków, przejdzie po moście i więcej nie będzie się bała.

Conni zmagala się z myślami. W końcu odchrząknęła i powiedziała:

- Krissy, eee... posłuchaj. Czy pies był z tobą?

- Kiedy? - zapytała Kristina, marząc o tym, by już odjechać.

- Wczoraj w nocy.

Serce Kristiny zaczęło walić. Ona próbuje mnie złapać. Ale co mam odpowiedzieć? Nawet nie wiem, czy dzisiaj rozmawiała z Albertem. Nie ulega wątpliwości, że Conni próbuje zapędzić mnie w uliczkę bez wyjścia, ale jaką dokładnie?

- Nie wiem - wykręcała się od wyjaśnień. - Wiesz, ja naprawdę muszę...

- Albert powiedział, że wczoraj w nocy wyprowadził Arystotelesa.

Kristina zachowała obojętną minę, choć poczuła ulgę.

- Tak, przyszedł i zabrał psa - potwierdziła.

- Naprawdę? - wykrzyknęła Conni. - Więc widziałas się z nim?

- Przelotnie.

- A potem?

- A potem co? Potem zamknęłam drzwi na klucz.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Bo chciałam spać, a on długo nie wracał.

- Jak długo?

- Nie wiem, Conni. Nie przyprowadził psa. - Conni wciąż nie wyglądała na usatysfakcjonowaną wyjaśnieniami, więc Kristina zasugerowała: - Może poszedł do Frankiego?

- Tak właśnie mi powiedział. Ale powiedział też, że wrócił i zapukał, a ty nie zareagowałaś.

- O której? Nie słyszałam go. - Kristina starała się nie tracić rezonu, choć w duchu myślała: Boże, Albercie, szkoda, że mnie nie uprzedziłeś.

- Na jak długo przed moim pukaniem wyszedł?
- Nie mam pojęcia. Może jakieś pół godziny wcześniej.

Nie po raz pierwszy przyjaciółka przesłuchiwała Kristinę, która bardzo chciała, żeby to był ostatni raz. Od czasu Edynburga Conni z rosnącą podejrzliwością obserwowała Kristinę i Alberta. Kiedy na pierwszym i częściowo na drugim roku mieszkały razem, Kristina nigdy nie była obiektem jej podejrzeń, aczkolwiek tamta twierdziła, że Albert z kimś się spotyka.

Kristina spojrzała na Conni i na jej twarzy zobaczyła wyraz osoby, która właśnie zaakceptowała niewiarygodne wytłumaczenie i od razu sama siebie za to znienawidziła. Czując się bardzo podle, powiedziała:

- Conn, myślałam, że on był z tobą. Sądziłam, że zabrał Arystotelesa do ciebie.
- Ale tak nie zrobił - odrzekła Conni, dokładając starań, by głos jej się nie załamał.

Kristina położyła jej dłoń na ramieniu.

- Przykro mi, że tak się przejmujesz. Wszystko będzie okay. Wiesz, że Albert cię kocha.
- Wiem? Naprawdę wiem?

- Jasne - tłumaczyła pocieszającym tonem. - To oczywiste. Widać to za każdym razem, kiedy na ciebie patrzy.

Conni nie odrywała od niej wzroku.

- Żartujesz sobie, prawda?
- Ależ nie, skąd. - O co właściwie jej chodzi?
- Mówisz o tym, jak na mnie patrzy? - Conni roześmiała się głośno. - Żartujesz sobie ze mnie.

Słuchaj, czy kiedykolwiek widziałaś, jak Albert patrzy na ciebie?

Kristina widziała. Doskonale się orientowała, jak Albert na nią patrzy, ale z obojętną miną zaczęła mówić:

- Conn, nie mam pojęcia, o co...
- Kristina! - wykrzyknęła Conni z nowym ożywieniem. - Patrzy na ciebie, a ty na niego...

sama nie wiem, jakbyście byli związani na całe życie. Jakby on miał iść na wojnę i polec, i widział cię po raz ostatni. Boże, to doprowadza mnie do szaleństwa. Nie mów mi, że tego nie dostrzegasz!

- Conni, przykro mi, ale naprawdę nic nie dostrzegam.
- Tak, Albert tłumaczy mi to samo. „Conn, wariatka z ciebie”, mówi. „Conn, zapewne po prostu byłem głodny”. „Conn, na Frankiego patrzę tak samo” albo „Conn, głupia jesteś. A co

myślisz o tym, jak na ciebie patrzę?”.

Kristinę ogarniały coraz silniejsze mdłości.

- Co chcesz, żebym ci powiedziała? - zapytała słabo.

Tamta jednak ciągnęła, jakby w ogóle jej nie słyszała:

- Powiedziałam mu, że nie chodzi o to, że cię dotyka, bo tego nie robi, ani o to, co ci mówi, bo nie mówi, chodzi o sam jego wzrok. Zabroniłam mu na ciebie patrzeć. - Zaczerpnęła powietrza i gwałtownym ruchem odgarnęła włosy z twarzy. - Chryste, to kretynstwo.

- Zgadzam się - odrzekła Kristina cicho. Zerknęła na zegar na desce rozdzielczej, wysiadła i objęła przyjaciółkę, która nie zaprotestowała, ale też nie oddała uścisku. - Conn, tak mi przykro, że to cię dręczy. Daj spokój.

- Zwariowałam, Krissy? Straciłam rozum?

- Tak - odparła, wciąż nie czując się dobrze. - Kompletna świruska z ciebie.

- Krissy, ja raz was widziałam.

Kristina nie od razu odpowiedziała, wyobrażając sobie najgorsze.

- Gdzie?

- W Bibliotece Bakera. Siedzieliście na korytarzu nad jedną książką.

- Kiedy?

- Nie wiem, chyba kilka tygodni temu.

- Uczyliście się. To był chyba Nietzsche.

- W ogóle się nie dotykaliście, ale i tak na wasz widok poczułam się strasznie.

- Conni - odezwała się łagodnie Kristina - my po prostu się uczyliśmy.

- Wiem - odrzekła Conni z rozpaczą. - Tak powiedział mi Albert. Rozumiesz, wiem, że on mnie kocha. Tylko nie umiem nic poradzić na to, że czasami tak się czuję. Przepraszam.

Kristina mocniej ją objęła, zaskoczona i zbita z tropu. Jak udało mi się sprawić, że to Connie przeprasza mnie?

Twarz przyjaciółki lekko pojaśniała, Kristina zaś poczuła się jeszcze gorzej. Nie będę więcej kłamać. To moje nowe motto. Uporządkuję własne życie i nie będę więcej kłamać.

Wsiadła do samochodu, wrzuciła tylny bieg i powiedziała:

- Muszę jechać.

- Jedź. - Conni odsunęła się od mustanga. - Dzięki za rozmowę.

- W porządku - rzuciła Kristina. Przez całą drogę do Czerwonych Liści towarzyszyło jej

uczucie niesmaku i nienawiści do siebie.

W Czerwonych Liściach czekały na nią lodowy tort oraz prezent od Betty - przyjaciółki i szefowej. Liczyła się intencja, ponieważ Kristina od dzieciństwa nie znosiła lodowych tortów.

Pomocnice Betty i niektóre z mieszkających w schronisku dziewcząt złożyły się na torebkę z czarnej skóry.

Kristina pomyślała mgliste życzenie związane z zapachem sosen, górami, zimnem i nadzieją, po czym zdmuchnęła świece. Pokroiła tort, który Betty rozdała zebranych, i zajęła miejsce w ulubionym fotelu w salonie.

Pomimo niechęci do lodowych tortów Kristina zjadła swój kawałek do ostatniego okruszka i poprosiła o dokładkę. Później wyjęła z plecaka portfel, jakieś listy i papiery i przełożyła wszystko do nowej torby. Widok zadowolonych, pełnych sympatii twarzy sprawił, że z większą otuchą myślała o życiu.

Betty była pełną wdzięku kobietą koło trzydziestki o jasnej cerze i ostrym nosie, nadającym jej twarzy nieco surowy wygląd. Dom pod Czerwonymi Liśćmi należał do niej. Odziedziczyła go po rodzicach, Johnie i Olivii Barrettach, którzy wiele robili dla miejscowej społeczności.

Już wcześniej przekazywali spore sumy na biblioteki, przytułki, instytucje filantropijne i darmowe jadłodajnie, przede wszystkim jednak dbali o Czerwone Liście. Ponieważ była to pierwsza placówka tego typu w okolicy, momentalnie zyskała sławę.

Na pierwszym roku Kristina trafiła przypadkiem na broszurkę informacyjną o Domu pod Czerwonymi Liśćmi, wchodzącym w skład Dartmouth-Hitchcock Medical Center, i podjęła tam pracę w ramach praktyk studenckich. Przez ostatnie trzy lata spędzała w Czerwonych Liściach wszystkie poniedziałkowe i czwartkowe popołudnia. Wołałaby co prawda, żeby lepiej płacili, zwłaszcza podczas chudych miesięcy, ważniejsza jednak była możliwość wyrwania się z Dartmouth dwa razy w tygodniu, a wyrwanie się od czasu do czasu z college'u było jej niezbędne do życia. Poza tym ciężarne dziewczęta ją uwielbiały.

Problemem jednak były niemowlęta. Kristina niechętnie, acz coraz silniej przywiązywała się do maluchów. Kiedy opuszczały Czerwone Liście z matkami albo z przybranymi rodzicami, miała wrażenie, jakby zabierano jej własne dziecko.

Mogła zrezygnować, ale to nie wydawało się właściwym wyjściem. Zrezygnuje i co dalej? Dziewczęta ją kochały, współpracownicy lubili, poza nią nie pracował tu nikt z uczelni. To było jak członkostwo w jeszcze jednej drużynie koszykarskiej - Kristina była środkową zawodniczką

w Czerwonych Liściach.

Zanim poszła na piętro, zamieniła kilka słów z Betty.

- Jak tam twoi przyjaciele? - zapytała szefowa. - Wciąż tak często się spotykacie? Sprawiasz wrażenie bardzo zajętej.

- Tak, jestem zajęta, ale ciągle ich widuję. Dla Jima piszę artykuł o karze śmierci, z Conni wybrałyśmy się do kina w zeszły piątek. Na...

- A Albert? - przerwała jej tamta. - Jego też często widzisz?

Powstrzymując uśmiech, Kristina przyjrzała się Betty uważnie.

- Tak, jego też. U niego wszystko w porządku.

- To świetnie. Wiesz, jeśli masz ochotę i pozwoli ci czas, może zaprosisz ich tu w którąś niedzielę. Zrobiliście furorę tym meczem koszykówki na podwórku kilka miesięcy temu. Miło by było, gdybyście to powtórzyli - mówiąc to, Betty wodziła wzrokiem na prawo i lewo, ani razu nie spoglądając wprost na swą rozmówczynię.

Kristina położyła jej dłoń na ramieniu.

- Dzięki za zaproszenie. Jasne. Jasne. Może uda mi się skrzyknąć ich w niedzielę po Święcie Dziękczynienia. Odpowiedni termin?

- Odpowiedni - odrzekła Betty spokojnym głosem.

- Gdzie jest Evelyn? - zapytała Kristina.

- Na piętrze. Nie czuje się dobrze. Pytała o ciebie.

Kristina natychmiast ruszyła ku schodom.

- Nie ma dnia, żeby nie zapytała, kiedy znowu przyjdiesz - zawołała za nią Betty. - Nie umie się bez ciebie obejść. Coś ty zrobiła tej dziewczusce?

- Och, no wiesz - odrzekła skromnie Kristina - wtykam szpilki w lalkę o imieniu Evelyn, a w piątki zarzynam kury.

- Jak miło.

Piętnastoletnia Evelyn Moss, która miała urodzić bliźnięta, przybyła do Czerwonych Liści latem, na początku drugiego trymestru ciąży. Wysoką, śliczną jak truskaweczka Evelyn poranne mdłości wpędziły w depresję. Cały semestr pracy w Czerwonych Liściach Kristina spędziła na rozmowach ze swą podopieczną. Evelyn z wolna zamieniała się w baryłkę i nic nie pozostało z jej poprzedniej wiotkiej sylwetki. Przez całe lato miała tylko jedno pragnienie: nie być w ciąży. Chodziła krok w krok za Kristina, nieustannie jadła i za bardzo przytyła. Niebezpiecznie

skoczyło jej ciśnienie krwi.

Jadła przez drugi trymestr, a trzeci przeplakała. Pragnienie, by nie być w ciąży, ustąpiło chęci zatrzymania dzieci. Kristina powtarzała, że to normalne, lecz Evelyn nie chciała słuchać.

Dziewczyna próbowała przekonać ją statystykami.

- Są przeciw tobie, mała.

Mówiła Evelyn o nieletnich matkach, które nie skończyły liceum, o wielu pozostających na zasiłku, o tych żyjących poniżej granicy ubóstwa, o dzieciach z problemami psychicznymi. Żadne wszakże argumenty nie przekonywały upartej nastolatki, która teraz chciała tylko jednego i nie słuchała głosu zdrowego rozsądku. Ojciec i matka Evelyn postanowili, że dzieci trzeba oddać do adopcji, a ona wciąż była w takim wieku, że musiała się podporządkować rodzicom.

Otwierając drzwi, Kristina usłyszała szlochanie podopiecznej.

- Cześć, Evie, to ja - powiedziała wesoło.

Tamta zaczęła płakać jeszcze głośniej.

- Miłe powitanie - zauważyła Kristina, siadając obok dziewczynki na łóżku i klepiąc ją po brzuchu. - Jak sobie radzisz?

Evelyn nie potrafiła wydusić ani jednego słowa.

- No, słoneczko, uspokój się. Jesteś tutaj. Jeszcze tylko kilka tygodni i będzie po wszystkim.

- Nie ma żadnych tygodni - szlochała Evelyn. - Nie mam już nadziei.

- Ojej - westchnęła Kristina. - Ojej.

Evelyn złapała ją za rękę.

- Krissy, błagam, porozmawiaj z moją mamą! Nie chcę oddawać moich dzieci!

Evelyn opowiadała jej o swoich rodzicach, którzy spędzili całe swoje życie w Lyme. Odznaczyli się prostą godnością i dumą i nie mogli pozwolić na to, by ich jedynaczka w wieku piętnastu lat urodziła nieślubne dzieci. W rodzinie Mossów byłby to pierwszy taki przypadek od siedmiu pokoleń. Donald i Patricia Mossowie wysłali więc córkę do Czerwonych Liści, sąsiadom zaś powiedzieli, że pojechała odwiedzić chorą ciotkę w Minnesocie. Evelyn nie mogła po prostu wrócić do domu z dwójką dzieci, które nie miały ojca. Podczas jednej z obficie skropionych łzami rozmów biedaczka wyznała Kristinie, że sama dokładnie nie wie, kto jest ojcem, choć ma dwóch poważnych kandydatów. Kiedy podejrzani pojedynczo stawili się przed rodzicami Evelyn, zapewniali, że nie doszło do żadnych niewłaściwych postępów, aczkolwiek jednocześnie mówili, że jeśli jakieś były, to wyłącznie ze strony Evelyn. Chłopcy byli przerażeni

i nie mieli najmniejszej ochoty żenić się w piętnastym roku życia. Chcieli przede wszystkim skończyć szkołę.

Kristina zdawała sobie sprawę z tego, że rozmowa z rodzicami podopiecznej nic nie pomoże.

- Evie - zaczęła łagodnie - postaram się pogadać z twoją mamą, kiedy znowu cię odwiedzi, dobrze? Pogadam na pewno... Ale wiesz, nawet jeśli dzieci zostaną adoptowane, nic złego im się nie stanie. Przyrzekam. Nowi rodzice będą je bardzo kochać.

- Och, błagam! - przerwała jej ostro Evelyn. - Czy ty nic nie rozumiesz? Ja nie chcę ich oddawać!

Kristina znowu poklepała ją po brzuchu.

- Rozumiem wszystko, moja droga, możesz mi wierzyć - odrzekła cicho. Tamta odsunęła się od niej niezgrabnie.

- A skąd niby możesz to rozumieć?

Cóż miała odpowiedzieć tej zrozpaczonej, zapłakanej dziewczynie?

- Evelyn, twoje dzieci będą kochane - powtórzyła Kristina - a ty zajmiesz się własnym życiem. Dostaną cudownych rodziców, dorosłych, wspaniałych rodziców...

- Ja nie chcę, żeby miały innych rodziców! - wrzasnęła Evelyn. - Chcę, żeby miały mnie!

Siedziała na łóżku, zaczerwieniona ze zdenerwowania. Była już wręcz ogromna. Z trudem oddychała.

- Słuchaj, postaraj się tak nie denerwować - powiedziała Kristina i z uśmiechem spróbowała zażartować. - Bo ja nie wiem, jak odbierać poród.

- Betty wie - zapewniła ją Evelyn poważnie. - Przyjęła poród, kiedy samochód nawalił i nie mogli dostać się na czas do szpitala.

Kristina знаła tę historię. Tylko że samochód się nie zepsuł, ale doszło do wypadku. Dziecka nie zdołano uratować, a Betty doznała urazu kręgosłupa, który do tej pory dawał znać o sobie bólami pleców.

- A może zaczniemy rozmawiać rozsądnie? Twoje dzieci będzie przyjmował lekarz.

- Racja, moje dzieci.

- Evelyn, proszę.

Nastolatka opadła na plecy. Jej olbrzymi brzuch sterczał niemal prostopadle do reszty ciała.

- Chcę, żeby na zawsze we mnie zostały - szepnęła.

Kristina zdjęła jej skarpetki i zaczęła masować stopy.

- Kiedy byłam mała - odezwała się cicho - myślałam, że to możliwe. Wydawało mi się, że dzieci są w brzuchu, dopóki matka nie chce, żeby już wyszły.

- Żeby zostały - ciągnęła Evelyn żałośnie - i nigdy mnie nie opuściły, nie opuściły mamusi... - Znowu wybuchnęła płaczem. Jej brzuch wznosił się i opadał. Była to jedyna ruchoma rzecz w tym małym pokoju. - Wiesz, zastanawiałam się nad imionami. Joshua i Samuel. Josh i Sam.

Jak ci się podobają?

Kristina już chciała powtórzyć Evelyn to, czego uczyła ją Betty w kwestii udzielania porad ciężarnym nastolatkom, które zamierzają oddać dzieci do adopcji: „Nigdy nie nadawaj dziecku imienia, nie myśl o nim w kategoriach osobistych. Nigdy nie kupuj nic dla dziecka, nie rób ubranek na drutach, nie myśl o spędzeniu z nim pierwszych kilku dni”. Josh i Samuel, czyż to nie słodkie? Josh i Sam - takie imiona nosili dwaj chłopcy, którzy zabawiali się z Evelyn, a potem wszystkiego się wyparli. Zdaniem Kristiny biedaczka straciła rozum, skoro w ogóle o nich myśli.

- Twoi rodzice byli wczoraj? - zapytała.

Evelyn skinęła głową.

- Mama mówiła, że wkrótce będzie po wszystkim i znowu staniemy się rodziną. - Otarła sobie twarz.

Kristina miała zamiar powiedzieć, że dziecko na zawsze wszystko zmienia, zamiast tego jednak pogładziła tylko dziewczynę po brzuchu, wyczuwając pod skórą maleńkie nóżki.

A potem minęła piąta i musiała się zbierać.

Na dole raz jeszcze podziękowała wszystkim za tort i torebkę, po czym wyszła.

Kiedy wsiadała do samochodu, usłyszała stukanie w szybę dobiegające z pokoju na pierwszym piętrze. Podniosła głowę. Evelyn otworzyła okno i zawołała:

- Krissy, przyjdiesz do szpitala, jak będę rodziła?

- Jasne, że tak, Evie - obiecała Kristina. - Na pewno.

- Dobra. Ale chyba nie wyjeżdżasz na Święto Dziękczynienia? Ja w każdej chwili mogę zacząć rodzić!

Wyjazd na Święto Dziękczynienia! Cóż, już jest poniedziałek, jutro ostatni dzień zajęć. Szanse na spędzenie gdzieś świąt małały z każdą chwilą, przeciwności ogromniały niczym cienie przed zmierzchem. Kristina zorientowała się, że Evelyn będzie potrzebne jej wsparcie.

- Nie. Nigdzie się nie wybieram. Powiedz Betty, żeby zadzwoniła do mnie, gdy tylko zaczniesz się poród. Przyjdem do szpitala.

- I będziesz mnie trzymała za rękę?

Kristina kiwnęła głową.

- I będę trzymała cię za rękę - powtórzyła cicho.

Evelyn posłała jej całusa i odsunęła się od okna.

Zwykle Kristina wracała do domu drogą numer 120, z niej skręcała w lewo na East Wheelock, później w prawo do College Street, a stamtąd na Tuck Mall, dzisiaj wszakże pojechała trochę dalej na zachód do Lebanon i skręciła w prawo na dziesiątkę. W ciągu dnia była to przyjemniejsza trasa, latem Kristina zawsze ją wybierała, bo podobały jej się widoki. Teraz jednak zrobiło się już ciemno i sama nie rozumiała, co ją skłoniło do jazdy tędy właśnie, poza chyba refleksjami o Evelyn i adoptowanych dzieciach; jej rozkojarzony umysł nie zareagował dostatecznie szybko i w rezultacie przegapiła drogę numer 120. Tak więc jechała z szybkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę wijącą się dwupasmówką i rozmyślała o Joshui i Samuelu. A także o Albercie i Kanadzie. Miał rację, w Kanadzie byłoby cudownie. Jak w Edynburgu.

Owe trzy miesiące, które spędzili w Edynburgu wiosną 1991 roku, były najszczęśliwszymi miesiącami jej życia.

Nie mieli grosza przy duszy, pokoje były stare i zimne i zupełnie zaniedbali naukę. Kristina w Szkocji schudła siedem kilogramów, bo odżywiała się przede wszystkim zupami i spaghetti. Oszczędzali, żeby w piątkowe wieczory iść do pubu. Kristina pamiętała brukowane chodniki, domy w stylu Tudorów, kościoły, pierwsze, do których chodziła regularnie, oraz gospoda Mull of Kintyre. Pojechali tam na sylwestra, zatrzymali się w miniaturowym pokoiku, upili z miejscowymi piwem, a Nowy Rok spędzili nad ponurym Morzem Irlandzkim. Pamiętała góry, jeziora, pamiętała rozkwitające mlecze i żonkile. Pamiętała jego i siebie w Edynburgu oraz większość odczuć, które jej tam towarzyszyły - żadnej beznadziei, ani szczypty rozpacz, ani śladu wstydu. Tylko oni dwoje, wolni dzięki anonimowości.

Aż pewnego dnia dla żartu zatrzymali się przy kramie wróżki i zapłacili dwa funty za przepowiednię dla Kristiny. Poszła za brudną zasłonę, gdzie przygarbiona starucha złapała jej dłonie. Kristina próbowała się uwolnić, lecz bez skutku, wiedźma była silna. Kristina ledwo rozumiała gaelicki dialekt, za to przerażenie wykrzywiające twarz tamtej wryło jej się mocno w

pamięć. Wyraz przerażenia pojęła bez trudu, widywała go już wcześniej u innych ludzi. Stara nie chciała jej puścić; najpierw mamrotała coś pod nosem, potem krzyczała, na końcu wpadła w szal. Dopiero Albert siłą rozdzielił ich dłonie. Kiedy biegli ulicą, Kristina wciąż słyszała, jak wróżka drżącym głosem rzuca za nimi groźby. Epizod z wróżką był jedynym ciemnym punktem, który zmaćcił ich stutrzydziestodniową idyllę.

Na zewnątrz szalała wichura i było bardzo zimno. Przy drodze numer 10 nie było lamp, jedynie dęby, klony i amerykańskie górskie jesiony, których liście jesienią wydawały się takie delikatne, śliczne i żółte. Teraz, na trzy dni przed Świętem Dziękczynienia, kontury drzew niewyraźnie rysowały się na poboczu.

W wyobraźni Kristina jechała przez Edynburg. Na moment przed zakrętem drogi okrążającej tu zalew pomyślała o tym, by na stałe zamieszkać w Szkocji, a podświadomie zastanawiała się, czy w stołówce Thayera będą mieć dzisiaj wieczorem makaron z serem, danie regularnie serwowane w poniedziałki, czy też odstąpią od ustalonego planu i przejdą na nieokreślony i niewątpliwie niczym nieuzasadniony tryb wakacyjny, kiedy to podawano wyłącznie hamburgery i zapiekanki.

Radio nastawione na stację nadającą muzykę country grało rzewną -piosenkę.

*I czy myślisz,
że aż tak się różnimy?
Wszystko się zmieniło,
odkąd przestałaś mnie kochać...*

Kiedy wyjechała zza zakrętu, zobaczyła zbliżający się z przeciwka samochód, a ponieważ było ciemno i szerokość drogi oceniała ostrożnie, instynktownie skręciła kierownicę w prawo. Reflektory jednakże wciąż ku niej podążały i wydawały się niebezpiecznie blisko. Kristina jeszcze bardziej skręciła kierownicę i wtedy usłyszała, jak oba prawe koła uderzają o żwir.

Przesadziła.

Poczuła szarpnięcie, więc spanikowana nacisnęła hamulec. Mustangiem zarzuciło, koła się zablokowały i samochód wpadł w poślizg na wąskiej drodze, kierując się wprost na światła nadjeżdżającego auta.

Usłyszała nagłą i przeraźliwy dźwięk klaksonu oraz zgrzyt hamulców. W chwili gdy jej auto oblało światło pojazdu z przeciwka, rozległ się głośny trzask i Kristina poleciała na boczną szybę. Usłyszała pękające szkło.

Mustang dwukrotnie obrócił się wokół własnej osi, po czym zleciał z nasypu. Życie dziewczyny zawisło na włosku. Miała czas tylko na to, aby pomyśleć: och nie, och nie, nie umrę, nie chcę umierać, nie chcę umierać!, a potem samochód obrócił się w powietrzu i z hukiem spadł na koła tuż przy linii wody.

Kristina otworzyła oczy i zaraz je zamknęła, znowu otworzyła i zamknęła. Na początku nic nie widziała, było tak ciemno. Jestem martwa? Oczy miała otwarte, a mimo to nic nie widziała, była po prostu trupem. Nic nie czuła. Nic się nie poruszało. Martwa. Coś żywego jednak znajdowało się w pobliżu. Coś. Najpierw nie potrafiła określić, co to jest, coś tak rzeczywistego i znajomego, wcale nie z tamtego świata.

Usłyszała dalszy ciąg piosenki z radia.

*Dajmy więc temu spokój,
bo nie potrafimy patrzeć sobie w oczy.
Nie ma złych ludzi,
nie ma dobrych,
jesteśmy tylko ty i ja
i po prostu się nie zgadzamy...*

Wyciągnęła rękę i wyłączyła to przeklęte radio, myśląc przy tym: Jakoś mi się nie wydaje, żeby na tamtym świecie grali wpadające w ucho piosenki.

Nie czuła bólu, co z jednej strony było dobre. Kto chce, aby coś go bolało? Z drugiej zaś strony to umarli nie czują bólu.

Słysząc było szelest liści, trzask gałęzi, czyjeś kroki pośpiesznie zbliżały się po zboczu. Ktoś stanął przy oknie od strony kierowcy. Mężczyzna z przerażeniem w oczach i zakrwawionym nosem pytał:

- Dobrze się pani czuje? Nic się pani nie stało?

Kristina próbowała otworzyć stłuczone okno, lecz było zablokowane. Ścisłe rzecz biorąc, nie potrafiła złapać rączki. Dłoń odmawiała jej posłuszeństwa, palce nie chciały się zginać.

Usiłowała więc skinąć głową, ale to także jej się nie udało, a kiedy chciała powiedzieć, że nic jej nie jest, nie usłyszała samej siebie. Pragnęła tylko wydostać się z samochodu. Dotarł do niej głos mężczyzny:

- Poczekaj tutaj, a ja sprowadzę pomoc. Nie ruszaj się z miejsca.

Oparła się o siedzenie. Ha, i tak nigdzie się nie wybierała. Dokąd miałyby iść? I natychmiast sama sobie odpowiedziała: do domu. Nie miałyby nic przeciwko pójściu do domu.

Lecz gdzie jest jej dom?

Pokój. Mały zabałaganiony pokój z wąskim łóżkiem, biurkiem i psem leżącym na pościeli, która przesiąka jego zapachem i cała jest oblepiona sierścią. Innego domu nie miała i właśnie w tamtym miejscu zapragnęła się znaleźć.

Sięgnęła do zapięcia pasa. Czy silnik wciąż chodzi? Nie słyszała dobrze. Pas był zapięty, wrzynał się jej w żebra i prawe biodro. Co mnie dzisiaj opętało? - pomyślała. Czy Bóg nie chroni złych i przeklętych?

Wreszcie uwolniła się od pasa i przesunęła prawą rękę po ciele w kierunku drzwi, które jednak ani drgnęły. Okna także nie dało się otworzyć. Reflektory mustanga nie działały, choć Kristina nie miała wątpliwości, że wcześniej były włączone. Co właściwie się stało?

A później zrobiło jej się zimno, z każdą chwilą coraz zimniej. Zastanawiała się, czy to dlatego, że umarła. Lecz nie, poruszała prawą ręką, nogami także, aczkolwiek niezgrabnie. Okno od strony pasażera było stłuczone.

Kristina wolno przesunęła się na sąsiednie siedzenie i spróbowała otworzyć drzwi, ale się zacięły. Uklękła więc na siedzeniu, by wyjść z auta przez okno. Nie było to łatwe. Nie potrafiła unieść lewej ręki, żeby się podeprzeć. W końcu prawie wyleciała przez okno i z głuchym odgłosem uderzyła o ziemię. Upadła na zdrową rękę, ale na poraniony bok. Dalej jednak nie czuła bólu.

Cholera, pomyślała, miejmy nadzieję, że do sobotniego meczu wydobrzeję. Za żadne skarby nie chciałyby przesiedzieć pierwszego meczu sezonu na ławce.

Wokół panowała głęboka ciemność. Kristina próbowała zlokalizować swoje położenie. Gdzie jest jezioro? Chyba na wprost, bo za nią jest zbocze, więc jezioro musi być przed nią, co oznacza, że jest po lewej stronie drogi, czyli na zachodzie, a to z kolei oznacza, że Hanover znajduje się kilka kilometrów na północ.

Najpierw jednak musi się wdrapać na to straszne zbocze. Nic nie widziała. Zaczęła macać wokół siebie, straciła równowagę i upadła, tym razem na lewy bok. W ręce eksplodowała bomba ognia i Kristina zemdlała.

Odzyskała przytomność w jakiś czas później. Wciąż było ciemno, wciąż ani śladu syren policyjnych czy karetki, wciąż ta przeraźliwa cisza.

Kristina pragnęła tylko jednego: wydostać się jakoś na drogę i iść w kierunku domu. Może ktoś ją podwiezie. Nie chciała, by tamten mężczyzna wrócił z pomocą. Pomoc nieodmiennie oznaczała karetkę, która - z tego, co Kristina wiedziała o służbach ratowniczych - zawiezie ją do szpitala.

Kristina nienawidziła szpitali. W całym swoim życiu tylko dwukrotnie była w szpitalu, przy czym po raz pierwszy wówczas, gdy się urodziła.

A już na pewno nie zamierzała wylądować w szpitalu dzisiaj wieczorem, bo pas uraził ją w żebra.

Podniosła się i znowu zaczęła szukać czegoś, czego mogłaby się złapać zdrową ręką i podciągnąć w górę po zboczu.

Przejechały dwa samochody. Kristina słyszała, że zwalniają - chyba kierowcy chcieli popatrzeć na auto, z którym się zderzyła - i zaraz przyśpieszają. Jednakże tych kilka sekund wystarczyło, by w świetle reflektorów przekonała się, że od drogi dzieli ją tylko kilka metrów, a wokół rosną krzaki, których może się przytrzymać.

Pośpiesz się, pośpiesz, mówiła sobie. Pośpiesz się, Krissy, pośpiesz, Rocky, zbierz się w sobie. Co rusz osuwała się w tył po twardej ziemi jak drużyna futbolowa, która po nałożonej karze musi o dziesięć metrów wycofać się ze zdobytego terytorium.

Kolanem trafiła w kamień. Och, ależ zabolowało. Czuła ból! To wspaniale. Złapała się czegoś, podciągnęła, poszukała dłonią kolejnej podpory, lecz wyczuwała tylko kamyczki. Gdzie są te pieprzone krzaki? Z wysiłkiem czołgając się w górę zbocza, powtarzała sobie urywanym szeptem: „Nie słuchaj moich kroków, nie zważaj, dokąd idą, bo lękam się, iż kamienie zdradzą, gdzie jest.... Nie słuchaj moich kroków, nie zważaj, dokąd idą, bo lękam się, iż kamienie zdradzą, gdzie jest...”. Nie słuchaj moich kroków, nie zważaj, dokąd idą, bo lękam się, iż kamienie zdradzą, gdzie jest...”.

I znowu warkot przejeżdżających samochodów: dzięki Bogu, jest trochę światła. Już prawie znalazła się u celu, już niedaleko. Ale nie było czego się przytrzymać, w desperacji zaryła więc palcami w ziemię. Lewą rękę miała nieruchomą. Paznokcie odginały się i łamały, lecz o to nie dbała. Najważniejsza sprawa to wrócić do domu. Nowymi czarnymi butami wbijała się w podłoże jak rasowy alpinista.

Wreszcie dotarła na niewielką półkę i tam chwilę odpoczęła. Z głowy jej coś ciekło, mówiła sobie jednak, że to pot.

Tamten kierowca oznajmił, że sprowadzi pomoc, lecz sposób, w jaki chciał tego dokonać, stanowił dla Kristiny tajemnicę. Samochód tego faceta stał rozbity na poboczu. Nie zastanawiała się jednak nad tym zbyt długo. Cieszyła się, że nie wrócił. Dziecinnym gestem otrzepała brud z kolan.

A potem ruszyła w kierunku Hanover. Na początku wolno, potem coraz szybciej, by w końcu pobiec lekkim truchtem, byle dalej od mustanga, zalewu, nowej torebki i mężczyzny, który poszedł po pomoc.

Kiedy dotarła wreszcie do akademika, uświadomiła sobie, że zostawiła wszystkie klucze w stacyjce, musiała więc trząść się z zimna koło drzwi i czekać, aż ktoś wyjdzie i ją wpuści.

Arystotelesu nie znalazła w pokoju. Łóżko od rana zostało niepościelone. Na biurku walały się najróżniejsze rzeczy, a komputer zastawiony był brudnymi szklankami, oklejony karteczkami i zasypany papierami. Wszędzie leżały ubrania.

Dotarła jednak do domu.

Zamknąwszy drzwi na klucz, Kristina usiadła na łóżku i obejrzała dłonie. Były brudne i zakrwawione od rycia w ziemi, prawie wszystkie paznokcie miała połamane, lakier tu i ówdzie poodpadał. Zaczęła usuwać brud spod paznokcia palca wskazującego, aż wreszcie zadała sobie pytanie, co właściwie robi, i przestała.

W samochodzie zostały wszystkie dokumenty. Cudownie, po prostu wspaniale. Policja na pewno będzie miała do niej kilka pytań. „Czy możemy oddać pani rzeczy będące jej własnością? Zapomniała pani o nich, z niewytłumaczalnym pośpiechem opuszczając miejsce wypadku. Dlaczego aż tak się pani śpieszyła? Czy nie powinna nam pani o czymś powiedzieć? Czy pani piła?”.

A później Kristina przypomniała sobie Spencera O'Malleya; ciekawe, czy to on przyjdzie ją przesłuchać. Uśmiechnęła się lekko do siebie. To nie byłoby wcale takie złe.

Picie. Niezły pomysł. Do ust napłynęła jej ślinka na samą myśl o southern comfort. Otworzyła górną szufladę nocnego stolika i wyjęła niemal pustą butelkę. Było tego za mało, by dać jej ukojenie. Wstała, podeszła do szafy i z półki zdjęła nową butelkę. Znowu wróciła na łóżko, zdjęła zakrętkę i wlała w siebie alkohol, by znaleźć pocieszenie i zapomnieć o samochodzie oraz trójce przyjaciół, którzy teraz na pewno już na nią czekają, by wspólnie uczcić jej dwudzieste pierwsze urodziny.

Półlitrowa butelka została w jednej trzeciej opróżniona, kiedy Kristina uznała, że ma dość.

Nieprzyjemnie było patrzeć na obniżający się poziom płynu, ale poczuła się nieskończenie lepiej. Szok spowodowany wypadkiem mijał, ciało zaczęło pulsować bólem.

Wolno i niepewnie pochyliła się, by rozsznurować buty. Był to żmudny proces, który w najbardziej sprzyjających warunkach zabierał jej pięć do sześciu minut. Dzisiaj wieczorem, oszołomiona alkoholem i bólem, robiła to trzy razy dłużej. Już myślała, że zaśnie w tej pozycji, z głową zwieszoną nad butami, jakby zaraz miała wymiotować.

Rozbieranie się także sprawiło jej wielki kłopot. Jedną ręką ściągnęła przez głowę bluzę, a potem różową koszulkę. Dżinsy zapinane na pięć guzików okazały się równie trudnym zadaniem co buty. W końcu musiała się z nich wyśliznąć. Lewa ręka po prostu nie zdołała ściągać spodni w dół. Później przyszła kolej na skarpety. I bieliznę. A gdy Kristina była już naga, podeszła chwiejnie do szafy i przyjrzała się sobie w wielkim lustrze po wewnętrznej stronie drzwi.

Twarz pokrywała jej krew, która płynęła z prawej skroni przez policzek i szyję i zasychała grudkami pod obojczykiem. Więc to jednak nie pot, pomyślała. Jej czarne oczy lśniły jeszcze bardziej niż zwykle, pod wpływem wypitego alkoholu. Kolana miała obtarte, lewa ręka zwisała bezwładnie u boku. Kristina bacznie jej się przyjrzała. Ramię było napuchnięte i brązowe. Boże!

Cholera.

Cholera. Cholera. Cholera. Dwa lata wcześniej, na sześć tygodni przed otwarciem sezonu, podczas treningu dwie kozłujące piłki dziewczyny wpadły na siebie. Jedna zwichnęła sobie wtedy bark. Musiała siedzieć na ławce rezerwowych przez dwa miesiące, a wkrótce potem całkowicie zrezygnowała z koszykówki. Kristina cieszyła się wtedy, że ją to ominęło.

Teraz tak się wystraszyła, że pomyślała nawet o pójściu do szpitala. Wszystko, drogi Boże, zrobię wszystko. Muszę grać w koszykówkę.

A jednak przerażało ją, że ktoś będzie badał jej ramię. A jeśli jest niedobrze? Nie potrafiła sobie dać z tym rady. Udawała więc, że wcale aż tak nie boli, i próbowała być dzielna. Zaciskając zęby, poruszyła lewą ręką. Jest dobrze, zupełnie dobrze. Nie będzie tak źle.

Na prawym boku, tuż pod żebrami, zaczynał się wielki, poszarpany czarnosiny ślad. Kristina przysunęła się bliżej do lustra, twarzą niemal dotykając zimnej tafli. Coś utkwilo koło prawej skroni, nad okiem. Wyciągnęła rękę i dotknęła tego czegoś. Był to kawałek szkła z okna; nie jest taki duży, myślała, próbując dodać sobie otuchy, kiedy go usuwała. Krwawa rana okazała się bardziej przerażająca niż szkło sterczące z głowy.

Zanim poszła pod prysznic, napiła się jeszcze southern comfort. Ręka trzymająca butelkę była spokojna.

Gorąca woda cudownie działała na obolałe ciało, za to urażała w ramię, więc Kristina zakręciła kran. Użycie zimnej okazało się tylko niewiele lepsze. Co jakiś czas poruszała lewą ręką i krzywiła się z bólu. Ale jeszcze nie krzyczę, powiedziała sobie. Nie jest tak źle.

Kiedy usiłowała się wytrzeć, do łazienki weszła Jill, koleżanka z roku. Przywitały się skinieniem głowy, po czym Kristina wróciła do swego zajęcia. Jill przyjrzała się jej uważnie.

- Hej, co ci się stało? - zapytała zdziwiona.

- Nic, a czemu? - odparła pośpiesznie Kristina.

Ścisłe rzecz biorąc, próbowała powiedzieć to szybko, lecz słowa wychodziły jej z ust z niezwykłą powolnością, metodycznie i dokładnie. Przypominało to bardziej: „Niiic, aaa czeemuuu?”. Alkohol zawsze sprawiał, że Kristina poruszała się i mówiła wolno, aczkolwiek sądziła, że jest wręcz przeciwnie.

- No, nie wiem - odrzekła Jill. - Wyglądasz... strasznie. Potrzebujesz pomocy?

- Dzięki, wszystko będzie w porządku, jak trochę odpocznę. Naprawdę - powiedziała Kristina, patrząc w pełne zwątpienia oczy koleżanki. - Możesz mi wierzyć.

- A co ci się stało? - powtórzyła Jill. - Miałaś kontuzję w czasie meczu?

- Tak. Te z Cornell zrobią wszystko, byle wygrać.

Jill uśmiechnęła się z przymusem, pomogła Kristinie wytrzeć plecy, poszła po wiaderko z lodem i zaniósła jej pod drzwi.

Kiedy Kristina weszła do pokoju, powitał ją Arystoteles. Na łóżku siedział Albert, patrząc na nią oskarżycielsko. Naprawdę oskarżycielsko? - zastanawiała się, próbując dojrzeć w jego oczach inny wyraz. Co ja zrobiłam?

- Chryste, co ci się stało? - Zerwał się i podszedł do niej.

Zastanawiała się nad jego pytaniem, stawiając wiaderko z lodem na podłodze i zrzucając ręcznik. Albert był w złym nastroju. W jego głosie pobrzmiwał gniew, nie zdenerwowanie.

Nie odpowiedziała. Jest na mnie wściekły. Nie uświadamia sobie, że ledwo uszłam z życiem. Zdecydowała, że o wszystkim mu powie.

- Co się stało, Rock? - zapytał teraz łagodniej. Jego dziki, ale czuły wzrok zwykle doprowadzał ją do szaleństwa. Tym razem prawie doprowadził ją do szaleństwa.

- O co ci chodzi? - odpowiedziała pytaniem, kładąc trzy kostki lodu na ramię.

- Wszyscy przez dwie godziny czekali na ciebie. Mówiłaś, że wracasz o szóstej.

- Nie wiem, czy już zauważyłeś - odparła wolno, pocierając lodem bolące miejsce - ale jestem ranna, a samochód nadaje się tylko do kasacji.

- Nie miałem pojęcia, że twój samochód nadaje się tylko do kasacji.

- Nie, bo i skąd? - rzuciła Kristina płaczącym tonem.

Usiadła koło niego naga. Spojrzał na jej piersi, a potem na wielki czarny siniak na boku. Wyraz jego oczu poprawił jej samopoczucie.

- Popatrz tylko na siebie - odezwał się chrapliwym głosem, zbliżając się ku niej. - Wyglądasz... co to jest?

Teraz pocierała lodem bok. Och, nic, pomyślała i powiedziała to na głos.

- Boże, co się stało z twoją twarzą? I ramieniem? Krwawi.

Potrząsnęła głową.

- Nie, wcale nie krwawi - zaprzeczyła, nie chcąc nawet patrzeć. - Tylko... zmieniło kolor...

Wiesz, mogło być gorzej - dodała po krótkiej przerwie.

- Nie rozumiem. Czyli jak?

- Mogłam zginąć. - Powinnam była zginąć, pomyślała i podniosła się z łóżka.

- Piłaś.

- Nie wtedy. - Zrozumiała, że Albert zarzuca jej prowadzenie samochodu po pijanemu, lecz przecież on nawet nie miał pojęcia, co jej się przytrafiło.

- Nie wtedy, to kiedy?

- Przed chwilą wypiałam troszeczkę. Żeby złagodzić.

- Co złagodzić?

- Ból.

- Co właściwie się stało?

- Mustang wywinął koziółka.

- Boże, ale dlaczego?

- Zderzyłam się z nadjeżdżającym samochodem.

- Zderzyłaś? Gdzie?

- Tamten trafił w bok mustanga.

Albert wpatrywał się w nią zaskoczony.

- Nie, chodzi mi o to, gdzie to było?

- Na dziesiątce.
- Zjechał na twój pas?

Kristina mgliście pamiętała snop światła z reflektorów tamtego auta i to, jak próbowała je wyminąć.

- Nie, ja zjechałam na jego.
- Dlaczego?
- Dlaczego? Nie mam pojęcia - odrzekła wolno. - Chyba uznałam to za dobry pomysł.
- Kristino!
- Wydawał się naprawdę blisko.
- Rozumiem, więc zjechałaś na jego pas, żeby się od niego oddalić, tak?

Już otwierała usta, by mu odpowiedzieć, ale odwracając w bok głowę, złapała odbicie ich dwojga w lustrze. Ona naga, on ubrany w czarne dżinsy i czarny sweter, z czarnymi oczyma i zebranymi w kucyk czarnymi włosami, stali oddaleni od siebie o krok i kłócili się o niuanse semantyczne. Kristina pomyślała: Czy tym właśnie stało się moje życie? To jest jak marny film braci Marx, groteskowy i dziwaczny. Teatr Arystotelesowski, gdzie absurd jest normą, a norma nie istnieje. Podeszła do szafy.

- Muszę się ubrać - mruknęła.
- Powinnaś iść do lekarza. Możesz poruszyć ręką?
- Całkiem dobrze, tylko wolę nie.

Albert patrzył na nią zatroskany.

- Może kość pękła?
- Wtedy coś by było widać przez skórę. A ramię jest tylko spuchnięte. Według mnie po prostu naciągnęłam. - Starła się zmniejszyć powagę sytuacji.
- Przecież się nie znasz. To musi obejrzeć lekarz. Idź do przychodni.
- Nie! Żadnych lekarzy. Wiesz, że ich nie cierpię.

Nie miała ochoty mu mówić, jak bardzo się boi. Koszykówka nic dla niego nie znaczyła, dla niej jednak była całym życiem. Koszykówka i Czerwone Liście. I on.

Podeszła do regału z książkami i wygrzebała ze stosu poplamiony egzemplarz „Rodzinnej encyklopedii medycznej”. Podała go Albertowi ze słowami:

- Zobacz pod „ramię”. Przesunął wzrokiem po kartce.
- Nic tu nie ma.

- No to sprawdź pod „stawy”.

Albert przebiegł wzrokiem po kolejnej stronie, po czym zaczął czytać na głos:

- „Zwichnięcie... bolesne skręcenie stawu... w następstwie użycia siły...”

- Wszystko się zgadza - skomentowała Kristina.

- „Użycie siły - ciągnął Albert - może doprowadzić do dyslokacji stawu lub pęknięcia zakończeń kości, wchodzących w skład stawu”. - Spojrzał na nią znad książki. - A nie mówiłem?

- Dziękuję, doktorze Maplethorpe - powiedziała. - Czytaj dalej.

- „Staw należy prześwietlić pod różnymi kątami, aby się upewnić, że kości nie pękły ani nie uległy dyslokacji”. Widzisz?

- Dalej - ponagliła zniecierpliwiona.

- „Może dojść do wewnętrznego krwotoku i w rezultacie do zmiany barwy skóry - kontynuował. - Może także wywiązać się zapalenie kałek stawowych, regulujących wydzielanie płynu”.

- Chryste, ale to przyjemnie brzmi - zauważyła Kristina, pochylając się nad wiaderkiem z lodem. Zabolały ją przy tym zębra.

Albert zerknął na nią i czytał dalej:

- „Do miejsca zwichniętego należy jak najszybciej przyłożyć zimne mokre bandaże albo lód, aby powstrzymać tworzenie się opuchlizny... -Dokończył, podnosząc głos: - Badanie lekarskie oraz prześwietlenie są niezbędne do upewnienia się, że uraz jest tylko zwichnięciem”.

- Ja i tak nie wybieram się do lekarza - powtórzyła Kristina stanowczo. - To nic poważnego, rano będzie wszystko w porządku. Jutro poszukam jakiegoś urządzenia na podczerwień do masażu.

- Jutro musisz iść na policję.

- Ani mi to w głowie - zaprotestowała Kristina. - Jeśli policja będzie czegoś ode mnie chciała, sama mnie znajdzie.

- Jeśli przyjdą do ciebie - odparł Albert - to z kajdankami. Dlaczego jesteś taka uparta?

- Kto, ja? Nie przypominam sobie, żebyś poszedł do lekarza, gdy złamałeś sobie palec u nogi.

Patrzył na nią zbity z tropu.

- Kiedy?

- Dwa lata temu.

- Aha, to - przypomniał sobie. - Ale na palce u nóg nic nie mogą poradzić. A poza tym nie

miałem pieniędzy.

- I co z tego? Ja miałam.
- Nie chciałem twoich pieniędzy! - wykrzyczał. - Rozumiesz?
- Lepiej, niż ci się wydaje - odparła.
- Wiesz, nic mnie nie obchodzi, co zrobisz.
- W to akurat nie wątpię, Albercie.

Zignorował jej uwagę.

- Nie idź do lekarza. Nie idź na policję. Przekonasz się, czy mnie to w ogóle obchodzi.
- Już się przekonałam.

W milczeniu opadł na fotel. Natychmiast przywłókł się ku niemu Arystoteles i zaczął go lizać po ręce. Kristina, patrząc na nich, pomyślała, że labrador kocha Alberta. Chętnie spędzałby z nim całe dnie, gdyby jej nie było w pobliżu.

Albert poklepał po głowie psa, który zachęcony pieszczotą polizał go po drugiej dłoni. Kristina czuła na sobie nieodgadniony wzrok chłopaka.

Nienawidziła z nim się kłócić. Coraz trudniej dochodzili do zgody, a dla niej nie było rzeczy gorszej od świadomości, że się poróżnili.

- Na co patrzysz? - zapytała.
- Na ciebie. Boże, jesteś taka piękna. Zdziwiająco piękna. Spójrz tylko na siebie.
- Tak. Wyglądam strasznie.
- Nieprawda. Mogłaś umrzeć - zaprzeczył dziwnym tonem. - Masz szczęście, że żyjesz.
- Wiem - potwierdziła słabo. - Wiem o tym lepiej niż ktokolwiek inny. - Podeszła i stanęła tuż

przed nim. Dotknął delikatnie jej żeber, lecz cofnęła się przed jego dłonią. - Trochę boli - powiedziała, starając się, by jej głos zabrzmiał normalnie. - Albercie, możesz to sobie wyobrazić? Że ja umieram?

- Nie mogę. Nie potrafię wyobrazić sobie życia bez ciebie.

Kristina znów chciała powtórzyć, że to nieuniknione, uznała jednak, że pora nie jest odpowiednia.

- Czy twój samochód to kompletny wrak?

Wzruszyła ramionami.

- Skąd mam wiedzieć? Sądziś, że zostałam tam, żeby się przekonać, w jakim stanie jest mustang?

- Powinnaś była pojechać do szpitala - powiedział cicho.

- Co, i jeszcze bardziej się spóźnić? - zapytała. - Bo lekarze na pewno zatrzymaliby mnie na noc. A sam widzisz, jakie są skutki dwugodzinnego spóźnienia. Wyobrażasz sobie, co by było, gdybym nie wróciła na noc?

- Pomyślałbym, że przytrafiło ci się coś strasznego. Okropnie bym się martwił.

- Tak, jasne. Rzeczywiście wyglądasz na zmartwionego.

- Przykro mi, Rock - przeprosił ją wreszcie. - Wiem, że cię zirytowałem. Posłuchaj, jedźmy do Kanady. Proszę cię. Proszę.

- Nie, Albercie. Ty mnie prosisz? A pamiętasz o Conni?

- Jakoś to załatwię. Mogę na przykład sprowokować potężną kłótnię.

- Nie wierzę ci - oświadczyła Kristina; przykucnęła przed nim i szeptem dodała: - Albercie, nie chcę tego ciągnąć.

- Jesteś naga - odezwał się, mierzając ją spojrzeniem.

Wstała i zrobiła kilka kroków do tyłu.

- Mówię poważnie.

- Jedźmy do Kanady i tam się przekonamy, czy mówisz poważnie. - Uśmiechnął się poządliwie.

- Nie, ja wcale nie żartuję. Mam dość i chcę to skończyć. Rozumiesz? Kristina mówiła poważnie, więc Albert także przestał się uśmiechać.

- Ciągle jesteś naga.

- Ubranie to nie problem. Mogę się ubrać.

- Proszę bardzo - rzucił zimno.

- Problemem jesteśmy my. Musimy to przerwać. - Odwróciła od niego wzrok. - Musimy się rozstać. - Zakaszła, co spowodowało przeszywający ból głowy. - Chcę się od ciebie uwolnić. Ty jedziesz z Conni na Long Island, a ja nie zamierzam więcej o tym myśleć. Nie mam ochoty dłużej kłamać, nie mam ochoty skradać się i czaić, nie mam ochoty martwić się Howardem. Ani nikim innym. - Kiedy nie odpowiedział, dodała: - Nie jesteśmy dla siebie przeznaczeni.

- Mylisz się - zaprzeczył obojętnie. Równie dobrze mógł powiedzieć: „Masz rację”.

- Nigdy nie byliśmy dla siebie przeznaczeni - oznajmiła Kristina stanowczo, świadoma, że jej głos wcale tak nie brzmi, świadoma, że nie potrafi ukryć się przed wzrokiem Alberta. Stała przed nim i nie miała dokąd pójść.

- Mylisz się - powtórzył równie obojętnie jak poprzednio.

Jego słowa nie zrobiły na niej wrażenia.

- Nie. Spieprzyliśmy porządnie sprawę, ale wciąż mamy czas, żeby jakoś to naprawić i żyć uczciwie. Nie chcesz takiego życia? Conni bardzo cię kocha.

- Wiem, i co z tego? Jim też cię bardzo kocha - odparł z goryczą.

Kristina potrząsnęła głową.

- Nieprawda, nie kocha, nie tak jak Conni cię. I ty o tym dobrze wiesz.

Albert wstał i pochylił się ku niej.

- Kristino, to bez sensu. Nie mogę bez ciebie żyć.

Potarła twarz zdrową ręką, lecz było to bardziej jak zakrywanie oczu na jego widok.

- Proszę, Albercie, nie możemy. Musimy przestać.

- Mylisz się, Kristino.

Westchnęła głęboko i natychmiast jęknęła z bólu. Wiedziała, że ma rację, była tylko tak bardzo zmęczona staniem, nagością, tą rozmową, która przypominała rzucanie grochem o ścianę, bo do tego mężczyzny nic nie trafiało.

Rozległo się pukanie do drzwi. Spojrzeli na siebie pytająco. Albert usiadł w fotelu, Arystoteles zaszczekał, machając ogonem.

- Chwileczkę! - zawołała Kristina.

- Kristina?

Drzwi uchylły się lekko. To był Jim.

- Poczekaj moment! - zawołała Kristina, wciągając różową koszulkę i zielone uniwersyteckie szorty.

- Wszystko w porządku?

Stała za drzwiami, tak więc Jim jej nie widział, za to miał jak na dłoni Alberta. Dzięki Bogu, że ten siedział w fotelu, a nie na zmiętej pościeli. Arystoteles podbiegł do drzwi, kręcąc zadem tak samo radośnie jak ogonem.

- Tak - odpowiedziała - wejdź.

Jim wkroczył do pokoju, spoglądając na nich podejrzliwie, Kristina wiedziała jednak, że nigdy nie działał pod wpływem emocji; nie ufał emocjom. Jego twarde spojrzenie złagodniało, gdy zobaczył jej twarz. A rzeczywiście było na co popatrzeć. Nad czołem miała krwawą ranę po odłamku szkła, a oczy błyszczące od alkoholu, chociaż Jim mógł to z łatwością uznać za skutek

szoku. Koszulka wokół szyi była ciemna od zaschniętej krwi.

- Boże, co ci się stało? - zapytał, obrzucając Alberta spojrzeniem, które Kristinie kazało przypuszczać, że zdaniem Jima to Albert ją pobił.

- Nic takiego - wyjaśniła, delikatnie dotykając twarzy. - Miałam wypadek. Samochód się rozbił, ale mnie nic nie jest.

- Wyglądasz okropnie.

I czuła się okropnie. Działanie alkoholu z wolna ustępowało.

- Nic mi nie jest - powtórzyła, zmuszając się do uśmiechu.

- Byłaś w szpitalu?

Kristina przypomniała sobie, jak upadła na twardą ziemię, byle tylko uniknąć szpitala.

- Nie. Wiesz, nie czułam się źle, więc wróciłam do domu.

Jim stracił panowanie nad sobą.

- Nie czułaś się źle, więc wróciłaś do domu?

Całując go w policzek, tłumaczyła swoim najczulszym tonem:

- Jimbo, naprawdę wszystko w porządku. - Jednakże zdradziła ją wisząca bezwładnie, opuchnięta ręka. Próbowała nią poruszyć, by udowodnić swoje słowa, lecz jej się nie udało. - Uwierz mi, nic mi nie jest.

Albert wstał.

- Pójdę zobaczyć, co porabia Conni.

- Czeka na nas - odrzekł Jim, nie patrząc na niego. - Chyba wszyscy powinniśmy do niej pójść.

Kristina zdobyła się na lekki uśmiech.

- Więc idźcie, zaraz do was dołączę.

Albert bez słowa wyszedł z pokoju, zabierając ze sobą Arystotelesa. Jim wpatrywał się w Kristinę oskarżycielsko. Po chwili powiedział:

- Świetnie.

Została sama; odczekawszy kilka sekund, żeby się upewnić, że chłopcy są już daleko i jej nie usłyszą, zamknęła drzwi na klucz i padła na łóżko.

Wydawało jej się, że leży tak przez wiele godzin. Otwierała i zamykała oczy, wpatrywała się w żarówkę pod sufitem, marząc, by światło samo się wyłączyło i w pokoju zapadła ciemność, taka jak w samochodzie stojącym gdzieś w środku pustkowia, kiedy myślała, że już umarła.

Teraz zastanawiała się, czemu Bóg ją oszczędził, dlaczego nie zginęła w tym wypadku.

Nigdy aż tak blisko nie otarła się o śmierć. Czterej Jeźdźcy Apokalipsy stanęli przy niej, spojrzeli jej w twarz i pogalopowali dalej. A przecież widywała ich już wcześniej. Kiedy miała dwanaście lat, spadła z muru do lodowatej wody. Dobrze pływała, lecz strach ją sparaliżował. Nie zdołała poruszyć nogami ani rękami, nie mogła wołać o pomoc. Bez walki poszła na dno, łapczywie chwytając powietrze i czując, jak płuca wypełniają się wodą.

Po raz kolejny zobaczyła ich poprzedniego roku na moście, kiedy potknęła się i poleciała ku pewnej, jak sądziła, śmierci. Wtedy także wykaraskała się z tego, lecz żyła ze świadomością, że w każdej chwili Bóg wezwie ją do siebie; sumowała swoje życie zawsze wtedy, gdy padał śnieg, a ona, nierozsądnie pijana, szeptem odmawiając modlitwy, szła po poręczy mostu z rozpostartymi rękoma.

Nie chciała umierać. Najbardziej jednak przerażała ją myśl, że to nie twarz Boga zobaczy, gdy spotka swego pana.

- Mam tylko jednego pana na ziemi - szepnęła - i próbuję usunąć go ze swego życia, bo nic dobrego dla mnie nie wynika z jego obecności, a on jednak nie chce mi na to pozwolić, jest silniejszy i nie zgadza się, żebym odeszła.

Otworzyła oczy i dotknęła skroni, tam gdzie wcześniej tkwił odłamek szkła. Czuję ból, pomyślała. Czy umarli odczuwają ból? Czułość, gniew, żal? Głęboki żal?

A czy kochają? Czy znają miłość obeszładniającą bardziej niż letnie powietrze?

Żyję, myślała Kristina, ponieważ wciąż czuję ból.

- Nie jestem jeszcze gotowa na śmierć - szepnęła - jeszcze nie skończyłam z życiem. Nie chcę umierać...

Potrzebuję drinka. I drugiego, trzeciego, czwartego. Muszę polać alkoholem swoje rany, żeby odrętwiały, żebym o nich zapomniała, żeby mnie nie bolały.

Przechyliła się przez krawędź łóżka i sięgnęła po southern comfort, a potem znowu opadła na plecy. Zdrową ręką odkręciła butelkę, zamknęła oczy i polała alkoholem twarz. Trochę dostało jej się do ust, trochę do nosa, część jednak trafiła na rany. Najpierw szczypało, a potem przestało boleć, a o to właśnie jej chodziło. Resztę wylała na ramię.

Z wysiłkiem zwlokła obolałe ciało z pościeli i włożyła obszerny kombinezon. Jego największą zaletę stanowiło to, że nie był dzinsami i bluzą, w których stanęła twarzą w twarz z mrocznym nieznanym. Kristina zawsze wierzyła, że człowiek powinien być wypoczęty i nagi niczym

noworodek, kiedy staje przed mrocznym nieznanym, a ona nie była.

Przyjaciele czekali na nią w świetlicy. Albert czytał i robił notatki, Jim pisał. Conni obgryzała paznokcie.

- Cześć - powitała ich Kristina słabym głosem.

Wszyscy na nią spojrzeli.

- Krissy, co się stało? - Conni wstała i podeszła ku niej. - Jim mówił, że miałaś wypadek. Tak się martwiłam.

Lecz to były tylko słowa, wcale nie wyglądała na zmartwioną. Raczej na rozgoryczoną. Sprawiała wrażenie, jakby pod przyklepionym do ust uśmiechem chciała ukryć gniew.

- Wszystko w porządku - zapewniła ją Kristina. - Naprawdę, nic mi nie jest.

- Wypadek?

- Tak - potwierdziła. - Zderzyłam się z innym samochodem.

Doszła do wniosku, że jeśli dostatecznie często będzie to powtarzać, wkrótce przejdzie jej ochota do płaczu.

Próbowała ukryć, jak bardzo niepewnie stoi na nogach. Rozmyślnie powolnym krokiem ruszyła w stronę tortu, jak na kasecie wideo przewijanej na marnym odbiorniku, gdzie widać wszystkie poziome linie. I wkrótce ktoś na pewno powie: „Chryste, to straszne, chcę model czterogłowicowy”. I ją wyłączy.

Wszyscy wstali, Arystoteles zaszczekał, ktoś zapalił świece. Kristina nie liczyła, ale wydawało jej się, że jest ich za dużo, co najmniej o jedną. Zauważyła, że jej nikt nie upiekł tortu, kupiono go w cukierni na Main Street. Niemiecki tort czekoladowy z Pepperidge Farm. I co z tego, że wszyscy wiedzą, iż to jej ulubiony. Nikt nie upiekł jej tortu!

W zeszłym roku na urodziny Jima Kristina przeszła samą siebie, żeby zrobić mu cytrynowy tort beżowy. Ubijanie białek zajęło jej godzinę, trzy razy zaczynała od nowa, ponieważ chciała pokazać Jimowi, jak jej na nim zależy.

Stała przed zapalonymi świeczkami na torcie, który często sama sobie kupowała, i jak przez mgłę usłyszała czyjś głos:

- Pomyśl życzenie, Kristino.

Pomyślała o mustangu, o Albercie nalegającym na wyjazd do Kanady, o tym, żeby znaleźć się o tysiąc kilometrów od Święta Dziękczynienia - o tysiąc kilometrów od siebie samej, na zawsze - o Jimie, pragnącym jej całej tylko dla siebie i niepragnącym jej wcale, o Howardzie w Nowym

Jorku, o swojej matce, zagubionej, przebywającej o milion lat świetlnych od niej, o zmarłym ojcu i o sobie samej - która niemal umarła i która nie miała porządnego płaszcza.

Pomyślała o kobziarzach w Edynburgu, zamknęła oczy i dmuchnęła, myśląc przy tym: Mam nadzieję, że Patricia i Donald Mossowie pozwolą Evelyn zatrzymać dzieci...

Później usiadła.

Arystoteles trącił ją nosem w łydkę. Kristina niezgrabnie pokroiła tort. Pierwszy kawałek wręczyła Jimowi z wymuszonym uśmiechem, drugi Conni - bez uśmiechu, a trzeci Albertowi, na którego nawet nie spojrzała.

I znowu pies szturchnął ją nosem. Uśmiechnęła się do niego, wytarła nóż w palce i dała mu do oblizania.

- Krissy, a ty nie jesz? - zapytała Conni.

Magiczne działanie alkoholu ustępowało. Kristina żałowała, że nie ma pod ręką drinka. Zaciskając suche usta, bez słowa wpatrywała się w tort. Kiedy Arystoteles dokładnie oblizał jej palce, dała mu jeszcze trochę ciasta. Lubił niemiecki tort czekoladowy prawie tak samo jak towarzystwo innego labradora. Arystoteles nigdy nie miał pretensji, że nikt nie upiekł mu tortu na urodziny, ani nie wybierał się do Kanady. Życie psa było bardzo proste. Trzy spacery dziennie i wygodne legowisko.

Dostrzegła na stole kartę, ale nie wyciągnęła po nią ręki. Conni przesunęła kartę w jej kierunku.

- To od nas wszystkich - oznajmiła z szerokim uśmiechem. - No, otwórz. - Spod stołu wyciągnęła butelkę southern comfort z czerwoną kokardą przyklejoną do etykiety. - I ten drobiazg też od nas wszystkich. Myśleliśmy, że się ucieszysz.

- Pomyśl Conni - wtrącił Albert.

- Nie! - zaprotestowała piskliwie Conni. - Twój!

- Nie! - sprzeciwił się wesoło.

- Całkowicie twój - powtórzyła Conni. Dlaczego sprzecząją się o to? - pomyślała Kristina.

- Kupiliście mi alkohol? - zapytała z niedowierzaniem.

- Myśleliśmy, że to dobry prezent - odrzekł Albert.

Kristina otworzyła kartę, wzruszając ramionami. Zaraz pożałowała tego gestu. Lewe ramię eksplodowało bólem.

- Ojej - mruknęła bez entuzjazmu. Poprzedniego dnia byłaby wdzięczna za piętnastodolarową

butelkę southern comfort, która pomoże jej przetrwać Święto Dziękczynienia. Gdyby nie to, że skończyła dwadzieścia jeden lat, gdyby nie to, że nie mogli z Albertem pojechać do Kanady, i gdyby nie to, że omal nie straciła życia, Kristina Kim z zachwytem przyjęłaby tę butelkę od najbliższych przyjaciół. - Wiecie co, kochani - odezwała się, patrząc na trzy rozczarowane twarze. - Bardzo mi przykro. To wspaniały prezent, ale wszystko mnie boli, całe ciało. Jakiś czas temu trochę wypilałam, żeby złagodzić ból, i teraz sprawiam wrażenie obojętnej niewdzięcznicy, ale to naprawdę fantastyczne.

Przechyliła się w jedną stronę i pocałowała Conni w policzek, później przechyliła się w drugą i pocałowała Jima w usta. Albert siedział naprzeciw, a ona nie zamierzała specjalnie wstawać. On też nie wykonał żadnego ruchu, więc Kristina powiedziała tylko:

- Dzięki, Albercie.

- Nie ma o czym mówić - odrzekł. - Cała przyjemność po naszej stronie.

- Krissy, jak chcesz grać? - zapytała Conni. - Popatrz na swoje ramię. Na twoim miejscu poszłabym do szpitala albo przychodni. Chyba nie chcesz przewrócić się na boisku. Wiesz, staram ci się pomóc.

Kristina machnęła zdrową ręką.

- Tą ręką kozłuję. Druga mi niepotrzebna.

- Potrzebna, żeby rzucać do kosza - zauważył Albert.

- Będę rzucała jedną. Pensylwanii przydadzą się fory.

- Aż taka dobra nie jesteś - odezwał się po raz pierwszy Jim.

- Ależ jestem. - Kristinie udało się szczerze uśmiechnąć. Nie chciała im mówić, jakim przerażeniem przejmują ją te obrażenia i ich ewentualny wpływ na jej koszykarską przyszłość.

Ożywiając się trochę, zaczęła mówić o choince bożonarodzeniowej, którą miano postawić na środku Dartmouth Green, choć Jim był Żydem i choinki niewiele go obchodziły. Zaraz więc zmienili temat na „Listę Schindlera”; nie mogli się już doczekać, żeby zobaczyć ten film. Potem rozmawiali o Lorie Bobbitt, która śpiącego męża pozbawiła męskości, i o braciach Menendezach, którzy wymierzili rodzicom dość dziwnie pojmovaną sprawiedliwość w trakcie chałupniczej egzekucji, zdaniem Alberta nieco topornej.

- Wiecie - odezwała się Conni - niektórzy utrzymują, że jeden z braci był... jest gejem. Nie chciał, żeby drugi się o tym dowiedział, a ojciec najwyraźniej groził, że o wszystkim powie, więc...

- Tak, ale nawet jeśli to prawda, to dlaczego ten drugi, heteroseks, musiał brać w tym udział? - zapytał Albert. - Gdyby mnie ktoś pytał, to kompletne bzdury. Frankie jakoś nie strzela do swoich rodziców.

- Zły przykład - zauważyła Kristina. - Frankie jest jedynakiem.

- A poza tym nie ma na to czasu, bo zbyt jest zajęty działalnością w DAGLO - dodała Conni, mając na myśli uniwersytecką organizację gejów i lesbijek.

Wszyscy się uśmiechnęli.

- Nie bądź taka pewna - zaprotestował Jim. - Kto wie, jakie tajemnice ukrywa rodzina? Nikt nie ma pojęcia, co się dzieje między najbliższymi.

- To prawda - zgodziła się Kristina cicho. Bolało ją całe ciało.

- To brednie - zaprotestował Albert. - Grzebanie świętobliwego bliźniaka w ogródku to jedno, ale nikt nie zabija dwóch osób z zimną krwią, jeśli coś nim nie kieruje.

- Jeśli nie jest chory, to miałeś na myśli? - uściśliła Conni.

- Nie, nie chory - odrzekł Albert. - Tylko... oderwany, zdystansowany. Od siebie, od rodziców. Musisz zapomnieć o jakiejś części siebie, żeby dokonać morderstwa.

- O tej, o której większość ludzi nie zapomina - odezwała się Kristina.

- Nie wiem, może - przyznał Albert, patrząc na nią. - Ale kim właściwie jesteśmy, żeby oceniać innych ludzi? Tacy jesteśmy idealni?

- Tak - potwierdziła Conni z uśmiechem. Kristina nie potrafiła się uśmiechnąć.

- Wiemy, co dobre, a co złe. Strzelanie do rodziców jest złe.

- Dajże spokój. - Albert machnął dłonią pogardliwie. - Może i istnieje jakaś jedna absolutna prawda, ale nie ma żadnych bezwarunkowo słusznych moralnie uczynków. Coś takiego mówił nawet Nietzsche.

- Brednie - sprzeciwiła się Kristina. - Ja tego nie kupuję. Istnieją. Moralna prawda nie jest iluzją, bez względu na to, co mówił Nietzsche. Istnieją czyny z natury złe i zabicie ojca czy matki jest jedną z takich rzeczy.

- Bracia Menendez utrzymywali - odparł Albert - że byli wykorzystywani przez rodziców. - Kiedy Kristina nie odpowiedziała, dodał: - Zawsze jest druga strona.

Udając, że przeszedł ją dreszcz, Conni zawołała:

- Brrr, co za cudowna rozmowa! Ja osobiście kocham rodziców. Nie umiem sobie nawet wyobrazić, że z Douglasem planujemy, jak ich zamordować. Choć za Douglasa głowy nie dam.

Wybuchnęli śmiechem. Conni czule pogładziła Alberta go po rękę.

- To musi być trudne dla ciebie - zauważyła. - Nie masz rodziców.

- Ani religii - dodał Albert, wzruszając ramionami. - To było tak dawno. Uniwersytet sprawia, że zapominasz o świecie zewnętrznym. Życie jest tylko tu i nigdzie indziej.

Conni dotknęła jego barku.

- Ale masz ten tatuaż. Z nim nigdy nie zapomnisz o swojej mamie.

Albert uniósł brwi.

- Zdawało mi się, że lubisz mój tatuaż, Conn. Przecież jest diabelski i łajdacki, no nie?

- No tak, no tak - zachichotała, rumieniąc się i patrząc na niego szeroko otwartymi niebieskimi oczyma.

Jim poszedł po piwo, a Kristina nakarmiła Arystotelesa kolejnym kawałkiem tortu. Conni powiedziała, nie zwracając się do nikogo w szczególności:

- Chyba wiem, czemu wy dwoje wydajecie się tacy bliscy sobie - i dodała, bez żadnej przerwy, bez zmiany intonacji: - Oboje nie macie matek.

- Ja mam - odrzekła Kristina. - Tylko jest bardzo chora.

Zobaczyła, że z zakłopotaniem odwracają od niej wzrok. Jim wrócił z butelkami.

- Krissy, jedź ze mną i Albertem - zaproponowała Conni, próbując nadać głosowi wesołe brzmienie. - Moi rodzice bardzo się ucieszą z twojej wizyty. No jedź. Będziemy świetnie się bawić. Jak spadnie śnieg, pojeżdżamy na sankach, zrobimy figury z lodu.

- Nie! - wykrzyknął Albert. - Tylko nie figury! Pamiętasz, jak wyrzeźbiła z lodu penis?

Conni wybuchnęła histerycznym śmiechem.

- To było super!

- Tak, twoi rodzice też byli tego zdania.

- Och, to bez znaczenia. Oni naprawdę lubią Kristinę. Zgódź się, Krissy.

Kristina potrząsnęła głową.

- Chyba jednak tu zostanę.

- Zostaniesz? - powtórzył Jim. Wyjaśniła mu problem z Evelyn Moss.

- A poza tym w sobotę mam mecz.

- Z taką ręką? - prychnął Jim. - Zagrasz, jak ci się przyśni mecz.

- Tylko poczekaj - odparła obronnym tonem.

- No to kiedy chciałaś mi o tym powiedzieć, Kristino? - zapytał Jim, bębniąc głośno w stolik.

- Już mamy poniedziałek. Myślałem, że jedziesz ze mną.

- Nie mogę, Jimbo - odpowiedziała. Ramię płonęło jej z bólu. - Evelyn może urodzić w każdej chwili. Przynależałam, że będę przy niej w szpitalu.

- Jak sobie życzysz - rzucił z irytacją.

- Jedź z Jimem, Kristino - odezwał się Albert. - Evelyn ma rodziców i rodzeństwo. Nie jesteś jej potrzebna.

- Jestem - zaprotestowała urażona. - I ona jest potrzebna mnie.

Jim, patrząc przed siebie, zapytał:

- Chcesz, żebym zawiózł cię do przychodni? Mogłaś doznać uszkodzenia mózgu.

- Skąd to możesz wiedzieć? - Conni roześmiała się z własnego żartu. - Ale poważnie, Kristino, powinnaś tak zrobić.

Albert milczał.

- Kto tak mówi? - zapytała Kristina.

- Na twoim miejscu bym tam poszła - odezwała się Conni, otwierając kolejną puszkę budweisera. - A jeśli stało się coś strasznego?

- Coś strasznego rzeczywiście się stało - odrzekła Kristina. - Zderzyłam się z samochodem z przeciwka. Mustang spadł z nasypu, obrócił się w powietrzu, tak mi się przynajmniej wydaje, i wylądował na kołach. Do tej pory nie jestem pewna, czy żyję, czy umarłam.

Jim pogłodził ją po plecach.

- Idź do przychodni - nalegał. - Zrobią badania i wszystko ci powiedzą.

- Nic nie powiedzą, tylko zaarrestują za jazdę po pijanemu.

- A co, piłaś? - zapytała Conni ostrożnie.

- Jasne, że nie! Ale oni tego nie wiedzą.

- Więc idź jutro.

- Jutro będę się czuła lepiej.

Opierając się łokciami o stół, Conni zapytała:

- Powiedz szczerze, Krissy, bałaś się? Wygląda na to, że to był poważny wypadek.

- Czy się bałam? Tak, bardzo. I rzeczywiście wypadek był poważny. Pomyślcie tylko - Kristina z trudem dobierała słowa. - Ktoś mógłby teraz przyjść i zawiadomić was, że nie żyję. Policja mówi, że zginęłam. Chodzi mi o to, co byście zrobili?

- Skończyli tort? - podrzucił Jim.

Nikt się nie roześmiał.

- Jim! - zawołała Conni. - Krissy, to by było straszne, po prostu okropne. Ale nie myśl tak. Myśl pozytywnie. Wyszłaś z tego, żyjesz.

- Równie dobrze mogłabym być martwa.

- To nie był jeszcze twój czas - odezwał się Jim, bębniąc palcami po butelce piwa.

- Dlaczego nie? - zapytała Kristina. - Wiesz, nie chodzi o to, że uniknęłam wypadku. Ja miałam wypadek. Pamiętasz kurs na prawo jazdy? W wyniku zderzeń czołowych dochodzi do większej liczby tragicznych wypadków niż podczas kolizji każdego innego rodzaju. Dlaczego nie zginęłam?

- Jim ma rację - powiedziała Conni. - To nie była twoja pora.

- Skąd wiesz? Może miałam umrzeć.

- Nie. - Jim dalej bębnił po butelce. - Gdybyś miała, tobyś zginęła.

- A skąd wiesz - ciągnęła wolno - kiedy... kiedy jest ten czas?

- Nie wiesz, tylko umierasz.

Kristina zadrzała.

- To takie okropne. To najbardziej okropna rzecz. Możesz umrzeć w każdej chwili, a nie wiesz o tym. I dlaczego? Czemu miałabym umrzeć? To znaczy wiem, dlaczego starzy ludzie umierają, ale ja?

- I nie umarłaś - odparł Jim, wstając i wyrzucając do kosza butelkę. - Nie umarłaś, bo jesteś za młoda i jeszcze nie przyszedł twój czas. Dożyjesz dziewięćdziesiątki i będziesz opowiadać praprawnukom, jak to niemal przeniosłaś się na łono Abrahama w swoje dwudzieste pierwsze urodziny.

- Tak, cóż za rozkoszna opowieść na dobranoc - odrzekła Kristina.

Rozmowa zaczęła się rwać. Wymienili uwagi o zapowiadanych zamieciach - osiemdziesiąt do dziewięćdziesięciu centymetrów śniegu, który ma padać nieprzerwanie od jutrzejszego popołudnia do ranka dnia następnego. Wielu ludzi już wyjechało, by nie trafić na zawieję. Niektórzy odłożyli wyjazd o dzień, żeby ją przeczekać. Kristina zapytała Conni, co zdecydowali. Wybieramy się do domu w środę rano, odrzekła Conni.

Kristina ledwo mogła wstać, a kiedy jej się to udało, dostrzegła, że Albert zacisnął dłonie w pięści. „Otwórz te swoje głupie dłonie”, chciała mu powiedzieć. Na kogo był taki wściekły? Na Jima? Na Conni, dlatego że we wszystko wierzy, wszystko absolutnie kupi? Na nią? Bo nie chce

jechać z nim do Kanady, jak gdyby wyjazd cokolwiek miał rozwiązać, a przecież niczego nie rozwiązywał?

Zaczęli sprzątać, tylko Kristina nie wzięła w tym udziału, gdyż ramię bolało ją z intensywnością, jakiej do tej pory nie znała.

Kiedy już wychodzili, oznajmiła dzielnie:

- Wyprowadzę psa.
- Ja to zrobię - zaproponował natychmiast Jim.

Miała nadzieję, że Albert zaoferuje jej pomoc, ale przypuszczała, że po ostatniej nocy nie wchodziło to w grę. Poza tym ona i Jim mogli wykorzystać sam na sam na to, żeby się pogodzić albo pokłócić; obie możliwości były jednakowo prawdopodobne. Kristina pragnęła w spokoju lizać swoje rany.

- Dobranoc, Kristino - odezwał się Albert. - Wszystkiego najlepszego.

- Wszystkiego najlepszego - powtórzyła. W jej wnętrzu znajdowało się źródło bólu, węzeł, który ją skrępował, złamał i rozrzucił to, co z niej zostało, po całej podłodze.

Chwiejnie wyszła z kuchni. Jim siedł tuż obok.

Tak bardzo chciałyby mu powiedzieć, co czuła. Zamęt w myślach, strach, ból, przekonanie, że jej życie będzie krótkie. Kristina nie chciała być sama.

Chciała Alberta.

Pragnęła czuć to, co zawsze w jego obecności: że nie jest sama na świecie, że ktoś przy niej jest, że ten ktoś to osoba, którą ona kocha najbardziej. A tą osobą był Albert.

Kristina pragnęła Alberta. Tylko że Albert był z Conni.

- Jim, mógłbyś pójść sam z Arystotelesem? - poprosiła i spojrzała na swoje wystrzępione stare tenisówki.

Wyprowadził psa i została sama w pokoju. Powiedziała, że nie czuje się dobrze, co było prawdą, aczkolwiek prawdą też było, że nie miała ochoty wychodzić w ciemność. Wolno zdjęła ubranie i niezgrabnie zaczęła zmieniać pościel.

Kiedy Jim wrócił, musiał włożyć poszewkę na poduszkę, ponieważ Kristina nie mogła tego zrobić. Żadne z nich się nie odzywało, Jim nie zdjął płaszcza. Siedział tylko na łóżku i patrzył na Arystotelesa, podczas gdy Kristina krążyła po pokoju. Lepiej się czuła chodząc, niż siedząc. Po dziesięciu minutach wędrówki usiadła ostrożnie w fotelu. Wciąż pachniał Albertem.

Milczała, myśląc: Może powinnam iść do przychodni. Moje ciało, moje ciało. Tak mnie boli,

tak bardzo boli.

W końcu Jim spojrział na nią zimno.

- Piłaś, Krissy.

- Ty też - odparła, rozcierając zębra, nogę i głowę. - Trzy piwa.

Nawet kiedy był w podłym nastroju, wciąż nazywał ją „Krissy”; nie Kristina, nie Kriss, nie słoneczko, nie ziemniaczek, tylko Krissy. Potrząsnął głową i bez uśmiechu sprecyzował:

- Z obniżoną zawartością alkoholu i tylko dwa. A ty wypilaś sporo.

- Nie jest tak źle.

- Jest - zaprzeczył rzeczowo. - Patrzyłem, jak szłaś po schodach. Jakbyś stąpała po linie z drągiem w dłoniach. Sztywna. Wielka szkoda, że nie pada śnieg, bo już byś była na tym swoim moście, prawda?

- A chcesz, żebym tam poszła, Jimbo? - zapytała z uśmiechem.

- To bez znaczenia - odrzekł obojętnie.

Pomyślała, że kiedyś to miało znaczenie.

- Przedtem się bałaś, jak to robiłam - zauważyła ze smutkiem.

- Tak... Poza tym i tak nie pójdziesz. Potrzebujesz obu rąk do utrzymania równowagi.

- Udowodnię ci, że będę jednoręką artystką cyrkową, balansującą na linie...

- A ja będę tym, kto pozbiera z Tuck Drive to, co z ciebie zostanie.

Będziesz? - zapytała w duchu Kristina. Czy naprawdę będziesz tym, kto podniesie moje rozbite ciało z betonu?

- Dotąd nie spadłam - powiedziała głośno.

Incydent z ubiegłego roku się nie liczył.

- Krissy, statystycznie rzecz biorąc, twoje szanse maleją - odrzekł Jim wolno, cicho. W ogóle nie chce prowadzić tej rozmowy, pomyślała Kristina.

- Jimbo, to nie statystyka, tylko brawura. Nie ma brawury, nie ma chwały.

- Rozumiem. A co z toreadorami? Oni mają mnóstwo brawury. A byki od czasu do czasu wypruwają im flaki i pokazują, gdzie ta brawura się mieści.

Kristina się skrzywiła.

- Czy ty się nie boisz?

- Mówiłam ci, że tak.

- Ach, rozumiem. I o to chodzi, tak? Żeby śmiertelnie się bać?

- Nie, rzecz w tym, żeby zrobić to pomimo śmiertelnego strachu.

Chwilę milczał, a później zapytał:

- Tak, ale nago? Dlaczego musisz być naga?

- To element ekshibicjonizmu - wyjaśniła z uśmiechem. - Na pierwszym roku widziałam, jak kilku facetów z Epsilon House po balandze zdjęło ubrania, z wrzaskiem pobiegło przez Tuck Drive do rzeki i wskoczyło do wody. Wydało mi się to bardzo zabawne.

- Krissy, nie łapię, w jaki sposób ci faceci stali się dla ciebie przykładem.

Przekrzywiła na bok głowę i przygryzła wargi, by zachować panowanie nad obolałym ciałem.

- Jimbo, dlaczego pytasz mnie o to akurat teraz? Nie sądziłam, że to cię niepokoi.

- A kto powiedział, że mnie niepokoi? Nic mnie to nie obchodzi. Byłem tylko ciekawy.

- Nie pójdę - oznajmiła. - Muszę być naprawdę pijana, w przeciwnym wypadku za bardzo się chwieję. I musi padać śnieg.

- Dlaczego?

- Wydaje mi się, że jestem wtedy bezpieczniejsza. No wiesz, gdybym spadła na śnieg.

Jim prychnął. Nie znosiła, kiedy to robił, było w tym tyle pogardy.

- Krissy, wystarczy podmuch wiatru i lecis na beton, bez śniegu czy ze śniegiem.

- Właśnie dlatego robię to tylko wtedy, gdy jest śnieg na ziemi. Nie widać betonu, tylko miękki anielski puch. Obłoki puchu. Wyobrażam sobie - mówiła wolno, szukając odpowiednich słów - jak spadam w ten śnieg i odbijam się od niego, odbijam się od trampoliny śniegu. Wyobrażam sobie, że jestem... naprawdę szczęśliwa.

- Nie jesteś szczęśliwa, Kristino?

- Niezupełnie - przyznała, wpatrując się w sufit. Jim milczał przez chwilę, a potem zapytał:

- Nieszczęśliwa w ogóle czy... niezadowolona z naszego związku?

Zamiast odpowiedzieć na jego pytanie, zadała swoje:

- A ty jesteś zadowolony?

- Nie - wyznał od razu. - Ani trochę.

Kristina skinęła głową, a później ostrożnie zaproponowała:

- Chcesz o tym porozmawiać?

- Nie - odrzekł, oddychając ciężko. - Jestem zmęczony. Chyba jednak u ciebie nie zostanę.

Pogadamy innym razem.

- Nie chcesz zostać? Ale to moje urodziny...

- No tak. - Spojrzał na nią oskarżycielskim wzrokiem. - Chciałem zostać w sobotę.

- Mówiłam ci, że byłam w Czerwonych Liściach.

- Tak mówiłaś. - Wziął kurtkę i poklepał Arystotelesa. - Cześć.

Kristina nie była pewna, czy mówi do niej, czy do psa.

- No cóż... - zaczęła, z trudem podnosząc się z fotela. - Porozmawiamy innym razem, jasne, Jimbo.

- A cóż to miało znaczyć?

Westchnęła ciężko.

- Jim, ty nigdy nie chcesz o nas rozmawiać.

- Bo nie ma o czym, Krissy.

- Ach tak?

Wróciła myślami do tych chwil sprzed kilku godzin, kiedy samochód przekoziółkował i wylądował na twardej ziemi, na której nie leżał śnieg. Gdzie był ten miękki śnieg, mający ją otoczyć i ochronić przed przeznaczeniem?

- Jim, kochasz mnie? - zapytała, zbliżając się do niego.

- Oczywiście - odrzekł z wahaniem. - A czy ty mnie kochasz?

Kristina lekko dotknęła jego policzka.

- Nie sądzę, żebyś był ze mną szczery, Jimbo. Myślę, że mnie nie kochasz.

Znowu się zawahał. Spojrzał na nią gniewnie, a potem wybuchnął:

- Dajże spokój. Chodzi ci o to, że przestałem?

- Chodzi mi o to, że nigdy mnie nie kochałeś.

- Nie bądź śmieszna.

- A jestem, naprawdę, Jim?

- Tak.

Zauważyła jednak, bo trudno było tego zauważyć, że nie pocieszył jej ani nie przytulił, nie spróbował w żaden sposób przekonać, że się myli.

- Pozwól, że cię o coś zapytam. Czy kochasz Conni?

Roześmiał się zakłopotany.

- A cóż to za pytanie? Kiedyś kochałem.

- Wciąż ją kochasz.

- Kiedyś - powtórzył stanowczo.

- Była miłością twojego życia, prawda?

Jim przez chwilę milczał.

- Byłem w niej zadurzony po uszy, to prawda - wyznał potem.,

- Byłeś zadurzony - powtórzyła.

- Wtedy tak.

- A, dajże spokój. - Uniosła błagalnie rękę. - Bądź ze mną szczery, Jim, przynajmniej ten raz.

- Czy ci na tym zależy? - zapytał chrapliwie; na sekundę twarz wykrzywił mu grymas. - Na szczerości? I ma być wzajemna, Krissy?

Poczuła się zaskoczona, musiała zebrać myśli.

- Tak, wzajemna. Co chcesz wiedzieć?

Jim patrzył na nią przez chwilę, a potem rzucił z pogardą:

- Daj spokój. Zapomnij o tym. Zbieram się.

- Co chcesz wiedzieć, Jimbo? - powtórzyła, podnosząc głos.

- Nic.

- Tak właśnie myślałam - odrzekła spokojnie.

Miała sucho w ustach. Jim wyszedł.

Kristina opadła na łóżko i próbowała unieść rękę, co niezupełnie jej się udało. Jak zawsze przerwali kłótnię w połowie. Jim zwykle wychodził w środku sporu, ona nie nalegała, wracał więc do swojego pokoju albo ona do swojego, a następnego dnia spotykali się i rozmawiali o problemach politycznych, o następnym artykule do „Review”, o tym, co zjeść na śniadanie albo o Conni i Albercie. I tak to szło, jakby nie było owych niedokończonych rozmów, w trakcie których on mówił, że nigdy jej nie kochał. A ona na to pozwalała.

Leżąc na plecach, Kristina miała wrażenie, że gdzieś frunie. Szybowała przez ciemne niebo New Hampshire ku wzgórzom Vermontu. Frunęła ku Fahrenbrae, nad Fahrenbrae, nad nimi dwojgiem biegnącymi za Arystotelesem. Zamknęła oczy. Nie chciała już latać. Pragnęła tylko czuć obok siebie Alberta, widzieć jego cudowną twarz, dotykać włosów, przyciskać usta do jego wspaniałych, wykonanych domowym sposobem tatuaży.

ROZDZIAŁ TRZECI

WTOREK

Były złe sny i ból. Obudziła się zrana potem, palce lewej ręki miała zdrętwiałe. To jej nie martwiło. Zmartwiła się natomiast, że łzy płyną jej strumieniem po policzkach, spływają za uszy i wsiąkają we włosy- Łzy! One ją zbudziły. Czuła, że płacze, a kiedy otworzyła oczy, nie potrafiła przestać. Wszystko ją bolało.

Ostrożnie zwlokła się z łóżka i usiadła w fotelu Alberta. Lampy uliczne rzucały zimne światło na brudne białe zasłony. Kristina otarła twarz. Co się ze mną dzieje? Przecież to tylko kolejny głupi weekend z okazji Święta Dziękczynienia.

Kiedy była małą dziewczynką, nigdy nie płakała. Nie miała powodów. Nie płakała, choć tak wielu rzeczy się lękała: mrocznego i cichego domu bez matki, wypadku samochodowego cioci, huraganów, śmierci.

Jako nastolatka nauczyła się panować nad strachem.

Znowu wytarła twarz. Myślała o tym, jak blisko była śmierci. Przed oczyma przemknęły jej sceny z wypadku: samochód i zalew, czołganie się po zboczach, byle dalej od tego fatalnego miejsca. Dotykając połamanych paznokci, zadrżała. Czy to właśnie ją obudziło? Sceny z wypadku?

Gdyby umarła, co stałoby się z jej pieniędzmi teraz, kiedy ona i Howard są już rozwiedzeni? Umarłaby, nie zostawiwszy nawet nagryzłonej notki. Kto zaopiekowałby się psem? Kto zabrałby rzeczy z jej pokoju w akademiku i zawartość skrytki bankowej? I całą resztę?

Tarła oczy tak długo, aż zaczęły ją boleć. W ciemności uderzyła ją pewna myśl: niedokończona sprawa tutaj, w akademiku Dartmouth.

Przyjechała do Dartmouth, żeby uporządkować życie. Ironia polegała na tym, że w trzy lata później nic się nie zmieniło. Gdzie popełniła błąd?

Dartmouth był pięknym college'em. Malowniczy, poważny, mały campus w samym środku gór na brzegu rzeki Connecticut, naturalnej granicy pomiędzy stanami New Hampshire i Vermont.

Pomysł, by studiować właśnie w Dartmouth, pojawił się, gdy Kristina kończyła średnią szkołę

i próbowała znaleźć drogę wyjścia z życia, którego nie mogła już dłużej prowadzić. Pojedzie do Dartmouth, zacznie się pilnie uczyć, znajdzie dobrą pracę, miłego faceta, wyjdzie za mąż, urodzi dzieci.

Wydawało się jej wówczas, że jeśli będzie zachowywała się normalnie, robiła normalne rzeczy, miała normalnego chłopaka, jej życie wkroczy na inny tor. Normalny.

Tak więc przyjechała do Hanover, uczyła się w Dartmouth i pracowała w Czerwonych Liściach, grała w koszykówkę, poznała miłego chłopaka.

Jim i Kristina naprawdę się starali. Nawet po jej powrocie ze Szkocji, po owych czterech miesiącach, kiedy prawie wcale o nim nie myślała, próbowali wrócić do dawnej zażyłości. Sądziła, że pragnie spędzić z nim życie. Nie był próżniakiem ani zawadiaką, nie był wytatuowanym długowłosym błaznem bez przyszłości.

Kristina wybrała Jamesa Allbrighta Shawa. Był jej chłopakiem.

Lecz Jim jej nie kochał. Tego nie przewidziała.

Studia. Można by pomyśleć, że łatwo udawać miłość, kiedy jest tyle wspólnych spraw: zajęcia, nauka, imprezy, posiłki u Thayera trzy razy dziennie. College był wielkim poskramiaczem, ciepłym kocem, który miękko otulał studentów i zapewniał bezpieczeństwo. Jak można się nie zakochać, będąc w college'u? Większość poznanych w trakcie tych trzech lat dziewcząt i chłopców to robiła. Nawet więcej niż raz. Kristina знаła dziewczynę, która w pierwszym semestrze pierwszego roku miała siedmiu chłopaków, a teraz wróciła do chłopaka numer jeden.

Każdy zakochałby się w tym maleńkim zimnym miasteczku otoczonym górami. Cztery tysiące studentów, ponad dwadzieścia imprez tygodniowo, sale zajęć pełne graczy Ivy League, rozgrywki w soboty, zimowy karnawał. Każdy czytał „Dartmouth”, każdy przeciwko czemuś protestował, każdy robił zakupy w tym samym sklepie i jadł w EBA. Różnice pomiędzy poszczególnymi osobami ulegały stłumieniu. Wszyscy interesowali się sztuką, wszyscy pochodzili z porządnych rodzin, przykładali wagę do wykształcenia, ciężkiej pracy i przyszłości. W gruncie rzeczy różnili się wyłącznie płcią. A podręczniki usiłowały także i to zniwelować.

Dzisiaj to był Jim, wczoraj mógł być Barry, który dwa lata temu zaprosił Kristinę na Cape Cod, jutro z kolei przystojny detektyw, który obserwował ją, gdy sznurowała buty, i zaprosił na kawę. Spencer Patrick O'Malley.

Mimo to Kristina siedziała w kompletnej ciemności, z bólem głowy i alkoholem krążącym w

żyłach, ubrana tylko w stanik i figi, a łzy spływały jej po policzkach wprost do ust.

Jim jej nie kochał. Nie mógł tego ukryć nawet Dartmouth College.

Pomiędzy nimi wszystko było nie tak. Gładził ją po szyi i rewelacyjnie masował plecy, nigdy wszakże nie patrzył na nią tak jak Spencer O'Malley. Nigdy w jego spojrzeniu nie malował się wyraz, który Kristina dostrzegła, gdy pewnego razu patrzył na Conni. Nie miała przesadnego mniemania o swojej piękności - czasami własna uroda na nią nie działała i rozumiała, że może też nie działać na mężczyzn. Ale jej chłopak nie powinien traktować jej obojętnie. Albert nigdy jej tak nie traktował, lecz Kristina usiłowała siebie przekonać, że nie chodzi tu o niego. Nie chciała powtarzać uczucia, jakie budził w niej Albert, pragnęła pozbyć się destrukcyjnego, obsesyjnego, gwałtownego pożądania, bo to nie była miłość, tylko szaleństwo. A ona marzyła o zdrowej miłości.

Na dworze pojaśniało.

Wstała z fotela i podeszła do nocnego stolika. Butelka southern comfort była pusta. Ciekawe, co się stało z prezentem urodzinowym. Zapomniała zabrać go z przyjęcia.

Okrążyła pokój kilka razy i usiadła na łóżku. Uporządkuj życie, dźwięczało jej w głowie. Uporządkuj życie.

I dlatego jestem taka przerażona, pomyślała, wycierając twarz. Nie boję się śmierci, wcale nie, tylko przyszłości.

Przypomniała sobie ostatni zimowy karnawał, kiedy ona i Jim lepili bałwana na łące. Zajęło im to dwie godziny, Jim zmarzył na kość, ale nie zrezygnowali, póki nie znaleźli kapelusza i węgla; Jim nawet pobiegł do Collisa i zdobył połówkę marchwi. Kristina była zaskoczona, że Collis ma coś równie świeżego jak warzywa. Wówczas Jim kochał ją troszeczkę, pomimo Edynburga.

Kristina chętnie by usłyszała od niego, że jej nie kochał. „Nie Kocham cię, Kristino. Mogłem uratować cię swoją miłością. Wydobyć z mrocznych odmętów, w których się pograżałaś, uczynić szczęśliwą - i wolną. Mogłem wyzwolić cię swoim uczuciem, mogłem sprawić, byś zapomniała o tamtym szalonym, mrocznym mężczyźnie. Lecz ja cię nie Kocham, więc nie będziesz uratowana, wcale nie. Graj w kosza, uciekaj w sport, pisz artykuły, zaopiekuj się Evelyn. Ale i tak nie zostaniesz uratowana”.

Kristina narzuciła na siebie jakieś okrycie, wymknęła się z pokoju i poszła na dół do Jima.

- Jimmy, obudź się - powiedziała łagodnie, siadając na łóżku i trącając go zdrową ręką. -

Musimy porozmawiać.

Jęknął i odwrócił się do niej plecami. Znowu nim potrząsnęła.

- Obudź się, proszę.

Otworzył oczy i zaspanym głosem zapytał:

- Która godzina?

- Wczesnie. O której świta?

- Och - mruknął. - Mam jutro zajęcia. Proszę, nie budź mnie.

- Nie, to ja cię proszę - odrzekła Kristina z naciskiem.

Jim usiadł, opierając się o ścianę.

- O co chodzi?

Potarła dłonią twarz.

- Jimbo, wydaje mi się, że między nami wszystko skończone.

- Wydaje ci się? - prychnął.

- Naprawdę bardzo mi przykro - powiedziała ze wzrokiem utkwionym we własnych kolanach.

Nie mogła spojrzeć mu w twarz. - Nie umiem sprawić, żebyś był ze mną szczęśliwy.

- Cóż, rzeczywiście bardzo się starałaś.

- Staralam się, naprawdę.

- Nieprawda. Zbyt byłaś zajęta koszykówką, Czerwonymi Liśćmi, nawet „Review”...

- Dla ciebie liczę się tylko dlatego, że piszę do „Review”.

- Nie wyświadczasz mi przysługi - warknął.

- Posłuchaj, nie mogę powiedzieć, że bym była z tobą szczęśliwa.

- Krissy, ty z nikim nie potrafisz być szczęśliwa.

- A skąd wiesz? - zapytała podniesionym głosem; wstała i zaczęła chodzić nerwowo z kąta w

kąt. - Czy kiedykolwiek próbowałaś mnie uszczęśliwić?

- Umawiałem się z tobą, no nie?

Ty świnió, pomyślała Kristina, głośno zaś odparła:

- Nie wyświadczasz mi przysługi.

- Powiem ci coś - oznajmił Jim. - To istotnie dobry pomysł, żebyśmy zerwali. Ja od dawna nie jestem szczęśliwy.

- Nigdy nie byłeś.

- Byłem. Zanim cię poznałem.

Kristina czuła, jak serce jej się ściska, mimo to zdołała odpowiedzieć:

- Nie wiem czemu, ale trudno mi w to uwierzyć.

Usta jej drżały, łzy cisnęły się do oczu. Przez niego zaraz się rozpłaczę, ale zrobi wszystko, by nie dać mu tej satysfakcji. Wiedziała, że Jimowi mówienie o sprawach osobistych nie przychodzi łatwo. Taki był. No i dobrze.

Teraz roześmiał się z zakłopotaniem.

- Trudno mi uwierzyć, że tak długo ze sobą byliśmy.

- Nie mów tak, Jim. Nie zawsze źle się między nami układało.

- Czyżby?

- Nie. Zmieniło się, kiedy sobie uświadomiłam, co do mnie czujesz. A ściśle rzecz biorąc, czego do mnie nie czujesz.

Patrzył na nią zimno, siedząc bez ruchu na łóżku.

- O czym ty mówisz? - zapytał.

Kristina wciąż krążyła po pokoju, bolała ją ręka zwisająca bezwładnie przy boku. Nie od razu odpowiedziała, przez chwilę słowa nie chciały przejść przez ściśnięte gardło. Wreszcie jej się udało.

- Zapomnij o tym, Jimbo - opanowała się wreszcie. - Jestem tu, bo miałam nadzieję, że może porozmawiamy.

- Nieprawda - odparował Jim z pogardą. - Obudziłaś mnie, bo miałaś nadzieję, że dzięki mnie poprawi ci się samoocena, zawsze tego ode mnie chciałaś. Ale ja nie zamierzam w tym celu zaniedbywać własnej pracy. Nie specjalizuję się w psychologii.

- To przynajmniej mamy jasność - mruknęła Kristina. - Boże! Wcale nie chcę, żebyś mi poprawiał samoocenę. Niczego nie zrozumiałeś. - Nie rozpłaczę się w jego obecności. Nie teraz. Na pewno nie. - W takim razie już pójdę - dodała, starając się, by jej głos brzmiał spokojnie.

- Cześć, Krissy - odpowiedział Jim niepewnie.

Kiedy nie wykonał żadnego ruchu, by ją zatrzymać, wyszła.

Załamana usiadła na swoim łóżku. Boże, pomyślała, obudziłam się i czułam się podle, nie potrafiłam jasno widzieć. A teraz jest jeszcze gorzej, o wiele gorzej.

Wokół panowała cisza, światło zimowego poranka nadawało wszystkiemu błękitną barwę. Arystoteles zaskomlał.

- Wiem, jak się czujesz, piesku - powiedziała Kristina smutno. - Dokładnie wiem.

Położyła się obok niego na wytartym dywanie, pocałowała w czubek głowy i mimo bólu zasnęła.

Przespała dwa poranne zajęcia i trening koszykówki. Za bardzo wszystko ją bolało, by mogła grać. Kiedy obudziła się na podłodze, Arystotelesa nie było. Ktoś go zabrał, a na nią, jakby po beztróskim namyśle, narzucił koc. Ciekawe, kto to zrobił. Albert? Jim? Conni?

I znowu na jawie towarzyszyło jej to straszne uczucie ociężałości i rozpacz, z którego nie potrafiła się otrząsnąć. W głowie jej się nie mieściło, że zostawiono ją samą na tak długo. Zwykle ktoś ją budził.

Podnosząc się z wysiłkiem na nogi, uświadomiła sobie, że to jednak nie rozpacz. Jej ciało pulsowało bólem.

Jak długo zostawili mnie na podłodze? - zastanawiała się, rozczesując splątane włosy. Jak długo leżałam? Czy wszyscy wyjechali? Do Wilmington i do Cold Spring Harbor - a mnie zostawili z Arystotelesem? Zerknęła na zegar. Południe już dawno minęło.

Ubieranie się było męczarnią. Ramię bolało ją bardziej niż wczoraj, zdołała jednak unieść je na wysokość pasa, potrzymać tak przez kilka strasznych sekund, po czym delikatnie opuścić.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Nie rozpoznała pukającego, ale serce się jej ścisnęło.

- Kto tam?

- Policja, proszę otworzyć.

Kristina uniosła brwi, wzdychając z przygnębienia. Tylko nie to na dokładkę do całej reszty.

- Chwileczkę, ubieram się! - zawołała.

Pukanie się powtórzyło.

- Natychmiast otwierać drzwi!

- A niech to - mruknęła pod nosem i poszła do drzwi tylko w bluzie i figach.

W progu ujrzała niskiego krępego policjanta, który podetknął jej pod oczy legitymację, oraz Spencera O'Malleya.

Spencer, stojący dwa kroki z tyłu, powściągnął uśmiech. Jego kolega nie krył zakłopotania.

- Jak się panowie miewają? - powitała ich Kristina z największą uprzejmością. - Gdyby panowie mogli dać mi parę minut, byłabym bardzo wdzięczna.

Spencer milczał, drugi policjant natomiast, czerwony i zmieszany, dotknął swojej odznaki, ze wszystkich sił starając się ominąć Kristinę wzrokiem.

- Proszę bardzo.

Kristina podziękowała i zamknęła drzwi. Otworzyła je po chwili, mając już na sobie spodnie od dresu.

- A teraz - odezwała się z uśmiechem - czym mogę panom służyć?

Niczym nie zdradziła, że zna Spencera, który trzymał w dłoniach jej nową torebkę.

Krępy policjant przedstawił się jako Ray Fell, on też zadawał jej pytania.

- Czy pani Kim?

Miał grube szkła w czarnych oprawkach oraz gęstą, niesforną czarną czuprynę. Wyglądał bardziej na informatyka niż na gliniarza.

- To ja - potwierdziła Kristina.

- Czy jeździ pani brązowym fordem mustangiem rocznik 1981 ? - zapytał, po czym z prawa jazdy odczytał numer rejestracyjny.

- No cóż, odpowiedź na to pytanie brzmi „nie”.

- Nie?

- Już nie jeżdżę fordem mustangiem.

Spencer uśmiechnął się, sierżant Fell zmarszczył brwi.

- Według dokumentów jest pani właścicielką wyżej wymienionego pojazdu - oświadczył ostrzejszym tonem.

- Nie jeżdżę nim od wczoraj - wyjaśniła Kristina.

- Czy miała pani wypadek?

- Tak, bez wątpienia.

- Pani Kim, czy opuściła pani swój samochód po wypadku?

- To prawda - odrzekła, patrząc na O'Malleya. W przeciwieństwie do kolegi nie miał na sobie munduru.

- Czy orientuje się pani, że oddalenie się z miejsca wypadku jest przestępstwem? - ciągnął Fell. - Chodzi o postępowanie powypadkowe, uznaje się to za ciężkie wykroczenie. Kierowcy pojazdu nie wolno oddalić się z miejsca zdarzenia, jeśli doszło do uszkodzenia ciała lub przedmiotów.

- Przepraszam. Nie miałam o tym pojęcia.

- Nie wiedziała pani, że trzeba czekać na przyjazd policji?

- Nie. Było bardzo ciemno, a ja chciałam tylko się stamtąd wydostać... Dzisiaj miałam zamiar

wezwać pomoc drogową i odholować moje auto na złomowisko.

- Pani Kim, chyba się pani orientuje, że musi pani wypełnić formularz powypadkowy. Czy powiadomiła pani swoją agencję ubezpieczeniową?

- Nie. Wszystkim tym chciałam się zająć dzisiaj.

Policjant kiwnął głową.

- Czy może pani udać się z nami na posterunek? Przeprowadzimy tam krótką rozmowę.

- Panowie, naprawdę zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby z panami współpracować, ale mam sprawdzian z rachunku logicznego, którego pod żadnym pozorem nie mogę opuścić.

- Pani Kim - oznajmił Fell podniesionym głosem - utrudnianie pracy policji także jest wykroczeniem, karanym więzieniem albo grzywną. Czy zechce pani z nami pojechać?

- Moim zamiarem wcale nie jest utrudnianie pracy policji - odrzekła Kristina poważnie. - Chętnie bym z panami pojechała, ale może nieco później. Czy dajmy na to czwarta po południu to odpowiednia pora?

Jest parę spraw, które musi załatwić wcześniej.

- Nie, proszę pani. Pojedzie pani teraz.

Detektyw O'Malley zrobił krok do przodu, kładąc dłoń na ramieniu kolegi.

- Czy była pani w szpitalu? - zapytał.

Kristina zaprzeczyła ruchem głowy.

- Możemy panią odwiedzić do Dartmouth-Hitchcock. Nieźle oberwała pani w twarz. - Spojrzał na jej bezwładną rękę. - Ktoś powinien panią obejrzeć.

Kristina pomyślała, że ktoś już to zrobił.

- Sierzancie - zwrócił się Fell do swego partnera - wydawało mi się, że ona ma jechać na posterunek.

- Wiem - zgodził się Spencer. - Ale nie martw się, pani Kim nigdzie się nie wybiera. - I znowu spojrzął na Kristinę. - Pani Kim, naprawdę musi panią zbadać lekarz.

Słowa „pani Kim” zabrzmiały niemal czule.

Kristina nie odrywała wzroku od jasnoniebieskich oczu Spencera.

- Dobrze się czuję, a poza tym zawsze mogę iść do przychodni studenckiej. Tak więc dziękuję za propozycję. Proszę mi tylko powiedzieć, czy wystarczy, jeśli zgłoszę się na posterunek po południu?

- To nie wchodzi w grę. Już grozi pani aresztowanie - oznajmił Fell. - Procedura policyjna przewiduje, że raport powypadkowy należy sporządzić natychmiast po zdarzeniu. Pani oddaliła się z miejsca wypadku. Musi pani pojechać z nami.

Detektyw O'Malley zakaszłał i ponownie położył rękę na ramieniu kolegi.

- Raymond, czy mógłbyś poczekać na mnie na dole?

Ray Fell niechętnie ruszył do wyjścia; Kristina, choć niewiele wiedziała o hierarchii policyjnej, zrozumiała jednak, że otrzymał rozkaz, który musiał wypełnić.

Kiedy zostali sami, Spencer wręczył Kristinie torebkę.

- Nie przypuszczałem, że tak szybko się spotkamy.

Torebka o mało nie wypadła jej z dłoni.

- Nie domyślasz się? Zainscenizowałam wypadek, żebyśmy mogli jak najszybciej się zobaczyć.

Zareagował natychmiast.

- Nie musiałaś robić sobie aż takiego kłopotu.

- To żaden kłopot.

- Wiesz, wpadłaś w poważne tarapaty. Mój kolega bardzo się zdenerwował.

- Dzięki, że mi pomogłeś.

Kristina miała ochotę zaprosić go do pokoju, ale wstydziła się bałaganu. Nie chciała, by Spencer uznał ją za niechlujka. W duchu przyrzekła sobie, że gdy tylko będzie miała czas, natychmiast posprząta. Dzięki Bogu, że się uczesała.

- Wiesz, że popełniłaś przestępstwo.

- Ale ja nie miałam pojęcia, że to przestępstwo.

- Dlaczego nie poczekałaś na pomoc?

Kristina poczuła impuls, by powiedzieć mu prawdę.

- Nie przepadam za szpitalami. A poza tym wczoraj miałam urodziny. Urządziliśmy przyjęcie.

- A, to wszystkiego najlepszego. Przyjęcie się udało?

- Bardzo.

- Czujesz się staro, mając dwadzieścia jeden lat?

- Tak, a skąd wiesz?

- Bo niedawno skończyłem trzydziestkę. To dopiero jest starość.

Myślała, że Spencer wygląda młodo z tą szczeciniastą fryzurą. Sprawiał wrażenie chłopaka,

który właśnie wyszedł z wojska.

- Rzeczywiście macie test z rachunku? - zapytał łagodnie.

- Cóż... gdybym chodziła na rachunek, to bym miała. - Kristina poczekała, jaki wyraz pojawił się na jego twarzy, a potem wyjaśniła: - Tak naprawdę to nie mam żadnego testu, ale przed trzecią muszę być w banku.

- A co, porządkujesz swoje finanse z okazji pełnoletności? - zapytał żartobliwie.

- Coś w tym rodzaju - potwierdziła, spoglądając gdzieś w bok.

Spencer skrzyżował ręce na piersi.

- Powiedz mi, czy chcesz, żebym przetrzymał raport z wypadku na po świętach?

- A możesz to zrobić? - zapytała z entuzjazmem.

Wzruszył ramionami.

- Jasne, prowadzę sprawę, więc mogę zrobić wszystko. Tylko nie mogę pozwolić, żeby odkrył to mój szef. Miałbym za swoje.

- Doskonale - zgodziła się Kristina. - A jaki jest haczyk?

- Nic, tylko... - zmieszał się i urwał. Zobaczyła, że jego policzki zalewa rumieniec. Przyjrzała mu się uważnie. Czerwieniał coraz bardziej i jąkał się, szukając odpowiednich słów: - Chodziło mi tylko o to... zastanawiałem się, czy ty... czy nie moglibyśmy... eee... wpaść gdzieś na kolację albo coś w tym rodzaju.

Kristina się uśmiechnęła.

- Kolacja, tak?

- Tak, o ile oczywiście miałybyś ochotę. - Spencer spuścił wzrok.

- A gdzie?

- U Jesse. Mają tam najlepsze steki. Lubisz steki?

- Uwielbiam, ale nie jadam ich często.

- Czy mam rozumieć, że się zgadzasz?

- Masz rozumieć, że sama nie wiem - odpowiedziała z wahaniem. Serce zaczęło jej szybciej bić. Ogarnęła ją ochota, by dotknąć jego króciutkich włosów. - Jestem taka zajęta...

- Chodzi o wieczór. To chyba nie wielkiego?

Przechyliła na bok głowę.

- A jaki wieczór masz na myśli?

- Na przykład w piątek.

- Najbliższy?

Dotknął dłonią włosów.

- Czemu nie? Zaraz, zaraz, poczekaj, przecież mamy świąteczny weekend.

- Tak.

Naprawdę chętnie umówiłaby się z nim na piątek, ale nie chciała, by pomyślał, że nie ma własnego życia. Spencer jej to ułatwił.

- To może za tydzień? - zaproponował.

- Doskonale - zgodziła się szybko. - Doskonale, detektywie O'Malley. Możesz zaprosić mnie na kolację w rewanżu za to, że mnie nie wsadzisz do pudła.

- Nie bądź śmieszna, nikt nie zamierza wsadzać cię do pudła. Czy będziesz mogła zgłosić się na posterunek w poniedziałek? A może chcesz, żebym po ciebie przyjechał?

- Nie przejmuj się, dam sobie radę.

Spencer uśmiechnął się, a Kristina pomyślała, że ma piękny uśmiech. Rewelacyjne zęby.

- Nie masz zamiaru się zgłosić, prawda? - zapytał, mało skutecznie próbując ukryć zadowolenie z jej zgody.

- Ależ mam. - Myślała, że dzięki temu zyska kolejną szansę spotkania się z nim, widziała jednak wyraźnie, że go nie przekonała. - A ten piątek... o której?

- To zależy od ciebie. Pracuję do piątej.

- Gramy z Crimson, mecz skończy się około dziesiątej. Czy to nie za późno? Możemy się spotkać kwadrans po.

- Idziesz na mecz?

- Co to znaczy: idziesz? Ja gram - odparła Kristina.

Spencer z powątpiewaniem pokręcił głową.

- Z taką ręką na pewno nie zagrasz.

- Co masz na myśli? - Poczwała ukłucie strachu.

- Tylko to, że nie będziesz mogła grać tą ręką.

Nie chciała o tym rozmawiać, nawet z nim.

- Nic mi nie będzie - odrzekła z uporem.

Przyglądał jej się z rozbawieniem.

- Tu mam po ciebie przyjechać?

- To zależy, czy zamierzasz przyjechać wozem policyjnym, czy normalnym.

- Jak wolisz, Kristino.

Uśmiechnęła się, nie potrafiąc ukryć zadowolenia.

- Więc przyjedź policyjnym, na sygnale, dobrze?

- Dobrze - zgodził się Spencer. - Specjalnie dla ciebie dołożę drugą syrenę.

- A ja się dla ciebie wystroję - przyrzekła.

Muszę kupić sukienkę, pomyślała.

- Umowa stoi - powiedział Spencer, potem impulsywnie wyciągnął rękę i dotknął twarzy Kristiny. Zanim wyszedł, dodał: - Ten wypadek wygląda mi na paskudny. Masz szczęście, że żyjesz.

- Wszyscy mamy, czyż nie? - zażartowała, na dnie duszy wiedziała jednak, że miał rację.

- Przyrzeknij mi coś - odezwał się jeszcze. - Jeśli do jutra stan twojej ręki się nie poprawi, pójdziesz do lekarza.

- A wygląda tak źle? - zapytała nieśmiało.

Spencer kiwnął głową.

- Wygląda bardzo źle, bark chyba jest zwichnięty. Niełatwo ci nią poruszać, prawda? Nigdy nic nie wiadomo, uraz może być poważny. Przyrzeknij mi.

- Zgoda, detektywie O'Malley - odrzekła, próbując machnąć ręką. - Przyrzekam.

Podawała mu prawą dłoń, którą chwilę przytrzymał. Jego ręka była ciepła i silna. Kierując się już ku schodom ewakuacyjnym, Spencer dodał trochę niepewnym, żartobliwym tonem:

- I nie próbuj wystawić mnie do wiatru, bo zaaresztuję cię za okłamanie funkcjonariusza policji.

- A czy to także jest wykroczenie?

- Przestępstwo, za które grozi najwyższa kara.

- Nie martw się - roześmiała się Kristina. - Będę na pewno.

- Do zobaczenia.

- Do zobaczenia, Spencerze.

Patrzyła, jak znika za drzwiami i zaraz wraca, by jeszcze raz na nią spojrzeć. Ciało Kristiny na ten widok przestało pulsować bólem. Uczucie wielkiej przyjemności podziałało na nią kojąco.

Zamknęła za sobą drzwi, zaraz jednak wróciła i przekręciła klucz. Usiadła przed komputerem i założyła nowy plik. Pośpiesznie wystukała datę - 23 listopada 1993 - oraz godzinę - 14.29. Następnie napisała nagłówek: „Do wszystkich zainteresowanych”. Skasowała go jednak i

zamieniła na zwrot: „Szanowni Państwo”. Tak jest o wiele lepiej. Napisała krótką notatkę, wydrukowała i wyłączyła edytor tekstu. Kiedy na ekranie pojawiło się pytanie, czy zachować plik, odpowiedziała przecząco.

Padał śnieg, gdy wyszła z akademika. Nieustannie wirujące płatki sprawiały wrażenie wszechwładnych. Kristina ciekawa była, czy Albert, Conni i Jim wyjechali już na weekend. Nie, to niemożliwe, Arystoteles nie było w pokoju. Nie zabraliby psa bez powiadomienia jej.

Marznąć w cienkich spodniach, Kristina pośpieszyła do banku. Mogła włożyć drugą bluzę, ale najbardziej pragnęła odzyskać płaszcz. Może zadzwonić do Spencera O'Malleya i poprosić, żeby zawiózł ją do Fahrenbrae? Nie. Zbyt wiele pytań. Fahrenbrae nie było rzeczywiste dla nikogo poza nią i Albertem i wołała, aby tak zostało.

Bank zamykają o trzeciej. Musi się pośpieszyć.

Pośpiech jednak okazał się trudną sprawą; w czasie upadku uderzyła się kolanem o dół deski rozdzielczej i teraz bolało ją jak diabli. Na East Wheelock, dokładnie naprzeciw Hanover Inn, zwolniła i poczekała, aż przejadą samochody. Dlaczego tak się śpieszę? - pomyślała. Najwyżej tego

nie załatwię. Zawsze jest jeszcze jutro. Przecież jutro banki też są czynne, no nie? I będę sama. Mogę iść jutro, to naprawdę nie ma znaczenia. A jednakże zależało jej, by niezwłocznie oficjalnie poświadczyć podpis na notatce.

- Przykro mi, już zamknięte - oznajmił strażnik, wsuwając klucz w drzwi.

- Proszę posłuchać, chcę tylko włożyć coś do mojej skrytki bankowej i sprawdzić stan konta.

Niech pan mnie wpuści - wyrzuciła z siebie, z trudem łapiąc powietrze.

Strażnik zawołał jedną z pracownic, która z ociąganiem otworzyła drzwi.

- Tylko proszę się pośpieszyć - poleciła kobieta.

Będę tam szybciotko, skoczę na jednej nodze, pomyślała Kristina.

- To zajmie tylko sekundkę. Dzięki.

Chwilę czekała, nim wpuszczono ją do pokoju przy skarbcu.

- Dzień dobry, panie Carmichael, czy może mi pan poświadczyć pewien dokument?

Carmichael, pięćdziesięcioletni chudy mężczyzna z siwą brodą, uniósł wzrok do nieba, a potem uśmiechnął się miło.

- Zamknięte, Kristino - wyjaśnił cierpliwie. - Rozumiesz, co to znaczy?

- Rozumiem, ale pan może to zrobić, panie Carmichael, prawda?

Westchnął.

- O jaki dokument chodzi?

- Proszę tylko poświadczyć mój podpis. - Wyjęła kartkę papieru, złożoną tak, by nie było widać tekstu.

- Muszę znać treść, Kristino - wyjaśnił cierpliwie urzędnik. - Orientujesz się, że takie są zasady. Już wcześniej poświadczałem ci różne papiery.

Nie było wyboru, musiała rozłożyć kartkę.

Przeczytawszy tekst, Carmichael zerknął na Kristinę, która miała nadzieję, że na jej twarzy maluje się obojętność.

- Dobrze, podpisz tutaj - polecił.

Kiedy to zrobiła, wyjął swoją pieczętkę i przystawił ją w odpowiednim miejscu, potem otworzył skrytkę i zostawił Kristinę samą.

Ostrożnie wsunęła poświadczony dokument do szarej koperty z papierami rozwodowymi, a następnie szybko przerzuciła zawartość sejfów. Po krótkim namyśle nagryzmoła coś ołówkiem na odwrocie starego listu. Schowała go w skrytce i wyszła.

- Przyjemnego święta, panie Carmichael! - zawołała. - I bardzo panu dziękuję!

- W każdej chwili do usług, Kristino. Baw się dobrze. - Pomachał do niej na pożegnanie.

Tak, to święto będzie po prostu super, pomyślała, żalując, że zapomniała płaszcza i nie ma pod ręką drinka, a także marząc, by w głowie przestało jej łupać. Cieszyła się, że zdążyła do banku. Jutro zamierzała spać aż do zachodu słońca.

Padał coraz gęstszy śnieg, nie płatkami, tylko grubymi grudkami, które wyglądały jak śnieżki. Spadały z nieba na włosy i twarz Kristiny. Samochody jechały wolno po Main Street, bezszelestnie przesuwając koła po śniegu. Chodniki i zielone sklepowe markizy pokrywało białe futro, tylko nieruchome drzewa stały czarne i nagie.

Przeszedłszy na drugą stronę Main Street, Kristina rozważała, czy powinna iść do Petera Christiana, żeby kupić sobie na wynos placek z marchwi - był taki okres zeszłego lata, kiedy wyłącznie tym się żywiła - zdecydowała jednak, że lepiej będzie, jeśli jutro, kiedy wszyscy wyjadą, wpadnie tu na spokojny lunch i poczyta gazetę.

Nie miała w ustach nic od poprzedniego wieczora. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin jadła lodowy tort w Czerwonych Liściach, niemiecki tort czekoladowy i piła southern comfort. Niezła dieta. A mimo to nie była głodna. Bolała ją tylko głowa.

Na wspomnienie poprzedniego dnia zrobiło się jej zimno. Czy naprawdę zaledwie wczoraj o mało nie umarłam? A jeśli doznałam wstrząsu albo mam wewnętrzny krwotok i wykrwawię się na śmierć? Krew będzie wyciekać z naczyń w mózgu i spływać w dół ciała, aż cała się zbierze w spuchniętych stopach i nogach, chlupiąc w tym wielkim naczyniu, którym jestem, a potem pewnego dnia po prostu się nie obudzę.

Trzęsła się z zimna. Poszła do kaplicy college'u i chwilę posiedziała w ciepłe, myśląc o Evelyn, jej dzieciach i o Albercie. Chciała zapalić świece dla maleństw, ale nie było miejsca. Wyszła.

Niedaleko Kiewit dostrzegła Alberta i nastrój jej się pogorszył. Stał, rozmawiając z jakimś znajomym. Wbrew sobie przyśpieszyła kroku; jej nogi same zaczęły poruszać się szybciej, za to umysł zwolnił. Albert ruszył na północ, ku Zakątkowi Żaków. Kristina niemal biegła, nieznacznie powłócząc prawą stopą.

- Albercie! - zawołała w końcu bez tchu. - Poczekaj!

Odwrócił się i podszedł ku niej. Kiedy stanęli naprzeciw siebie, Kristina dyszała ciężko. Nagle zorientowała się, że nie ma mu nic do powiedzenia. Patrzyli na siebie w milczeniu.

- Jim został u ciebie na noc? - zapytał wreszcie Albert, a Kristina odniosła wrażenie, że jego słowa wibrują w jej zmarzniętym ciele. Nie znosiła, gdy był górą.

- Nie - odrzekła, rozcierając dłonie. - Zerwaliśmy.

- Naprawdę? - zapytał po chwili. - A dlaczego? Nie układało się między wami?

- No cóż, nie tak dobrze jak pomiędzy tobą a Conni.

- A kto powiedział, że między nami się układa? Jestem zadowolony, żeście zerwali.

- Założę się, że jesteś.

- To prawda. I co dalej? Mam zerwać z Conni?

- Zerwać? - powtórzyła wstrząśnięta. - A po co?

- Żebyśmy mogli pojechać do Kanady. Robić różne ciekawe rzeczy.

- Wiesz co, przestań nalegać w sprawie tej podróży. Powiedziałam ci, że nie mogę jechać.

Czemu jesteś uparty?

- Wcale nie jestem uparty. No to co dalej zrobimy?

- Z czym? - zapytała Kristina ponuro.

- Z tobą i Jimem.

- Nic. Może zacznę spotykać się z kimś innym. - Zobaczyła, jak w jego oczach pojawia się

wyraz bólu i niemal niedosłyszalnie szepnęła: - Proszę cię, Albercie. - Wrażenie ciężaru w piersiach nie chciało ustąpić, serce miała ściśnięte, zamknięte, obolałe. Odetchnęła głośno i zapytała: - Czy to ty wyprowadziłeś rano Arystotelesa?

- Tak, on uwielbia świeży śnieg.

- Oczywiście.

A więc to Albert przykrył ją kocem, gdy leżała na podłodze.

- Pamiętasz zeszły rok? - zapytał, nachylając się ku niej. - Kiedy zabraliśmy Arystotelesa do Fahrenbrae i przez trzy dni padał śnieg? Świetnie się wtedy bawiliśmy, Arystoteles też. Ja piłem, a ty parzyłaś mi kawę, a późnym wieczorem zdejmowaliśmy ubrania i krzycząc, biegaliśmy po wzgórzach. Zawsze wygrywałaś, bo ja pierwszy marzłem. A gdy wracaliśmy do domku, dmuchałaś na moje skostniałe stopy i zawijałaś mi je w koc. Pamiętasz. Rock?

- Jasne, że pamiętam, Albercie - odrzekła, pokonana i znużona. - Nie wypieram się własnych uczuć. Nigdy się nie zmienią. - Drżąc cała, roztarta pulsujące ramię. Zimno sprawiało, że ból złagodniał. - Wracajmy, zmarzłam.

- Teraz ja wygram - powiedział Albert cicho. - Ten jeden raz nie zmarznę.

Nie cofnęła się, ale zignorowała jego słowa.

- Chodźmy - powtórzyła. - Strasznie mi zimno.

- Miałem zamiar wpaść do Frankiego.

- Aha. Mam iść z tobą?

- Nie - odrzekł natychmiast Albert. - To nie potrwa długo. Wydaje mi się, że on chce porozmawiać w cztery oczy. No wiesz, jak mężczyzna z mężczyzną.

- Czyżby? W takim razie się pośpiesz, skoro Frankiemu potrzebny mężczyzna.

Obrzucił ją zdziwionym spojrzeniem.

- A co to niby ma znaczyć? - zapytał, strząsając jej z włosów śnieg.

- Nic, Albercie, naprawdę nic.

- Wracaj do domu - powiedział łagodnie. - Cała się trzęsiesz. - Zobaczyła, że jego czarne oczy wypełnia uczucie do niej. - Biedactwo, musimy przywieźć twój płaszcz.

- Nie nazywaj mnie biedactwem. Nic mi nie jest.

- To świetnie. - Głos mu nieco stwardniał. - Zobaczymy się później?

- Nie! To znaczy, tak mi się wydaje. Ja naprawdę mówię poważnie i chcę, żebyśmy to skończyli, Albercie - wyrzuciła z siebie Kristina.

- Pojąłem. Kogo próbujesz przekonać?
 - Siebie - odparła bez wahania. - Ale jestem zdecydowana. Każde z nas musi pójść swoją drogą.
 - Tak właśnie planowaliśmy, Rocky - oświadczył.
- Policzki miał zarumienione, wyglądał na poruszonego.
- Nie mów do mnie Rocky - fuknęła. - Chcę mieć własne życie, nie rozumiesz?
 - A z kim? Zerwałeś z Jimem, zerwałeś ze mną. Z kim, Kristino? Nie zamierzała dać się sprowokować.
 - Z dała od ciebie. Czy to w ogóle możliwe?
 - Nie - odparł ostro. - Niemożliwe. Uświadomiłem to sobie już dawno temu. Dlaczego ty nie chcesz tego zaakceptować?
 - Bo to nieprawda - zaprzeczyła z rozpaczą.
- Zbliżył się do niej, teraz ich twarze dzieliło tylko parę centymetrów.
- Twoje piękne usta. Boże, jak chciałbym cię pocałować, teraz, tutaj.
 - Przestań - szepnęła słabo. - Dość, Albercie.
 - Dobra, skoro nie chcesz pojechać do Kanady, jedź z nami na Long Island, Rock. Wolałbym, żebyś sama nie spędzała święta. Jedź z nami. Będzie niezła zabawa.
- Chyba nie mówisz poważnie. Kto się będzie bawił? Conni, która gorączkowo dobija się do moich drzwi? Ja? Ty, przez cztery dni nie spuszczać ze mnie oka? Dzięki, ale nie. Miałam kiedyś dom i nikt nie musi się nade mną litować. Ani państwo Tobiasowie, ani państwo Shaw, którzy zadają mi pytania i częstują indykiem, ciastem z dyni albo szarlotką. Nie chcę ich dobroczynności. Nie chcę też twojej.
- Jak gdyby nie słysząc, odezwał się chrapliwym głosem:
- Zależy mi na tobie, Kristino. Na całym świecie zależy mi tylko na tobie.
 - I znowu jesteśmy w tym samym miejscu. Te życzenia są niemożliwe do zrealizowania.
 - Żałuję, że nie możemy zamieszkać w Edynburgu. Nigdy nie opuszczać wynajmowanego pokoju, nigdy nie wychodzić z łóżka. - Nie mogąc się powstrzymać, Albert pogładził ją po zmarzniętym policzku. - Chryste, Kristino, jedź z nami. To lepsze niż zostać tutaj.
 - Mylisz się - odrzekła, nie cofając się przed dotykiem jego dłoni. Nigdy się nie cofała, oboje o tym wiedzieli.
 - Proszę cię, jedź.

- Nie.

- Proszę. - Jego dłoń wciąż wędrowała po jej twarzy.

Wreszcie Kristina nie wytrzymała. Ta chwila była równie dobra jak każda inna.

- Powiedz mi, czy to prawda? Conni w zeszłym tygodni powiedziała mi, że myślicie o tym, żeby zaręczyć się w Święto Dziękczynienia.

- Nieprawda - zaprzeczył Albert. - To Conni o tym myśli.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Tak było - ciągnął. - Rozmawialiśmy o tym, ale to ona zaczęła temat.

Kristina wybuchnęła śmiechem.

- Boże wielki, Albercie, ty nigdy nie przestaniesz, prawda? Zawsze będziesz wszystkich okłamywał, nawet mnie.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - oświadczył ponuro.

- Rozumiem. Tylko tak mi się wydaje, że zaręczyny wymagają w jakimś tam stopniu wzajemnego przywiązania.

Wpatrywał się w nią pustym wzrokiem, przestępując z nogi na nogę.

- Jak chciałeś to załatwić, Albercie? Pojechać ze mną do Kanady, a jednocześnie zaręczyć się z Conni?

- Nie zaręczyłbym się z nią.

- Przesunąłbyś to na następny tydzień czy jak? A może cała jej rodzina planuje wielkie zaręczynowe przyjęcie ze świątecznym indykiem?

- Nie wiem, co planują.

- Dobra, nie ma sprawy.

Zrobiła kilka kroków do tyłu. Albert się nie poruszył.

- Dzisiaj pokerowy wieczór, Rock - przypomniał. To było niemal błaganie. - Nasza czwórka i Frankie. Stawka jak zwykle.

Nie odpowiedziała, więc zawołał:

- Przyjdź, proszę. Jesteś nam potrzebna.

Kristina bez słowa ruszyła w kierunku Tuck Mall.

- Musimy przywieźć twój płaszcz! - krzyknął jeszcze za nią Albert. Pomachała mu, ale się nie odwróciła.

Arystotelesa nie było w pokoju. Padał gęsty śnieg i Kristina miała tylko nadzieję, że nie jest na

zewnątrz. Pragnęła, żeby pies był przy niej, tak by mogła chwilę koło niego poleżeć.

Zeszła piętro niżej do Conni. Drzwi były otwarte, Kristina zajrzała więc do środka. Jak zwykle panował tu idealny porządek. Niebieskie cyfry na elektronicznym budziku wskazywały 15.10.

W końcu znalazła Conni uczącą się niedaleko szklanych drzwi w świetlicy. Ku zaskoczeniu Kristiny był z nią Frankie Absalom. Oboje, pochłonięci lekturą, nawet nie podnieśli głowy.

Kristina patrzyła na nich z zamętem w myślach. Przecież Albert mówił, że Frankie czeka na niego w Epsilon House. A jeśli nie szedł do Frankiego, to do kogo? Roześmiała się cicho. Czyżby Albert aż tak oszukiwał Conni?

Może Frankie zapomniał, że umówił się z Albertem? Kristina odsunęła włosy z policzka i podeszła do nich.

- Cześć - powiedziała.

Spojrzeli na nią bez entuzjazmu.

- Jak się dzisiaj czujesz, Krissy? - zapytała Conni.

- Dobrze, dziękuję - skłamała. - Nie wiesz, gdzie jest Arystoteles?

- Chyba widziałam go z Jimem na Main Street jakąś godzinę temu. Niedaleko redakcji „Review”. Gdzie byłaś przez cały dzień?

- Ach, tu i tam - odrzekła Kristina wymijająco. - Głównie spałam. Frankie, nie miałeś przypadkiem spotkać się z Albertem?

Wydawał się zdziwiony tym pytaniem.

- Eee...?

- Frankie, nie bądź taki elokwentny. Nie powinieneś teraz być u siebie i rozmawiać z Albertem?

- Eee...? - powtórzył Frankie.

- Frankie!

- Kristino, nie mam pojęcia, o co ci chodzi. Nie rozmawiałem z Albertem od jego urodzin.

- Aha - mruknęła.

Frankie wrócił do książek. Conni niespokojnie popatrzyła na Kristinę, która zdobyła się na przyjacielski uśmiech, pomachała zdrową ręką i wyszła.

Wróciła do pokoju, położyła się na łóżku i przykryła kocem. Próbowwała się zdrzemnąć, ale czuła w piersiach taki ciężar, że nie było to możliwe. Wstała, posprzątała trochę, zagrała w grę komputerową, zadzwoniła do Jima, popatrzyła przez okno i znowu się położyła. Nic. Jej serce

było jak twarda kulka. Ukryła głowę w poduszce i zaczęła płakać.

Nie potrafiła zasnąć. Nie była zmęczona, chciała tylko poczuć się lepiej i sądziła, że sen przyniesie jej ukojenie. Ale nie przychodził. Gdy tylko zamykała oczy, pod powiekami pojawiał się obraz jej samochodu, zderzenie, koziółek w powietrzu, łoskot. Zderzenie, koziółek, łoskot. Zderzenie, koziółek...

Wstała i zadzwoniła na posterunek w Hanover, prosząc o połączenie ze Spencerem O'Malleyem. Nie było go, skończył już służbę. W informacji uzyskała jego domowy numer, lecz nie odebrał. Nie miała pojęcia, co by mu powiedziała, gdyby był w domu; po prostu chciała usłyszeć jego miły głos.

Wreszcie wrócił Jim z Arystotelesem, ale nie zabawił długo. Kristina nie miała sił, by go zatrzymać. Na razie wystarczy jej pies. Pozwoliła mu wskoczyć na łóżko i zwinęła się w kłębek obok niego.

Zastanawiała się, czy później nie przejść po moście, ale nie miała alkoholu. Sporą część następnej godziny grzebała w szafie, szukając czegoś, co przyniosłoby jej ulgę, uspokoiło trzęsące się ręce, złagodziło pulsowanie w ramieniu i żebrach. A także stłumiło ból serca. Nic takiego jednak nie było.

Przypomniała sobie urodzinową butelkę southern comfort. Gdzie teraz jest ten alkohol?

Powinna już zejść na dół na pokera, ale nic ją to nie obchodziło. Otworzyła drzwi i pozwalając, by same się zamknęły, pośpiesznie ruszyła po schodach, zaraz jednak równie szybko zawróciła po Arystotelesia, który perspektywę spaceru przyjął bez najmniejszego entuzjazmu. Mimo to poszedł, jak gdyby rozumiał, że jego pani potrzebuje towarzystwo. Kristina skręciła na Tuck Mall, a stamtąd w Main Street, do Murphy's Tavern. W Hanover nie było sklepu monopolowego; w sklepie Stinsona sprzedawano szampan i piwo, podobnie jak w Grand Union, ale kto, do cholery, chciałby pić szampan i piwo? Jeden z barmanów w tawernie, bardzo miły facet, czasami sprzedawał Kristinie southern comfort, jeśli w pobliżu nie kręcili się gliniarze, a ona ładnie poprosiła.

Tawerna była zamknięta - z powodu śnieżycy. Kristina rozejrzała się wokoło, jakby w nadziei, że pojawi się *hombre* z tequilą i zaproponuje jej kielicha.

Przypomniała sobie, że Spencer mieszka przy Allen Street, niedaleko EBA, tak więc poszła tam i przystanąła przed piętrowym budynkiem, wpatrzona w dwa oświetlone okna. Nie miała pojęcia, czy to jego mieszkanie, lecz poza nimi w niewielkiej kamienicy panowała ciemność. Na

domofonie widniało jego nazwisko. Przeszło jej przez myśl, by nacisnąć guzik, lecz zrezygnowała.

- Arystoteles - przywołała psa, który obwąchiwał świeży śnieg, licząc na znalezienie jakiegoś przysmaku. - Niezła z nas para, zmarznięta i biedna. No, ty zmarzłeś, a ja jestem biedna. Czy też się tak czujesz, stary?

Pies radośnie pomachał ogonem.

- Tak myślałam, wyglądasz na biednego. - Poklepała go po grzbiecie. - Wracajmy.

Szli wolno, rozbryzgując śnieg. Kristina spojrzała na gołe łapy Arystotelesa, a potem na swoje stopy, obute w niezasnurowane tenisówki.

- To niesprawiedliwe - mruknęła.

Pies przystanął, Kristina także. Kopnięciem zrzuciła tenisówki. Nie miała skarpetek. Pochyliła się i podniosła buty, a potem cmoknęła Arystotelesa w czubek jasnego łba.

Zegar na wieży ratuszowej zadzwonił raz. Kristina nawet na niego nie spojrzała.

Świetlica była pusta. Zepsuty od wielu miesięcy elektroniczny zegar wskazywał drugą dziesięć. Po południu czy w nocy? Kristina wzięła sobie piwo i usiadła.

Po niedługim czasie pojawili się wszyscy oprócz Frankiego.

- Nie wierzę własnym oczom, Krissy przyszła za wcześnie - odezwała się Conni.

- To nie ja przyszłam za wcześnie, tylko wyście się spóźnili.

- Nieprawda - zaprzeczył Jim - Spójrz na zegar.

- Tak, druga dziesięć. Gdzieście byli?

- U Conni - wyjaśnił Jim. - Próbowaliśmy ustalić taktykę, jak pobić Frankiego.

W tej samej chwili on sam wszedł do pokoju, zdjął kurtkę i huknął:

- Coście robili? Spiskowaliście przeciwko mnie?

- Aaa, jest wreszcie - przeciągle powitała go Conni. - Czemu nie zabrało ci to więcej czasu?

Usiedli przy jednym z okrągłych stolików. Kristina miała naprzeciwko Alberta, który patrzył na nią przez zmrużone powieki, lecz nie zwracała na niego uwagi.

- Arystoteles ma mokre i zmarznięte łapy - odezwał się nagle. - Gdzie z nim byłeś?

- Na spacerze po śniegu. On uwielbia śnieg, wiesz o tym, prawda? - Kristina spojrzała mu prosto w oczy. - Po prostu uwielbia.

- Grajmy już! - zawołał Frankie. - Jest coś do picia?

- Na pewno nic dobrego - odrzekła, podnosząc się z krzesła. - Mnóstwo piwa.

- Doskonale. Podaj mi piwo, kobieto, i zaczynamy.

Frankie wyciągnął rękę. Kristina trzepnęła go lekko i wręczyła mu butelkę.

Albert postawił na stole dzbanek z drobnymi monetami. Każdy wziął sobie równowartość pięciu dolców i wyłożył na otwarcie dwa centy. Rozdawał Albert. Pierwsza partia była prosta, bez żadnych udziwnień. Wygrał Frankie, miał trójkę. Następna rozdawała Conni. Tym razem cztery karty zostawiła odkryte. I znowu wygrał Frankie, przebił pozostałych stritem. Wszyscy lubili Frankiego, ale nikt nie chciał z nim grać, bo zawsze wygrywał. Podchodził do tego beztrąsko, jakby nie potrafił pojąć, dlaczego do tego stopnia przejmują się swoją słabą grą, że jego radosne reakcje na własną wygraną traktują śmiertelnie poważnie. Nazywał ich marnymi zawodnikami, którzy nie potrafią przegrywać, a oni w rewanżu nie mogli nawet powiedzieć, że wygrywa marne sumy. Nigdy nie zabierał wygranej - i to też mieli mu za złe.

Bo oni nigdy w czasie gry nie sypali żartami i nigdy nie zostawiali wygranych. Albert potrzebował pieniędzy. Constance nauczono, by zatrzymywała wygrane. Jimowi nie mieściło się w głowie, że miałby oddać coś, do czego ma pełne prawo. Kristina orientowała się, że Jim uwielbia wygrywać. Nie miał skrupułów przy „Monopolu”, rzadko udawało się jej go pokonać, może dwa razy w ciągu trzech lat. Oddanie pieniędzy oznaczałoby zamianę zwycięstwa w klęskę. Z całej piątki najczęściej przegrywała Kristina.

„Nieszczęście w kartach to szczęście w miłości”, powtarzał jej Frankie. Jim uśmiechał się, w tamtym okresie gdy jeszcze w ogóle się uśmiechał, a Kristina myślała o Albercie i miała ochotę zawołać: „Pieprzone szczęście!”.

Zamiast tego uśmiechała się czarująco, ponieważ przegrywanie z wdziękiem było sztuką. A ona z konieczności osiągnęła w tej sztuce mistrzostwo. Miała szczęście w miłości i z wdziękiem przegrywała w pokera, cóż więcej mogło się liczyć w śnieżne zimowe wieczory spędzane w akademiku Hinmana należącym do osiedla River Cluster w Dartmouth College?

Jedynym, który tego wieczoru rzeczywiście świetnie się bawił, był Frankie. Głośno pokrzykiwał, żuł gumę i wydmuchiwał balony, śmiał się i wygrywał. Jego doskonały nastrój nie udzielił się jednak Kristinie, która miała wrażenie, że jakaś straszna choroba zaatakowała jej palce.

Pozostali trzymali karty jak tarcze. Zwykle byli bardziej ożywieni przy partyjkach pokera. Kristina nie wiedziała, co ich dręczy, za to nie miała wątpliwości, co gnębi ją samą.

- No i jak, Albercie? - odezwała się po dziesiątym rozdaniu. - Udała ci się pogawędka z

Frankiem po południu?

Wszyscy poderwali głowy. Dziwne i zaskakujące było to, że Kristina zwróciła się wprost do Alberta, robiła to niezwykle rzadko. I jeszcze owo niezwykle pytanie z nieprzewidywalnymi konsekwencjami.

Frankie spojrzął w karty, z jego ust wyskoczył wielki balon z gumy.

- Dwie proszę - oznajmił i wziął od Alberta dwie karty, a potem zerknął na obojętną twarz kolegi.

Na twarzy Conni wszakże nie malowała się obojętność, a Jim tylko udawał kamienny spokój.

- Która godzina? - zapytał. Frankie spojrzął na zegarek.

- Za dziesięć jedenasta.

- Aha. Kończymy tę partię i idę.

- A co? Twoja pora położyć się do łóżeczka? - zakpił Frankie.

Jim nie odpowiedział.

- Frankie - nie ustępowała Kristina - jak wam się udała pogawędka z Albertem?

- Albercie, o czym, u diabła; ona mówi? - zapytał Frankie ze swym szczerym uśmiechem.

- No właśnie, o czym ty mówisz? - zwróciła się do niej Conni.

Kristina, unosząc brwi, patrzyła na Alberta.

- No, Albercie? - ponagliła.

Nie odrywał wzroku od kart.

- Co, Kristino? - zapytał ze znużeniem.

- Jak pogawędka?

- Nie rozmawialiśmy. Frankiego nie było.

Kristina kiwnęła głową i przyjrzała się swoim kartom: królowa kier, trzy asy, królowa pik.

- Dla mnie nic - oznajmiła, przesuwając resztę swoich pieniędzy na środek stołu. - Podnoszę stawkę - dodała, wskazując stos monet. Conni i Jim spasowali. Albert ją sprawdził, Frankie też i podniósł stawkę. Musiała pożyczyć od Conni trzy centy, by z kolei sprawdzić jego.

Miał cztery króle.

Kristina rzuciła karty na stół.

- To takie dziwne - odezwała się. - Głowę bym dała, iż powiedziałeś, że Frankie chciał z tobą pogadać. Jak mężczyzna z mężczyzną, pamiętasz?

Patrzył na nią w milczeniu, Frankie podrapał się w głowę i zapytał:

- Albercie, o co jej chodzi?
- Właśnie, Kristino - powtórzyła Conni - o co ci chodzi?

Jim siedział bez słowa.

- O nic - odrzekła. - O nic, prawda, Albercie?
- Tak - odezwał się wreszcie - o nic.

Frankie dmuchał balony z gumy, tasując karty.

- No wiesz, Krissy, zawsze z przyjemnością spotykam się z Albertem.
- Ale nie dzisiaj po południu, prawda, Frankie? Bo dzisiaj po południu uczyłeś się z Conni.

Ta odłożyła karty.

- Chciałabym tylko wiedzieć, Kristino - zapytała - co cię to właściwie obchodzi?
- Dobre pytanie - mruknął Jim.
- Nie ma sprawy, dajmy temu spokój - wycofała się Kristina.
- Nie - sprzeciwiła się Conni. - Teraz jestem już ciekawa.
- Naprawdę? - zapytała Kristina. - Jesteś ciekawa? - Odebrała Frankiemu karty i podała jej. -

Ty rozdajesz.

Conni odsunęła talię. Jim i Albert położyli ręce na stole. Frankie patrzył na kolegów ze zdziwieniem.

- Conni, ty rozdajesz - powiedział cicho Albert, nachylając się ku niej, nie posłuchała go jednak.

- Nie mam ochoty więcej grać - oznajmiła.
- Dajże spokój, Constance - rzucił Albert.

Kristina wiedziała, że jeśli tak się do niej zwraca, to znaczy, że zaczyna się złościć.

- Dajże spokój! - wykrzyknęła Conni. - O co tu chodzi, Albercie? Może wreszcie mi powiesz!
- Tak, Albercie, może wreszcie jej powiesz - z napięciem w głosie powtórzyła Kristina.

Spojrzał na nią gniewnie.

- Nie mam o czym mówić.

Frankie z uśmiechem wstał od stołu.

- Wiecie co? Chyba najwyższy czas się zbierać. Natychmiast i bez zwłoki.

Albert poszedł w jego ślady.

- Zostań, stary. To głupie.

Frankie uchylił runda nieistniejącego kapelusza i powiedział:

- Dobranoc, szanowni państwo. Jeśli powodem nieporozumienia jest moje niezwykle powodzenie w kartach, możecie zostawić sobie wygraną na szczęście.

- Nie, dziękuję - mruknęła Kristina.

Frankie lekko szarpnął ją za włosy.

- A co do ciebie, panienko, to wiedz, że przyszedłem tutaj po pierwsze dlatego, że jest wieczór pokerowy, a po drugie dlatego, że pada śnieg, a ze śniegiem wiąże się pewna tradycja, czyż nie? - Rozpostarł ramiona, zamknął oczy i ostrożnie ruszył na palcach po wymagowanej linii. - No, Kristina, wszyscy faceci w moim domu upijają się i patrzą na ciebie. Czekają na to cały rok. Jak sądzę, połowa z nich stoi już przy oknach.

- Są pijani?

- Od września - odrzekł Frankie, rozśmieszając ją tym zapewnieniem.

- No to będą musieli jeszcze poczekać. Ja jestem trzeźwa. Conni prychnęła. Albert usiadł koło niej, i szepnął jej do ucha:

- Przestań.

- Nie przestanę - odparła głośno i wyzywająco.

- Przestań - powtórzył jeszcze ciszej i wolniej.

- To mi wystarczy! - oznajmił Frankie wesoło. - Już idę! Krissy, mamy śliczną śnieżycę. Proszę, dostosuj się do życzeń większości i natychmiast się upij. Masz, tu jest reszta mojego piwa. Będę czekał na ciebie w bibliotece. Wziąłem nawet swoją lornetkę. - Z kieszeni wyjął damską połączoną lornetkę teatralną. - Dostałem ją od mojej czcigodnej matki.

Zapytała, po co mi lornetka, więc odpowiedziałem, że w operze nie dzieje się nic nawet w połowie tak ekscytującego jak w Dartmouth, a ona na to: „Doskonale, przynajmniej twoja edukacja postępuje, kochanie”.

„O tak, potwierdziłem, w niezwykłym tempie”. - Przystawił lornetkę do oczu. - Zobaczę cię później?

Kristina nie mogła powstrzymać się od uśmiechu, łyknęła nawet piwa.

- Frankie, czy ty kiedykolwiek zrezygnujesz? Co cię obchodzi moja przechadzka po moście?

- Żartujesz sobie? Będę bohaterem Zakątka Żaków. Zerwę się z zajęć na tydzień i będę musiał odpisywać notatki od innych. Wszyscy kochają bohatera!

Kristina poklepała go po ramieniu.

- To prawda, Franklinie, kochają. Więc na pewno będziesz na mnie patrzył? Żeby się

upewnić, że nie spadnę? - Kristina zerknęła na Conni, która zarumieniła się i odwróciła głowę.

Frankie, zбитy z tropu, podrapał się w czoło.

- Ja się w to nie mieszam, nie, szanowne panie, nie ja, zamierzam trzymać się od tego z daleka, dziękuję uprzejmie. Do widzenia!

- Spadaj stąd, Absalom - odezwał się Albert.

- Wiesz, wszystko, czego pragnę - odparował Frankie, dostrzegając wyraz twarzy przyjaciela - to spadać stąd. Tylko tego chcę. Nigdy na niczym innym mi nie zależało. I taka jest prawda. Cześć!

Na odchodnym mrugnął do Kristiny i przyłożył lornetkę do oczu.

- Zawarliśmy umowę - szepnął. - Upij się.

- Tak, tak - odpowiedziała ze śmiechem.

Po jego odejściu siedzieli bez słowa, wpatrzeni w karty na stole.

- Chcecie jeszcze grać? - przerwała ciszę Kristina.

- Musisz iść, czyż nie? - warknęła w odpowiedzi Conni. - Umówiłaś się na moście, prawda?

- Och, rozchmurz się, Conn - poradziła jej Kristina. - Za poważnie to wszystko bierzesz.

- Jestem innego zdania. Myślę, że za mało poważnie do tego podchodzę. Tak samo jak Jim.

- Według mnie Jim przyjmuje to dobrze - zauważyła Kristina. - Mam rację, Jimbo?

- Mnie do tego nie mieszaj, dobra? - odparł zirytowany i nagle wstał, nie patrząc na nikogo. -

A, zapomnijmy o tym. Dajmy spokój.

Spojrzeni na niego ze zdziwieniem.

Conni także wstała, zaraz jednak usiadła z powrotem. Nerwowo przebierała palcami po talii kart.

- Jim, co się dzieje?

- Nic - odrzekła Kristina.

- Nie mówmy o tym - dodał Albert.

- Ale ja chcę mówić! - niemal wrzasnęła Conni, zrywając się na równe nogi. Karty rozsypały się po podłodze. - Myślę, że coś się dzieje, pod moim nosem dzieje się coś naprawdę nienormalnego i przysięgam na Boga, że

jeśli natychmiast mi nie powiecie, o co chodzi, ja... ja... ja... - zająknęła się i umilkła.

Conni nie jest zbyt dobra w wygłaszaniu pogroźek bez pokrycia, pomyślała Kristina.

- Natychmiast - powtórzyła Conni. - Mam powyżej uszu tych gierek.

Kristina z udawanym zaskoczeniem wpatrywała się w koleżankę, dopóki ta nie spostrzegła, że Albert bezgłośnie mówi „prześtań” Kristinie, która jednak go nie posłuchała.

- Dlaczego... ty... - słowa z trudem przechodziły Conni przez gardło -... dlaczego ty do niej szepczesz? - dokończyła piskliwie. Chociaż pytanie skierowane było do Alberta, patrzyła na Kristinę; dłonie jej drżały.

Tylko ona stała. Nikt jej nie odpowiedział. Nikt nawet na nią nie patrzył.

- Natychmiast, tutaj - ciągnęła błagalnie, głośno oddychając. - Chcę się dowiedzieć, o co właściwie chodzi, i nie wyjdę, dopóki mi nie powiecie. - Chwiała się na nogach.

- Słuchajcie. - Kristina podniosła się z krzesła. - To nie jest odpowiednie miejsce na taką rozmowę.

- Nieprawda! - zawołała Conni. - Miejsce jest idealne. Kristino, powiedz mi prawdę.

Kristina położyła dłoń na ramieniu Jima, który strząsnął ją z siebie i także wstał. Był zdenerwowany, w jego zielonych oczach malował się gniew pomieszany ze zdziwieniem.

- A to ma być rozmowa? Jaką prawdę chcesz od niej usłyszeć, Constance? - zapytał.

- Prawdę o niej i Albercie - odrzekła Conni.

Jim stał nieruchomo obok Kristiny, jakby się bał, że umknie mu jej odpowiedź.

Ona jednak milczała jakieś pół minuty, a potem zupełnie niespodziewanie oznajmiła:

- A wiesz, ja chciałabym usłyszeć prawdę o tobie i Jimie.

- O mnie i Jimie? - Conni jej słowa bardziej zirytowały, niż zmieszały. - Do diabła, a to co znowu?

- Ach, zapomnijmy o tym - odrzekła, machając zdrową ręką. - Zapomnijmy o całej sprawie. - Ruszyła do drzwi, zaraz jednak przystanąła. - A przy okazji, Conni, Albert też tu jest. Dlaczego jego nie zapytasz?

- Ponieważ pytam ciebie. - Przyjaciółka nawet nie spojrzała na niego.

- Conni, nie bądź aż taką idiotką - wtrącił Jim niegrzecznie. - Czy to nie oczywiste? Przecież ona już ci odpowiedziała.

- Ja tego nie słyszałam - oświadczyła Conni.

- Właśnie ci powiedziała! - wykrzyknął Jim, odwracając się ku Kristinie. - Prawda? A ja nie chcę już nic więcej od ciebie słyszeć! - Twarz miał purpurową, wykrzywioną gniewem. - Nigdy - prawie syczał. - Masz nic mi nie mówić, nigdy więcej, rozumiesz? Nie chcę, żebyś się do mnie zbliżała, żebyś prosiła mnie o wyprowadzenie psa lub o pomoc w nauce. Od tej chwili nie

odzywaj się do mnie, rozumiesz?

Nie tylko Conni wpatrywała się w niego z otwartymi ustami. A więc Jim rzeczywiście mógł rozgniewać się z innego powodu niż krytyka „Dartmouth Review”, prezydent czy przestępstwa. I trzeba mu przyznać, doskonale wybrał miejsce na ten wybuch. Do sali przyszło parę osób na telewizję i bez wątpienia wszystko słyszeli. Teraz stali zmieszani w prog.

- Jim, stary, uspokój się... - Tylko tyle zdążył powiedzieć Albert, zanim Jim mu przerwał, celując w niego palcem:

- Pieprz się. Nie wiem, jaką chorą grę prowadzicie, ale ja nie mam ochoty brać w niej udziału. Najmniejszej.

Tamten patrzył na niego bez słowa. W końcu Jim okręcił się na pięcie i wybiegł z sali, popychając trzy osoby, które na czas nie zeszły mu z drogi. Kristina zobaczyła, że w prog odwrócił się i popatrzył na nią nie tylko z gniewem, lecz także z nienawiścią.

- Widzisz, co narobiłaś, Conni - odezwała się spokojnie.

- Ja? - Głos Conni był już właściwie normalny, jakby to, że Jim nazwał ją idiotką, a potem jego wybuch uspokoiły ją, zamiast jeszcze bardziej rozszłościć. - Więc Jim myśli, że go zdradzasz - zaczęła tonem zwyczajnej pogawędki, który przeczył jej słowom. Widać było wyraźnie, że próbuje wyrzucić z pamięci to, z kim Kristina została oskarżona o zdradę.

- Mam dość was obu - oznajmił Albert. - Idę do siebie.

- Poczekaj, Albercie - rzuciła Conni.

Kristina milczała.

- Nie zatrzymuj mnie. Zmęczyło mnie to i kropka. Uszami mi wychodzą wasze kretyńskie oskarżenia! - wybuchnął, mimo że jego nikt o nic nie oskarżał. - Mam dość celujących we mnie palców i tego, że nikt nie przyjmuje do wiadomości mojego „nie”. Jeśli dla ciebie to aż tak ważne, Conni, to po prostu zerwij ze mną. Nawet lepiej: zerwij ze mną i wróć do Jima. Słyszałem, że znowu jest wolny. Nie ufasz mi, a ja tego nie umiem znieść. Nie chcę być z kimś, kto mi nie ufa. Zaufaj albo zerwij, taki masz wybór. Zmęczyły mnie te gierki.

- Nie chcę z tobą zrywać - odezwała się cicho. - Chcę tylko, żebyś teraz powiedział mi prawdę. Nigdy więcej nie będę cię już o to pytała i nigdy w ciebie nie zwątpię.

Kristina czekała, nie czując ciekawości ani niepokoju. Znała Alberta i doskonale się orientowała, że prawdomówność nie jest jego najsilniejszą stroną. Wiedziała, że nigdy nie przeszkadzało mu kłamstwo. Podejrzewała, że Conni także o tym wie, lecz woli o tym nie

myśleć, że to jej imperatyw kategoriyczny - zaprzeczanie, tak jak imperatywem Alberta są wieczne wykręty. Jego słowo, na które nie istniał żaden dowód, którego nikt nie mógł potwierdzić, które nie miało wagi ani historii, wystarczało Conni. Kristina czekała, aż Albert spojrzy w twarz Constance Tobias i postąpi zgodnie ze swoim imperatywem.

I Albert Maplethorpe nie rozczarował jej.

Gra w otwarte karty zakończyła się fiaskiem. Jedynym jej rezultatem było to, że teraz nikt z nikim nie rozmawiał. Wcześniej nigdy do czegoś takiego nie dopuścili.

Kristina poszła na piętro. Kiedy znalazła się w swoim pokoju, było piętnaście po jedenastej.

Wciąż padał gęsty śnieg i rozpaczliwie żałowała, że nie upiła się tego wieczoru tak, by iść na most. Frankie Absalom czekał. Ciężko wzdychając, usiadła przy komputerze nad artykułem o karze śmierci do „Review”, aczkolwiek tak naprawdę pragnęła tylko położyć się do łóżka i marzyła, by serce przestało ją boleć.

Za piętnaście dwunasta wyszła na kilkuminutowy spacer z Arystotelesem.

Pukanie do drzwi przstraszyło ją, serce zaczęło jej walić. Co się ze mną dzieje? - pomyślała zdenerwowana.

Dźwięki były lekkie, wcale nie gniewne; tak pukać mogła tylko jedna z trzech osób, a Kristina nie miała ochoty widzieć żadnej z nich. Czekwała chwilę, starając się rozpoznać gościa po pukaniu, które znowu się powtórzyło.

W końcu otworzyła drzwi.

- Posłuchaj, Jim... - zaczęła.

To była Conni. Wyglądała na roztrzęsioną, włosy miała w nieładzie. Próbowwała się uśmiechnąć, Kristina wszakże widziała wyraźnie, że Conni toczy wewnętrzną walkę.

- Wejdz, proszę. - Otworzyła szerzej drzwi.

Tamta potrząsnęła głową.

- Nie, Albert na mnie czeka. I muszę się spakować. Chcieliśmy tylko dać ci to. - Wyciągnęła zza pleców rękę. Miała w niej butelkę southern comfort. - Pomyśleliśmy, że ci się przyda, kiedy nas nie będzie. Powiedziałam, że ci zaniosę. I tak chciałam z tobą porozmawiać.

Kristina poczuła gorącą falę ulgi. Z wdzięcznością wzięła butelkę i rzuciła na łóżko.

- Dzięki, bardzo się cieszę.

- Wiesz, przykro mi z powodu tego, co zaszło - odezwała się Conni, nie patrząc na nią.

- Wejdz - powtórzyła Kristina, koleżanka jednak stała nieruchomo. Arystoteles pomachał

ogonem. - Nie masz za co przeproszać - dodała.

- Albert jest innego zdania, a ja się z nim zgadzam.

- Nie masz za co przeproszać - powtórzyła Kristina stanowczo.

- Mam. Strasznie się wygłupiłam. Wszystko było w porządku, sama nie wiem, czym się tak przejęłam.

- Wiesz, dobrze wiesz. Wiesz, co cię gnębi. Dlaczego ty zawsze udajesz, że wszystko w porządku?

W oczach Conni dostrzegła strach, jakby to nie był temat, który chciała omawiać na dzień przed zaręczynami.

- Ja niczego nie udaję.

- Ależ udajesz - zaprzeczyła Kristina. - Tylko z jakiego powodu?

- Nieprawda! - wykrzyknęła Conni, a potem ciszej zapytała: - A według ciebie co niby udaję?

Pomimo bolesnego pulsowania w całym ciele Kristina nachyliła się ku niej i szepnęła:

- Udajesz, że prawda nie jest prawdą, Conni.

Równie dobrze mogła ją spoliczkować; Conni zachwiała się i zrobiła krok do tyłu. Minęło kilka sekund, nim odzyskała panowanie nad sobą.

- Kłamiesz, wiem, że kłamiesz. Po pierwsze, niczego nie podejrzewam. To całkiem normalne wątpliwości, które każdy miewa wobec swego partnera. Ufam mu, muszę mu zaufać. Jak w przeciwnym razie mogłabym z nim być? Gdybym mu nie ufała i dalej z nim była, to by znaczyło, że nie mam ani krztyny szacunku do samej siebie. Tak więc muszę mu ufać, nie rozumiesz?

Kristina potrząsnęła głową.

- Rozumiem.

Zupełnie nieoczekiwanie Conni uderzyła ją w twarz, pozostawiając na jej policzku czerwony ślad, a potem, nim Kristina zdążyła się ruszyć, uderzyła ją w drugi policzek.

Teraz to Kristina zachwiała się i cofnęła.

- Co ty wyprawiasz? - zapytała.

- Zaslugujesz na więcej - odparła Conni. - Bo próbujesz nas skłócić. Myślałam, że jesteś moją przyjaciółką.

- Jestem twoją przyjaciółką - powiedziała Kristina, pocierając policzek.

- Nie - ciągnęła tamta - bo gdybyś była, wiedziałabyś, jak bardzo kocham Alberta.

- Wiem, ale wiem też o innych rzeczach, o których ty nie masz pojęcia.

- To ty o niczym nie masz pojęcia. O niczym. Po prostu jesteś okrutna. Masz wszystko, a mnie zależy tylko na nim. Nie widzisz, jaki jest słaby?

Kristina wybuchnęła śmiechem.

- Słaby? Albert? Conni, on jest najsilniejszym człowiekiem, jakiego znam.

- Jest słaby. Nie rozumie własnego serca.

- Lepiej je rozumie niż ktokolwiek inny. Lepiej niż ty i ja. Albert jest szczery wyłącznie wobec siebie. Przekonasz się.

Conni rzuciła się na nią, złapała za włosy i mocno szarpnęła. Teraz jednak Kristina była przygotowana. Musiała podnieść prawą rękę i pochylić głowę, lecz chwyciła Conni za włosy i tak samo mocno pociągnęła.

- Posłuchaj! - wy dyszała. - Natychmiast przestań tak się zachowywać, ty wariatko!

Conni jednak ani myślała przestać. Żeby ją powstrzymać, Kristina przejechała paznokciami policzek pod jej okiem, przecinając skórę. Conni jęknęła i wypuściła pęk czarnych włosów z dłoni.

- Posłuchaj, coś ci teraz powiem - odezwała się Kristina. - Wiem, że jakoś zawsze udaje ci się wściekać tylko na mnie, ale powtarzam ci: to nie na mnie powinnaś się złościć.

- Och, puść mnie! - szepnęła tamta gorączkowo. - Puszczaj!

Kristina posłuchała. Conni dotknęła krwawych śladów na policzku. Z wysiłkiem łapiąc powietrze, odezwała się cicho i złośliwie:

- A teraz ja ci coś powiem. Zapytałam Alberta, czy coś was łączy, i wiesz, co odpowiedział?

- Oczywiście, że wiem.

- Wszystkiemu zaprzeczył.

- Oczywiście, że zaprzeczył.

- A teraz mam wybór: albo uwierzę swojemu chłopakowi, którego kocham i za którego zamierzam wyjść, albo uwierzę tobie, a jesteś tylko moją przyjaciółką. I postanowiłam na dobre i złe uwierzyć Albertowi, ponieważ z tym umiem żyć, rozumiesz? Nigdy więcej nie chcę na ten temat rozmawiać.

- Świetnie - odpowiedziała Kristina. Zbierało jej się na wymioty.

Z powodu Conni. Z powodu samej siebie. Na Alberta zaś była wściekła.

Wciąż trzymając się za policzek, Conni zrobiła kilka kroków do tyłu, a potem odwróciła się i pobiegła korytarzem ku schodom ewakuacyjnym.

Doskonale, chciała za nią krzyknąć Kristina, więc ci się wydaje, że go przejrzałaś. Miotasz się pomiędzy otchłanią zwątpienia a chwilami pewności. A kiedy warczysz, to tylko na mnie, nigdy na niego.

Usiadła na łóżku, rozmyślając o Conni.

Potem spojrzała na zegar.

Wpół do pierwszej.

Rozebrała się powoli. Ból w piersiach był tak silny i przytłaczający, że skuliła się na łóżku. Złapała butelkę, którą przyniosła Conni, przytrzymała pomiędzy gołymi nogami i otworzyła. Miała ochotę się napić, ale otwarta butelka budziła w niej wstręt. Rozchyliła uda i butelka upadła na podłogę. Kristina nie chciała tego obrzydliwego alkoholu - ani po to, by przejść po moście, ani po to, by złagodzić ucisk w sercu.

Zgasiła światło i podeszła do okna. Miękki, nietknięty śnieg był piękny. Pierwszy śnieg tego roku. Zwykle wielu studentów kręciłoby się po terenie campusu, tej nocy wszakże albo pojechali już do domów, albo spali. W oknach Feldberga paliło się światło. Ciekawe, czy Frankie naprawdę czeka, aż ona pojawi się na moście.

Zamierzała to zrobić. Przejście po balustradzie pomagało jej pozbyć się wszystkich złych emocji. Tam, wysoko, miała wrażenie, że jest ptakiem, który zrywa się do pierwszego lotu, i czuła jedność z naturą, kiedy kroki tłumił śnieg. Alkohol krążący we krwi dodawał jej stopom pewności i była przekonana, że jeśli w którejś chwili wezwie ją do siebie Stwórca, będzie gotowa.

Poprzedniego dnia okazało się jednak, że wcale nie jest jeszcze gotowa.

A dzisiaj była przerażona.

- Wybacz mi - szepnęła. - Wybacz, że żyję, że jeszcze nie chcę się z Tobą spotkać, że pragnę żyć. Dobry Boże, chcę żyć uczciwie, tylko nie wiem, jak to zrobić. - Pochyliła głowę. - Proszę, pokaż mi drogę.

Dostała kolejną szansę na życie i miała zamiar ją wykorzystać. Dostała szansę, by czynić dobrze, by żyć dobrze. Tylko jak?

Zrezygnuj z Alberta, pomyślała. Zrezygnuj z niego. Niech Conni go sobie weźmie, a ty zajmij się własnym życiem. Bez niego.

Żółte lampy uliczne rzucały samotne kręgi światła na biały śnieg.

Zwykle przechodziła po moście boso, wówczas jednak nie miała czarnych butów. Teraz

wreszcie dorobiła się porządnego obuwia. Żebra i ramię dalej ją bolały, a buty trudno było wciągać tylko jedną ręką, ale jakoś sobie poradziła, choć trwało to długo.

Zasznurowała jeden but, gdy ktoś zapukał do drzwi.

Serce zaczęło jej walić, w płucach zabrakło tchu, nim pukanie się powtórzyło.

Kristina nie chciała otworzyć, lecz Arystoteles zamachał radośnie ogonem, a tak witał jednego tylko człowieka. Kristina pragnęła życzyć mu wesołych świąt. Baw się wspaniale w Cold Spring Harbor.

Na korytarzu stał Albert.

- Wejdz - powiedziała. Była naga, nie próbowała niczym się okryć. Rozpaczliwie pragnęła go dotknąć.

- Chciałem sprawdzić, jak sobie radzisz.

- Doskonale - zapewniła go, siadając na łóżku obok drugiego buta.

- Myślałem, że pójdziesz na most - powiedział. - Nigdy nie umiałaś oprzeć się wyzwaniu.

Beztrąsko opadł na fotel i rozejrzał się po pokoju, zatrzymując wzrok na butelce southern comfort, z której alkohol wyciekał cienkim strumykiem na dywan.

- Dokąd my zmierzamy, Albercie? - zapytała cicho Kristina.

- Donikąd, Rocky, wiesz o tym. - Wyciągnął rękę i zamknął okno. - Zimno tu.

- Otwórz je - poleciła. - W nocy robi mi się strasznie gorąco.

Albert wstał.

- Słuchaj, życzę ci wesołych świąt, jeśli jutro się nie spotkamy.

- Tak. - Kristina odwróciła od niego wzrok. Z trudem powstrzymywała łzy. - Dziękuję. Ty też baw się dobrze.

- Jesteś pewna, że nie chcesz z nami pojechać? Teraz na niego spojrzała.

- Całkowicie pewna, Albercie.

Podszedł bliżej, lecz uchyliła się przed jego dłonią. Patrzyła na niego z mieszaniną gniewu, żalu i miłości, które toczyły walkę w jej sercu.

Albert znowu wyciągnął ku niej rękę, Kristina jednak cofnęła się jeszcze bardziej.

- Pomogę ci włożyć but, dobrze? - zaproponował łagodnie.

Zgodziła się i gdy ukląkł przed nią, wyprostowała nogę. W jego wzroku dostrzegła pożądanie; usta miał lekko rozchylone.

- Mam go zasznurować?

- Jasne - powiedziała, a Albert to zrobił, klęcząc jeszcze kilka dodatkowych minut. Chciał pogłodzić ją po udzie, zwarła jednak nogi i przesunęła się w bok, uniósł więc dłoń i dotknął jej twarzy.

- Co się stało twoim policzkom? Całe są czerwone.

- Ty, Albercie, ty przytrafiłeś się moim policzkom.

Nie pytał więcej, a ona też nic już nie wyjaśniała. Wstał z podłogi i ruszył do drzwi.

- Do zobaczenia, Rocky.

- Jasne. - Kristina odwróciła od niego głowę. - Do zobaczenia.

Z butami na nogach opadła na łóżko i zapatrzyła się w sufit, który falował jej przed oczyma. Proszę, nie płacz, upominała sama siebie. Przestań być taka rozżalona. Rozchmurz się, wychodzisz na mróz. Jeśli to nie poprawi ci nastroju, to już nic go nie poprawi.

Po kilku minutach wstała, idąc do drzwi trąciła Arystotelesa, po czym skierowała się ku schodom.

Opuściła budynek bocznym wyjściem. Na zewnątrz uderzyły ją kłęby niesionego z wiatrem śniegu i zimno. Pośpiesznie zakryła piersi zdrową ręką. Lepiej będzie, jak szybko się z tym uwinę, pomyślała, aczkolwiek wiedziała, że szybko nie da się tego zrobić. Musi pilnować każdego kroku, iść jak na zwolnionym filmie. Miała za sobą dzień pełen bólu i splątanych niedobrych emocji. Chciała, by zimno ją znieczuliło, poprawiło nastrój.

Spojrzała na Bibliotekę Feldberga, by się przekonać, czy Frankie stoi w którymś z okien. Był jej strażnikiem, lecz przecież nie powiedział, że będzie czekał przez całą noc. Uśmiechnęła się, żeby odpędzić duchy, i przeżegnała, stając na moście.

Ruszaj, Kristino, ruszaj. Kamienna poręcz miała niespełna metr wysokości. Kristina wolno się na nią wdrapała, oszczędzając prawe kolano, po czym stanęła wyprostowana. Próbowała trzymać rozpostarte obie ręce, nim zrobiła pierwszy krok. Tylko prawa była jej posłuszna.

Z lewą ręką przyciśnięta do boku, drżąc na całym ciele, zrobiła dwa, trzy, cztery ostrożne kroki, szepcząc cicho: „Nie słuchaj moich kroków, nie zważaj, dokąd idę, bo lękam się, iż kamienie zdradzą, gdzie jest”. Gdyby tutaj spadła, nie byłoby tak źle. Z prawej strony od mostu miała tylko niespełna metr i niemal tyle samo do pokrytego śniegiem terenu na lewo. Później nasyp stawał się bardziej stromy, a na końcu dochodził do podjazdu. Kristina wolno przesuwała się po poręczy, zawieszona na wysokości ponad dwudziestu dwóch metrów w powietrzu. Była nagim ptakiem z jednym skrzydłem; jej długie nogi w czarnych butach stąpały wolno,

zostawiając

ślady na śniegu, jej czarne oczy patrzyły przed siebie, a usta urywanie powtarzały: „I usuń z czasu to przerażenie, które teraz w nim zamieszkało”.

Czarne buty pozwalały jej znaleźć oparcie, lecz w sercu szalał strach. „Gdy ja grozę, on żyje. Słowom o gorących czynach nazbyt zimny oddech towarzyszy”. Zadrzała i pochyliła się na bok, jedna ręka nie mogła zapewnić jej dostatecznej równowagi. Wbrew zdrowemu rozsądkowi spróbowała wyciągnąć lewą i wówczas nagły, ostry ból sprawił, że mimowolnie zadrzała, a zaraz potem pośliznęła się na śniegu i upadła.

Zleciała na bok i do tyłu, uderzając prawą nogą o ostre kamienie. Miała wrażenie, że jej serce zaraz eksploduje. Przez moment siedziała na poręczy w niewygodnej pozycji, zbyt przerażona, by wykonać jakiś ruch, a później wolniutko zsunęła się na most.

- Och Boże, och Boże, och Boże - mamrotała pod nosem. Serce wciąż dudniło jej w piersiach. Boże, tak mało brakowało, naprawdę niewiele.

Nigdy dotąd tak się nie bała, nawet w czasie wypadku.

Ha, to nie jest zabawne, pomyślała. Już lepiej przegrywać z Frankiem w pokera. Dzięki Bogu, że nic mi się nie stało. Przez pozorną ulgę przebił się czarny strach.

Chwiejnym krokiem dowlokła się do końca mostu, szepcząc bezgłośnie: „Idę, a rzecz już dokonana: zaprasza mnie dzwon. Nie słuchaj go, Kristino, albowiem jego bicie wzywa cię do nieba lub piekła”.

Za Biblioteką Feldberga wiała się ścieżka, prowadząca skrajem sosnowego lasu. Nad służbowym wejściem do gmachu świeciła się jedna żółta żarówka.

Jestem szalona, myślała Kristina. Kompletnie szalona. Nigdy więcej tego nie zrobię. Nigdy, przenigdy. Spencerze Patricku, przyrzekam, że będę żyła długo, by pójść z tobą na kolację.

Strzepnęła śnieg z piersi i przeżegnała się, a potem podziękowała Bogu. Kiedy wracała do akademika, wydało jej się, że słyszy czyjeś wołanie:

- Kristino... Kristino...

Rozejrzała się, lecz nie potrafiła ustalić, skąd dobiega ów głos. Chyba coś sobie wyobraziłam, pomyślała, wpatrując się w ciemność i czując, jak serce jej leci w otchłań.

II

SPENCER PATRICK

O'MALLEY

Vox clamantis in deserto

[Głos wołającego na puszczy]

z WULGATY

Niech się buntują, gdy się światło mroczy.

DYLAN THOMAS, przeł. S. Barańczak

ROZDZIAŁ CZWARTY

W LESIE I NA MURZE

Spencer, popijając siódmą tego dnia filiżankę kawy, wpatrywał się w niedokończony raport o wypadku Kristiny Kim, kiedy zadzwonił interkom. Przez cały tydzień myślał o niej i miał nadzieję, że następnego dnia wieczorem dziewczyna nie wystawi go do wiatru. Nie odzywała się, a był już czwartek, tydzień po Święcie Dziękczynienia.

We wtorek, skontaktowawszy się z agencją ubezpieczeniową drugiego kierowcy, zadzwonił do Kristiny do akademika. Nie odpowiedziała, założył więc, że jest na zajęciach. Kiedy tego samego dnia zadzwonił do niej z domu i znowu nie odebrała, uznał, że jeszcze nie wróciła ze świątecznych ferii.

A jeśli jednak wróciła, tylko go unika? Ta możliwość kłóciła się z wrażeniem, jakie odniósł podczas ich ostatniej rozmowy: że Kristina zgodziła się na spotkanie z taką samą przyjemnością, z jaką on usłyszał jej „tak”. Czyżby wówczas się mylił? Nie sądził.

- Trace, dostaliśmy telefon w sprawie czegoś w college'u - zawiadomił go przyjmujący zgłoszenie kolega.

- Czegoś? - powtórzył Spencer z roztargnieniem. Zaraz jednak obudziła się w nim czujność, a później irytacja. - „Coś” to bardzo mgliste określenie, Kyle. Cholera jasna, co to znaczy?

- Przykro mi, ale nie mam więcej informacji - odrzekł dyspozytor. -Zadzwonił do nas pewien student, naprawdę wytracony z równowagi, i powiedział, że chyba coś znalazł, przypuszczalnie własność jakiejś osoby. Tak mniej więcej mówił.

Spencer przewrócił oczyma.

- Czyli co?

- Nie wiem. Niewykluczone, że to bez znaczenia, ale trzeba sprawdzić.

- Masz jego nazwisko?

- Tak. Nazywa się Milton Johnson.

O'Malley zamknął i wrzucił do szuflady teczkę Kristiny, po czym wstał.

- Wysłałeś tam kogoś, Kyle?

- Tak, Fella. Był w okolicy.

- Wspaniale - mruknął detektyw i głośniejszym głosem polecił: - Porozum się z nim przez radio i powiedz, że już tam jadę. - Wkładając kurtkę, ciszej dodał: - Może im się wydaje...

W drodze do wyjścia zapukał do gabinetu szefa. Drzwi były lekko uchylone, lecz Spencer nauczył się, by nigdy nie dotykać klamki bez zaproszenia.

- Szefie!

Z gabinetu odpowiedziało mu chrząknięcie. To był dobry znak. Spencer wszedł i zameldował:

- Szefie, jadę do college'u. Jakiś student zawiadomił nas o dziwnym znalezisku.

- Dziwnym? - mruknął ponuro otyły, siwiejący komendant Ken Gallagher.

Siedział za połyskującym metalowym biurkiem, a detektyw nie potrafił rozstrzygnąć, co bardziej wydaje się nie na miejscu, to biurko czy sam komendant. Spencer i Gallagher byli z pochodzenia Irlandczykami i w duchu irlandzkiej przyjaźni czasem wypijali razem po szklaneczce whisky. O'Malley zyskał pewność, że szef ma do niego słabość, kiedy dostał awans na sierżanta, wyprzedzając takich kolegów jak jego partner Will Baker, który dłużej pracował w policji. Jednakże Gallagher traktował Spencera równie bezpardonowo jak resztę podwładnych.

- No to na co czekasz? Na chłopaków z Concord?

- Ależ nie, panie komendancie.

- To dobrze. Jedź i sprawdź to zgłoszenie. Poproś Willa o pomoc.

Spencer nie uważał, by potrzebował pomocy partnera przy badaniu owego znalezionej przedmiotu.

- Tak jest, panie komendancie.

Był już niemal za szklanymi drzwiami wyjściowymi, kiedy nagle obrócił się na pięcie i zawołał do Kyle'a, siedzącego w dyspozytorce z kuloodpornego szkła.

- Gdzie?

- Co? - zapytał tamten.

- Gdzie mam jechać? - zawołał Spencer, zawracając o kilka kroków.

Dyspozytor sprawdził w książce.

- Do lasu za Biblioteką Feldberga. Pomiędzy gmachem a Tuck Drive.

Spencer wyszedł z budynku. Nie miał pojęcia, gdzie jest biblioteka, ale dobrze znał Tuck Drive, drogę prowadzącą do rzeki, ciemną i krętą, przy której rosły wysokie sosny. Pojedzie nią, wypatrując wozu Fella, białej crown victorii z żółto-niebieskimi pasami.

W drodze do samochodu coś zaczęło go gnębić. Biblioteka Feldberga. Akademik Hinmana

znajdował się blisko rzeki, był jednym z sześciu czy coś koło tego budynków college'u, które tworzyły osiedle zwane River Cluster. Lasy obok Hinmana ciągnęły się do położonej w dole drogi, zwanej Tuck Drive.

Hinman. Detektyw przyśpieszył kroku.

Jego jasnoniebieski Chevrolet impała, porzewiały i obity, stał zaparkowany przy bocznej ścianie gmachu, tuż koło Hanover Country Club i pola golfowego. Przez ostatnie siedem lat policja i straż pożarna mieściły się w jednym nowoczesnym budynku. Spencerowi jednak bardziej odpowiadało, kiedy policja była na swoim. W tamtym budynku biurka i krzesła były stare, podłogi także, framugi okienne wymagały odmalowania, ciężkie drewniane drzwi głośno skrzypiały, a w ubikacjach straszyły zawieszane wysoko spluczki z dziewiętnastowiecznymi łańcuszkami. Nie było tam czysto ani tym bardziej sterylne, lecz zdaniem O'Malleya atmosfera dawnej siedziby lepiej pasowała do staroświeckiego miasteczka, jakim było Hanover.

Wycofał auto z parkingu i skręcił w prawo na drogę numer 10, po czym wolno pojechał do college'u. Ulice, mimo że posypano je solą, wciąż były zdradziecko śliskie. Na College Street na chwilę przyblokował go czekający na miejsce na parkingu kierowca. Spencer nacisnął klakson, ale facet nie zareagował. Wystarczyło jednak, że włączył piskliwą i hałaśliwą syrenę, a tamten od razu doszedł do wniosku, że parkowanie może poczekać.

Skwer przed Biblioteką Bakera zdobiły niewielkie bożonarodzeniowe choinki. W nocy drzewka połyskiwały, światła lampek odbijały się od śniegu na gałęziach. Spencer oglądał je czasami w grudniowe wieczory.

Na Tuck Drive było pusto. Spencer pojechał w kierunku przystani nad rzeką Connecticut, lecz i tam nie dostrzegł wozu Fella.

Gruba warstwa śniegu pokrywała wszystko: drogę, drzewa, przystań. Od tygodnia, czyli od zamieci przed Świętem Dziękczynienia, która przykryła Hanover grubą białą czapą, panował mróz. Ostatniej nocy także spodziewano się opadów, lecz okazały się niewielkie.

Detektyw zawrócił i pojechał w górę Tuck Drive. Poprzez konary drzew na wzgórzu wznoszącym się za zakrętem z mostem wiszącym nad podjazdem dostrzegł grupkę ludzi. Rozpoznał czapkę Fella i jego czarny mundur. Zaparkował, zostawił migającego koguta i ruszył po zboczu.

- Poczekaaj! - wrzasnął Fell, dostrzegłszy Spencera. - Ostrożnie!

Fell upomina go, żeby zachował ostrożność! To było niemal zabawne, tylko że kolega należał

do niezwykle poważnych ludzi. Jak gdyby Spencer nie wiedział, że powinien uważać. Od tłumku dzieliło go jakieś dziesięć metrów.

Marzły mu stopy, bo śnieg sypał się do butów i topniał na skarpetkach. Cholerne buty, niewarte krowy, z której skóry zostały zrobione.

- Co jest? - zapytał, szybkim krokiem podchodząc do Fella.

- Jeszcze nie wiem. Na razie trzymam ludzi z daleka.

Spencer spojrział na grupkę studentów, którzy w miejscu przestępowali z nogi na nogę. Nie sprawiali wcale wrażenia, jakby trzeba było ich pilnować. Jakiś chłopak z ponurą miną stał na uboczu. Detektyw pomyślał, że to pewnie Milton.

- Co się właściwie dzieje?

- Nie wiem - powtórzył Fell. - Czekałem na przyjazd jednego z was.

- Gdzie twój partner?

- Chory.

- A gdzie Milton?

- Kto?

- No, ten student, który do nas dzwonił - wyjaśnił cierpliwie. - Milton Johnson.

Ray wskazał mu ponurego młodzieńca. Spencer kiwnął głową.

- Rozmawiałeś z nim?

- Tak. Pokazał mi tamto miejsce. - Fell machnął ręką w dół. - Nie wiem, sierżancie Tracy. Po mojemu coś mu się przywidziało. Ja nic nie widzę.

- Dobra, Ray, pójdę to sprawdzić - odrzekł Spencer, teraz już zdrowo zniecierpliwiony. - A ty ruszaj do wozu po policyjną taśmę i kilka płacht, tak na wszelki wypadek.

- Płachty?

- Tak, Ray, przecież nie chcemy zdeptać dowodów.

Spencer odprowadził wzrokiem okrążającego bibliotekę Fella, a potem odwrócił się w stronę lasu. Brzozy i dęby miały szarą korę. Drzewa iglaste ugięły się pod ciężarem śniegu. Na ziemi widział jakieś ślady, ledwo przykryte nocnymi opadami, prowadzące w dół ścieżki. Przeszedł pomiędzy dwoma młodymi norwesкими świerkami i przystanął, śledząc wzrokiem wgłębienia w śniegu. Kończyły się przy kępce iglaków w dole. Coś tam było. Zmrużył powieki, by lepiej widzieć, i skostniałymi rękami niezgrabnie wyjął z kieszeni notatnik i długopis. Co to jest? - myślał, a serce waliło mu w piersiach. Co to jest?

A potem ręce mu opadły, notatnik i długopis poleciały w śnieg.

Obok wieczniezielonych zarośli ze śniegowej zasy wystawała para czarnych butów.

Nie, pomyślał Spencer, na chwiejnych nogach ruszając ścieżką. Nie, to nie mogą być buty. Jestem za daleko. To tylko czarne kamienie albo kapelusze, albo torby, albo jakieś śmieci porzucone przy drodze. Wolno zszedł po zboczu.

To czarne kamienie. Wydaje mi się, to skutki nadmiernej pracy. Mam za sobą ciężki dzień i powinienem łyknąć kielicha. Stał trzy metry od zasy i wpatrywał się w buty. Boże wielki. Cholera. Nie!

O'Malley szczególnie lubił gmach rektoratu Dartmouth College w deszczu; biel ścian podkreślały szerokie hebanowe okiennice, budynek w ociekających wilgocią drzewach wyglądał jak wiosenny śnieg. To właśnie rektorat przyciągnął jego uwagę, kiedy po raz pierwszy przyjechał do Hanoveru.

Zimą wszakże detektyw widział wyłącznie te czarne okiennice na tle bieli; bardzo przypominały czarne buty, które teraz miał przed sobą.

Rzecz w tym, że okiennice go nie przerażały, nie budziły obaw, nie przemieniały w drżący ze strachu cień detektywa, w cień ludzkiej istoty, w cień mężczyzny. Na widok tych butów Spencer uświadomił sobie w chwili paniki i pogardy do siebie, że nie jest mężczyzną, tylko małym chłopcem bawiącym się w policjanta i liczącym na to, że nikt go nie przyłapie.

Przeżegnał się i odmówił dwie zdrowaśki.

Ze ścieżki wołał do niego Fell. Spencer gestem wezwał go ku sobie.

- Przyniosłeś płachty? - zapytał chrapliwie i zaraz odchrząknął.

- Tak. - Kolega podał mu jedną i wpatrując się obojętnie w kopczyk, zapytał: - A są nam potrzebne?

Spencer rozłożył płachtę koło wzgórka, potem zaś zaczął szukać notatnika, pióra i chusteczki.

- Moim zdaniem niewykluczone, że znaleźliśmy ciało - oświadczył.

Fell pochylił się lekko.

- Naprawdę? - odezwał się zaskoczony. - A gdzie?

O'Malley nie miał chusteczki, jego notatnik dalej leżał na ziemi.

- Ray, widzisz tu parę butów?

- Butów? - powtórzył tamten. - Niby gdzie?

- A to - zapytał Spencer wolno - co ci to przypomina?

- Sam nie wiem. Czy o to chodziło Miltonowi? Pokazywał mniej więcej w tym kierunku, ale ja nic nie widziałem.

- Tak przypuszczam - odrzekł Spencer. - Słuchaj, dopilnuj, żeby nikt tu się nie zbliżał, i czekaj na mnie.

- Co chcesz zrobić?

- Idź już i czekaj na mnie, Ray.

Przez chwilę stał bez ruchu, a potem wszedł na płachtę. Z bliska buty wydawały się niezwykle czarne na tle białego śniegu.

Wszystko inne jednakże wyglądało naturalnie, na swoim miejscu, a kopczyk mógł być zwykłą zaspą. Spencer natychmiast nabrał przekonania, że to zaspą. Przypomniał sobie też, że kilka dni wcześniej widział na Main Street kogoś w podobnych butach, i przykucnął, ogarnięty wielką ulgą. To nie jej, nie jej...

Włożył skórzane rękawiczki i zaczął odgarniać śnieg. Najpierw wolno, później coraz bardziej gorączkowo grzebał we wzgórkach. Nie znalazł nic prócz twardego zamarzniętego śniegu i myślał przy tym: to nic, to tylko buty, ktoś zrobił głupi kawał. I wtedy natrafił na coś, co nie było śniegiem.

Zamknął oczy. Przez rękawiczki wyczuł ludzką dłoń. Serce mu się ścisnęło i z jękiem bólu uniósł powieki.

To była dłoń Kristiny. Długie palce, sztywne i nieruchome, bez biżuterii. Piękne paznokcie były połamane, czerwony lakier popękał. Dłoń nie była ani zaciśnięta, ani luźno otwarta, po prostu zamarznięta jak mięso w lodówce. Spencer odrzucił w tył głowę. Nie był w stanie zapanować nad tym odruchem, co lekko go zmieszało, jak wszystkie rzeczy wymykające mu się spod kontroli. Wiedział, że jego głowa wykonuje ten ruch tylko w najtrudniejszych momentach, a obecna chwila wymagała, by nie tracił rozsądku. Poza tym jednak na pozór był całkowicie spokojny.

Wolno ściągnął rękawiczki i obiema rękami ujął jej lodowatą dłoń.

I znowu jęknął.

Delikatnie położył zamarzniętą dłoń i wstał. Głowa znowu mu drgnęła.

Trwał nieruchomo, starając się nie mrugać. Pragnął, żeby wszyscy sobie poszli. Także Fell. Pragnął spędzić z nią jakiś czas sam na sam, zanim zobaczą ją patolog, coroner i przedsiębiorca pogrzebowy, zanim obejrzą ją ludzie z Concord i zajmujący się zabójstwami oddział z Haverhill.

Zanim trafi pod ziemię lub do pieca. Kolana mu drżały.

- Błagam, dobry Boże - szepnął. - Spraw, żebym załatwił to jak mężczyzna, pomóż mi po męsku wykonać moją pracę. Wiem, że potrafię. Wiem, że potrafię, i zrobię to.

Wysiłkiem woli opanował drzenie, a potem bacznie się rozejrzał. Co tu się stało?

Żadna gałąź, żadna szpilka nie zostały odłamane, a śniegowe czapy na krzakach i drzewach były nienaruszone. Co ona właściwie tutaj robiła? Przyszła tu umrzeć? Tak po prostu przyszła na zbocze, położyła się w śniegu i umarła? A może potknęła się, zraniła w głowę i straciła przytomność, a potem zamarzła na śmierć? Kopczyk jest idealnie symetryczny. Tylko natura w czasie zamieci tworzy takie kopce, które potem topnieją na słońcu.

Jednakże ślady kroków ledwo przykryte nowymi opadami świadczyły, że ktoś był przy niej zaledwie poprzedniego dnia po południu. Spencer zmrużył oczy, by lepiej widzieć. Po prawej stronie odbitych w śniegu podeszew butów ciągnął się inny ślad. Mniejszy, z czterema małymi wgłębieniami, bez butów.

Detektyw odetchnął głęboko, kiwnął głową i ruszył z boczem do Raya Fella.

- I co się dzieje? - Tamten był rozdrażniony.

- Mamy... - Spencer urwał, by nadać głosowi spokojne brzmienie -...tam jest ciało. Wezwij natychmiast Willa, powiadom szpital i przedsiębiorcę pogrzebowego. Aha, i przynieś mi aparat i jeszcze kilka płacht.

Rozpoznawszy Kristinę, chciał jak najszybciej wydostać ją ze śniegu.

- Ciało? - wstrzymał oddech Ray, a w jego oczach błysnęło umiarkowane podniecenie. - Wielki Boże! Fiu fiu!

O'Malley zacisnął zęby.

- Ciało, Ray - powtórzył głośno. - Rozumiesz, co to znaczy? To znaczy, że ktoś umarł. Ciekaw jestem, czy będziesz piał z zachwytu, kiedy będziesz musiał zawiadomić rodziców o śmierci córki.

- Przepra... - mruknął zakłopotany i czerwony kolega.

Spencer jednak nie pozwolił mu skończyć.

- Idź już do wozu, wezwij Willa i resztę i przynieś mi aparat. Ray sprawiał wrażenie oszołomionego.

- Aparat, Raymond - powtórzył Spencer.

Fell nie miał aparatu, który należał do stałego wyposażenia radiowozu. Bełkotał coś o mrozie,

niechęci do noszenia takich rzeczy w zimie i o ciotce, która chciała obejrzeć aparat używany podczas śledztw.

O'Malley machnął zniecierpliwiony i polecił:

- Więc przynieś mi kilka płacht. Te chyba masz, co? A może twoja ciotka też je chciała obejrzeć?

- Nie, sierżancie - rzekł Fell. - Mam najpierw przynieść płachty czy zadzwonić do Willa?

- I to, i to. - Spencer odwrócił się na pięcie i z ziemi podniósł swój notatnik i pióro. Cholerny Ray.

Zanotował godzinę swego przyjazdu, opisał, co widział, wygląd kopca, czarne buty, ślady podeszew, odciski łap, dłoń. Później podszedł do studentów, by z nimi porozmawiać.

- Który z was to Milton Johnson?

Niewysoki chudy chłopak podniósł rękę, jakby znajdował się w klasie. Spencer westchnął i gestem kazał mu podejść bliżej.

- Nie musisz podnosić ręki - powiedział. - Wystarczy, że się odezwiesz. Nazywasz się...

- Milton Johnson - odrzekł student nieśmiało, odwracając wzrok.

- Milton, wyświadcz mi przysługę i patrz prosto na mnie, kiedy ze mną rozmawiasz, zgoda? Mamy tu ciało, a jak ty na mnie nie patrzysz, nic nie mogę poradzić na to, że zaczynam podejrzewać, że masz coś do ukrycia.

Wyraźnie przestraszony Milton mrugnął kilka razy; choć nie potrafił zapanować nad szcękającymi zębami, jakoś mu się udało spojrzeć na Spencera.

- A teraz mi powiedz, kiedy coś zauważyłeś?

- Ki... kilka go... godzin temu - wyjąkał.

- A co zauważyłeś?

Milton wskazał na okna na pierwszym piętrze Feldberga.

- Siedziałem na parapecie na klatce schodowej, zrobiłem sobie przerwę w nauce. Wyglądałem przez okno. Nie uczyłem się, szczerze mówiąc, nie miałem ochoty się uczyć.

- Rozumiem - wtrącił Spencer.

- No więc... - ciągnął chłopak; całym jego ciałem wstrząsały rozmaite tiki i mimowolne drgania.

- Specjalizujesz się w naukach technicznych, Miltonie?

- Tak, dlatego byłem w bibliotece, w czytelnicy technicznej. Mnóstwo tam miejsca. I spokój.

- Mów dalej - zachęcił go Spencer.

- Dobrze, już mówię. - Milton podrapał się po policzku i okrytej kapturem głowie.

Detektyw cieszył się, że jego własne zdenerwowanie objawia się wyłącznie nagłymi ruchami głowy. Może to, że się jest kłębkim nerwów, jakoś uchodzi inżynierom. Nie wyobrażał sobie gliniarza z taką masą tików.

- No więc siedziałem na tym parapecie, na zewnątrz było przyjemnie, świeciło słońce. Patrzyłem na tamte drzewa, ale tak trochę bezmyślnie, rozumie pan?

- Rozumiem. Co dalej?

- I coś chyba zauważyłem. Z okna na pierwszym piętrze trudno było powiedzieć dokładnie co, ale wpatrywałem się w to coś i z jakiegoś powodu nie mogłem przestać. Bardzo chciałem dojść, co to. To trochę jak obsesja, rozumie pan.

- A według ciebie co to było?

- I w tym cała rzecz, że nie wiedziałem. To znaczy... jakoś zaczęło mi się wydawać, że to noski butów. Tak to wyglądało, nawet z piętra. - Milton machnął ręką w stronę okien.

- Więc zszedłeś na dół.

- Tak.

- I co dalej?

- Okrążyłem budynek i ostrożnie doszedłem mniej więcej tutaj -wskazał miejsce oddalone od nich o kilka kroków - i przyjrzałem się uważnie. Nadal wyglądało to jak buty. A jeszcze pod tym kątem zauważyłem tam kopczyk. Jakby coś pod nim się znajdowało. Więc zadzwoniłem na policję. Powiedziałem, że nie wiem, co to jest.

- Wiedziałeś, Milton, dziękujemy ci za telefon. Jak blisko podszedłeś do tego kopczyka?

- Około metra.

- Dobrze. Będziesz musiał zgłosić się na posterunek i złożyć zeznanie.

Chłopak znowu zaczął się drapać.

- Tak, tak, jasne.

- I jeszcze jedno pytanie - odezwał się Spencer, notując ostatnie zdania rozmowy. Ręce miał zziębnięte i pisał wolno. - Masz psa?

Studenci zachichotali. Chłopak podrapał się po karku i obu dłoniach. Wyglądał na wątłego i chorego.

- Nie, proszę pana, nie mam psa.

- On ma alergię na psy - wyjaśniła dziewczyna w czarnym wełnianym płaszczu.
- Milton ma alergię na wszystko - wtrącił ktoś inny, a chłopak, jakby na potwierdzenie tych słów, zaczął się gwałtownie drapać po całym ciele.
- Rozumiem - uśmiechnął się lekko Spencer. - A stykasz się z wieloma psami?
- Nie, proszę pana. To znaczy sam pan wie, jak jest w Hanover. Te przeklęte psy są wszędzie. Próbuję jakoś je omijać.
- Mądre postępowanie - zgodził się Spencer, sprawdzając coś w notatniku. - Mieszkasz w Mass Row. Dużo tam psów?
- Nie, proszę pana. Na terenie kampusu nie wolno mieć psów.
- Aha - mruknął Spencer ze wzmożoną uwagą. - A czy studenci łamią to zarządzenie?
- Bardzo często - odezwała się dziewczyna w czarnym płaszczu. - To jeden z zakazów, który trudno wprowadzić w życie, bo zbyt nagminnie jest łamany.
- I jeszcze jedno - zapytał Spencer. - Czy przypadkiem byłeś tu wczoraj?
- Wczoraj? Nie. - Milton potrząsnął głową, a potem nie mógł przestać nią trząść. - Nie byłem wczoraj w bibliotece. Za dużo miałem zajęć. Uczyłem się w pokoju. Dlaczego? Pan myśli, że tu byłem?
- Jeśli tu nie byłeś, to tak nie myślę. Odpręż się, możesz wracać do domu, jeśli chcesz. Później ktoś do ciebie zadzwoni, dobrze?
- Jasne, nie ma sprawy - odrzekł chłopak, starając się nadać głosowi odważne brzmienie, ale ręce mu drżały.

Spencer niecierpliwie wyczekiwał powrotu Raya z płachtami.

Wreszcie się pojawił; we dwóch poświęcili kilka minut na ogrodzenie taśmą terenu sześć na sześć metrów z kopczykiem w środku. Spencer próbował skupić się na taśmie i nie myśleć o niczym innym. „Linia policyjna - nie przekraczać” - głosiły czarne litery na taśmie, która poza tym wyglądała całkiem jak żółty lep na muchy zwisający z sufitu w kuchni u matki Spencera.

Kiedy mocowali taśmę wokół prowizorycznych słupków zrobionych z gałązek, poczuł, jak pod jego stopami załamała się cieniutka warstwa lodu i po kolana wpadł w zaspę. Przez nierzeczywisty ułamek sekundy zastanawiał się, czy czarne buty ochroniły stopy Kristiny przed wilgocią i zimnem.

Obrzucił wzrokiem dzieło swoje i Fella. Aby owinąć taśmę wokół drzew, musieli odłamać kilka gałęzi, które teraz leżały na ziemi, psując nieskazitelną biel śnieżnego dywanu. Tą swoją

linią narobili więcej bałaganu, niż uczyniła śmierć.

Skończywszy, przeszli pod taśmą na miejsce przestępstwa i rozłożyli jeszcze dwie płachty, żeby ochronić dowody.

- Ostrożnie - odezwał się poirytowany Spencer, kiedy Fell wszedł na śnieg. - Nie widzisz śladów?

Tamten wrócił na płachtę i kucnął. Znajdowali się w odległości około półtora metra od wzniesienia.

- Widzę, ale są chyba stare.

O'Malley, który klęczał obok, odwrócił się do niego.

- Fell, to bardzo dobrze. Chcemy, żeby były stare.

- Tak?

- I to bardzo stare. Ona... - urwał i zaraz się poprawił: - Ciało nie leży tu od rana. Przykrył je śnieg. Pamiętasz, kiedy ostatnio mocno padało?

- No - odrzekł Ray niepewnie - wczoraj w nocy padało.

- To prawda, ale czy aż tyle, żeby przykryć leżącego człowieka?

- Nie mam pojęcia - oznajmił Fell lodowatym tonem. - Wczoraj w nocy nie byłem na zewnątrz.

Spencer wyprostował się i równie lodowato zapytał:

- Ray, wczoraj miałeś służbę od czwartej do północy. Co rozumiesz przez to, że nie byłeś na zewnątrz?

- To znaczy że nigdzie nie chodziłem. - Tamten wyraźnie się zmieszał.

- A z samochodu nie widziałeś śniegu?

- Widziałem, padał.

- Tak, tylko że bardzo mało. Rano w radiu podawali, że spadło pięć centymetrów śniegu. Czy według ciebie to wystarczy, żeby przykryć człowieka?

- Nie, sierżancie - odrzekł Fell, umykając wzrokiem w bok.

Spencer kiwnął głową.

- Świetnie, zgadzam się z tobą. Więc co ci mówiłem? Uważaj na ślady.

Śnieżycy przed Świętą Dziękczynienia na pewno by ją przykryła, myślał, patrząc na kopczyk. Za miastem wysokość zasp dochodziła do dwóch metrów. Poczł dreszcz. Czy była tu przed Świętym Dziękczynienia? Przeżegnał się odruchowo, głowa znowu mu skoczyła. To niemożliwe.

Te rozmyślania przerwało pojawienie się Willa Bakera, patologa z Dartmouth-Hitchcock, oraz dwóch karettek.

- Potrzebowaliśmy dwóch? - zapytał O'Malley Willa, łysiejącego mężczyzny z kocią bródką i solidnym brzuszkiem.

- Ray nie powiedział dokładnie. Nie miał pojęcia, ile ciał znalazłeś.

- Jest tylko jedno - oznajmił znużony Spencer. - I nie trzeba wieźć jej do szpitala.

Will przyjrzał mu się uważnie.

- Co się z tobą dzieje? I skąd wiesz, że to ona?

- To kobieta, chyba że jakiś mężczyzna miał długie, polakierowane paznokcie - odparł detektyw.

- Dotykałeś ciała? - zapytał Fell z pewnym obrzydzeniem.

Spencer zerknął na niego, lecz zignorował pytanie.

- Mógłbyś teraz przesłuchać innych studentów, Ray? Zapisz ich numery telefonów. -

Wyciągnął rękę do Willa i zapytał: - A gdzie aparat?

Partner wręczył mu nikona i obaj pochylili się nad kopczykiem.

- Więc co tu mamy? - zapytał Will cicho.

- Nieżywą dziewczynę - odrzekł Spencer.

- Rozumiem... Trace, kto wykopał jej dłoń spod śniegu? - zapytał po chwili Baker.

Spencer chwilę się zastanawiał.

- Ja - oznajmił wreszcie.

- Dlaczego?

- Nie wiedziałem, że tam jest ciało, póki nie zobaczyłem dłoni.

Partner zerknął na niego z ukosa.

- A buty nie nasunęły ci takiej myśli?

- Nie - oświadczył krótko O'Malley. - Popatrz na to. - Wskazał ślady. Will przyjrzał się im dokładnie, po czym zapytał:

- Co o tym myślisz?

- Ktoś szedł z psem na spacer i trafił na ciało.

- Myślisz, że to pies?

- A co twoim zdaniem, Will? Lis? Kuguar? Wilk? Jak często tu się kręcą dzikie zwierzęta?

Ślady łap biegają po prawej stronie śladów butów.

- Butów?

- Bardzo dobrych zimowych butów - sprecyzował Spencer. - Bardzo modnych. Głębokie rowki, gruba podeszwa ze znakiem firmowym na obcasie. Doc Martens, rozmiar mniej więcej dziesięć. Nieco za duże dla dziewczyny. Przymuszczałnie chłopak, trochę ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Średniej budowy, o czym świadczy głębokość śladów. Nie jest zbyt ciężki, około siedemdziesięciu pięciu kilogramów.

Mówiąc to, Spencer zauważył coś jeszcze. Koło prawego buta widniała niewielka dziura, wygrzebana chyba z pośpiechem, jak gdyby zwierzę rozpaczliwie usiłowało dostać się do tego, co było w kopczyku. Spencer niemal słyszał skomlenie psa. Odgarnął śnieg z dziury i dostrzegł podłużne ślady na lodowej pokrywie, pozostawione przez odciągnięte siłą zwierzę.

Wstał, bezskutecznie starając się zapanować nad głową.

- To nie był jakiś tam pies - oznajmił. - To jej pies.

Kiedy wszystko dokładnie sfotografowali: otoczenie, kopiec, ślady na śniegu, ślady na lodzie, wykopaną przez psa dziurę, Spencer z dreszczem patrzył, jak ubrani na biało sanitariusze w rękawiczkach odgrzebują ciało, uważając przy tym, by nie zasypać śladów.

Najpierw odsłonili zasznurowane na gołych kostkach buty, potem gołe łydki i kolana. Spencer zaczął się modlić, by miała na sobie jakieś ubranie, kiedy wszakże spod śniegu wyłoniły się nagie uda, podejrzewał już najgorsze.

Z rozpaczą złapał płachtę, gotów przykryć ciało. Boże, jest naga, tak długo w śniegu i naga. Oczy go piekły.

Sanitariusze przerwali i spojrzeli na niego. Will poklepał go po plecach.

- Wszystko w porządku, stary - powiedział, po czym zwrócił się do tamtych: - Róbcie dalej swoje.

Spencer nie chciał oglądać, jak oczyszczają ze śniegu jej genitalia. Odwrócił się tyłem. A potem upuścił płachtę i zabrał Willowi aparat. Desperacko żałował, że nie jest po służbie i nie siedzi ze szklaneczką w dłoni na wysokim stołku w marnie oświetlonym barze. Wzdrygnął się cały.

- Ostrożnie - mruknął pod nosem. - Proszę, bądźcie ostrożni.

Sanitariusze odsłonili brzuch, klatkę piersiową i ramiona. Delikatnie strzepnęli śnieg z jej białych zamrożonych piersi. Spencer uniósł aparat trzęsącymi się rękoma.

Mężczyźni zajmowali się teraz szyją...

- Ostrożnie! - zawołał. - Prosiłem, żebyście byli ostrożni, cholera jasna!
- Pan sam chce to zrobić? - zapytał jeden z sanitariuszy.

W innych okolicznościach odpowiedziałby twierdząco, lecz w innych okolicznościach nie by go nie obchodziło, jak sanitariusze obchodzą się z trupem. Potrząsnął głową.

- Mówiłem tylko, żebyście uważali - powtórzył, już o wiele ciszej.

Nie potrafił długo na nią patrzeć, mógł tylko rzucać krótkie spojrzenia i natychmiast odwracał wzrok. Dostrzegł rany na kolanach i łydkach, granatowe sińce na żebrach. Niewykluczone, że doznała tych obrażeń w czasie wypadku, chociaż z drugiej strony mógł ją skatować jakiś maniak. Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że znalazła się naga w środku lasu?

Lewa ręka nawet po śmierci nienaturalnie przylegała do boku, jak gdyby ktoś zakręcił słoik niezgodnie z rowkami na wieczku.

- Ostrożnie - szeptał do siebie Spencer. Uniósł aparat i następną rolkę poświęcił na sfotografowanie jej z każdej strony; chodził dokoła, nachylał się i pilnował, by patrzeć na nią wyłącznie przez obiektyw nikona.

Koło niego stanął Will.

- Spence, dasz radę to zrobić?
- Jasne - odparł Spencer. - Wszystko w porządku.
- W takim razie chcę ci coś pokazać.

Obaj uklękli obok ciała, jakby mieli zmówić modlitwę za zmarłych - albo zbadać dowody.

Spencer jednak istotnie się modlił. Szybko, bezgłośnie odmówił Zdrowaś Mario, zanim podzielił się z kolegą swoim spostrzeżeniem.

- Ma zamknięte oczy.
- Właśnie - potwierdził Will. - To niezwykle, prawda?
- Powiedziałbym, że niemożliwe.
- A może zasnęła i umarła we śnie?
- Nikt nie zasypia w lesie przy tej pogodzie - zaprotestował Spencer.
- Nikt nie wychodzi nago na spacer przy tej pogodzie - zauważył jego partner. - A ona jest naga, tylko w butach i ma zamknięte oczy.

O'Malley podniósł się z kolan.

- Według mnie ktoś ją zabił. I ten, kto to zrobił, zamknął jej oczy.

- Jak to możliwe? - zapytał tamten sceptycznie. - Czy gwałcieł zamyka oczy ofierze? I gdzie jej ubranie?

Wprowadzony z równowagi Spencer już chciał warknąć na niego, ale był zbyt skostniały i zrozpaczony. To nie miałyby sensu. Przecież Will nie jest winny śmierci Kristiny.

Sanitariuszom polecono wejść na wzgórze i tam poczekać, aż patolog i policja dokładnie zbadają ciało. Patolog oficjalnie stwierdził, że w czwartek drugiego grudnia 1993 roku o godzinie piętnastej czterdzieści pięć Kristina Kim już nie żyła.

Sanitariusze niecierpliwie pokrzykiwali na policjantów. Chcieli jechać, uciekać z mrozu. W końcu Spencer miał tego dość.

- Poczekajcie, dobra? - zawołał. - Zaraz skończymy. Wtedy będziecie mogli ją zabrać.
- Jak ona się miewa? - wrzasnął któryś ze studentów.
- Leży na desce - odpowiedział inny.

Spencer bezskutecznie usiłował otrząsnąć się z tych słów, kiedy nagle uświadomił sobie, że to on je powiedział. Cóż może być gorszego od wspomnienia własnej nonszalanckiej odpowiedzi, która raniła mu serce? „Leży na desce”. Czyżby tak często miał do czynienia ze śmiercią, że zobojętniał na ból, nawet na własny? Nawet na cierpienie jej psa - a nie miał cienia wątpliwości, że to był jej pies - który tkwił koło zaspy i kopał, i skomlał, i nie chciał się ruszyć od swej zamarznętej pani.

Spencer znowu usłyszał pytanie: „Jak ona się miewa?”.

Uświadomił sobie wówczas, że źle je zrozumiał. Student krzyczał: „Jak ona się nazywa?”.

Łzy napłynęły mu do oczu. Tym razem nie odpowiedział.

Za mniej więcej godzinę zapadnie zmrok, a tutaj, pomiędzy drzewami, za północną ścianą budynku było i tak mało światła.

Spencer i Will sprawdzili dokładnie najbliższe otoczenie ciała, śnieg, podeszwy butów Kristiny, obejrzelili jej dłonie i paznokcie, oczy i włosy. Zużyli pięć rolek filmu. Trzy kwadransy upłynęły im w kompletnym milczeniu.

W gęstniejącym zmierzchu Will zwrócił się wreszcie do kolegi:

- I co o tym myślisz, Trace?

O'Malley dołożył starań, by jego głos brzmiał normalnie.

- To dziwne, nie? Nic tu nie ma.

- Właśnie, nic - zgodził się partner. - Poza obrażeniami na jej ciele.,

- Tak. - Chciał mu powiedzieć, że te obrażenia są stare, nie miał jednak zamiaru tłumaczyć, skąd to wie. - Ale jej nogi... - na chwilę zabrakło mu sił, by kontynuować. - Nogi ma zsunięte. Leży spokojnie. Brak ran postrzałowych lub od noża, albo też śladów na szyi.

- Może została otruta - zasugerował Will.

- Co to jest, starożytna Grecja? - odparł Spencer. - Masz jakiś inny pomysł?

- Upiła się, upadła i umarła.

- Na plecach? Kompletnie naga? Jeszcze coś?

Stali niemal tuż przy ciele. Spencer omijał je wzrokiem.

- Znała napastnika - odezwał się cicho Will.

Po chwili milczenia Spencer zapytał:

- A gdzie są ślady jej kroków?

Partner wzruszył ramionami.

- Może pod śniegiem?

- Tak. Leżała pod śniegiem, jakby tu przyfrunęła, a nie przyszła, nie przywlokła się. Gdyby została zabita, to gdzie są ślady napastnika?

- Pod śniegiem - powtórzył tamten.

- Tak, napastnik dobrze wiedział, co robi. Był ostrożny. Nic po, sobie nie zostawił.

Will ruchem ręki wezwał sanitariuszy, po czym powiedział:

- Złapiemy go, Trace. Morderstwo to trudna sprawa.

- Bardzo łatwa. - Spencer wskazał ciało Kristiny. - Popatrz, jaka łatwa.

- Nie, chodzi mi o to, że łatwo potknąć się na szczególe. Planowanie zabójstwa oznacza kolejne kłamstwa, a to z kolei oznacza, że wszystko trzeba zapamiętać. Zobaczysz, znajdziemy go.

Spoglądając na las, Spencer kiwnął głową.

Sanitariusze przynieśli nosze, a Spencer pomógł im przetransportować ciało Kristiny na szare płótno. Wziął z ziemi białą płachtę, otrzepał ze śniegu i przykrył zwłoki. Will poszedł pomóc Rayowi w przesłuchiowaniu studentów. Ponieważ Spencera interesował pies Kristiny, polecił Bakerowi, aby spróbował się dowiedzieć, pod czyją opieką jest teraz zwierzak. Przypomniął, że przypuszczalnie mają do czynienia z morderstwem, więc dobrze jest zadawać najróżniejsze pytania. Im mniej czasu ludzie mają na przygotowanie sobie odpowiedzi, tym lepiej.

Sanitariusze ponieśli okryte ciało Kristiny w górę po zboczu, minęli zaintrygowanych

studentów i policjantów, po czym skierowali się do karetki, która migając sygnalizatorem, stała na końcu kamiennego mostu. Kierowca włączył syrenę i na pełnym gazie ruszył do Dartmouth-Hitchcock. W pobliżu zgromadził się ogromny tłum gapiów, chcących zobaczyć, co właściwie się stało.

Spencer stał na uboczu. Wyjął z kieszeni skórzane rękawiczki i włożył je. Patrząc za odjeżdżającą karetką, zauważył drobną dziewczynę wchodzącą ostrożnie bocznymi drzwiami do akademika. Niczym się nie wyróżniała, była raczej niepozorna, poza tym robiło się ciemno, zaintrygowało go jednak to, że nieznajoma nawet nie przystanęła obok tłumy i karetki. W gruncie rzeczy spuściła chyba wzrok i przyspieszyła. Gapienie się na niezwykle wypadek to niezwykle silna ludzka potrzeba, prawie tak samo jak mruganie. Spencer nie pojmował, jak ta dziewczyna potrafiła opanować ciekawość; takie zachowanie przeczyło jego doświadczeniu policjanta i człowieka.

Za gmachem biblioteki nikt się nie kręcił, było ciemno choć oko wykol. Baker i Fell skończyli już rozmowy. Spencer ostrzegł zgromadzonych na moście, że teren wewnątrz taśmy podlega teraz policji, a każdy, kto tam wejdzie, popełni wykroczenie karane kilkoma miesiącami więzienia. Jego oświadczenie wywarło na grupie studentów spore wrażenie.

- Kto to jest? - zapytał jakiś głos.

- Kristina Kim. Ktoś z was ją znał lub słyszał o niej?

Dziewczyna stojąca z tyłu rozplakała się nagle. Spencer zapalił latarkę i przepchnął się ku niej przez tłum.

- Czemu pani płacze? - zapytał łagodnie. - Znała ją pani?

Dziewczyna wytarła twarz, O'Malley czekał. Było mu zimno, za długo przebywał na mrozie, nawet ciepła kurtka nie pomagała. W ten ciemny grudniowy wieczór było już z piętnaście stopni.

- Słyszałam o niej - odrzekła wreszcie dziewczyna. - Chryste, była najlepszą koszykarką, jaką drużyna Dartmouth kiedykolwiek miała. Po prostu najlepszą. W zeszłym roku ustaliła rekord Big Green siedemdziesięcioma

czterema blokami. Regularnie zdobywała dwadzieścia do trzydziestu punktów w meczu. Wydaje mi się, że w zeszłym roku zdobyła dwadzieścia siedem punktów w meczu, w którym Big Green wygrała mistrzostwo Ivy League. - Dziewczyna zamilkła, musiała się uspokoić. - Według pana ktoś ją zabił? Ktoś z innego college'u? - zapytała.

- Dlaczego? Bo nie chcieli, żeby grała w lidze czy coś w tym rodzaju? - odparł detektyw,

powstrzymując uśmiech.

- Och, nie wie pan, jak poważnie ludzie z Ivy League traktują sport.

- Nie, chyba nie wiem. - O'Malley poklepał dziewczynę po ramieniu. - Proszę się uspokoić.

Nie wie pani, z kim się przyjaźniła? Wspomniała coś o... - tu urwał.

Co on wyprawia? Wprawdzie w EBA Kristina napomknęła o byłej współlokatorce, ale dlaczego powtarzał to tej dziewczynie? Zerknął na Willa Bakera, który przyglądał mu się badawczo, i wzruszył ramionami.

Dziewczyna przestała płakać.

- Nic, nieważne - wrócił do tematu. - Wie pani, z kim się przyjaźniła?

- Niech pomyślę. - Zmarszczyła z namysłem czoło. - Nie wiem dokładnie. Wydaje mi się, że chodziła z redaktorem „Dartmouth Review”.

Poczuł ukłucie w sercu. Więc z kimś się spotykała. A on, głupi, myślał, że nie była z nikim związana.

- Jak on się nazywa?

- Jim jakoś tam. Shore chyba. Albo Shaw.

- Kto z was mieszka w Hinmanie? - głośno zapytał Spencer.

Zgłosił się jeden chłopak.

- Ha, to dopiero ciekawe, nie? - odezwał się Spencer do Willa na tyle głośno, by wszyscy go usłyszeli. - Najbliższym akademikiem jest Hinman, w gruncie rzeczy obok nie ma żadnego innego, tylko biblioteka, z której, jak wszyscy zgodnie przyznali, nikt nie korzystał. A mimo to mamy tu ponad dwadzieścia osób zgromadzonych wokół miejsca przestępstwa i wszyscy mieszkają zupełnie gdzie indziej. To interesujące, Will, chyba sam przyznasz?

Jego partner przytaknął.

Sześć kolejnych osób podniosło rękę.

Kręcąc głową, Spencer zapisał ich nazwiska i numery telefonów. Na co liczyli, zachowując milczenie? Doszedł do wniosku, że pewnie wszyscy studiują prawo. Bez adwokata będą milczeć jak grób.

Podziękował dziewczynie za pomoc, raz jeszcze zapytał zebranych, kiedy ostatnio widzieli Kristinę Kim żywą, lecz jak się spodziewał, nie otrzymał satysfakcjonującej odpowiedzi.

- Ho, ho - mruknął Will, gdy kolega skończył. Był dobrym, miłym gliniarzem, który nigdy nie podnosił głosu. Stanowił doskonałe uzupełnienie Spencera. Trzymał go w ryzach.

- O co ci chodzi? - zapytał Spencer.

- O nic. Po prostu ho, ho. - Will się skrzywił. - Tracy, skąd do diabła wiesz, kim jest ta dziewczyna? Skąd znasz jej nazwisko?

Spencer spojrzał na stojącego kilka kroków dalej Fella, który przestępował z nogi na nogę. Nie ulegało wątpliwości, że też chce wziąć udział w rozmowie. Spencer przywołał go i powiedział:

- Ray i ja byliśmy u niej w zeszłym tygodniu w związku z wypadkiem samochodowym, prawda, Ray?

- U kogo?

- U tej dziewczyny, którą znaleźliśmy martwą. U Kristiny Kim.

- Tak? Ja jej nie rozpoznałem, sierżancie Tracy.

- Nie, jasne, że nie.

Ray wyprostował się i oświadczył głośno:

- Czekam na dalsze rozkazy.

- Wracaj na komendę, Ray. My przyjedziemy później.

- Spence - odezwał się cicho Baker - on nie jest złym gliniarzem. Wiadomo, czego się po nim spodziewać.

- Tak, stałego obniżania poziomu.

- Nie, jest tylko... niedoświadczony.

- Will, on o wszystkim zapomina! O wszystkim. Zapomni pójść na własny pogrzeb.

Partner uśmiechnął się i znowu mruknął:

- Ho, ho.

Spencer nachylił się ku niemu i zapytał:

- A teraz o co znowu ci chodzi?

- O nic, naprawdę, Myślałem tylko, że Kristina... że pewnego dnia to może być moje dziecko.

- Przecież masz dwóch synów.

- Wiesz, co mam na myśli - odrzekł Will. - Ta dziewczyna nie żyje już od jakiegoś czasu.

Według ciebie jak długo?

- Kiedy spadło dość śniegu, żeby przykryć ciało?

Tamten chwilę się zastanawiał.

- Chyba przed Świętem Dziękczynienia, w czasie tej śnieżycy.

Spencer w milczeniu skinął głową. Nie potrafił znieść myśli, że była w śniegu przez dziewięć dni. Kiedy rozstali się w tamten wtorek, zaczynało dopiero padać. Tak więc Kristina zginęła gdzieś pomiędzy pierwszą po południu we wtorek a godzinami porannymi w środę, kiedy śnieg ustał.

- Tak, sądzę, że to trafny strzał - odezwał się wreszcie. - Przed Świętem Dziękczynienia.

- Tamtej nocy było bardzo zimno - zauważył Baker. - Musiała zamarznąć natychmiast. Widziałeś? Nie było śladu rozkładu ani plam opadowych.

- Hej, może jak ją odmrozimy, to ożyje? - zażartował słabo Spencer.

Jego partner jednak się nie roześmiał. Spencer poprosił go, by powiadomił władze college'u, że na terenie kampusu doszło do niewyjaśnionej śmierci, a także przesłuchał wszystkich, którzy mogli widzieć tę dziewczynę w przeciągu ostatniego tygodnia. Potem przypomniał sobie o koszykówce.

- Will, wyświadczyć mi przysługę i pogadaj z trenerem żeńskiej drużyny koszykówki. Sprawdź, czy Kristina grała w meczu w ostatnią sobotę.

W gruncie rzeczy jednak odsyłał go tylko; doskonale zdawał sobie sprawę, że nie mogła grać. Widział jej ramię.

Will mylił się w kwestii plam opadowych. Spencer przy przenoszeniu Kristiny na nosze ujrzał przelotnie jej plecy i nogi. Dostrzegł morze czarnych siniaków i śladów; to tam zatrzymała się krew, kiedy ustało krążenie. Nie było rozkładu, ponieważ nie nastąpiło stężenie, a nie było stężenia, ponieważ zamarzała, zanim w ogóle stężenie mogło się rozpocząć. W szpitalu ciało jednocześnie się odmrozi i rozłoży.

Było mu okropnie zimno.

Począł przy bocznych drzwiach akademika Hinmana, aż mu otworzą, a potem ruszył po schodach. Na drugim piętrze przystanął przy drzwiach pokoju Kristiny i zapukał. Nie były zamknięte na klucz, lecz Spencer nie miał prawa wchodzić bez nakazu rewizji.

Powoli uchylił drzwi i zerknął do środka. Paliło się tu światło, na komputerze migał wygaszacz ekranu, łóżko było niepościelone. Wszędzie wałały się książki i ubrania. Rzeczy na łóżku mogły chyba być tymi, które zdjęła z siebie w noc śmierci. Na podłodze obok łóżka leżała butelka southern comfort.

O'Malley bardzo chciał wejść i niech diabli wezmą regulamin, lecz doskonale zdawał sobie sprawę, że nic by przez to nie osiągnął. Jaki jest sens szukać czegokolwiek, jeśli potem nie będzie

mógł tego wykorzystać? Najpierw taki dowód zostałby odrzucony przez sąd, a potem szef, ponaglany przez prokuratorskich zelotów i drobiazgowych pedantów z Concord, wywaliłby Spencera na zbity pysk. Wyląduje na zielonej trawce, bez pracy i bez podejrzanego.

Z ociąganiem pozwolił więc, by drzwi same się zamknęły.

Rozejrzawszy się po korytarzu, zapukał do pokoju naprzeciwko. W progu pojawił się starannie ubrany student o azjatyckich rysach. Sierżant zaczął tłumaczyć, kim jest i co się stało, lecz student przerwał mu w pół słowa.

- Proszę poczekać, to z nim chce pan rozmawiać. - Machnął ręką. - Pokój trzy-dziewiętnaście.

- Dlaczego akurat ten?

- Przyjaźnili się - wyjaśnił chłopak i zaczął zamykać drzwi.

O'Malley wsunął stopę za próg i wyjął odznakę.

- Nie podoba mi się pańskie nastawienie - oznajmił stanowczo. - Jak nazywa się lokator pokoju trzy-dziewiętnaście?

Student przesunął wzrokiem od stopy detektywa do jego odznaki, po czym odrzekł:

- Maplethorpe. Albert. Czy już mogę?

Spencer cofnął nogę i drzwi się zamknęły.

Wolnym krokiem podszedł do pokoju 319. Na jasnych drzwiach obok magnetycznej tabliczki informacyjnej widniało artystyczne wyobrażenie Anubisa, przerażającego boga śmierci o głowie szakala, oraz bułgarskie przysłowie następującej treści: „Jeśli pragniesz utonąć, nie torturuj się płytką wodą”.

Cóż więcej powinienem wiedzieć o Albercie Maplethorpie? - pomyślał Spencer, pukając do drzwi tak długo, póki nie otworzył ich przystojny, długowłosy chłopak, ubrany tylko w czarne spodenki.

Spencer pokazał mu odznakę policyjną.

- Czy pan Albert Maplethorpe?

- Tak, to ja - potwierdził chłopak, zbierając włosy w kucyk.

- Czy przyjaźnił się pan z mieszkającą na tym piętrze Kristiną Kim?

W czarnych oczach tamtego zapalił się jakiś błysk. Co miał oznaczać?

- Tak, można tak to określić.

- Dzisiaj znaleziono ją martwą.

Mimo półmroku panującego w korytarzu Spencer zobaczył, że chłopakowi cała krew

odpłynęła z twarzy, jakby wymierzono mu potężny cios. Albert, nie odwracając się, powiedział:

- Conni, chodź tu. To dotyczy Kristiny.

Do drzwi podeszła dziewczyna, także skąpo ubrana, choć była przecież zima.

- Co się stało?

- To detektyw...

- Proszę wybaczyć - przerwał mu Spencer i zwrócił się do dziewczyny: - Czy mogę wiedzieć, jak się pani nazywa?

- Conni. Constance Tobias - wyjąkała. Była wyraźnie zdenerwowana. W jakiś sposób przypominała Spencerowi drapiącego się Miliona. - Co się stało? - powtórzyła cicho.

- Znaleźli Kristinę martwą - wyjaśnił chłopak.

Conni się załamała. W jednej chwili wybuchnęła płaczem, tak gwałtownie i głośno, że Spencera to zaskoczyło. Albert ją objął.

- Wszystko dobrze - szepnął - no, już.

Ale rozszlochała się jeszcze bardziej.

Spencer uważnie jej się przyglądał. W przeciągu kilku sekund dziewczyna od pozornego spokoju przeszła do hysterii. Odchrząknął i nie odrywając od niej wzroku, powiedział:

- Tak mi przykro. Znała ją pani?

- Czy znałam? - wykrztusiła Conni. - Ona była naszą najlepszą przyjaciółką.

Naszą, powtórzył w myślach Spencer. Ha, to interesujące.

- Naprawdę bardzo mi przykro. Postaram się nie zająć dużo czasu.

Conni nie potrafiła się uspokoić. Cała się trzęsała, z nosa jej ciekło. Pocieszający uścisk Alberta nie zdołał jej uspokoić.

Spencer obserwował ich badawczo. Conni Tobias była drobną ładną dziewczyną, to znaczy teoretycznie ładną, ponieważ w tej chwili trudno to było orzec. Twarz miała purpurową i zalaną łzami.

Nosiła koszulkę i krótkie spodenki. Była szczupła i miała obfity biust. Spencer spojrzął na jej gołe stopy, a później zerknął do pokoju. Chciał zobaczyć, czy są tam jakieś buty.

I znowu wrócił wzrokiem do Alberta, który był muskularny, acz nie-przesadnie, i przystojny, choć daleki od ideału. Zauważył małe złote kółko w lewym uchu i wymyślny tatuaż na lewym ramieniu. To ciekawe, studenci Dartmouth niezwykle rzadko miewali tatuaże. Ten przedstawiał Anubisa, tym razem ze skrzydłami, pod którym widniały inicjały KM.

- Ładny tatuaż - odezwał się Spencer. - Kto to jest KM?
- Moja matka. Kay Maplethorpe.
- Rozumiem. A nie można było napisać po prostu „mama”? - spytała podejrzliwie.

Albert pokazał w uśmiechu białe zęby.

- Głupio wygląda, jak facet ma napisane „mama” na ramieniu.
- Nie zgadzam się z panem. Miłość do matki to rzecz godna polecenia,

dzięki takim rzeczom człowiek może zostać wybrany na ważne stanowisko państwowe.

- Dzięki Bogu nigdy o takie nie będę się ubiegał - odparł Albert.

Conni wciąż płakała. Spencer nieufnie odnosił się do ludzi, którzy nazbyt gwałtownie reagowali na straszne wiadomości. W porządku, jeśli bledli albo w ogóle nie reagowali. Po rodzicach spodziewał się hysterii, od przyjaciół oczekiwał o wiele mniej, tymczasem ta dziewczyna okazywała coraz więcej emocji.

A poza tym żadne nie zapytało, co właściwie przydarzyło się Kristinie.

- Jest pan pewny? - odezwała się Conni. - Całkowicie pewny?

- Panno Tobias - odrzekł Spencer spokojnie - moja praca polega na odróżnianiu martwych od żywych. Pani przyjaciółkę znaleziono zamarznąłą w śniegu, najwyraźniej leżała tam od kilku dni. Na razie nie wiemy, jaka była przyczyna jej śmierci, jesteśmy jednak przekonani, że niestety... - przełknął, gdyż następne słowo utknęło mu w wysuszonym gardle - nie żyje.

- Może pan wejdzie? - zaproponował Albert.

Dla Spencera zabrzmiało to dwuznacznie. Chłopak mógł rozumieć przez to, by wszedł i uniemożliwić ciekawskim wyglądającym na korytarz podsłuchiwanie ich prywatnej rozmowy, ale mógł też mieć na myśli: Wejdz, bo wyglądasz, jakbyś musiał usiąść.

- Nie, dziękuję. Zastanawiałem się, czy Kristina Kim miała psa.
- Psa? - powtórzyła Conni, pociągając nosem. - Tak, ma psa. Gdzie Arystoteles, Albercie?

Oboje rozejrzeli się po pokoju, a potem spojrzeli na siebie. Spencer czekał.

- Nazywa się Arystoteles? - zapytał.

Potwierdzili skinieniem głowy.

- Śmieszne imię dla psa. Wiecie, gdzie on jest?
- A dlaczego pyta pan, czy miała psa? - zapytała Conni, ocierając łzy.

Spencer przyjął taktykę, by nigdy nie odpowiadać na pytania ludzi, którzy nie mieli żadnego powodu ich zadawać. I na to też nie odpowiedział.

- Wiecie, gdzie teraz jest pies?
- Tutaj go nie ma - odrzekł Albert.
- Tyle to sam wiem. Jest duży, to chyba labrador, prawda?
- Tak, a skąd pan wie?

Spencer zignorował także to pytanie.

Kiedy był mały, miał psa rasy golden retriever, starego i na pół ślepego. Pies zdechł zimą. W dziecięcej pamięci Spencera na zawsze zapisał się sposób, w jaki pies powłóczył łapami po śniegu na tylnym podwórku.

- Posłuchajcie - odezwał się stanowczym tonem - powiedzcie mi, kiedy ostatnio widzieliście psa i gdzie jest teraz.

- Może u Jima - rzuciła Conni niepewnie.
- U Jima Shore'a?
- Nazywa się Jim Shaw. To jej chłopak - uściśliła smutno. - Czy ona spadła?
- Spadła? - powtórzył detektyw z nową czujnością. - Co pani przez to rozumie?
- Nic, nic - odrzekła pośpiesznie Conni. - Myślałam tylko, że dlatego umarła.
- A skąd miała spaść? - O'Malley ani na chwilę nie zamknął notatnika.
- Z mostu - wyjaśniła Conni. - Z tego straszego mostu, po którym chodzi.

- Ten most koło Biblioteki Feldberga? - Spencer przypomniał sobie, że pod nim przejeżdżał, pamiętał też, jak przeszedł po nim w procesji za sanitariuszami, którzy nieśli Kristinę. - Dlaczego miałyby z niego spaść?

Albert potrząsnął głową.

- Ona spaceruje po poręczy, tam i z powrotem.
- Dlaczego?
- Dla zabawy. - Wzruszył ramionami. - Najpierw piła, a potem szła po tej kretyńskiej poręczy.
- Teraz gwałtownie pokręcił głową. - Myśleliśmy, że tym razem spadła.
- A jak często to robiła?
- Od czasu do czasu - odpowiedzieli oboje.
- Pijana?
- Tak, ale dzięki alkoholowi szła pewnie - tłumaczyła Conni.
- Szła pewnie? - Spencer zanotował to w notatniku. Odetchnął głęboko, nim zadał następne pytanie. - Była... naga, kiedy ją znaleźliśmy... - gdy ja ją znalazłem. Możecie mi to wyjaśnić?

- Zawsze była naga, jak chodziła po tej poręczy - oświadczył Albert prosto. - Czy ona spadła?
- Nie, nie spadła. Dlaczego chodziła nago po mrozie?
- Nie mamy pojęcia. - Conni pociągnęła nosem. - Pytaliśmy ją o to przez trzy lata.
- Rozumiem. A gdzie mieszka Jim Shaw?
- Na parterze - odrzekła Conni.

Spencer poinformował oboje, że mają natychmiast się ubrać, bo pojedą na komendę, gdzie odpowiedzą na kilka następných pytań, po czym wykonał ruch, jakby zamierzał odejść.

- Ach, jeszcze jedno. - Przystanął. - Wiecie, gdzie mieszkają jej rodzice? Muszę ich zawiadomić. - Kiedy milczeli, dodał: - Ktoś musi zidentyfikować ciało.

Conni znowu zaczęła płakać, Albert wyglądał na poruszonego.

- Jej ojciec nie żyje - odrzekł - a o matce nic nie wiemy.
- Rozumiem. To może wiecie, skąd pochodziła?

Albert odwrócił się ku Conni.

- Conn, ty wiesz, skąd jest Kristina?
- Chyba z Nowego Jorku. Wydaje mi się, że skończyła szkołę średnią w Brooklyn Heights, ale nie jestem pewna - wykrztusiła drżącym głosem.

Spencer pożegnał się z nimi, ogarnięty niepokojem.

Zapukawszy do drzwi Jima Shawa, odczekał pięć minut, ale nikt nie otwierał. Spencer pomyślał, że Jim jest na spacerze z psem, tak więc nie ruszał się z miejsca. Przechodzący korytarzem student zapytał:

- Mogę panu w czymś pomóc?
- Nie, dziękuję - odrzekł Spencer uprzejmie.
- Jeśli czeka pan na Jima, to widziałem, jak wychodził. Może przekazać mu wiadomość? -

Chłopak najwyraźniej był zadowolony.

- Nie, dziękuję - powtórzył Spencer.
- Nie wiem, kiedy wróci. Czasami długo go nie ma. Jest pan pewny, że nie chce pan zostawić wiadomości albo przyjść później?
- Najzupełniej pewny - potwierdził O'Malley. Miał przecucie, że Jim wkrótce się pojawi.

I nie pomylił się.

W jakiś kwadrans później, około szóstej, zobaczył na korytarzu żółtego labradora.

Pies podbiegł ku sierżantowi, który pochylił się i serdecznie go poklepał. Zawsze lubił psy i

żałował, że w małym mieszkanku nie wolno mu trzymać ulubieńca. Przyjrzał się też uważnie butom obecnego opiekuna labradora.

- Dobry pies, dobry piesek, Arystoteles - powiedział, prostując się i patrząc w twarz okutanego szalem młodego mężczyzny w narciarskiej czapce. - Czy pan Jim Shaw?

- Tak przypuszczam - odparł chłopak kwaśno, zdejmując szal i czapkę. - A pan kim jest?

Spencer podsunął mu pod oczy odznakę i oświadczył:

- Ustalmy sobie raz na zawsze, że to ja zadaję pytania. Proszę ze mną.

- Dlaczego? Nic nie zrobiłem - zaprotestował głośno Jim.

- I na tym polega problem z panem. Moim zdaniem albo zrobił pan sporo, albo za mało. W obu przypadkach jednak musi mi pan towarzyszyć na komendę, gdzie zadam panu parę pytań.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi - oznajmił Jim, ale Spencer, patrząc w jego zaczerwienioną twarz i rozbiegane oczy, pomyślał, że tamten doskonale wie.

- Idziemy.

- Nie ruszę się stąd, dopóki nie dowiem się, o co chodzi, i nie będę miał przy sobie adwokata.

- A gdzie jest pański adwokat? Jak wielu studentów Dartmouth ma adwokata gotowego pojawić się na każde wezwanie? Czy zdąży tu przyjechać za godzinę? Bo o piątej kończę służbę i nie zamierzam spędzić w pracy ani minuty dłużej. Zaaresztuję pana jako podejrzanego o dokonanie poważnego przestępstwa i przetrzymam w celi do jutra rana. Albo też z własnej woli pójdzie pan ze mną, żebym nie musiał dłużej stać w tym klaustrofobicznym korytarzu i wrzeszczeć na pana.

Jim stał, oszołomiony i zbity z tropu.

- O co chodzi? - zapytał wreszcie, wpatrując się w Arystotelesa.

- Niech pan na mnie spojrzy - polecił Spencer. Miał ochotę wziąć pod brodę tego chłopaka i unieść mu twarz do góry. - Pańską dziewczynę, Kristinę Kim, znaleziono martwą... - Urwał, mierząc swego rozmówcę badawczym spojrzeniem.

Student mrugnął raz, potem drugi. Zachwiał się i oparł o drzwi, a kiedy zakrył twarz dłońmi, te drżały.

- Nie, nie, nie - powiedział cicho. - O mój Boże, nie.

Ramiona mu opadły i przez chwilę detektyw bał się, że Jim wybuchnie płaczem; chciał zachować ostry ton, a współczucie by mu przeszkodziło.

- Niech pan się opanuje - powiedział łagodniej. - Przykro mi, że przyniosłem złe wieści.

Chłopak wciąż stał przygarbiony. Nie patrzył na O'Malleya, który żałował, że musi patrzeć na niego.

- Przykro mi, stary - powtórzył obojętnie. - Wiem, że to okropne.

Tamten uniósł ku niemu oczy i mrugając gwałtownie, niskim głosem oznajmił:

- Ona nie jest moją dziewczyną.

Spencer potrząsnął głową.

- Świetnie. Okaż żal! - zaproponował sarkastycznie.

- Nie - odrzekł Jim pośpiesznie. - Chciałem tylko wyjaśnić tę kwestię na wypadek dalszych nieporozumień.

Arystoteles krążył wokół niego, drzwi innych pokojów otwierały się i zamykały.

- Pójdę z panem - powiedział Jim w końcu. - Tylko naleję Arystotelesowi trochę wody.

- Pies też idzie.

- Po co?

- Widzę, że łatwo pan zapomina. Zasada brzmi, że ja zadaję pytania, a pan odpowiada.

Gotowy? Ruszamy na górę.

- Czyli dokąd?

- Do pokoju Kristiny Kim.

Jim mrugnął na dźwięk jej nazwiska.

- Arystoteles to pies Kristiny, prawda?

- Tak, a skąd pan wie?

Bo ja wiem wszystko, chciał mu powiedzieć Spencer, lecz nie była to prawda. O niczym prawie nie miał pojęcia.

- Na zewnątrz widziałem wozy policyjne - odezwał się cicho chłopak. - Kiedy pana zobaczyłem, od razu przeszło mi przez głowę, że może chodzić o Kristinę.

Detektyw przekrzywił głowę, by uprzedzić tik.

- I miał pan rację. Chodzi o Kristinę.

Kiedy weszli na piętro, Arystoteles zaczął skomleć. Położył się na korytarzu i nie chciał się ruszyć ani wejść do pokoju.

Jim stał plecami do Spencera i milczał. To było niemal jak oglądanie czyjegoś żalu, ale z wyłączoną fonią.

Jego opuszczone ramiona przypominały O'Malleyowi o własnym głębokim smutku i bardzo

mu współczuł.

Wyjął z kieszeni rolkę żółtej taśmy, tej z napisem „linia policyjna -przekraczanie wzbronione” i okleił nią drzwi oraz klamkę.

- Gotowe - oznajmił, urywając taśmę zębami. - Idziemy.

Po drodze zabrali Conni i Alberta, zaprowadzili psa do pokoju Jima, po czym pojechali na komendę.

Spencer wprowadził Conni do jednego niewielkiego pomieszczenia, a Alberta do drugiego i kazał im czekać; wkrótce ktoś do nich przyjdzie.

Jima zabrał do prostokątnego pokoju na tyłach gmachu. Porozmawiał z Willem Bakerem o studentach, którzy zostali przesłuchani pod akademikiem Hinmana, i poprosił partnera, by został. Wzięli ze sobą magnetofon i kawę, lecz Jim odmówił.

Usiedli na niewygodnych plastikowych krzesłach wokół białego okrągłego stołu, oświetleni pojedynczą żarówką. Will zajął miejsce po lewej ręce Spencera, który pod nosem przeklinał współczesne meble, przeczące powadze przesłuchania. Stolik wyglądał bardziej na umeblowanie stołówki w jakiejś współczesnej firmie na przedmieściach.

Głośno odchrząknął.

- Panie Shaw, to jest detektyw Will Baker, mój partner. Tę sprawę prowadzimy razem. - Will skinął głową. Jim się nie poruszył. Próbując nieco rozładować atmosferę, Spencer dodał: - Jedną z waszych bibliotek nazwano od jego nazwiska.

Jim spojrzał na niego, nie odezwał się jednak. Spencer wykrzywił się do Willa.

- Dobrze, zabierajmy się do rzeczy. Proszę nam opowiedzieć o sobie.

- Co na przykład?

- Cokolwiek. My pana nie znamy. Proszę nam powiedzieć wszystko, co według pana powinniśmy wiedzieć.

Trzymając pod stołem obie dłonie, Jim zakaszłał, po czym zaczął mówić:

- Urodziłem się w Bonn, w Niemczech...

- Jest pan Niemcem? - przerwał mu O'Malley. Will delikatnie położył mu dłoń na ramieniu, ale Spencer strząsnął ją z siebie.

- Amerykaninem. Mój ojciec był wiceprezesem zagranicznego oddziału koncernu Coca-Coli. Sporo podróżowaliśmy, a kiedy ojciec przeszedł na emeryturę, zamieszkaliśmy w Wilmington, skąd pochodzi moja rodzina.

- Ma pan rodzeństwo?
- Młodsze go brata.
- Gdzie przebywa obecnie?
- W Wilmington. Pracuje w Delaware National Bank.
- Rozumiem. - Spencer zamilkł, porządkując notatki.

Will złożył dłonie, Jim patrzył na Spencera. Chłopak był przystojny. Miał na sobie tweedową marynarkę, koszulę z białym kołnierzykiem i granatowy sweter. W jego głęboko osadzonych oczach błyszczały na przemian rozpacz i inteligencja, odruchy obronne i strach. Jasnobrzowe włosy uczesane były starannie, z przedziałkiem na boku. Wyglądał na dobrego syna i dobrego studenta.

- Jak pan wie, Kristina Kim nie żyje.

Jim ani drgnął.

- Czy może nam pan powiedzieć, kiedy widział ją pan po raz ostatni?

Proszę, by odpowiedział pan dokładnie i przypomniał sobie każdy, najdrobniejszy nawet szczegół.

Jim zmarszczył czoło.

- To chyba było w zeszłym tygodniu.
- Kiedy?
- W tygodniu przed Świętem Dziękczynienia.
- Dobrze, ale jaki to był dzień, niedziela, poniedziałek, wtorek?
- Przypuszczam, że wtorek.

- Panie Shaw - odezwał się Spencer - nie zamierzam sugerować panu właściwej odpowiedzi. Chcę, żeby powiedział mi pan wszystko, co wie. Na wypadek gdyby pan nie rozumiał, o co chodzi, powtórzę to jeszcze raz. Siedzimy tutaj i zadajemy panu mnóstwo pytań. Pan odpowiada dokładnie i wyczerpująco, dodając także i takie szczegóły, o które może zapomnimy zapytać. W ten sposób pańskie sumienie pozostanie czyste, a my pana nie zatrzymamy. Czy to jasne?

- Widziałem ją we wtorek.
- Dlaczego we wtorek?
- Ponieważ w środę pojechałem do domu i wtedy jej nie widziałem.
- Jest pan pewny?
- Najzupełniej.

- Kiedy we wtorek?
- Późno, chyba o jedenastej. Wieczorem graliśmy w karty.
- W świetlicy akademika?
- Tak, skąd pan wie?
- Kto tam był?
- Ja, Kristina, Albert, Conni i Frank.
- Kto to jest Frank?
- Frankie Absalom, bliski przyjaciel Alberta. Kilka lat temu Conni mieszkała razem z

Kristiną.

- Conni już znam. A Albert?
- Albert jest chłopakiem Conni.

Detektyw zauważył, że Jim lekko się przy tych słowach skrzywił.

- Od jak dawna są ze sobą?
- Od kilku lat.
- Tak więc... - Spencer spojrział na Willa. - A co łączyło Alberta z Kristiną?

Jim wyraźnie się zdenerwował. Odpowiedział dopiero wówczas, gdy Spencer powtórzył pytanie.

- Znajomość ze mną, z Conni, tak przypuszczam. Wszyscy się przyjaźniliśmy.
- Przyjaźniliście?
- Przyjaźnimy, chciałem powiedzieć.
- Powiedział pan, że coś wiązało Alberta z Kristiną?
- Tak. Mieszkałem z Albertem na pierwszym roku.
- Więc wy mieszkaliście razem i Conni i Kristiną również.
- To prawda. Czy mógłbym dostać szklankę wody? W gardle mi zaschło.

Baker poszedł po wodę. Jim jednym haustem wypił całą szklankę. Nieproszone, Will wstał i przyniósł dzbanek. W czasie jego nieobecności w pokoju panowało milczenie.

Gdy ponownie usiadł, Spencer wrócił do przesłuchania.

- Więc kiedy wszyscy się poznaliście?
- Na pierwszym roku.
- W jaki sposób?

Detektyw widział wyraźnie, że chłopak z trudem zachowuje spokój. To dla niego niełatwe,

pomyślał. Czy wymuszam z niego wyznanie?

- Sam nie wiem, jak się poznaliśmy - odrzekł wreszcie Jim. - Trudno to wyjaśnić.

- Trudno? - powtórzył O'Malley z niedowierzaniem. - Pozwoli pan, że coś powiem. To akurat pytanie na pewno nie jest skomplikowane.

- Proszę wybaczyć, ale pan nie rozumie. - Jim pokręcił głową.

- Więc czekam na wyjaśnienie.

- Nie rozumiem, jaki to ma związek z czymkolwiek.

Spencer odwrócił się ku Willowi, który powiedział:

- Denerwuje pan mojego partnera. To nie do pana należy ocena, co mająci związek z czym.

Nie współpracuje pan z nami, a my zaczynamy przypuszczać, że może ma pan coś do ukrycia.

- Nic nie ukrywam, tylko że... Miałem kłopoty z poukładaniem sobie tego w czasie. Wydaje mi się, że najpierw spotkałem Conni i Kristinę, a potem Albert mi je przedstawił...

- Ale...

- Nie ma żadnych ale. To było w Święto Dziękczynienia na pierwszym roku. Zobaczyłem Conni i Kristinę wychodzące z sali gimnastycznej. Jeśli mam być szczery - Jim zakaszłał - na początku bardziej podobała mi się Conni. Była drobniejsza, bardziej, ja wiem, przystępna. Kristina... uznałem,

że nie jest w moim typie. Zrobiło się bardzo zimno, a ona miała na sobie tylko kolarskie spodenki i koszulkę ze spandexu.

- Uznał pan, że nie jest w pańskim typie, bo była ubrana na sportowo? - zapytał Spencer.

- Nie, nie o to chodzi - zaprzeczył Jim pośpiesznie. - Wie pan, ja ją lubiłem i w ogóle. Zaczęliśmy rozmawiać, idąc na Mass Row, gdzie wszyscy mieszkaliśmy. Powiedziałem, że mam współlokatora, a one się roześmiały.

- Czyli doskonale pan pamięta, jak się poznaliście, prawda?

- Nie rozumiem - odrzekł Jim.

- Czy byliście bliskimi przyjaciółmi z Albertem?

- Bardzo bliskimi. Od razu przypadliśmy sobie do gustu. Doskonale się nam razem mieszkano.

- Jim nie potrafił jednak ukryć napięcia. Przygryzł dolną wargę. - Conni okazała się bardzo miła. Kristina była zabawna, ale niezbyt przyjacielska, rozumie pan?

O'Malley rozumiał: Kristina była zbyt piękna, by przyjaźnie odnosić się do nieznajomych.

Poza nim. Wobec Spencera była przyjacielska. Złapał się na tym, że sam przygryza wargę.

Zdawał sobie sprawę, że już niedługo będzie musiał przejść do znacznie poważniejszych kwestii, pragnął jednak choć przez kilka minut wyobrazić sobie Kristinę w szortach, roześmianą, żywą.

- Miałem nadzieję, że znowu je spotkam, i rzeczywiście nie musiałem długo czekać. Razem z Albertem wpadliśmy na nie u Thayera. Szły z tacami. Zanim zdążyłem do nich pomachać, zrobił to Albert. Usiadły przy naszym stoliku. Albert powiedział: „Kristino, Conni, to mój współlokator, Jim”.

- Wydało się to panu dziwne?

- No cóż, nie przedstawiałby mi ich, gdyby wcześniej się nie spotkali.

- To mały campus.

- Tak, wiem, ale nie powiedział mi, jak je poznał. Ta sprawa nigdy nie została wyjaśniona. Nieważne. W każdym razie zaprzyjaźniliśmy się, a później... - Zająknął się i zamilkł.

- Co było później?

Jim nalał sobie następną szklankę wody i wypił. Dopiero potem mówił dalej.

- Conni i ja zaczęliśmy ze sobą chodzić.

- Conni i pan?

- Tak.

- A Albert i Kristina?

- Ja też tak myślałem. Czy nie byłoby świetnie, gdybyśmy podzielili się na pary?

- Ale...

- Ale... między Kristiną a Albertem do niczego nie doszło.

- Aha.

- Właśnie. Zapytałem go kiedyś o to, ale zareagował dość niechętnie.

„Brak chemii”, tylko tyle mi powiedział.

Spencer widział, że Jim zmaga się z każdym słowem.

- Więc jak do tego doszło, że związał się pan z Kristiną?

- Pomędzy mną a Conni nie układało się tak dobrze, jakbym chciał. - Znów łyknął wody i dodał: - Było dla mnie oczywiste, że zadurzyła się w Albercie.

Spencer skinął głową.

- Aha. A on w niej?

- Tego nie zauważyłem. Widziałem, jak razem uczyli się w bibliotece, chodzili do Lou,

rozmawiali, no rozumie pan. Utrzymywała, że są tylko przyjaciółmi, ale widziałem, że bardzo go lubi.

Spencer z niedowierzaniem potrząsnął głową. A więc Kristina Kim była dla Jima Shawa nagrodą pocieszenia. To niemal śmieszne.

- Sądziłem, że Conni nie jest w typie Alberta, ale co ja wiedziałem? -ciągnął młody człowiek.
- Od tamtego czasu są razem i chyba nawet zaręczyli się w Święto Dziękczynienia. Jak pan widzi, myliłem się w ocenie sytuacji.

- No tak. A co zrobiliście z Albertem?
- Przez jakiś czas nic. Wszystko szło po staremu.
- To musiało być trudne - wtrącił Will ze współczuciem.

Jim skinął głową.

- W połowie wiosennego semestru Albert w końcu się wyprowadził i zamieszkał z Frankiem.
- A pan zaczął chodzić z Kristiną.
- Tak - potwierdził Jim ze znużeniem.
- A jak układają się obecne pana stosunki z Conni?
- Doskonale. Jesteśmy przyjaciółmi.
- A z Albertem?
- Też w porządku - odrzekł Jim natychmiast.
- Więc się przyjaźnicie?

Chłopak chwilę milczał.

- Mniej niż przedtem - odrzekł w końcu.
- Powiedział pan, że Kristina nie była już pańską dziewczyną. Kiedy zerwaliście?
- W poniedziałek.
- W poniedziałek przed Świętem Dziękczynienia?
- Tak.
- W poniedziałek na dzień przed jej śmiercią?
- Ściśle rzecz biorąc, to było we wtorek rano.
- Czyli dokładnie kiedy?
- Czyli we wtorek nad ranem. Przyszła do mojego pokoju o świcie, jakoś tak.

O'Malley lekko się odprężył. Wcześniej w głowie mignęła mu przelotna wizja Kristiny umierającej w kilka minut po zerwaniu z chłopakiem, z którym była trzy lata. Dla Jima nie

wyglądało to najlepiej.

- Ona z panem zerwała?

Jim skinął głową i sięgnął po szklankę.

- Między nami się nie układało.

Spencer zadał sobie pytanie, czy jednym z powodów decyzji Kristiny, choćby najmniej istotnym, nie była jego własna osoba. Nigdy się tego nie dowie.

Will trącił go pod stołem i bezgłośnie spytał:

- Mogę ja?

- Jasne - odrzekł Spencer.

- Jim - zaczął Baker - rozmawiałem ze studentami z waszego akademika, żeby ustalić poczynania Kristiny we wtorkową noc, kiedy naszym zdaniem umarła, i kilku z nich utrzymuje, że mieliście w świetlicy poważną kłótnię, po której wypadł pan jak oparzony.

- Ach, to! - Chłopak machnął lekceważąco, lecz Spencer zauważył, że dłonie mu się trzęsły. - Tak, powiedzieliśmy sobie parę słów, ale to naprawdę nic poważnego.

- Tak? Chłopak, z którym rozmawiałem, twierdził, że był pan wściekły.

- Nieprawda, nie byłem - zaprzeczył krótko Jim, nie rozwijając tematu.

Spencer i Will wymienili spojrzenia.

- Panie Shaw - odezwał się Spencer - może wcześniej nie wyraziłem się jasno.

- To nie było nic poważnego, już mówiłem! - wykrzyknął chłopak zdesperowanym głosem.

- Kogo próbuje pan osłaniać?

- Co? Nikogo!

- A może siebie pan chroni?

- Nikogo nie chronię - powtórzył głośno; był zaczerwieniony i zmieszany.

- Czy zabił pan Kristinę Kim?

- Nie! - wykrzyknął Jim piskliwym głosem.

- A wie pan, kto to zrobił?

- Nie! - Po twarzy spływał mu pot.

Spencer pokiwał głową i zadał kolejne pytanie:

- Graliście w karty w zeszły wtorek. O której wypadł pan jak oparzony?

- Chyba gdzieś koło jedenastej.

O'Malley spojrział na przegub Jima.

- Ma pan zegarek?

Chłopak podciągnął rękaw. Nie nosił zegarka.

- W świetlicy nie ma zegara?

- Jest, ale zepsuł się dawno temu. Zapytałem Frankiego o godzinę.

- Po odejściu ze świetlicy dokąd pan poszedł?

- Do swojego pokoju. - Jim głośno przełknął ślinę.

- Pakował się pan? Uczył? Dzwonił do Kristiny?

- Nie... trochę się uczyłem, ale byłem zmęczony. Nie pamiętam dokładnie. Chyba poszedłem do łóżka.

- I przez całą noc nie opuszczał pan pokoju.

Chłopak milczał przez bardzo długą chwilę.

- Nie - odrzekł wreszcie - nie opuściłem.

Spencer podniósł się z krzesła.

- Czy mam odczytać pańskie prawa i aresztować pana pod zarzutem zamordowania Kristiny Kim?

- Nie, nie! - wykrzyknął Jim. - Nie zabiłem jej, powtarzam, że jej nie zabiłem.

- Więc dlaczego potrzebuje pan adwokata?

Tamtemu znowu zabrakło słów. Zniecierpliwienie i podejrzliwość sierżanta osiągały punkt krytyczny.

- No cóż - odezwał się głośno - chce pan spędzić dwie doby w celi? Podczas dochodzenia w sprawie o morderstwa mamy prawo zatrzymać pana na czterdzieści osiem godzin. Tego pan chce? Zamierza pan zostać prawnikiem? Politykiem? Przyszłym prezydentem? Prezydenci nie siedzą w więzieniu, panie Shaw!

Po tych słowach usiadł. Chłopak, zdenerwowany, dalej milczał.

- Niech pan nam wszystko powie - stanowczym głosem ciągnął Spencer. - Niech się pan weźmie w garść. Czego pan się boi, jeśli pan jej nie zabił? Proszę nam powiedzieć, co robił pan w tamtą wtorkową noc.

- Wtedy? Boże, nic, już mówiłem. Nie wychodziłem z pokoju - odrzekł Jim szybko.

- Może pan to udowodnić?

- Co to znaczy?

- To znaczy, czy ma pan świadka na to, że nie wychodził pan z pokoju?

Dłonie Jima znowu zaczęły drżeć.

- Nie. Zostałem w pokoju do rana. Nikogo ze mną nie było.

- Rozmawiał pan z kimś?

- Osobiście?

- Osobiście, przez telefon, jakkolwiek.

- Nie. Jakiś czas nie mogłem zasnąć. Zacząłem się pakować, a potem się położyłem. Niczego nie widziałem ani nie słyszałem.

- Nie widział pan ani nie słyszał niczego w jakim rodzaju? - zapytał O'Malley podejrzliwie.

- W żadnym rodzaju. Sam nie wiem.

- Mówi pan, że od około jedenastej wieczorem, kiedy bardzo wzburzony wybiegł pan ze świetlicy, nie ma pan świadka na swoje poczynania?

- Na litość boską, ja spałem! Kto może to poświadczyć oprócz mnie samego?

- Czyli mówi nam pan - wtrącił Will łagodnie - że nie ma pan alibi.

Jim wyglądał na tak zrozpaczonego, że Spencerowi zrobiło się go żal.

- Dobrze już. A następnego dnia rano? Co wtedy pan robił?

- Następnego dnia rano śnieżycy już się skończyła, więc spakowałem resztę rzeczy i pojechałem do domu.

- O której pan wyjechał? - zapytał sierżant.

- Nie wiem dokładnie.

- Musi mieć pan spore kłopoty ze zdążaniem na zajęcia, skoro nigdy pan nie wie, która godzina - zauważył.

- Mam zegarek, tylko nie lubię go nosić - wyjaśnił Jim.

- Czy widział pan Kristinę w środę rano? - O'Malley był przekonany, że chłopak odpowie przecząco. I nie pomylił się. - A jej psa?

- Tak, pies był w jej pokoju. Nie powitał mnie radośnie, nawet nie podniósł się z łóżka.

- Jak wyglądał pokój?

- No, wie pan...

- Nie mam pojęcia.

- Był w nim bałagan.

- Co zrobił pan z psem?

- Nic, pogłaskałem go i wyszedłem.

- Czy nieobecność Kristiny w pokoju wydawała się panu czymś niezwykłym?

Jim pokręcił głową.

- Zapukał pan do drzwi Alberta?

- A po co? - zapytał chłopak cokolwiek niegrzecznie.

Spencer zmierzył go zimnym, długim spojrzeniem.

- Nie wiem, może żeby pożegnać się z przyjacielem? Zapytać, gdzie jest Kristina?

- Nie zrobiłem tego.

- Nie zrobił pan czy nie miał pan ochoty?

Nastąpiła chwila milczenia.

- Nie zrobiłem.

- Więc wyjechał pan.

- Tak jest.

- Jak długo pana nie było?

- Do niedzieli wieczorem.

- Ufam, że spędził pan miło Święto Dziękczynienia - powiedział Spencer jadownicie.

- Było w porządku - odrzekł spokojnie Jim.

- Co zrobił pan po powrocie?

- Co ma pan na myśli? Czy się rozpakowałem?

- Cokolwiek. Nie obchodzi mnie, czy pan się rozpakował. Bardziej natomiast mnie obchodzi, czy poszedł pan do Kristiny.

- Poszedłem, owszem.

- I co?

- I co? Nie było jej.

- Nie, jasne że nie. Śnieg dawno już spadł.

Jim wpatrywał się w Spencera pytająco.

Ten zaś miał ochotę złapać go za kołnierzyk koszuli i mocno nim potrząsnąć. Dzięki Bogu, że obok siedział Will, ponieważ irlandzki temperament sierżanta na pewno by go poniósł. Dlatego właśnie tak potrzebował obecności kolegi, którego spokojna dłoń na ramieniu była jak liczenie do dziesięciu i głębokie oddechy.

Trudno było zmusić Jima do mówienia, co ważniejsze jednak, O'Malley miał wrażenie, że chłopak coś ukrywa. Czegoś nie mówił, a Spencer czuł, jak jego gniew narasta. Chciał ostrzec

Jima, że sprawy mogą przybrać naprawdę zły obrót; ten mądrała, który sądził, że jest sprytny, naprawdę sprytny, ukrywając przed detektywem O'Malleyem informacje na temat zmarłej dziewczyny, może znaleźć się w poważnych tarapatach.

- No więc poszedł pan do niej, ale jej nie było. Jak wyglądał pokój?

- Nie pamiętam, chyba tak samo jak wcześniej.

- Tak, chyba - powtórzył Spencer sarkastycznie, a Will lekko dotknął jego ramienia - by go uspokoić? okazać wsparcie? rozładować napięcie? - O'Malley potrzebował tego.

- Czy był pies?

- Nie, Arystotelesa nie widziałem.

- A więc pies był we wtorek w nocy, ale nie było go w niedzielę. Co pan o tym pomyślał?

- Że ktoś go wyprowadził na spacer.

- Kto, Kristina na przykład?

- Może, ale bardziej prawdopodobne, że Albert.

- Na zmianę chodziliście z Arystotelesem na spacer?

- Tak, coś w tym rodzaju.

Spencer przez długą chwilę nie odrywał od Jima wzroku. Pragnął, by ten zrozumiał, że chłoptaś uświadomił sobie, że w każdej chwili może zostać przyłapany. Czy nie mógłby przynajmniej okazać detektywom odrobiny szacunku, biorąc pod uwagę nieunikniony rezultat przesłuchania?

Czekał, aż student zacznie mówić, lecz ten najwyraźniej uznał, że odpowiedział już na pytanie, i nie zamierzał otwierać ust, dopóki nie padnie następne.

- Sprawdził pan, czy pies jest u Alberta?

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Bo jeśli Albert wyszedł z nim na spacer, to nie byłoby go w pokoju.

- Jasne. Więc co pan zrobił?

- Nic. Wróciłem do siebie.

- Zastanawiał się pan, z kim pies spędził te cztery dni?

- Nie. Myślałem, że został z Kristiną.

- Ale właśnie pan powiedział, że jej pokój wyglądał dokładnie tak samo jak w środę rano.

- Niech pan słucha, nie przyglądałem się wszystkiemu dokładnie. A po co? Za każdym razem panował w nim bałagan. Nie badałem stanu pokoju, naprawdę.

- Więc co potem pan zrobił?
- Poszedłem do siebie. Zanim zgasilem światła, zadzwoniłem jeszcze do Kristiny.
- Z jakim skutkiem?
- Z jakim? Nie odebrała.
- W porządku. - Spencer wyciągnął ręce, skrobiąc paznokciami po wewnętrznej krawędzi stołu. Teraz Will robił notatki, Spencer zbyt był pochłonięty obserwowaniem Jima, by jeszcze pisać. - I tak doszliśmy do poniedziałku.

- Poniedziałek - powtórzył Jim. - Nie pamiętam dobrze, co robiłem w poniedziałek.
- A we wtorek?
- Też nie - odrzekł słabym głosem. - Wtorku też nie pamiętam.
- Więc środa. To było wczoraj. Pamięta pan środę?
- Niezbyt dokładnie.

Spencer zauważył, że chłopak nie odrywa wzroku od swych dłoni, leżących płasko na stole.

- Okay, przejdźmy przez to krok po kroku, dosłownie. Zgoda?
- Jasne.
- Czy widział pan Kristinę w poniedziałek? - nalegał Spencer.
- Nie.
- Wiedział pan, że w poniedziałek już nie żyła?
- Nie, oczywiście, że nie!
- A wie pan, jak ona umarła?

Jim znowu spojrzał na swoje dłonie.

- Nie - odparł - nie wiem, jak umarła.
- Nie wie pan?
- Nie, przecież już mówiłem.
- No tak. Ale jedno mnie intryguje. Skoro nie wie pan, jak umarła - mówi pan, że nie, a ja muszę panu wierzyć - to czegoś nie łapię. Dlaczego nie chce się pan dowiedzieć?

Chłopak odwrócił od niego spojrzenie.

- Panie Shaw, w tej kwestii naprawdę potrzebna mi pańska uwaga. Proszę patrzeć na mnie, kiedy do pana mówię. Niepokoi mnie to, że pan nie patrzy mi w oczy. - To było nawet coś więcej; Spencer czuł narastające podejrzenia i wściekłość.

Jim obrzucił go krótkim spojrzeniem, nie był jednak w stanie zbyt długo wytrzymać wzroku

detektywa.

- Zadam panu kolejne pytanie. Kiedy zawiadomiłem pana, że pańska dziewczyna, z którą związany był pan od trzech lat, została znaleziona martwa, czy słyszał pan o tym po raz pierwszy?

Młody człowiek otworzył usta, zaraz jednak je zamknął.

- Tak - odrzekł po minucie. - Wówczas po raz pierwszy o tym usłyszałem.

- Prowadzi pan ze mną jakąś grę?

- Nie!

- Dlaczego więc wtedy nie zapytał mnie pan, w jaki sposób umarła?

- Bo sądziłem, że wiem.

- Czemu pan tak sądził?

- Myślałem, że spadła z tego przeklętego mostu.

- Dlaczego?

- Bo od trzech lat poniekąd oczekiwałem, że tak się stanie.

- Naprawdę?

- Tak.

- Więc mówi pan, że pana zdaniem jej śmierć to była tylko kwestia czasu, i dlatego wcale się pan nie zdziwił?

- Może - potwierdził tamten cicho.

- Myślał pan, że chodziła po tym moście, żeby spaść i zginąć?

- Coś w tym rodzaju - odrzekł jeszcze cichszym głosem.

- Pana zdaniem chciała umrzeć?

Jim pokręcił gwałtownie głową.

- Nie wtedy, kiedy nie piła. Wtedy... kochała życie.

- A było inaczej, kiedy piła?

- Niezupełnie inaczej.

- Skoro więc była taka pełna życia, to czemu narażała się na niebezpieczeństwo, chodząc po kamiennej poręczy dwadzieścia metrów nad betonową drogą?

- Nie wiem. Podała mi kilka powodów, ale ani jeden nie wydawał się sensowny.

- W to nie wątpię - odrzekł Spencer i zaczął myśleć trochę lepiej o siedzącym przed nim studencie. Pod tą swoją wężową skórą musiał się czuć strasznie. - No cóż, przyczyną śmierci

Kristiny Kim nie był upadek z mostu.

Jim nie podniósł wzroku utkwionego we własnych dłoniach, a sierżant pomyślał: a niech to! On już wcześniej o tym wiedział.

- Mam jeszcze kilka pytań dotyczących ostatnich trzech dni. Twierdzi pan, że nie widział Kristiny.

- Nie.

- Zajrzał pan do jej pokoju, by sprawdzić, czy wróciła?

- Tak. Nie było jej.

- Ile razy pan do niej chodził?

- Raz w poniedziałek i raz we wtorek.

- A w środę? No wie pan, wczoraj.

- Nie pamiętam - odrzekł Jim wymijająco - ale chyba nie.

- Dlaczego nie?

- Nie wiem, byłem zajęty, jak przypuszczam.

- Czy w którymś momencie nie wydało się panu dziwne, że Kristiny nie ma w pokoju?

- Czasami znikła na jakiś czas. A poza tym było po Święcie Dziękczynienia. Myślałem, że gdzieś wyjechała i jeszcze nie wróciła.

- A co z psem?

- To znaczy?

Znowu rozdzielił ich mur; Jim się pilnował.

- Widział pan psa od niedzieli?

- Jasne, przecież go wyprowadzałem.

- Codziennie?

- Tak.

- A gdzie Arystoteles przebywał między spacerami?

- U mnie.

- Czy to nie dziwne?

- Cóż, Kristiny nie było, więc zaopiekowałem się psem.

- I nie zainteresował się pan, gdzie ona jest?

- Miałem sporo zajęć. Nie zastanawiałem się nad tym.

- Czy po Święcie Dziękczynienia widział się pan z Albertem albo z Conni?

- Tak, raz czy dwa.
- A czy pytał ich pan, gdzie jest Kristina?
- Nie.
- Dlaczego?
- Po prostu nie pytałem. Miałem sporo roboty.

Spencera znowu ogarnął niepokój.

- Niech pan mi powie, u kogo był pies w czasie świąt?
- Nie wiem - oświadczył Jim. - Naprawdę nie wiem.
- Co to znaczy „naprawdę”? Mam rozumieć, że wcześniej nie wiedział pan „naprawdę”? Bo „nie wiem” powtórzył pan wiele razy. Zastanawiam się, czy kiedy przedtem mówił pan „nie wiem”, nie miał pan na myśli czegoś zupełnie innego.

- Nie, skąd - zaprzeczył Jim bez chwili przerwy. - Chodziło mi o to, że wcześniej się nad tym nie zastanawiałem, i teraz też nie wiem. Przypuszczam, że Conni i Albert wzięli psa ze sobą.

- Dokąd?
- Pojechali do rodziców Conni.
- A dlaczego mieliby go zabierać?
- Nie wiem - odrzekł Jim, a Spencer odniósł wrażenie, że po półgodzinnym przesłuchaniu on sam wie jeszcze mniej niż przedtem.

Był tak przytłoczony, że omal nie zapomniał zapytać o rzecz najważniejszą. O środę, o ten czas, nim cienka warstwa śniegu spadła na czyjeś buty, nim cienka warstwa śniegu spadła na psa kopiącego w ziemi, by dostać się do swej zamarzniętej pani.

- Wyprowadzał pan psa w poniedziałek?
- Tak, oczywiście.
- Wyprowadzał go pan także we wtorek.
- Musiałem, przecież był u mnie.
- I wyprowadzał go pan w środę.
- Tak, chyba tak. - Chłopak odpowiedział dopiero po chwili.
- A pamięta pan, gdzie pan z nim poszedł?
- Nie przypominam sobie dokładnie. Chodziliśmy tu i tam.
- Gdzie zwykle pan z nim spacerował?
- Wszędzie. Czasami nad rzekę.

- Którędy idzie pan tam z akademika?
- Przez las. Za akademikiem jest ścieżka, którą idziemy.
- Poszedł pan tam we środę?
- Nie wiem, naprawdę nie pamiętam.
- Naprawdę? - powtórzył O'Malley. - Naprawdę pan nie pamięta? Tym razem też mówi pan

prawdę?

Jim spuścił wzrok na swoje dłonie, a Spencer pochylił się i zajrzał pod stół.

- Ładne buty, panie Shaw. Co to za buty?

Tamten nie krył zdziwienia.

- Przepraszam, ale nie rozumiem?
- Buty, Jim. Jaka to marka?

Chłopak zerknął na swoje stopy, a później spojrzął na Spencera O'Malleya, który teraz siedział z rękoma przyciśniętymi do blatu, bo nie chciał zacisnąć ich w pięści. Ich spojrzenia spotkały się i sierżant pojął, że Jim doskonale rozumie, o co w tym pytaniu chodzi.

- Doc Martens - odpowiedział w końcu z głębokim westchnieniem, kładąc dłonie na kolanach.

ROZDZIAŁ PIĄTY

BLISCY PRZYJACIELE

Spencer wpatrywał się w Jima Shawa nieruchomym wzrokiem. - I co pan nam powie? - zapytał cicho, myśląc przy tym: te dłonie może już nigdy nie zajmą się książkami, zamiast tego będą składać pranie w okresie od dwudziestu pięciu lat do dożywocia.

- Proszę posłuchać - odezwał się wreszcie tamten z niejakim trudem. - Powiem, co się stało, ale... nie chcę zostać aresztowany. - Nastąpiła długa chwila milczenia. - Bardzo proszę.

- No, sam nie wiem - odrzekł sierżant. - A powinniśmy pana aresztować?

- Nie, wcale nie. Ja jej nie zabiłem.

- Powiem wprost - oznajmił Spencer - jeśli pan ją zabił, będzie potrzebny panu prawnik.

Jim walnął pięścią w stół.

- Tak pan myśli? - zapytał gwałtownie. - Że ją zabiłem? I to właśnie według pana zaraz wam powiem? Myli się pan, bardziej już pan nie może się mylić.

- Słowa godne przyszłego studenta prawa - skomentował sierżant. - Musi pan wiedzieć, że nawet mordercy zarliwie nie przyznają się do winy. Jestem niewinny, jestem niewinny, jestem niewinny, tak krzyczą w czasie rozpraw i apelacji, a także po wyroku, kiedy już siedzą w więzieniu. Te słowa nic nie znaczą. Co chce nam pan powiedzieć?

- Wszystko.

- Doskonale. Powtarzam tylko, że jeśli pan ją zabił, będzie panu potrzebny adwokat.

- Wiem o tym! A pan myśli, że nie? Zamierzam studiować prawo, na litość boską. Kogo pana zdaniem ma pan przed sobą?

Spencer nachylił się ku niemu.

- Moim zdaniem - odparł - mam przed sobą chłopaka, który zerwał ze swoją dziewczyną, a potem pokłócił się z nią tej nocy, kiedy umarła. Pokłócił się i wyjechał na cztery dni, a jak wrócił, to jej nie było. Naturalnie, że nie mogło jej być. Nie żyła. Chłopak podejrzewa, że stało się coś złego, ale woli o tym nie myśleć, tak więc chodzi na zajęcia, wyprowadza jej psa na spacer, je, śpi, udaje, że wszystko jest okay. Zdaje sobie jednak sprawę, że musiało stać się coś bardzo złego, bo nikt nie widział Kristiny od kilku dni. Ani on, ani jego przyjaciele, Conni i

Albert. A potem, w środę, idzie z psem na spacer do lasu. Zwierzak łapie trop i ciągnie go za gmach Biblioteki Feldberga, gdzie rzuca się na metrowy kopiec śniegu, z którego wystają czarne skórzane buty należące do jego pani. Pies zaczyna skomleć i kopie w śniegu. Chłopak rozumie, że sprawdziły się jego najgorsze obawy. Kristina nie tylko zaginęła, ona jest martwa... - Spencer przerwał, czując ucisk w piersiach. - Moje pytanie brzmi: dlaczego od razu pan nas nie zawiadomił?

- Nie wiem - odrzekł chłopak; dłonie miał kurczowo zaciśnięte, twarz bladą, bez kropli krwi.

Spencer roześmiał się, Will skrzywił. Jim zadrżał.

- Podejmijmy pewną próbę, dobrze? - zaproponował detektyw poważnie. - Przez następny kwadrans ani razu nie powie pan „nie wiem”, zgoda?

Przesłuchiwany milczał.

- Czy to, co przed chwilą opisałem, odpowiada prawdzie?

Tamten zdobył się jedynie na kiwnięcie głową.

- Dlaczego pan do nas nie zadzwonił?

Wypuszczając ze świstem powietrze z płuc, chłopak odpowiedział:

- Bo byłem śmiertelnie przerażony.

- Przerażony czym?

- Nie...

- Dość tego. Czym przerażony?

- Że coś mi się stanie.

- Panu?

- Tak. Bałem się, że będą obwiniać mnie.

- A o co?

- O jej śmierć.

- Jeśli nic pan nie zrobił, to czemu ktoś miałby pana obwiniać?

- Ale tak jest. Pan mnie podejrzewa, a ja nic nie zrobiłem. O niczym nie wiem, a mimo to moje najgorsze obawy już teraz się urzeczywistniają.

- A skąd mamy wiedzieć, że nic pan nie zrobił?

- Bo wam to mówię.

- Skąd mamy wiedzieć, że nie zabił jej pan we wtorek przed Świętem Dziękczynienia, a wczoraj nie poszedł, żeby się przekonać, czy ciało wciąż tam leży?

- Dlaczego miałbym to robić? Odciski moich butów pozostały na śniegu i łatwo można odkryć, że pies należał do Kristiny. Dlaczego miałbym wracać na miejsce przestępstwa? Nigdy bym tego nie zrobił.

- Więc mówi pan, że gdyby ją pan zabił, to w żadnym razie nie wróciłby pan na miejsce zbrodni?

- Z całą pewnością - odrzekł Jim ostrożnie, z namysłem. - Nie wróciłbym.

Spencer odwrócił się w stronę kolegi.

- Jesteś żonaty, Will?

Ten wolno kiwnął głową, jakby niepewny, do czego zmierza jego partner.

- Will, gdyby twoja żona zaginęła na osiem dni, martwiłbyś się?

- Szalałbym ze zmartwienia.

- Zadzwoiłbyś na policję?

- Natychmiast.

- A gdybyś znalazł żonę w śniegowej zaspie za domem, to pozwoliłbyś jej tam leżeć, w nadziei że znajdą ją dopiero wtedy, gdy śnieg stopnieje?

- W żadnym razie.

Spencer ponownie zwrócił się do Jima.

- Widzi pan, według mnie Will ma rację. A pan co o tym sądzi?

- Ludzie różnie reagują - odparł chłopak. - A Kristina nie była moją żoną.

- Więc mówi pan, że jej nie kochał?

- Wcale tego nie mówię. Tylko że nie... nie byliśmy aż tak blisko.

Aż tak blisko, powtórzył bezgłośnie Spencer. Miał ochotę kląć. Zamiast tego zapytał:

- Will, znałeś Kristinę Kim?

- Nie - odrzekł Baker, spoglądając znacząco na partnera.

- Gdybyś spacerował po lesie za biblioteką i znalazł jej ciało, powiadomiłbyś policję?

- Bezzwłocznie.

- Nawet gdybyś nie był gliną?

- Oczywiście.

- Sam pan się przyznał - powiedział zimno O'Malley do Jima - że codziennie chodził pan do jej pokoju, aby sprawdzić, czy już wróciła.

Najwyraźniej na to był pan z nią dostatecznie blisko. Ale nie aż tak, by zawiadomić nas o jej

śmierci, mam rację?

Przesłuchiwany potrząsnął głową.

- Pan po prostu nic nie rozumie.

- Ma pan całkowitą rację - warknął detektyw. - Choć bardzo bym chciał. Bardzo bym chciał zrozumieć, co tak przstraszyło dwudziestojednoletniego chłopaka, że pozwolił, by jego dziewczyna leżała zamrożona w zaspie.

- Bałem się o siebie. Wiem, że to brzmi strasznie...

- To brzmi strasznie - potwierdził sierżant.

- Zdaję sobie z tego sprawę, ale to prawda. Nie miałem pojęcia, co robić. Wpadłem w panikę. Nie mogłem przestać o tym myśleć. A dzisiaj, kiedy sobie uświadomiłem, jak źle to będzie wyglądało, było już za późno, by do was dzwonić.

- I śnieg już spadł - dodał Spencer.

Jim zarumienił się, jakby wreszcie zrozumiał, o co chodziło detektywowi.

- Padało - zgodził się słabo.

- A co to dla pana znaczyło?

- To - odrzekł Jim z napięciem, na granicy szeptu - że moje ślady, a może i jej buty zostały przykryte...

- I co?

- Nie rozumiem?

- Gdyby pańskie ślady i jej buty zniknęły pod śniegiem, to co?

- To być może minie jakiś czas, nim ją znajdą, a wtedy na pewno mnie z tym nie połączą.

Spencer i Will wymienili chłodne, spokojne spojrzenia. Baker potrząsnął głową, sierżant popatrzył w sufit.

- Panie Shaw, nie wierzę własnym uszom. Naprawdę, to się w głowie nie mieści - odezwał się głośno - że pan, znajdując zwłoki dziewczyny, z którą był pan blisko przez trzy lata, ucieka jak tchórz z podwiniętym ogonem do swojej nory i liczy, że nikt nie odkryje ciała.

Jim zamknął oczy.

- W końcu jednak - mówił dalej sierżant przez zaciśnięte zęby - po miesiącu, dwóch, powiedzmy w końcu karnawału zimowego, w lutym, wspomniałby pan Conni i Albertowi, że od jakiegoś już czasu nie widział pan Kristiny? A może myśli pan, że oni też by nie zauważyli jej nieobecności?

Jim potarł zamknięte powieki.

- Proszę posłuchać - powiedział - to najdłuższy dzień w moim życiu. Opuściłem dzisiaj wszystkie zajęcia, a nigdy wcześniej tego nie zrobiłem. Jestem bardzo roztrzęsiony.

- Mało brakuje, abyśmy uwierzyli - odezwał się Will Baker głośno. Tym razem to Spencer położył mu dłoń na ramieniu.

- Cały dzień siedziałem w bibliotece - ciągnął Jim. - Gdyby nie to, że Arystoteles był u mnie, do rana bym nie wyszedł z czytelni. Kiedy wróciłem ze spaceru i zobaczyłem pana czekającego pod moim pokojem, poczułem ulgę. I tak wcześniej czy później zgłosiłbym się do was. Nie mógłbym z tym żyć.

- Nie mógłbyś, co? - zapytał Spencer. - Kupa gówna z ciebie. Pracuję w policji od jedenastu lat, to więcej niż jedna trzecia mojego życia. Rozumiem zbrodnie z namiętności, rozumiem zazdrość czy też chciwość. Rozumiem wściekłość, zemstę i szantaż. Nie rozumiem natomiast młodego człowieka, który kończy college i zamierza studiować prawo, człowieka, którego całe życie w przyszłości poddawane będzie szczegółowemu badaniu, nagle uciekającego co sił w nogach od zamarznętego nagiego trupa swojej dziewczyny. To się w głowie nie mieści. -
Zwrócił się do partnera: - A ty możesz to pojąć?

- Nie - odpowiedział stanowczo Will.

Spencer wstał.

- Jim, chcesz zostać prawnikiem. Dobrym prawnikiem.

Chłopak kiwnął głową, nie podnosząc wzroku.

- Poza tobą nie mamy innych podejrzanych. Rozumiesz, co to znaczy?

- Sam nie wiem - odrzekł z udręką.

- Tak, nie przypuszczam, abyś wiedział. - O'Malley gestem polecił Willowi wyprowadzić chłopaka z pokoju. - Aha, przy okazji, będziemy musieli skontaktować się z jej rodziną.

- Tak - mruknął Jim jak w transie i z pomocą Willa wstał. - Ona mało mówiła o rodzinie.

- Jeździła gdzieś na Boże Narodzenie albo na Święto Dziękczynienia?

- Nie - zaprzeczył smutno. - Czasami jechała ze mną, czasami zostawała w Dartmouth. Raz chyba pojechała do rodziców Conni z nią i Albertem.

- Czy to znaczy, że nie miała nikogo?

- Sam nie wiem. Jej ojciec chyba nie żyje. Nie mówiła o rodzinie.

- Miała jakichś krewnych? Rodzeństwo, dziadków, ciotki?

Jim podrapał się w głowę.

- Wydaje mi się, że w lecie umarła jej babka.

- Umarła? No to niewiele nam pomoże. Zanim lekarz sądowy przeprowadzi sekcję, ktoś musi zidentyfikować ciało. Choć naturalnie mamy czas...

- Spencer zamilkł. Dopiero po chwili dodał: - Najpierw musi odmarznąć.

Chłopak się wzdrygnął.

- Gdzie mieszkała jej babka?

- Nad jakimś jeziorem na wschodzie. Dość daleko stąd, wielkie jezioro. Nie umiem sobie przypomnieć nazwy. Była długa i dziwna, indiańska czy coś w tym rodzaju.

- Jezioro Winnepesaukee? - zapytał Will.

- Tak, właśnie tak! - wykrzyknął Jim.

Spencer kiwnął głową.

- Will, pobierz od pana próbki krwi i włosów. A także włókna ze swetra i odciski butów.

- Dobrze. - Baker nachylił się ku partnerowi. - A co z tamtą dwójką?

- A tak, tamci. - Sierżant kompletnie o nich zapomniał.

Podczas gdy Will zajmował się Jimem, O'Malley zajrzał do pokoju, w którym czekał Albert, i powiedział:

- Niech się pan nie martwi, nie zapomnieliśmy o panu. Jeszcze trochę cierpliwości.

Tamten bez słowa kiwnął głową.

- Musi pan skorzystać z łazienki?

- Nic nie piłem, więc odpowiedź brzmi przecząco - odrzekł Albert.

Spencer przyniósł mu kubek kawy, po czym poszedł zapewnić Conni, że wkrótce z nią porozmawia.

Później z Willem i Jimem pojechali do Dartmouth-Hitchcock Medical Center zidentyfikować ciało Kristiny.

Po drodze Jim opowiedział sierżantowi o dziwnym incydencie w trakcie pokerowego wieczoru. Zupełnie nie rozumiał, o co w tym wszystkim chodziło: rzekomo Albert poszedł zobaczyć się z Frankiem, który nie miał o tym pojęcia. Conni bardzo się zdenerwowała, że Kristina tak się przejmuje kłamstwami Maplethorpe'a.

Oczywiście, dodał Jim, on nie wie, z jakiego powodu Kristina miałaby przejmować się tym, co kombinował Albert.

Te słowa wprowadziły zamęt w myślach detektywa.

Spencer obserwował uważnie Jima, gdy ten szedł w stronę nowoczesnego głównego wejścia do szpitala. Zauważył jego przygarbione ramiona, popielatą twarz, gdy zjeżdżali windą do podziemi. Nieskazitelnie białe, oświetlone fluorescencyjnymi lampami korytarze doprowadziły ich do

podwójnych drzwi, za którymi ciągnął się jeszcze jeden długi korytarz, zakończony szarymi drzwiami bez żadnej tabliczki. Prowadził Will, za nim szedł Jim, Spencer zamykał pochód. Pomyślał, że sądząc po postawie i wyglądzie chłopaka, ten za chwilę się załamie.

Kostnica była pustym pomieszczeniem z wysokim sufitem i czystą podłogą z kafelków.

Zdarzało się wszakże, że posadzkę znaczyły płyny wyciekające z ciał ofiar.

Dzisiaj tak nie było i O'Malley czuł wdzięczność do losu za tę małą przysługę.

Nadszedł pracownik kostnicy, drobny, szczupły mężczyzna o szarej twarzy, i otworzył szufladę numer 515. Spod płachty okrywającej ciało wystawały jedynie czarne buty.

Jimowi starczyło odwagi tylko na ułamek chwili; wybuchnął głośnym płaczem. Sierżant, patrząc na swego partnera, położył chłopakowi dłoń na ramieniu i poklepał go. Chciał powiedzieć: „Wszystko w porządku”, lecz nie ufał własnemu głosowi.

Zrobił to za niego Will:

- Wszystko będzie w porządku.

- Jasne! - wykrzyknął Jim, strząsając z siebie rękę detektywa. - Ona nie żyje! To nie jest w porządku. To straszne.

Pracownik kostnicy stał obok ciała. Na jego twarzy malowała się obojętność.

- Tak - zgodził się Spencer cicho. - To straszne. Była za młoda, żeby umierać, miała przed sobą całe życie. - Czuł, jak wzbierają w nim emocje. - Dlatego potrzebna nam jest twoja pomoc. Musisz nam pomóc w ustaleniu, co się stało. Pomóc...

- A po co? Czy to przywróci jej życie?

Sierżant cofnął się, w jego wzroku znowu był chłód. Ten chłopak jest niemożliwy.

- Masz rację, nic nie przywróci jej życia. Ale jeśli nam pomożesz, to nie trafisz do więzienia. Bo wiesz, jestem przekonany, że prokuratorzy z Concord będą chcieli się dowiedzieć, dlaczego wczoraj nie zawiadomiłeś policji, że odkryłeś zwłoki. Dlaczego wiedząc, że Kristiny nie ma już od tygodnia, nie zgłosiłeś, że zaginęła. Będą bardzo ciekawi, to już od razu mogę ci powiedzieć. To szalenie wścibscy ludzie.

Jim zrezygnował z walki.

- Dobrze - odezwał się, wskazując szufladę. - Muszę więcej oglądać? To jej nowe buty, poznaję je.

Tak, pomyślał detektyw, dotykając lekko nosków.

- Spencer! - wykrzyknął Will.

Sierżant wolno cofnął rękę.

- Aha - mruknął, mierząc Jima badawczym spojrzeniem przez zmrużone powieki. -
Interesujące.

- Co? - zapytał Jim.

Spencer zrobił krok do tyłu.

- Nic.

- Jestem pewny, że to ona - oznajmił chłopak. - Czy muszę więcej oglądać?

O'Malley sam nie chciał jej oglądać i już miał powiedzieć, że nie, już wystarczy, ale w tej samej chwili odezwał się Will:

- Tak, Jim. Obawiam się, że musisz.

- Dobra - chłopak cały zeszytniał - w takim razie skończmy z tym od razu i wychodźmy stąd.

Pracownik kostnicy odsunął prześcieradło. Sierżant stał, przed sobą mając szufladę, a po lewej stronie Jima. Wstrzymał oddech; nie chciał, by z ust wydarł mu się kolejny jęk bólu.

Identyfikacja nie budziła najmniejszych wątpliwości. Jim spojrział i odwrócił się, drżąc na całym ciele. Kristina była naga, ręce miała przyciśnięte do boków. Tułów jeszcze nie całkiem odmarzł, tylko kończyny przybrały odmienny od reszty ciała sinawy odcień. Spencer powinien był dopełnić formalności pytaniem: „Czy to Kristina Kim?”, lecz nie zdołał wykrztusić słowa. Gestem dał znać Willowi, by go wyręczył.

- Tak - potwierdził Jim łamiącym się głosem; dalej stał plecami do szuflady. - To ona.

Mimo iż sierżant na widok Kristiny poczuł bolesny ucisk serca, całą uwagę skoncentrował na Jimie. Musiał zobaczyć wyraz jego oczu. Łzy i drgające ramiona równie dobrze mogły być oznakami żalu, jak wyrzutów sumienia.

Tamten raz jeszcze spojrział na ciało, a potem zapytał, ocierając łzy:

- I co teraz się z nią stanie?

- Nic - odrzekł Spencer. - Nic, dopóki nie odtaje, czyli chyba do soboty. Lekarz sądowy z

Concord już został powiadomiony. - Ostatnie zdanie było raczej pytaniem skierowanym do Willa, nie stwierdzeniem.

- Fell miał zadzwonić do koronera - wyjaśnił Baker.

- I do biura prokuratora okręgowego?

- Tak, tam też.

- A teraz, Jim - zwrócił się do studenta Spencer - opowiem ci o facetach z biura prokuratora okręgowego. Rwą się do roboty. Im więcej przestępców udaje im się wsadzić do więzienia, tym lepiej wyglądają na papierze. Łapiesz, o co chodzi, nie?

Chłopak, aczkolwiek sprawiał wrażenie, jakby nie słuchał, skinął głową.

- A najbardziej lubią zabójstwa. Wiesz, nie mamy ich tu wiele. Nie wiem, jak jest w Wilmington, ale w tej części kraju śmierć w podejrzanych okolicznościach to rzadkość. I natychmiast staje się wiadomością z pierwszej strony, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Tamten nie wykonał żadnego ruchu.

- Jeśli przyczyną śmierci był wypadek, nie ma sprawy - ciągnął sierżant. - Jeśli natomiast sekcja wykaże coś podejrzanego, nasi przyjaciele z Concord nie spoczną, póki nie złapią sprawcy. Czy to jasne?

- Dlaczego jest pan taki pewny, że to był sprawca, a nie sprawczyni? - zapytał Jim.

- Jim, bierzesz wszystko do siebie. I nazbyt dosłownie. Spróbuj się odprężyć. Jeszcze nie wiemy, czyjej śmierć nie była następstwem wypadku.

- Wypadku?

- Tak, właśnie - potwierdził Spencer. - Sekcja wykaże, czy piła. Przecież mogła wypić całą butelkę southern comfort, przejść po poręczy, a potem w drodze powrotnej do akademika po prostu się przewrócić. Po alkoholu było jej ciepło, w rzeczywistości natomiast jej ciało bardzo szybko się wychłodziło. Usiadła więc na śniegu i zasnęła. Tak też mogło być.

- Naprawdę? - zapytał Jim z taką nadzieją i zapałem, że sierżantowi zrobiło się niedobrze.

- Nie - odrzekł ze smutkiem. - Nie. Ale to teraz nieistotne. Rozumiesz, jak ważne jest twoje zeznanie? Nie mamy po co sprawdzać temperatury jej ciała, bo nic nam to nie powie. Przez dziewięć dni leżała zamrożona pod grubą warstwą śniegu.

- Ale przynajmniej wiemy, kiedy... - Jim urwał, jak gdyby nie potrafił wypowiedzieć tego słowa przy Kristinie.

- Umarła? - dokończył O'Malley, notując w pamięci zachowanie chłopaka. - A wiemy? Moim

zdaniem nic nie wiemy.

Jim miał oczy pełne łez, gdy odchodził od stalowej szuflady. Spencer gestem dał znak pracownikowi kostnicy, że już skończyli.

Mam nadzieję, że ten człowiek nie zasypia w publicznych miejscach, pomyślał. Bo ktoś może wziąć go za trupa.

Białoszare prześcieradło zakryło nagie nogi, brzuch i piersi dziewczyny, by wreszcie opaść na twarz i wilgotne czarne włosy. Spencer pochylił głowę.

- Chodźmy - odezwał się cicho. - A teraz ci powiem, co zrobię. Odeślę cię do domu, tylko przedtem chciałbym zamienić słowo z twoimi przyjaciółmi, Albertem i Conni. Jutro znowu cię wezwę. Nie chodź do pokoju Kristiny. Z samego rana postaram się o nakaz rewizji. Wszystko zrozumiałeś? Dla twojego dobra mam nadzieję, że historia, którą nam opowiedziałeś, zostanie potwierdzona w toku śledztwa. Ruszajmy.

- Dlaczego to robisz? - szepnął do niego Will, gdy szli do samochodu. - To niezgodne z regulaminem. Powinniśmy zatrzymać go na noc.

- To biedny, przerażony chłopak - odszepnął O'Malley. - I moim zdaniem nie jest winny.

- Nie? A czemu?

- Ponieważ zabójca nie przychodziłby do pokoju Kristiny. Po co? - wyjaśnił Spencer. Kiedy wsiedli do samochodu, zwrócił się do Jima: - Raz jeszcze chciałem cię zapytać, czy pies był z tobą w czasie Święta Dziękczynienia?

- Nie - odparł z tylnego siedzenia.

Wrócili na komendę, niemal pustą o tej porze. Większość pracowników skończyła już pracę. Albert i Conni dalej czekali w oddzielnych pomieszczeniach.

Spencer najpierw zajrzał do dziewczyny.

- Jak pani sobie radzi?

- Boże! - wykrzyknęła. - Ależ to długo trwało.

- Poczekaj pani jeszcze chwilkę, dobrze? - zapytał O'Malley.

Najpierw chciał porozmawiać z Albertem.

- To samo mówił pan ostatnim razem. Czy mogłabym dostać coś do jedzenia albo...

- Nie, nie mogłaby pani - przerwał jej detektyw, zamykając drzwi. - To nie restauracja. - Mimo to przyniósł jej szklankę wody i kubek kawy.

Razem z Willem poszli do Alberta, który sprawiał wrażenie opanowanego. Sierżant wiedział

jednak, że to wcale nie jest równoznaczne ze spokojem wewnętrznym czy niewiedzą. To wszystko znaczyło tylko tyle, że dana osoba umie radzić sobie z własnymi reakcjami w obecności innych. Była ósma wieczorem. Spencer miał jeszcze przed sobą mnóstwo pracy, a czuł się wyczerpany. Poprawił kaburę, by wygodniej siedzieć, a później w ogóle odłożył broń.

- Czy potrzebujecie kogoś, żeby zidentyfikował ciało? - zapytał Albert.

O'Malley wolnym ruchem otworzył notatnik.

- Ciało zidentyfikował Jim Shaw. Ale potrzebny nam ktoś, kto podpisze raport z sekcji zwłok i zajmie się pogrzebem. Może pan?

Młody człowiek potrząsnął głową.

- Myślałem, że chcecie, aby ktoś jeszcze ją obejrzał.

Sierżant przez chwilę mu się przyglądał.

- Tożsamość zmarłej nie budzi wątpliwości. Nie musimy jej potwierdzać.

Pod uważnym spojrzeniem Spencera Albert poprawił się na krześle. W jego postawie, nieruchomym wzroku i stoicyzmie było coś, co robiło wrażenie na rozmówcy, a jednocześnie wydawało się nie na miejscu. W tej części kraju młodzi ludzie rzadko umierali w podejrzanym okolicznościach, to nie Nowy Jork. Przecież ten chłopak przyjaźnił się z Kristiną - mimo to nie wyglądał na załamanego, nie omijał wzrokiem twarzy Spencera.

Nim detektyw zdążył się odezwać, student wyraził żal z powodu tego, co się stało, i oznajmił, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by pomóc.

- Będziemy za to wdzięczni - odrzekł Will; wraz ze Spencerem siedzieli naprzeciw Alberta.

- Jim Shaw ciężko to przeżył - dodał sierżant.

- Wszyscy ciężko to przeżyliśmy - oznajmił Albert; z jakiegoś powodu Spencera ogarnęło przekonanie, że ten chłopak mówi o sobie. Włączył magnetofon.

- Panie Maplethorpe, nim przejdziemy do Kristiny, proszę opowiedzieć nam o sobie.

- Co chciałby pan wiedzieć?

- Skąd pan pochodzi?

- Z Clairton w Pensylwanii.

- Nigdy nie słyszałem tej nazwy - odrzekł Spencer. - Gdzie mieszkają pańscy rodzice?

- Nie mam pojęcia, może dalej tam są. Nie utrzymujemy kontaktów.

- Nie utrzymuje pan kontaktów z matką?

- Nie.

- Dlaczego nie?

Albert wzruszył ramionami.

- Po prostu nie - odparł wolno.

- Była dla pana tak ważna, że wytatuował pan sobie na ramieniu jej inicjały.

- Była moją matką, detektywie.

- Ma pan rodzeństwo?

- Nie.

- Dlaczego wybrał pan Dartmouth?

Chłopak uśmiechnął się nieznacznie.

- Bo moje oceny maturalne były za wysokie, żeby iść do Harvardu.

Detektywowi ta odpowiedź nie wydała się zabawna.

- Dlaczego Dartmouth? - powtórzył. Albert także spoważniał.

- Nie wybrałem Dartmouth, to ono wybrało mnie.

Taśma obracała się z cichym szumem, Spencer patrzył na Alberta. Chłopak wydawał się inny niż kilka godzin wcześniej, jakoś bardziej znajomy, bardziej współczujący. Wszystko nabrało sensu - tatuaże, kolczyk, długie włosy, niezgłębione czarne oczy. Ten młody mężczyzna był zupełnie spokojny, Spencer nie wyczuwał w nim strachu. Albert nie bał się go, nie obawiał się przesłuchania ani więzienia. Sprawiał wrażenie człowieka, który nie ma nic do ukrycia.

- Niech mi pan powie, czy z Jimem byliście bliskimi przyjaciółmi?

- Tak, na pierwszym roku mieszkaliśmy razem.

- Czy tak poznał pan Kristinę i Conni? Przez Jima?

- Kristina i ja chodziliśmy na zajęcia z filozofii. Conni była jej współlokatorką.

Cóż, to wszystko wyjaśniało. Albert poznał Kristinę na zajęciach. Spencer zastanawiał się tylko, dlaczego Jim o tym nie wiedział. Dlaczego Shaw męczył się, próbując odtworzyć zdarzenia sprzed trzech lat, podczas gdy jedno króciutkie zdanie od razu wszystko wyjaśniło?

Will podniósł się z krzesła.

- Trace, możemy zamienić słowo?

Zamknawszy za nimi drzwi, partner zapytał cicho:

- Co ty wyprawiasz?

- Nie rozumiem?

- Po jaką cholere go o to pytasz? Widzę, że wpadłeś w trans, ale wszystkiego dowiedzieliśmy

się już od Jima, a poza tym to i tak bez znaczenia.

Baker był niższy od Spencera, który musiał się pochylić, by szeptem odpowiedzieć:

- Chcę się przekonać, czy mówią to samo i czy jednego nie przyłapię na kłamstwie.

- A nawet jeśli, to co? - zapytał Will ze znużeniem, trąc oczy. - Więc przyłapiesz. Jeden mówi tak, drugi inaczej. Conni też będziesz o to pytał, żeby dowiedzieć się, jak rzecz wygląda z trzeciej strony? Co z tego, jeśli któreś nie mówi prawdy? To sprawa sprzed trzech lat. Kogo to obchodzi?

- I tu się mylisz, Baker. To sprawa sprzed dwóch godzin. Znaleziono martwą dziewczynę, a troje najlepszych przyjaciół przez dziewięć dni nie zgłosiło jej zaginięcia.

- Wyjechali! - Will podniósł głos.

Spencer także.

- Nie zgłosili jej zaginięcia! I tylko to mnie obchodzi, Will - dodał ciszej. - Zamierzam się dowiedzieć, dlaczego tego nie zrobili.

Jego partner jęknął. Wrócili do pokoju i O'Malley kontynuował przesłuchanie.

- Niech mi pan jedno wyjaśni. Dlaczego nie zaczął pan chodzić z Kristiną? Jim umawiał się z Conni.

Albert uśmiechnął się, lekko zbity z tropu.

- On wam tak powiedział? Ha, jeśli mam być szczery, nic nie mogłem poradzić na to, że wpadłem w oko Conni. Ona nie chciała ranić uczuć Jima. A Kristina go naprawdę lubiła.

- Powiedział pan Jimowi, że między panem a Kristiną zabrakło chemii.

- To prawda, tak mu powiedziałem. Nie chciałem, żeby dręczył się z powodu mnie i Conni. Powiedziałem mu też, że Kristina naprawdę go lubi.

- Tego nam nie powtórzył.

- Nie wątpię, to nie w jego stylu.

Will trącił Spencera pod stołem.

Detektyw powtarzał te same pytania, które wcześniej zadawał Jimowi. W jaki dzień i o której godzinie po raz ostatni widział Kristinę? Albert wyjaśnił, że we wtorek w nocy; minęła już północ, kiedy wszedł do niej do pokoju życzyć jej wesółych świąt.

- Czy Conni była z panem?

- Nie.

- Chodzi pan z Conni, prawda?

- Tak.

- Często odwiedza pan sam inne dziewczęta w ich pokojach po północy?

Maplethorpe spojrział na Spencera zaskoczony.

- Wszyscy blisko się przyjaźniliśmy. Poza tym my z Kristiną mieszkaliśmy na jednym piętrze, a Conni pakowała się na dole. Nie było w tym nic niezwykłego. Ja też musiałem jeszcze się spakować.

Albert wyjaśnił też, że nie znał planów Kristiny na świąteczny weekend. Conni zaproponowała przyjaciółce wspólny wyjazd, lecz ta odmówiła. Jako powód podała dziewczynę z Czerwonych Liści oraz sobotni mecz koszykówki.

Sierżant przypomniał sobie jej buty.

- Zauważyłem, że tylko jeden miała zawiązany. Czy przypadkiem nie zawiązał jej pan buta, kiedy pan do niej poszedł?

- Nie pamiętam, ale to możliwe - potwierdził Albert. - Doznała obrażeń w wypadku i ramię jej dokuczało. Być może pomogłem jej przy butach.

- Ma pan na myśli jeden but?

- Jeden?

- Tylko jeden był zawiązany.

Chłopak uśmiechnął się swobodnie.

- Może drugi się rozwiązał.

- Może - przyznał Spencer, studiując jego twarz.

- Ed Landers zajmie się tymi butami - wtrącił Baker.

Spencer skinął głową.

- Jeśli pańskie odciski palców znajdą się na obuwiu, to pomoże panu odświeżyć pamięć?

- Wątpię - odrzekł Albert. - Tyle się zdarzyło, a to taki drobiazg. Po prostu nie pamiętam.

- A czy była naga, jak pan do niej przyszedł? Czy to pan by pamiętał?

- Jasne.

- Więc była naga?

- Nie pamiętam.

- Rozumiem... Bo gdyby klęczał pan przed nagą kobietą, która nie była pańską dziewczyną, i sznurował jej but, na pewno by pan sobie to przypomniał, prawda?

- Sądzę, że tak.

- Tak, ja też tak sądzą. Nie będzie miał pan nic przeciwko pobraniu pańskich odcisków

palców oraz próbek krwi i włosów?

- Nie, jasne, że nie.
- Czy Kristina wydała się panu w czasie tej wizyty normalna?
- Tak, najzupełniej.
- Dokąd mogła się wybierać po północy?
- Nie mam pojęcia. Nie mówiła.
- Wspominała, że zamierza przejść po poręczy mostu?
- Nie przypominam sobie, żeby o tym mówiła.
- Sporo rzeczy dotyczących wizyty u Kristiny wyleciało panu z pamięci.
- To nie było takie ważne. - Albert się uśmiechnął. - Dlatego nie pamiętam.
- Może więc uda się panu odpowiedzieć na następne pytanie - odrzekł Spencer.

Młody człowiek przekrzywił głowę i uprzejmie oznajmił:

- Z przyjemnością zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Sierżant chciał wiedzieć, co się stało z psem Kristiny.

- Zabraliśmy go ze sobą - wyjaśnił Albert.
- Dlaczego?
- Nie ma się czemu dziwić. W zeszłym roku też zabraliśmy go na Święto Dziękczynienia.

Kristina czasami chciała odpocząć od psa, a u Conni jest ogromny teren, gdzie Arystoteles może się swobodnie wybiegać.

- Więc zabrał pan psa.
- Tak.
- A w jaki sposób Kristina miała się dowiedzieć, że pies pojechał z panem?
- Wydawało mi się, że mówił pan, że Kristina już nie żyła?
- Mówiłem, to prawda. Ale pan, wyjeżdżając, nie wiedział o jej śmierci. A może pan wiedział? - Detektyw nie spuszczał z niego wzroku.

- Oczywiście, że nie wiedziałem. - Chłopak zmierzył Spencera nieruchomym spojrzeniem.
- A Conni? Ona też nie wiedziała?
- O to musi pan zapytać ją samą - poradził Albert, uśmiechając się miło.
- Wróćmy do mojego pytania. Jak zawiadomił pan Kristinę, że zabieracie psa?
- Myślę, że Constance zostawiła jej list.
- Gdzie?

- Nie wiem, może na biurku?
- W środę rano poszedł pan do jej pokoju po psa i napisał wiadomość?
- Nie ja, tylko Conni.
- Dobra. - Spencer miał już sporo tematów do rozmowy z dziewczyną. - A potem

wyjechaliście na cztery dni.

- Ściśle rzecz biorąc, na pięć. Wróciliśmy w poniedziałek.
- Racja. Oddał pan psa Kristinie?
- Nie zastałem jej. Zabrał go Jim.
- Zastanawiał się pan, gdzie może być Kristina?
- Nie mieliśmy pojęcia, że jej nie ma. To Jim zapytał nas, czy jej nie widzieliśmy.

Odpowiedzieliśmy przecząco.

- Mówi pan w imieniu swoim i Conni?
- Tak, ponieważ od poprzedniego tygodnia cały czas byliśmy razem.
- Nie rozstawaliście się ani na moment?
- Nie.
- A w tamtą wtorkową noc też byliście razem cały czas?

Albert sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- O jakiej wtorkowej nocy pan mówi?
- O tej, kiedy Kristina umarła.
- A, tej. - Podrapał się w głowę. - Tak sądzę, chociaż, nie spędziliśmy razem każdej chwili. -

Uśmiech. Szczery uśmiech. - Do łazienki na przykład chodziliśmy osobno.

Spencer nie zamierzał ulec urokowi tego uśmiechu.

- A pamięta pan, która to była godzina?

Młody człowiek potrząsnął głową i grzecznie wyjaśnił:

- Żartowałem. Chodziło mi tylko o to, że nie spędziliśmy razem każdej sekundy.
- A pamięta pan te sekundy, kiedy nie byliście razem?
- Detektywie O'Malley, czy jestem podejrzany? Oboje jesteście? - Pytanie zostało zadane

łagodnym głosem, za to wzrok Alberta stwardniał.

- W tej chwili nawet pies jest podejrzany, więc odpowiedź brzmi: tak. Mam ciało, które przez półtora tygodnia leżało w śniegu, i trójkę przyjaciół zupełnie niezainteresowanych tym, co przez ten czas działo się z Kristiną. Próbuję odtworzyć ostatnią, jak mi się wydaje, noc jej życia. Nie

zmartwił się pan, że Kristiny nie ma?

- Rozmawiałem z trenerką koszykówki - przerwał mu Will. - Była bardzo zaskoczona, że w sobotę Kristina nie zagrała na otwarcie sezonu. Zaraz po meczu dwie dziewczyny z zespołu poszły do pokoju Kristiny sprawdzić, czy nic się nie stało. W niedzielę trenerką zatelefonowała do niej, żeby - jak sama to ujęła - dać jej solidny ochrzan. Kristina to gwiazda, bez niej przegrały z drużyną Uniwersytetu Pensylwanii.

W poniedziałek dziewczyny znowu poszły do jej pokoju, ale zbytnio się nie przejęły nieobecnością koleżanki, która znana była z tego, że opuszczała treningi, a niekiedy i mecze. Tak więc we wtorek i w środę tylko do niej dzwoniły. Zatelefonowały też do Czerwonych Liści.

Spencer notował pośpiesznie.

- To ciekawe, prawda, Will. A pan jak sądzi? Drużyna koszykówki tak się przejęła, że dziewczyny zagłądały i telefonowały do Kristiny, zadzwoniły też do jej miejsca pracy. Ale wy nie. Próbuję zrozumieć, dlaczego najlepsi przyjaciele Kristiny w ogóle się nie przejęli, że nie ma jej od czterech dni. Dziewięciu, mówiąc ściśle. Dlaczego nikt z was nie zgłosił jej zaginięcia, nie powiedział słowa kierownikowi akademika?

- To mnóstwo pytań. - Albert się uśmiechnął. - Na które mam odpowiedzieć najpierw?

- Na wszystkie.

- Kristina była niezwykle zajęta. Robiła dwie specjalizacje, pisała do „Dartmouth Review”, trzy razy w tygodniu pracowała, pięć dni zaś trenowała koszykówkę i grała w dwóch meczach. Często było tak, że cały dzień się nie widzieliśmy.

- Naprawdę? - Spencer w to nie wierzył. - Czy naprawdę często zdarza się sytuacja, że bliscy przyjaciele z małego campusu w ogóle się nie spotykają? Chodziłem na uniwersytet, gdzie studiowało osiemnaście tysięcy osób, i czy tego chciałem czy nie, wpadałem bez przerwy na ludzi, których nie lubiłem. Jeśli zaś chodzi o przyjaciół, to zawsze miałem dla nich czas wieczorami. No i był telefon. Jakoś udawało się znaleźć na to choć chwilę. Niezależnie od liczby specjalizacji, dodatkowej pracy, uprawianego sportu. I jeśli jest jeszcze pies. Zwłaszcza jeśli wszyscy akurat wrócili po długim świątecznym weekendzie.

- Może panu się udawało - zgodził się Albert. - Ale już mówiłem, że mieliśmy sporo zajęć.

- A co z tamtym wtorkowym wieczorem? Co stało się podczas gry w pokera?

- Niewiele. Graliśmy, potem wyszedł Frankie, później Jim, a po nim Kristina. Conn i ja poszliśmy się pakować.

- Zaraz, zaraz - wtrącił Will. - A w czasie gry w pokera nie zdarzyło się nic niezwykłego?
- Wtedy? Nie.

Will i Spencer wymienili spojrzenia.

- A więc pana zdaniem to - ciągnął Baker - że Jim Shaw urządził awanturę, a potem wzburzony wybiegł z sali, było całkiem normalne?

Albert zmarszczył czoło, jakby wysilając pamięć, a potem odrzekł:

- Och, to! - Roześmiał się krótko. - Nic się nie stało. Jima trochę poniosło. To się zdarza.
- Z jakiego powodu go poniosło?
- Naprawdę nie pamiętam. Chodziło o jakąś drobnostkę.
- Czy miało to coś wspólnego z panem i Frankiem?
- Co takiego? - Nie krył zaskoczenia. - Nie, powtarzam, że nic się nie stało.
- Rozumiem - odezwał się Spencer. - A ta sprawa, że pan miał spotkać się z Frankiem, który nic o tym nie wiedział?

Na ułamek sekundy krew odpłynęła Albertowi z twarzy.

- Ach, to - powiedział wolno. - Tak, musiał pewnie zapomnieć, że się umówiliśmy. Poszedłem do niego, ale go nie zastałem.

- Jim mówił, że Frankie uczył się z Conni, co Kristinę zaskoczyło, bo jej zdaniem powinien rozmawiać w tym czasie z panem.

- Tak. To wszystko wydawało się zaskakujące.
- Dla kogo?
- Dla mnie. Nie miałem pojęcia, o co cały ten hałas.
- Był jakiś hałas?
- Nic poważnego - odrzekł z uśmiechem Albert. - Nic dla gazet, detektywie.
- Nie zamierzam publikować tej informacji w gazecie - odparował sierżant. - Ważna jest dla mnie.

- Naturalnie.

- Nie rozumiem, z jakiego powodu Kristinę Kim miałoby obchodzić, czy widział się pan z Frankiem i w ogóle co pan porabiał?

- Nie mam pojęcia. Dlatego było to takie dziwne. - I znów ten uśmiech, który zaczynał już irytować Spencera. - We wtorek po południu wpadłem na nią na terenie kampusu i powiedziałem, że idę do Frankiego. Była po prostu ciekawa, jak nam poszło.

- Dlaczego w takim razie Jim aż tak się zdenerwował?
- Mnie nie wydawał się zdenerwowany.
- Nie? Inni mówią coś wręcz przeciwnego.
- Ja tego tak nie odebrałem.

Will trącił Spencera.

- Dobrze - powiedział jego partner. - Co pan robił po wyjściu Jima?
- Zostaliśmy na kilka minut, a potem wyszła Kristina.
- A pan i Conni?
- Poszliśmy do jej pokoju i zaczęła się pakować.
- Ale nie został pan u niej przez całą noc?
- Nie. Posprzątałismy i uświadomiłem sobie, że też się muszę spakować, jeśli mamy wyjechać o świcie, więc powiedziałem Conni, że idę do siebie.
- Która była godzina?
- Chyba koło północy.
- I poszedł pan do siebie?
- Nie, najpierw zszedłem do świetlicy po słoik z drobnymi, a dopiero potem wróciłem na górę.
- A potem?
- Spakowałem się, słuchałem muzyki i poszedłem pożegnać się z Kristiną.
- O której to było?
- O wpół do pierwszej, może za piętnaście pierwsza.
- O której opuścił pan jej pokój?
- Nie wiem dokładnie, chyba za dziesięć pierwsza.
- Bardzo późno.
- Tak, było późno.
- A potem?
- Potem znowu zszedłem do świetlicy.
- Po co?
- Chciałem napić się piwa.
- Był tam ktoś?
- Tak, Tim. To porządny chłopak. Oglądał „Szklaną pułapkę”, film zaczął się o wpół do

pierwszej. Usiadłem i chwilę pogadałem z Timem. Później poszedłem do łazienki, a stamtąd do pokoju Conni... Nie było jej, więc wróciłem do świetlicy. Obudziłem Tima, bo zasnął. Powiedziałem mu, że przesypia dobry film. Jakiś czas razem go oglądaliśmy. Dopilem piwo. A potem do świetlicy przyszła Conni. Szukała mnie.

- Która była wtedy godzina?

- Nie wiem. Zaraz, minęła już połowa filmu, więc mogła być za piętnaście druga. Tak, gdzieś koło tego, bo kiedy wróciliśmy do pokoju Conni, była druga.

- Czy mówiła, co robiła wcześniej?

- Tłumaczyła, że mnie szukała. Wyjaśniłem, że siedziałem w świetlicy. Zapytała, dlaczego nie wróciłem do jej pokoju. Powiedziałem, że wróciłem, ale jej nie było, więc poszedłem pooglądać film.

- Jak długo pana szukała?

- Mówiła, że około pół godziny.

- Pół godziny? - Spencer z Willem wymienili spojrzenia. - To całkiem długo.

- Wiem.

- A gdzie pana szukała?

- Nie mówiła, a ja nie pytałem.

- Co zrobiliście, kiedy już pana znalazła?

- Poszliśmy do jej pokoju. Zostałem u niej, a następnego dnia rano pojechaliśmy na Long Island.

- A po godzinie za dziesięć pierwsza w nocy z wtorku na środę widział pan jeszcze Kristinę?

- Nie.

- A może widział pan ją w środę rano?

- Nie.

Spencerowi uskładała się już całkiem długa lista pytań do Conni. Poprosił Willa, żeby zdjął odciski palców Albertowi i pobrał od niego próbki krwi i włosów.

- Chciałbym porozmawiać z Frankiem. Gdzie mieszka?

- W jednym z naszych akademików, Phi Beta Epsilon, na samym końcu Zakątka Żaków, za Domem Prezydenta. Ale teraz go pan nie zastanie, jeszcze nie wrócił.

Spencer drgnął.

- Nie? A dlaczego?

- Nie wiem.
- Przecież jest sesja?
- Tak.

Detektyw z namysłem podrapał się w czoło.

- Gdzie mieszka jego rodzina?
- Nie jestem pewny, chyba w Bostonie.

O'Malley wyczuł, że coś tu nie gra, ale nie umiał określić, co dokładnie nie. Coś.

- Ostatnie pytanie. Czy zabił pan Kristinę Kim?
- Nie! - odparł Albert natychmiast i z pasją. - Była moją przyjaciółką.
- A wie pan, kto ją zabił?
- Nie wiem.

Spencer i Will kiwnęli głowami.

Na odchodnym sierżant powiedział jeszcze:

- Dwa dni temu mieliśmy zgłoszenie o zaginięciu. Jakiś kundelek przez kilka godzin nie wracał do domu i jego pani, dziewięćdziesięciodwuletnia wdowa, szalała ze zmartwienia.
- Och, nie - odrzekł Albert. - Czy znaleziono psa?
- Tak, martwego. Ale jaka szkoda, że Kristina nie należała do tej staruszki!

Spencer był już zmęczony i z Conni rozmawiał szorstko. Will milczał. Kiedy powiedziała, że pochodzi z Cold Spring Harbor na Long Island, długą chwilę wpatrywał się w notatnik pod pozorem przeglądania zapisków, w rzeczywistości jednak rozmyślał o Kristinie. Podczas tamtej rozmowy przy kawie wspomniała, że jej była współlokatorka pochodzi z Cold Spring Harbor. Spencer zapamiętał ów szczegół, ponieważ był policjantem, a także dlatego że sam wychował się w Farmingville na Long Island.

Obie miejscowości dzieliła przepaść wielkości Chin, aczkolwiek w istocie oddalone były od siebie o niespełna czterdzieści kilometrów. Powiedział Conni, skąd on pochodzi.

- Farmingville - powtórzyła, mrużąc oczy w udanym namyśle. - Chyba już słyszałam tę nazwę. Czy to gdzieś w pobliżu drogi numer 110?

Zupełnie nie, chciał odrzec Spencer, lecz tylko potrząsnął głową. To ty mieszkasz przy tej trasie.

- Myśli pani o Farmingdale.
- Ach tak - zachichotała. - Ale jestem głupia.

Conni usiłowała nawiązać rozmowę o Long Island: kiedy Spencer był tam ostatnio, czy tęskni, co przywiodło go do Hanover, jednakże detektyw przeciął tę paplaninę. Miał do załatwienia poważną sprawę.

Pozwolił Willowi zapytać o to, jak długo znała zmarłą, jak się z nią mieszało w jednym pokoju, czy Conni orientuje się, kto nie lubił Kristiny i mógł jej źle życzyć.

- Nie - zaprzeczyła dziewczyna, kręcąc głową i uśmiechając się. - Cieszyła się ogólną sympatią. Wszyscy ją lubili. Była bardzo miła. - Z lekko ściągniętą twarzą dodała: - I piękna.

Spencer zgadzał się z każdym jej słowem: Kristinę znał krótko, lecz istotnie wydawała się bardzo miła. I niezwykle piękna.

- Wiem, że niektóre dziewczyny bywały o nią zazdrosne. Ale po bliższym poznaniu wybaczyłyby jej wszystko, była taka sympatyczna... Niekiedy dziewczyny gadały za jej plecami, takie złośliwe uwagi, wie pan.

Dlaczego nie chesze się częściej, czemu w ogóle się nie maluje.

- Zazdrość rozumiem, ale to chyba za mało, żeby ją zabić.

Conni otworzyła szeroko oczy.

- Pana zdaniem ktoś ją zabił? Nie wierzę, to niemożliwe. Nie tutaj, nie w Dartmouth. Z jakiego powodu? Nie, ja myślę, że to musiał być wypadek.

Spencer zmierzył ją badawczym wzrokiem.

- Rzeczywiście tak pani sądzi? A co pani o tym wie?

- Nic - wyjąkała Conni. - Tylko tyle, co od pana.

- Powiedziałem pani bardzo mało.

Conni pochyliła się i podrapała po nodze. Nie patrzyła na Spencera, w żaden sposób nie skomentowała jego słów. Ona coś wie i strasznie się z tego powodu denerwuje, pomyślał Spencer. Jim unikał mojego wzroku, Albert patrzył mi prosto w oczy, a ona się drapie.

- Constance, kiedy po raz ostatni widziała pani Kristinę?

Dziewczyna wyprostowała się i zerknęła na sufit, jakby szukając tam natchnienia.

- Chyba we wtorek wieczorem. Przed Świętem Dziękczynienia. Graliśmy wtedy w karty.

- I jak wam poszło?

- Dobrze - odrzekła, lecz spojrzała przy tym w bok. Tylko Albert przez całą rozmowę wzrok miał utkwiony w twarzy detektywa. Tylko Albert nie kręcił się ani nie patrzył na swoje dłonie. Tylko on wydawał się spokojny i zmartwiony, tylko on właściwie reagował. Może był aż za

bardzo odprężony, pomyślał O'Malley. Cholera, zaraz zwariuję.

- Czy później pani jej nie widziała?

- Nie - zaprzeczyła, nadal nie patrząc na niego. Tym razem Spencer zażądał, by spojrzała mu w oczy. - Nie - powtórzyła ciszej. - To było nasze ostatnie spotkanie.

Ona kłamie, pomyślał.

- Czy podczas gry w pokera doszło do jakichś incydentów?

Conni milczała; pewnie rozważa opcje, uznał w duchu Spencer. Wie, że już rozmawiałem z Albertem.

- Nic poważnego się nie stało.

- Były jakieś kłótnie?

- Nie, tylko nerwy, no wie pan, zbliża się sesja, a w dodatku zawsze przegrywamy z Frankiem, takie głupstwa.

- Rozumiem. Więc Jim nie wybiegł ze świetlicy, wzburzony i wściekły?

I znowu chwila milczenia.

- Nie, nie był wściekły, zresztą skończyliśmy już grać.

- Wybiegł ze świetlicy?

- Niezupełnie.

- A pamięta pani, z jakiego powodu Jim niezupełnie wybiegł ze świetlicy?

- Nie, nie pamiętam.

- Wszyscy troje macie wyjątkowo krótką pamięć - uznał O'Malley. - Egzaminy nie sprawiają wam kłopotów?

Conni się roześmiała.

- Ale pan jest zabawny.

Detektyw nie podzielał jej wesołości, co więcej, śmiech dziewczyny wydał mu się sztuczny.

- O której wróciła pani do swojego pokoju?

- Nie patrzyłam na zegar.

- I później nie widziała już pani Kristiny?

- Nie.

- Co pani robiła przez resztę wieczoru?

- Spędziłam go z Albertem.

- U niego czy u siebie?

- U siebie - odrzekła cicho.
 - Od przyjscia ze swietlicy cały czas byliście razem?
 - Nie, Albert musiał się spakować.
 - Poszła z nim pani?
 - Nie, zostałam w pokoju.
 - Dobra, proszę mi więc opowiedzieć, co pani robiła do chwili, kiedy położyła się pani spać.
 - Nie pamiętam dokładnie. Trochę czasu już minęło. - Najwyraźniej brakowało jej słów. Sierżantowi to się nie podobało.
 - Niech więc pani powie, co pani pamięta.
 - Zaraz... Albert poszedł do siebie...
 - O której? - przerwał jej Spencer.
 - Chyba koło północy.
 - Dobrze, i co dalej?
 - Dalej? Nic. Spakowałam się, trochę uprzątnęłam, przygotowałam ubranie na podróż, poszłam się umyć.
 - A potem?
 - Potem? No cóż, potem... ojej, naprawdę nie pamiętam. Chyba zadzwoniłam do Alberta, żeby go zapytać, czy do mnie wróci. Telefon był zajęty. Poczekalam chwilę i znowu zadzwoniłam, ale dalej był zajęty.
 - O której to było?
 - Gdzieś tak za dziesięć pierwsza. Pamiętam, jak pomyślałam, że strasznie późno rozmawia przez telefon.
 - Tak. - Detektyw czekał.
- Kiedy Conni się nie odzywała, ponaglił ją.
- No więc... spróbowałam jeszcze raz. A potem zadzwoniłam do Frankiego, żeby się przekonać, czy to z nim Albert rozmawia.
 - I rozmawiał?
 - Nie. To znaczy Frankie nie odebrał telefonu.
 - A pani co wtedy zrobiła?
 - Zadzwoniłam do Jima. On też nie odebrał. Byłam tym trochę zaskoczona, bo Jim wcześniej kładzie się spać. Pomyślałam, że może jest u Kristiny, może się pogodzili.

O'Malley spojrział znacząco na Willa, który skinął głową. Ten Jim, pomyślał Spencer.

- A co potem pani zrobiła, Constance?

- Poszłam na górę, ale pokój Alberta był zamknięty na klucz, a w środku panowała kompletna cisza. Więc wróciłam do siebie i znowu zadzwoniłam.

Telefon nadal był zajęty. Uświadomiłam sobie, że pewnie słuchawka została źle odłożona.

- I co dalej?

- Nie wiedziałam, gdzie on jest, więc poszłam do świetlicy.

- Znalazła go pani tam?

- Nie. Ściśle rzecz biorąc, był akurat w łazience. Ale nie zostałam długo w świetlicy i zaraz wyszłam.

- Co pani zobaczyła?

- W telewizji była „Szklana pułapka”. Jakiś chłopak siedział w fotelu.

- Czy paliły się tam światła? Mógł to być Albert?

- Nie.

- Skąd więc pani wie, że poszedł do łazienki?

- Od niego. Powiedział mi, że chciał tylko wziąć piwo, ale zainteresował go film.

- Rozumiem. - Detektyw zastanawiał się nad kolejnym pytaniem. Wreszcie się odezwał: - I co dalej?

- Pobiegłam do siebie, narzuciłam płaszcz i wyszłam na zewnątrz.

- Dokąd?

- Nie pamiętam dokładnie. - Conni spojrzała na swoje dłonie, na stół, na Willa i znowu na rękę. Na Spencera nie patrzyła.

- Jak długo pani nie było?

- Dwadzieścia, może dwadzieścia pięć minut.

- Albert powiedział, że poszedł do pani pokoju mniej więcej za kwadrans pierwsza, ale pani nie zastał. A do świetlicy wróciła pani dopiero za piętnaście druga.

Conni przetarła ręką twarz.

- Tak... chyba tak. Więc nie było mnie około pół godziny.

- Czy w tym czasie widziała pani Kristinę?

- Nie - zaprzeczyła piskliwie. - Mówiłam już, że szukałam Alberta.

- Czemu tak gorączkowo?

- Nie było go w pokoju, więc zaczęłam się martwić.

- Martwić z jakiego powodu? Że ktoś go porwał? Zamordował? Napadł?

- Nie potrafię na to odpowiedzieć - odrzekła niepewnie, z wahaniem, bez śladu poprzedniej gadatliwości.

- Niech pani spróbuje.

- Sama nie wiem, po prostu się zaniepokoiłam. Powiedział, że idzie do siebie, ale w pokoju go nie było.

- Wygląda na to, że wszyscy wzajemnie za sobą tęskniliście. Poszedł pożegnać się z Kristiną...

- Naprawdę? - wykrzyknęła Conni.

Aha, pomyślał Spencer, tu cię mam.

- Tak.

Dziewczyna milczała. Dłonie miała sztywne i białe.

- Po prostu między mną a Albertem zaszło małe nieporozumienie - odezwała się wreszcie. -
Rozumie pan?

- Nie rozumiem. Pozwoli pani, że zapytam, gdzie go pani szukała?

- Wszędzie, po całym kampusie.

- Na tyłach Biblioteki Feldberga też? I na moście?

- Nie! - wykrzyknęła Conni. - Boże, czemu akurat tam miałabym go szukać?

- Czy ktoś widział, jak pani szuka Alberta na terenie kampusu o pierwszej w nocy?

- Nie sędzę.

- Ja też nie sędzę - zgodził się sierżant. - Padał gęsty śnieg, był mróz, późno w nocy. Wszyscy spali. - Wszyscy prócz Kristiny, która umierała. - Jest pani pewna, że nikogo nie spotkała?

- Jestem.

- Cóż, to niedobrze.

Zapadło milczenie.

- Powiedziałam prawdę. - Connie przerwała je w końcu pełnym wahania, drżącym głosem. -
Tak było.

Spencer czuł narastający ból w skroniach. To był naprawdę ciężki dzień. O dziewiątej wieczorem zwykle już nie pracował. Ta dziewczyna, drobna, ale pewna siebie i sprytna, swymi wymijającymi odpowiedziami sprawiała, że rozboleła go głowa.

Nagle przypomniał sobie niewysoką dziewczynę śpieszącą do akademika. Co właściwie pamiętał? Wzrost na pewno się zgadzał. Co jeszcze? Kurtka - tak, tamta miała na sobie kurtkę z białą literą D na plecach. Tak jest.

Poprosił, by Conni pokazała mu swoje okrycie. Była to kurtka uniwersytecka. Mimo świadomości, że dziewięćdziesiąt procent studentów takie nosi, Spencer nie mógł otrząsnąć się z wrażenia, że dziewczyną, mijającą szybkim krokiem tłum i karetkę, była Conni Tobias.

- Dobrze, wróćmy do Alberta. Spędziliście razem noc?

- Tak.

- A następnego dnia rano?

- Wstaliśmy, poszliśmy do Thayera na śniadanie, a potem pojechaliśmy na Long Island.

- Czy w środę rano widziała pani Kristinę?

Conni chwilę się zastanawiała albo też udawała namysł.

- Nie.

Pewnie, że nie, zgodził się z nią w myślach O'Malley.

- A Jima pani widziała?

- Też nie.

- Czy widziała pani psa Kristiny?

- O tak, zabraliśmy go ze sobą.

- Dlaczego?

- Sama nie wiem. Było nam go żal.

- Z jakiego powodu? - Tego tematu detektyw nie zamierzał łatwo porzucić.

- Pomyśleliśmy, że u mnie w domu będzie mu weselej. - Wymuszony uśmiech. - Mamy ładne podwórko.

Tego jestem pewny, pomyślał Spencer, teren zadbane niczym paznokcie elegantki. Opadłe liście zgrabione co do jednego, żywoplot starannie przycięty, może nawet w wymyślne kształty.

- Zadzwoń pani do matki, żeby zapytać, czy nie będzie jej przeszkadzał pies?

Conni machnęła ręką.

- Nie, mama i tak by się zgodziła. Kiedy dwa lata temu Kristina była u nas na Boże Narodzenie, też przyjechała z Arystotelesem.

- Constance, wzięła pani Arystotelesa i nie zawiadomiła pani o tym Kristiny?

- Zostawiłam jej wiadomość.

- Zostawiła jej pani wiadomość, że zabieracie jej psa?
- Ona wiedziała, że Arystotelesowi będzie z nami bardzo dobrze.
- Tak, ale jak mogła pani tak postąpić, nie ustalając z nią tego?
- No cóż, Albert wspomniał, że Kristina nie miała za wielkiej ochoty zostawać z psem na Święto Dziękczynienia, ponieważ nie wiedziała, co będzie robiła. Cały czas pracuje, do tego treningi. Tak czy owak nie przyszło nam do głowy, że zgłosi jakieś zastrzeżenia. Myślałam, że w gruncie rzeczy liczyła, że ktoś jej to zaproponuje.

Spencer zastanowił się nad tym, co właśnie usłyszał. W końcu zapytał:

- Skąd Albert wiedział, że Kristina nie chciała mieć psa przy sobie?
- Nie wiem - odrzekła Conni niepewnie.
- Orientuje się pani, czy planowała jakiś wyjazd na Święto Dziękczynienia?
- Nie. Mówiła coś, że dziewczyna, którą się opiekuje, w najbliższym czasie ma urodzić bliźniaki.

- Dziewczyna z Czerwonych Liści?

Conni potwierdziła skinieniem głowy.

- Skąd pan o tym wie?

Ci smarkacze potrzebują przyspieszonego kursu dotyczącego podziału ról na przesłuchującego i przesłuchiwanego, pomyślał detektyw, głośno zaś powiedział:

- Ale z tego wcale nie wynika, że była niezwykle zajęta. Dlaczego nie chciała zatrzymać psa? Przecież została w akademiku. - Boże, a ja myślałem, że pojechała do rodziny. Jak się okazało, oboje spędziliśmy święta tutaj, tylko że ona pod grubą warstwą śniegu.

Zacisnął pięści i ukrył je pod stołem. Nic by to nie zmieniło. I tak było za późno.

- Kristina zawsze czuła się lepiej ze świadomością, że któreś z nas wyprowadzi Arystotelesa na spacer. Dlatego nigdy nie zamykała drzwi na klucz.

- O tym nie wiedziałem. Nigdy nie zamykała drzwi na klucz?

- Nigdy - powtórzyła Conni, rumieniąc się nagle.

Nie uszło to uwagi Spencera.

- Tak więc wzięła pani psa, zostawiła list i wyszła z jej pokoju. A kiedy pani wróciła do kampusu?

- W poniedziałek po południu. Zrobiliśmy sobie wagary - wyjaśniła nieśmiało.

- Oddała pani psa Kristinie?

- Ściśle rzecz biorąc, zaprowadziliśmy go do Jima.

- Czy ktoś widział Kristinę?

- Ja nie.

- Czy to nie było dziwne?

- Wcale nie.

- To był poniedziałek. Widziała ją pani we wtorek?

- Nie!

- A w środę?

- Nie.

- Widziała ją pani dzisiaj?

- Nie.

- Rozumiem. Nie zaniepokoiła się pani, że nie było jej teraz przez cztery dni ani przedtem przed samym Świętem Dziękczynienia?

- Niezbyt.

- Jak często zwykle ją pani widywała?

- Och, codziennie. - Po tych słowach nastąpiła długa przerwa. - Prawie się nie rozstawałyśmy. W gruncie rzeczy była moją najlepszą przyjaciółką w Dartmouth. - Lecz mówiła to bez wysiłku, bez przekonania, bez żalu, który powinien był wywołać strumień łez na myśl o śmierci najbliższej przyjaciółki. Taki strumień, jaki popłynął wcześniej tego dnia. Przyłożyła chusteczkę do suchych oczu, licząc, że to jej pomoże, i zerknęła na detektywa. Nie pomogło.

- Więc zwykle - kontynuował - spotykałyście się codziennie, ale zupełnie się pani nie przejęła, nie widząc jej ani nie mając od niej wiadomości przez ponad tydzień?

- Nie, bo jak już mówiłam, Kristina czasem znikwała i nikt nie miał pojęcia, gdzie jest.

A tym razem zginęła na dobre, prawda, Conni? - pomyślał Spencer.

- Co pani ukrywa? - zapytał.

- Ukrywam? - powtórzyła głosem wyższym niż normalnie. - Niczego nie ukrywam.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Dzisiaj po południu minęła pani gapiów i karetki i nawet nie przystanęła, prawda?

- O czym pan mówi? A jaki to ma związek z czymkolwiek?

- To była pani, tak czy nie?

- Ja?

- Tak, pani.

- Och nie... to nie byłem ja. Nie widziałam żadnego zbiegowiska.

- Aha. Albert powiedział mi, że kiedy przyszła pani do jego pokoju, była pani w kurtce.

Detektywowi niemal zrobiło się żal tej dziewczyny.

- No tak - odrzekła nerwowo. - Pamiętam, że coś się działo, kiedy przechodziłam, ale... eee... chyba byłam zbyt zajęta, no wie pan, żeby... eee... zatrzymać się, chciałam, bo wydawało się to interesujące, tylko że... bardzo się śpieszyłam.

W im większe zakłopotanie wpadała, tym spokojniejszy stawał się O'Malley. Nachylił się nad stołem.

- Jedno mnie ciekawi - zaczął. - Jak to możliwe, że ktoś widzi karetki, wozy policyjne, tłum i nawet nie pyta, co się stało?

Conni w odpowiedzi tylko wzruszyła nerwowo ramionami. Spencera jej zachowanie coraz bardziej irytowało. Jej sztuczki działały mu na nerwy. Niemal całkiem zapomniał już o niechęci, jaką wzbudził w nim Jim, bo była niczym w porównaniu z tym, co teraz odczuwał.

- Jeszcze kilka spraw, Conni - powiedział, udając, że coś notuje.

W rzeczywistości mazał tylko po stronie. Później uniósł wzrok.

- Ma pani brzydkie zadrapanie na twarzy.

Conni pośpiesznie dotknęła policzka. Detektyw dostrzegł, że dłonie jej drżą.

- Ach to. Drobnostka. - Zanim zdążył ją zapytać, sama wyjaśniła: - W czasie weekendu wygłupialiśmy się z bratem. Zadrapałam się przy tym.

- Widzę. To chyba bolesne.

- Nie.

Nachylił się, by uważniej obejrzyć zranienie, a Conni niemal mimowolnie się cofnęła. Właśnie o to chodziło Spencerowi; chciał zobaczyć, jak ona się cofa. Zadrapaniom przyjrzał się wcześniej.

- Conni, pozwoli pani, że o coś zapytam? Czy zabiła pani Kristinę Kim?

Zachichotała, zaraz jednak jej twarz przybrała wyraz śmiertelnej powagi.

- Nie, oczywiście że nie, panie poruczniku.

- Sierżancie - poprawił Spencer.

- Sierżancie - powtórzyła, uśmiechając się do niego czarująco.

- Dobrze. Zgodzi się pani na zdjęcie odcisków palców i pobranie próbek włosów i krwi?

To pytanie wyraźnie ją zdenerwowało.

- Włosy i krew? A po co?

- Procedura policyjna, rutynowa sprawa - uspokoił ją Spencer. - Nie ma się czym martwić.

Jeden z naszych ludzi, Ray Fell, też odda nam próbki włosów i krwi. - To był żart, skierowany głównie do partnera, lecz Conni jakoś nie rozbawił, a Will prychnął. - Proszę się nie przejmować, Conni. - Wstał. - Albert i Jim natychmiast wyrazili zgodę.

- Naprawdę? Jim się zgodził?

- Jasne, chcą z nami współpracować - wyjaśnił Baker.

- Czy jest jakiś powód, dla którego wołałaby pani tego nie robić? - zapytał Spencer.

- Ależ nie, naturalnie, że nie - odparła Conni, idąc do drzwi.

Podczas gdy Will zdejmował jej odciski palców i pobierał próbki nici z ubrania i włosów, sierżant poszedł porozmawiać z Jimem.

Chłopak wyglądał strasznie. Spencer usiadł obok niego.

- Zadam ci jeszcze kilka pytań i możesz iść do domu. Rozmawiałem z Conni, która mi powiedziała, że dzwoniła do ciebie około pierwszej w nocy, ale cię nie było.

Chwilę czekał na odpowiedź, kiedy jednak nie nadchodziła, odchrząknął.

- Byłem - odezwał się wreszcie Jim. - Tylko wyłączyłem telefon.

- Dlaczego?

- Nie chciałem z nikim rozmawiać.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ byłem zdenerwowany, a nawet wściekły. Chciałem, żeby zostawiono mnie w spokoju.

- A czyjego telefonu się obawiałeś?

- Sam nie wiem. Kristiny, Alberta. Z nikim nie miałem ochoty rozmawiać.

- Ale gdyby im bardzo zależało, to po prostu przyszliby do ciebie?

- Na to nic nie mógłbym poradzić, mogłem natomiast wyłączyć telefon.

- Rozumiem - Spencer wstał - a czy teraz jest włączony?

- Tak.

- Twierdzisz więc, że w nocy, kiedy zamordowano twoją byłą dziewczynę, nikt nie mógł porozmawiać z tobą przez telefon?

Jim nic nie odpowiedział. Spencer wyszedł.

- I co o tym myślisz, detektywie? - zapytał go partner, gdy stali we dwójkę na korytarzu.
- Myślę, że pójdę do domu i padnę na fotel. A ty co myślisz?
- Że wrócę do domu i padnę na łóżko - odparł Baker.
- Ale najpierw odwieź tych smarkaczy, dobrze?

Spencer wracał do domu, w całym ciele czując miniony dzień. Pomyślał przelotnie, czy nie wstąpić na szklaneczkę do Murphy's Tavern. Nie chciał pić w samotności, lecz nie miał też ochoty z nikim rozmawiać. A u Murphy'ego wszyscy go znali. Czy tego chciał czy nie, musiałby pogadać. Tracy to, Tracy tamto. Mając wybór między pić do lustra a rozmowami, poszedł do domu.

Nagle zapragnął zadzwonić do matki. Tęsknił za nią. Przez większość życia tęsknił za matką. Nie winił jej za to, po prostu mu jej brakowało.

Śmierć Kristiny sprawiła, że poczuł pustkę, pragnął usłyszeć głos matki i pohukiwania ojca w tle: „Mogę ja? Czy mogę teraz porozmawiać z moim synem?”.

„Mamo - chciał jej powiedzieć - gdyby znaleziono mnie martwego, przyrzeknij, że przyjedziesz i nie pozwolisz, żebym leżał w metalowej szufladzie”.

Bolało go gardło.

Jego maleńkie mieszkanie było ciemne i skąpo umeblowane. W sypialni stały łóżko, szafka i komoda, w salonie zaś stara kanapa, telewizor, stolik do kawy i - jedyna próba nadania wnętrzu przytulności - pluszowy fotel La-Z-Boy.

Usiadł w fotelu i wziął z podłogi butelkę whisky. Stary dobry Jack Daniel's. Spencer nie miał wyrafinowanych gustów, jeśli chodziło o alkohol. Nie pił wina, w gruncie rzeczy nie przepadał za piwem. Lubił whiskey.

Już chciał się napić prosto z butelki, ale powstrzymały go dwie rzeczy. Po pierwsze, nie byłoby dobrze, gdyby Bóg widział, jak detektyw sierżant pije z gwinta, a po drugie przypomniał sobie butelkę southern comfort na podłodze w pokoju Kristiny. Szklanki nigdzie nie dostrzegł.

Tak więc wstał i poszedł do swej tak zwanej kuchni - w rzeczywistości był to kącik z kuchenką i lodówką - po plastikowy kubek z napisem „i kto to skończył trzydziestkę”, pozostałość po przyjęciu urodzinowym, które urządzili dla niego koledzy pół roku wcześniej. Nalał whiskey i łyknął, po czym pozwolił, by głowa opadła mu do tyłu, a powieki się zamknęły. Natychmiast pojawił się obraz Kristiny w czarnych butach, kontrastujących z bielą śniegu. Czarnych i nieruchomych, a mimo to... krzyczących. Domagających się odpowiedzi, wołających

o pomoc, o życie.

Tylko że ona nie krzyczała. Gotów był postawić swoją tygodniówkę, że sekcja wykaże, iż Kristina przyjęła śmierć bez walki.

Nie otwierając oczu, Spencer znowu się napił i chwilę trzymał alkohol na języku. Po północy w środę 24 listopada Kristina Kim opróżniła butelkę southern comfort, rozebrała się do naga, pogłaskała psa i w nowych skórzanych butach poszła po śniegu na most, na kamienną poręcz. Doszła do końca, zeskoczyła z poręczy i zamiast wracać do domu, zapuściła się w las, tam położyła na śniegu ze zsuniętymi nogami i rozpostartymi rękoma, jakby ucząc się latać, zamknęła oczy i umarła.

Detektyw rozejrzał się po mrocznym pokoju, po cieniach rzucanych przez przytłumione światło z Allen Street na ściany i telewizor.

A potem wstał, narzucił kurtkę i wyszedł z domu.

Szedł szybko, wpatrzony głównie w śnieg i własne buty. Minął Dartmouth Green, Bibliotekę Sanborna, później skręcił w lewo w Tuck Mall. Na lewo miał stary cmentarz. Lampy były tam zepsute, dlatego Tuck Mall dzięki kilku jarzeniówkom wydawała się rzęsiście oświetlona. Musiał ominąć Szkołę Biznesu, trzymał się więc lewej strony drogi. Zostawił w tyle parking przy Bibliotece Feldberga oraz łąki koło akademików. Przed sobą miał most, pusty i mroczny. Na obu końcach stały lampy, lecz środek tonął w ciemności. Spencer spojrzał na prawo. Wysokie okna Biblioteki Feldberga rzucały jasne światło na drzewa, śnieg i most. Dostrzegł przez nie studentów pochylonych nad książkami. Z namysłem przyjrzał się budynkowi, a potem przeniósł wzrok na most.

Postąpił kilka kroków do przodu i przechylił się przez poręcz. Było ciemno jak w studni i nic nie widział, orientował się jednak, że poniżej jest strome zbocze, prowadzące do betonowego podjazdu w dole. Wolno przeszedł przez most, przesuwając dłońią po szorstkiej kamiennej poręczy. Zerknął na zegarek. Zajęło mu to dziewięćdziesiąt sekund. Zawrócił na środek i spojrzał na bibliotekę. Okna i studentów widział wyraźnie, a gdyby oni przycisnęli twarze do szyby, ujrzeliby jego również.

Doszedł do końca i tu także chciał przechylić się przez poręcz. Nie mógł jednak tego zrobić, gdyż tu murek był za wysoki. Nie wierząc, że naprawdę się na to odważy, wrócił na początek mostu, gdzie poręcz sięgała mu do połowy uda, i wskoczył na nią. Sprawdził przy tym czas. Mur pokryty był śniegiem, Spencer miał tylko nadzieję, że nie jest on śliski ani zlodowaciały. Bardzo

wolno stawiał krok po kroku, w ślimaczym tempie zbliżając się ku ciemności i drzewom iglastym na drugim końcu. Wyciągnął ręce w bok, by zachować równowagę. Wreszcie był u celu. Z niezwykłą ostrożnością zszedł na most i ponownie sprawdził czas. Przekonał się, że przejście po poręczy zabrało mu ponad dwie minuty.

Z bijącym sercem okrążył bibliotekę i ruszył w las. Szedł z wahaniem, wolno, ponieważ nie wyobrażał sobie, że może tutaj panować taka niesamowita cisza, taki bezruch i czern. Gałęzie drzew ani drgnęły, O'Malley widział tylko ich zarysy i cienie. Biblioteka także pogrążyła się w mroku, zgaszono światła na klatce schodowej. Spencer nie widział ścieżki, nie widział choinek ani taśmy policyjnej, która musiała być gdzieś niedaleko. Nic. Nasłuchiwał, patrząc na zastygłe drzewa. One wiedzą, pomyślał, wiedzą, co tutaj się stało. Jakież są spokojne; stoją tylko i powtarzają sobie: „My nic nie powiemy. Nikt o nic nas nie pyta. Nie rozmawiamy. Ale wiemy”.

Nagle wstrzymał oddech. Usłyszał głosy, ludzkie głosy. Dochodziły z dołu, z położonej sześćdziesiąt metrów niżej Tuck Drive; Spencer wiedział o tym, lecz tylko rozsądkiem. Emocjonalnie wszakże głosy rozlegały się w lesie, przybliżały, szły po niego. W tym lesie, pośród wysokich ciemnych drzew ktoś się ukrywał i czekał na niego. Stojąc tutaj, detektyw poczuł, że o krok zbliżył się do śmierci. O dzień, miesiąc, rok.

Nie był w stanie się odwrócić. Tyłem wycofał się ścieżką tak szybko, jak mógł, nie potykając się przy tym o własne nogi. Dłoń położył na piersi, by uspokoić walące serce. Z trudem łapał oddech. Kiedy znalazł się już na moście, ruszył do domu.

W kwadrans później, siedząc znowu w fotelu, sierżant pił whisky wielkimi, gwałtownymi łykami. Alkohol palił go w gardło.

Co opętało nagą dziewczynę, że wkroczyła w ciemność? Nie było jej zimno? Nie chciała wrócić do domu?

Spencer zmusił się, by patrzeć przed siebie. Czy ktoś zamknął Kristinie oczy? Czy ktoś zamknął jej oczy, żeby śmierć wyglądała na wypadek? Zabójca tego nie robi. Mordercy zwykle nie są aż tak wrażliwi. Lecz zmarła miała oczy zamknięte i mogłoby się wydawać, że po prostu zasnęła. Niewykluczone, że mordercą jest ktoś niezwykle przezorny albo sprytny.

Albo i taki, i taki.

Jeszcze łyk i szklanka zrobiła się pusta. Nalanie kolejnej wymagało większego wysiłku, niż detektyw gotów był uczynić. Tej pustki i bólu w piersiach nie dało się usunąć whisky. Miał pewność, że nawet cała butelka southern comfort nic by tu nie pomogła - ani jemu, ani Kristinie.

Kristina nie zasłużyła sobie na śmierć.

Cóż jednak Spencer wiedział? Ledwo ją znał. Może jednak zasłużyła. Może śmierć stanowiła dla niej jedyne wybawienie. Lecz wątpił w to. Jej śmierć nie sprawiała wrażenia wyzwalającej, była po prostu śmiercią.

Śmiercią za młodu.

Śmiercią przedwczesną, zbyt szybką, przecież ona nie miała umrzeć, dlaczego ona, nie, to za wiele, nie do zniesienia, nie do zniesienia w pojedynkę, była w kwiecie wieku, taka pełna życia, pełna życia, nawet nie zdążyła mieć dzieci, a Bóg wie, jak bardzo ich pragnęła, Bóg wie, jak się staraliśmy, Andrea, Andie, byłaś za młoda, żeby umierać. Mam nadzieję, że pamiętasz nasz miesiąc miodowy, te pięć dni w Paryżu, gdy siedzieliśmy na peronie metra, bo ktoś groził podłożeniem bomby pod pociąg, w deszczu spacerowaliśmy po Wersalu, jedliśmy smażonego dorsza na wycieczce statkiem po Sekwanie i kochaliśmy się na starym, skrzypiącym łóżku. Pięć dni. Planowaliśmy wrócić do Paryża, kiedy nie będzie padało, może wiosną. Lecz wiosną ty już nie żyłaś, znaleźliśmy cię na tylnym siedzeniu samochodu twojego mordercy, który jadąc z szybkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę zderzył się czołowo z autem, jak pocisk rozbiłaś dwie szyby. Gdyby on także nie zginął, sam bym go zabił. Byłaś pasażerką; prowadziła twoja przyjaciółka, która przeżyła. Lecz ona nic dla mnie nie znaczyła. Jej nie znalazłem na tylnym siedzeniu innego pojazdu. Tylko ciebie.

Co zabiło Kristinę? Andie, ja ją polubiłem. Troszeczkę przypominała mi ciebie. Włosy albo oczy miała podobne. Słodki uśmiech. Ty też miałaś czarne skórzane buty, ale ciebie nie zagrzebano bezceremonialnie w zaspie i nie zostawiono na dziewięć dni. Kiedy ty umarłaś, wszyscy o tym wiedzieliśmy. Nie leżałaś samotnie przez dziewięć dni bez wiedzy i żalu rodziny.

Jak długo Kristina pozostanie w kostnicy po sekcji, nim ktoś upomni się o jej rozmarznięte ciało, nim wystąpi i oznajmi: „To ja, ona należy do mnie, czy mogę ją zabrać? Kocham ją i będzie mi jej brakowało. To moja córka, Boże, moje jedyne dziecko! Albo jedno z siedmiorga, moja siostra, moja jedyna siostra albo moja najstarsza”. To moja żona. To była moja żona, kochałem ją i pogrzebałem siebie wraz z nią, a przez ostatnie pięć lat kawałek po kawałku, centymetr po centymetrze próbowałem wydostać się z tego grobu. Wydawało mi się, że nieźle sobie radzę, a dzięki tobie, Kristino, niecierpliwie wypatrywałem piątku, teraz wszakże nie mogę doczekać się nocy, zapomnienia, jakie przynosi sen, albo południa, gdy słońce jest zbyt jasne, by pogrążyć się w żalobie.

Spencer zasnął w fotelu, a kiedy się obudził, tuż przed świtem, chwiejnie wstał i rzucił się na łóżko. Noce, kiedy regularnie zasypiał w ubraniu na fotelu, należały do przeszłości.

W piątek rano obudził się o dziewiątej, mniej więcej godzinę spóźniony do pracy. Strasznie bolała go głowa. Filiżanka mocnej kawy z mlekiem zwykle szybko pomagała, ale w domu nie było kawy. Spencer specjalnie jej nie kupował, bo dzięki temu od razu wychodził z domu. Ten dzień także nie należał do wyjątków, detektyw miał sporo do zrobienia.

Włożył swój jedyny garnitur, podobny do tego, w którym poszedł na pogrzeb Andie. Wykąpany, ogolony, w białej koszuli i krawacie, Spencer opuścił swoje mieszkanie, gdzie nie było nic na śniadanie, i poszedł do miejscowego Mobil Mart; zapach świeżo parzonej kawy nadawał temu lokalowi pozory domu.

Z krótkofalówki w samochodzie połączył się z posterunkiem, potem pojechał do ratusza w centrum, gdzie mieścił się także sąd, i uzyskał nakaz przeszukania pokoju Kristiny.

Zapytał dyspozytora, czy ludzie z Concord zostali powiadomieni o morderstwie. Kyle nie wiedział, ale sądził, że tak; miał się tym zająć Fell. Piątek był dniem wolnym dla Gallaghery, w ten dzień komendant grał w golfa, jeździł do oddalonego o siedemdziesiąt kilometrów na północ Haverhill, gdzie miał swą siedzibę oddział poważnych przestępstw, a czasami bywał w Concord. Spencer zapytał Kyle'a, w jakim nastroju jest szef. Kyle odparł, że zabiera córkę, aby kupić jej sukienkę do komunii czy coś w tym rodzaju.

Wspaniale, pomyślał Spencer. Mamy do czynienia z przypuszczalnym morderstwem, a całe dochodzenie spoczywa w rękach trzydziestoletniego irlandzkiego gliniarza z małego miasteczka, byłego pielęgniarza Willa oraz Raymonda Fella, faceta, który pożycza policyjne aparaty fotograficzne swojej ciotce z Cleveland.

- Kiedy pojawią się ludzie z Concord, powiedz im, że jestem w college'u, i wezwij mnie przez radio, dobra? Gdzie teraz jest Fell? - Był na patrolu gdzieś koło Lebanon. - Mam nadzieję, że rozmawiał z Landerssem. Trzeba zdjąć odciski z pokoju ofiary.

- Tak - odrzekł Kyle. - Ed dzwonił rano. Będzie koło południa.

Spencer najpierw skierował się do Gmachu McNutta, mieszczącego administrację college'u, i poprosił o akta Kristiny. Musiał sprawdzić, czy ma krewnych. Pracownica ociągała się z okazaniem dokumentów, najwyraźniej poufnych. Spencer zapewnił ją, że poufność nie ma już znaczenia, o wiele ważniejszy jest pogrzeb. Mimo to dziewczyna nie kryła podejrzliwości i ustąpiła dopiero po telefonie do przełożonego. Podała Spencerowi papiery. Usiadł na jednej z

wielkich pluszowych sof w przytulnym i cichym pomieszczeniu.

Nazwisko: Kim. Imię: Kristina. Drugie imię: Brak. Data urodzenia: 22 listopada 1972. Zgadza się, właśnie skończyła dwadzieścia jeden lat, pomyślał Spencer.

Pamiętał, kiedy sam skończył dwadzieścia jeden lat. Z sześcioma braćmi i Mattem, najlepszym przyjacielem, pojechali do Port Jefferson, gdzie wszyscy się zdrowo upili. Doszło tam do jakiejś kłótni - kogoś siłą rozebrano, a potem pobito na Main Street w Port Jefferson. Choć był zalany w pestkę, musiał aresztować sprawców i wezwać pomoc, bo nie mógł w tym stanie odwieźć gówniarzy na policję. Takie były dwudzieste pierwsze urodziny detektywa O'Malleya.

Dwudzieste pierwsze urodziny Kristiny okazały się przedostatnim dniem jej życia.

Spencer czytał dalej. Znalazł adres w Brooklynie w Nowym Jorku - trzeba go sprawdzić. Przesunął wzrok niżej, potrzebował nazwisk krewnych. Aha, tu jest, nazwisko matki: Katherine Morgan. Adres: nieznanany.

Jak to nieznanany? Spencer spojrzał na rubrykę dotyczącą ojca: John Henry. Nie żyje. Rodzeństwo: Brak.

Było gorzej, niż sobie wyobrażał. Przynajmniej jednak nie musiał stawiać czoła rodzicom żądającym wydania ciała ukochanej córki. Spencer czuł, że ponosi osobistą odpowiedzialność za dopilnowanie, by ktoś zgłosił się po Kristinę.

Formularz stawiał więcej pytań, niż udzielał odpowiedzi. Katherine Morgan? John Henry jaki? Kim? Co to znaczy?

Pozostałe informacje były jeszcze mniej pomocne. Kristina uczęszczała do szkoły w Brooklyn Heights. W college'u utrzymywała się ze stypendiów, niewielkiej pożyczki oraz pracy - w Czerwonych Liściach - a resztę czesnego pokrywała babka ze strony matki, Louise Morgan. Nie podano jednak jej adresu. Czy to ta sama babka, która mieszkała nad jeziorem Winnepesaukee?

Spencer pośpiesznie przejrzał świadectwa Kristiny z liceum oraz wyniki z matury - wszystkie były bardzo dobre. Nie zajmowała się wyłącznie sportem.

Zdecydował, że w następnej kolejności uda się do przychodni studenckiej na North Main Street, by sprawdzić, czyje nazwisko widnieje w rubryce: „Zawiadomić w razie wypadku”. Usłyszał, że podała tylko jedno nazwisko: Louise Morgan, a już wiedział, że nie ma sensu do niej dzwonić. Louise Morgan nie żyła.

Z przychodni zatelefonował do informacji w Brooklynie.

- Kim.

Imię czy nazwisko? Więc jakie imię? Już chciał odpowiedzieć: Kristina, ale to byłoby idiotyczne, więc powiedział, że nie wie.

Telefonistka odparła, że w Brooklyn Heights nie mieszkają żadni Ki-mowie. A Morganowie? Dostał numery trzech Morganów. W dwóch wypadkach odpowiedziały automatyczne sekretarki, w trzecim jakiś głos oznajmił: „Przykro mi, nie znam żadnej Kristiny”. Tak więc Spencer wszystkie swoje nadzieje związał z nagraniami. Miał zamiar powiedzieć: Jestem Spencer O’Malley z Komendy Policji w Hanover w stanie New Hampshire. Jeśli Kristina Kim jest państwa krewną, proszę zadzwonić do mnie pod numer i tak dalej, i tak dalej. A może byłoby lepiej, gdyby nie

ukrywał prawdy? Jeśli państwa krewną jest Kristina Kim, to informuję, że zamarła na śmierć w śnieżnej zaspie i teraz jej ciało znajduje się w kostnicy miejskiej w Hanover, gdzie czeka na odbiór. Prawdziwe zniknięcie bez śladu. Może to rzeczywiście wypadek. Czy poza mną i kilkorgiem jej najbliższych przyjaciół ktokolwiek wiedział, że ta dziewczyna w ogóle żyła?

Trzeba spróbować z innej strony. Zadzwoił do prywatnej szkoły, do której uczęszczała. Kristina Kim? Nie, przykro mi. Och, kiedy? Cztery lata temu? Proszę poczekać. A tak, jest Kim Kristina. Tak, chodziła do naszej szkoły. Domowy adres był identyczny z tym, który Spencer już miał. A czy podała numer telefonu? Tak, ale ówczesny. Lepsze to niż nic, uznał. Kiedy jednak tam zatelefonował, poinformowano go, że numer został wyłączony. Kolejna ślepa uliczka.

Nadeszła pora, by wykorzystać nakaz przeszukania. Pokój dziewczyny na pewno będzie zawierać więcej informacji, niż detektyw zdobył podczas dwugodzinnej wizyty w biurze uczelni.

Nie mógł jednak iść tam sam. Czekał, aż dołączą do niego Will Baker uzbrojony w notes i woreczki na dowody oraz daktyloskop z Concord z zapasem talku i rękawiczkami.

Nic nie jadł, niecierpliwie wyczekując kolegów. Czas płynął. Aby jakoś go zapelnąć, zatelefonował do redakcji „New York Post”, „New York Daily News”, „New York Times” i „New York Newsday” z prośbą o pomoc. Dziewczyna, zamieszkała uprzednio w Brooklynie, została znaleziona martwa w podejrzanych okolicznościach; nie ma rodziny, z którą można by się skontaktować. Czy coś u siebie znajdują?

Później poszedł na most Kristiny. Był środek dnia i miejsce to wcale nie wyglądało tajemniczo. Teraz Spencer nie wdrapał się na poręcz, lecz wolnym krokiem podążył na drugi koniec, koło iglaków skręcił w prawo i krętą ścieżką ruszył ku kopczykowi, w którym znaleziono

ciało, i zajął się usuwaniem żółtej taśmy. To już nie było miejsce śmierci, pozostały tylko drzewa, śnieg i zimne sosny. Oraz wydeptane ślady, tam gdzie przedtem leżała Kristina. Detektyw przystanął i uważnie się rozejrzył. Miejsce było niesamowite; nawet w biały dzień. Trochę dalej Spencer zszedł ze ścieżki i przez las dotarł do Tuck Drive, położonej w dolinie pomiędzy dwoma stromymi, zalesionymi wzgórzami. Z jednego właśnie zszedł. Ruszył na drugą stronę drogi, a potem wolno zaczął wdrapywać się na zbocze, przedzierając się pomiędzy niskimi gałęziami drzew. Śnieg przemoczył mu liche buty. Zadyszany i mokry wyszedł na zachodni koniec Webster Avenue. Pierwszym domem po prawej stronie był Phi Beta Epsilon.

Cóż za zbieg okoliczności, pomyślał detektyw, pukając do drzwi. Ze środka dobiegło głośne zaproszenie. Wszedł i pokazał odznakę rozwalonemu na sofie chłopakowi w za dużym ubraniu.

- Czy zastałem Frankiego Absaloma? - zapytał.

Nie, usłyszał w odpowiedzi, Frankie pojechał do domu na weekend.

- Jak wróci, proszę mu przekazać, że szuka go detektyw Spencer Patrick O'Malley, bo musi z nim porozmawiać w niecierpiącej zwłoki sprawie.

Facet kiwnął głową i wrócił do swojej książki, lecz Spencer nie zamierzał na tym poprzestać.

- Przykro mi, że przeszkadzam - ciągnął - ale wczoraj znaleźliśmy w śniegu martwą dziewczynę, a Frankie jest jedną z osób, która ostatnia widziała ją żywą. Muszę natychmiast z nim porozmawiać. Może mi pan pomóc?

Chłopak zaprzeczył.

- Niestety, nie znam jego adresu w Bostonie. Niech pan zwróci się do jego kumpla Alberta. Nazwiska nie kojarzę.

- Maplethorpe'a?

- Właśnie. Trzymali się razem. Albert będzie wiedział.

- Pytałem, też nie wie.

Chłopak wzruszył ramionami; przez cały czas trzymał książkę.

Spencer wrócił do budynku administracyjnego college'u, gdzie uzyskał adres i numer telefonu Frankiego. Zadzwoił z automatu na parterze. Wokół panowała cisza.

- Halo! Tu mówi detektyw Spencer Patrick O'Malley z Komendy Policji w Hanover. Czy zastałem Franklina Absaloma?

- Tak. Stało się coś? - zapytała kobieta z macierzyńską troską w głosie.

- Nic, wszystko w porządku, proszę pani - zapewnił ją Spencer. - Muszę tylko zamienić parę

słów z Frankiem.

- Tak, tak, naturalnie. On chyba śpi, więc musi pan chwilę poczekać.

Spencer usłyszał, jak kobieta kilkakrotnie woła „Franklin!”; wreszcie w słuchawce rozległ się zaspany głos.

- Słucham?

- Czy to Frankie?

- Tak.

- Tu mówi detektyw Spencer Patrick O'Malley z Komendy Policji w Hanover. Może mi pan poświęcić kilka minut?

- Tak - odrzekł Frankie, całkiem już rozbudzony.

- Czy mogłaby pani odłożyć słuchawkę? - zapytał Spencer. - To nie potrwa długo.

Zdenerwowana kobieta mruknęła coś, potem rozległo się stuknięcie odkładanej słuchawki.

- Frankie, od jak dawna jest pan w Bostonie?

- Od Święta Dziękczynienia.

- Dlaczego nie wrócił pan na zajęcia?

- No... sam nie wiem. Chyba potrzebny mi był odpoczynek.

- Rozumiem. Przykro mi, ale mam dla pana złe wieści... Wie pan, dlaczego dzwonię? - zapytał Spencer. Nie usłyszał odpowiedzi. - Frankie?

- Mam nadzieję, że... nic się nie stało - odrzekł chłopak niepewnie.

- Niestety. Wczoraj znaleziono Kristinę Kim martwą.

Jego rozmówca ze świstem wciągnął powietrze; przez kilka następnych minut Spencer słyszał tylko jego nierówny oddech przerywany jękami.

- Frankie?

- Ta... tak? - odezwał się cicho. - Boże, ja...

I znowu minęło kilka minut. Spencer spojrzął na zegarek. Wpół do pierwszej. Ed i Will pewnie już są.

- Frankie, bardzo mi przykro, że to ja przekazałem panu tę złą wiadomość. Zadam panu tylko parę pytań i ruszam do swoich zajęć, dobrze?

- Jak? - przerwał mu Frankie - jak to się stało?

Detektyw nie miał żadnych obiekcji, by mu odpowiedzieć; poczuł do tego chłopaka sympatię, bo tylko on najwyraźniej przejął się śmiercią Kristiny.

- Znalaziono ją w wysokiej na blisko metr zaspie.

- Czy ona... - Frankie urwał, zabrakło mu tchu. Po chwili dokończył: - Czy miała jakieś obrażenia?

Obrażenia? Dziwne pytanie.

- Jakie na przykład... co pan przez to rozumie?

- Rozumiem przez to... - Tamten z wysiłkiem szukał odpowiednich słów. - No, czy doznała jakichś obrażeń?

Spencer ponownie rozważył pytanie. Powiedział Frankiemu, by chwilę poczekał, w tym czasie z kieszeni wygrzebał miniaturowy magnetofon i włączył nagrywanie.

- Znalaziono ją martwą pod śniegiem. Czy to według pana należy do kategorii „obrażenia”? - Kiedy w słuchawce odpowiedziała mu cisza, dodał: - A może pyta pan, czy została zgwałcona albo zadźgana nożem?

- Właśnie - potwierdził Frankie spiesznie.

- Nie - odrzekł równie pośpiesznie O'Malley. - Nie zadźgano jej nożem. Czy teraz odpowie mi pan na kilka pytań?

- Jasne. Przepraszam, tylko że to jest... - jęknął - ...takie straszne.

Spencer zgodził się z nim, po czym zapytał, kiedy Frankie po raz ostatni widział Kristinę.

- Kristinę? - powtórzył chłopak, jakby słyszał to imię po raz pierwszy. - Ostatnio?

- Tak. - Chcesz zyskać na czasie? - pomyślał detektyw, żalując, że nie może teraz patrzeć mu w twarz.

- No, w tym tygodniu nie byłem na uczelni.

- Frankie! - powiedział Spencer stanowczo, tracąc cierpliwość. - Kiedy po raz ostatni ją pan widział?

- Dobrze, niech pomyślę... Chyba przed wyjazdem do domu.

- A dokładnie?

- Próbuję sobie przypomnieć. - W głosie chłopaka zaszła wyraźna zmiana. - We wtorek wieczorem graliśmy w karty.

- Kiedy ostatni raz pan ją widział? - powtórzył detektyw.

- Tak, chyba we wtorek.

- Chyba? - zapytał O'Malley z desperacją.

- Tak.

- Frankie, proszę uważnie mnie posłuchać. Nie mam za wiele czasu, a dziewczynę znaleziono martwą. Niech mnie pan nie zmusza, żebym pojechał po pana do Bostonu i zaczął podejrzewać, że coś pan przede mną ukrywa. Więc słucham, kiedy dokładnie widział ją pan po raz ostatni.

Tamten kilkakrotnie głęboko odetchnął, nim wreszcie się odezwał.

- We wtorek. A może to już była środa?... Widziałem ją, jak szła po moście - dodał cicho.

Tak. Spencer przycisnął do serca lewą dłoń, w której wciąż trzymał magnetofon. Tak.

- A więc widział ją pan - odezwał się wreszcie. - Doskonale. Która była godzina?

- Zaraz, zaraz - zaczął Frankie, jak gdyby znowu chciał zyskać na czasie. - Niech się zastanowię. Musiała chyba być pierwsza w nocy, może pięć po pierwszej. Coś koło tego.

- Pierwsza, pierwsza pięć. To całkiem precyzyjne ustalenie. Skąd pan wie?

- Spojrzałem na zegarek i chciałem już wracać do domu, gdyż było późno, a zaraz potem zobaczyłem ją przez okno.

- Dlaczego patrzył pan w okno?

- Ja... ja czekałem na nią, bo miała przejść po poręczy.

- Pan ją obserwował? - zapytał Spencer z wahaniem.

- Nie, nic w tym rodzaju. Już bardziej jej pilnowałem.

- Dobra, proszę mi więc opowiedzieć, co się stało. Ze szczegółami.

- Zgoda. Wszystko.

- Frankie, czy pan kogoś kryje? - Spencer podniósł głos.

- Nie, nikogo.

- Bo jeśli tak, może pan zostać oskarżony o współudział w morderstwie.

- Oczywiście, zdaję sobie z tego sprawę, nie musi mi pan mówić. Rozumiem. Niech pan posłucha, powiedziałem panu wszystko. W tamten wtorek graliśmy w karty i jak zwykle wygrałem. Ale dało się wyczuć wyraźne napięcie. Wszyscy byliśmy poirytowani.

- Tak, coś o tym słyszałem - odrzekł Spencer, starając się go ponaglić. - Miał pan się spotkać z Albertem u siebie.

- Nieprawda. Zaszło nieporozumienie.

- On twierdzi, że pan zapomniał.

- Tak, a z tyłka wylatują mi świnię. Nigdy o niczym nie zapominam. Zwłaszcza o spotkaniu z Albertem w moim pokoju - dodał, na pół kpiąco.

A to co znowu ma znaczyć? Spencer miał coraz większą ochotę na spotkanie z Franklinem

Absalomem.

- Rozumiem. Czy Kristina była trzeźwa?

- Kompletnie trzeźwa. Wiem o tym z kilku powodów. Pocałowałem ją na pożegnanie i czułem jej oddech. Poza tym narzekała, że nie ma nic do picia, bo Murphy jest zamknięty.

Spencer pomyślał z bólem serca: Więc ona też bywała u Murphy'ego? Z wysiłkiem skierował uwagę na słowa chłopaka, który mówił:

- Zaproponowaliśmy jej piwo, ale wolała colę. Więc wiem, że była trzeźwa.

- W jej pokoju została butelka southern comfort.

- Tak, ona to lubiła. - W głosie Frankiego zabrzmiał niesmak. - Na urodziny daliśmy Kristinie butelkę. Ale jej nie wypić, nawet nie wzięła ze sobą.

- Skąd pan wie?

- Bo we wtorek po południu byłem w pokoju Conni i butelka stała na biurku. Musiała ją przesunąć, żeby zrobić miejsce na książki.

- Skąd pan wie, czy butelka nie należała do Conni?

- Żartuje pan? - roześmiał się Frankie. - Ona pije wyłącznie piwo -oznajmił, zaraz jednak dodał: - Oczywiście odkąd skończyła dwadzieścia jeden lat.

- Jasne, tak - potwierdził Spencer. Czas mijał. Musiał już kończyć tę rozmowę.

- Conni uważała, że źle zrobiliśmy, dając Kristinie butelkę alkoholu. Powiedziała, że Krissy wcale się to nie podobało. Rozmawialiśmy o tym przez kilka minut.

- W pokoju Kristiny leżała rozlana butelka southern comfort.

- Naprawdę? Aha. No to może Conni zaniósła ją Krissy po pokerze.

- Tak - powtórzył Spencer. - Niewykluczone. Niech pan mówi dalej.

- Podczas gry prowokowałem Kristinę, żeby przeszła po poręczy. To naprawdę chore, ale chłopaki z Epsilon uwielbiają ją oglądać, więc co jakiś czas ją namawiam, a czasami ona się zgadza. Niezbyt często, czasami. Musi być zalana. Wszyscy zbierają się wtedy przy oknie w Bibliotece Feldberga i patrzą. To wielkie wydarzenie.

- A pan też patrzy?

- Nie - zaprzeczył swobodnie. Zbyt swobodnie. - Zwykle jestem ostatni w kolejce. Jak już powiedziałem, nie tyle na nią patrzę, ile raczej... - zająknął się, jakby brakowało mu słów - ... raczej jej pilnuję - dokończył niepewnie. - To bardzo niebezpieczne, ale wszyscy strasznie lubią ją oglądać. Ja właściwie patrzę, by się upewnić... cóż, to i tak nieważne...

- Upewnić się, że co?

- Nic. Że wszystko w porządku. W tamten wtorek powiedziała, że może to zrobić. Więc czekałem.

- Ale ona była trzeźwa.

- Ile czasu trzeba, żeby się upić? - zapytał Frankie. - A jeśli Conni przyniosła jej tę butelkę, to mogła to zrobić w sekundę.

Spencer zapytał, dlaczego Frankie namawiał Kristinę do tak niebezpiecznego wyczynu. Upadek z poręczy oznaczał pewną śmierć.

- Tak sądzę - odezwał się chłopak wolno. - Ale powinien pan ją widzieć na tym moście. Sunęła tam i z powrotem jak anioł. Miała po swojej stronie Boga.

- Powiedziałbym, że szanse były przeciwko niej.

- Tak. Mówiła często, że całe nasze życie jest przeciwko nam. W poniedziałek miała wypadek samochodowy, mogła wtedy zginąć. Ale kiedy chodziła po poręczy, byłem przekonany, że nic jej się nie stanie. Szła bardzo pewnie, nie chwiała się nigdy. To było wielkie przedstawienie. I zawsze zawracała i szła w przeciwnym kierunku. Tak czy owak nie wiedziałem, czy się zdecyduje, a nie mogłem pójść do Epsilon i powiedzieć chłopakom, póki nie byłem o tym przekonany. Zabiliby mnie.

- Jasne, wychodzić na taką zamieć - skomentował Spencer.

- Właśnie. A poza tym miałem robotę. Poszedłem więc do biblioteki. Zawsze się tam uczę. Na piętrze jest hol, z którego widać most. Przysunąłem stolik i fotel do okna. Podoba mi się tam, jest zacisznie i spokojnie. Tam więc siedziałem.

Spencer milczał, oddychał płytko. Zdawał sobie sprawę, że słucha relacji z ostatnich minut życia Kristiny i nie potrafił zmusić się do zadawania pytań Frankiemu, do ponaglenia go.

- Jak ją zobaczyłem - ciągnął chłopak - była już w połowie mostu. Stawiała kroki niepewnie. Bardzo niepewnie. Przestraszyłem się, otworzyłem okno i chciałem do niej zawołać, ale zrezygnowałem, bo mogłem jeszcze bardziej ją przerazić. Patrzyłem na nią przez kilka sekund, a potem ona się potknęła. Pośliznęła się na śniegu i zawisła na poręczy, a ja o mało nie wyskoczyłem ze skóry, nie miałem czasu, żeby zareagować czy cokolwiek zrobić. Pośliznęła się, ale utrzymała się poręczy i leżała tak przez chwilę.

- Leżała naga na śniegu?

- Tak. Wiem, że to brzmi dziwnie. Ona specjalizowała się w filozofii. W Tybecie są ludzie,

którzy przekłuwają sobie ciała, połykają miecze albo chodzą po rozżarzonych węglach i nie robią sobie przy tym żadnej krzywdy. Ona miała ten dar. Udało jej się znieczulić ciało na mróz.

Ale nie w ostatniej bitwie o życie, pomyślał Spencer.

- Patrzyłem na nią - ciągnął Frankie - i byłem naprawdę spanikowany. Zeskoczyła z poręczy, a tego nigdy nie robiła. Zwykle szła z powrotem. Zrozumiałem, że musi być naprawdę przerażona. Była na końcu mostu, a mnie ogarnęła ulga. Coś do niej zawołałem, no wie pan, w rodzaju: „Hej, Krissy, doskonała robota, ty wariatko!”.

- Usłyszała pana?

- Byłem przekonany, że tak, naprawdę, ponieważ przystanęła i rozejrzała się wokół. Popatrzyła na bibliotekę, a potem na las za budynkiem. Pomyślałem, że nie wie, skąd dochodzi mój głos, więc znowu wrzasnąłem, a ona znowu się rozejrzała.

- A potem? - zapytał detektyw. Zesztywniał cały, palce zacisnął na słuchawce.

- Straciłem ją z oczu, bo poszła ścieżką prowadzącą za budynkiem.

- Do lasu?

- Sam nie wiem, chyba tak. Później jej nie widziałem.

- I co pan zrobił?

- Głupia, pomyślałem. Przypomniałem sobie, że zawsze panicznie bała się ciemności. Kiedy szliśmy z psem na spacer za akademik, kurczowo trzymała mnie za rękaw.

Spencer drżał, dłoń, w której trzymał magnetofon, trzęsła się gwałtownie. Przed oczyma miał czerń starych świerków.

- Zamknąłem więc okno - ciągnął Frankie - i próbowałem zająć się nauką. Ale było już późno...

- Jak późno?

- Bardzo. Pozbierałem książki...

- Dokładnie wtedy?

- Tak. Byłem już wykończony. Schowałem książki do plecaka, włożyłem kurtkę i rękawiczki, nasunąłem kaptur na głowę. Jak dużo czasu pana zdaniem mogło mi to zabrać?

- Pięć minut?

- Możliwe. Siedem albo osiem minut. Nie, osiem nie. Zaraz, niech pan poczeka, najpierw poszedłem do łazienki. Tak. Wszystko trwało jakieś piętnaście minut. Tak...

- Był pan w łazience dziesięć minut?

- Mniej więcej. Umyłem ręce, ochlapałem twarz. Byłem tam od ośmiu do dziesięciu minut. To ma sens, bo jak wróciłem do Epsilon, była gdzieś za dwadzieścia druga.

- Około pół godziny po tym, gdy Kristina zniknęła w lesie?

- Tak.

- I to wszystko?

- Wszystko.

- Na pewno?

- Tak.

- I nikogo innego poza tym pan nie widział?

- Nie.

- A później nie widział pan już Kristiny?

- Nie.

Oczywiście, że nie. To było wszystko.

Spencer wyłączył magnetofon. Głowa mu drżała, słuchawka wypadła z rąk.

Will Baker i Ed Landers z laboratorium kryminalnego czekali na niego na parkingu koło biblioteki.

- Gdzieś ty był? - zapytał partner przyciszonym, acz pełnym napięcia głosem.

Spencer uniósł brwi.

- Szukałem mordercy Kristiny, Will. A ty?

Ed Landers był wysokim mężczyzną w okularach ze złotymi oprawkami; odznaczał się niezwykle wielkimi, odstającymi uszami, na punkcie których miał kompleks. Nikomu nie wolno było sobie z nich żartować, w

każdym razie w obecności Eda. Spencer go lubił. Porządny facet i doskonały profesjonalista, który nie dawał łatwo się oszukać.

W pokoju Kristiny detektyw poprosił go, by zdjął odciski z butelki southern comfort, którą potem Will miał zapakować do torebki. Butelka była do połowy opróżniona. Spencer znalazł zakrętkę, później na czworakach powąchał miejsce, gdzie rozlał się alkohol. Dywan wydzieliał odór stęchlizny jak ubranie pijaka na Penn Station w Nowym Jorku. Jeśli Kristina owej nocy coś piła, to na pewno nie z tej butelki.

Metodycznie obejrzał cały pokój. Zaczął od ubrań na łóżku; później znowu ukląkł. Czego ja szukam? - pytał siebie, zaglądnąjąc pod łóżko. Co mam nadzieję znaleźć?

Na biurku na stosie podręczników leżał rzucony byle jak list od Conni. „Droga Krissy, zabraliśmy Arystotelesa na Long Island. Szkoda, że ty też z nami nie jedziesz. Wesołych świąt. Całuję, Conni”.

Detektyw przeczytał liścik kilkakrotnie, a potem dał go Willowi.

W szafie odkrył interesujące czasopisma, wszystkie starannie zapakowane przez Bakera: „People” z lat siedemdziesiątych i początku osiemdziesiątych, egzemplarze „Newsweeka” ułożone tak, jakby niedawno ktoś je przeglądał: numer z 15 listopada 1993 roku sąsiadował z numerem z 10 listopada 1988, ten z kolei znajdował się pod numerem z 27 sierpnia 1993. Ostatnie wydania magazynu „Life”, jeden numer „Time’a” ze zdjęciem dalajlamy na okładce. Oraz egzemplarz dziennika „Greenwich Time” z oderwanym kuponem subskrypcyjnym.

- Włóż to do oddzielnej torby, Baker - polecił Spencer.

Na co dziewczynie z Brooklyn Heights potrzebny był „Greenwich Time”?

Przejrzenie papierów zajęło trzy godziny. Landers zdjął odciski palców niemal ze wszystkiego, lecz Spencer nie wiązał z nimi zbyt wielkich nadziei, chyba żeby zacisnęły się na bladym karku Kristiny. Detektyw był przekonany, że na biurku, fotelu, a nawet na łóżku znajdują odciski trójki jej przyjaciół oraz koleżanek z drużyny koszykówki.

Podczas tej pracy prawie się nie odzywali. Co pewien czas Spencer prosił Bakera, aby włożył do plastikowego worka jakiś przedmiot, albo zwracał się do Landersa, żeby zdjął odciski z szuflady czy wnętrza szafy, obaj jednakże i bez tego dobrze wiedzieli, co robić.

Szuflady w biurku i szafa zawierały niewiele rzeczy osobistych. Znajdowały się tu naturalnie podręczniki i prace semestralne, lecz nie odkryli żadnych pamiętników czy dziennika. Notatki nie były nagryzmołone - zaskakujące w przypadku osoby mieszkającej w takim bałaganie. Niestaranne

i chaotyczne notatki zwykle szły w parze z nieporządkiem w pokoju, aczkolwiek nie w wypadku Kristiny. Jej notatki okazały się idealne, sporządzone pięknym charakterem pisma. Jak to możliwe, że rozwichrzony włosy, luźne ubrania, nieład w pokoju i rozlana butelka southern comfort towarzyszyły równie wyrafinowanemu pismu?

Detektyw szukał bardziej osobistych śladów: jakiejś fotografii, zapłaconego czeku, wyciągu z konta. Spencer O'Malley w dniu, w którym wyciąg z konta uznał za rzecz osobistą, okazał wielką desperację, lecz to, co widział w pokoju Kristiny, było równie mgliste jak jej podanie o przyjęcie do college'u. Istniało gdzieś miejsce zwane jej domem, a mimo to miał wrażenie, że

bierze udział w grze „Tropy” z dwoma podejrzanymi i brakującymi trzema narzędziami zbrodni. W istocie wygląd pokoju wręcz krzychał do detektywa, że coś tu nie gra, i to bardzo.

Pokój do tego stopnia pozbawiony elementów osobistych nie był przypadkiem. Dziewczyna, która wydawała się bałaganiarą, pozostałaby nią pod każdym względem. Spencer uświadomił sobie, że Kristina tylko pozornie sprawiała wrażenie nieporządnej. Jak gdyby chciała, by za taką ją brano. Ale dlaczego? Czyżby po to, aby ukryć sam fakt, iż wiele wysiłku włożyła w wyeliminowanie każdego najmniejszego przedmiotu, który mógłby zdradzić, kim naprawdę jest?

Wszystko, co mogło rzucić światło na jej tożsamość, zostało usunięte, a te zabiegi rzucały na nią więcej światła niż cokolwiek innego. Jak pięknie opakowany prezent, który okazywał się jedynie pustym pudełkiem. Kristina co miesiąc, co dzień, co godzinę opróżniała to pudełko.

Kto w każdym momencie mógł wtargnąć do jej pokoju, tak że musiała dbać, by absolutnie nic nie można było w nim znaleźć?

Spencer na próżno szukał zdjęcia, pojedynczej fotografii. Albo kostki Rubika, kasety zespołu Eagles, artykułu z gazety, zdjęcia matki. Czegokolwiek. Najbardziej wszakże uderzył go brak zapłaconych rachunków, wyciągów i innego rodzaju korespondencji bankowej. Żadnych czeków czy kwitów depozytowych. Kristina Kim była ostrożna. Spencer sprawdził jej torebkę - nic. Znalazł męski portfel z brązowej skóry, stary i zniszczony, rozdarty na szwach; po plastikowych kieszeniach na karty kredytowe nie pozostał ślad. Karta z New Hampshire Savings Bank powiedziała detektywowi, że powinny jednak gdzieś być wyciągi. Karta American Express. Zielona karta college’u Dartmouth. Trzy banknoty jednodolarowe. Złożona pusta kartka. I to wszystko. Nie było nawet paragonu za czarne buty, które przecież Kristina kupiła zaledwie dwa dni przed śmiercią. Ten kwit musiała wyrzucić od razu, jakby z nawyku. Dlaczego jednak ktoś miałby wyrzucać

głupi dowód kupna butów? Chyba że istotnie było to przyzwyczajenie - albo paragon znajdował się teraz w bezpiecznym miejscu.

Will, pokaż mi raz jeszcze jej klucze - zwrócił się Spencer do kolegi, który wyjął je z plastikowego woreczka.

Ed Landers niemal już skończył zdejmowanie odcisków z torebki. O’Malley się skrzywił; ironia losu polegała na tym, że na skórze pełno było jego odcisków. Może mnie także należy podejrzewać, pomyślał, oglądając klucze. Nie wyróżniały się niczym szczególnym: kilka dużych, kluczyki do samochodu, jeden mniejszy, wyglądający jak klucz do skrzynki pocztowej oraz

drugi, także mały, lecz grubszy, cięższy i z numerem.

- Bingo - mruknął pod nosem. - Był sobie farmer, co miał psa, a ten pies wabił się Bingooo...

- Słucham, detektywie O'Malley? - odezwał się Landers; sprawiał wrażenie, jakby nic nie rozumiał. Will uśmiechnął się tylko.

- Wszystko gra. Wy tutaj skończcie, ja muszę zdążyć do banku przed zamknięciem.

- Już po trzeciej - zauważył Will.

- Tak, ale pracownicy kończą o piątej.

„Udowodnij, że przez całą noc, udowodnij, że przez całą noc” - nucił pod nosem, jadąc Main Street. Zaparkował koło Molly's Balloon, w następnym budynku mieścił się New Hampshire Savings Bank. Spencer zastukał w szklane drzwi.

- Zamknięte - oznajmił ponury strażnik. Spencer wyjął odznakę i drzwi się otworzyły.

- Proszę wezwać szefa, muszę z nim porozmawiać.

Strażnik wrócił z mężczyzną, którego przedstawił jako pana Carmi-chaela. Spencer powiedział mu o Kristinie. Przez pierwszych kilka minut niewiele mógł się dowiedzieć, ponieważ urzędnik płakał z twarzą ukrytą w dłoniach.

- To była taka miła dziewczyna - powtarzał. - Taka młoda.

- Jestem tu - przerwał mu wreszcie Spencer - ponieważ wśród jej kluczy znalazłem jeden, który wygląda jak klucz od skrytki bankowej. Sam też taki miałem.

- Tak, miała u nas skrytkę, jeśli o to pan pyta - odrzekł Carmichael.

- Czy mogę do niej zajrzeć?

- Pozwoli pan, że poproszę o nakaz rewizji.

Nakaz byłby niepotrzebny, gdyby niczego nie spodziewał się znaleźć; mógłby tylko zerknąć na zawartość i zaraz pójść. Gdyby jednak znalazł coś, co rzucałoby podejrzenia na jakąś osobę i która w wyniku tego stanęłaby przed sądem, nakaz okazałby się niezbędny. Bez nakazu Spencer mógłby równie dobrze włożyć do skrytki Kristiny własną odznakę i wstąpić do straży granicznej stanu Vermont. Naturalnie, gdyby w ogóle go przyjęli. Gdyby sądzili, że jeszcze do czegoś się nadaje po przeszukaniu skrytki bankowej bez nakazu.

- Istotnie, powinienem mieć nakaz. - Detektyw zerknął na zegarek: za piętnaście piąta. Zostało mu kilkanaście minut. - Zaraz wracam.

Carmichael odprowadził go do szklanych drzwi.

- W głowie się nie mieści, że ona nie żyje - odezwał się cicho.

- Zgadzasz się z panem - odparł Spencer.

- Pana zdaniem to był wypadek? - zapytał urzędnik, wstrzymując głośno oddech, jakby przygotowywał się na słowa zupełnie niepasujące do tego cichego małego miasteczka w Nowej Anglii. Tutaj obywatele płacą pięciodolarowe mandaty za niewłaściwe parkowanie, spacerują po parku i raz w miesiącu jedzą niedzielny obiad w Hanover Inn, czy ich na to stać, czy nie. Tutaj ludzi się nie morduje.

Mijając ponurego strażnika, Spencer nachylił się ku Carmichaelowi i oświadczył:

- Nie, moim zdaniem to nie był wypadek.

Na twarzy szefa oddziału pojawił się wyraz bólu.

- O co chodzi? - zapytał Spencer.

Urzędnik, nie patrząc mu w oczy, powiedział:

- Proszę wrócić z nakazem, przejrzeć jej rzeczy, a potem z panem porozmawiam. Niech pan uzyska też nakaz zablokowania jej kont.

Spencer przypomniał sobie trzy banknoty jednodolarowe w portfelu Kristiny.

- Ma jakieś fundusze na koncie?

Carmichael spojrzał na niego znacząco.

- Porozmawiamy, kiedy pan wróci.

O'Malley uzyskał nakazy w rekordowym nawet dla siebie czasie: w ciągu dwunastu minut. Konta Kristiny zostały zamrożone do czasu zakończenia postępowania spadkowego. Spencer pośpiesznie ruszył do banku, zastanawiając się, co też Carmichael ma mu do powiedzenia. Co on wie?

Wszyscy pracownicy poszli już do domu, do budynku wpuścił go sam szef. Poszli na zaplecze do skarbcza. Carmichael z imponującego pęku wyłuskał właściwy klucz i wspólnie otworzyli skrytkę Kristiny.

- Chciałbym zająć się tym sam - oznajmił detektyw, aczkolwiek zdawał sobie sprawę, jak to zabrzmiało. Dobrze, że nie zamierzał ukrywać in formacji.

Jak wielką władzę dysponuje oficer policji, który ma prawo w pojedynkę oglądać zawartość skrytki bankowej zmarłej kobiety. A jednak... pułapki tej puszkii Pandory - skrzynki, którą trzymał w rękach - mogły być zbyt poważne, by je zlekceważyć.

Carmichael zaprowadził go do niewielkiego pomieszczenia, po czym zamknął za sobą drzwi.

Spencer uniósł metalową pokrywkę. Serce waliło mu w piersiach.

Ku jego zaskoczeniu sejf nie zawierał rzeczy, z których Kristina opróżniła pokój z intensywnością i dokładnością pożaru. Spencer spodziewał się, że paragon za czarne buty będzie spoczywał na stosie zrealizowanych czeków i miesięcznych wyciągów z konta. Przypuszczał też, że sąsiadować z nim będą znaczone śladami łez listy miłosne.

Na pierwszy rzut oka zawartość skrytki niemal go rozczarowała. Znalazł zdjęcie - nareszcie! Uśmiechnięta dziewczynka o krótkich włosach trzymała w obu dłoniach sznurek latawca. Zrobiono je nad jakąś wodą, która wyglądała jak cieśnina Long Island. Było jeszcze starsze zdjęcie bardzo pięknej młodej kobiety z kilkuletnią dziewczynką w objęciach. Zdjęcia z polaroidu przedstawiały nastolatki z niemowlętami. Spencer przypuszczał, że to podopieczne z Domu pod Czerwonymi Liśćmi. Doliczył się kilkunastu. W wolnej chwili raz jeszcze dokładnie je przejrzy.

Teraz wszakże chodziło mu o coś bardziej szczególnego. Znalazł długopis z miejsca zwanego Ośrodek Wypoczynkowy Fahrenbrae i pudełko zapalek z takim samym napisem.

O tym ośrodku czytał kiedyś w wydanym przez Chamber of Commerce „Przewodniku po Hanover”. Trzy domki, pięknie umeblowane, oddalone od Dartmouth niespełna dwadzieścia kilometrów i położone na wzgórzach Vermontu, cena za noc dwieście piętnaście dolarów. Zapamiętał to wszystko, ponieważ miejsce go zaintrygowało. Planował, że kiedyś tam pojedzie.

W skrytce było mnóstwo pamiątek ze Szkocji. Pudełka zapalek, zapalniczki, serwetki, brudne podstawki z plamami po piwie, podarte serwetki z napisami po gaelicku, których Spencer nie rozumiał. Mydło z pokoju w Mull of Kintyre. Kółka z folii, czerwone i białe wstążki, lakier do paznokci z etykietką także po gaelicku. Pojedynczo przedmioty te nie miały znaczenia, razem jednak wiązały się z okresem w życiu Kristiny, który musiał być dla niej niezwykle ważny.

Sądząc po tych drobiazgach, Szkocja była ważniejsza niż cokolwiek innego. Nie było tu zapalek z Brooklynu ani podartych serwetek z Dartmouth College, były za to pamiątki ze Szkocji.

Ze Szkocji i Fahrenbrae.

Poza tym kilkanaście listów od babki, noszących daty sprzed paru lat, na starej pergaminowej papeterii z ozdobnymi inicjałami LM w lewym rogu. Spencer jeden przeczytał.

Kochana Krissy, tak mi Ciebie brakuje, Słoneczko, i bardzo bym pragnęła, żebyś częściej mnie odwiedzała. Wiem, że wiele czasu zajmują Ci szkoła i praca, Twoja praca jest bardzo ważna,

zdaję sobie sprawę, że nie możesz spędzić u mnie wakacji, ale żałuję, że tak rzadko się widzimy. Gdybyś znalazła chwilkę, przyjeźdź, zawsze będę cieszyła się na Twój widok; piszę to ze szczerego serca, Kochanie. Nadal jesteś moją wnuczką i z całej duszy wierzę, że to nie była Twoja wina. Tak więc nie musisz obawiać się mnie, która tak bardzo Cię kocham. Przyjeżdżaj, kiedy tylko możesz, Kochanie, a ja zrobię, co w mojej mocy, żeby Ci pomóc.

I drugi list, na różowym papierze, z kwiecistym monogramem KMS.

Kristino,

Dlaczego odsyłasz moje listy? Dlaczego nie chcesz ze mną porozmawiać? Co takiego zrobiłam, że tak się na mnie gniewasz? To ja powinnam być zła na Ciebie, wściekła, a mimo to się staram, ale Ty odwracasz się do mnie plecami. Proszę, Kochanie, bardzo proszę. Twój ojciec nie myślał tak naprawdę, kiedy udał się do prawników, był po prostu okropnie rozgniewany, ale to minie, sama się przekonasz. Wybacz mu ten list. Wiem, że nie myśli tego wszystkiego, co w nim napisał. Bardzo za Tobą tęskni. I ja także. Ja także, Kristino. Obojgu nam Ciebie brakuje.

Pod listem widniał podpis: *Mama.*

„KMS?” - zastanawiał się Spencer. „S?”

Pospieszenie sprawdził, czy jest list od ojca, lecz nie mógł go znaleźć.

I co jeszcze?

Szara koperta, która zawierała złożony list i siedmiostronicowy dokument. Ten list przeraził Spencera - jego, który tak wiele sobotnich nocy spędził na autostradach Long Island. Który tyle razy widywał zarąbane siekierą ofiary. Zarąbane z premedytacją, po starannych przemyśleniach. Który dorastał w jedenastoosobowej rodzinie, pośród sześciu zadziornych braci.

Wszyscy oni znaleźli sobie żony, niektórzy więcej niż raz. On znalazł sobie tylko jedną, ale i tak przeżył swoje. A mimo to, siedząc teraz w pustym pokoju, bał się otworzyć złożoną kartkę papieru. Zamiast tego wziął do ręki gruby dokument.

Pozew do sądu okręgowego w Brooklynie w Nowym Jorku z dnia 10 listopada 1993 roku skierowany przez powódkę Kristinę Kim, aktualny adres: skrzynka pocztowa numer 2500, akademik Hinmana, Dartmouth College, Hanover w stanie New Hampshire, przeciwko Howardowi Kimowi...

To było to. Howard Kim. Była mężatką.

Zamężna.

Zamężna. Pochowana. Cóż, jeszcze niepochowana. Lecz Spencer powinien był się domyślić. Kim to nie było jej panięskie nazwisko. Od razu wydało mu się dziwnie... niezachodnie. Malajskie? Wietnamskie? Koreańskie? Coś w tym rodzaju. Szybko przerzucił do końca, by sprawdzić jej nazwisko panięskie.

Katherine Morgan Sinclair. John Henry Sinclair. Teraz to miało sens. Kristina Morgan Sinclair - przeczytał na pozwie.

Howard Kim. Przynajmniej Spencer zdobył nazwisko, więcej nawet, także i adres. Adres różnił się od tego, który podała Kristina w podaniu o przyjęcie do college'u, zapewne Howard musiał się przeprowadzić. Spencer przebiegł wzrokiem dokument. Porzucenie... trzy lata separacji niepotwierdzonej sędownie... żadnych alimentów, żadnych dzieci.

Pozew o rozwód sporządzono we wrześniu 1993 roku, na dwa miesiące przed śmiercią Kristiny.

Może Howard Kim ją zabił, bo nie chciał się rozwieść.

Aż trudno uwierzyć - była zamężna. Detektyw sprawdził daty. Howard i Kristina pobrali się 28 listopada 1988 roku. Miała wtedy szesnaście lat! Wciąż chodziła do liceum. Potrzebowała chyba zgody rodziców na ten ślub? A nawet gdyby nie, to z jakiego powodu szesnastolatka miałaby wychodzić za mąż? Boże, tyle pytań, a żadnych odpowiedzi.

Na razie, pomyślał Spencer.

Przede wszystkim trzeba porozmawiać z Howardem.

O'Malley ciekaw był, czy drodzy przyjaciele Kristiny orientują się, że była mężatką. Czy Jim Shaw, planując uczynić z Kristiny żonę, która pomoże mu w karierze politycznej, miał pojęcie, że jego wybranka w wieku szesnastu lat poślubiła innego?.

Spencer wstał, zaraz jednak usiadł. Była jeszcze ta złożona na troje kartka.

Trzymał papier w dłoniach, patrząc na niego tak, jak patrzył na wystające ze śniegu czarne buty. Podejrzewał, że jak tylko zapozna się z treścią dokumentu, wszelkie przypuszczenie, że śmierć Kristiny to wypadek, stracą sens. A wbrew sobie Spencer dalej jeszcze żywił idiotyczną nadzieję, że jej śmierć nastąpiła w wyniku równie nieszczęśliwego zbiegu okoliczności jak śmierć od pioruna.

Rozłożył kartkę. Zobaczył datę, podpis Kristiny, urzędową pieczęć i podpis Carmichaela powyżej. Kilka razy odczytał pięć linijek tekstu.

Ja, Kristina Morgan Kim, postanawiam, by moje fundusze na kontach bieżącym i

oszczędnościowym w New Hampshire Savings Bank podzielono w równych częściach pomiędzy troje moich przyjaciół, Jamesa Allbrighta Shawa, Constance Tobias i Alberta Maplethorpe'a. Opiekę nad Arystotelesem powierzam Jimowi. Zawartość skrytki bankowej zostawiam Albertowi. Dom mojej babki nad jeziorem Winnepesaukee zostawiam Howardowi Kimowi.

Odkładając dokumenty do skrytki, Spencer myślał wyłącznie o trzech banknotach jednodolarowych w portfelu, który znalazł w rozbitym mustangu nad zalewem tej nocy, gdy Kristina omal nie straciła życia.

Carmichael czekał przed drzwiami. Detektyw miał do niego tylko jedno pytanie, nic poza tym nie było ważne.

- Ile? - zapytał, aczkolwiek wcale nie chciał wiedzieć.

- Dziewięć milionów trzysta czterdzieści tysięcy dolarów - poinformował go dyrektor banku.

Spencer kiwnął głową, usta miał jak odrętwiałe. Dziewięć milionów trzysta czterdzieści tysięcy dolarów. To jest motyw, na tyle istotny, by organy śledcze podjęły działanie. Ale...

- Panie Carmichael, pan poświadczał oficjalnie ten dokument, prawda?

- Tak, w zeszły wtorek.

Dzień, w którym umarła. Dzień po tym, gdy o włos uniknęła śmierci.

- Od jak dawna te pieniądze znajdują się na jej koncie?

- Od zeszłego poniedziałku.

Detektyw chwilę się zastanawiał.

- Co by się stało z pieniędzmi, gdyby umarła, nie zostawiwszy tego listu?

- To, co zwykle - wyjaśnił urzędnik. - Odziedziczyłby je najbliższy żyjący krewny.

Spencer wstrzymał oddech.

- Czyli...

- Mąż oczywiście. Albo dziecko. Szczerze powiem, że niezbyt dobrze znam linię sukcesji.

Myślę, że skarb państwa jest trzeci w kolejce - powiedział O'Malley. Carmichael patrzył na niego w milczeniu.

- Mąż... albo dziecko - powtórzył Spencer. - A były mąż?

- Nie sądzę. - Brwi Carmichaela się ściągnęły. - Ale czy nie jest to teraz problem czysto akademicki?

- Tak, tak, chyba tak.

Czy jednak skarb państwa orientował się, że poświadczony notarialnie list nadał owej kwestii taki charakter? Nie było męża i nie ma dziecka. Kto może być trzeci?

Detektyw opuścił bank z torbą wypełnioną rzeczami Kristiny pod pachą.

Wiedział, co ją skłoniło do napisania tego krótkiego testamentu. W tym samym dniu otrzymała w spadku dziewięć milionów i jednocześnie o mało nie zginęła w wypadku samochodowym. Nikt poza nią i Carmichaelem nie zdawał sobie sprawy, że testament istnieje, tego Spencer był pewny. A bez testamentu komu przypadłyby pieniądze Kristiny Sinclair?

Wsiadłszy do samochodu, zadzwonił do dyspozytora, który skierował go do szpitala. Lekarz sądowy już tam był i czekał na pozwolenie przeprowadzenia sekcji zwłok.

- Czyje pozwolenie? - zapytał detektyw.

- Jej krewnych - wyjaśnił doktor nazwiskiem Earl Innis. Był to niewysoki, łysiejący, krępy mężczyzna, któremu ciągle brakowało tchu.

- Jej krewnych - powtórzył Spencer. - Rozumiem. No cóż, jej ojciec nie żyje, matka przebywa Bóg wie gdzie, nie miała żadnego rodzeństwa. Co prawda jest były mąż. Mam się z nim skontaktować?

- Tak - odrzekł Innis.

Spencer pokiwał głową. Panie Kim, nie mam pojęcia, co pan czuje do swej od niedawna byłej żony, którą poślubił pan, gdy miała szesnaście lat, a która zmarła w wieku dwudziestu jeden lat, ale szybko się dowiem.

Ze szpitala zadzwonił do centrali w Nowym Jorku i podał nowy adres Howarda. Połączono go, lecz odpowiedziała sekretarka automatyczna. Spencer spojrzął na zegarek: dwadzieścia po szóstej. Pan Kim pewnie wraca właśnie z pracy.

- Mówi detektyw O'Malley z Hanover w stanie New Hampshire. Dzwonię w sprawie...

Szczęknęła podnoszona słuchawka.

- Tak, słucham - odezwał się głos w noszącej ślad obcego akcentu poprawnej angielszczyźnie.

- Pan Kim?

- To ja.

- Witam pana. To dotyczy Kristiny Kim, pańskiej byłej...

- Tak? Czy wszystko w porządku?

- Nie, proszę pana, obawiam się, że zdarzyło się coś strasznego - powiedział Spencer.

- Czy ona nie żyje?

- Przykro mi, nie żyje. Czy mógłby pan do nas przyjechać?

- Będę na miejscu o wpół do jedenastej - odrzekł Howard Kim słabym głosem. - Wyjeżdżam natychmiast.

- Proszę przyjechać do Dartmouth-Hitchcock Medical Center i zapytać w recepcji o detektywa O'Malleya albo doktora Innisa.

Howard odłożył słuchawkę.

O'Malley miał przed sobą cztery godziny oczekiwania. Zapadał już zmrok, a to zwykle oznaczało koniec dnia.

Koniec dnia oznaczał drinka. Dzisiaj wszakże dzień Spencera jeszcze się nie skończył, pojechał więc do EBA, gdzie zjadł chili i kanapkę z indykiem. Potem, ponieważ jeszcze miał czas, zamówił pieczeń z tłuczonymi ziemniakami. I jeszcze dwie porcje puddingu ryżowego. A na koniec, pewny, że całe to jedzenie, które miał w żołądku, bez problemu wchłonie alkohol, poszedł za róg do Murphy'ego i wypił dwa podwójne southern comfort z lodem. To był mocny alkohol. Jak ona mogła to pić?

O'Malley znowu spojrzął na zegarek. Wpół do ósmej. Lekarz sądowy z Concord czekał, by przeprowadzić sekcję. Spencer czekał na Howarda Kima. Ed Landers wrócił już do Concord i pracował w swoim laboratorium. Will dawno temu poszedł do domu.

Detektyw minął małe choinki bożonarodzeniowe na skwerze i Bibliotekę Bakera. Skręcił w lewo na Tuck Mall i poszedł do akademika Hinmana. Był piątkowy wieczór, na ten wieczór umówił się z Kristiną na pierwszą randkę. Zamiast tego jednak czekał na zgodę jej byłego męża na sekcję i sprawdzenie, czy wnętrzności zmarłej zawierają jakiś ślad związany z dziewięcioma milionami dolarów, które zostawiła trójce najlepszych przyjaciół.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

SPADEK

Spencer zadzwonił do Willa Bakera i poprosił go, by wrócił na komendę. - Wezwałem tę trójkę na przesłuchanie. Chcę pobawić się z nimi w zgaduj-zgadulę, wykorzystując zawartość skrytki bankowej Kristiny. Przyjedź, Will, tylko na godzinę.

- Naprawdę na godzinę, O'Malley? Powiedz lepiej od razu, na jak długo.

- Do rana. Dzisiaj zostanie przeprowadzona sekcja zwłok. Fell skończył służbę kilka godzin temu; był już późny piątkowy wieczór, a nadal nie zgłosił się nikt z biura prokuratora okręgowego w Concord. Wyjaśnij mi to, Will.

- Nie potrafię tego wyjaśnić.

Spencer zadzwonił do Fella do domu.

- Raymond - powiedział spokojnie do słuchawki - rozglądam się po komendzie i wiesz, kogo nigdzie nie widzę?

- Nie, sierżancie, a kogo?

- Nie widzę naszych przyjaciół z Concord, Ray. Wiesz może, dlaczego ich tu nie ma?

W słuchawce zapadła cisza. Spencer wzniósł oczy do nieba i głośno zaklął. Will położył mu dłoń na ramieniu.

- Ray?

Milczenie.

- Ray!

Will wyjął mu z dłoni słuchawkę. Po pięciu minutach słuchania i kiwania głową zakończył rozmowę, po czym oznajmił:

- Nie ma ich tutaj.

- No nie, naprawdę? Nie wierzę.

- To prawda. Nie przyjadą.

- Nie przyjadą, a to dopiero interesujące. Czyżby uznali nasze sprawy za niegodne uwagi? Czy Ray do nich dzwonił?

- Nie do nich osobiście - odpowiedział Will, próbując ze wszystkich sił umniejszyć winę

kolegi.

Spencer otworzył szeroko oczy.

- Zapomniał zadzwonić?

- Nie zapomniał.

- Will, posłuchaj, dzisiaj mamy naprawdę ciężki dzień, a to nie jest przyjęcie. Nie mam ochoty bawić się w szarady. Co właściwie zrobił Fell?

- Zadzwonił, ale było już po szóstej i nikogo nie zastał.

- Co to znaczy, nikogo?

- Nie pamiętasz, co było w zeszłym tygodniu?

- Aż za dobrze.

- Wszystkim, którzy wtedy pracowali, obiecano wolne w tym tygodniu.

- Tak, poza mną. Czemu jednak zadzwonił dopiero po szóstej?

- Był zajęty. Mówi, że robił inne rzeczy.

- Czyli co?! - krzyknął Spencer. - Nie było nic innego do roboty!

- Tracy - odrzekł Baker spokojnie. - Czemu tak się unosisz? Mamy przypadek zabójstwa i do poniedziałku nikt nie będzie się do nas wtrącał.

Spencer się uspokoił. Kolega miał rację, to wcale nie było takie złe.

- Słusznie, Will, nikt nie będzie się do nas wtrącał.

- Do ciebie, partnerze, ja w ten weekend mam rodzinne zobowiązania.

O'Malley zastanowił się nad jego słowami.

- To niedobrze, Will. Powinieneś zobaczyć, co znalazłem.

- W jej pokoju?

- Och nie. Sam wiesz, że tam nic nie było... Zupełnie inna sprawa ze skrytką bankową.

Will spojrział z zainteresowaniem. Zwykle nie ekscytował się dowodami, teraz jednak dokumenty rozwodowe oraz testament wyraźnie go poruszyły. Nie stracił wszakże swej przezorności.

- Ale koroner nie ustalił jeszcze przyczyny śmierci, prawda? Niewykluczone, że straciła przytomność i zamarzła.

Rozmawiali przyciszonymi głosami. Drzwi do pokoju przesłuchań były otwarte, ze swego miejsca policjanci widzieli plecy Conni i Jima.

- To możliwe, naturalnie. Ale intuicja podpowiada mi coś innego. Ona nie przewróciła się na

śnieg i nie umarła, leżąc wyprostowana na plecach z rękami rozpostartymi i zamkniętymi chyba przez opatrność oczyma.

- O'Malley, twoja intuicja czasem się myli. Pamiętasz Hammondów?

Spencer pamiętał. Kiedy obaj jeździli jeszcze na patrole, często musieli zgarniać cichego, drobnego pana Hammonda, ponieważ jego żona z wrzaskiem dzwoniła na policję. W każdą sobotę była nieźle posiniaczona, on zresztą też. Gdy się pojawiali, krzyczała na nich, żeby go wzięli, zatrzymali na noc w areszcie, a rano ona formalnie go oskarży. Mężczyzna nigdy nie powiedział słowa przeciwko żonie, nigdy też nie wyjaśnił, dlaczego ją bije. W ogóle rzadko cokolwiek mówił.

W pewną sobotę Spencer i Will znaleźli się obok ich domu na chwilę przed porą, kiedy pani Hammond zwykle dzwoniła na policję, i na własne oczy ujrzeli, jak oszalała i wyraźnie pijana kobieta aluminiową patelnią wali co sił w rękach kulącego się męża, a później tą samą patelnią wymierza sobie kilka ciosów w twarz i potykając się, rusza w stronę telefonu. Zadzwonili do drzwi. Pani Hammond nadal trzymała w dłoniach patelnię. Była zaskoczona, że zjawili się tak szybko i nie mogła pojąć, dlaczego tym razem to ją zabierają.

Aż do owej soboty Spencer z przekonaniem twierdził, że Hammond idealnie odpowiada charakterystyce dręczącego żonę męża.

- Dobra, dobra - zgodził się teraz. - Hammondowie to była moja wpadka. Ale kto to mógł przewidzieć?

- Nikt. Mówię tylko, że trzeba mieć otwarty umysł, O'Malley. Sprawy przybrały teraz określony obrót, ale my nic nie wiemy, a ci smarkacze równie dobrze mogą być całkowicie niewinni.

- Nie będziesz tak mówił, kiedy to przeczytasz. - Spencer wskazał szarą kopertę.

- Nie mogę się doczekać - oznajmił Will.

W pięcioro siedzieli w pokoju przesłuchań, Conni między Albertem i Jimem, po drugiej stronie detektywi, chłodni i zdystansowani. W pustym pomieszczeniu nie było nic, na czym można by zawiesić wzrok, pozostawali tylko ludzie.

- Przekonałem się - zaczął Spencer - że jest kilka spraw, o których wczoraj żadne z was nie wspomniało, choć długo rozmawialiśmy. Jakiś komentarz?

Jednakże żadne z tej trójki nie miało ochoty nic powiedzieć. Czekali - Albert obojętny, Jim ponury, Conni czujna - i milczeli.

Spencer podał im papiery rozwodowe oraz testament Kristiny, po czym obserwował całą trójkę, gdy czytali dokumenty, poprawiając się na krzesłach, zachowując spokój lub rzucając mu spojrzenie pełne zdziwienia.

- Kristina była zamężna? - zapytała bez tchu Conni.
- Kristina miała dziewięć milionów dolarów? - wykrzyknął Albert.
- Zawsze mi się wydawało, że Kim to dziwne nazwisko - odezwał się Jim. - Jak brzmiało jej

prawdziwe?

- Sinclair - wyjaśnił Spencer. - Kristina Morgan Sinclair.
- Mieszkałyśmy w jednym pokoju przez dwa lata i ani słowem nie wspomniała, że ma męża.

Jim, wiedziałeś o tym?

Pokręcił głową, Albert także.

- Dziewięć milionów dolarów - powiedział Jim.
- Dziewięć milionów dolarów - powtórzył Maplethorpe.
- Skąd ona miała tyle pieniędzy? - zapytała Conni. - Zawsze była splukana.
- Była splukana - zgodził się Spencer. - Odziedziczyła je po babce. Dostała tę sumę w

poniedziałek, we wtorek napisała testament, a w nocy z wtorku na środę umarła. I zostawiła wszystko wam trojgu.

Conni odłożyła testament.

- To niepojęte. Nic nie wiedziałam o pieniądzach.
- Nikt z nas nie wiedział - dodał Albert.

Jim zachował spokój.

- To bez znaczenia. Możemy przecież mówić, co nam się podoba, no nie? Rzecz w tym, że zapisała nam pieniądze i wkrótce potem umarła. Wygląda na to, że została zamordowana. - Stłumił głośny, bolesny jęk, zamieniając go w niskie gulgotanie. - Ale to mógł być wypadek. Wyszła na mróz pijana, mogła stracić przytomność i zamarznąć.

Spencer kiwnął głową.

- Mogło tak być, to prawda. Ale coś mi mówi, że nie było. Nazwijcie to moją intuicją.
- Niewykluczone, że ma pan rację - zgodził się Jim. - Bała się ciemności.

Teraz przyszła kolej na Willa.

- Dlaczego Kristina nie wróciła drogą, którą przyszła? To właśnie chciałbym wiedzieć.

Spencer trącił go pod stołem i potrząsnął głową. Nie chciał, by Baker wspominał o tym, że

Frankie widział Kristinę na moście, jeszcze nie w tej chwili.

- Może się przeraziła i zaczęła krzyczeć - odezwała się Conni, chichocząc nerwowo. - Ja na pewno bym zaczęła.

Will zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie sądzę. Krzyki musiałyby towarzyszyć walce, a walki nie było.

- I tak nie bardzo mogłaby się bronić, nawet gdyby chciała - wtrącił Jim; usta miał napięte, oczy mu błyszczały. - Doznała przecież poważnych obrażeń podczas wypadku.

- Może... - zaczęła Conni, lecz Spencer jej przerwał.

- Posłuchajcie, to wspaniale, że chcecie się bawić w detektywów amatorów, ale wróćmy lepiej do pieniędzy?

- Nie ma do czego wracać - oświadczył Albert.

- Tak - dodał Jim. - Nie mieliśmy o tym pojęcia.

- Na pewno?

- Miała pieniądze w banku, i co z tego? - zapytała Conni, powstrzymując się od przygryzania dolnej wargi.

- Sierżant O'Malley próbuje powiedzieć - wtrącił Will - że to niepokojące, gdy ktoś, kto zapisuje w testamencie fortunę trojgu przyjaciółom, umiera niecałe dwanaście godzin później.

- Dlaczego to takie dziwne? - zapytał Jim. - Nie wiedzieliśmy o tych pieniądzach, nie ma to więc znaczenia.

Dzisiaj Jim patrzył Spencerowi prosto w oczy. Nie był zmieszany, nie mrugał. Może istotnie nie miał pojęcia o pieniądzach, pomyślał detektyw. Albert patrzy na mnie w taki sam sposób, a Conni, choć zdenerwowana, nie wydaje się zaniepokojona kwestią pieniędzy, jak gdyby powodem jej zachowania była kompletnie inna sprawa. Może faktycznie żadne nie miało pojęcia o testamencie Kristiny. Jakie to dziwne. Czy taka fortuna rzeczywiście mogła nie mieć żadnego związku ze śmiercią jej właścicielki? Nie wierzył w to. Przyjrzał im się uważniej; miał nadzieję, że zirytuje ich swym uważnym wzrokiem. Nie drgnęli nawet.

- Zdaję sobie sprawę - odezwał się Jim - jak źle to dla nas wygląda, ale mówię panu, że testament Kristiny i jej śmierć to zbieg okoliczności.

- Zbieg okoliczności, tak? No to powiedzcie mi, kto dostałby jej pieniądze, gdyby nie zostawiła testamentu? - zapytał Spencer, śledząc reakcję trójki obdarowanych.

Conni wydawała się bardziej odprężona niż dzień wcześniej, nie potrafiła jednak powstrzymać

się od nerwowych gestów. Albert był taki sam - opanowany i spokojny. Jim wydawał się spięty, ale nie zdenerwowany.

- Skąd mamy wiedzieć? - zapytała dziewczyna. - Może były mąż?

Detektyw wstał.

- Nie, rozwiodła się z nim, więc nic mu się nie należy. Jakiś członek rodziny?

Albert, Conni i Jim wymienili pytające spojrzenia.

- Chyba mi mówiła, że ojciec nie żyje - odezwała się niepewnie dziewczyna.

- I była jedynaczką - dodał Jim.

- Kristina wspominała, że jej matka jest nerwowo chora czy coś w tym rodzaju. - Albert zniżył głos. - Powiedziała, że matka bierze mnóstwo leków, żeby się uspokoić i przestać krzyczeć.

- Tak ci wspomniała? - Conni odwróciła się ku Albertowi. Spojrzała na niego pierwszy raz, odkąd usiedli przy stole.

- Dlaczego jej matka krzyczała? - przerwał Spencer. Nie zamierzał dopuścić do okazywania zazdrości przy stole przesłuchań.

- Tego nie wiem - odrzekł Albert.

- Jeśli matka żyje, to ona miałaby prawo do pieniędzy Kristiny - oświadczył detektyw.

- Chyba tak - potwierdził bez przekonania Albert. Był blady, a jego ciemne oczy wydawały się ciemniejsze niż zwykle.

Ich zachowanie zaniepokoiło Spencera. Najpierw zupełnie naturalnie okazali zdziwienie, później troskę i chęć pomocy. Jaką informację o Kristinie zataili? Wysilił pamięć, by przypomnieć sobie pierwszą rozmowę z Jimem. Ach tak, znalazł ją i uciekł. A Conni nie ma świadka, który mógłby potwierdzić, co robiła przez pół godziny, gdy nie było jej w pokoju. Albert przyszedł do Kristiny po północy, żeby się pożegnać.

- Nie rozumiem - odezwała się Conni - dlaczego Krissy zostawiła nam pieniądze? My ich nie chcemy. Ona o tym wiedziała.

- Naprawdę? - zapytał O'Malley. - Wiedziała o tym?

- Oczywiście, że tak - potwierdził z irytacją Jim.

Był odważniejszy, mając obok siebie przyjaciół, aczkolwiek Spencer zauważył, że ta trójka niewiele już miała dla siebie ciepłych uczuć. Pomiedzy nimi znajdowała się zimna, niezgłębiona istota, odpychająca jedno od drugiego długimi zakrzywionymi palcami.

- No cóż - odezwał się detektyw - byliście dla niej czymś w rodzaju rodziny, innej nie miała. Dziewięć milionów dolarów. Na każde z was przypadnie spora suma.

Nie odpowiedzieli, on zaś miał dziwne wrażenie, że myślą o czymś innym niż pieniądze. Albert był blady, oczy mu błyszczały, Conni przygryzała wargę, Jim zuchwale patrzył prosto w oczy policjantów, jakby chciał powiedzieć: „Odpieprzcie się, do diabła z wami. Nie zrobiłem nic złego, a moje życie już leży w gruzach. Nie obchodzi mnie, co myślicie albo co ze mną zrobicie”. Ale nie musiał nic mówić, wystarczyło to wyzywające spojrzenie.

Po kilku minutach milczenie przerwał Albert:

- Czego pan od nas oczekuje, detektywie O'Malley?

- Żebyście mi powiedzieli, coście robili pomiędzy dwunastą a drugą w nocy w środę 24 listopada, tylko tyle.

Conni poprawiła się na siedzeniu, Jim uniósł wzrok do sufitu, Albert patrzył wprost na Spencera.

- Co pan chce wiedzieć?

- Cóż, powtórzę to, co wiem. Jim utrzymuje, że był w swoim pokoju całą noc, ale od jedenastej nikt go nie widział, a kiedy Conni dzwoniła do niego po pierwszej, nie odebrał. Albert mówi, że oglądał film w świetlicy, kiedy jednak Conni go szukała, nie było go tam. Tim przespał połowę filmu i niczego nie jest pewny. A Conni przyznała, że wyszła szukać Alberta na terenie kampusu, choć szalała zamieć; pozostawała na zewnątrz około czterdziestu minut. Co to wszystko znaczy...?

W drzwiach pojawiła się głowa Kyle'a.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale szef natychmiast chce widzieć was obu.

- Powiedz mu, że jesteśmy w środku...

- Szef mówi, że natychmiast - odparł Kyle.

O'Malley zerwał się na nogi.

- Zaraz wracamy - oznajmił.

- Możemy już iść? - zapytał Jim.

- Nie, wracamy za minutę.

Detektywi wyszli, zostawiając Alberta, Conni i Jima samych. Kyle czekał na korytarzu.

- Jak mi poszło? - zapytał.

- Świetnie - pochwalił go Spencer. Tylko porę wybrał niezbyt odpowiednią.

Will poszedł do łazienki, chciał też zadzwonić do żony, sierżant zaś udał się do małego ciemnego pomieszczenia sąsiadującego z pokojem przesłuchań, włączył monitor, usiadł przed weneckim lustrem i słuchał.

Na początku mówili niewiele. Jim powtarzał, że policja nie ma prawa ich przetrzymywać i że mogą wyjść, kiedy im się spodoba, dopóki nie zostaną postawione im konkretne zarzuty.

- A chcesz zostać oskarżony? - zapytał Albert.

- Co ty gadasz? Jasne, że nie.

- Więc się zamknij.

Jim obrzucił kolegę wrogim spojrzeniem.

- To straszne, że zostawiła nam pieniądze - odezwała się Conni. - Naprawdę okropne.

- Tak - powiedział Albert. - Jak mogła to zrobić?

- Straszne jest to, że ona nie żyje - wtrącił Jim. - To jest najgorsze.

Tak, potwierdzili tamci dwoje, wpatrując się w dłonie.

- I co teraz zrobimy? - Conni z nadzieją spojrzała na Alberta, jak gdyby znał wszystkie odpowiedzi.

- Nie wiem, co wy zrobicie, za to wiem, co ja zrobię.

Do tej pory wszyscy troje siedzieli naprzeciw lustra, teraz jednak Albert wstał, chwilę w roztargnieniu krążył po pokoju, po czym usiadł plecami do lustra, zwrócony przodem do Jima i Conni. Spencer nie widział ani jego twarzy, ani twarzy Conni, wstał więc i zrobił kilka kroków w lewo, by móc obserwować ich pod kątem.

- Ona nie żyje. Nie chcę jej pieniędzy - oświadczył Albert.

- Naprawdę? - zapytała Conni.

- Naprawdę - odrzekł z przekonaniem. - Była moją przyjaciółką, jej śmierć sama w sobie jest dostatecznie ciężkim przeżyciem, żeby jeszcze powiększać je czerpaniem z tej sytuacji korzyści materialnych - dodał cicho, a Spencer nie umiał rozstrzygnąć, czy tamten mówi szczerze, czy też z ironią. - Nie chcę jej pieniędzy.

- Nigdy ci specjalnie na pieniądzach nie zależało, prawda? - zauważyła Conni.

- Nigdy. Znasz moje poglądy. Im mniej mam, tym lepiej się czuję. Jestem pewny, że pieniądze w większych ilościach są szkodliwe.

- Ale co zamierzasz zrobić? Ona chciała, żebyś je miał!

- Nie - zaprzeczył Albert, a detektyw znowu pożałował, że nie widzi jego twarzy. - Nie

chciała, żebym je miał.

Nastąpiła chwila milczenia. O'Malley obserwował Conni i Jima, którzy z kolei patrzyli na Alberta. Twarz Conni wyrażała czułość, twarz Jima - chłód.

Interesujące, pomyślał Spencer. Jest coś, o czym jeszcze mi nie powiedzieli. Zachowują w tajemnicy swój mały sekret, ale, na Boga, dowiem się, o co chodzi.

Kiedy przebrzmiało echo ostatnich słów, Albert znowu przemówił:

- Zamierzam przekazać moją część na Czerwone Liście.

- Co takiego? - zapytała Conni z niedowierzaniem.

- Tak postanowiłem. Dlaczego jesteś zdziwiona?

- Bo ty, Albercie, nie masz pieniędzy - roześmiała się Conni. - Nigdy nie miałeś ani grosza. To my nie potrzebujemy tego spadku, ale ty... tobie trochę forsy by się przydało.

- Wcale nie - odrzekł z goryczą. - Nie chcę jej pieniędzy. Nie wiedziałbym, co z nimi zrobić, a poza tym sam chcę uczciwie zapracować na własne potrzeby. Sam na siebie zarobię - poprawił się zaraz, przesuując dłonią po kucyku, który z jakiegoś powodu zaczynał już irytować Spencera.

- To miło ze strony Kristiny, że o nas pomyślała - powiedziała Conni.

Czy znowu zacznie płakać? - zastanawiał się Spencer. Kiedy ta wrażliwa, uczuciowa dziewczyna znowu załamie się z powodu śmierci najlepszej przyjaciółki? Jednakże nic w jej twarzy nie świadczyło o żalobie.

- Skąd waszym zdaniem dostała te pieniądze? - zapytał Jim.

- Tak, i dlaczego nie zostawiła nic byłemu mężowi? - dodała Conni.

- Nie mogę uwierzyć, że miała męża. - Jimowi musiała zaświtać jakaś myśl, ponieważ zerwał się na równe nogi, by zaraz na powrót opaść na krzesło. Niepokojnie rozejrzał się po pokoju. Wyglądał na roztrzęsionego i zdenerwowanego.

- O co chodzi, Jimmy? - zapytała Conni.

- O nic, tylko że zapomniałem zapytać tego detektywa o jedną rzecz... Kiedy Kristina rozwiodła się z tym Howardem Kimem - dodał po chwili.

- Och, Jimmy, a czy to teraz ważne? - odparła Conni. - To już przeszłość, ona nie żyje. Co chcesz zrobić, wściekać się na nieboszczyka?

- Dlaczego nie? - wtrącił Albert. - Ty się wściekasz.

Oblała się rumieńcem.

- Wcale się na nią nie wściekam, Albercie. Ona nie żyje. Już nie jestem na nią zła.

- Nie, założę się, że nie - odrzekł cicho, Spencer jednak go usłyszał, tak samo jak Jim; świadczył o tym wyraz jego oczu. Spojrzał gdzieś w bok i powiedział:

- Wróćmy do pieniędzy. Więc chcesz je przekazać Czerwonym Liściom?

- Tak - potwierdził Albert. - Im się przydadzą, a to miejsce było dla Kristiny najważniejsze. Ona z kolei była najważniejsza dla dziewczyn, którymi się opiekowała. W gruncie rzeczy bardziej przywiązywały się do niej niż do swoich dzieci.

- Tak, masz rację. To wiele dla niej znaczyło - odezwała się Conni. - Mnie na pewno jej pieniądze nie są potrzebne. Jak by to wyglądało, gdyby sierota bez grosza przy duszy zrezygnował ze spadku, a ja bym go zatrzymała?

- To by znaczyło, że masz odrobinę zdrowego rozsądku - odparł Albert. - Ja czułbym się źle, gdybym wziął te pieniądze. Ty powinnaś je zatrzymać.

- Nie mam zamiaru - oświadczyła podniesionym głosem - co ty, żartujesz sobie ze mnie?

- Pomyśl o podróży po Europie. Zawsze o niej marzyłaś.

- Albercie, zawsze marzyłam, żeby pojechać tam z tobą - odrzekła Conni bez śladu emocji w głosie.

- Dalej możesz to zrobić, maleńka.

- Słuchaj, wiem jedno: nie chcę podróżować po Europie z tobą za pieniądze Krissy.

- To istotnie zakrawałoby na ironię - skomentował Jim. Miał na sobie czarny sweter, z którego obsesyjnie wręcz zdejmował jasną siąć sierść.

- Wcale nie - zaprzeczył Albert. - Nigdy nie byliśmy w Europie.

Nastąpiła długa, pełna napięcia chwila milczenia. Wreszcie odezwała się Conni, nie patrząc na nikogo:

- Wydaje mi się, że Szkocja jednak leży w Europie.

Szkocja! Spencer przycisnął twarz do lustra, czuł na skórze gładką, zimną taflę. Teraz już wiem. Boże, idiota ze mnie.

Znowu skierował uwagę na ich rozmowę. Albert nad stołem klepał Conni po ramieniu.

- Daj spokój, maleńka, nie myśl już o tym. Ona nie żyje. Daj już spokój.

- A co, dzięki temu jest lepiej czy jak? - warknął Jim.

- Nie lepiej, tylko że to już przeszłość - zaprzeczył Albert ze smutkiem, po czym zwrócił się do dziewczyny: - Byliśmy przyjaciółmi, Constance, przyjaciółmi. Dlaczego twoja wyobraźnia

musi tak szaleć?

Czy Spencer przyłapał go na jawnym kłamstwie? Nie widział listów miłosnych Alberta do Kristiny ani jej do niego. Nigdy nie widział obojga razem, nie poczuł zapachu jego wody kolońskiej na jej ubraniu, nie zauważył, jak ich oddechy mieszają się w listopadowym chłodzie. A jednak miał coś o wiele bardziej wiarygodnego i oczywistego. Pudełka zapalek, zapalniczki i serwetki z kraju, gdzie trawa ma nieprawdopodobnie zieloną barwę, mężczyźni noszą kilty, a kobziarze grają muzykę niemal zbyt smutną dla ludzkich uszu. Na własne oczy zobaczył, co Kristina Kim z domu Sinclair myślała o Edynburgu w Szkocji, i dlatego wiedział z całą pewnością, że ona i Albert nie byli tylko przyjaciółmi.

Kristina kochała Alberta.

A to diametralnie zmieniało sprawę.

Co ona, u diabła, robiła z Jimem? Spencer przycisnął dłonie do lustra. Jeśli Albert i Kristina chcieli być razem i jeśli Jimowi zależało na Conni, dlaczego prowadzili tę idiotyczną grę w miłosne krzesła?

Coraz bardziej bolała go głowa. Dlaczego, dlaczego, dlaczego? Pytania dotyczące żywych domagały się odpowiedzi. Co stało się z tym: „Brak chemii, stary”? A może to tylko ślepa uliczka? Może Albert istotnie nie kłamie, może byli tylko dobrymi przyjaciółmi.

A teraz ten Maplethorpe odmawia przyjęcia jej pieniędzy. Zostawiła spadek jemu, swojemu chłopakowi i swojej najlepszej przyjaciółce; dlaczego więc Albert odmawia? Nie ulegało wątpliwości, że nie chciał forsy. Wkrótce też Spencer usłyszał Jima Shawa:

- Wiesz, Czerwone Liście to znakomity pomysł, Albercie. Dla nich to ogromna suma.

- Tak - odrzekł. - Kristina wspominała, że chcieliby przeprowadzić remont. Na górze jest tylko kilka sypialni, a czasami taki tam tłok, że dziewczyny muszą mieć wspólne pokoje. Mogliby dobudować nowe skrzydło.

- Za dziewięć milionów? - wtrąciła Conni. - Starczy na więcej niż jedno skrzydło.

- Tak, to doskonały pomysł - powtórzył Jim. - Ale czemu Kristina nie pomyślała o tym sama?

- Bardziej zależało jej na nas niż na Czerwonych Liściach - zauważyła. - Macie rację. Powinniśmy im przekazać spadek. Kto prowadzi ten dom?

- Nie pamiętam - rzekł Albert. - Napiszę do nich list, a gdy pieniądze znajdą się na moim koncie, przekażę czek. Będą uszczęśliwieni.

- A ty? - zapytała łagodnie. - Czy ty będziesz szczęśliwy?

Detektyw nie widział jego twarzy, widział za to Conni.

- Jasne. Ona nie żyje. Jeśli zatrzymam pieniądze, nie przywrócę jej tym do życia, prawda?

- A chciałbyś przywrócić ją do życia, Albercie? - ciągnęła i Spencer znowu nie potrafił odczytać wyrazu jej twarzy. Było w nim coś pomiędzy głęboką miłością i rozpaczą.

- Smutno mi, że odeszła - odrzekł Albert. - Tobie też powinno być smutno.

- Nie mów jej, co ma czuć - warknął Jim. - Czy ty masz pojęcie o jej uczuciach? Dla ciebie wszystko jest czarno-białe.

- A co to, do diabła, ma znaczyć? - roześmiał się poirytowany Albert. Po raz pierwszy w jego głosie Spencer usłyszał inny ton niż obojętność. - Przede wszystkim nic nie jest dla mnie czarno-białe, a po drugie uczucia Conni to nie twoja sprawa, okay?

- Wiesz, w przeciwieństwie do ciebie mnie obchodzą jej uczucia - odparł Jim.

Tamten zareagował natychmiast.

- Cóż, obaj bez wątpienia wiemy doskonale, co czujesz do Conni. Okazałeś to bardzo wyraźnie. Przestań tak się zachowywać, dobra? Nie odbiłem ci dziewczyny, wiesz o tym dobrze.

- Owszem - mruknął Jim. - Odbiłeś mi dwie dziewczyny.

- Nie mam pojęcia, o czym ty właściwie gadasz - rzucił Albert.

- „Brak chemii, stary” - sparodiował go Jim. - Pamiętasz, jak mi to powiedziałeś? Kiedy cię pytałem, dlaczego nie układa ci się z Kristiną? Nie zaskoczyło, tak mówiłeś.

- Tak? I co z tego? - odparł Albert niegrzecznie.

- To było cholerne kłamstwo, no nie?

- W czym właściwie problem? - zapytał tamten głośno. - Kristina nie żyje, my tu siedzimy jako podejrzani o jej zamordowanie, zostawiła nam kupę szmalu, a ty rozwodzisz się nad głównianą sprawą sprzed trzech lat. Co się tu dzieje?

Spencer ruszył ku drzwiom. Lada chwila jego obecność przy okrągłym stole okaże się niezbędna.

Wyřęczyła go Conni, sama interweniując:

- Chłopcy - odezwała się cicho - czy możemy skupić się na tej sprawie? - Spojrzała na Alberta. - Zgadzam się z tobą. Przekażemy spadek Czerwonym Liściom.

Kiedy odpowiedziała jej cisza, spojrzała na Jima. Ten ściągnął tylko usta. Conni poklepała go po ramieniu.

- Jimmy, dlaczego jesteś taki zły? Jej już nie ma.

Strząsnął jej dłoń i odparł chrapliwym głosem:

- I co z tego? Czy przez to jest lepiej?
- Tak - odrzekła spokojnie. - A nie?
- O czym ty mówisz, Conni? - Jim wpatrywał się w nią intensywnie.
- Nie mów tak, szczególnie ty nie powinnaś tak mówić.

Conni nie odpowiedziała. Albert milczał.

Spencer był zaskoczony. Minuty mijały, a oni zaczęli rozmawiać o innych sprawach: o byłym mężu Kristiny; dlaczego tak wcześnie zdecydowała się na małżeństwo? Dlaczego nigdy ani słówkiem nie wspomniała Conni o Howardzie, skoro rozmawiały dosłownie o wszystkim? W tym momencie dziewczyna spojrzała na Alberta i dziecinnie zapytała:

- O wszystkim, Albercie?
- Tak myślę - odrzekł krótko.

Później zastanawiali się nad pogrzebem Kristiny, czy zostanie pochowana w Pine Knoll - wówczas będą mogli wziąć udział w uroczystości - czy raczej w Brooklynie? W tym wypadku raczej nie mogliby pojechać, przecież trwa sesja. Cóż, powiedział Jim, on zwolni się z egzaminów, na co pozostała dwójka zareagowała zdziwieniem. Jim? Zwolni się z zajęć?

Żadne jakoś nie wydawało się poruszone faktem, że przed chwilą zrezygnowali z dziewięciu milionów dolarów.

Jednym ruchem dłoni Albert, Conni i Jim bez żalu oddali to, co sierżant uważał za motyw zbrodni.

A to, jak właściwie umarła Kristina, wszyscy świadomie przemilczeli.

Nagle O'Malley przypomniał sobie, jak w zeszłym tygodniu poszli razem na kawę - czy rzeczywiście minął zaledwie tydzień? Co wówczas powiedziała mu Kristina? Była splukana. Jeździła starym mustangiem i kupowała używane podręczniki, bo nie stać jej było na nowe. W kieszeni miała trzy dolary. Czy komukolwiek się zwierzyła, że wkrótce odziedziczy fortunę? A jeśli nie, to dlaczego? Gdyby Spencer spodziewał się dziewięciu milionów dolarów, cholera, gdyby spodziewał się nawet dziewięciuset, wszystkim by o tym powiedział. A już na pewno Willowi. Kristina natomiast nie wspomniała o tym nawet najlepszym przyjacielom. Dlaczego?

Odwrócił się, by wyjść z pokoju, i w progu zobaczył Willa.

- Czego ona się bała, Spencer?

Przez chwilę wydawało mu się, że Baker czyta w jego myślach i mówi o Kristinie, zaraz jednak uświadomił sobie, że kolega pyta o Conni.

- Czy ja mówiłem głośno?

- Nie, głośno myślałeś - odrzekł partner, kładąc mu dłoń na ramieniu. - Stałem za tobą przez cały czas. Bierzesz to wszystko zbyt osobiście, stary. Co w ciebie wstąpiło?

O'Malley przesunął palcami po swych krótkich włosach.

- Nic, stary.

- Odpręż się, rozwiążemy tę sprawę, ty ją rozwiążesz. Wiem, że tak.

- Naprawdę?

Baker skinął głową.

- Tu jest coś jeszcze, coś poza pieniędzmi.

- Zgadza się - potwierdził O'Malley.

- Pomiędzy tą trójką rzekomych przyjaciół czuje się jakieś nienormalne napięcie.

- Właśnie.

- Myślę, że oni faktycznie nie wiedzieli o pieniądzach - ciągnął kolega. - Widziałeś ich twarze? Ja nie spuszczałem z nich wzroku. Albert o mało nie spadł z krzesła, Conni zachowywała się tak, jakby ktoś ją uderzył. Jim

zamknął oczy; od razu zrozumiał, co to dla nich znaczy. Mówię ci, tu nie chodzi o pieniądze.

- Sam nie wiem, Will. Tych pieniędzy jest za dużo, żeby nie o to chodziło.

- Tak, O'Malley, tylko że Albert sam idzie do Kristiny. Ona zapewne jest naga, on przypuszczalnie sznurkuje jej buty. Conni widzi, że Alberta nie ma w jego pokoju, i wariuje. Nic dziwnego, że tak gorączkowo szuka go o pierwszej w nocy po całym kampusie. - Will mówił cicho, teraz jednak jeszcze bardziej zniżył głos. - I dlaczego ta dziewczyna jest taka zaniepokojona? Przez cały czas marszczy brwi.

- Tak, wiem. A gdzie był Jim?

- Spał.

- Dobra, jeśli Jim spał, to gdzie był Albert?

- Sugerujesz, że mógł się wymknąć?

- Nie, nic nie sugeruję, tylko pytam, gdzie była Conni?

Will zaczął go mitygować.

- Tracy, zajęliśmy się poszukiwaniem motywu i zapomnieliśmy o szukaniu mordercy. A jeśli

to jakiś wariat? A jeśli jakiś szaleniec wiedział, że ona lubi chodzić nago po poręczy mostu, więc na nią czekał, a kiedy się pojawiła, zaciągnął ją w krzaki, zgwałcił i zabił, bo darła się jak szalona?

O'Malley gwałtownie potrząsnął głową.

- Will, tak w żadnym razie nie mogło być. Na jej ciele nie ma żadnych śladów przemocy. I na pewno z szaleńcem nie poszłaby w las. Znaleziono ją spory kawał drogi od mostu. Co on zrobił? Czule niósł ją na rękach? Poza tym jaki wariat gwałciłby kobietę na śniegu? I co, przyniósł sobie koc? Przecież sam też musiałby się położyć, a jest mróz. Fiut by mu zamarznął. - Spojrzeli na siebie. Spencer ciągnął: - Wiesz, to nie jest zły pomysł, żeby powiedzieć im, że szukamy wariata. Zyskamy trochę czasu, a ci smarkacze nieco odetchną.

Partner skinął głową.

- Niezły pomysł, mimo to myślę...

- Cicho - przerwał mu Spencer. - Idziemy. Otwierając drzwi, Will dodał:

- Ta trójka mnie martwi. Dzieje się coś dziwnego.

- Tak, ale jeszcze nie poznaliśmy męża - odrzekł Spencer. - On dopiero może okazać się dziwny.

Howard Kim był schludny, doskonale ubrany, poważny i był Azjatą. Spencera to nie zaskoczyło, przypuszczał, że Howard okaże się Azjatą.

Uścisnęli sobie ręce.

- Więc ona nie żyje? Przykro mi to słyszeć, bardzo przykro. Jak umarła?

- Znaleziono ją zamarznąłą w śniegu.

Howard patrzył w podłogę. Stali przy głównej recepcji szpitala.

- Boże, to straszne.

- Tak - powiedział Spencer. - Przykro mi.

- Czy chcecie, żebym ją zidentyfikował?

- Dzięki, już została zidentyfikowana. Potrzebujemy pańskiej zgody na przeprowadzenie sekcji zwłok.

- I to wszystko?

- Nie. - O'Malley spojrzał na Willa. - Później mój partner, Will Baker, zamieni z panem kilka słów.

- Będzie to rozmowa oficjalna?

- Oficjalna?

- No, przesłuchanie.

Spencer zerknął na niego z ukosa.

- Przesłuchanie? - powtórzył głosem, w którym nie było już śladu współczucia czy sympatii. - Sam nie wiem, panie Kim. A jest jakiś powód, dla którego powinniśmy pana przesłuchać?

- Jestem prawnikiem, detektywie O'Malley, więc wiem, jak to się odbywa. Młoda kobieta nie żyje. Wszyscy z jej otoczenia są więc podejrzani.

- Tak, a pan w końcu był jej mężem.

Howard machnął ręką.

- Tak, ale tylko nominalnie.

Później zapytał, czy może na nią spojrzeć. Windą zjechali do podziemi. Howard z niedowierzaniem i głębokim wzruszeniem dotknął ciała Kristiny, teraz rozmarzniętego i ze śladami rozkładu.

- Jak to się stało? - szepnął. - Jak?

Detektyw pokręcił tylko głową, starając się nie patrzeć na Kristinę.

- Cóż mogę panu powiedzieć? Teraz wyrazi pan zgodę na sekcję, a później będziemy mogli więcej panu wyjaśnić.

Howard podpisał wymagane dokumenty i rozplakał się nieoczekiwanie. Detektyw oddychał płytko, szybko, w ten sposób zachowując spokój.

- Nie chcę jej tu zostawiać - odezwał się były mąż Kristiny, odwracając się plecami od Spencera, Willa i zmarłej. - Ani przez minutę. Ona tu nie należy. Ja... ja chcę ją pogrzebać. Jej ciało musi spoczywać w pokoju, żeby jej duch także go zaznał. Muszę ją stąd zabrać. Proszę - dodał.

O'Malley pragnął położyć mu dłoń na ramieniu.

- Po sekcji przedsiębiorstwo pogrzebowe z Hanover przewiezie ciało, dokąd pan wskaże - zapewnił, niezdolny go pocieszyć. - Proszę poczekać na korytarzu, a ja porozmawiam z doktorem Innisem.

Howard już miał odejść, lecz przystanął, zdjął z szyi czarny szal i położył na zwłokach. Płakał przy tym cicho. Spencer oddał mu szal.

- Nie - powiedział łagodnie i ponowił prośbę, by Howard zaczekał na korytarzu.

Innis był w sali operacyjnej, nakładał gumowe rękawice.

- Możemy zaczynać?
- Jak długo to potrwa? - zapytał sierżant.

Doktor wręczył mu biały fartuch.

- Około sześciu godzin. Trzy na sekcję, trzy na sporządzenie raportu koronera. To nie jest pańska pierwsza sekcja zwłok, prawda?

Życie detektywa w ciągu ostatnich dwóch dni podzielone było na okresy trzygodzinne. Już była dziesiąta wieczorem, za trzy godziny będzie jeszcze gorzej. A Spencer wciąż pracował.

- Nie, nie moja pierwsza - odparł. Lecz fartuch, który trzymał w dłoniach, wywołał w nim dreszcze, a głowa zaczęła się trząść.

Innis spojrział na niego ze spokojem.

- Detektywie? - zapytał.
- Wszystko w porządku - odrzekł Spencer, niezgrabnie wkładając fartuch. - Nic mi nie jest.
- Doskonale. Możemy zaczynać? Powiem Ralphowi, żeby to przywiózł.

Sierżant oparł się o ścianę. Czy słowo „to” sprawiło, że nagle zrobiło mu się niedobrze? Minęło pięć minut, nim ciało Kristiny przywieziono do chłodnej sali.

- Detektywie O'Malley - odezwał się Innis, obrzuciwszy go spojrzeniem - nie mam całej nocy do dyspozycji. Możemy wreszcie zaczynać?

- Ja... ja... - wyjąkał Spencer, nadal stojąc oparty o ścianę. - Proszę mi wybaczyć, ale muszę pana przeprosić na minutę. - Po tych słowach odwrócił się i wyszedł z sali.

Na korytarzu odszukał Willa i Howarda.

- Will, mogę zamienić z tobą słowo?

Weszli do niewielkiej poczekalni. Spencer zamknął drzwi i podał fartuch partnerowi.

- Co to jest?
- Will, czujesz się na siłach zostać tu przez trzy godziny?
- Nie - padła natychmiastowa odpowiedź.
- Dajże spokój, wiesz, że któryś z nas musi tam być.
- Dlatego tak się cieszę, że ty jesteś detektywem sierżantem, a ja prostym detektywem.
- Więc jako starszy stopniem rozkazuję ci tam iść.
- Nie, dziękuję uprzejmie. Idziesz ty. Żyjesz tym.
- Mylisz mnie z Rayem Fellem.
- A gdzie on jest, kiedy najbardziej go potrzeba? - potrząsnął głową Baker. - O'Malley, jest

dziesiąta wieczorem.

- Powiedz mi coś, czego jeszcze nie wiem.

Spojrzeni po sobie.

- Will, to bardzo ważne - tłumaczył Spencer.

- Dobra, dobra - westchnął jego partner. - Zgoda. Pozwól tylko, że zadzwonię do żony i uprzedzę, że nie wrócę do domu.

Minęło już kilka lat od czasu, gdy Will spędzał ze swym partnerem całe noce. Spencer żałował, że nie zdarzało się to częściej - brakowało mu kolegi. Teraz uściskał jego dłoń.

- Will, wiesz dobrze, że gdybym mógł, sam bym to załatwił - odezwał się cicho. - Ale nie mogę, w tym jednym wypadku nie mogę. Chciałbym, ale nie mogę.

Tamten delikatnie poklepał go po ramieniu.

- Tracy, czasami zupełnie cię nie rozumiem. Nie musisz jednak się tłumaczyć.

Spencer uśmiechnął się, ogarnięty potężną falą ulgi.

- Jeśli nie wrócisz, mam czekać na świadectwo zgonu?

- Wrócę, nie martw się. - Widząc na twarzy partnera przelotny wyraz rozczarowania, O'Malley dodał: - Poczekamy razem, zgoda?

Mimo ponurego charakteru całej sytuacji, rozumiał nastawienie Willa. Nie codziennie czekali na świadectwo zgonu, a jeszcze rzadziej nie mieli pojęcia, jaka będzie jego treść.

Spencer wyszedł na korytarz i zwrócił się do Howarda:

- Może teraz pojedziemy do hotelu? Pan wynajmie pokój i tam spokojnie porozmawiamy.

Prawnik skinął głową; jego oczy za okularami w drucianych oprawkach były zmęczone i przekrwione.

- Zwykle zatrzymywałem się w Hanover Inn - oznajmił.

- Doskonale - odrzekł detektyw, myśląc przy tym: Zwykle?

Kiedy znaleźli się w Hanover Inn, Howard zauważył:

- Pański partner wydaje się dobrym policjantem. Szkoda, że nie mamy więcej takich w Nowym Jorku.

Kiedyś mieliście, chciał odpowiedzieć mu Spencer. Kiedyś mieliście mnie. Ale potem moja żona umarła. A kto wówczas chciał mnie przyjąć poza tym dziesięcioletnim miasteczkiem w górach?

Detektyw zaoferował Howardowi pomoc w niesieniu bagażu, lecz ten nie miał ze sobą żadnej

torby ani walizki.

- Wyjechałem natychmiast, nawet się nie spakowałem - odpowiedział były mąż Kristiny przeprasząc, jak gdyby sądził, iż sierżant będzie miał mu za złe, iż nie może pomóc.

- Nieważne. Napije się pan kawy?

- Tak, może też coś zjem. Pan już jadł?

- Jadłem, ale kawy chętnie się napiję.

Poszli do restauracji hotelowej Ivy Grill. Howard Kim zamówił koktajl z krewetek i stek, Spencer szklaneczkę whisky i kawę. Pił na przemian, jeden łyk kawy i jeden whisky.

Prawnik wpatrywał się w niego uważnie.

- Nie chcę zasnąć - powiedział O'Malley, jakby się tłumacząc.

Tłumacząc co właściwie?

- Nie musi się pan tłumaczyć - odparł Howard chłodno.

Nawet nie chcę, pomyślał Spencer.

- Proszę mi więc powiedzieć, panie Kim, jak to się stało, że szesnastoletnia biała dziewczyna wychodzi za mąż za azjatyckiego prawnika z...

- Hongkongu.

- ...z Hongkongu, o dobre dziesięć lat od niej starszego?

- Byliśmy w sobie zakochani? - rzucił pytającym tonem Howard. - Nie mogliśmy się doczekać, aż będziemy razem?

Spencer uniósł szklanekę z whisky.

- Moje kondolencje dla pogrążonego w żałobie byłego męża.

Milczenie.

- Mówił pan wcześniej, że wasze małżeństwo istniało tylko na papierze.

Prawnik bawił się widelcem, który w końcu upadł na podłogę. Koktajl z krewetek jakoś go nie pociągał. W restauracji było pusto, zbliżała się pora zamknięcia.

- Kristina była bardzo miłą dziewczyną - odezwał się, z wysiłkiem panując nad sobą. - W miarę moich sił próbowałem jej pomóc.

- W to nie wątpię. Kiedy widział ją pan po raz ostatni?

- W niedzielę po południu.

Detektywowi przez głowę przemknęła myśl, że prawnik miał na myśli ostatnią niedzielę, i poczuł szaloną nadzieję, że może jednak sprawy nie są

takie, jakimi się wydają. Może ona wróciła do domu, była żywa w swoje ostatnie Święto Dziękczynienia, zjadła indyka, spędziła czas z rodziną... żyła przez kilka dodatkowych dni.

- W niedzielę przed Świętem Dziękczynienia - dodał Howard Kim.

Spencer zgarbił się w skórzanym fotelu. - Wręczyła mi dokumenty rozwodowe.

O'Malley nie wiedział, o co teraz powinien zapytać. Próbował się skupić, łykając alkohol.

- Kiedy ostatni raz pan ją widział?

- Mówiłem już, w niedzielę przed Świętem Dziękczynienia.

- Tak, tak, naturalnie. Chciałem zapytać, co pan robił w nocy we wtorek 23 listopada?

- Czy jestem podejrzany, detektywie O'Malley?

- Nie bardziej niż inni. Musimy przesłuchać wszystkich, na tym polega nasza praca. Sam pan to wcześniej powiedział.

- Czy dlatego pan mnie tu wezwał? Żeby mnie przesłuchać?

- Tak - potwierdził Spencer. - Do ubiegłego tygodnia był pan jej mężem. Jaki rodzaj prawa pan praktykuje?

- Prawo handlowe, w Chinatown. Dla pańskiej informacji pracowałem w sądzie do ósmej wieczorem, później wróciłem do domu.

- Sam?

- Nie, zaraz. W zeszły wtorek? Poszedłem na obiad z jednym z moich klientów.

Spencer zrobił notatkę.

- Jego nazwisko?

- Jej nazwisko - poprawił go pan Kim. - Anna Chung.

Spencer zerknął na niego znad notatnika. Howard odpowiedział mu spokojnym spojrzeniem.

- Tak, detektywie O'Malley, mam swoje życie.

- Atrament jeszcze nie wysechł na dokumentach rozwodowych.

- Mówiłem już, że nie byliśmy małżeństwem we właściwym znaczeniu tego słowa.

- Więc jakim byliście małżeństwem? Howard chwilę się zastanawiał.

- Niewłaściwym - odparł w końcu.

Kelner zabrał koktajl z krewetek, na to miejsce przyniósł stek, średnio wysmażony, z pieczonymi kartoflami i warzywami.

- Proszę jeść - powiedział detektyw. - Nie zajmę panu wiele czasu.

Trudno jakoś wydobyć informacje od ludzi, którzy podobno byli jej

przyjaciółmi - albo rozwiedzionymi mężami. Wszyscy trzymają buzię na kłódkę, nie okazują chęci do współpracy lub też są otwarcie wrodozy. Jakby chcieli powiedzieć, żebym zajął się swoimi sprawami. Jakby nie powinna obchodzić mnie dwudziestojednoletnia dziewczyna, którą znaleziono martwą w zaspie, gdzie przeleżała dziewięć dni, podczas gdy jej przyjaciele wesoło zajmowali się czym innym i nawet przez myśl im nie przeszło, żeby sprawdzić, co się z nią stało, i zawiadomić o zaginięciu. No cóż, muszę więc panu oznajmić, że to jest moja sprawa. Nie zamierzam nękać pana dla przykładu, panie Kim, ale mam już tego dość. Za mało spałem, jestem wykończony, a dziewczyna nie żyje. Gotów jestem założyć się o dom mojej matki, że śmierć Kristiny nie była rezultatem wypadku, niezależnie od tego, co pan i jej przyjaciele chcielibyście, żebym myślał.

- Ja nie chcę, żeby pan cokolwiek myślał, detektywie O'Malley - odparł Howard Kim chłodno.

- Zaraz. - Spencer napił się kawy. - Jeśli mam zawlec pana na komendę i tam trzymać, dopóki satysfakcjonująco nie odpowie pan na wszystkie moje pytania, chętnie to zrobię i będę się cieszył, że przynajmniej pan też nie śpi. Rozumie pan? A może chciałby pan jednak porozumieć się z adwokatem?

Howard Kim włożył do ust kawałek mięsa, wolno przeżuł, przełknął, wytarł usta serwetką i dopiero wówczas odpowiedział:

- Rozumiem.

- Doskonale.

- Pana zdaniem nie zginęła w wypadku?

- Mam takie przeczucie, może pan to nazwać moją intuicją. Nie dostrzeżliśmy żadnego powodu, żeby miała umrzeć. Poza tym jedynie, że była naga podczas najgorszej w całym roku śnieżycy. Zobacz pan, sekcja to potwierdzi. Została zabita.

- Miała jakieś ślady na ciele?

- Nie widziałem. Ale mogły być. Mogła być pijana.

- Tak.

Przez starannie odmierzoną chwilę Spencer patrzył na Howarda, a później zapytał:

- Lubiła pić?

Tamten potwierdził.

- Była studentką college'u.

- Tak, i co z tego. Ja też lubię się napić - odparł O'Malley. - Mnie jednak nie znajdzie pan nagiego i martwego.

- Nie miał pan pecha.

- Błąd. Nie zostałem zabity. Ale mam sporego pecha. - Spencer łyknął pośpiesznie whisky.

- Detektywie - odezwał się Howard cicho. - Mam alibi.

- Czy Anna Chung je potwierdzi?

- Tak - odrzekł jego rozmówca jeszcze cichszym głosem.

- Dobrze. - Spencer mu wierzył. - Mimo to nie wyjaśnił pan.

- Czego?

- Z jakiego powodu pana poślubiła?

- Miłość?

- Nie.

- A w konieczność pan uwierzy?

Spencer chwilę się zastanawiał.

- Zaszła z panem w ciążę? - zapytał z niedowierzaniem.

- No cóż - odrzekł prawnik, wycierając usta i rzucając serwetkę na nie zjedzone mięso - niewątpliwie była w ciąży.

Detektyw wstrzymał oddech, by nie uronić ani słowa.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że była w ciąży, kiedy się pobieraliśmy.

- Ale nie z panem.

- Nie ze mną.

- Boże! Więc z kim?

Były mąż Kristiny milczał.

- I dlaczego nie wyszła za niego?

- Nie wiem - odrzekł.

- Kto to był?

- Nie wiem.

- Nie wie pan? Do diabła, cóż to ma znaczyć?

Howard nie odpowiedział.

- Więc skąd pan się wziął?

- Ze statku. Nie dosłownie, naturalnie. Moja rodzina pochodzi z Pyongyang...

- Gdzie to jest?

- Korea Północna - wyjaśnił pan Kim z lekką urazą, jakby zniewagą dlań było to, że Spencer O'Malley nie wie, gdzie leży owa miejscowość. - Emigrowali do Hongkongu w poszukiwaniu pracy. Studiowałem tam prawo na brytyjskim uniwersytecie. Ojciec Kristiny kupował od mojego wyroby tekstylne. Po skończeniu szkoły chciałem wyjechać do Anglii, lecz okazało się to trudne. Najpierw wybrałem Amerykę, okazało się to jednak jeszcze trudniejsze. Jestem specjalistą od prawa handlowego, pracowałem

z ojcem, choć zupełnie mi to nie odpowiadało. Przez długi czas ojciec Kristiny nie mógł mi pomóc. To była ciężka sprawa. Wszyscy chcą pracować w Ameryce. W 1997 roku liczba ludzi, którzy będą chcieli wyjechać z Hongkongu do Ameryki, jeszcze się powiększy. Wie pan, Brytyjczycy muszą oddać Hongkong Chinom.

Chiny, racja.

- Niech pan mówi dalej.

- A potem jej ojciec...

- John Henry Sinclair?

- Tak. Przyjechał do Hongkongu jakieś pięć lat temu. Zapytał mnie, czy dalej chcę wyjechać do Ameryki, bo jeśli tak, to on może to załatwić, pod warunkiem że ożenię się z jego córką. Zamieszkamy w Nowym Jorku, ja będę pracował, ona będzie chodzić do szkoły. Po pięciu latach mogę otrzymać amerykańskie obywatelstwo, ona wtedy skończy dwadzieścia jeden lat i możemy się rozwieść. Ale przez ten okres musimy pozostać małżeństwem, bo obecnie urząd do spraw emigracji niezwykle surowo podchodzi do małżeństw aranżowanych...

- Tak, zwłaszcza pomiędzy Koreańczykiem a młodą Amerykanką.

- Właśnie. Więc byliśmy małżeństwem. Kristina chodziła do prywatnej szkoły w Brooklyn Heights, a ja pracowałem w dobrej kancelarii adwokackiej. Wciąż u nich pracuję.

- A rozwód, chcieliście go oboje?

- Nie, to ona chciała. Ja się zgodziłem. Wystąpiłem o obywatelstwo, nie było żadnych problemów.

- A gdyby ona nie chciała rozwodu, co by się stało?

- Nic. Ja... - Howard zamyślił się na moment - miałem u jej ojca dług. Zrobiłbym wszystko, czego by sobie życzyła.

- Gdzie jest dziecko?

- Dziecko?

- Tak, dziecko.

- Urodziło się martwe.

- Och.

- Nie znam zbyt dobrze tej rodziny - ciągnął dalej Howard. - W gruncie rzeczy wcale nie znam. Nigdy nie spotkałem matki Kristiny, rozmawiałem z nią tylko przez telefon. Załatwiałem sprawy z ojcem. On... był bardzo, bardzo udręczony tym wszystkim. Przestał odzywać się do Kristiny. Oświadczył mi, że lepsze jest małżeństwo jego córki z człowiekiem z pozycją, prawnikiem, niż taka hańba.

Spencer nie krył zaskoczenia.

- Czyli to było lepsze niż prawda?

- Tak sądzę.

Detektyw gestem zamówił u kelnera następnego drinka, a po minucie, zapomniawszy, że już to zrobił, znowu na niego kiwnął. Wypił obie szklanki i zamówił jeszcze jedną, myśląc przy tym, że to dlatego Kristina jeździła do Domu pod Czerwonymi Liśćmi.

- Wiedział pan, że pracowała w schronisku dla ciężarnych nastolatek? - zapytał.

- Tak, mówiła mi. - Howard pochylił głowę, powstrzymując łkanie. - Biedna Kristina... Czy to już wszystko, detektywie? Jestem bardzo zmęczony.

- Zajmę panu jeszcze kilka minut, panie Kim. Dlaczego utrzymywał pan z nią kontakty, kiedy poszła do college'u?

Howard zakaszłał.

- To była część umowy. Jej ojciec dał mi pieniądze na jej utrzymanie. Płaciłem chesne.

Spencer pokręcił głową.

- Nie płacił pan.

- Ależ tak.

- Naprawdę? To dziwne. Odniosłem wrażenie, że chesne płaciła jej babka.

Howard pobladł; nerwowo wiercił się na krześle, wykrzywając usta.

- To niemożliwe - oświadczył, starając się nadać drżącemu głosowi spokojne brzmienie. - Co roku dawałem jej pieniądze. Dwadzieścia tysięcy dolarów rocznie przez cztery lata. Byłem bardzo ostrożny, gdyż miała skłonności do życia ponad stan. Jej ojciec przestrzegł mnie, żebym

za dużo jej nie dawał. Wykorzysta je w niewłaściwych celach, tak powiedział. Sprawdziłem, ile potrzebuje na chesne i mieszkanie, od tej sumy odjąłem stypendium i kwotę za pracę. Co roku wręczałem jej pieniądze.

- Jest w tym jakaś ironia - zauważył Spencer. - Nie był pan jedyną osobą, która pilnowała, by przez cztery lata dawać jej dokładnie dwadzieścia tysięcy dolarów rocznie.

- O czym pan mówi?

- W jej skrytce bankowej były listy od babki. Ona też przekazywała Kristinie pieniądze na chesne.

Howard gwałtownie pokręcił głową. Dobrze, że przestał jeść, pomyślał Spencer, bo stek wypadłby mu z ust.

- To niemożliwe - powtarzał - niemożliwe.

Detektyw wzruszył ramionami.

- Niewykluczone, że mądrze zainwestowała pieniądze i dzięki temu doszła do dziewięciu milionów dolarów.

Prawnik spojrzał na niego podejrzliwie.

- O jakich milionach pan mówi?

- Odziedziczyła spadek po babce - wyjaśnił Spencer. W wyrazie twarzy jego rozmówcy było coś strasznego, poczucie klęski, wstydu, znużenia.

- Po babce? - opanował się wreszcie Howard. - A tak, może. Skąd pan wie?

- Cała kwota została przelana na jej konto z banku New Hampshire. W skrytce bankowej znajdowała się kopia testamentu Louise Morgan z sierpnia ubiegłego roku. Na jedyną spadkobierczynię pani Morgan wyznaczona została Kristina. Pieniądze znajdowały się pod zarządem trustu do osiągnięcia przez Kristinę wieku dwudziestu jeden lat, a z dniem urodzin przechodziły na jej własność.

- Czemu? - zapytał Howard. Było to raczej westchnienie. Otworzył usta i wyrzucił to słowo wraz z powietrzem. - Czemu?

- Skąd mam wiedzieć? Ja zadaję pytania. Pan powinien odpowiadać.

- O niczym nie mam pojęcia. Mówiłem już, że znałem tylko jej ojca, a on niczego mi nie mówił, poza tym jedynie, jak mam opiekować się Kristina. To wszystko. Zawarliśmy umowę. Dobrze się nią opiekowałem, pilnowałem jej. Tak sądziłem. - Pan Kim znowu pochylił głowę. - Ale się myliłem. Nie upilnowałem jej.

- Nie - zgodził się Spencer, w duchu tocząc spór ze sobą, czy powinien zamówić jeszcze jedną szklaneczkę. - Nie upilnował pan.

Siedzieli w milczeniu, podczas gdy kelnerzy kładli krzesła do góry nogami na czystych stołach, przygotowując salę do mycia podłogi.

Howard musiał zapewne czuć potrzebę wytłumaczenia się, ponieważ oświadczył:

- Cóż ja mogę wiedzieć, detektywie O'Malley? Jestem synem dyrektora zakładów tekstylnych z Korei. Byłem wdzięczny panu Sinclairowi za stworzenie mi szansy przyjazdu do Ameryki. Zawsze o tym marzyłem. Nie zadawałem niepotrzebnych pytań. Powiedział mi, że tak musi być, więc tak było. Nie okazywałem ciekawości. I słusznie postępowałem. Matka Kristiny wydawała się bardzo smutna, kiedy dzwoniła. Współczułem jej.

- Dzwoniła często?

- Nie, a potem w ogóle przestała. Sądzę, że Kristinie było przykro z tego powodu.

- Kochała matkę?

- Tak - potwierdził.

- A co stało się z Johnem Sinclairem? W podaniu o przyjęcie do college'u Kristina napisała, że nie żyje.

- To prawda. - Prawnik potarł czoło dłonią. - Kiedy pani Sinclair dzwoniła po raz ostatni, powiedziała nam, że umarł na atak serca. Była bardzo smutna.

Założę się, że była. Straciła męża i jedyną córkę. „Smutna” to łagodnie powiedziane.

- Czy zostawił testament?

- Kto?

- John Sinclair. Zostawił testament?

- Naturalnie. Człowiek z jego środkami nie umiera bez testamentu.

Spencer nie ponaglał Howarda, który po chwili kontynuował:

- Prawnicy pilnujący wykonania testamentu przysłali mi list z informacją, że przez następne sześć lat będę otrzymywał pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie. To było dwa lata temu.

- Czyż to nie miłe? A Kristina? Co ona dostała?

Howard spojrzał gdzieś w bok.

- Nic - odparł.

- Nic?

- Nic.

- Nie uwzględnił jedynej córki w testamencie?

Jego rozmówca odchrząknął z widocznym zakłopotaniem, poprawił okulary i dopiero wówczas wyjaśnił:

- On ją wydziedziczył.

- Naprawdę?

- Wydziedziczył - powtórzył Howard. - Oficjalnym dokumentem, podpisanym przez niego i żonę.

Spencer czuł wielką ochotę, aby przeplukać gardło.

- John Sinclair wydziedziczył swoją jedyną córkę?

- Tak.

- Czy zgodnie z prawem oznacza to, że ona nie dostała majątku rodziców?

- Właśnie.

- A oni - mówił wolno Spencer, ubierając w słowa swoje pędzące gorączkowo myśli - nie mają prawa do jej pieniędzy?

- Nie wiem, lecz tak przypuszczam. Proszę wybaczyć, detektywie O'Malley, ale co to wszystko ma wspólnego ze śmiercią Kristiny?

Spencer, acz niechętnie, zdecydował, że więcej już nie będzie pił.

- Może nic, może bardzo wiele - odrzekł. - Konta Kristiny pełne są dolarów, rozwiodła się z panem, swoim jedynym bezpośrednim spadkobiercą, a jej rodzice...

- Matka - poprawił go Howard. - John Sinclair nie żyje.

- ...rodzice ją wydziedziczyli. To jeden obłąd. Kristina zostawiła testament, jej śmierć nie była dziełem przypadku czy też zrządzeniem opatrności. Mamy testament, który nie budzi najmniejszych wątpliwości.

- Bez wzmianki o mnie.

- Och nie, jest w nim pańskie nazwisko. Zostawiła panu dom swojej babki.

- A komu zostawiła pieniądze?

Spencer mógłby przysiąc, że pan Kim wstrzymał oddech.

- Trojgu swoich przyjaciół. A pana zdaniem komu powinna je zostawić?

Howard odetchnął. Sprawiał wrażenie, jakby ogarnęła go wielka ulga.

- Nikomu. Sądzę, że powinien pan porozmawiać ze spadkobiercami.

- W to niech pan nie wątpi. Na pewno to zrobię. W każdym razie to i tak bez znaczenia. Oni

nie chcą tych pieniędzy.

- Nie chcą?
- Zamierzają przekazać je Czerwonym Liściom.

Howard oparł się o krzesło.

- Boże, to takie dziwne. Niesamowite. - Zdjął okulary i przetarł powieki. - To bez sensu.

Detektyw pochylił się ku niemu.

- A pan chciałby odziedziczyć te pieniądze?
- Cóż mam odpowiedzieć? Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby część dostać.

Spencer nie trafił na sprawcę, to nie ulegało wątpliwości. Oczywiście rutynowo sprawdzi alibi tego człowieka, ale już teraz wiedział, że okaże się ono żelazne.

Zostali w restauracji jeszcze jakiś czas. Podłogę umyto, kelner przyniósł rachunek i wziął należność, już dawno sprzątnął naczynia z ich stołu. Howard Kim wygląda na tak wyczerpanego, jak ja się czuję, myślał Spencer. Bolały go oczy, rozpaczliwie pragnął zamknąć powieki i obudzić się na Long Island, mając to wszystko poza sobą lub jeszcze w perspektywie. Byleby tylko nie tkwić w samym środku całej sprawy. Przrzekł sobie w duchu, że jak tylko zakończy śledztwo, pojedzie z wizytą do rodziny. Na przykład na Boże Narodzenie.

- Wydaje mi się, że oni pochodzili z Connecticut - odezwał się wreszcie Howard.

Spencer przypomniał sobie egzemplarz „Greenwich Time”, który znalazł w szafie Kristiny. Wstał.

- Dzięki, że pan przyjechał.
- Nie ma za co - odrzekł prawnik. - Kiedy pana zdaniem będzie można odebrać ciało?
- Jutro. Teraz wracam do szpitala, żeby porozmawiać z koronerem.

Spencer oczekiwał, że Howard Kim będzie chciał mu towarzyszyć, lecz się pomylił. Były mąż Kristiny sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego. Detektyw także był zmęczony, ale musiał iść. To gorsze niż wypatrywanie piratów drogowych na autostradach Long Island. W tamtych czasach bywał przyjacielem piratów, ponieważ czasami jednak spał. Teraz nie mógł sobie pozwolić na sen, niezależnie od tego, jak się czuł.

Zostawił Howarda w restauracji i wsiadł do samochodu. Północ już dawno minęła. W szpitalu czekał Will, który chciał wracać do domu, do rodziny. Ray zaś był w domu z rodziną, ale chciał być w szpitalu. Stukniętemu staremu Rayowi zależało na tym, żeby w laboratorium koronera oglądać rozkładające się trupy. Czy Innis będzie w stanie stwierdzić, czy Kristina najpierw

umarła, a potem zamarzła?

- Tak - odpowiedział lekarz na pytanie Spencera. Wprawdzie w przedpokoju sąsiadującym z prosektorium było chłodno, koroner obficie się pocił i nieustannie ocierał wilgotne czoło rękawem białego fartucha. Fartuch nie był już całkowicie biały, Spencer wszakże wołał o tym nie myśleć. Will wrócił do domu, gdy tylko pojawił się kolega.

- Na pewno?

- Na pewno - potwierdził Innis. - Jej śmierć nie nastąpiła z przyczyn naturalnych.

- Nie uznałbym zamarznięcia za przyczynę naturalną, doktorze.

- Nie zamarzła na śmierć. Umarła, a dopiero potem zamarzła.

- Rzeczywiście?

- Tak. A czy pan spodziewał się czegoś innego?

- Nie, spodziewałem się właśnie tego.

- I miał pan rację. Niech pan pogratuluje swojej intuicji.

Lekarz na tym poprzestał, nie podał żadnych szczegółów. Dalej stali w pomieszczeniu koło sali sekcyjnej, szpitalnie białym, ze szklanymi drzwiami oraz neonowym oświetleniem. W zimnym pomieszczeniu.

- Jaka była przyczyna śmierci, doktorze?

- A tak. Chciałby pan rzucić okiem?

O'Malley gwałtownie zaprzeczył.

- Dobrze. - Patolog zaczął ściągać zabrudzone rękawiczki i Spencerowi na ten widok zrobiło się niedobrze. Dopiero kiedy rękawiczki wylądowały w koszu na śmieci, co momentalnie poprawiło samopoczucie detektywa, doktor wyjaśnił: - Zgon nastąpił z powodu niedotlenienia. Została uduszona.

Spencer nie mógł nawet powiedzieć, że jest zaskoczony. Słowa te powtarzał sobie w duchu przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny, werdykt lekarza był ledwo słabym echem jego myśli. Nic nie widząc, nic nie czując, nie przecinając ciała, nie oglądając ani nie wachając żadnej części zwłok młodej kobiety, O'Malley był o tym przekonany: śmierć przez uduszenie.

- Nie powiem, żebym był zdziwiony - odezwał się w końcu.

Innis uniósł brwi.

- Nie? To może pan też powinien zostać lekarzem sądowym, detektywie O'Malley? Wydaje się pan zbyt cynicznie podchodzić do własnej pracy. Umiera młoda kobieta, a pan od razu

podejrzewa nieczystą grę? Mam nadzieję, że nikomu pan się z tego nie zwierzył. W czasie rozprawy obrona powie, że byłem bezwolnym narzędziem w pana rękach.

- A nie był pan? - Spencer uśmiechnął się nieznacznie.

Patolog jednak nie uznał tego za zabawne.

- Chce pan wiedzieć, co się stało, czy nie?

- Naturalnie, chcę. Słucham, doktorze.

- Tkanka otaczająca mózg wykazuje oznaki rozluźnienia włókien mięśniowych, które rozpoczęło się, nim denatka zamarzła. Gdyby po prostu zasnęła w śniegu, rozkład mózgu zacząłby się dopiero wówczas, gdy temperatura ciała stałaby się za niska, by podtrzymywać funkcje życiowe organizmu, a więc w momencie śmierci i tak ciało byłoby już zamrożone. Nie, ona najpierw umarła, potem zamarzła - szybko, nie na tyle jednak, by powstrzymać niezwykle wrażliwą tkankę mózgu od rozkładu. W normalnych warunkach, tracąc stopień ciepła co pół godziny, ciało oziębiłoby się do temperatury otoczenia w ciągu dwudziestu czterech godzin, a po następnych mniej więcej sześciu zaczęłoby ustępować stężenie. Ale wtedy był mróz, w dodatku zaś wiał bardzo zimny wiatr.

Pamiętam tamtą noc. Gazety podały, że była najzimniejsza od siedemdziesięciu lat. Tak więc denatka traciła stopień ciepła co pół minuty. Musiała oziębić się do temperatury otoczenia w przeciągu godziny. *Voilà* - żadnego stężenia, żadnego rozkładu, a plamy opadowe na plecach są nieznaczne, jeśli wziąć pod uwagę, że leżała w tej pozycji przez dziewięć dni.

Tak czy owak zamrożenie opóźniło proces obumierania mózgu, lecz go nie powstrzymało. W ciągu ostatniej doby, kiedy reszta ciała rozmarzła, mózg rozłożył się już... do kości, jeżeli tak to można ująć.

Koroner sprawiał wrażenie usatysfakcjonowanego tak wyczerpującym wyjaśnieniem, a Spencer kiwał uprzejmie głową, aczkolwiek nie usłyszał nic, czego już nie wiedział.

- Rozumiem, to brzmi sensownie. Coś jeszcze?

- Tak. Wyraźne oznaki uduszenia.

- Oczy? - zapytał detektyw.

- Tak, skąd pan wiedział? Orientował się pan, czego szukać?

Tak, nagiej martwej dziewczyny w czarnych butach i z dziewięcioma milionami dolarów na koncie, zaplątanej w pełen zazdrości kwadrat. To rzeczywiście świetnie mi wychodzi.

- Niezupełnie - zaprzeczył. Nie chciał okazać, jak bardzo jest przygnębiony.

- Tak, oczy - ciągnął Innis. - Naczynia włoskowate uległy pęknięciu na skutek wysokiego ciśnienia krwi w głowie, spowodowanego silnym uciskiem na arterię płucną w szyi i brakiem tlenu w mózgu w okresie wystarczająco długim, że przestał funkcjonować system współczulny i nastąpił atak serca. Ciśnienie w gałkach ocznych było tak wysokie, że doszło do czasowego wytrzeszczu. Na pewno nie chce pan tego zobaczyć?

Spencer czuł ból w całym ciele.

- Zrobił to ktoś silny? - zapytał łamiącym się głosem.

- Nie, siła nie była potrzebna. Ofiara próbowała ze wszystkich sił złapać powietrze. Walczyła o każdy oddech. Wysilek o mało nie doprowadził do pęknięcia arterii.

- Tak. - Spencer dokładał starań, by mówić normalnie. - Nie była tylko w stanie z nim walczyć.

- Skąd pan wie, że to on, detektywie? Ona w ogóle nie mogłaby walczyć. Doznała wcześniej bardzo poważnego urazu lewego ramienia.

- Tak, tak - potwierdził O'Malley. - Poprzedniego dnia miała wypadek samochodowy.

- No cóż, to tłumaczy, dlaczego niektóre obrażenia wyglądają na stare. Miała złamane żebro i stłuczoną czaszkę. Dziwię się, że w ogóle była w stanie funkcjonować. Zgłosiła się do szpitala?

- Nie, nie chciała.

Innis otarł czoło.

- Szkoda, bo to by jej uratowało życie.

- Jak to?

- Ze szpitala prędko by jej nie wypuścili. Ramię miała złamane w kilku miejscach, potrzebna była operacja.

Detektyw nie potrafił wydusić słowa. Innis wyglądał na tak zadowolonego, jakby właśnie znalazł zabójcę, a nie powiedział Spencerowi, że Kristina nie mogła nic zrobić.

- Była w fatalnym stanie - dodał koroner. - Co oznacza, że każdy, łącznie z moją siedmioletnią wnuczką, bez problemu by sobie z nią poradził. Mogła się bronić jedynie prawą ręką.

- A pana zdaniem - zapytał Spencer wolno - broniła się? Na ciele nie ma śladów.

- I tu się pan myli, detektywie - uśmiechnął się Innis. - A jednak bez lekarza sądowego nie może się pan obejść. Już myślałem, że stracę pracę, skoro pan wszystko wie. Są ślady na ciele. Jest wielki siniak z tyłu głowy, na płacie potylicznym. Lekki wylew podoponowy.

Przypuszczalnie straciła przytomność.

- Uderzono ją? - wykrzyknął Spencer.

Boże, Will miał rację, to gwałcień morderca!

- Może. Myślę, że została popchnięta albo sama się przewróciła.

- Przewróciła?

- Tak. Niewykluczone, że cofała się, potknęła i upadła, uderzając głową w pień drzewa albo kamień. To nie był ostry przedmiot, skóra nie została przecięta, ale jest siniak. To tylko moja teoria, rozumie pan. Albo ktoś ją popchnął. Przewróciła się i uderzyła w głowę, co ją oszołomiło, może nawet na kilka sekund straciła przytomność. Dalej było już łatwo. Na obu przedramionach i na piersiach widnieją symetryczne ślady. Naczynia krwionośne tuż pod skórą uległy pęknięciu. Jaki wniosek pan z tego wyciąga, detektywie?

Spencer zastanawiał się tylko moment.

- Ktoś usiadł jej na piersiach i przycisnął ręce. Ślady kolan.

- Właśnie, ślady kolan. Tak więc dziewczyna walczy o życie, usiłuje oddychać...

- A czym została uduszona? - przerwał Spencer. - Dłonią?

- Nie, na twarzy zostałyby ładny ślad palców. To musiał być wielki, miękki przedmiot. Może poduszka? Każdy jasiak by wystarczył.

Spencer nie umiał się zmusić, by spojrzeć na lekarza.

- Detektywie O'Malley - odezwał się łagodniejszym tonem Innis - znalazłem coś pod jej paznokciami. Niewykluczone, że podrapała zabójcę.

- A co to było?

- Krew - wyjaśnił lekarz - i fragmenty włosów, bardzo drobne.

- Aha. A czemu wcześniej pan tego nie mówił?

- Czekałem, aż pan zapyta.

- Kolor włosów?

- Jeszcze ich dokładnie nie zbadałem. Mam jednak mikroskop. Zechce pan sam je obejrzeć?

Spencer niemal się zgodził, zaraz wszakże zrezygnował. Cóż on wie o włosach?

- Ma pan dla mnie jakieś próbki do porównania? - zapytał patolog.

I znów Spencer chciał potwierdzić, ale się powstrzymał. To tylko trójka głupich smarkaczy. Nagle coś mu przyszło do głowy.

- Wyklucza pan, że to była kobieta?

- Nigdy niczego nie wykluczam, chyba że jestem absolutnie pewien.

- Cóż, kobieta by jej nie zgwałciła.

- A kto mówił o gwałcie?

- Więc nie została zgwałcona?

- Nie.

- Jest pan pewny, całkowicie pewny?

- Czy jestem pewny? - roześmiał się Innis. - To moja praca. Pytam pana, czy jest pan pewny, jak wypisać mandat albo przesłuchać podejrzanego? Nie ma śladów napastowania seksualnego. Nie doszło do otarcia ścianek pochwy, nie ma spermy...

- Mógł użyć prezerwatywy - przerwał mu Spencer.

- Kto? Zabójca? Jak pan sobie to wyobraża? Że przed gwałtem powiedział: „Zechce pani poczekać, aż to włożę”? Niezwykle sprytnie. A może poprosił, żeby pottrzymała poduszkę, kiedy będzie wciągał gumę, albo podłożył denatce jasek pod stłuczoną głowę w trosce o wygodę? Nie, detektywie, już powiedziałem, że seks nie był motywem zabójstwa.

Sierżant wolałby, żeby był. O wiele bardziej by wolał, aby Kristinę napadł jakiś zboczeniec, choć zdawał sobie sprawę, że tę ewentualność musi wykluczyć. Pochylił głowę i powiedział:

- Będzie pan miał robotę z próbkami krwi i włosów.

- Och, więc są próbki? Doskonale, przekażę je laboratorium.

- Do którego, laboratorium DNA w Cellmark? W Karolinie Południowej? Ależ to potrwa miesiącami! - wykrzyknął Spencer.

- Mniej skomplikowane badania włosów i krwi wykonujemy w Concord.

- Ile czasu może to zająć?

- Jest pan strasznie niecierpliwy, detektywie O'Malley. Minutę temu jeszcze nie miał pan sprawy.

- I tu pan się myli, doktorze. Mam sprawę od wczoraj, tylko nie było dowodów. Jak długo?

Innis chwilę się zastanawiał.

- Kilka dni, może tydzień.

- Szybciej.

- Detektywie, w stanie New Hampshire mieszka milion ludzi i jest tylko jeden lekarz sądowy, czyli ja. Hanover zaś to miasto dziesięciotysięczne. Poczeka pan.

Spencer przygryzł wargę, nie podniósł jednak głosu na koronera.

- Była pijana?

- Pijana? - powtórzył Innis zaskoczony. - Dlaczego pan o to pyta?

- Była?

- Nie sędzę. Naturalnie będę wiedział na pewno, jak dostanę wyniki badań krwi, ale w jej żołądku nie było nic, dosłownie nic.

- Więc kiedy będzie pan wiedział? - zapytał O'Malley. Gotów był jednak założyć się o swoją pensję, że gdy Kristina Sinclair po raz ostatni szła po poręczy, była trzeźwa.

- Już mówiłem, detektywie - powtórzył zniecierpliwiony Innis. - Za kilka dni.

- Dobrze. Czy świadectwo zgonu jest gotowe?

- Musi pan poczekać, aż je wypełnię. Dopiero co z nią skończyłem.

Sierżant usiadł na jednym z krzeseł, mruczając pod nosem:

- Muszę czekać, choć jest druga w nocy, no nie?

Innis usłyszał go, ponieważ odwrócił się i oznajmił:

- A ja o drugiej w nocy nadal pracuję, szanowny panie.

- Ja też, doktorze - odparł Spencer.

- Nie, detektywie O'Malley, teraz pan już tylko czeka.

Po tych słowach obrócił się na pięcie i wyszedł, zostawiając Spencera samego w zimnym, pustym pokoju.

Był zmęczony i różne myśli snuły mu się po głowie. Zwrócił się ku Kristinie: dlaczego zesłała ze ścieżki, kiedy wracała ze zbroczy? A potem ktoś ją popycha, ona się przewraca, nie może oddychać, próbuje walczyć, lecz nie jest w stanie złapać tchu. Serce mu się ścisnęło. Starał się odpędzić ten obraz, myśleć o Howardzie Kimie, o tym, jak poślubił zupełnie nieznaną dziewczynę, żeby zamieszkać w Ameryce. Poślubił Kristinę i wziął od jej ojca pieniądze. Gdzie teraz jest Katherine Morgan Sinclair? Adres nieznaną. Spencer rozmyślał o Johnie Henrym Sinclairze. Czy popełnił samobójstwo? To wydawało się prawdopodobne, skoro jego jedyna córka uwikłana została w skandal. Lecz cóż może być gorszego od szesnastolatki wychodzącej za Azjatę, którego wcześniej nie widziała na oczy, i przeprowadzającej się do Nowego Jorku? Niewykluczone, że John jednak umarł na atak serca. Spencer czuł, jak serce mu słabnie, kiedy próbował się przedrzeć przez tę płataninę hipotez. Musi odnaleźć Katherine Morgan Sinclair.

Kristino, Kristino... czy walczyłaś? Czy wyrywałaś się i krzyczałaś, czy osłabłaś i z trudem

łapałaś powietrze? Czy śmierć cię zaskoczyła?

Detektyw przysnął, głowa opadła mu na bok. Obudził go Innis, trzymający pod pachą szarą kopertę.

- Proszę - odezwał się cicho.

Detektyw poderwał się z miejsca i przetarł oczy. Czuł się strasznie, powieki mu ciążyły, był wyczerpany. Innis natomiast sprawiał wrażenie rześkiego i odświeżonego. Już się nie pocił ani nie dyszał, a jego policzki zaczerwieniły się lekko. Ten człowiek rozkwita dzięki krajaniu ludzi w środku nocy, pomyślał Spencer. Istnieje właściwe określenie na takie nocne stwory. Pisała o nich Anne Rice.

- Przeprowadziłem wstępne badanie krwi - oznajmił lekarz. - Miałem rację, w jej organizmie nie było alkoholu.

Spencer kiwnął głową. Oczy go piekły.

- Która godzina?

- Piąta trzydzieści - odrzekł Innis. - Powinien pan wrócić do domu i trochę się przespać. Wyniki badań laboratoryjnych będą na poniedziałek. Wytrzyma pan jakoś, prawda?

- A mam inny wybór? - O'Malley wstał i wyciągnął rękę po świadectwo zgonu. Innis cofnął się lekko.

- Jeszcze nie jest gotowe. Nie mogę ustalić dokładnego czasu śmierci. Nie było stężenia, rozkład nastąpił dopiero wczoraj w kostnicy, brak treści żołądkowej. Poza tym zdjęcia z prześwietlenia rentgenowskiego nie są jeszcze gotowe. Wszystko prześlę panu w poniedziałek.

Spencer miał wrażenie, jakby w ustach i zamiast mózgu miał bawełnę.

- Niech się pan nie przejmuj czasem śmierci - powiedział z trudem. - Wiemy, kiedy umarła, pomiędzy pierwszą dziesięć a pierwszą trzydzieści w nocy, w środę 24 listopada 1993 roku.

- Jest pan pewny?

- Tak. Po raz ostatni widziano ją żywą pięćdziesiąt kroków od miejsca śmierci o pierwszej pięć.

- Rozumiem, ale mogła umrzeć o wiele później.

- Nie, była kompletnie naga, a zrobił się ostry mróz. Poszłaby do domu. Nie, jestem przekonany, że nie wróciła z lasu.

- No, tak, ma pan rację. Czyli pomiędzy pierwszą dziesięć a pierwszą trzydzieści. - Innis nagryzmolił cyfry na szarej kopercie. - A przy okazji, pod paznokciami nie miała ludzkich

włosów, tylko przypuszczalnie psią sierść.

- Och - mruknął Spencer. Zbyt był zmęczony, by odczuwać rozczarowanie. - Więc proszę zbadać krew, dobrze? - To za wiele dla niego o wpół do szóstej rano. Znajdował się na nogach od dwudziestu jeden godzin, a miał wrażenie, że od stu dwudziestu jeden.

Wrócił do domu. Na zewnątrz wciąż było ciemno, lecz niebo przybrało już metaliczny odcień, jaki zimą pojawia się o wschodzie słońca. Spencer otworzył drzwi i spojrzął na fotel; za późno albo za wcześnie, by na nim usiąść. Za późno albo za wcześnie, żeby jeść lub pić whisky. Zdjął ciężkie brązowe buty i skarpety, później zajrzał do pustej lodówki. Miał ochotę zaciągnąć zasłony, ale było już rano. Wszedł do sypialni, pragnąc wszystko przemyśleć: krew pod długimi czerwonymi paznokciami, ślady kolan, listy, Howard, za którego Kristina wyszła, i Albert, którego kochała, Dom pod Czerwonymi Liśćmi, któremu prawdopodobnie przypadnie cała jej fortuna. Zamiast tego jednak padł na łóżko i natychmiast zasnął.

O wpół do jedenastej w sobotę rano Spencer wyskoczył z łóżka, jakby znajdował się w koszarach, a dowódca przyłapał go na nieregulaminowej drzemce. Później uświadomił sobie, że dzwoni telefon.

Will chciał się dowiedzieć, czy O'Malley dzisiaj przychodzi do pracy.

- Jestem w środku śledztwa w sprawie morderstwa. Jasne, że będę.

- Dobra, bo ja już tu jestem. Długo nie zabawię. Innis przesłał faksem świadectwo zgonu.

Bardzo interesujące.

- Tak, to racja.

- Wyklucza gwałciiciela.

- Niestety.

- Lepiej dokładniej sprawdźmy tę trójkę. Nie sądzisz?

- Całkowicie się z tobą zgadzam - odrzekł Spencer.

- Widziałeś gazety, Tracy?

- Nie, nie miałem czasu.

- Nie bądź taki zgryźliwy. Przejrzyj gazety, jeśli masz jakieś pod ręką. Kristina jest na pierwszych stronach. Wszędzie piszą, że to gwałciiciel.

- Doskonale - powiedział O'Malley. - Ci ignoranci wydrukują kompletnie wszystko.

Poprosił Willa, by zadzwonił do Frankiego Absaloma w Bostonie z poleceniem natychmiastowego powrotu do Dartmouth, a także zapytał go,

czy ktoś może potwierdzić jego pobyt w Bibliotece Feldberga w noc śmierci Kristiny.

- Co, myślisz, że Frankie mógł ją zabić? - zapytał Will.
- Kto to wie? Nie przesłuchaliśmy jeszcze Frankiego. Ktoś ją zabił, dlaczego nie on?
- A motyw, Tracy?
- Sprowadź go, to się przekonamy.
- Tak. Powinniśmy też sprawdzić alibi jej przyjaciół, nie sądzisz?
- Jakie alibi?

Baker nie odpowiedział.

- Will, posłuchaj, idź do Biblioteki Feldberga na pierwsze piętro i zapytaj, czy któryś ze studentów nie uczył się tam późnym wieczorem dwudziestego trzeciego listopada.

- No cóż, dopiero jest wpół do jedenastej. W soboty studenci chyba tak wcześnie nie wstają - odparł partner. - A ja już rozmawiałem z grupą studentów w Feldbergu i wszystkimi, którzy zebrali się, jak ją znaleźliśmy. Z całą piętnastką.

- Tak?

- Co tak?

- Nie wiem. Na przykład: „Widziałem białego mężczyznę, wzrost sto osiemdziesiąt dwa centymetry, waga osiemdziesiąt kilogramów, jak ją popchnął, usiadł na niej i udusił”.

- O'Malley, opisujesz samego siebie.

- Idź do ochroniarzy w kampusie, Will, niech rozkleją afisze.

- Z jaką treścią? - zapytał Baker. - „Poszukiwany żywy lub martwy morderca Kristiny Kim”.

- Właśnie. Albo, jeśli to ci się nie podoba, niech napiszą, że wyznaczona jest nagroda za wszelkie informacje, które doprowadzą do aresztowania sprawcy i tak dalej.

- Nagroda? A wydaje ci się, że gdzie jesteś, w Nowym Jorku?

- Daj spokój, musimy mieć coś w budżecie.

- Tak, twoją pensję. Pogadam z księgowym, ale wątpię, czy coś z tego wyjdzie. Poza tym zapominasz, że w Dartmouth są bogaci studenci. Twoim zdaniem zaczną gadać za dwieście dolców?

- Miałem na myśli raczej dwa tysiące.

Will wybuchnął śmiechem.

- Zrób, co się da, porozmawiamy później - powiedział Spencer.

- Co zamierzasz robić dzisiaj?

- Wybieram się na przejażdżkę z Albertem Maplethorpe'em.

- Zapowiada się przyjemnie. Mogę wam towarzyszyć?

- Nie musisz. A potem jadę do Domu pod Czerwonymi Liśćmi, chcę porozmawiać z kobietą, która go prowadzi. Chcesz ze mną jechać?

- Nie, dzięki. W samo południe wracam do domu i będę tam aż do poniedziałku. Nie mamy jeszcze wyników badania krwi. Ani odcisków palców.

O'Malley jęknął.

- Wiesz, w Nowym Jorku wyniki badań krwi w sprawie o morderstwo są gotowe w przeciągu dwóch godzin.

- Tak, tak, a gdzie jest Nowy Jork, jak go potrzebujemy?

O'Malley z niecierpliwością oczekiwał na zakończenie rozmowy. Już za kwadrans jedenasta, dzień jest krótki.

- Dzwonili z biura prokuratora - powiedział Baker.

- Dlaczego tyle im to zajęło?

- Mieli trudności personalne i byli zajęci...

- Will - przerwał mu Spencer ze znużeniem - pytanie było retoryczne. - ... ale potem zobaczyli raport koronera. I nagle jest morderstwo.

- To było morderstwo od samego początku - warknął detektyw.

- No wiesz, brak krwi, śladów walki. Pytali, czy mają przysłać swoich ludzi...

- Tylko jeśli im zależy, żeby ja zrezygnował.

- Spencer, znowu zaczynasz. Oni chcą nam pomóc.

- Raczej przejąć śledztwo.

- Pomóc w odnalezieniu mordercy. Rozumiesz?

- Nie - oświadczył Spencer. - I co jeszcze?

Will chwilę milczał.

- Czy zamierzamy kogoś aresztować - odrzekł w końcu.

- Tak, powiedz im, że moją matkę. Mam nakaz aresztowania mojej matki. Ona zabiła Kristinę. Co oni, żartują sobie czy co? - O'Malley nie wierzył własnym uszom.

- Ludzie z biura prokuratora okręgowego pytali, czy mamy podejrzanych.

- Zadzwoń do nich i powiedz, że podejrzani to cztery tysiące studentów Dartmouth oraz stu więźniów na przepustce.

- Tracy, oni tylko chcą...
- Wiem, czego oni chcą - przerwał mu Spencer. - Zadzwoń do Innisa i poproś, żeby się pośpieszył z badaniem krwi. Landers też niech załatwi te odciski.
- Obaj powiedzieli, że wyniki będą na poniedziałek.
- Boże! Czy to norma, żeby brać wolne dni w trakcie dochodzenia w sprawie o morderstwo?
- Laboratoria w Concord mają nawal pracy.
- A tak, zapomniałem, w Święto Dziękczynienia zawsze popełnia się mnóstwo przestępstw - odparł O'Malley i przerwał połączenie.

Telefon natychmiast zadzwonił.

- Chciałem tylko o coś zapytać - odezwał się Will. - Nie widziałem zawartości jej skrytki bankowej.
- Wczoraj wpisałem wszystko w rejestr dowodów - warknął Spencer.
- Nie o to pytałem.
- Tak, ale nie przejmuj się, dobra? - I po raz drugi odłożył słuchawkę.

Wziął prysznic, włożył spodnie khaki i granatowy sweter, do skórzanej kabury na szelkach wsunął magnum z krótką lufą. Bez skutku poszukał w kuchni rozpuszczalnej neski. Andie O'Malley nie zdążyła nauczyć męża, jak obsługuje się ekspres do kawy, chociaż Spencer ciągle trzymał go na kredensie jako pamiątkę. Z puszką coca-coli usiadł przy kuchennym stole. Jednym ruchem zgarnął stare gazety na podłogę i wysypał na blat zawartość skrytki bankowej Kristiny.

Uważnie przeglądał każdy przedmiot. Szukał korespondencji od jej ojca oraz czegoś od lub do Alberta. Po prostu szukał, po prostu czuł ją żywą pomiędzy papierami.

Były listy od babki, która narzekała na kłopoty i tęskniła za Kristiną, za dziećmi bawiącymi się nad jeziorem.

Spencer patrzył na zdjęcie przedstawiające Kristinę Kim jako małą dziewczynkę z latawcem; wyglądała na nim niezwykle schludnie, jak dziecko otoczone troskliwą opieką, włosy miała krótkie i wyszcotkowane, za jej plecami połyskiwała cieśnina Long Island. Pomiędzy dziewczynką a wodą wznosił się niski kamienny murek, dalej ciągnęła się plaża. Zdjęcie zrobiono przypuszczalnie jesienią, na drzewach nie było już liści. Kristina sprawiała wrażenie bardzo szczęśliwej, uśmiechała się szeroko do fotografa.

Greenwich, pomyślał Spencer. Greenwich, Connecticut.

I znowu rozległ się dzwonek telefonu. Will znalazł pieniądze na nagrodę w budżecie i

zamierzał zwrócić się do władz college'u, by rozwieszano plakaty na budynkach administracyjnych, bibliotekach i akademikach.

- Ile? - zapytał Spencer.

- Pięćset dolarów - odparł partner z naciskiem, jakby było to pięćset tysięcy.

- Och... - O'Malley szeroko otworzył oczy. - Doskonale. Cóż, jeśli dzięki temu nie złapiemy zabójcy, to nic nam nie pomoże.

Wrócił do rzeczy Kristiny. Nie znalazł niczego od jej ojca. Musiała pewnie wyrzucić wszystkie listy, w których pisał, że nie jest już jego córką.

Na odwrocie jednego z listów od babki znalazł wiadomość rozpoczynającą się od słów: „Najdroższy Albercie”.

Właściwy list nie zawierał niczego istotnego; notatka do Alberta nie miała związku z treścią.

Najdroższy Albercie,

proszę, bardzo proszę, nie pozwól, by słowa George'a Bernarda Shawa znalazły zastosowanie do Ciebie...

„Z jej powodu sam na siebie

Sprowadzisz

Zagładę”.

Całuję, Rocky

Spencer czytał te słowa wciąż od nowa, aż wreszcie utrwaliły mu się w pamięci. Nie rozumiał ich jednak, ani za pierwszym, ani za setnym razem.

Notatkę napisano na odwrocie starego listu, ukrytego wśród kopert, zdjęć i serwetek, niemal tak, jakby zostawiono ją tam dla zainteresowanego.

- No, Albercie - powiedział detektyw głośno, wstając i zabierając list. - Nadchodzi pora przedstawienia.

Pojechał do akademika Hinmana. Było wpół do drugiej w szare i pochmurne grudniowe popołudnie.

Albert był sam w swoim pokoju. Przywitali się skinieniem głowy.

- Ma pan kilka minut? Chciałbym, żeby wybrał się pan ze mną na przejażdżkę - odezwał się Spencer. - Chcę panu coś pokazać.

- Jasne - odrzekł chłopak, wkładając skórzaną kurtkę. - Zrobię wszystko, co w mojej mocy,

żeby panom pomóc.

- Możemy zabrać Arystotelesa? - zapytał Spencer.
- Raczej nie. On cierpi.
- To dobry pies. Chciałbym go zabrać.

Chłopak wzruszył ramionami.

- Skoro tak, to niech pan go bierze.

Wsiedli do samochodu. Na West Wheelock Spencer skręcił w prawo i przejechał na drugi brzeg rzeki, naturalnej granicy pomiędzy stanami New Hampshire oraz Vermont i dalej przez ciche i urocze miasteczko o nazwie Norwich do dwupasmówki, przy której rosły nagie teraz drzewa.

Mijali zasypane śniegiem pola, farmy i białe domy w stylu kolonialnym.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Albert grzecznie.
- Nigdy tędy pan nie jechał? Nie był pan w Thetford Hills?
- Tędy, to znaczy dokąd? - Głos tamtego nie był już taki uprzejmy.
- Niedaleko stąd jest ośrodek wypoczynkowy. Chciałbym go panu pokazać.

Reszta drogi upłynęła im w milczeniu. Z tylnego siedzenia dochodziło sapanie Arystotelesa.

- Tu skręcamy w lewo - odezwał się Spencer w końcu. - Rozpoznaje pan to miejsce?
- Nie - zaprzeczył Albert ponuro.
- Hmm, a pies je rozpoznaje. - To była prawda, labrador nie posiadał się z radości, jego ogon ożył.

- Arystoteles należał do Kristiny - oświadczył chłopak obojętnie.

O'Malley obserwował psa, gdy jechali w górę zbocza błotnistą drogą. Na pierwszy domek nie zareagował, patrzył prosto przed siebie i dyszał. Na szczycie wzgórza była polana, na której stały dwa drewniane pawiloniki z widokiem na okolicę.

Detektyw zaparkował i wysiadł z samochodu.

- Ładnie tu - ocenił. - Bardzo spokojnie.

Albert milczał. On także wysiadł z samochodu i stanął obok. Arystoteles oszalał, biegał od domku do domku i szczekał.

- Szczęśliwy pies - zauważył Spencer.
- Tak, bardzo szczęśliwy - potwierdził Albert. Detektyw odwrócił się do niego.
- Rozpoznaje pan to miejsce?

- Nie.

- Czyżby? W takim razie zajrzyjmy do księgi gości, dobrze?

Chłopak nie odpowiedział. O'Malley przez chwilę mierzył go badawczym wzrokiem, później powtórzył:

- Dobrze?

- Zgoda - odrzekł wreszcie Albert i ruszył ku domkowi usytuowanemu bliżej szczytu wzgórza. Pierwszy wszedł po stromych schodach i otworzył drzwi. Spencer wolno i z namysłem podążył jego śladem.

Księga gości znajdowała się na niskim murku koło drzwi. Wnętrze było ciepłe i przytulne, ozdobione drewnem, kamieniami i kutym żelazem. Na podłodze leżały chodniki i stały wygodne fotele. Wszędzie było mnóstwo książek. Kiedy Spencer zadzwonił, żeby zasięgnąć informacji o Fahrenbrae,

dowiedział się, że matka właściciela pracowała jako bibliotekarka w sąsiednim miasteczku. Najwyraźniej pragnęła przekazać swą miłość do książek gościom ośrodka.

- Niech pan szuka - odezwał się Albert.

Spencer posłuchał. Przejrzał nazwiska poczynawszy od zeszłego lata, nie znalazł jednak żadnej Kristiny Kim ani Kristiny Sinclair, nie było też Alberta Maplethorpe'a. Nie zaskoczyło go, że nie trafił na Kristinę. Jeszcze raz odczytał wpisy, z większą teraz uwagą, lecz bez efektu.

- Zadowolony? - rzucił chłopak.

Sierżantowi to się nie spodobało.

- Tak, bardzo. Niech mi pan jednak powie jedną rzecz - zapytał, zamykając księgę gości. - Skoro nigdy pan tu nie był, to skąd pan wiedział, że do domu można wejść bez klucza?

Na twarzy tamtego pojawił się wyraz przestachu; trwało to tylko chwilę, lecz Spencerowi wystarczyło. Albert kłamał.

- Niech pan da spokój - roześmiał się chłopak swobodnie - to jest Vermont, na litość boską, a nie Nowy Jork. Każdy wie, że tutaj nikt nie zamyka drzwi na klucz. Ludzie są ufni.

- Jasne, racja - odparł detektyw.

- Po co pan mnie tu przywiózł? Bo chyba nie po to, żeby czytać księgę gości?

- Chce pan rozmawiać tutaj czy woli pan pojechać na komendę?

Kiedy Albert nie odpowiadał, Spencer oznajmił:

- Tak myślałem.

- O czym chce pan rozmawiać? - zapytał Maplethorpe. Dłonie wsunął do kieszeni skórzanej kurtki i uśmiechnął się ciepło; jego czarne oczy lśniły. Na zewnątrz Arystoteles, nie bacząc na mróz, próbował wykopać tunel koło rozłożystego dębu.

- Niech mi pan opowie o Kristinie.

- Czyli co?

Detektyw musiał stłumić wszystkie swoje uczucia, by zadać następne pytanie. W domu było tak przytulnie; miał ochotę zapalić ogień w kominku i zapomnieć o umarłych.

- Czy pan ją kochał? - odezwał się wreszcie.

Albert przyjrzał się mu, a później bez śladu niepokoju w głosie zapytał:

- O czym pan właściwie mówi?

- Powinien był pan wcześniej wszystko mi wyjaśnić. Powinien pan być powiedzieć mi o niej i o sobie w czasie naszej ostatniej rozmowy.

- Nie ma nic do opowiadania - odparł tamten, patrząc mu prosto w oczy.

- Czy jak żyła, to także się jej pan wypierał? Dlaczego wypiera się jej pan teraz, gdy umarła? Niech pan będzie mężczyzną. Ona nie żyje, a tak bardzo pana kochała. Dlaczego pan kłamie?

Albert pochylił głowę.

- Nie kłamię - odezwał się ciszej niż przedtem.

- Dajże pan spokój. - Spencer miał już tego dość. - Sprawy nie wyglądają dobrze ani dla pana, ani dla Jima, ani dla Conni. A dla waszego przyjaciela Frankiego wręcz fatalnie, bo go nie ma.

Chłopak obserwował biegającego po polanie psa. Wreszcie odezwał się, z trudem wypowiadając każdą sylabę:

- Nie mówiłem panu, ponieważ...

- Tak?

- Ponieważ cała ta sytuacja jest straszna.

- Trudno mi się nie zgodzić.

- Nie, chodzi mi o to, że Kristina umarła, ale Conni żyje. I Jim także żyje.

- A pan też nie umarł.

- Czyżby? - rzucił Albert roztrzęsionym głosem, budząc w Spencerze współczucie. - A cóż we mnie żywego?

Detektyw rozważył to pytanie. Jego rozmówca oddychał - to chyba można nazwać życiem. Nie był nagi, nie leżał w śniegu przez dziewięć dni, zapomniany przez najbliższych przyjaciół.

Ona była popularną koszykarką, piękną dziewczyną, a kiedy umarła, nikt jej nie szukał. O'Malley poczuł, że oczy go pieką od tej niesprawiedliwości. A może tylko od braku snu.

Jakby czytając mu w myślach, Albert dodał:

- Nie trzeba wymierzać mi sprawiedliwości. Codziennie przeżywam katusze.
- Katusze! - wykrzyknął Spencer pogardliwie.

Twarz chłopaka przybrała barwę popiołu.

- Katusze - powtórzył szeptem i trzęsącymi się dłońmi uniósł do ust papierosa. - To było niemożliwe. Nasza miłość była niemożliwa. Nie mogłem wyprzeć się Kristiny, kiedy żyła, i nie wypieram się teraz. Nie chcę tylko zranić Conni i Jima.

Spencer wyciągnął ręce, jakby chciał nim potrząsnąć, zaraz jednak je opuścił.

- Ależ Conni wie, że to prawda. Jim też. Wiem to nawet ja, choć ledwo pana znam...
- W ogóle pan mnie nie zna - odrzekł Albert.
- Och, znam pana lepiej, niż pan sądzi.
- Nie wydaje mi się.
- Czy pojechał pan razem z Kristiną do Edynburga?

- Nie pojechaliśmy razem - wyjaśnił, dmuchając dymem na dłonie. Z kącika ust zwiślał mu papieros. - Ale byliśmy w Edynburgu. Oboje specjalizowaliśmy się w filozofii i wzięliśmy udział w wymianie studentów.

- Rozumiem. Edynburg wiele dla Kristiny znaczył.
- Tak.
- Zachowała pudełka zapalek z hoteli, gdzie mieszkaliście, i serwetki z pubów.
- Naprawdę?

Co brzmiało w jego głosie? Żal? Czułość? Niepokój? Spencer nie zdołał odgadnąć.

- Nie może pan udawać, że Conni o niczym nie wiedziała.

- Nie sądzę, by wiedziała.

- Rzeczywiście? To dlaczego wybiegła o pierwszej w nocy w śnieżycę, by z taką desperacją pana szukać?

- Czasami... przesadzała. Conni jest bardzo impulsywna - odrzekł Albert.

- Impulsywna? Przesada? Ona po prostu oszalała! Przyjaciółki nie wywołują takich reakcji u partnerek. Kłamstwa owszem, a także kochanki, oszustwa i zdrada. Czy zdradzał pan Conni?

- Nikogo nie zdradzałem, mówię panu, nikogo.

- Czy Conni będzie myślała, że pan jej nie zdradził?

- Tak. A do czego pan właściwie zmierza?

- Niech pan posłucha - powiedział Spencer. - Tak się pan przyzwyczaił do kłamstw o sobie i Kristinie, że teraz nie wie pan, kiedy przestać. A ja panu mówię, żeby pan przestał, i to natychmiast. Wyprowadza mnie pan z równowagi.

Wyszli z domku i stali teraz obok starego hamaka pokrytego śniegiem. Albert zadrżał i zapiał kurtkę.

- Wie pan co - westchnął - ja naprawdę nie kłamię. Cała ta sprawa jest okropna.

Zdesperowany detektyw zaklął w duchu. Okolica była piękna, góry, śnieg, rozciągająca się poniżej dolina. Dlaczego nie poczuł ulgi, dlaczego nie ogarnął go spokój? Czemu przyjazd tutaj tak silnie wpływał na emocje, z którymi O'Malley nie mógł poradzić sobie w obecności tego młodego człowieka, z każdą minutą budzącego w nim coraz większą niechęć.

- Cóż z pana za człowiek? Jacy byliście oboje, pan i Kristina? Gołym okiem widać, że Conni pana kocha, a Jim kochał Kristinę...

Albert prychnął.

- Dlaczego tak wstrętnie ich potraktowaliście? - ciągnął Spencer. -Dlaczego? Przecież mogliście z nimi zerwać i być ze sobą?

- Nie zrobiliśmy tego, bo wszyscy byliśmy przyjaciółmi i chcieliśmy tę przyjaźń zachować. Poza tym Kristina i ja nie byliśmy dla siebie właściwymi partnerami. Detektywie O'Malley, niech pan posłucha, będę musiał żyć z tym do samej śmierci. Staram się wynagrodzić wszystko Conni, próbuję być dobrym przyjacielem dla Jima, usiłuję zostawić to za sobą. Kristina i ja nie mogliśmy się od siebie uwolnić, ale teraz ona nie żyje i wszystko się skończyło. Teraz muszę myśleć o żywych.

- Żywych, tak? - Spencer przypomniał sobie krew pod paznokciami Kristiny i zadrapanie na policzku Conni. - Pozwoli pan, że o coś zapytam - dodał ostro. - Kiedy wszyscy jeszcze byliście żywi, czy według pana Conni mogła do tego stopnia stracić rozsądek w kwestii pana i Kristiny, że ją zabiła?

Albert sprawiał wrażenie szczerze poruszonego.

- Ja... - wyjąkał - nie wiem... oczywiście że nie... to znaczy, o czym pan mówi? Jasne że nie.

- Jasne? Pod paznokciami Kristiny była krew. Nie zamierzam wyciągać pochopnych wniosków, poczekam z tym do poniedziałku.

- Krew? - powtórzył tamten z ożywieniem. - No i co z tego? To prawdopodobnie nic takiego.

- Pańska kochanka została zamordowana. Każdy drobiazg coś znaczy.

Chłopak próbował zapalić kolejnego papierosa, lecz dłonie za bardzo mu się trzęsły.

- Nie, detektywie, nie. Jestem pewny... pewny, że to tylko... naprawdę, to nieistotne. Niech mi pan wierzy.

- Czy Conni zabiła Kristinę? Czy pan ją ochrania?

- Nie! Jasne że nie... - Urwał, papieros upadł w śnieg. - Boże... nie rozumiem, co się dzieje.

- Powiem panu, co się dzieje. Doprowadził pan Conni do szaleństwa kłamstwami. Każdy zdrowy na umyśle człowiek w końcu by pękł.

- Nie doprowadziłem jej do szaleństwa! A ona nie pękła, w Święto Dziękczynienia się zaręczyliśmy.

- To niezwykle dogodne. A co z Kristiną?

- Mówiłem już, Kristina i ja... zerwaliśmy, próbowaliśmy z tym skończyć.

Nie chciała ciągnąć romansu za plecami pozostałych, ona... wiedziała, że Conni i ja chcemy się zaręczyć. Sprawa była skończona.

- Dlaczego nie został pan z Kristiną?

- O tym też już panu mówiłem - odrzekł po chwili Albert cichym, smutnym głosem. - Nie byliśmy dla siebie odpowiedni.

- Dlaczego? - I kto, do cholery, nawet by o tym myślał? Nieodpowiedni dla siebie? Na litość boską, oboje przecież studiowali w college'u!

- Jim i Kristina lepiej do siebie pasowali. On bywał w lepszym towarzystwie. Był dla niej dobry.

- A pan? Bywa pan tu i tam? Lepiej pan pasuje do Conni?

- Nie wiem, nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

- Nie? Jak długo jesteście razem?

- Trzy lata.

- I ani razu nie zadał pan sobie pytania, czy jest pan dla niej dość dobry? - zapytał Spencer z niedowierzaniem.

- No wie pan - odparł Albert kwaśno - chyba przestałem zadawać sobie to pytanie, kiedy zrozumiałem, że dla nikogo nie jestem dobry. - Jego głos brzmiał sucho i chrapliwie.

- Dla nikogo? Chce pan powiedzieć: dla Kristiny.

- Niech pan posłucha! Oboje byliśmy bez grosza, nie miałem pojęcia, co chcę zrobić ze swoim życiem, a ona pragnęła stabilizacji, kariery, uczciwego życia. Zależało nam na kompletnie różnych rzeczach.

- Oboje byliście bez grosza? Cóż, w tej kwestii pan się pomylił, prawda?

- Na to wygląda - stwierdził Albert sarkastycznie.

- Nigdy panu nie wspomniała, że odziedziczy jakieś pieniądze?

- Nie.

- Nie uważa pan, że to dziwne? Kochanka ukrywa przed panem, że wkrótce zostanie milionerką?

- Tak, uważam to za dziwne. Ale nic mi nie mówiła.

- Zastanawiam się, dlaczego.

- Nie wiem. Czemu pan jej nie zapytał?

Spencer zmierzył go zimnym wzrokiem. Wyjął notatkę Kristiny i podsunął mu tuż pod oczy.

- Czy pan coś z tego rozumie?

Chłopak cofnął się, chcąc przeczytać.

- Co to jest? - zapytał.

- Nie wiem. Kristina zapisała panu zawartość skrytki bankowej. Fatalnie dla pana, że została zabita i teraz wszystko jest dowodem. Co to znaczy?

- A skąd mam wiedzieć, do diabła?

- „Z jej powodu sam na siebie sprowadzisz zagładę”. O co jej chodziło?

- Nie mam pojęcia.

- Czy przez sposób, w jaki to zdanie napisała, chciała szczególnie podkreślić wyraz „sprowadzisz”?

Albert ponownie zerknął na kartkę.

- Naprawdę nie umiem panu odpowiedzieć.

- Kristina zadała sobie trud, by napisać tę wiadomość na odwrocie starego listu. Było to... niech spojrzę. - Odczytał datę: - 23 listopada 1993 roku. - Skierowała do pana ten cytat z prośbą, by owe słowa nie znalazły zastosowania w odniesieniu do pana. Co to znaczy?

- Skąd mam wiedzieć? - Roześmiał się bez przekonania. - Kristina czasami była dziwna.

- Tak, „dziwna” to jeden sposób na jej scharakteryzowanie. „Nieżywa” to inny.

Albert pochylił głowę.

- Tak. Nieżywa.

Spencer wsunął kopertę do kieszeni.

- Mógłbym ją dostać? - zapytał chłopak.

- W żadnym razie. „Z jej powodu sam na siebie sprowadzisz zagładę”. Muszę rozgryźć to zdanie.

- Też bym chciał - odrzekł Albert. Nic więcej jednak nie dodał. O'Malley milczał, zastanawiając się nad kolejnym dręczącym go problemem.

- Proszę mi opowiedzieć, jak ją pan poznał - odezwał się wreszcie.

- Mówiłem, chodziliśmy razem na zajęcia.

- Zajęcia - powtórzył Spencer; z całą ostrością uświadomił sobie, że zęby mu szczękają. - Kiedy to było?

- Też już mówiłem, na pierwszym roku.

- Dartmouth! - Pokiwał głową detektyw. - Ładny college. Ale kosztowny. A pan nie ma rodziny. W jaki sposób płaci pan za czesne?

- Stypendia, granty, kredyty.

O'Malley z namysłem dotknął ręką twarzy.

- A jak specjalizujący się w filozofii student zamierza oddać osiemdziesiąt tysięcy?

- Nie sądzę, bym aż tyle był winien, zresztą nie wiem.

- Nie, chyba pan nie wie. - Spencer miał nadzieję, że tamten dosłyszcy sarkazm w jego głosie. -

Więc ile jest im pan winien?

- Nie mam pojęcia.

- Przypuszczalnie sporo?

- Przypuszczalnie.

- Cóż, pieniądze od Kristiny...

- Jakie pieniądze? - przerwał tamten niegrzecznie.

- Pozwoli pan, że skończę. Te pieniądze na kontach Kristiny - pańska część wynosi ponad trzy miliony dolarów. Spłaciłby pan wszystkie długi, nie sądzi pan?

- Tak, ale ja nie chcę jej pieniędzy.

- Rozumiem. Jest pan dumny. Czy to coś nowego?

- A to co znowu ma znaczyć?

- Co to ma znaczyć? Czy według pana wyglądam na idiotę?

- Nie - odrzekł Albert, patrząc na Spencera twardo.
- A moim zdaniem bierze mnie pan za kompletnego idiotę.
- Tego to już zupełnie nie rozumiem.

Detektyw zrobił krok w jego kierunku i przez zaciśnięte zęby powiedział:

- Ona płaciła pańskie chesne. Nie jest pan nikomu winien ani grosza.

Albert milczał. Pośród wzgórz Vermontu hulał wiatr. Pies leżał na śniegu i gryzł jakiś patyk, wokoło panowała cisza. Nic dziwnego, że Kristina lubiła tu przyjeżdżać. Ale z nim?

- A jeżeli... tak było? - odezwał się w końcu Albert. - Jeśli nawet? To nie jest sprzeczne z prawem.

- To nie, za to oszukiwanie oficera policji jest.

Chłopak milczał.

- Myśli pan, że jestem idiotą? - powtórzył Spencer.

- Nie!

- Ona płaciła pańskie chesne od pierwszego roku - oświadczył podniesionym głosem O'Malley.

- I co z tego?

- Zapłaciła za pierwszy rok - powtórzył Spencer z naciskiem. - Dlaczego, skoro dopiero na pierwszym się poznaliście?

Albert nie odpowiedział. Później uniósł wzrok i utkwiał go w twarzy detektywa, który poczuł, jak po plecach przechodzi mu zimny dreszcz. Był przekonany, że nie ma to związku z pogodą. Nagle zrozumiał, że w każdej chwili może umrzeć, teraz, tutaj, pośród pokrytych śniegiem gór, a jedno jest pewne: Arystoteles nie będzie go odgrzebywał z zasy.

Jak mógł okazać taką beztroskę, żeby przyjeżdżać na odludzie z człowiekiem, którego nie zna? Jest tutaj bez wsparcia i nikt nie wie, co robi i z kim. Uświadomił sobie, że podczas tego śledztwa żadnego z przyjaciół Kristiny nie traktował poważnie.

Tamten musiał czytać w jego myślach.

- Niech się pan nie denerwuje - oświadczył zimno. - Nie zabiłem jej i panu nie zamierzam zrobić krzywdy... Przestraszył się pan? - zapytał po krótkiej przerwie. - Przeszło panu przez głowę, że gdybym uznał, że znalazłem się w sytuacji bez wyjścia, to mógłbym się na pana rzucić? - Roześmiał się głośno. - Nie musi się pan niepokoić, detektywie O'Malley. Nie zostałem zapędzony w kozi róg i nie mam najmniejszego zamiaru tam się znaleźć. Ma pan rację, znaliśmy

się krótko przed przyjazdem do Dartmouth. Mogę panu o tym opowiedzieć, aczkolwiek nie rozumiem, jaki to ma związek ze śmiercią Kristiny.

- Nie do pana należy ocena - odparł chłodno Spencer.

- Jasne. Cóż ja wiem? Tylko studiuję filozofię.

I poza tym łiesz jak najęty, pomyślał detektyw.

- Wracajmy - powiedział szorstko.

Tamten ruszył w kierunku samochodu, po kilku krokach jednak przystanął.

- Niech pan poczeka chwilę. Zaraz wracam.

- Nigdzie pan nie pójdzie.

- To potrwa minutę. Muszę coś wziąć.

- Nie, nie pójdzie pan.

- Zaraz wracam - oznajmił chłopak i poszedł w stronę domu. W ułamku sekundy detektyw zagroził mu drogę.

- Powiedziałem: nie. Nie wiem, co pan planuje, ale na pewno to się panu nie uda.

Albert nie cofnął się, nawet nie mrugnął.

- Detektywie O'Malley, chcę zabrać jej płaszcz - wyjaśnił cierpliwie; jego czarne oczy błyszczały. - Kristina zostawiła tu płaszcz, a ja chcę go wziąć. Może pan iść ze mną.

- Niech mnie pan nie zmusza, żebym pana aresztował. Z przyjemnością zatrzymam pana w celi na noc.

Jednakże słowa te nie wywarły na Albercie takiego wrażenia, jak na Jimie. Ten student nie zamierzał zostać politykiem i najwyraźniej niewiele się przejmował tym, czy spędzi noc w więzieniu, a jego odpowiedź sprawiła, że Spencer drgnął.

- Dobrze, noc w więzieniu za płaszcz Kristiny. Umowa stoi.

Spencer wyjął magnum i wycelował w twarz Alberta.

- Nie ruszaj się - syknął. - Odwróć się, wracaj do samochodu i wsiadaj. Nie próbuj żadnych sztuczek.

Chłopak stał, a wyraz jego twarzy mówił wyraźnie, że się nie boi.

- Bo co, detektywie? Zabije mnie pan?

- Odwróć się i idź - powtórzył O'Malley przez zaciśnięte zęby.

Albert uśmiechnął się szeroko, po przyjacielsku. Dzielilo ich tylko kilka kroków. Nie przestając się uśmiechać, błyskawicznie uniósł lewą nogę i wytrącił magnum z dłoni detektywa.

Broń wylądowała na ziemi dziesięć kroków od nich.

- Mam czarny pas w karate - oznajmił Maplethorpe radośnie.

O'Malley wymierzył mu cios w splot słoneczny, powalając go na ziemię, następnie chwycił za rękę i wykręcił ją do tyłu.

- A ja jestem funkcjonariuszem policji, ty sukinsynu, i nie będziesz mi groził, rozumiesz?

Tamten z trudem łapał powietrze. Spencer jednym ruchem podniósł go na nogi i trzymając za wykręcone ramię, zaprowadził szybko do samochodu, gdzie rzucił chłopaka na tylne siedzenie.

Później przez radio wezwał Raya Fella.

Podniósł magnum i stanął obok samochodu, celując w swego więźnia.

Na początku obaj milczeli. Albert nie patrzył na niego. Po jakimś czasie zza zamkniętych drzwi dobiegł jego głos:

- Doskonały ruch, detektywie O'Malley, choć naturalnie gdyby ktoś chciał pana zabić, już by pan nie żył.

Spencer pozornie zachował spokój, choć serce zaczęło mu bić mocniej.

- A pan byłby w drodze na krzesło, panie Maplethorpe.

Albert pochylił się do okna i szeroko uśmiechnął.

- Kto mówi, że dałbym się złapać?

Po trzydziestu minutach oczekiwania na mrozie Ray Fell wreszcie się pojawił. Na widok jego samochodu Spencera ogarnęła radość. Kazał Fel-lowi odbezpieczyć broń i wziąć na muszkę zatrzymanego, a gdyby ten się poruszył, strzelać, sam zaś poszedł do domku i tak długo szukał, aż w szafie przy jednej z sypialń znalazł stary płaszcz z czerwonego kaszmiru. W szafie poza tym nic nie było. Spencer dokładnie obejrzał okrycie - kieszenie były puste.

Podniósł płaszcz do twarzy. Poczul słaby zapach piżma i mydła i uświadomił sobie, że to zapach Kristiny. Zamknął oczy. Przeszło mu przez myśl, by nie oddać swego znaleziska Albertowi, tylko zatrzymać je dla siebie. Mógł spokojnie pozwolić chłopakowi pójść po płaszcz, lecz o tym przekonał się dopiero teraz. Z tego, co Spencer wiedział, Maplethorpe mógł przecież trzymać uzi w jednej z szaf domku.

Detektyw zawiózł zatrzymanego na komendę policji w Hanover, odczytał mu jego prawa i zamknął w celi.

Po godzinie zapytał, czy tamten chce gdzieś zadzwonić.

- Nie chcę żadnych kłopotów - odrzekł Albert po chwili.

- Doskonale, bo już masz ich sporo - zauważył detektyw.

- Nic nie zrobiłem.

- Czyżby? A grożenie oficerowi policji? Utrudnianie śledztwa? Masz szczęście, że nie oskarżę cię o napaść.

Maplethorpe popatrzył na niego przez kraty celi.

- Mam szczęście, detektywie?

O'Malley był tak zły, że podrywając się z krzesła, zrzucił na podłogę lampę stojącą na biurku.

O ósmej wieczorem zadzwonił do Willa do domu i opowiedział mu, co zaszło.

- Oszalałeś - oświadczył mu partner. - Jak mogłeś pojechać tam sam?

- Nie pojechałem sam - odrzekł Spencer - tylko z Albertem. Liczyłem na przyjemną pogawędkę.

- Rozumiem. I dlatego teraz wsadziłeś go za kratki?

- Wsadziłem go za stawianie oporu policji.

- I co chcesz przez to udowodnić? Jest sobota wieczór. Sądy są zamknięte, on nie może postarać się o kaucję, nie ma pieniędzy na adwokata...

- Powinien był o tym wcześniej pomyśleć, prawda?

- To tylko głupi smarkacz, Spence - perswadował Will. - Daj mu spokój, a sam idź do domu.

Nie przejmuj się tak bardzo.

Detektyw jednak nie poszedł do domu i nie mógł dać spokoju Albertowi. Minął biura i usiadł obok celi.

- Zdejmie mi pan te kajdanki? - zapytał chłopak, gdy milczenie się przedłużało.

- Nie wiem. Powinienem chyba skuć ci nogi, no nie?

Tamten nie odpowiedział. Po jakimś czasie Spencer kazał mu podejść i odpiął kajdanki. Rozcierając przeguby, chłopak usiadł na pryczy.

- Podaj mi jeden sensowny powód, dla którego nie powinienem zatrzymać cię tu do poniedziałku rano i nie oskarżyć o zamordowanie Kristiny Kim.

- Sensownym powodem jest to, że jej nie zabiłem.

- Skąd mam to wiedzieć?

- Stąd mianowicie, że w towarzystwie tamtego chłopaka oglądałem głupi film. Stąd, że... że ją kochałem.

O'Malley milczał.

- Stąd, że kochałem ją nade wszystko w świecie - ciągnął Maplethorpe. - Raczej sam bym umarł, niż ją skrzywdził. Zgodziłbym się, żeby kula przeznaczona dla niej trafiła we mnie. Nie boję się, detektywie.

- To widzę - odparł Spencer.

Zapadło milczenie. Obserwował uważnie chłopaka, który nie odrywał wzroku od swoich dłoni.

- Nie rozumiem, Albercie - odezwał się wreszcie. - Po prostu nie umiem pojąć. Jak to możliwe, że kochałeś Kristinę, a spotykałeś się z Conni? O co tu chodziło?

Tamten wzruszył ramionami.

- Kocham Conni - wyjaśnił - tylko nie jestem w niej zakochany. Ale ona jest dobra i kocha mnie, i nie ma żadnego powodu, by ją ranić.

- Ranić? A nie uważasz, że rani ją to, że nie jesteś w niej zakochany?

- Nigdy tego przed nią nie ukrywałem. Ona wie, co czuję. Wie też, że jeśli się ożenię, to z nią, a nie z inną, bo ona jest dobra.

- Dobra? - Spencer wstrzymał oddech. - Nie rozumiesz, co mówię? Niewykluczone, że Conni zabiła Kristinę.

Albert gwałtownie pokręcił głową.

- Nie, to niemożliwe.

- Wiesz, co ja bym zrobił na miejscu Conni, gdybyś dręczył mnie kłamstwami, a ja bym podejrzewał, że sypiasz z moją najlepszą przyjaciółką? Zabiłbym ją o wiele wcześniej. Ją i ciebie.

Maplethorpe pominął jego słowa milczeniem. O'Malley czekał, zdając sobie sprawę z tego, że jak tonący chwyta się brzytwy. Gdyby tylko ta trójka nie zamierzała przekazać pieniędzy na Dom pod Czerwonymi Liśćmi. Wtedy miałyby w ręku konkrety.

Aczkolwiek i tak byłoby to niewiele. Nie znalazł naocznego świadka. Nie odkrył narzędzia zbrodni. Nie wysledził nawet motywu. W gruncie rzeczy nie miał sprawy.

A poza tym... miał mnóstwo sprzecznych emocji związanych z osobą nieżyjącej dziewczyny. To było dość. To było mnóstwo. Kristina Kim została zamordowana. Na jej klatce piersiowej widniały ślady kolan, pod paznokciami znajdowała się krew.

O'Malley torturował Alberta, wiedział o tym, ale to było tak, jakby Maplethorpe tkwił pod paznokciami Spencera.

Był taki okres, kiedy detektyw tylko spojrzał na człowieka i mógł powiedzieć o nim coś istotnego; Andie mawiała, że obdarzony jest wyjątkowym darem. Nie znaczyło to jej zdaniem, że nie był mądry, bo był, nie znaczyło też, że nie był przystojny, bo był. Ale Spencer Patrick O'Malley miał też wilczy instynkt. Co się z nim stało? - pytał teraz sam siebie.

- Właściwie nic o tobie nie wiem - powiedział wreszcie. - Poza tym, że mnie okłamałeś i rzuciłeś się na mnie.

- Nieprawda, to pan celował we mnie z magnum. Przykro mi z powodu tego incydentu. Zaskoczył mnie pan.

Spencer wstał.

- Ja cię zaskoczyłem? - Roześmiał się, ruszając do drzwi. - Dobranoc, Albercie. Oficer na nocnej służbie przyniesie ci kanapkę i coś do picia.

Chłopak złapał za kratki.

- Chce mnie pan tu zostawić?

- Sądziłem, że się nie boisz - odrzekł z uśmiechem detektyw.

Po tych słowach poszedł do domu.

Wrócił o siódmej rano w niedzielę. Funkcjonariusz pełniący nocną służbę powiedział:

- Wiesz, ten facet ani na chwilę się nie położył. Całą noc przesiedział, trzymając się za głowę.

Spencer poczuł wyrzuty sumienia. Otworzył celę i powiedział:

- No, Albercie, czas iść.

Tamten bez słowa wstał i wyszedł.

- Podwieźć cię do domu? - zapytał detektyw.

- Proszę o jej płaszcz - odrzekł cicho chłopak.

I znowu sumienie nie dawało Spencerowi spokoju, gdy z bagażnika auta wyjmował płaszcz Kristiny.

Czuł się zagrożony przez Alberta. W tym chłopaku było coś niezgłębionego, co niepokoiło detektywa. Może chodziło o to, że Albert się nie bał, a O'Malley zawsze wystrzegał się ludzi, którzy się nie boją.

Mają tak mało do stracenia.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

CONSTANCE TOBIAS

Gdzieś ty byt? - szepnął Will Baker z irytacją, gdy w poniedziałek rano Spencer wszedł do biura. - Wszędzie cię szukałem.

- Byłem... no wiesz... Wybrałem się na przejażdżkę.

- Przejażdżkę? A dokąd?

- Do Connecticut. - Spencer poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. -Will, mam ci sporo do opowiedzenia. Znalazłem matkę Kristiny, Katherine Sinclair.

- Kogo? Boże wielki, Tracy, musisz przestać robić sobie przejażdżki w samym środku dochodzenia w sprawie o morderstwo. Najpierw ten Albert, teraz to. A w dodatku wyglądasz okropnie. Co się z tobą dzieje?

O'Malley rzucił kluczyki na biurko.

- Czy ty w ogóle mnie słuchałeś, Will?

- Bardzo uważnie. Co matka Kristiny ma wspólnego z tym bałaganem? A teraz ty posłuchaj, bo ja też mam ważną sprawę.

- Co się dzieje? - Spencer zdjął kurtkę. Nie miał ochoty się bronić.

Will ujął go pod ramię i pociągnął za sobą na korytarz. Przez uchylone drzwi w pokoju przesłuchań widać było Frankiego Absaloma, siedzącego samotnie na krześle.

- Co to ma znaczyć? - zapytał Spencer.

- Wrócił wczoraj w nocy. Bez przerwy do ciebie dzwoniłem.

- Ma coś nowego do dodania?

Baker spojrzał na Spencera znacząco.

- Twierdzi, że tak, ale żąda rozmowy tylko z tobą.

O'Malley już zamierzał wejść do pokoju, lecz Will go powstrzymał.

- Najpierw szef chce się z tobą widzieć.

- Natychmiast?

- Szybciej.

Kiedy Spencer zamknął za sobą drzwi gabinetu, Ken Gallagher trzasnął plikiem gazet o szary

blat biurka.

- Tracy, gdzieś ty, do diabła, wczoraj się podziewał?

- Byłem...

- Baker dzwonił do ciebie do domu chyba z tysiąc razy! Mówił ci? Frankie Absalom uparł się, że pilnie chce z tobą porozmawiać, a ciebie nigdzie nie można znaleźć! Więc gdzie byłeś, cholera?

- Właśnie próbuję panu odpowiedzieć...

- No to mów! Niech to szlag trafi, myślałem, że prowadzisz śledztwo w sprawie morderstwa!

- Cały czas to robię - odparł Spencer spokojnie. - Pojechałem zobaczyć się...

- Wiesz, że z twojego powodu musieliśmy zatrzymać na noc Absaloma?

- Dlaczego?

- Tracy, to ja tutaj zadaję pytania - oświadczył Gallagher, mimo to udzielił odpowiedzi: - Bo nie wiemy, czy przypadkiem nie mamy do czynienia z mordercą. Więc gdzie byłeś?

- W Connecticut - odrzekł Spencer pośpiesznie, na wypadek gdyby znowu mu przerwano.

- Po co?

- Porozmawiać z matką ofiary.

- Matką? - Gallagher głośno wciągnął powietrze, lecz nic więcej nie powiedział. Spencer, korzystając z przerwy, ciągnął:

- Tak, panie komendancie. Ona jest bardzo chora, przebywa na oddziale dla obłożnie chorych w Norfolk...

- Tracy! - wykrzyknął szef. - Co ty sobie wyobrażasz, że jestem cicho, żeby cię słuchać? Odebrało mi mowę, cholera jasna, nie mam czasu na takie idiotyzmy. Niewykluczone, że mamy już na komendzie mordercę, a ty opowiadasz mi o czyjejś matce?

Sierżant nakazał sobie spokój.

- Panie komendancie, to nie jest czyjaś matka, to matka ofiary. Jest kilka niepokojących...

- O'Malley! Może nie wyraziłem się jasno. - Gallagher przesunął ku Spencerowi plik gazet. - Co to jest?

- Nie wiem, szefie - odrzekł Spencer. - A co to jest?

- To, to i to. - Gallagher rzucił mu dzienniki, palcem wskazującym uderzając w nagłówki na pierwszych stronach. - Patrz, jesteśmy w każdej gazecie! Czytałeś to? Czytałeś?

Detektyw uniósł wzrok i cicho odpowiedział:

- Nie, panie komendancie. Byłem zbyt zajęty, nie miałem czasu na lekturę gazet, panie komendancie.

- Przestań mnie tytułować, O'Malley! - zawołał Gallagher. - Jak we wtorek wyjeżdżałem, sądziłem, że wszystko jest pod kontrolą.

- Wszystko jest pod kontrolą - zapewnił go Spencer, myśląc: Wyjątek to ja, stracę kontrolę nad sobą za jakąś minutę.

- Tak? Więc co to znaczy? - Wskazując główny artykuł w największym lokalnym dzienniku, Gallagher przeczytał: - „Śledztwo prowadzone przez komendę policji w Hanover utknęło w martwym punkcie; źródła podają, że nie ma nowych tropów”.

Następnie pokazał Spencerowi podobne w charakterze artykuły w „Dartmouth”, „Concord Monitor”, „Manchester Union Leader” i „Boston Globe”.

Spencer spojrział na szefa pustym wzrokiem.

- I co?

- Tracy - powiedział Gallagher złowieszczym tonem - nie wpieniaj mnie. Dałem ci awans, myślałem, że udowodnisz...

- Szefie! - przerwał mu Spencer, po czym ciszej dodał: - Nie mam czasu na udowodnienie. - Z trudem łąpał powietrze. - Jestem w środku dochodzenia w sprawie o morderstwo. Ci z gazet nie mają o niczym zielonego pojęcia. Nic nie wiedzą. Przecież nie będziemy pokazywać im każdego dowodu, nim wysuniemy formalne oskarżenie. Chyba zgadza się pan z taką strategią, szefie?

- O'Malley, nie traktuj mnie protekcyjnie. Gazety źle o nas piszą, a to jest nasze miasto. Nie chcę, żeby wyśmiewali się z nas nasi ludzie, cały college i Concord, bo nie umiemy wykonywać naszej pracy!

- A kto mówi, że nie umiemy? - Spencer zazgrzytał zębami. - To dziennikarze nie znają się na swojej robocie.

- Skądś jednak biorą informacje, prawda?

- Tak, panie komendancie. Może przyda się słówko do naszych ludzi na temat omawiania bieżących dochodzeń z prasą.

- Tracy, biuro prokuratora okręgowego też czyta to gówno! - wrzasnął Gallagher. - Oni też uważają, że partaczymy robotę. Dziekan Dartmouth osobiście zadzwonił do Dave'a Petersona, żeby się dowiedzieć, co zostało zrobione w sprawie złapania mordercy.

- A prokurator okręgowy nic nie odpowiedział - zareplikował O'Malley - bo nie było go w

biurze. Zastępca prokuratora generalnego: jak wyżej.

- Ha, byli za to w biurze dzisiaj rano! Rozmawiałem z Petersonem, jest wściekły. Wysłał do nas cały oddział.

Detektyw pomyślał, że niezainteresowany prokurator przejmujący sprawę to dobry pomysł. On, Spencer, mógłby wrócić do przejażdżek po mieście, picia kawy u Lou, może nawet czasami coś by zjadł i wpadał wieczorami do Murphy'ego. Mógłby jakoś przetrwać do wiosny i nie musiałby myśleć o Kristinie Kim i jej rozbitej rodzinie.

- A gdzie byli ludzie z biura, kiedy naprawdę ich potrzebowaliśmy? W piątek grali w golfa, w sobotę i w niedzielę mieli wolne. - Dotyczyło to także Gallaghera, aczkolwiek jego Spencer nie wymienił. - W przeciwieństwie do Willa i mnie, bo my pracowaliśmy bez przerwy od czwartku.

- Bez rezultatów! A wyjazdu do Connecticut nie uważam za pracę.

Spencerowi zrobiło się gorąco.

- A jakich rezultatów pan się spodziewa? - zapytał.

- Wskazania podejrzanego.

- No cóż, podejrzanych mogę już wskazać, panie komendancie. Natychmiast, jeśli pan chce. Wskazanie zabójcy wymaga jednak trochę więcej czasu.

Gallagher podniósł się z krzesła. Sierżant stał bez ruchu. Pierwszy milczał, drugi patrzył mu prosto w oczy. Po kilku sekundach detektyw pochylił głowę, uśmiechnął się uprzejmie i powiedział:

- Proszę mi wybaczyć, szefie, pójdę teraz przesłuchać świadka.

- Oni zaraz tu będą, O'Malley. A jak się pojawią, nie będziesz musiał nikogo przesłuchiwać.

Spencer uznał to za groźbę.

- Mam rozmawiać z Franklinem Absalomem czy nie? - zapytał. - A może zdejmuję mnie pan ze sprawy?

- Nie, O'Malley.

W trakcie tej wymiany zdań do gabinetu wszedł Will.

- Spencer, przed chwilą dzwonił Peterson. Najwyraźniej ma jakieś nowe informacje. Chce, żebyś zaczekał z przesłuchaniem Frankiego do przyjazdu Silas i Artella.

- Dlaczego?

- Wygląda na to, że nie działamy dostatecznie szybko.

- A czekanie na ich przyjazd doda nam rozpędu?

- Nie działamy dostatecznie szybko - powtórzył Baker z uporem.

- Według kogo? - Spencer nie krył irytacji. - Jest poniedziałek rano, a ją znaleziono w czwartek po południu.

- Według szkoły - odparł Gallagher. - Według Dartmouth. Na władze college'u wielką presję wywierają studenci i rodzice. Na terenie kampusu znaleziono martwą dziewczynę, a koroner jednoznacznie uznał to za morderstwo. Od piątku w gazetach o niczym innym nie piszą. Wszyscy się boją, że to jakiś szalony gwałcieciel.

- Czy wyjaśnił im pan, że jej nie zgwałcono?

- To bez znaczenia. Wiedzą, że odbyła stosunek seksualny w ciągu ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin swojego życia. Dla wielu przerażonych umysłów to to samo.

- No cóż, to chore podejście - skomentował Spencer. - I nie moja wina.

- Nikt nie mówi, że twoja.

- A skąd właściwie dowiedziały się o tym stosunku gazety?

Will wzruszył ramionami.

- Ktoś w biurze koronera musiał widzieć raport z sekcji.

- Doskonale, po prostu wspaniale! - wykrzyknął O'Malley. - Wiecie co, idę porozmawiać z Frankiem. Ludzie z biura prokuratora mogą go ponownie przesłuchać, jeśli zechcą.

Will potrząsnął głową. Spencer minął go, później przystanął koło automatów z napojami i poświęcił pięć minut na to, żeby się uspokoić.

Zamknął za sobą drzwi małego białego pokoju i wyciągnął rękę do Frankiego Absaloma.

- Przepraszam, że musiał pan tak długo czekać. A przy okazji, pan jest Frank czy raczej Frankie?

- Frankie, ale zostawiam panu wybór. W tej sprawie nie mam uprzedzeń.

Spencer usiadł.

- Trzymali mnie przez noc, bo nie chciałem z nimi rozmawiać. Myślą, że to zrobiłem, prawda?

- A zrobił pan?

- Jasne, że nie! Dlaczego mnie zatrzymali?

- Mój partner, Will Baker, jest bardzo podejrzliwy. Powinien pan być z nim porozmawiać, na pewno by pana wypuścił.

- Tak, chyba tak - westchnął Frankie. - Ma pan superimię. Przypadkiem nie po Spencerze Tracym?

- Właśnie po nim - odrzekł detektyw. - Gdybym urodził się dziewczynką, mama zdecydowana była nazwać mnie Katherine.

Frankie roześmiał się cicho.

- Tak, a moja mama wzięła imię dla mnie z „Frankie i Johnny’ego”.

- Ale ta Frankie to dziewczyna - zauważył Spencer.

- Czy to nie ironia losu? - odparł student.

O’Malley musiał się roześmiać. Chłopak trzymał nogi na stole, ubrany był w idealnie wyprasowane luźne spodnie, sweter w biało-czarne pasy i czarną czapkę włożoną daszkiem do tyłu. Wyglądał jak nicpoń, ale dobrze wyprasowany nicpoń.

- Może pan zdjąć nogi ze stołu? Dzięki temu zachowamy coś w rodzaju powagi.

Frankie posłuchał.

- Więc niech pan mówi - polecił Spencer, pijąc łyk gorącej czarnej kawy.

- Powiem tylko raz i tylko panu. Zgoda?

- Frankie, będzie pan musiał opowiedzieć swoją historię jeszcze sześć razy, nim z panem skończymy, a potem stanie pan przed sądem, gdzie opowie ją pan raz wielkiej ławie przysięgłych, raz prokuratorowi i raz obronie. Jako ważny świadek zostanie pan nagrany, a jeśli w pana zeznaniach znajdą się jakieś nieścisłości, obrona załatwi pana na szaro. Niech więc pan będzie ostrożny, dokładny i szczery. Słucham, co się stało.

- Ha, i to jest problem - westchnął Frankie; jego swoboda gdzieś się ulotniła. - Nie chcę czuć się jak donosiciel.

- Dlatego nie wracał pan do Dartmouth? - zapytał Spencer.

- Nie wracałem? Och, nie... Cóż, właściwie tak... Cała ta sprawa wydawała mi się dziwna. Pomyślałem, że zostanę w domu i przemyślę sobie wszystko.

- Udało się?

- Nie całkiem. Dalej wydaje mi się, że donoszę na przyjaciół. Wie pan, mafia by mnie zasztytowała za nielojalność.

- Tu nie ma mafii, a pańscy przyjaciele nie są bossami przestępców. Nie będzie sztyletu, przyrzekam.

- Tak, ale kabluję na kumpli.

- Wie pan, chcemy żyć w świecie, w którym wszyscy jesteśmy trybami w kole sprawiedliwości. Zajmijmy się więc jej wymierzaniem. Niech pan mówi.

Frankie zdjął czapkę, zaraz jednak zmienił zdanie i włożył z powrotem.

- Chyba nie będzie pan prawil mi kazań o dobrych ludziach, którzy milczą, podczas gdy zło dalej się pleni, co?

- Ani mi to w głowie - odparł detektyw. - Aczkolwiek ja bym nie milczał.

Chłopak wolno pokiwał głową.

- Nie, pan na pewno by nie milczał, detektywie O'Malley.

- Proszę tylko nie mówić, że nie powiedział mi pan wszystkiego, kiedy rozmawialiśmy przez telefon. - Spencer nie odrywał wzroku od jego twarzy.

- Nie powiedziałem - potwierdził Frankie.

O'Malley wstał.

- Boże! To nie wygląda dobrze dla pana. I dla mnie.

- Bardzo mi przykro, byłem okropnie zdenerwowany. Zaskoczył mnie pan tym telefonem. Nie wiedziałem, co robić. Przykro mi, przepraszam, dobra?

Spencer na powrót usiadł.

- Skąd mam wiedzieć, że teraz niczego pan nie będzie ukrywał?

- Bo nie będę. Przekona się pan. - Chłopak pochylił głowę tak nisko, że niemal spadła mu czapka. Poprawił ją ręką. - Czuję się jak kabel.

- Postępuje pan słusznie. Tak należy postąpić.

- Pan tak mówi, detektyw Baker tak mówił. Ale mnie tak się nie wydaje.

- Frankie, czy zabił pan Kristinę Kim?

- Nie, proszę pana, nie zabiłem. Co pan, żartuje sobie? Nie potrafiłbym zabić nawet karalucha, pod tym względem jestem jakby upośledzony. Nie.

- Co się stało? Czy widział pan kogoś jeszcze na tym moście?

Frankie spojrzał zdziwiony.

- Tak, a pan skąd wie?

Spencer nie uśmiechnął się ani nie odczuł satysfakcji z faktu, że miał rację. Źle siebie oceniał.

- Czy to była Conni?

- Boże! Jak się pan domyślił?

- Od samego początku podejrzewałem, że wybiegła z akademika, aby szukać Kristiny -

wyjaśnił. - Bardzo mgliście mówiła o tym, gdzie była, a wyszła z pokoju na długi czas. No dalej, niech pan mówi.

- Więc, to było tak. Kiedy wróciłem z łazienki i ubrałem się, bo chciałem już iść do domu, jeszcze raz spojrzałem w okno.

- Dlaczego?

- Chciałem się przekonać, czy Krissy wraca. Albo czy znowu chodzi po poręczy. Sam nie wiem. Po prostu wyjrzałem przez okno.

- Która była godzina?

- Chyba około dwadzieścia pięć po pierwszej. - Frankie znowu pochylił głowę. - Zobaczyłem Conni - powiedział cicho. - Widziałem, jak szybkim krokiem idzie po moście w kierunku akademika.

Detektyw odchylił się do tyłu, starając się uspokoić.

- Była sama?

- Tak.

- Jak szła?

- Szybko.

- Nie, chodzi mi o to, czy patrzyła prosto przed siebie, czy się rozglądała? Niemal biegła?

- Nie, nic z tych rzeczy. Może tylko to, że niemal biegła.

- Nie patrzyła prosto przed siebie ani się nie rozglądała?

- Nie zauważyłem. To, jak trzymała głowę, nie wydało mi się niezwykle, przypuszczam, że patrzyła przed siebie.

- Rozumiem. To wszystko, co pan widział?

- Wszystko, przysięgam. - Frankie przeżegnał się dla podkreślenia swoich słów.

- No nie - odezwał się Spencer. - Mamy naocznego świadka.

- Nie widziałem, żeby ona cokolwiek robiła. Nic! Powiedziałem prawdę.

Detektyw spojrzał na niego przez zmrużone powieki.

- Nie mówiłem, że pan widział.

- No bo nie widziałem.

- Frankie, nie mamy za wiele czasu. Ludzie z biura prokuratora okręgowego są o wiele twardsi ode mnie. Oni pana rozszarpia.

- Zdawało mi się, że pan obiecywał, że nic takiego nie będzie?

- Tylko pod warunkiem, że wyjawi mi pan wszystko.
- Powiedziałem wszystko. Wszystko - powtórzył chłopak.
- Co pan o tym myślał? O tym, że Conni była na moście?

Frankie poruszył się niespokojnie.

- Nic - odparł podenerwowanym nieco głosem. - A powinienem coś myśleć?
- Nie pan zadaje tu pytania. Nie wiem, czy powinien pan. Jak pan wie, most prowadzi donikąd. Czemu Conni w ogóle tam się znalazła? Zastanawiał się pan nad tym?

- Nie, nie zastanawiałem się - odrzekł tamten, wierząc się na krześle. Spencer obserwował go uważnie.

- O co chodzi, Frankie?

- O nic.

- Coś jeszcze?

- Nic. To znaczy spakowałem książki i poszedłem do domu. Pomyślałem, że będzie pan chciał wiedzieć, że widziałem Conni na moście.

- Ma pan rację. Ale co jeszcze?

- Nic.

- Frankie, wiem, że pan coś ukrywa.

- Nie.

- Dobra, widział pan Conni w dwadzieścia minut po tym, jak widział pan Kristinę. Nie zastanawiał się pan, gdzie jest Kristina?

- Mogła już wrócić do akademika.

- Ale tego nie zrobiła. A pan wyjechał do domu w środę wczesnym rankiem. Nie pożegnał się pan z kolegami z akademika, nie pożegnał się z Albertem. Nie zadzwonił pan do Kristiny, żeby sprawdzić, czy u niej wszystko w porządku. Pojechał pan do domu i nie wrócił na uczelnię po przerwie świątecznej. A kiedy zadzwoniłem do pana dwa dni temu, załamał się pan, ale założyłem się, że nie był pan zaskoczony.

Frankie bawił się kantem spodni, nie patrząc na Spencera.

- Założę się, że nie był pan zaskoczony - powtórzył detektyw zniecierpliwiony.

Chłopak lekko pokręcił głową.

- Nie.

O'Malley długą chwilę mu się przypatrywał, a później zapytał:

- Czy widok Conni na moście zaskoczył pana?

- Nie - odrzekł Frankie z widoczną niemal ulgą.

Ja też nie jestem zaskoczony, pomyślał Spencer.

- A dlaczego nie?

- Wie pan, detektywie O'Malley... - Urwał, znowu bardzo zakłopotany. - Widziałem ją tam wcześniej.

- Czyli gdzie?

- Na moście.

Spencer zastanawiał się chwilę nad kolejnym pytaniem.

- To znaczy późno w nocy? W samym środku zamieci? Wychodzącą z lasu? Która możliwość jest prawdziwa?

- Widziałem ją na moście. W środku zamieci. Późno w nocy.

- Także samą?

Tu chłopak się zawahał.

- To jak, nie samą? Więc z kim?

- Coś w tym rodzaju. - Frankie westchnął. - Cholera, nie chcę tego robić.

- Człowieku! - wykrzyknął Spencer. - Jest pan blisko, bardzo blisko. Niech pan teraz nie przerywa.

- Czy to jest nagrywane?

- Tak.

- I Conni to usłyszy?

- Oczywiście. Co robiła na moście, kiedy widział ją pan tam wcześniej?

- Nie, to nie jest słuszne - powiedział Frankie niepewnie. - To w ogóle nie jest słuszne. Dzięki temu świat nie stanie się lepszy, to jest...

- Pozwoli pan, że zapytam. Czy wrzucił pan bezbronną, zranioną dziewczynę w zaspę? Usiadł pan na niej, przycisnął jej poduszkę do nosa i ust, aż się udusiła, a potem zostawił ją pan martwą i pojechał do domu? - O'Malley przerwał, później dodał: - Pańska przyjaciółka została w ten sposób zamordowana. Ktoś gołymi rękami pozbawił ją życia. To straszna niesprawiedliwość. Czy coś jej się nie należy?

- Tak, ale dla Kristiny już za późno. Nic tego nie naprawi.

- Z wyjątkiem sprawiedliwości. Winny nie może chodzić na wolności.

- Cóż, może pan poczuje się lepiej. Ale jak ja mogę naprawić krzywdy wyrządzone umarłej, donosząc na osobę, która przypadkiem jest żywa? W dodatku tym razem widziałem tylko, jak Conni wraca do akademika.

- Tym razem? - wykrzyknął Spencer.

Frankie mówił dalej cicho, niemal niedosłyszalnie:

- To było w zeszłym roku w zimie. Chyba w lutym. Tak, tuż przed zimowym karnawalem, który odbywa się w środku miesiąca.

- Tak? I co pan widział? - prawie krzyczał Spencer.

Chłopak pochylił się nad stolikiem.

- Conni zepchnęła Kristinę z mostu - szepnął.

Z Concord przyjechali asystenci prokuratora okręgowego, oboje w ciemnoszarych garniturach. John Artell i Daphne Silas byli młodzi, poważni, pełni zapału i tak do siebie podobni jak klony. Rzekomo mieli pomóc O'Malleyowi w prowadzeniu dochodzenia, on jednak wiedział lepiej.

Co takiego niepokoiło detektywa w asystentach prokuratora okręgowego? Nie brak zaangażowania, bo zawsze angażowali się w sprawy o morderstwo; w końcu reprezentowali naród, a naród posyła winnych do więzienia. Tak więc musieli się angażować. Mieli wspaniałe grupy śledcze z ogromnym budżetem i Spencer zawsze polegał na ich ekspertach, kiedy chodziło o ściganie bandytów i złodziei.

Lecz nie morderców.

Tym razem ich obecność potraktował jako osobisty przytyk, ponieważ nie zjawili się po to, by mu pomóc, lecz by go odsunąć. Byli tu, bo tak samo jak Gallagher nie ufali Spencerowi. Popelniono morderstwo, a oni rwali się do czynu. Morderstwo oznaczało rozprawę, która cieszyć się będzie wielkim rozgłosem, morderstwo było polityczną kartą atutową podczas ponownych wyborów. Przyjechali, by wygrać.

Usiedli wszyscy w obszernej sali konferencyjnej. Spencer w dłoni trzymał magnetofon z nagraniem rozmowy z Frankiem. Zastanawiał się, jak powiedzieć zebranim o swojej wizycie u matki Kristiny.

Daphne jednak miała plan. Bardzo rzeczowym tonem rozpoczęła:

- Zamierzamy drobiazgowo przesłuchać dwóch mężczyzn, których znała ofiara...

- Jakich dwóch? Musiała ich znać o wiele więcej - przerwał Spencer, spoglądając na Johna

Artella, po czym uniósł brew i dodał: - Chyba że mówi pani w znaczeniu biblijnym.

- O'Malley! - zagrział Gallagher.

Daphne i John nie sprawiali wrażenia rozbawionych.

- Poczekajcie - powiedział Spencer łagodniej, zmuszając się do uśmiechu. - Zanim posłuchamy zeznań Frankiego Absaloma, chciałem opowiedzieć wam o Katherine Sinclair.

- O kim? - zapytała Daphne.

Will pokręcił głową, bezgłośnie mówiąc: nie.

- Matka dziewczyny...

- Zdawało mi się, że jej nazwisko brzmi Kim? - wtrącił John.

- Tak, po mężu. Sinclair to jej panięskie nazwisko. Jej matka powiedziała mi...

- Cóż, jestem pewna, że to bardzo interesujące, detektywie - przerwała Daphne - ale wolelibyśmy jak najszybciej skontaktować się z Howardem Kimem.

- Jej byłym mężem?

- Tak.

- Możecie go znaleźć w domu pogrzebowym. Załatwia pogrzeb swojej byłej żony. Zostanie tu do jutra - powiedział Spencer uszczypliwym tonem. - A później będzie na cmentarzu Pine Knoll na pogrzebie.

Daphne Silas nie miała poczucia humoru. A jeśli nawet miała, to tego nie okazywała.

- A co z tym Frankiem Absalomem? Ma alibi?

- Tak - wtrącił Will. - Widziano go, jak się uczył, a potem wychodził z budynku około wpół do drugiej.

- Dlaczego nie przesłuchacie całej kobiecej drużyny koszykówki z Crimson? - odezwał się O'Malley. - Podobno nienawidziły Kristiny.

- Naprawdę? - ożywiła się Daphne.

- Och, błagam. - Gallagher zakaszłał, zakrywając usta dłonią, by zwrócić na siebie uwagę sierżanta, a potem cicho syknął. Spencer posłuchał i nie ciągnął tematu, zamiast tego zaproponował:

- To może posłuchamy teraz taśmy? Niewykluczone, że uznacie ją za interesującą. Mamy czas, nim Landers i Innis się odezwą. Chyba że wolicie poczekać na patologa i daktyloskopa i najpierw przyjrzeć się wynikom?

- Myślałam, że obejrzymy je razem - odrzekła Daphne.

Gdyby nie była tak sucha i sztywna, Spencer przysięgłby, że go podrywa. Spojrzał na nią ostrożnie, gdy rozciągnęła usta w lekkim uśmiechu.

Spencerowi nie podobał się wyraz twarzy szefa, gdy ten słuchał nagrania rozmowy z Frankiem. Gallagher wyglądał jak człowiek, który właśnie się dowiedział, że wygrał cztery miliony dolarów albo dostał awans i podwyżkę. Nawet opanowany zwykle Will nie krył ożywienia. Daphne i John zachowali spokój, ale oczy im błyszczały.

- To wprost niewiarygodne, Tracy - powiedział komendant.

- Cieszę się, że pan tak myśli - odparł Spencer.

Uśmiech Gallaghera zbladł lekko.

Daphne wstała.

- John, zadzwoń do doktora Innisa. Powiedz mu, że natychmiast potrzebujemy wyników badania krwi. Sierżancie O'Malley, doskonała robota.

Spencer zaklął pod nosem.

Najpierw zadzwonił Ed Landers. W pokoju Kristiny pełno było odcisków palców, należących do co najmniej trzech osób poza lokatorką. Wszystkie pasowały do odcisków palców Conni Tobias, Jamesa Shawa lub Alberta Maplethorpe'a. Na butelce southern comfort były odciski Kristiny - oraz Conni.

Z jakiegoś powodu Willa to podekscytowało.

- Nie chciała chodzić po tej poręczy, jeśli nie była pijana - powiedział do Spencera. - Mam rację, Trace? Conni mogła dać jej tę butelkę, żeby się upiła, i w ten sposób wyciągnęła ją na most, no nie?

- Och, Will - odrzekł Spencer ze znużeniem. - Wyciągasz sporo wniosków z jednej małej informacji. Nikt nie widział, jak tamta dziewczyna przyniosła butelkę Kristinie.

- Tak, ale Frankie widział Kristinę na moście. I Conni też tam widział - zauważył Gallagher.

- To prawda, była zazdrosna - zgodził się Spencer. - Istniał między nimi rodzaj trójkąta...

- Chcesz powiedzieć, że zeznanie Frankiego nie jest wiążące? - zapytał Gallagher głośno.

- Tego nie mówię, panie komendancie - zaprzeczył Spencer. - Ale w jakim sensie wiążące? Mamy zaniedbać inne sprawy?

- Czyli na przykład co? - zapytał szef nieprzyjemnym tonem. O'Malley spojrzał na Willa, lecz tym razem nawet partner nie zdawał się mu sprzyjać.

Otworzył usta, by jeszcze raz spróbować opowiedzieć im o Katherine Sinclair. Poczekajcie,

chciał zacząć. Posłuchajcie uważnie, do końca. Jednakże nic z tego, co by im wyjaśnił, nie rozpaliliby tak mocnego, pełnego zapału płomienia w ich oczach.

Szef musiał zadzwonić. John Artell musiał zadzwonić. Will poklepał swego partnera po plecach. Daphne siedziała naprzeciw Spencera, nie odrywając odeń wzroku.

A później faksem nadeszły wyniki badania krwi.

Kiedy Spencer napatrzył się już na radosne twarze zatopionych w lekturze wyników kolegów, przeprosił ich i opuścił salę konferencyjną. Pobiegł za nim Will.

- Co się z tobą dzieje? - szepnął. - Do cholery jasnej, co w ciebie wstąpiło?

- Nic - odrzekł Spencer, łapiąc z biurka kluczyki, i narzucił kurtkę. - Niedługo wracam.

- Spencer! - zawołał Baker. - Co ty wyprawiasz? Jesteśmy w środku...

- Nie, i to jest problem - przerwał mu. - Wy wszyscy najwyraźniej jesteście na końcu śledztwa i na początku rozprawy. To ja jestem w środku śledztwa.

- O'Malley, co ty wygadujesz? Nie czytałeś? Nie widziałeś dowodów? Nie słyszałeś Frankiego?

- Wszystko widziałem i słyszałem.

- Więc gdzie się, do diabła, wybierasz?

- Porozmawiać z Conni Tobias - oznajmił Spencer.

W drodze do akademika Hinmana detektyw rozmyślał o łódeczkach kartoflanych u Molly, których nie jadł wczoraj po raz pierwszy od dwustu niedziel, ponieważ pojechał do Norwalk State Hospital na oddział dla przewlekle chorych. Jedynym pożywieniem O'Malleya było pięć filiżanek czarnej kawy, które postawiły go na nogi, oraz whisky Jack Daniel's, wypita późnym wieczorem po powrocie z Connecticut.

Detektyw zdawał sobie sprawę, że nie ma wiele czasu.

Conni nie zastał w pokoju. Nie było też Jima ani Alberta.

Doszedł do wniosku, że będzie musiała w końcu zjeść lunch, udał się więc do Collis Cafe. Była to wielka sala z czterema wysokimi oknami. Spencer zajął miejsce przy jednym z okrągłych stolików.

Constance Tobias, miła dziewczyna mieszkająca po właściwej stronie torów w Cold Spring Harbor - w miejscu, skąd pochodzi tylko jeden rodzaj dziewcząt, kochanych, rozpieszczanych, dobrze wychowanych i wykształconych, gdzie drzewa są wyższe od najwyższych budynków, a

przez konary sykomor widać cieśninę Long Island - połyskliwą, rzucającą refleksy wśród dębów i sosen. Cold Spring Harbor, gdzie podjazdy mają prawie dwa kilometry długości i gdzie w domach są pokoje dla służby oraz dla gości, siedem łazienek, ogrzewane i podświetlone baseny, korty tenisowe, mury z francuskiej cegły i łupkowe dachy. Cold Spring Harbor, gdzie Conni Tobias rozjaśniała sobie włosy, by wyglądać ładnie dla Alberta Maplethorpe'a, a na policzki kładła róż marki Lancôme.

W szkole średniej O'Malley nawet nie widywał dziewczyn w rodzaju Conni. Do jego szkoły takie dziewczyny się nie zniżały. Dziewczyny, które uważały, że są za dobre dla Spencera, które mijają go z książkami przyciśniętymi do białych sweterków i zadartymi do góry nosami.

Nieraz myślał sobie, że został policjantem drogówki w hrabstwie Suffolk, żeby wypisywać tym dziewczętom mandaty za przekroczenie szybkości, kiedy pędziły autostradą swoimi samochodami marki Trans Am. Czasami, gdy był w dobrym nastroju, udzielał im tylko pouczeń.

Teraz jednak nie mógł tak zrobić.

W końcu tu nie chodzi o przekroczenie szybkości.

Ta sprawa dotyczy śmierci.

Do kawiarni weszła Conni w obcisłych dzinsach i krótkim różowym sweterku. Była z przyjaciółmi, których Spencer nie znał. Na jego widok przystanęła i uśmiechnęła się lekko. Spencer powitał ją skinieniem głowy i wstał, myśląc przy tym: Ona jeszcze się łudzi, że nie czekam na nią, ale wyraz jej twarzy świadczy o tym, że dobrze wie, iż to próżna nadzieja.

Ruszył ku niej wolnym krokiem. Conni zebrała się na odwagę.

- Detektywie O'Malley, czy mogę zjeść lunch? Od siódmej rano nie miałam nic w ustach.

No i proszę, jest tutaj, patrzy na mnie ze swego czarnego Trans Am i wysokim, zalotnym głosem pyta: „Co się stało, panie policjancie? Jechałam za szybko?”.

- Nie - odrzekł. - Nie może pani zjeść lunchu. Muszę z panią porozmawiać.

- Jasne, nie ma sprawy. Po lunchu?

- Nie, teraz - powiedział głośniejszym głosem niż poprzednio.

Zaskoczył ją i zbił z tropu.

- Chyba nie zagraża mi utrata apetytu? - zapytała, uśmiechając się z wysiłkiem.

- To możliwe - odparł spokojnie. Choć brzuch go bolał z głodu, usiadł nad przyniesioną wcześniej filiżanką kawy. Dodał do niej mnóstwo mleka i cukru. Lunch w płynie, pomyślał rozbawiony. - Conni, nie będę owijał niczego w bawełnę. Za pół godziny, może wcześniej, szef

policji przyjdzie tutaj z nakazem aresztowania pani.

- Aresztowania? - wyszeptała Conni. - Za co? - zapytała, skubiąc hamburgera.

Stolik, przy którym siedzieli, był okrągły; Spencer uznał, że to dobrze, dzięki temu było tu prawie tak samo jak na komendzie. Aczkolwiek ten stół z wiśniowego drewna lepiej nadawał się do przesłuchań, nawet jeśli rozmowie towarzyszył hamburger.

- Pamięta pani Frankiego Absaloma?

- Oczywiście. To mój przyjaciel.

- Frankie widział panią na moście tej nocy, kiedy umarła Kristina.

- I co z tego? - odparła bez wahania.

Spencer odwrócił od niej wzrok.

- Conni, on widział panią na moście niedługo po tym, jak Kristina zniknęła z pola widzenia, a w dodatku pani wracała z lasu.

Dziewczyna milczała.

- Pamięta pani, że wyszła pani z akademika we wtorek w nocy?

- Chyba tak.

- Chyba tak? - powtórzył O'Malley, zwracając na nią spojrzenie. - Wiele razy i na wiele różnych sposobów pytałem panią o tę noc. Nigdy nie wspomniała pani nawet słówkiem, że była pani na moście. A to ważny fakt, nie sądzi pani?

- Nie mówiłam o tym, bo to nie ma znaczenia.

Spencer powstrzymał się od krzyku.

- Tylko że nie pani to osądzać. Nie jest pani w stanie. Czy pani nic nie rozumie? Czy wykształceni rodzice nie nauczyli pani, że kiedy pytają panią o alibi, nie może pani ukrywać spaceru na miejsce przestępstwa, tylko dlatego że pani zdaniem to bez znaczenia?

- A co moi rodzice mają z tym wspólnego? - rzuciła ostro, a Spencer pomyślał, racja, co oni mają z tym wspólnego? Nie mógł jednak odsunąć przed oczu obrazu sykomor w Cold Spring Harbor, które zasłaniają widok na cieśninę; ależ mają bardzo wiele z tobą wspólnego, Constance Tobias, powiedział sobie w duchu, bo to oni ulepili cię taką, jaka jesteś -przekonaną, że stoisz ponad prawem i nade mną.

- Pozwoli pani, że wytłumaczę. Znika pani na czterdzieści minut i nikt nigdzie pani nie widzi z wyjątkiem Frankiego, który twierdzi, że była pani niedaleko miejsca zbrodni. Powie mi pani, co robiła pani na moście?

- Już mówiłam.
- Nie, o tym na pewno pani nie mówiła.
- Szukałam Alberta - wyjaśniła, odwracając głowę.
- Na moście?
- Tak.
- Widziała go pani?
- Nie.
- A co z Kristiną? Ją pani widziała?
- Nie - zaprzeczyła ponownie, biorąc w drżące dłonie hamburgera.

Spencer parsknął śmiechem.

- Co pani wyprawia? Mam rozumieć, że nie chce pani ze mną rozmawiać? Doskonale. Zaraz wychodzę.

- Dlaczego chcą mnie aresztować? - zapytała.

- Za złe przechodzenie przez ulicę! Boże, Conni, za to, że z premedytacją zamordowała pani człowieka.

Teraz z kolei ona się roześmiała.

- Nie zamordowałam jej, poruczniku, detektywie czy jaki tam ma pan stopień. Nie zamordowałam jej.

- Nie? To świetnie. Jak panią postawią w stan oskarżenia, może pani utrzymywać, że jest niewinna. Tylko niech pani włoży w to całe serce.

- Stan oskarżenia? O czym pan mówi? Ja jej nie zabiłam, powtarzam panu!

Mówiła tak głośno, że siedzący przy sąsiednich stolikach odwracali ku niej głowy. Spencer przypuszczał, że nieczęsto się zdarza, by w porze gdy Collis Café jest najbardziej zatłoczona, studentka Dartmouth College w odpowiedzi na zarzut morderstwa upierała się przy swojej niewinności. Może to w ogóle pierwszy taki przypadek. Wszyscy się gapili.

- Więc niech mi pani powie, co się stało - polecił łagodniejszym głosem.

Conni wybuchnęła płaczem.

- Chyba powinnam mieć adwokata przy tej rozmowie? Bez adwokata nie wolno mi się odzywać.

- Jeśli pani tak chce, zgoda. Proszę tylko pamiętać, że dla oskarżonych o morderstwo nie ma wyjścia za kucją.

- Poza panem jeszcze nikt mnie o nic nie oskarżył - odparła.

- Panno Tobias - westchnął O'Malley. - Czy według pani wyglądam na złego człowieka? Jestem tutaj po to, żeby pani pomóc. Dlaczego pani sama sobie wszystko utrudnia? Jeśli jest pani niewinna, proszę wszystko mi opowiedzieć, a ja stanę po pani stronie. To moja praca.

- Jestem niewinna - zapewniła go Conni pośpiesznie.

- Dlaczego mam pani wierzyć?

- Bo to prawda.

- Prawda? - Detektyw szukał w myślach odpowiednich słów. - Pani jeszcze tego nie rozumie... - przerwał, próbując uporządkować splątane myśli.

- Czemu pan tak na mnie patrzy? Sądzi pan, że jestem winna?

Spencer ze smutkiem pokręcił głową.

- Nie pomoże mi pani, tak? Dlaczego nie chce mi pani powiedzieć? Bo nie mam odpowiedniej kindersztuby? Nie wydaje mi się. Mówiono mi, że dobrze prowadzę przesłuchania. A mimo to nikt z was z własnej woli nie przekazał mi żadnej informacji. Jim nie wyjaśnił, dlaczego uciekł, kiedy zobaczył czarne buty Kristiny. Albert nie powiedział o swoim związku z nią. A pani nie chce wytłumaczyć mi, co pani robiła na moście.

- Powiem panu, dobrze? Ale pan mi uwierzy? - zapytała błagalnie.

- Nie wiem, Conni - odparł spokojnie. - Najpierw pani wysłucham. Ale proszę nie zaczynać od stwierdzenia, że straciła pani rozum z zazdrości. Bo jeśli dostanie pani wyrok skazujący, te słowa będą pani towarzyszyć w więzieniu do końca życia. Niech pani będzie ostrożna. I proszę myśleć! Myśleć o wszystkim.

Oszołomionym wzrokiem wpatrywała się w Spencera.

- Nie mam wiele do powiedzenia - Zająknęła się, trąc nerwowo brwi i rzęsy. Był to bolesny widok. - Przyznaję, że tam poszłam... - Na jej twarzy odbił się wielki wysiłek. - Poszłam szukać Alberta.

- Alberta.

- Tak.

- Z jakiego powodu miałby być akurat na moście?

- Ponieważ - Conni z trudem wypowiadała słowa - on zwykle był tam, gdzie ona.

- Aha. Rozumiem.

- To dla mnie takie trudne.

- Widzę.
- Poszłam tam, bo myślałam, że może jest z nią, i oszalałam.
- Do jakiego stopnia? - zapytał Spencer. - Jak bardzo pani oszalała?

Odepchnęła od siebie tacę zjedzeniem, za mocno jednak i taca spadła na ziemię. Spojrzeli na nią, lecz żadne się nie schyliło, by ją podnieść.

- Niech pan nie będzie niemądry - odrzekła Conni. - Poszłam, bo chciałam go przyłapać. Przyłapać ich oboje.

- Na czym?
- Sama nie wiem. Na uprawianiu seksu.
- Na mrozie? Musiałaby pani naprawdę się pośpieszyć.

- No więc na całowaniu się, na czymkolwiek. Byłam na skraju wytrzymałości. Nie ma pan pojęcia, jak się czułam. Ciągłe podejrzenia. Jego nie ma w pokoju, jej nie ma w pokoju. Jego nigdzie nie można znaleźć, jej nigdzie nie można znaleźć. Albo... ona jest w bibliotece, on jest w bibliotece, ona wychodzi z Arystotelesem, on też. Ona jest w Collis Café, on także.

Spencer słuchał w skupieniu.

- Naprawdę oszalałam z zazdrości, nie widziałam jasno. Nie zaprzeczam, detektywie, jestem szczęśliwa, że ona umarła, od dawna o tym marzyłam. Doprowadzała mnie do obłądu. Tak się czułam. Zawsze stała pomiędzy mną a Albertem. Dopóki była z nami, szalałam.

O'Malley z niedowierzaniem słuchał tych słów i z niedowierzaniem patrzył na wykrzywioną twarz dziewczyny.

- Conni, pani dalej nic nie rozumie? To, co pani przed chwilą powiedziała, plus dowody, które zebraliśmy, wystarczą na dożywocie... Nie na wyrok śmierci, ale na pewno na dożywocie.

- O czym pan mówi? Ja jej nie zabiłam. Powiedziałam tylko, że cieszę się z jej śmierci.
- Nikt pani nie uwierzy... Ja pani nie wierzę - dodał z naciskiem.
- Mówię prawdę. Dlaczego miałabym kłamać?
- Dlaczego? - powtórzył. Czy ona jest głupia? - Dlaczego miałyby pani kłamać?

Wreszcie to do niej dotarło.

- Dobrze, dobrze. Teraz jednak mówię prawdę. Nie zabiłam jej. Szukałam Alberta.
- Żeby go zabić?
- Niech pan nie będzie niemądry. Żeby go przyłapać.
- Przyłapać na czym? I dlaczego?

- Tak żebym raz na zawsze przekonała się, czy to prawda.

- Prawda? - Spencer się roześmiał. - Constance, nie może pani... po prostu nie może pani aż tak się okłamywać. Nigdy nie spotkałem ich razem, a już trzy dni temu wiedziałem, że to prawda. Po jednej rozmowie z panią i jednej z Albertem nie miałem cienia wątpliwości, że to prawda. Pani powinna była wiedzieć to już dawno temu. Czemu zgadzała się pani na taki układ? - Ogarnął go gniew na Conni, że pozwalała, by Albert ją zdradzał, a Kristina okłamywała. - Dlaczego po prostu pani z nim nie zerwała? Dlaczego pani to ciągnęła?

- Dlaczego? - Conni sprawiała wrażenie zdziwionej, a równocześnie zakłopotanej tym pytaniem. - Bo kocham Alberta. Kocham go nade wszystko w świecie. Bo przez długi czas w to nie wierzyłam. I wciąż nie do końca wierzę. W głowie mi się nie mieści, że on mógł mi to zrobić, tak mnie okłamywać...

- Lepiej niech pani uwierzy - przerwał jej. - To prawda.

- Skąd pan może to wiedzieć?

- Od niej. I od niego.

- On panu to powiedział? - Conni głośno wypuściła powietrze. Wyraz jej twarzy zdradzał, że walczy ze sobą, w końcu wyjąkała: - Ja... ja nie wierzę... nie mogę uwierzyć, że on panu coś takiego powiedział.

- A to czemu? Nie ulega zresztą wątpliwości, że wcale nie chciał. Musiałem pytać go dwadzieścia razy. Ale to norma w wypadku was wszystkich. Pierwsze dziewiętnaście zbywacie milczeniem.

- Obecnie to już nie jest ważne - powiedziała.

- Myli się pani, to bardzo ważne - zaprzeczył Spencer.

- Nie, chodzi mi o to, że to już bez znaczenia. Pomiędzy mną a Albertem lepiej się teraz układa. To tak, niemal tak, jakby jej nigdy nie było, rozumie pan?

- Och, rozumiem - odrzekł, dokładając starań, by zachować spokój. - Ale ona istniała, kiedyś żyła. Może to pani sobie wyobrazić, być żywym i młodym, a potem nagle umrzeć?

- Ja staram się o niej zapomnieć - oświadczyła Conni. - Wiem, minęło dopiero kilka dni. Dlatego uznałam, że przekazanie spadku na Czerwone Liście to doskonały pomysł. W ten sposób Kristina nie będzie ciągle z nami, rozumie pan? Nie kupimy za jej pieniądze domu, nie wyprawimy wesela. Pozostałaby wciąż w naszym życiu.

- Teraz jednak już na zawsze będzie obecna w pani życiu.

Conni nie zrozumiała albo nie chciała zrozumieć.

- Przyjaciółka, też coś... myślałam, że przyjaciółki takich rzeczy sobie nie robią - powiedziała z widocznym zdenerwowaniem.

- Conni - odparł Spencer, z naciskiem wymawiając każdy wyraz - myli się pani, przyjaciele robią sobie takie rzeczy od zawsze, to najstarszy rodzaj zdrady. Ale chłopcy nie robią tego dziewczynom, które kochają. Jaki chłopak...

- To właśnie miałam na myśli. Albert mnie kocha. Nie sądzę, by mógł mnie tak skrzywdzić.

- Ale skrzywdził. Miał wobec pani zobowiązania większe niż Kristina, a mimo to okłamywał panią i zdradzał od samego początku.

- Nie wierzę w to! - zawołała. Była blada, usta jej się trzęsły. - Na pewno nie od samego początku.

O'Malley już miał zamiar powiedzieć: Uwierz mi, Conni, od samotnego początku, zamiast tego jednak rozsiadł się wygodnie. Nie było Willa, który położyłby mu dłoń na ramieniu.

- Skąd ma pani te zadrapania na policzku? - zapytał.

- Mówiłam już, wygłupiałam się z bratem...

- Conni!

Odsunęła się od stołu.

- Conni - powtórzył detektyw ciszej. Czuł, jak żyła na czole nabrzmiewa mu i pulsuje z gniewu i frustracji. - Pani krew była pod paznokciami Kristiny. Znaleźliśmy pani krew pod jej paznokciami, a na pani policzku jest ślad, wskazujący, gdzie panią zadrapała.

- Pod jej paznokciami? - zapytała.

Spencer widział wyraźnie, że już miała temu zaprzeczyć.

Pochylił się nad stołem; z zapadniętymi oczyma, napięty i blady, z całych sił starał się nie stracić opanowania.

- Powiem pani, jak to było: przewróciła ją pani na ziemię i przyłożyła poduszkę do jej twarzy, a Kristina, próbując się bronić, wyciągnęła zdrową rękę i zadrapała panią w policzek. Ale pani nie ustępowała, przyciskała coraz mocniej, aż wreszcie ręka opadła i Kristina przestała się poruszać. Nie wiem tylko, czy od razu pani ją puściła, czy też posiedziała na niej jeszcze chwilę, żeby się upewnić, że nie żyje?

- Nie wiem, o czym pan mówi! - wykrzyknęła Conni niemal z płaczem.

- Constance - powtórzył spokojnie - pani krew była pod jej paznokciami. Czy pani rozumie, co mówię?

Rozumiała, widział to po jej twarzy.

- Niech pan posłucha - zaczęła niepewnie. - Stosunki między nami układały się coraz gorzej, a kiedyś byliśmy naprawdę dobrymi przyjaciółkami. Ale pan wkroczył w nasze życie w naprawdę złym momencie -dodała, pociągając nosem.

- Niewątpliwie fatalnym dla niej - zauważył.

- Nie, złym dla nas obu. Ja dłużej nie umiałam tego znieść. Bardzo się starałam wierzyć im obojgu, ale było mi coraz trudniej. Moje relacje z nią i Albertem wymykały się spod kontroli.

Detektyw nie przerywał, czekając na dalszy ciąg.

- A te ślady na mojej twarzy... to nie stało się w lesie, tylko w jej pokoju. Na korytarzu przed jej pokojem. Pokłóciliśmy się trochę.

- Kiedy?

- We wtorek wieczorem. Koło północy.

- Koło północy?

- Tak.

- Mówiła mi pani, że po jedenastej piętnaście już jej pani nie widziała. - Tak.

Spencer odsunął filiżankę z kawą.

- Conni, radzę natychmiast skontaktować się z rodziną i poprosić, by załatwili pani dobrego adwokata.

- Pana zdaniem potrzebuję adwokata? - zapytała cicho. - Ale ja mówię prawdę.

- Prawdę? A co to jest? - odparł Spencer. - Bo ja już nie wiem, co. Wasza trójka sprawiła, że powątpiewam we własne nazwisko.

- Nie usiadłam na Kristinie! - zawołała Conni bardzo głośno i z naciskiem. - Nie zabiłam jej! To idiotyczne. Pan wie, że jej nie zabiłam.

O'Malley pokręcił głową.

- Wiem? Nie, nic nie wiem. Tak czy owak, nie mnie musi pani to udowodnić, tylko dwunastu przysięgłym.

Zapadła cisza.

- Naprawdę, musi mi pan uwierzyć - odezwała się po chwili dziewczyna. - Ja tego nie zrobiłam.

Pozory, fasada, za którą się kryła, wszystko to zniknęło. Pozostał jedynie słoneczny dzień w Cold Spring Harbor, którego nie mogła widzieć, ponieważ przebywała wewnątrz klimatyzowanego domu. Pozostało, rozmyślał Spencer, dwadzieścia jeden lat wpajania dziecku, że może robić, co tylko zechce, pod warunkiem że zaangażuje w to cały swój umysł, a potem głośno będzie mówić o prawdzie. Cóż, Constance Tobias zrobiła, co chciała. Zaangażowała w to cały swój umysł, a kiedy za pierwszym razem jej się nie udało, ponowiła próbę.

- Dlaczego pan mnie torturuje? - ciągnęła. - Mówię prawdę, pokłóciłyśmy się wtedy. Nie wiem, jak to się stało. Straciłam panowanie i rzuciłam się na nią. Próbowała mnie odepchnąć i zaczęłyśmy się szarpać, ale to trwało tylko sekundę. Byłam zła, rozumie pan?

Miał ochotę złapać ją za ramiona.

- Dostatecznie zła, żeby ją zabić?

- Mówiłam panu, już tyle razy mówiłam. Dlaczego mi pan nie wierzy? Ja jej nie zamordowałam.

- Nie po raz pierwszy próbowała ją pani zabić, prawda?

Conni pobladła, zgarbiła się na krześle, usta miała otwarte. Spencer nie mógł patrzeć w jej oczy, odwrócił więc wzrok.

- Poru... Detektywie... O'Malley - wyjąkała - ja nie... błagam, musi mi pan uwierzyć. Tym razem... nie... ja jej nie zabiłam.

- Nie potrafi pani się przyznać, co? Nie potrafi pani powiedzieć: tak, ja to zrobiłam, ponieważ wtedy pozostanie tylko sporządzenie odpowiednich dokumentów i wydanie wyroku. Nie, pani musi mieć szansę, by walczyć. Ale przecież pani ją zabiła, czyż nie?

- Chodzi o tę sprawę z ubiegłego roku, tak? - zapytała Conni przerażonym głosem, trąc czoło.

- Frankie panu o tym powiedział? Boże, ten Frankie. Komu potrzebni wrogowie, racja? Cóż, w zeszłym roku... - zachichotała histerycznie, a potem wybuchnęła płaczem.

Spencer wyjął z kieszeni kilka chusteczek higienicznych i podał jej. Wytarła twarz.

- Och, Boże, to naprawdę fatalne. Przedtem sobie tego nie uświadamiałam, dlaczego sobie tego nie uświadamiałam? Ale to po prostu okropne...

- Tak - zgodził się O'Malley. - Okropne.

- Czy wszyscy o tym wiedzą? - zapytała Conni z nutką nadziei w głosie. - Czy tylko pan?

„Tylko pan, panie policjancie, tylko pan wie, że jechałam za szybko, ależ pan przystojny, może miałby pan ochotę umówić się kiedyś, ma pan takie niebieskie oczy, może...”.

- Panno Tobias, wiedzą wszyscy, wszyscy i ciotka też. Chyba nie chciała pani mi zaproponować, żebym ukrył przed biurem prokuratora okręgowego istotny dowód świadczący o motywie i pani stanie psychicznym?

- Nie, oczywiście że nie - zaprzeczyła zdeprimowana. - Wie pan, to prawda, to znaczy, zrobiłam... byłam wściekła i... no, pchnęłam ją, przewróciłam...

- Tak jak pani przewróciła ją na śnieg?

- Na jaki śnieg? O czym pan mówi? Błagam, nie. Wtedy podciąłem jej nogi...

- Dlaczego pani to zrobiła? - przerwał Spencer.

- Dlaczego? Już powiedziałam. Doprowadzała mnie do szaleństwa. Kochałam Kristinę i nienawidziłam jej zarazem. Rozumiałam, dlaczego Albert mógłby się w niej durzyć i za to jej nienawidziłam, chciałam, żeby odeszła...

- Na zawsze.

- Po prostu odeszła! - zawołała Conni. - Przyznaję, to było głupie, nie wiem, co mnie opętało, ale to prawda, zepchnęłam ją wtedy z poręczy. Była pijana, istniała spora szansa, że któregoś dnia sama spadnie.

- I co się stało? - zapytał detektyw cicho.

- Jak to, więc tego Frankie już nie opowiedział?

- Nie ulega wątpliwości, że Kristina wyszła z tego cało.

- Tak, wyszła cało - potwierdziła z naciskiem. - Zepchnęłam ją na początku mostu. Nie zdawałam sobie sprawy, że zbrodnie osłabi upadek. Była niezłe potłuczona, wyglądała jak... jak...

- Czyli zamiar się nie udał - dokończył O'Malley.

- Coś w tym rodzaju. Ale nic jej się w sumie nie stało.

Spencer podrapał się w głowę.

- Conni, czegoś tu nie rozumiem. Pani ją zepchnęła, próbowała zabić. Dlaczego Kristina zostawiła pani pieniądze?

- Pogodziłyśmy się, przeprosiłam ją.

- Jak można po czymś takim się pogodzić? Jak wam się to udało?

- Powiedziałam, że to był wypadek, a ona mi uwierzyła, była chyba zbyt pijana. No wie pan, po prostu dalej pan żyje i udaje, że wszystko jest w porządku, że nic się nie stało...

- Czy to możliwe?

- My tak zrobiliśmy.

- Ale nie udało się wam - rzekł Spencer.

Conni nic nie odpowiedziała. O'Malley obserwował ją uważnie.

- Jeśli pani jej nie zabiła, to kto?

- A skąd mam wiedzieć? Jakiś szaleniec. Nie wiem, mnie tam nie było.

- Z Albertem musiało być pani ciężko. Tak jest, gdy się żyje w kłamstwie, kiedy się nie zna prawdy.

- Nie, nic pan nie rozumie - zaprotestowała Conni. - To taki mały campus, nigdy się nie rozstawaliśmy, byliśmy bliskimi przyjaciółmi. Ufałam im, Kristina była cudowna, wie pan? Jak mogła coś takiego mi zrobić? - Ściszyła głos. - Długo trwało, nim w ogóle zaczęłam coś podejrzewać.

O'Malley nachylił się ku niej.

- Conni, kim jest Albert? Co pani o nim wie? Wie pani na przykład, że w przychodni nie podał nazwiska osoby, którą należy zawiadomić w razie nagłej potrzeby, tylko nazwę firmy prawniczej z miasta? - Detektyw oparł się wygodnie. - A kiedy zadzwoniłem do Clairton w Pensylwanii, dowiedziałem się, że nie mieszkają tam Maplethorpe'owie.

- Clairton w Pensylwanii? - powtórzyła zaskoczona.

Spencer potwierdził, stukając łyżeczką o stolik.

- Powiedział mi, że stamtąd pochodzi.

- On nie jest z Clairton - roześmiała się dziewczyna - tylko z Fort Worth w Teksasie. I nie ma żadnej rodziny. Jest sierotą...

O'Malley zerwał się na równe nogi, przewracając przy tym krzesło i upuszczając łyżeczkę.

- O mój Boże - mamrotał - o Boże!

Conni także wstała.

- Co się stało?

- Nic, muszę iść... - Spencer był już za drzwiami i biegł do samochodu.

Wjechał na autostradę międzystanową, włączył policyjną syrenę i popędził do Concord, gdzie w laboratorium policyjnym pracował Ed Landers. Poprosił go, by z odciskami palców zdjętymi w pokoju Kristiny poszedł z nim do piwnicy, gdzie stał terminal z bazą danych FBI.

- Nigdy nie skanowałem odcisków - powiedział zdyszany, jakby drogę do Concord pokonał biegiem. - Możesz mi pomóc?

- Jasne - odrzekł Landers. - Po to tu jestem. Czy chodzi o odciski tej dziewczyny? Słyszałem, że mają ją aresztować.

- Nie, zależy mi na odciskach chłopaków, Alberta Maplethorpe'a i Jima Shawa.

- Aha, rozumiem.

- Właśnie. - Spencer położył dłoń na plecach Eda, próbując skłonić go, by szybciej zszedł po schodach.

- Spróbuj, to nie takie trudne - mówił Landers, choć O'Malley wolałby, żeby kolega sam to zrobił. - Trzeba położyć na skanerze zdjęcie odcisków, zamknąć pokrywę, nacisnąć zielony klawisz...

- Ten?

- Tak jest. - Landers się uśmiechnął. - Masz do tego dryg.

No, dalej, szybciej, szybciej, myślał detektyw, uśmiechając się uprzejmie, choć krew odpływała mu z zaciśniętych kurczowo palców.

- Otwieramy program skanujący, skalujemy fotografię odcisków. Czy ostrość jest dobra? Chcesz powiększyć?

Spencer kiwał głową, zgadzając się na wszystko.

- Teraz wybieramy ścieżkę odcisków, o... już. Sierżant przestał słuchać i zamknął oczy.

- Musimy poczekać kilka minut. Usiądźmy. - Ed zajął miejsce przed monitorem, Spencer przycupnął obok niego, aczkolwiek najchętniej już by się zerwał. Zmusił się jednak do spokoju. - Zaraz dostaniemy wyniki.

To były jedne z najdłuższych minut w życiu detektywa.

- Dobra, mamy. Odciski są w maszynie, teraz komputer chce wiedzieć, czy chodzi o znalezienie zbieżnych.

- Jasne.

- Jasne. Naciskamy F5 i czekamy.

Sporo czekamy, to pewne, pomyślał Spencer.

Na monitorze pojawiło się pytanie: „Czy możesz zawęzić kryteria?”.

- Co to znaczy? - zapytał Spencer.

- Że mamy podać bardziej szczegółowe informacje. Może komputer znalazł odciski zbliżone do podanych, ale nie ma pewności. Powiedzmy, mężczyzna?

- Bez dwóch zdań.

Landers wpisał stosowną formułkę i znowu czekali. Doczekali się polecenia, by jeszcze zawęzić kryteria.

- Ojej - westchnął O'Malley. - Jak często to się zdarza?

- No cóż, każdy kiedyś w życiu miał zdejmowane odciski palców, na przykład starając się o obywatelstwo, często podróżując, pracując w dyplomacji, w bankowości oraz naturalnie wówczas, gdy popełnił przestępstwo. Ostatnią grupę zwykle klasyfikuje się jako pierwszą.

- Czy możesz sprawdzić wszystkie kategorie?

- Oczywiście. Zacznijmy od mężczyzny często podróżującego.

Czekali. Pomieszczenie przypominało detektywowi kostnicę w Hitchcock-Dartmouth, choć nie było tutaj tak czysto i porządkie.

Wreszcie coś dostali. Twardy dysk zaszumiał, potem pojawiło się zdjęcie Jima Shawa razem z dziesięcioma odciskami palców i krótką notką.

- I co? - zapytał Landers.

- W porządku. Czy możemy zeskanować te drugie odciski?

- Jasne, nie ma sprawy. Trochę cierpliwości.

Spencer okazał cierpliwość, wpijając białe z wysiłku palce w kolana. Ed zeskanował odciski.

- Czego dokładnie szukasz?

- Nazwiska - wyjaśnił O'Malley. - Po prostu nazwiska.

- Jest takie ważne?

- Nie wiem - odrzekł zdenerwowany detektyw. - Zależy, jak brzmi.

Tym razem nie musieli czekać tak długo. Komputer od razu zaszumiał i na ekranie ukazało się zdjęcie Alberta. Spencer odczytał nazwisko i głośno wypuścił powietrze.

Podpis na ekranie nie brzmiał „Albert Maplethorpe”, tylko „Nathan Sinclair”.

Detektyw stał oszołomiony za plecami Landersa. Słyszał szum komputera i szcęk drukarki w sąsiednim pomieszczeniu. Słyszał rozmawiających ludzi, w końcu zobaczył też odwracającego się kolegę.

- Dobrze się czujesz, Spence?

Sierżant zebrał się w sobie.

- Nic mi nie jest, wszystko w porządku. Niech się temu bliżej przyjrzę.

- Pochylił się nad ekranem, próbując skupić wzrok na notatce. Tekst rozmywał mu się przed oczami.

Nathan Sinclair w wieku siedemnastu lat został aresztowany w Brooklyn Heights w Nowym Jorku. Razem z kilkoma kolegami złapano go na włamaniu do sklepu z armaturą łazienkową. Odsiedział trzy miesiące z dwuletniego wyroku i został zwolniony warunkowo. Według raportów policyjnych nie zgłosił się do przydzielonego mu kuratora i nigdy więcej o nim nie słyszano.

- Boże, co ten człowiek robił w pokoju Kristiny? - zapytał Landers.

Spencer odsunął się od ekranu i od kolegi. Emocje, jakie się w nim kłębiły, ostrością dorównywały piskliwemu głosowi Conni.

- Nie wiem, Ed, ale tego właśnie potrzebowałem. Możesz to wydrukować?

Z szarą kopertą zawierającą informacje o Nathanie Sinclairze opuścił budynek.

Pragnął wrócić do domu. Pomyśleć tylko, że zaledwie cztery dni temu siedział przy swoim biurku w komendzie znudzony i trochę zirytowany, bo studentka college'u nie zadzwoniła do niego.

Cztery dni.

A przecież bywało, że nie wychodził z mieszkania przez cztery dni, nic nie robił, nic nie czuł. Jadł - jedzenie, cóż to musi być za przyjemność! - pił, spał, oglądał sport w telewizji, cztery dni mijały i nic się nie działo.

Wrócił do Hanover bez pośpiechu. I znowu zapadł zmrok, minął kolejny dzień bez żadnego posiłku. Wbrew sobie Spencer zatrzymał samochód przed Murphym i zamówił burgera oraz piwo. Burger pozostał nietknięty, za to piwo smakowało nieźle. Poprosił o następne. Wciąż było wczesnie, lokal świecił pustkami.

- Wygląda na to, że masz kłopoty, stary - zauważył Marty, jego stary kumpel barman.

- Można tak to ująć - uśmiechnął się słabo Spencer. W uszach dzwoniły mu dwa słowa:

Nathan Sinclair.

- To w związku z tą zabitą studentką?

- Tak.

- Wiesz, co ja mówię, musisz wiedzieć, że po południu aresztowali jakąś dziewczynę. W głowie się nie mieści. Nikt tego nie rozumie. Myślałem, że szukacie gwałciciela. Dziewczyna! Możesz w to uwierzyć?

- Prawie nie.

- Najwyraźniej jest winna.

- Cóż, tego nie wiemy. Nie wyciągajmy pochopnych wniosków.

- Co ty gadasz? Nie aresztowaliby jej, gdyby nie mieli wystarczająco mocnych dowodów. Muszą je mieć, żeby stanąć przed ławą przysięgłych, zwłaszcza w sprawie o morderstwo. Nie mogę w to uwierzyć.

- Ja też prawie nie mogę w to uwierzyć. - O'Malley lubił Marty'ego, ale tego wieczoru wolałby, żeby barman sobie poszedł. - Skąd wiesz o ławie przysięgłych, Marty? Dorabiasz na boku jako adwokat czy co?

Mężczyzna machnął ręką.

- Nie. Człowiek patrzy i się uczy, detektywie Tracy.

Spencer wolno popijał piwo.

- Słyszałem, że ona nawet nie zaprzecza - powiedział Marty, jakby jego zdaniem to rozstrzygało definitywnie kwestię winy.

- Ma prawo zachować milczenie - odrzekł sierżant.

- Tak, ale myślę, że ona woli trzymać buzię na kłódkę, bo jak ją otworzy, to od razu wszystko z niej wyciągną.

Detektyw zdawał sobie sprawę z tego, że powinien jechać na komendę, ale miał ochotę na kolejnego drinka. Chciał posiedzieć spokojnie na swym stałym miejscu w pustawym barze i zapaść w sen.

Miał nadzieję, że to wszystko wkrótce się skończy.

- Wyglądasz okropnie, stary, nawet w tym świetle.

- Dzięki. To nadmiar uprzejmości - uśmiechnął się O'Malley.

- Tracy, wiesz, że zawsze z radością witam cię w barze i cieszę się na twój widok. Ale teraz idź i walcz z przestępczością.

Na odchodnym Spencer zmierzył barmana przeciągłym spojrzeniem, po czym rzekł:

- Wiesz co, Marty? Cholernie bym się cieszył, gdybyś wreszcie przestał nazywać mnie „Tracy”.

- Ale, Trace...

- Mówię poważnie. To mnie wkurza.

Tamten wyglądał na dotkniętego.

- Spencer, nazywam cię tak od pięciu lat.

- I od pięciu lat mnie to wkurza - odparł detektyw poważnie i ze znużeniem. - Tak sobie tylko pomyślałem, że ci to powiem. Dobranoc.

Marty w odpowiedzi coś mruknął.

Spencer wolnym krokiem wrócił do domu, żeby oczyścić umysł i przebrać się, zanim wróci na komendę.

Wiedział, że dostanie mu się od szefa. Mocniej ścisnął kopertę i skręcił w Allen Street, mijając Stinsona, EBA i sklep muzyczny.

To, że on jeden wiedział o Nathanie Sinclairze, było ciężarem trudnym do zniesienia.

Och, gdyby wiedziała o tym wszystkim Conni. Gdyby tylko wiedziała! Uciekłyby z krzykiem od Kristiny i „Alberta”, i poradziłyby Jimowi Shawowi, aby też uciekł z krzykiem. Lecz Conni dała się ponieść nienawiści - i z jakiego powodu? Do kogo? Spencer był prawie przekonany, że Constance Tobias rozprawiła się z niewłaściwą osobą. Tak jak Ruth Ellias - ostatnia kobieta skazana na szubienicę w Wielkiej Brytanii - Conni powinna była zająć się chorobą, a nie objawami.

Wchodząc po schodach, Spencer żałował, że w domu nikt na niego nie czeka. Nie ma nikogo, kto by go wysłuchał, a potem powiedział, że tutaj popełnił błąd, tu się pomylił.

Detektyw w głębi serca obawiał się, że Will Baker jest lepszym od niego gliniarzem, ponieważ ma żonę. Will wracał do domu, przez dziesięć minut opowiadał o tym, co robił w pracy, a jeśli trzeba było jakoś to skomentować, Ginny Baker komentowała, po czym oboje o wszystkim zapominali i zajmowali się własnymi sprawami.

Spencer nie mógł tak zrobić. Miał tylko siebie. Zwykle jakoś to znosił, bywały jednak okresy, kiedy rozglądał się po mrocznym, pustym mieszkaniu, a siły uniwersum sprzysięgały się przeciw niemu i obezwładniały go. Wtedy pragnął, by to ktoś inny odczuwał gniew w imieniu Kristiny na Conni i Nathana Sinclaira. By ktoś inny wściekał się na szefa za nagany i wzywanie wsparcia z zewnątrz.

By ktoś odczuwał gniew w jego imieniu.

By ktoś cokolwiek dla niego znaczył.

O'Malley rzucił klucze na stolik i z nawyku zajrzał do lodówki. Nic. Była szósta w poniedziałkowe popołudnie i nikt nie wróci do domu wieczorem. Ani następnego dnia rano. Nikt poza nim samym, a dziś nie umiał siebie znieść. Robiło mu się niedobrze na własny widok.

Wziął prysznic, przebrał się, a potem pojechał do pracy. Szarą kopertę z informacjami o Nathanie Sinclairze zostawił na kuchennym stole.

Spencer nie był przygotowany na dantejskie sceny rozgrywające się na komendzie.

Przed budynkiem kręcili się dziennikarze z kamerami, światłami i mikrofonami, które zdawały się żyć własnym życiem. Jakim sposobem tak szybko tu się zjawili? - zastanawiał się detektyw. Była ekipa z telewizji z Oklahomy i dwaj dziennikarze z „Los Angeles Times”, którzy od razu rzucili się do niego z mikrofonami. Przepchnął się pomiędzy nimi, mamrocząc pod nosem: „Bez komentarza, bez komentarza”. I tak ledwo słyszał, o co go pytają, ponieważ w głowie aż mu huczało od pytań, które sam sobie zadawał.

Migały niebiesko-czerwone policyjne koguty. Ziemię pokrywał śnieg, było bardzo zimno.

Spencer poszedł prosto do gabinetu szefa. Gallagher powitał go gniewnym spojrzeniem.

- Gdzieś się, do diabła, podziewał? Aresztowaliśmy Conni Tobias.

- Słyszałem.

- Do jasnej cholery! Silas i Artell chcieli, żebyście z Rayem im towarzyszyli.

- Dlaczego? Wygląda na to, że doskonale sami sobie poradzili.

- O'Malley, nie zachowuj się jak przemądrzały dupek. Ty kierowałeś dochodzeniem. Potrzebowali twojej pomocy.

- No, no - cmoknął Spencer, uśmiechając się lekko. - Dlaczego od razu pan mi tego nie powiedział? Po to tu jestem, żeby im pomóc.

- Właśnie po to - warknął szef - żeby im pomóc. Pracujemy razem, Tracy. Co się dzieje w tym twoim zakutym łbie? Ty masz znaleźć mordercę, oni oskarżają go w sądzie, pamiętasz?

- Cóż, nie zdawałem sobie sprawy, że oskarżanie w sądzie oznacza też aresztowanie. Zdawało mi się, że to należy do mnie.

- Ale ciebie tu nie było! - wykrzyknął Gallagher. Will wpatrywał się w dywan. - Może gdybyś był, to ty byś dokonał aresztowania,

- Gdybym tu był, zaleciłbym, żebyśmy się wstrzymali...

Komendant nie pozwolił mu skończyć.

- O'Malley, wstrzymali do kiedy? Do Bożego Narodzenia? Mam już po uszy tych twoich bzdur. Chcesz, żeby sprawę przejął Baker?

Spencer spojrział na Willa, ten jednak nie podniósł głowy.

- Czy to kolejna groźba, szefie?

- Weź się w kupę, O'Malley! Biuro prokuratora okręgowego cię potrzebuje, twój partner cię potrzebuje, komenda cię potrzebuje. Nie pozwól, żeby twoje osobiste problemy brały nad tobą

górze za każdym razem, kiedy mamy poważną sprawę.

- Brały nade mną górę? Za każdym razem? Przy tych dwóch, które mieliśmy?

- A twoim zdaniem tylko morderstwo jest poważną sprawą? A co z czterdziestoma rabunkami z ubiegłego roku? Co z włamaniami? Co z tą bójką w barze zeszłej zimy, która o mało nie skończyła się tragicznie? Zawsze jak robi się gorąco, ty gdzieś znikasz i zajmujesz się Bóg wie czym.

Spencer rozważył sytuację.

- I dlatego sprowadził pan ludzi z biura? Bo pana zdaniem ja gdzieś znikam?

- Ja ich nie sprowadziłem! Pracujemy razem, do jasnej cholery! Było podejrzenie o zabójstwo. Teraz wiemy, że to morderstwo. Ludzie z Concord i Haverhill powinni być tu już w czwartek.

- Tak, ale nie byli.

- Nie, i patrz, w co wdepnęliśmy, sam właściwie nie wiem, w co! - Gallagher walnął pięściami w biurko, wstał i znowu usiadł. - Posłuchaj - odezwał się spokojniej - Baker sugeruje, że możesz potrzebować pomocy.

Spencer przekrzywił głowę i przyjrzał się partnerowi. Will oblał się rumieńcem.

- Baker sugeruje, tak? No więc jak, jest tego pewny czy nie? - Zanim Gallagher albo Will zdążyli się odezwać, mówił dalej: - Do pana wiadomości, ta pomoc jest cokolwiek spóźniona, szefie. W czwartek miałem tylko Raya do zabezpieczenia śladów na miejscu przestępstwa, a w całej komendzie nie znajdzie się większy partacz. Nie miał aparatu, nie miał taśmy, nie miał notatnika, nie zadzwonił do Concord, kiedy mu kazano, koroner został powiadomiony dopiero w piątek wieczorem, a skoro już o tym mowa, to gdzie pan się znajdował w zeszłym tygodniu? Skoro to było takie ważne, to gdzie pan się podziewał? Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi, ale jedna rzecz jest pewna: tu pana nie było. - Głos detektywa przybierał na sile. Gdyby był mniej zdenerwowany, zrozumiałby, że komendant swoim wybuchem gniewu i pretensjami pokrywał własne zaniedbania w śledztwie, lecz Spencer był bardzo zdenerwowany. I nie zrozumiał.

- Ja tu jestem szefem, Tracy - oświadczył podniesionym głosem Gallagher.

- A gdzie był szef w zeszłym tygodniu, kiedy gołymi rękami odkopaliśmy z zasy nagie zwłoki kobiety? Gdzie pan był, kiedy na jej kontach w banku odkryliśmy dziewięć milionów dolarów i kiedy nie mogliśmy znaleźć ani jednego człowieka, który upomniałby się o tę dziewczynę, choć za życia była ulubienicą wszystkich, za to po śmierci zaczęła chyba brzydko pachnieć, bo nikt nie chciał mieć z nią nic wspólnego! A teraz

powiem wam coś o tych moich zniknięciach. Wczoraj pojechałem do Norwalk w Connecticut, żeby porozmawiać z kobietą, od której dowiedziałem się zupełnie niewiarygodnych rzeczy, ale was to głównie obchodziło i nie chcieliście słuchać. Dzisiaj byłem w Concord, ponieważ... - urwał, by zaczerpnąć powietrza - ponieważ jeden komplet odcisków palców nie pasował. Od czterech dni prawie nic nie miałem w ustach. A pan gdzie był wczoraj? Niech zgadnę, pewnie grał pan w piłkę z dziećmi i delektował się smaczną niedzielną pieczeni z żoną. Więc niech pan nie gada o moich zniknięciach. - Zacisnął pięści. - Ja zajmowałem się swoją robotą.

Długo trwało, nim Spencerowi puszczały nerwy, ale jak już puszczały, to na całego.

Stojący obok niego Will nie odrywał spojrzenia od podłogi.

Gallagher przemówił głosem niezwykle spokojnym, jak ojciec próbujący uspokoić rozzłoszczone dziecko.

- Posłuchaj, Spencer - zaczął.

Gdyby O'Malley nie był taki rozgniewany, zdziwiłby się bardzo, ponieważ szef nigdy nie mówił mu po imieniu, nawet kiedy szli na drinka.

- Niech pan mi nie spenceruje - warknął. - Mam tego po uszy. Po prostu po uszy. Wracam do domu. Ma pan swoją dziewczynę, że tak to ujmę. Niech pan idzie i pogada z tymi mikrofonami na zewnątrz. Nie mogą się doczekać pańskiego komentarza. Niech pan im opowie wszystko, co pan wie o Conni Tobias, Kristinie Kim i Nathanie Sinclairze.

- A kim, do diabła, jest Nathan Sinclair? - szepnął Will.

- Przykro mi, ale nie wszyscy możemy być tacy mądrzy jak ty, Tracy - odrzekł Gallagher ze złością. - Nie jesteśmy jednak idiotami. I prosimy o wybaczenie, że mamy żony i rodziny, ale mimo to także staramy się wykonać naszą pracę, jak możemy najlepiej, aczkolwiek naturalnie nie tak błyskotliwie i nie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę jak ty.

Spencer nie miał ochoty ciągnąć tej dyskusji. Przepelniały go emocje. Od śmierci żony nie czuł się w taki sposób. Nagle uświadomił sobie, że komendant wie coś niezwykle ważnego o Spencerze Patricku O'Malleyu, coś, co daje mu nad nim władzę; szef nie po raz pierwszy z rozkoszą skorzystał z tej przewagi.

Gallagher wiedział, że Spencer nie ma prywatnego życia.

Ledwo oddychając, stał przed swoim przełożonym. Choć zmagał się z dylematem, z wyborem pomiędzy wyjątkowo i równie nieprzyjemnymi wyjściami, jedyną zewnętrzną oznaką jego stanu było drżenie palców.

- Składam rezygnację - oznajmił.

- Nie bądź głupi, O'Malley - rzekł komendant. - Zawsze gdy stawiam ci zarzuty, ty grozisz mi odejściem. Zmęczyło mnie już to. Któregoś dnia przestanę cię przekonywać, żebyś został.

- Niech to będzie dzisiaj, szefie - odrzekł Spencer, zdejmując kaburę z magnum i rzucając broń na biurko.

- O'Malley! - wykrzyknął Gallagher.

- Tracy, uspokój się, stary - powiedział cicho Will, podchodząc do niego.

Detektyw cofnął się, odpinając z kieszeni koszuli policyjną odznakę, i także rzucił ją na blat.

- Wiem, wiem - odezwał się ciszej i spokojniej. - Zawsze to samo. Ja udaję, że rezygnuję, bo mam po same uszy tego, jak pan mnie traktuje, jak pan się do mnie zwraca, jak pan kieruje tym miejscem. Od pięciu lat czekałem, aż pan przejdzie na emeryturę, żebym mógł przejąć pańską robotę, ale ciągnęło się to tak, jakby to było pięćdziesiąt pięć lat. Zostałem, bo nie miałem wyboru. Ale wie pan, co? Kristina Kim nie miała wyboru. Katherine Sinclair nie ma wyboru. A ja mam! I rezygnuję. Myśli pan, że za bardzo kocham tę robotę...

- Wcale tak nie myślę, O'Malley.

- No to się pan myli. Lubię tę pracę. Tylko że oczywiście nie mam prywatnego życia, które mógłbym z nią porównać. I dlatego traktuje mnie pan jak gówno, prawda? Bo nie mam dokąd pójść. A, do diabła z tym miejscem! Rezygnuję. Może pan wyczyścić moje biurko, nic w nim nie mam. Jeśli prokuratorowi będą potrzebne moje zeznania w sądzie, niech mnie wezwie.

- Tracy - szepnął Will - posuwasz się za daleko.

- Tak, za drzwi. - I okręcił się na pięcie.

- Tracy - odezwał się Gallagher - ostrzegam cię, jeśli teraz wyjdiesz za próg, nie wracaj. Nie masz po co.

O'Malley odwrócił się po to tylko, by powiedzieć:

- I jeszcze jedno, nie nazywajcie mnie Tracy. Nie znoszę tego pieprzonego imienia.

Wyszedł na zimne nocne powietrze, lecz zatrzymał się tuż koło frontowych drzwi. Wiedział, że będzie musiał jednak tu wrócić. Potrzebowali go. Nie powiedział im jeszcze o Nathanie Sinclairze.

Cóż to jednak zmieni? Po prostu będą wiedzieć i tyle. W dodatku kompletnie to zignorują. Kiedy wszakże prawda wyjdzie na jaw, Conni Tobias wszystko zrozumie. I Jim Shaw też. Conni pomyśli, że jej życie bez powodu legło w gruzach, a O'Malley nie chciał, by ta biedaczka jeszcze

bardziej pogrążyła się w rozpacz. Teraz potrzebna jej była nadzieja. Właściwie współczuł tej dziewczynie. Nie zależało mu, by ją niszczyć.

A Jim Shaw? Uwikła się w skandal, który może położyć kres jego ewentualnej karierze politycznej. Ktoś kiedyś bez wątpienia wyciągnie na światło dzienne fakt, że w college'u młody Jim zaplątał się w ten szokujący, destrukcyjny kwadrat. Tak jak Ted Kennedy, który po aferze Chappaquiddick nigdy już nie wrócił do aktywnego życia politycznego, Jim Shaw także nie będzie mógł odciąć się od Kristiny i Nathana Sinclairów. Spencer nie miał ochoty wbijać ostatniego gwoźdźca w jego trumnę.

Z wolna do świadomości detektywa dochodziły białe migające światła i wołania setki ludzi, z których każdy podtykał mu pod twarz czarne mikrofony. Było jasno jak w dzień. Fałszywy dzień. Bo przecież to jest noc, w dodatku zimna. I znowu Spencer łokciami utorował sobie drogę pośród rojących się dziennikarzy. Odpowiedział na jedno tylko pytanie:

- Czy to pan prowadzi dochodzenie?
- Już nie - odrzekł sierżant O'Malley.

Pojechał do Hanover, ani razu nie obejrząwszy się na wysokie, ponure sosny na polu golfowym koło budynku komendy policji, w którym spędził pięć lat swego życia.

W mieszkaniu na Allen Street spakował swoje rzeczy. Nie zajęło mu to wiele czasu; mało przywiózł ze sobą, a podczas pobytu w Hanover nabył tylko kilka przedmiotów. Dlaczego nie zapuściłem tu korzeni? - pytał siebie. Czy dlatego, że zawsze wiedziałem, iż stąd wyjadę? Nie, przecież kochał to miasto. Po prostu jakoś nie znalazł czasu na zapuszczenie korzeni. Zbyt był zajęty przetrwaniem, by zaprzętać sobie uwagę życiem.

Chaotycznie wrzucał kolejne rzeczy do walizek, skupiając myśli na czymś innym. Dziwne, lecz nie była to praca detektywa sierżanta, którą właśnie porzucił, ani zamiary na najbliższą przyszłość, ani nawet powrót do domu, w którym nie był od lat.

Spencer zastanawiał się nad czwórka przyjaciół i charakterem łączących ich związków, nędznym i wulgarnym. Złe odczucia zalewały go falą niczym deszcz.

Jim Shaw. Conni Tobias. Nathan Sinclair. Kristina Sinclair.

Jim Shaw. W głowie Spencera odezwał się głośny dzwonek. Jim Shaw.

Dlaczego nie zgłosił na policję, że widział czarne buty Kristiny, kiedy w poprzednią środę na nie się natknął? Utrzymał, że się bał, lecz Spencera to nie przekonało.

Bo pytanie brzmiało: Bał się o kogo?

Czy Jim Shaw wiedział o incydencie sprzed roku, którego świadkiem był Frankie? Czy to możliwe, że wszyscy wiedzieli, może nawet śmiali się z tego w trakcie owych podłych gier, w które grali jedno z drugim, kiedy karty przestawały wystarczać?

Spencer narzucił kurtkę i wyszedł z pokoju. Wszystko wokół budziło w nim wstręt; całą drogę do akademika Hinmana patrzył tylko pod nogi.

Jim otworzył mu drzwi. Sprawiał wrażenie przygnębionego i starszego niż ów student, którego detektyw poznał cztery dni temu. Był nieogolony, włosy miał w nieładzie. O'Malley wiedział, że Jim się nie uczył, na jego twarzy malowała się rozpacz. Spencer sądził, że powodem jest zbliżający się pogrzeb, lecz się mylił.

- Conni... - odezwał się Jim - aresztowali ją.

- Tak, wiem.

- To straszne dla niej, straszne.

- Tak - powtórzył Spencer; miał ochotę dodać, że dla Kristiny to też było straszne.

- Jak pan myśli, co się z nią stanie?

- Z Conni? Dostanie najlepszego i najdroższego adwokata, na jakiego stać jej ojca, i będzie miała nadzieję, że wszystko skończy się dobrze.

- A pana zdaniem jest jakieś wyjście?

Detektyw usiadł w fotelu i rozejrzał się po pokoju.

- Wiem, co czujesz, Jim, ale Conni była na moście, a jej krew znaleziono pod paznokciami Kristiny.

Młody człowiek ukrył twarz w dłoniach.

- Nie, nie. Nie wierzę w to. To niemożliwe.

- Jim, ona to zrobiła. Wiem, że trudno sobie z tym poradzić.

- Ona tego nie zrobiła, na pewno nie - zaprzeczył chłopak. - Ja w to nie wierzę.

- Nie? - zapytał O'Malley. - Więc kto w takim razie?

- Nie wiem. Ktoś inny.

- Na przykład ty?

Jim pokręcił głową.

- Albert? - Kiedy tamten nie odpowiadał, Spencer zaczął naciskać: - Czy ty o czymś wiesz?

- Nie mówię, że to on. Mówię tylko...

- A ta ostatnia środa? - przerwał mu detektyw. - Kiedy zobaczyłeś swoją dziewczynę w

zaspie, pomyślałeś, że to Conni ją zabiła?

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Nie?

Spuścił wzrok. Spencer wstał, kiwając głową.

- Tak przypuszczałem.

- Po co pan tu przeszedł? - zawołał Jim. - Żeby mnie torturować?

- Przyszedłem poradzić ci, że kiedy będziesz zeznawał, powinienes zebrać całą odwagę i wyjawić sądowi prawdę.

- Prawdę?

- Tak. Aby zachować własne dobre imię, musisz powiedzieć, że uciekłeś od zwłok swojej byłej dziewczyny, ponieważ bałeś się, że zabiła ją dziewczyna, którą kochasz. A tak było, no nie?

- Nie wiem, o co panu chodzi - odparł Jim hardo. - Mówiłem, że się bałem.

- Tak, ale nie o siebie, tylko o nią. Wiedziałeś o tym incydencie na moście w zeszłym roku, tak? Conni mogła ją wtedy zabić. Chciała to zrobić.

Chłopak zamknął oczy. Spencer ruszył w stronę drzwi.

- Pomyśl o mojej radzie. Powodzenia - dodał, odwracając się do Jima.

- Wysłanie Conni do więzienia nie przywróci Kristinie życia - odezwał się tamten cicho.

- Jasne, że nie. To nigdy nie przywraca życia ofiarom zbrodni. - Detektyw wyszedł tyłem za próg. - Uczucie do Conni zaćmiło twoją zdolność osądu. Winnemu musi zostać wymierzona sprawiedliwość... Co się z tobą dzieje? Kristina umarła. Nie prosiła o to, by ją zabić.

Jego rozmówca uniósł wzrok.

- Nie?

O'Malley wrócił do pokoju i stanął tuż przed chłopakiem.

- Do diabła, co ty mówisz?

Jim się cofnął.

- Bóg wybaczy Conni - oświadczył. - I to Bóg powinien ją ukarać.

- I robi to. W swoim czasie. Ale tutaj na ziemi ludzie realizują Jego przykazania. A najważniejsze brzmi: Nie zabijaj bliźniego swego.

Tamten spojrzał twardo na Spencera, a później chrapliwie zapytał:

- Jak to jest, detektywie? Tak przychodzić i rujnować ludziom dzień, do diabła, całe życie? Czy to przyjemne?

- Nie masz nawet pojęcia - odparł O'Malley przez zaciśnięte zęby. -

Gdybym chciał popsuć ci dzień, zrobiłbym to porządnie. Cholera, mógłbym nawet zrujnować ci całe ferie świąteczne.

Miał zamiar powiedzieć Jimowi o Nathanie Sinclairze, lecz doszedł do wniosku, że nie będzie strzepił sobie języka na tego smarkacza.

We wtorek rano Spencer wyprowadził się z mieszkania. Wynajął pokój w Hanover Inn, gdzie Howard Kim omawiał szczegóły środowej stypy, która miała się odbyć w Sali Daniela Webstera.

Detektyw zamierzał zostać do pogrzebu, a później pojechać na Long Island. Spędzenie ostatniego dnia w Hanover właśnie w tym hotelu wydawało się poniekąd właściwe, w końcu to tutaj zatrzymał się pierwszego dnia po przyjeździe do miasta.

W pokoju hotelowym więcej było mebli niż w całym jego mieszkaniu. Z dwóch okien rozciągał się widok na wieżę zegarową Bakera i gmach rektoratu Dartmouth. Po lunchu w Ivy Grill Spencer zdrzemnął się na królewskim łożu z makramowym baldachimem. Punkt trzecia obudził go zegar grający „Let It Snow, Let It Snow”.

Wyjrzał za okno. Śnieg nie padał.

Kiedy wyszedł na ulicę, świeciło słońce, choć było mroźno. Na widok rektoratu, czarnych okiennic i białych ścian przeszedł go dreszcz żalu. Co on najlepszego zrobił?

Jednakże pokryty śniegiem skwer, Biblioteka Bakera z białą wieżą zegarową i studenci kręcący się wokół rektoratu nie budzili w nim ciepłych uczuć, które wcześniej żywił. Idąc Main Street pod zielonymi markizami, Spencer przeżywał swe rozczarowanie. Hanover było jak kochanka, która go zdradziła. Niegdyś uważał ją za piękną, kiedy jednak teraz patrzył w jej pełną fałszu twarz, czuł wyłącznie piekący gniew i nie dostrzegał uroku. Do diabła z tym wszystkim!

Wsiadł do impali; pierwszymi rzeczami, które napotkał jego wzrok, były policyjne radio i syrena. Musi je zwrócić.

Pojechał do Domu pod Czerwonymi Liśćmi, rozmyślając o Kristinie, która niemal zginęła na drodze koło zalewu, i zwolnił do maksimum, gdy mijał miejsce wypadku. Ktoś za nim nacisnął klakson, dodał więc gazu, starając się zignorować skurcz w żołądku.

Przejechał przez Lebanon i skręcił w prawo na spokojną uliczkę. Był tutaj dwukrotnie, za każdym razem przywożąc ciężarne nastolatki, które uciekły z domu do miejsca, gdzie nikt nie będzie ich osądzał. W regionie Upper Valley znajdowało się tylko jedno takie schronisko. Nic dziwnego, że Kristina kochała Czerwone Liście.

Wysiadł, minął tabliczkę z nazwą na słupku wbitym w chodnik i zapukał do drzwi. Otworzyła jedna kobieta i zaprowadziła go do drugiej, a ta z kolei do trzeciej. Dowiedział się, że właścicielka Czerwonych Liści jest nieobecna, ale może ktoś inny może mu pomóc?

Kiedy pracownicy i nastolatki dowiedziały się, kim jest, otoczyły go kołem. Wręczyły Spencerowi filiżankę herbaty, postawiły na stole herbatniki i posadziły gościa na krześle.

Kilka kobiet otwarcie płakało. Potrząsały głowami, pytały, co właściwie się stało, i ciągle przerywały wykrzyknikami: „To nie do uwierzenia! Jak coś takiego mogło się stać? Takie rzeczy w tej części kraju się nie zdarzają”. O'Malley chciał odpowiedzieć, że takie rzeczy zdarzają się wszędzie.

Pragnął też im powiedzieć, jak wiele Czerwone Liście znaczyły dla Kristiny, lecz zabrakło mu słów. Kobiety jednak swymi łzami i tym, co mówiły, wyraźnie pokazały Spencerowi, jak wiele znaczyła dla nich Kristina Kim.

One by się po nią zgłosiły, pomyślał detektyw. Wszystkie razem przyszłyby i uratowały ją od anonimowości metalowej szuflady. One by ją wzięły.

Spencer wyjaśnił, że przypuszczalnie była to zbrodnia w afekcie, że dziewczyna, która ją popełniła, straciła nad sobą panowanie, że przez kilka lat zazdrość doprowadziła ją do szaleństwa. Jedna z kobiet przyznała, że Kristina była piękną dziewczyną, więc powodów do zazdrości znalazłoby się sporo. Spencer potwierdził bez przekonania. Nieoczekiwanie ukazano mu żywą Kristinę, a to przyniosło ukojenie.

Najpierw zapytał, czy wybierają się na pogrzeb, później, czy dotarła już do nich wieść o pieniądzach. Asystentka właścicielki, wycierając oczy, odrzekła:

- Tak. Ona była niezwykłą dziewczyną, prawda? Niezwykłą. Że o nas pomyślała, że pamiętała! Zrobiła naprawdę ogromnie dużo dobrego.

Dodała, że po niedzielnym artykule w miejscowym dzienniku, gdzie napisano, iż fortuna Kristiny przypadnie Czerwonym Liściom, odezwało się mnóstwo ludzi. Dzisiaj przyszło chyba z pięćset kopert z czekami. Jedna z pracownic przyniosła trzy torby, żeby pokazać Spencerowi. Był pod wrażeniem. Kristina zostawiła ślad na ziemi. Z jej dobroci zrodziło się dobro. Właściwie to dobry uczynek Alberta - nie, Nathana - zrodził owo dobro, lecz Spencer nie zamierzał okazać temu draniowi ani krztyny uznania w żadnej sprawie.

O'Malley siedział, słuchając kobiet i uprzejmie kiwał głową. Fotel był wygodny, przez okno wpadały ostatnie promienie słońca, które działały

usypiająco. Detektyw zamknął już nawet oczy, a kiedy na powrót je otworzył, ogarnęła go bolesna tęsknota za domem. Jednego był pewny: ów dom nie znajduje się w Hanover.

Pożegnał się i poszedł do samochodu. Po drodze wpadło mu do głowy, że aż do dzisiaj w całym dorosłym życiu nie pił herbaty.

Zafundował sobie wystawny obiad w Sali Daniela Webstera w ten ostatni wieczór w Hanover.

Konsekwencje rezygnacji z pracy, którą kochał, jeszcze do niego nie dotarły. Czy szef wystawi mu dobrą opinię, czy też Spencer do końca życia będzie pracował jako ochroniarz?

Will przez wszystkie te lata był dobrym przyjacielem; O'Malleyowi zrobiło się przykro, że odszedł w tak nieprzyjemnych okolicznościach. Może Baker urządziłby dla niego przyjęcie pożegnalne.

Pomyślał przelotnie, że powinien wrócić na komendę, pożegnać się ze starym partnerem i oddać resztę sprzętu, lecz nie miał ochoty zbliżać się do Conni Tobias zamkniętej w areszcie.

Wolałby się z nią nie spotykać. Zbyt często zamykałby oczy, a pod powiekami pojawiałaby mu się stojąca na moście naga Kristina, na którą z wyciągniętymi rękami rzuca się rozwścieczona przyjaciółka.

W jakim kłamstwie musiała żyć Kristina przez cały rok, ciągle widując tę dziewczynę, która chciała ją zabić?

Kristina Kim nazbyt długo żyła w cieniu śmierci, myślał Spencer, próbując nabrać apetytu na kaczkę, którą zamówił. Głównie jednak pił. Pił sam przy stoliku, a kiedy szklanka była pusta, gestem przyzywał kelnera, by ją napełnił. Siedział spokojnie, nikomu nie wadził, i pił, by zagłuszyć ból, by zapomnieć. O drugiej nad ranem wypił już dość, by zapomnieć o całym świecie, i prawie mu się to udało.

Nie potrafił tylko wyrzucić z pamięci Katherine Morgan Sinclair.

ROZDZIAŁ ÓSMY

DAWNO, DAWNO TEMU W GREENWICH

Wspomnienie Katherine Sinclair majaczyło Spencerowi przed oczyma i dręczyło jego zalany whisky umysł. Kiedy ją zobaczył, siedziała w fotelu na kółkach koło okna o białych ramach.

Przypuszczalnie niegdyś była piękną i elegancką kobietą. Teraz pozostały tylko słabe ślady dawno minionego życia, życia dobrego i pełnego miłości, lecz dawno już minionego. Jej włosy nie były zadbane. Spencer wyobrażał sobie, jak wyglądały, kiedy codziennie pielęgnowano je szamponem i odżywką, układano w loki lub by zawijały się na ramionach. Katherine Morgan Sinclair. Jej nazwisko wciąż błyszczało. Nie miało znaczenia, gdzie teraz mieszkała; nie liczyło się, jak wygląda, w co jest ubrana albo jak mówi. Ważne było jedynie to, że jej nazwisko wciąż mówi samo za siebie.

Jestem Katherine Morgan Sinclair. I kiedyś miałam wspaniałe życie.

Odnalazł ją cudem. W niedzielę rano spędził dwie godziny, dzwoniąc do każdego szpitala w Connecticut, aż wreszcie trafił na jakąś Katherine Sinclair w Norwalk State Hospital. Dyrektor w trosce o kruche zdrowie pacjentki nie chciał się zgodzić na wizytę detektywa i nic go nie obchodziła policyjna odznaka. Ustąpił dopiero przed groźbą wezwania do sądu.

O'Malley pojechał, nie wiedząc, czego się spodziewać.

- Teraz czuję się o wiele lepiej - oznajmiła Katherine. - W każdej chwili mogłabym stąd wyjść, ale tu jest przytulnie i dobrze się mną opiekują.

Zgodziła się przyjąć Spencera, chociaż nie wiedziała, kim jest ani jaką wiadomość ma jej do przekazania. Siedziała w fotelu na kółkach ze spokojem, po królewsku, wyprostowana. Od czasu do czasu odwracała się w stronę okna, za którym rozciągał się widok na park, łąkę i las.

Katherine była ślepa, biała laska stała oparta o poręcz fotela. Spencer domyślił się, że laska jest zbędna. Przypuszczalnie przyniosły ją pielęgniarki na prośbę starszej pani, która jednak sprawiała wrażenie, jakby nigdy nie wstawała z fotela. Jej ciało wydawało się wątłe i słabe od długiego bezruchu, pod luźną skórą rysowały się kości.

Spencer odchrząknął.

- Nie musi pan się trudzić, detektywie O'Malley - odezwała się Katherine cicho i bez afektacji. - Wiem, że przyszedł pan powiedzieć mi o jej śmierci. Nie myślę się?

Potwierdził ruchem głowy, zaraz jednak uświadomił sobie, że chora nie może tego zobaczyć.

- Tak - powiedział.

Usiadł. Przez ciało Katherine przebiegł skurcz. Zaczął się od powiek, później powędrował przez usta, szyję, ramiona, nogi, wreszcie zamarł w stopach. Kobieta znieruchomiała. Utkwiła wzrok w przestrzeni obok głowy Spencera, on z kolei wpatrywał się w koc okrywający jej kolana. Nie mógł znieść widoku jej twarzy.

Milczenie przerwała Katherine, prosząc o szklankę wody.

- Moje dziecko. Moja dziewczynka - szepnęła, upiwszy łyk. Spencer podał jej rękę, lecz nie chciała jego pomocy. - Nie, detektywie, proszę nie. Będzie mi trudniej z pańskim współczuciem. Zaraz się uspokoję, proszę dać mi tylko minutę.

Dał jej dwie, potem pięć.

- Znał pan moją córkę, detektywie O'Malley?

Kiwnął głową. Musi przestać to robić.

- Tak, pani Sinclair. Aczkolwiek tylko przelotnie, niestety.

- Wciąż była piękna?

- Bardzo piękna.

- Tak. - Katherine się uśmiechnęła. - Jako dziecko była prześliczna, serce mi rosło, gdy na nią patrzyłam. Nie mogłam wprost uwierzyć, że jest taka piękna. A może wszyscy rodzice myślą tak o swoich dzieciach?

Matka Spencera uważała, że nigdy nie było na świecie tak pięknych dzieci jak jej pociechy.

- Kristina była naprawdę piękna - potwierdził głośno.

- To prawda. Szczęśliwa jestem, że straciłam wzrok. Widziałam ją i to wystarczy. Teraz nie będę musiała oglądać jej martwej. - Jej oczy napełniły się łzami.

O'Malley odwrócił głowę.

- Jak umarła, detektywie? W wypadku samochodowym? Zamarzła? Została zamordowana?

Chciał odpowiedzieć twierdząco na wszystkie trzy pytania; był głęboko poruszony.

- Zamarzła - odrzekł wreszcie. - Skąd pani wiedziała?

- Uwielbiała śnieg - wyjaśniła Katherine łamiącym się głosem. - Kiedy spadł w nocy, rano wybiegała z domu w piżamie i kładła się na plecach w zaspach. Krzyczałam, żeby wstała, bo

zamarznie na śmierć.

Spencer zadrzał.

To był cud, że Kristina w ogóle przeżyła. Katherine chorowała na cukrzycę, Kristina i jej brat bliźniak urodzili się osiem tygodni przed terminem.

Chłopczyk umarł, był zbyt słaby.

Malutka przez pierwsze trzy miesiące walczyła o życie. Katherine pochowała synka, a potem codziennie wędrowała do Greenwich Memorial Hospital, by czuwać przy inkubatorze, w którym leżało jej drugie dziecko. Kristina po urodzeniu ważyła zaledwie osiemset gramów, ale miała w sobie ogromną wolę życia.

- Ogromną, detektywie O'Malley - mówiła Katherine Sinclair; oczy zachodziły jej łzami, palce z furią szarpały stary pled. - Myślałam, że każdy jej oddech będzie ostatni. Bałam się, że postradam zmysły, kiedy słuchałam, jak łapie powietrze: krótka przerwa, krótka, długa, zbyt długa. Ale jakoś z tego wyszła. Przywieźliśmy ją do domu, kiedy skończyła cztery miesiące. Ważyła wtedy dwa kilogramy. - Starsza pani uśmiechnęła się. - Wyrosła na ładną i wysoką dziewczynę, prawda? - Nagle uśmiech zniknął jej z twarzy, a palce znieruchomiały. Zwróciła głowę w kierunku okna. - Wyrosła na uroczą dziewczynę. I schludną. I nie miała cukrzycy. Po tym pierwszym roku życia w ogóle nie chorowała. Nie przechodziła nawet ospy wietrznej ani innej dziecięcej choroby. Rzadko łapała katar, grypy nigdy. Nikt by się nie domyślił, że była o włos od śmierci.

- To prawda - zgodził się Spencer. - Wydawała się trochę do pani podobna - dodał bezradnie, usiłując jakoś pocieszyć matkę Kristiny.

- Przez pierwsze siedem lat wychowywała się jako jedynaczka - podjęła po chwili Katherine. - Nie może pan sobie wyobrazić, jak ją rozpieszczaliśmy.

- Mogę, pani Sinclair - odrzekł Spencer.

- Zatrudniliśmy dwie guwernantki. Mając cztery lata, rozpoczęła naukę gry na fortepianie na własnym steinwayu, gdy skończyła pięć, zaczęła chodzić na balet i gimnastykę, w wieku siedmiu lat zapragnęła grać na skrzypcach, więc kupiliśmy jej najlepszy instrument. Uczyła się jeździć konno, miała własnego konia w stajni, którą zbudowaliśmy na tyłach naszej posiadłości. Firma męża przynosiła spore dochody, ja pochodziłam z zamożnej rodziny. Moja matka była bardzo majątna.

- Tak, wiem.

- Kristina stała się oczkiem w głowie całej rodziny. Ja ciągle z nią byłam, bo tego pragnęłam, potrzebowałam jej obecności, kochałam ją. Odsuwała mnie, gdy ją całowałam, a ona akurat słuchała Mozarta. Nie miałam pretensji, była moim jedynym dzieckiem. Może pan sobie wyobrazić, jak ją kochałam?

Spencer mógł to sobie tylko wyobrazić - nie bogactwo, lecz macierzyńskie uczucie skupione na jednym dziecku. Ach, cholera, powiedział do siebie.

- Kiedy Kristina skończyła siedem lat, mąż i ja zrozumieliśmy, że ją psujemy, strasznie psujemy. Nasza nieustanna troska wyrządzała jej krzywdę. Zamknęła się w sobie, stała niezależna. Potrzebowała rodzeństwa. Lecz nie mogliśmy mieć więcej dzieci, jeśli chciałam żyć, by je wychować, co mi się udało.

- Tak, pani Sinclair.

- Zaadoptowaliśmy dziecko z sierocińca w Teksasie. Pojechaliśmy aż do Fort Worth, by znaleźć właściwego chłopca.

O'Malley mógł tylko kiwać głową.

- Był wspaniałym dzieciakiem, czarnowłosym, szczupłym, dobrze się zachowywał; nawet troszeczkę przypominał naszą Krissy. On rozpaczliwie potrzebował domu, a to doskonale się składało, ponieważ my rozpaczliwie pragnęliśmy mu dom ofiarować. Zakonnice w sierocińcu powiedziały nam, że trzy lata wcześniej w środku nocy znaleziono go na poboczu lokalnej drogi. Najpierw nic nie mówił, przez cały pierwszy rok nie odezwał się ani słowem. Na dwa lata przed adopcją zaczął mówić.

Nie podał nazwiska, nie znał rodziców ani daty swoich urodzin. Siostry mówiły do niego Billy, my zmieniliśmy mu imię na Nathan. Po naszym zmarłym synku. Na datę urodzin wybraliśmy mu dzień przed urodzinami Kristiny; jej brat bliźniak urodził się dziesięć minut przed północą.

Katherine musiała wyczuć reakcję Spencera, bo dodała:

- Tak, wiem, istnieje stary przesąd. Nie powinniśmy byli żywego dziecka nazywać imieniem umarłego, tak mówili przyjaciele. A właściwie dlaczego nie, odpowiadałam. Żydzi tak robią. Więc i ja zrobiłam. Byliśmy ludźmi religijnymi, a nie przesądnymi. Co niedziela chodziliśmy do kościoła,

przed posiłkiem odmawialiśmy modlitwę. Nie wierzyliśmy w gadaninę starych babek.

- Ja też nie wierzę - oznajmił detektyw.

- Ach, a trzeba było - odparła Katherine. - Zaadoptowaliśmy go, daliśmy mu nasze nazwisko, dostawał wszystko to, co Kristina. A właściwie dostawał więcej. Miał ogromne potrzeby.

- Tego jestem pewny.

- Kristina nie stawiała żądań, jak już mówiłam, była zbyt niezależna. Zawsze uważała, że ją kompromitujemy, ciągle się nad nią trzęsąc. Nathan to była inna sprawa. Uwierzył od razu w naszą miłość i bardzo się do nas przywiązał. Nie chciał nigdzie bez nas się ruszyć, protestował, kiedy z mężem spędzaliśmy wieczór poza domem. Był bardzo uczuciowym chłopcem. Pięknym chłopcem.

Dzieci polubiły się od razu. Kristina przejęła władzę i zawsze musiałam brać stronę Nathana. Kristino, nie drażnij się z bratem, Kristino, nie wyśmiewaj się z niego, Kristino, zostaw go w spokoju, Kristino, nie zachowuj się tak dziecinnie, Kristina, Kristina, Kristina... - Katherine pieszczotliwie powtarzała imię córki. - Ale w głębi serca byłam zadowolona. Bawili się, kłócili, oglądali telewizję, biegali po ogrodzie. Kristina nauczyła Nathana pływać, bo przedtem nie umiał. On zaś nauczył ją, żeby się nie bać.

- Czego?

- W ogóle się nie bać. Gdybym miała opisać go jedną cechą, byłaby to brawura. Nathan niczego się nie bał, w przeciwieństwie do Kristiny, którą jak każde dziecko dręczyły różne strachy, zwłaszcza bała się ciemności. Nathan nauczył ją, jak zatrzymać oddech pod wodą, i to na czas o wiele dłuższy niż ten, po którym zwykle pojawiają się ratownicy. Wdrapywał się na drzewo, a potem skakał z jednego na drugie, wdrapując się na płot, złamał sobie nogę i przez trzy dni nikomu nic nie powiedział. To on dostawał celujące ze wszystkich przedmiotów, choć w ogóle nie zaglądał do podręczników. Był naszą gwiazdą. Nie mogliśmy uwierzyć, że Bóg pobłogosławił nas takim chłopcem.

Spencer myślał tylko o tym, że Nathan nie był jednak dla Kristiny najlepszym nauczycielem, bo nie przestała bać się ciemności.

- Kristina nie była zazdrosna?

- Żartuje pan? Przez te siedem lat musiała porządnie dokuczyć jej samotność. To my byliśmy zazdrośni o nich. Nie rozstawali się na krok. Wydawało się, że łączy ich więź, której nie potrafiliśmy nawet zrozumieć, a co dopiero zgłębić.

W szkole radzili sobie doskonale. Mieli nieskazitelne maniery, także i Nathan, który uczył się szybko wszystkiego, mimo iż pochodził znikąd, z pojemnika na śmieci gdzieś na równinach

Teksasu. Minęły trzy lata, potem pięć, potem siedem. Ja wróciłam do działalności charytatywnej, mąż ciężko pracował w swojej firmie importującej tkaniny, bywaliśmy i sami przyjmowaliśmy gości, Kristina grała dla nich na fortepianie, a Nathan śpiewał. Miał piękny głos.

Nawet teraz, po wszystkim, co się stało, wspominając te lata, myślę, że wiedliśmy życie doskonałe, takie, o jakim większość ludzi może tylko marzyć. Sporo naszych przyjaciół wiele razy się rozwodziło, wiele razy powtórnie zawierało małżeństwa, a ich dzieci, pasierbowie, wszyscy ci przyrodni bracia i siostry kłócili się i godzili, zażywali narkotyki w wieku trzynastu lat, jako piętnastolatki dostawali się pod opiekę kuratora, bo złapano ich na rozbojach, okradali własnych rodziców. Aroganckie, zepsute, samolubne dzieciaki, nieszczęśliwe matki, dryfujący, niespokojni ojcowie. Zналиśmy kobiety, które romansowały z każdym, kto się nawinął, a ich mężowie pracowali przez cały dzień, w nocy zaś odwracali się tyłem. Z wyjątkiem jednego, który zastrzelił żonę.

Detektyw uniósł brwi.

- John i ja uważaliśmy, że uchroniliśmy przed tym nasze dzieci. Myśleliśmy, że dzięki nam mają dobre życie.

- To prawda.

- Cóż, wtedy tak myśleliśmy - ciągnęła Katherine. - Do dzisiaj nie wiem, gdzie popełniliśmy błąd. Czy powinnam była zwracać na nich większą uwagę? Mniejszą? Bardziej zająć się Kristina? Mniej Nathanem? Adoptować jeszcze jedno dziecko? No co?

Spencer nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Musiał jakoś zareagować, poklepał więc Katherine po ręce. Nie poruszyła się nawet.

- Dla mnie wygląda to na dobre życie, pani Sinclair - odezwał się; w odpowiedzi usłyszał zduszony płacz.

- Prawda? Kochaliśmy tego chłopca jak własnego. Rozumie pan?

- Rozumiem.

- Mąż oczekiwał, że Nathan przejmie firmę, gdy dorośnie. W testamencie cały majątek podzieliliśmy równo pomiędzy nich. Ustanowiliśmy dla obojga fundusze powiernicze, które miały przejść na własność dzieci, kiedy skończą dwadzieścia jeden lat.

Spencer kiwnął głową i znowu sobie uświadomił, że przecież ona go nie widzi.

- Nathan i Kristina... - Katherine głośno przełknęła, jakby fizyczny ból sprawiało jej wypowiedzianie tych imion razem. - Z wolna zaczęli się od nas odsuwać. Nathan już

nie chciał spędzać z nami czasu. Kristina nigdy tego nie lubiła. No cóż, powiedzieliśmy sobie, to normalne, dorastają, po co im takie stare pierniki jak my? Kiedy skończyli czternaście lat, odsunęli się już zupełnie. Przypisywaliśmy to wiekowi dojrzewania. Czasami nastolatki tak się zachowują. Szkoła nie ucierpiała, nadal dobrze się uczyli i zachowywali, jadali z nami kolacje. Coś jednak się zmieniło. Nie wiem. Może to była moja mała dziewczynka. Wydawało mi się, że ją znam. Zawsze była takim otwartym, serdecznym dzieckiem, ale potem... to znaczy wtedy - poprawiła się Katherine szybko - zaczęła zamykać się w sobie. Wie pan? Dalej słyszałam w domu głos Nathana, ale Krissy mu nie odpowiadała. Wcześniej bawiły mnie ich sprzeczki, teraz siedzieli cicho w swoich pokojach na piętrze, cicho we wspólnych pokojach na parterze i niewiele odzywali się w czasie posiłków. Byli bardzo uprzejmi, zbyt uprzejmi.

Czy to bunt nastolatków? Zastanawialiśmy się nad tym z mężem i doszliśmy do wniosku, że jeśli tak, to nie jest źle. Wielu naszych znajomych miało o wiele gorszą sytuację. Ludzie żyją w zbytku, nadmiar luksusu musi jakoś się odbić na nastolatkach. Na pewno zaś odbija się na dorosłych.

- Jaki nadmiar? - zapytał O'Malley, niemal nie chcąc wiedzieć.

- No właśnie. Ja też niczego złego wówczas nie widziałam. Teraz, z idealnym wzrokiem dwadzieścia dioptrii... czy to nie ironia losu? - Posłała mu uśmiech i Spencer po raz kolejny pomyślał, że musiała być piękną kobietą. - Teraz mówię panu to wszystko, ale wtedy radośnie szłam przez życie, zajmowałam się dobroczynnością, wydawałam małe i wielkie przyjęcia dwa razy w tygodniu, jeździliśmy do Nowego Jorku na imprezy dobroczynne, przedstawienia, przyjęcia, pełniliśmy funkcje społeczne.

Pragnęła opowiadać o dawnym życiu, dorzucała coraz nowe szczegóły, aczkolwiek Spencer już wyrobił sobie pogląd na egzystencję, jaką wiedli w swojej posiadłości w Greenwich w stanie Connecticut. Katherine wszakże musiała o tym mówić. Jakiś czas rozwodziła się o lekcjach fortepianu i skrzypiec, jakie pobierała Kristina, o balecie, o sumach wydawanych na baletki i stroje, o koszykarskiej drużynie w liceum, w której grał Nathan.

- Po raz pierwszy pomyślałam, że chyba dzieje się coś złego, kiedy Kristina miała czternaście i pół roku. Przyszła do mnie... nie, nie ona, tylko guwernantka, pani Pitt, przyszła do mnie i powiedziała, że Kristina zrezygnowała z lekcji muzyki i tańca. Ze wszystkiego. Kiedy zapytałam, oświadczyła, że ją to znudziło. To było bardzo dziwne, musi pan zrozumieć. Grała na fortepianie od piątego roku życia. A teraz chce to rzucić? Nie przekonała mnie, męża też nie przekonała. Cóż

jednak mogliśmy zrobić? Nie powiedziała nam, że coś jest nie tak. Wysłaliśmy ją do naszego rodzinnego psychologa, który stwierdził, że jest bardzo zamknięta w sobie. Wydawał się zaniepokojony, co z kolei nas zaniepokoiło. Uznał, że jej zachowanie może być reakcją na coś. Zapytał, czy może ktoś w rodzinie niedawno zmarł. Nie, odpowiedzieliśmy. Dzieci są szczęśliwe, nie ma żadnych problemów.

Każdego lata jeździli nad jezioro Winnepesaukee w New Hampshire do domu mojej matki. Ubóstwiała oboje i nie mogła się doczekać ich przyjazdu, aczkolwiek jej niekwestionowaną ulubienicą zawsze była Kristina. Ja byłam jedynym dzieckiem mojej matki, myślę, że miała wrażenie, jakby wychowywała następną córkę. Dzieci uwielbiały tam jeździć, ona uwielbiała gościć je u siebie. Kiedy wszakże Kristina miała czternaście i pół roku, spokojnie oznajmiła mi, że wolałaby nie jechać. To było niepojęte. Nie jechać? Ale dlaczego? Babcia bardzo cię kocha. Och, wiem, odrzekła, a potem się zawahała i umilkła. Nie byłam w stanie wydusić z niej ani słowa więcej. W końcu pojechała. W następnym roku znowu powiedziała, że wolałaby robić coś innego. Wiedziałam, że matka będzie zawiedziona, jeśli Kristina do niej nie przyjedzie - od narodzin spędzała u babci każde lato. Kiedy Kristina znowu nie wyjaśniła mi powodów, dla których nie chce jechać, zaczęłam nalegać. Powiedziałam, że to śmieszne... Więc pojechała.

- Ona pojechała czy... - zapytał Spencer.

- Nie, oboje, naturalnie pojechali oboje. Więcej o tym nie myślałam, ale po powrocie jeszcze bardziej się zamknęła w sobie. Nawet moja matka wspomniała o zmiennych nastrojach Kristiny. Rozmawialiśmy o tym i doszliśmy do wniosku, że to objawy okresu dojrzewania. Ma pan siostry, detektywie?

- Tak, trzy.

- One też burzliwie przechodziły przez okres dojrzewania?

Prawdę mówiąc, nie pamiętał tego. Zawsze wydawały mu się jednakowe, a był za mały, żeby zauważyć, jak zachowywały się wobec innych. W dzieciństwie całym światem Spencera była rodzina, a siostry pełniły funkcję zastępczych matek. Kiedy się urodził, Kathleen, najstarsza z rodzeństwa, miała dwadzieścia lat, Maureen, czwarta z kolei, czternaście, a Sinead trzynaście. Gdy doszedł do wieku, w którym mógł cokolwiek zrozumieć, one od dawna były już dorosłymi kobietami, odfrunęły z domu i założyły własne rodziny. Co więcej, Kathleen urodziła syna na dwa lata przed przyjściem na świat brata. Siostrzeniec i wujek, rzeczywiście. Harry miał teraz trzydzieści dwa lata i nazywał go małym

wujkiem Spencerem.

- Tak przypuszczam - odrzekł głośno. - Chyba wszystkie były trudne w tym wieku.

- No właśnie! - wykrzyknęła Katherine. - Jestem przekonana, że pańska matka nie przywiązywała do tego wagi.

- Istotnie nie.

- I ja też nie przywiązywałam. Kristina i Nathan wrócili z New Hampshire, poszli do szkoły, wszystko wydawało się w porządku. Byłam bardzo zajęta. Przed Świętem Dziękczynienia i Bożym Narodzeniem trzeba zorganizować sporo imprez dobroczynnych w Greenwich.

Spencer to rozumiał.

- A potem?

- Potem? Potem nic. Gdzieś tak w październiku 1988 roku, kiedy w pewien czwartkowy wieczór siedziałam na nowej sofie w salonie, mąż, który wrócił z długiej kolacji w interesach, podszedł do mnie i powiedział: „Muszę z tobą porozmawiać. To dotyczy Kristiny”.

„Jasne, a o co chodzi?” - zapytałam z roztargnieniem. Adresowałam koperty, naklejałam znaczki czy coś w tym rodzaju. John oświadczył, że ludzie opowiadają straszne rzeczy o Kristinie, tak straszne, że się zdenerwował i uderzył własnego brata Jeffa, który mu to powtórzył. Spojrzałam na niego i odłożyłam koperty. Jeśli uderzył brata, to sprawa musiała być poważna. John nigdy na nikogo nie podniósł ręki. Tylko wtedy.

Mąż powiedział mi, że po North Street krążą złośliwe plotki. „Ludzie mówią - to zbyt straszne - że Kristina jest w ciąży”. Roześmiałam się tylko. Taka była moja pierwsza reakcja. Po prostu się roześmiałam. „Nie żartuj, John, przerywasz mi w takiej sprawie? Nie bądź śmieszny. Przecież ona nawet nie ma chłopaka”. Ale on tylko patrzył na mnie takim wzrokiem, że się przeraziłam. Potrząsnęłam głową i znowu się roześmiałam. „Co w ciebie wstąpiło, John? Daj spokój. O czym ty mówisz?”. Niewykluczone, że w tym momencie już krzyczałam. „To nie może być prawda, sam wiesz!”.

Kazał mi ją wezwać. Było późno, ale ją zawołałam. Usłyszałam, jak wolno schodzi po schodach, w końcu stanęła przed nami w białym szlafroku i pantoflach, zaspana i piękna. „Krissy, tatuś doprowadza mamę do szaleństwa - powiedziałam. - Sama widzisz, jak jest późno, a my wyciągnęliśmy cię z łóżka”. Zapytała, o co chodzi, a ja przez moment poczułam się lepiej. „Tatuś słyszał o tobie różne rzeczy, jakieś wstrętne kłamstwa, nie mogę wręcz uwierzyć, że ci je powtarzam. Tatuś... twój ojciec i ja... chcemy wiedzieć, czy...”.

Nie byłam w stanie dalej mówić, cała się trzęsłam. To był czysty absurd. Znowu się roześmiałam, a wtedy John wstał z sofy i zapytał: „Kristino, ludzie mówią... ktoś mi powiedział, że jesteś w ciąży. Czy to prawda?”.

Katherine pochyliła głowę, jak gdyby pięć lat i ślepotą nie potrafiły ukryć upokorzenia, które wówczas czuła.

- A ona odpowiedziała twierdząco. Spojrzałam na moją córkę, jak nigdy przedtem ani później na nią nie patrzyłam. Spojrzałam i zobaczyłam ją, dokładnie i wyraźnie, może po raz pierwszy, odkąd stała się nastolatką, zobaczyłam ją taką, jaką była: napiętą, bladą, z podkrążonymi oczyma, z wyrazem zmęczenia w ustach, z zapadniętymi policzkami. Zobaczyłam też luźny szlafrok. W mieście gadano już o tym od jakiegoś czasu. Greenwich to w gruncie rzeczy prowincjonalna dziura, miasteczko ludzi o ograniczonym umyśle. Ta sprawa była tematem szeptów na koktajlach, kolacjach i kortach tenisowych.

Spencer poklepał ją po ręce. Katherine nie poruszyła się, całe jej ciało było nieruchome jak kamień.

- To dziecko było moje. Moje, rozumie pan? Jak mogliśmy w jednej chwili przejść od myśli, że jest naszą córką, do myśli, że w wieku piętnastu lat jest w ciąży?

Jakby to było najgorsze, pomyślał Spencer ponuro, a Katherine musiała odgadnąć tę myśl, bo skinęła głową i powiedziała:

- Tak, piętnastolatka w ciąży z nim. Musiałam coś z tym zrobić. Nigdy sobie nie wybaczę, że tak się zachowałam. Podeszłam do niej i uderzyłam ją w twarz. Upadła na podłogę. Miałam zamiar uderzyć ją ponownie, ale mąż mnie powstrzymał. Nie mogłam patrzeć na Johna. Ale też, niestety... musiałam porozmawiać z Nathanem. Ledwo zdołałam mówić, gdy przede mną stanął.

Teraz też ledwo mogła o tym mówić.

- To było straszne, detektywie O'Malley, straszne. Patrzył na mnie bez skruchy, tak jakby zupełnie nie rozumiał, po co cały ten zamęt, a ja wiedziałam, od razu wiedziałam, że mąż go zabije, jeśli zobaczy ten wyraz w jego oczach. Zabije go. Wiedziałam, co czuje John. Rozumiałam.

Sama też chciałam zabić Nathana, kiedy zobaczyłam to jego bezwstydną impertynenckie spojrzenie.

Spencer potrząsnął głową. Cieszył się, że Katherine nie może go widzieć.

- Spakowałam go, bardzo szybko spakowałam jego rzeczy, chyba w dwie godziny, i wysłałam

autobusem do New Hampshire do mojej matki, dopóki nie zdecydujemy, co zrobić z Kristiną. W tamtym okresie brałam

silne leki. Co dwie godziny musiałam zażywać valium, byłam jak zombie, ale tylko dzięki temu mogłam jakoś to przetrwać. Wywołany lekami brak uczuć. Myśleliśmy, że Kristina zgodzi się na zabieg, ale uwierz pan, że ona odmówiła! Odmówiła. A wie pan, dlaczego? Z powodu pięciu najgorszych słów, jakie matka może usłyszeć. Kristina powiedziała: „Ale mam, ja go kocham”.

Spencer pociągnął głośno nosem. Katherine po omacku poszukała jego ręki. Podał jej dłoń, którą uścisnęła. W jej oczach lśniły łzy.

- „Ale mam, ja go kocham” - szepnęła. - Może pan wyobrazić sobie coś gorszego?

- Nie - odparł szczerze.

- Nie mogliśmy wbrew woli córki zaciągnąć jej do kliniki. Powiedziałam nawet Kristinie, że z przyjemnością sama miałabym ten zabieg zamiast niej. Ale ona chciała - może pan w to uwierzyć? - urodzić i zatrzymać to dziecko. - Katherine zaśmiała się bezgłośnie. - Byłam dumna z mojej córki jak nigdy z niczego w życiu, uważałam ją za swoje największe osiągnięcie, tylko że wie pan, w rodzinie Sinclairów panuje tradycja, by skończyć szkołę średnią, nim zajdzie się z bratem w ciążę.

Dom pod Czerwonymi Liśćmi. Spencer pragnął powiedzieć tej załamanej kobiecie, że jej praca nie poszła na marne, że Kristina próbowała zrobić coś ze swoim życiem, usiłowała złagodzić ból, którego była przyczyną. Nie potrafił jednak. Córka Katherine nie żyła, została zamordowana; jej mąż i jej matka zmarli także. Pozostał tylko Nathan Sinclair.

- A jak to się stało, że Kristina wyszła za Howarda Kima?

- No cóż, całe Greenwich aż się trzęsło od plotek. Musieliśmy coś zrobić. I to szybko. Moi wkrótce już byli przyjaciele zapewne zorientowali się, że Kristina jest w ciąży, ale nie wiedzieli, z kim. Przypuszczali, że to jakiś kolega ze szkoły. Gdyby odgadli prawdę... - Katherine głośno przełknęła. - Poznał pan Howarda Kima? To przystojny mężczyzna.

- Tak - zgodził się Spencer - jest przystojny.

- Praktykuje tai chi. Był w dobrej kondycji, umysłowej, i fizycznej. A poza tym poważnie odnosił się do swoich obowiązków. Dlatego mąż mu zaufał. Howard od dawna pragnął przyjechać do Ameryki. I wreszcie dostał szansę. Tak więc widzi pan? - Zdobyła się na uśmiech.

- Wszyscy wygrali.

O'Malley milczał.

- Co on teraz porabia? - zapytała.
- Doskonale sobie radzi. Odnosi sukcesy.
- To dobrze - rzuciła obojętnie. - Cieszę się w jego imieniu. Czy Kristina dalej była jego żoną?

Detektyw pokręcił głową, zaraz jednak przypomniał sobie o jej ślepcie, więc głośno odpowiedział:

- Nie. Rozwiedli się w listopadzie.
- W tym roku?
- Tak.
- Kiedy ona umarła?
- Dwudziestego czwartego listopada - odrzekł.

Matka Kristiny zadrżała.

- Dwa dni po urodzinach. - Głos jej się załamał.
- Tak.
- Czy ona... czy ona miała dobrą śmierć, detektywie? - dokończyła szeptem.

Nie, umarła śmiercią gwałtowną, chciał jej odpowiedzieć, walczyła o każdy oddech, o każdy bolesny, lodowaty oddech, ale miała zbyt słabą i obolałą rękę, żebra nie zdołały wytrzymać nacisku, gardło było kruche i w końcu się poddało, aczkolwiek nie bez walki.

- Tak - odezwał się na głos. Więcej nie mógł dodać.
- Zawsze myślałam, że ona młodo umrze - szepnęła Katherine. - Nie wiem dlaczego. Za wcześnie zbyt wiele przeżyła. Nie zostawiła sobie nic na później.

Po chwili milczenia detektyw zapytał:

- Czy małżeństwo z Howardem uciszyło plotki?

- Och, no wie pan - Katherine machnęła lekceważąco dłonią - to naprawdę bez znaczenia. W następnym miesiącu syn naszych przyjaciół poszedł do ośrodka dla narkomanów, inny chłopak znalazł się w szpitalu po przedawkowaniu, kilkoro następnych zostało aresztowanych za jazdę po pijanemu. Życie toczyło się dalej. To znaczy życie innych ludzi. Bo nasze stanęło w miejscu, znieruchomiało jak gdyby, zawieszono w pustym domu, bez Kristiny, bez Nathana i właściwie bez nas dwojga. Mąż winił mnie, ja też obwinałam siebie. W kilka miesięcy później sama przedawkowałam valium i spędziłam miesiąc w szpitalu. Sądzę, że John przeżył większy cios niż ja, o ile to możliwe. On uważał Nathana za własnego syna, rozumie pan?

Spencer milczał, zatopiony w myślach.

- Małżeństwo z Howardem było słusznym wyjściem - ciągnęła Katherine. - Nawet gdyby Kristina poddała się aborcji, detektywie. Wielka mi sprawa, to jak zabicie diabelskiego dziecka. Wciąż jednak jest ta drobna kwestia diabła. I co? Powinien był dalej mieszkać pod naszym dachem?

- Naturalnie, że nie.

- A gdybyśmy go odesłali, jak mielibyśmy to wytłumaczyć?

- Ależ, pani Sinclair, pani go odesłała. Jak pani to wytłumaczyła ludziom?

- Jego siostra wyszła za mąż i chciał być blisko niej. Wysłaliśmy go do szkoły z internatem do Nowego Jorku.

- Aha.

- To było naprawdę najlepsze wyjście.

- Naturalnie.

Chora zamilkła, siedziała, układając w fałdy stary pled. W końcu ciszę przerwał Spencer.

- Gdzie on jest teraz? Co się stało z Nathanem?

- Nie wiem. Po tym, jak moja matka odkryła, dlaczego Nathan...

- Jak to odkryła? - przerwał Spencer.

- Może pan w to uwierzyć albo nie, ale sam jej powiedział. - Przez usta Katherine przewinął się lekki uśmiech. - Był doprawdy nieustraszony. Powiedział jej, bo chciał, żeby zaprotestowała przeciw temu, jak potraktowaliśmy Kristinę. Trzeba mieć tupet. - Katherine prychnęła, lecz jej niewidzące oczy zdradzały inne uczucia: Wstyd? Wyrzuty sumienia? - Moja matka wyrzuciła go z domu w środku zimy. Miał szesnaście lat, a ona wzięła broń z nocnego stolika, moja siedemdziesięcioośmioletnia matka, która urodziła mnie, gdy miała czterdzieści cztery lata, i oznajmiła, że albo wyjdzie, albo umrze. Wyszedł. Nikt od tamtej pory o nim nie słyszał.

- Czy kontaktował się z Kristiną?

- Nie sądzę. Nie dbał o nikogo z nas. Poza tym ojciec zabronił jej go widywać. Fundusz powierniczy Nathana został zlikwidowany, a John otworzył oddzielny dla Kristiny, którym zarządzać miał Howard, a który przeznaczony był na jej utrzymanie, koszty nauki i tak dalej. Mój mąż jednak zastrzegł, że jeśli na horyzoncie pojawi się Nathan, Kristina nie dostanie ani grosza.

Spencer zauważył, że jeśli Kristina kochała Nathana, znalazłaby sposób, żeby się z nim widywać. Katherine prychnęła.

- Kochała go! Wcale go nie kochała. Szesnastoletnie dziewczyny nie mają zielonego pojęcia o

miłości. Pieniądze były dla niej ważne. Nie zaryzykowałyby ich utraty, nawet dla niego.

- Tak pani sądzi?

- Tak.

- Ale skąd ta pewność?

Katherine traciła zapał. Spencer widział wyraźnie, że coraz krócej odpowiadała na jego pytania, coraz mniejszą miała ochotę na jego towarzystwo.

- Bo... - westchnęła znużona i wygładziła pled - bo John znał odpowiednich ludzi. Wynajął prywatnego detektywa, żeby ten odszukał Nathana, ale chłopak zniknął z powierzchni ziemi. Nikt nie potrafił go znaleźć. Założyliśmy, że wyjechał z kraju albo zmienił nazwisko. Albo i to, i to.

- Albo umarł - powiedział Spencer z nadzieją.

- Umarł! - Kobieta się skrzywiła. - To by było zbyt wielkie szczęście, detektywie. Poza tym zło, którego stał się przyczyną, żyć będzie wiecznie. To by niczego nie zmieniło. Męża dręczyła ta sprawa. Wie pan, zniknął regularnie na kilka tygodni i wracał coraz bardziej chudy i chory. Mówił, że go szuka. Myślę, że John, nie zabiwszy Nathana od razu, nie potrafił z tym wszystkim żyć.

To akurat detektyw rozumiał.

- Ja od wyjazdu Kristiny większość czasu spędzała w szpitalach. Nie czułam się dobrze, wie pan. Cukrzyca zrujnowała mi wzrok, ręce, niech pan patrzy... - Katherine pokazała Spencerowi prawą ręką, sinoczną, zapuchniętą i pokrytą śladami po igłach. - Czy wygląda tak źle, jak ja to czuję? Daję mi morfinę, żeby poradziła sobie z bólem. Nie sądzę, żeby stąd wyszła. Po co? I dokąd? Nawet bez pieniędzy mojej matki stać mnie na pobyt tutaj.

- Pieniądzy pani matki?

- Tak. Była na nas wściekła z powodu Kristiny i usunęła nas z testamentu. Muszę przyznać, że mnie to zaszokowało. Moja matka miała siostry, ciotki, kuzynki, siostrzenice, siostrzeńców. I mnie. Nikt nie dostał ani centa. Wszystkich nas to poruszyło, powiem panu.

- Czy wie pani, kto dostał jej pieniądze?

- Naturalnie, że wiem, detektywie - odparła Katherine. - Nie jestem idiotką. Ja za to chciałabym się dowiedzieć, kto teraz otrzyma te pieniądze? Czy ja coś dostanę?

- Kristina przed śmiercią sporządziła testament. Nie ma w nim wzmianki o pani - wyjaśnił O'Malley i zajrzał jej w twarz. - Pani Sinclair, pani i mąż... wydziedziczyliście Kristinę, prawda?

- Byliśmy rozgniewani! - zawołała. - Wściekli. Ma pan pojęcie, jak bardzo zdradzeni i oszukani się czuliśmy?

- Ale to działa w obie strony, proszę pani - zauważył cicho Spencer. - Jeśli pani ją wydziedziczyła, to nie może pani nic od niej dostać.

Katherine kilka razy głośno odetchnęła, a później się zgarbiła.

- Kto by pomyślał, że ona będzie miała pieniądze? - Umilkła na chwilę, potem zaś zapytała: - Zamordowano ją, prawda?

Spencer nie miał serca odpowiedzieć na to pytanie.

- Pani Sinclair, niech się pani nie obwinia, zrobili państwo, co w waszej mocy. Proszę się nie winić. Niech pani nie daje się przygnieść wyrzutom sumienia. Skąd pani mogła przewidzieć, co zrobi Nathan? - tłumaczył.

- Powinnam była. Cóż, przecież wszyscy wiedzą, że wychowankowie domów dziecka są zaburzeni emocjonalnie. Wiele o tym czytałam. Rzadko wchodzi w bliższe związki, a jeśli już, to uczucia są płytkie, dzieci także przywiązują się na krótko, wdzięczność w ogóle jest im obca. Nie mają zasad moralnych i uważają, że normy społeczne ich nie dotyczą. I taki był Nathan, tylko że my myśleliśmy, iż jakimś cudem właśnie on okaże się inny. Ale nie. Był stereotypowy.

- Pani Sinclair, nie wszystkie osierocone dzieci wyrastają na moralnych i społecznych dewiantów.

- To norma, detektywie. Nie, oczywiście nie wszystkie, ale są to wyjątki. My nie trafiliśmy na wyjątek, dostaliśmy normalne dziecko. Wszyscy rodzice obawiają się, że mogą mieć takie dziecko. To małpka. Małpka z butelką, lecz bez marionetki zastępującej matkę. Wie pan, ten sławny eksperyment Harlowa z małpkami i zastępczymi mamami. Nathan dostał butelkę, ale nie miał nawet kukielki, do której mógłby się przytulić.

Spencer poklepał ją po kolanie; nie wiedział, co zrobić lub powiedzieć.

- To niczego nie tłumaczy - odezwał się wreszcie. - Nie wiedziała pani, że będzie miała aż takiego pecha.

Katherine wykrzywiła usta.

- Wie pan, detektywie O'Malley, coś panu powiem. Kiedy znaleziono Nathana, miał ze sobą kota. W domu dziecka pozwolono mu zatrzymać ulubieńca. Miał go przez dwa lata. Kot spał z Nathanem, jadł mu z ręki i chodził za nim jak cień. Wyglądało na to, że są do siebie bardzo przywiązani. Kiedy Nathan miał sześć lat, głupi zwierzak wpadł pod samochód. Nathan,

usłyszawszy o śmierci kota, wyrzucił wszystkie związane z nim przedmioty, miskę, kuwetę i zabawki, poprosił o zmianę pościeli, po czym więcej o nim nie wspominał. - Katherine opanowała szloch.

- Kiedy usłyszałam tę historię, serce wypełniły mi miłość i współczucie do biednego dzieciaka. Tak, to jest chłopiec, który potrzebuje uczucia, pomyślałam. Ale ogromnie się myliłam, wie pan? Tylko ja przejęłam się losem tego głupiego kota, nikt poza mną, a na pewno nie Nathan. On nigdy do niczego w życiu się nie przywiązał.

- Może przywiązał się do Kristiny - zasugerował ostrożnie detektyw.

Katherine prychnęła.

- Nie tak bardzo, skoro zaryzykował wszystko, co czekało go w przyszłości.

- Może gotów był zaryzykować wszystko, ponieważ ją kochał.

- Tak? Cóż, gdzie w takim razie jest teraz, skoro tak bardzo ją kochał?

- Dzięki Bogu, że go nie ma - odrzekł, czując dziwny niepokój. - Kolejny niewyjaśniony trop.

- Myśli pan, że gdyby ją kochał, to wszystko byłoby okay? To by wszystko usprawiedliwiało?

Wszystko?

- Nie, niczego by nie usprawiedliwiało. On jest godny pogardy - odparł O'Malley gwałtownie.

Kobieta jęknęła z rozpacz.

- Niech pani o nim zapomni, pani Sinclair - powiedział. - Nie wiemy, gdzie jest Nathan, nie rozumiemy go. Pani to zupełnie inna sprawa. Pani kochała ich oboje. Proszę się nie obwiniać. Wielu rodziców traktuje dzieci o wiele gorzej, niż pani traktowała swoje, a mimo to nic takiego się nie zdarza. To był przypadek.

- Nie wierzę ci, Spencerze - Katherine zwróciła się do niego po imieniu. - Hodujemy to, co zasadzimy. Zbieramy to, co posiejemy. To nie był przypadek i oboje o tym wiemy. Ja tylko nie wiem, co mogłam zrobić, żeby temu zapobiec.

- Nic - odrzekł. - To był przypadek.

- Nieprawda. Gdybym umarła, to by był przypadek. Ale ja żyję i to jest moje życie.

Kiedy nadeszła pora pożegnania, O'Malley pocałował ją w policzek.

- Do widzenia, pani Sinclair.

Złapała go za rękę i przyciągnęła ku sobie.

- Spencerze - szepnęła, dotykając twarzy O'Malleya. Suchymi, długimi palcami przesunęła po

jego policzkach, oczach, ustach, krótko obciętych włosach i znowu wróciła do oczu. - Spencerze - powtórzyła - przyrzeknij mi coś. - Nie zdążył odpowiedzieć, nie dała mu szansy. - Przyrzeknij, że znajdziesz tego, kto ją zabił.

Próbował się uwolnić, lecz Katherine mu nie pozwoliła.

- Wiem, że ktoś ją zamordował, nie byłoby cię tu, gdyby mojej dziewczynki nie zamordowano. Przyrzeknij, że nie spocznesz, póki go nie znajdziesz - szepnęła. I znowu chciał się cofnąć, ale na próżno. - Proszę, Spencerze, przyrzeknij.

- Przyrzekam - powiedział wreszcie, z westchnieniem przyciskając czoło do jej włosów.

W drodze powrotnej do Hanover Spencer przestał żałować siebie, przestał oplakiwać umarłą żonę. Właściwie zaczął nawet uważać się za szczęśliwca. W porównaniu z tą ślepą kobietą, co utraciła wszystkich, których kochała, on istotnie miał szczęście.

Podczas trzygodzinnej jazdy rozmyślał: Boże, jestem dokładnie taki jak Katherine, siedzę przy oknie w małym pokoju, patrzę niewidzącymi oczyma i zastanawiam się, w którym momencie moje życie potoczyło się w złym kierunku; zastanawiam się, co takiego zrobiłem, że moje życie potoczyło się w niewłaściwym kierunku.

Ale nie chcę jeszcze rezygnować z życia. Nie chcę. Wciąż jeszcze mi trochę go zostało, nie jestem ślepy, nie jestem martwy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

CZERWONE LIŚCIE

Spencer spał źle w łóżku hotelowym w Hanover Inn po nocy spędzonej na picu. Kołdra z gęsiego puchu okazała się za ciepła, poduszek było za wiele, prześcieradła zbyt nakrochmalone. Rankiem czuł się chudszy i starszy, kiedy wkładał swój jedyny garnitur, by iść na pogrzeb dziewczyny, którą poznał głównie po jej śmierci.

Był słoneczny, bezwietrzny dzień, lecz przenikliwie zimny. Śnieg pokrywający ziemię zmienił się w srebrną warstewkę lodu, wierzchołki drzew ocieniających cmentarz Pine Knoll na przedmieściach Hanover prawie się nie poruszały. Howard kupił piękną kwaterę na wzniesieniu pomiędzy najwyższymi sosnami, majestatycznie trzymającymi straż przy grobie Kristiny. Detektyw pomyślał, że to słuszne, by pochować ją w miejscu przypominającym to, gdzie umarła. Słuszne, a mimo to niesamowite. Gdyby Spencer był nią, wolałby nie patrzeć na sosny, które widziała na chwilę przed śmiercią.

Na nabożeństwie żałobnym w Rollins Chapel, kościele college'u Dartmouth, pojawiło się około trzystu osób. Nie wszyscy zmieścili się w środku, wielu przybyłych musiało stać na dziedzińcu i tylko patrzeć, jak trumnę wnoszą i wynoszą z kościoła. Niosło ją sześciu mężczyzn, pomiędzy nimi Albert, Jim, Frankie i Howard. Ozdobna trumna z lakierowanego na czarno dębu miała uchwyty z brązu. Howard Kim wydał mnóstwo pieniędzy, by pogrzebać Kristinę z klasą.

Spięty i wymizеровany Jim Shaw wygłosił mowę pożegnalną. Był smutny, ale nie płakał i głos mu nie drżał. Skończywszy, usiadł z dala od Alberta i Frankiego.

Następnie miejsce przy ołtarzu zajęła dziewczyna pełniąca funkcję zastępcy kapitana żeńskiej drużyny koszykówki i z ręką wysoko uniesioną w powietrze powiedziała, że koszykówka w Dartmouth nigdy już nie będzie taka sama bez Kristiny i jej włosów zasłaniających przeciwniczkom twarze. Nigdy już nie będzie taka sama po śmierci Kristiny.

Mieszkanki Czerwonych Liści próbowały coś powiedzieć, lecz zbyt były wzruszone, z wyjątkiem dziewczyny imieniem Eveleyn, która podeszła do trumny z dwoma niemowlętami i przez łzy oznajmiła:

- Krissy, pozwolili mi zatrzymać moje dzieci. Dziękuję ci. Pozwolili mi je zatrzymać.

Szlochając Evelyn odprowadził na miejsce ojciec.

Albert ubrany był w ciemny garnitur, ciemną koszulę i krawat. Włosy związał błyszczącą czarną wstążką. Nie wygłosił mowy, co wszystkim musiało wydać się dziwne - tylko Spencer uznał to za słuszne.

Detektyw chciał z nim porozmawiać.

Poczuł, że wyszło mu w ustach. Przestał dbać o pozory. Jedna młoda dziewczyna siedziała w areszcie, oczekując na rozprawę rozstrzygającą o całym jej życiu, druga była martwa, ponieważ ten człowiek pożałował je obie, ten sierota, który swym pustym sercem doprowadził do ruiny całą rodzinę. Spencer nie wiedział, co powinien uczynić. Przyrzekł jednak Katherine Sinclair, że coś zrobi.

Uroczystość na cmentarzu toczyła się wolno i brało w niej udział mniej żałobników, około stu pięćdziesięciu, między nimi Spencer, Will i Gallagher.

Albert nie miał płaszcza. Z pochyloną głową stał obok księdza. Trzymał coś w dłoniach, lecz stojący za nim Spencer nie widział, co to. Patrząc na plecy tego chłopaka, zastanawiał się, czy Nathan Sinclair żałuje, że Kristina umarła. Zastanawiał się, czy Albert także ją kochał, czy poraziły go jej długie ciemne włosy i piękne oczy, i to serce, które dla niego poświęciło całą rodzinę. Czy Albert też przechowywał pudełka zapalek z Edynburga?

Na odpowiedź nie musiał długo czekać. Albert podszedł do zamkniętej trumny, ukląkł, odsunął kwiaty z wieka i próbował je unieść. Powstrzymali go ksiądz i Howard Kim.

- Co ty robisz? - pytali. - Przestań, przestań.

Strząsnął ich dłonie z drgających ramion.

- Jej płaszcz - powiedział cicho. - To jej płaszcz. Chcę ją okryć. Bardzo go lubiła. Proszę, pozwólcie mi ją okryć. Będzie jej zimno.

Pomogli mu otworzyć wieko i Nathan Sinclair drżącymi dłońmi łagodnie, z czułością włożył płaszcz do trumny, a potem w pożegnalnym pocałunku przycisnął palce do ust.

Po pogrzebie O'Malley wyprowadził się z Hanover Inn i pojechał na Long Island. Zrezygnował z rozmowy z Albertem Maplethorpe'em.

Will i Ken Gallagher próbowali namówić go do pozostania. Komendant obiecał podwyżkę i własny gabinet, Baker apelował do ich przyjaźni, Spencer jednak stanowczo odmówił. Definitywnie skończył z Hanover.

W domu czekały go ważniejsze sprawy. Rodzina była razem, aczkolwiek spadł na nich cios. Kilka dni wcześniej jakiś szaleniec ostrzelał na Long Island pociąg z ludźmi wracającymi z pracy; sześć osób zginęło, dziewiętnaście odniosło rany. Brat Spencera, Patrick, jechał tym pociągiem. Dostał kulę w ramię i miał spędzić parę tygodni w szpitalu. Nie umarł na szczęście; przez wiele tygodni rodzina tylko o tym rozmawiała przy posiłkach. Chociaż Spencer od pięciu lat nie widział nikogo ze swoich krewnych, usiadł przy drewnianym prostokątnym stole, który przypominał mu Collis Café w Dartmouth, jadł, rozmawiał i był przez wszystkich traktowany, jakby nic nigdy się nie stało, jakby w ogóle stąd nie wyjeżdżał.

Myślał, że to dobrze.

Przez trzy miesiące mieszkał z matką, pracując jako ochroniarz republikańskiego polityka. Czasami wpadał do barów o północy, ale zmęczyła go ta praca, złożył więc podanie o przyjęcie do policji Suffolk County. Przyjęto go po kilku miesiącach psychologicznych testów i wielu telefonicznych referencjach od Kena Gallaghery, który najwyraźniej chętnie ich udzielał. Spencer został jednym z dwudziestu starszych detektywów. Nie otrzymywał indywidualnych spraw, jemu wszakże odpowiadało to zagubienie się w tłumie.

W następnym roku kilkakrotnie powracał do New Hampshire, gdy rozprawa przeciwko Constance Tobias wolno zbliżała się ku ostatecznemu rozstrzygnięciu. Na szczęście siedziba sądu mieściła się w Concord, nie w Hanover.

Wszelkie dręczące wątpliwości co do winy oskarżonej zostały rozstrzygnięte, nim Spencer zajął miejsce dla świadków. Rozprawę wyznaczono na dzień pierwszej rocznicy śmierci Kristiny, wcześniej jednakże Constance Tobias poprzez swych obrońców powołała się na chwilową utratę poczucia i została skazana na pięć do piętnastu lat za zabicie człowieka, co było oczywiście wyrokiem krótszym niż dwadzieścia pięć lat do dożywocia za morderstwo i o wiele krótszym niż dożywocie bez możliwości wyjścia warunkowego za morderstwo z premedytacją. Jej adwokaci uznali, że to dobry układ, a Conni go przyjęła.

Z Frankiem Absalomem jako niechętnym świadkiem oskarżenia, obronie pozostało tylko ciągle powtarzanie, że Conni tego nie zrobiła, lecz nie miała alibi. Nie mogła nawet powiedzieć, że spała, była w łazience albo się uczyła. Nie miała alibi. Miała natomiast motyw.

Potwierdził to Nathan Sinclair. Albert Maplethorpe to potwierdził.

Jim Shaw, niechętny świadek oskarżenia, jeśli kiedykolwiek taki istniał - udał się nawet do sądu w Delaware, próbując unieważnić wezwanie przed wielką ławę przysięgłych - został

zmuszony pod groźbą więzienia za krzywoprzysięstwo do ujawnienia, że wiedział, iż rok wcześniej Conni zepchnęła Kristinę z mostu.

Conni Tobias przyznała się, że działając pod wpływem niekontrolowanych emocji, pozbawiła życia człowieka.

Spencer cieszył się, że nie musi zeznawać i ujawniać oskarżonej Constance Tobias, iż popełniła zbrodnię dla łajdaka, aczkolwiek gotów był w sądzie powiedzieć całą prawdę o Nathanie Sinclairze.

Jednakże jego ulga nie trwała długo. Po ogłoszeniu wyroku detektyw zobaczył Alberta przed salą sądową ze swadą odpowiadającego na pytania reporterów. W eleganckim garniturze, z włosami gładko zaczesanymi w kucyk sprawiał wrażenie bardzo z siebie zadowolonego. Wyśliznął się, pomyślał Spencer, mijając Nathana, który był w środku rozwlekłej, pseudointelektualnej wypowiedzi o niebezpieczeństwach, na jakie wystawiony jest rozum przez nadmiernie rozwinięte uczucia.

- Wiem wszystko o tobie, Nathanie Sinclairze - szepnął z furją, po czym ruszył w dół po schodach. Kiedy się obejrzał, największą przyjemność sprawił mu wyraz twarzy Alberta i spłoszone spojrzenie jego zwykle nieodgadzionych oczu. Nathan zamilkł. Zaraz też pozbył się dziennikarzy i pobiegł za detektywem.

- Jak pan mnie nazwał? - zapytał.

- Przecież słyszałeś - odrzekł O'Malley.

- Chyba nie słyszałem. Co to było?

Spencer przystanął. Patrzyli sobie w oczy. Detektyw był trochę wyższy i szczuplejszy.

- Rozmawiałem z twoją matką. Wiem, kim jesteś.

- To niemożliwe. Moja matka nie żyje.

- Nieprawda, Katherine Morgan Sinclair jeszcze nie umarła.

- To nie jest moja matka.

Spencer przełknął ślinę.

- Nie, twoja pochodziła z Clairton w Pensylwanii, tak? Co, rzucałeś szpilkami w mapę i wyszła ci ta miejscowość?

Kiedy Nathan nie odpowiadał, Spencer zapytał:

- Kontaktujesz się z matką?

- Mówiłem, że ona nie jest moją matką.

- Więc kim?

- Matką Kristiny.

- Kontaktujesz się z matką Kristiny?

- Czasami - odrzekł tamten wymijająco, trzymając dłonie w kieszeniach marynarki. - Czego pan ode mnie chce, detektywie?

- Niczego, Nathanie. Niczego. Za to Constance Tobias coś by się od ciebie należało, a mianowicie prawda, nie sądzisz?

- Nie - oświadczył tamten stanowczo.

- Nie?

- Nie. Czy nie dość się już wycierpiała?

- Nie wiem - odrzekł Spencer kąśliwie. - A wycierpiała?

- Tak. - Albert patrzył mu prosto w oczy. - Dostatecznie.

- Teraz pójde do dziennikarzy, Nathanie, i powiem światu prawdę o tobie.

- Świetnie. Zniszczy pan Conni, zniszczy pan Jima i tę resztkę dobrego imienia, jaka pozostała nazwisku i rodzinie Sinclairów. A ja dalej pozostanę taki sam.

- Może jednak rzadziej będziesz rozmawiał z dziennikarzami.

- Nie, będę rozmawiał częściej. Stanę się o wiele bardziej interesujący.

- Nie jesteś interesujący, tylko żaloszny - odparł Spencer.

- Czy to ja chcę zranić dziewczynę, którą czeka pięć lat w więzieniu? I kto tu jest żaloszny, detektywie?

Spencer był zaskoczony intensywnością własnych emocji. Pragnął zabić tego łotra. Zwykle starał się pozostać obojętny, tę sprawę jednak od początku potraktował bardzo osobiście i to nastawienie nie uległo zmianie. Zaciśnął pięści i zęby, ledwo nad sobą panując.

Nathan uśmiechnął się szeroko.

- Nie jestem tego wart, detektywie - rzekł, patrząc na jego pięści. Nie jestem wart tego, żeby przeze mnie stracić pracę, prawda?

- Nie jesteś wart jednej bezsennej nocy - odparł Spencer.

Conni Tobias zabrano do średnio strzeżonego więzienia w Nowej Anglii, a Spencer wrócił na Long Island, gdzie prowadził wygodne i spokojne życie. Cieszył się, że Hanover należy już do przeszłości. Dobrze było mieć wokół siebie rodzinę, poza tymi momentami, gdy jedna z osiemnastorga pociech jego rodzeństwa pytała:

- Wujku Spencie, jak to się stało, że nie masz dzieci?

O'Malley dokładał starań, by dalej żyć, tak jakby nigdy nie wyjeżdżał z Long Island, nigdy nie mieszkał w miasteczku o nazwie Hanover, nigdy nie natknął się na miłą czarnowłosą dziewczynę nazywającą się Kristina Kim, która na środku Main Street wkładała czarne buty. Na początku było to niemal łatwe. Dni miał zajęte, noce także - dwa miliony mieszkańców hrabstwa Suffolk w przeciwieństwie do dziesięciu tysięcy ludzi w Hanover sprawiało, że mało czasu pozostawało mu na leniuchowanie za biurkiem. Rzadkie wolne chwile spędzał w barach. Czasami chodził z braćmi do kina.

Lecz w jego myślach i duszy nie zagościł spokój. Przez rok po skazaniu Conni w wolnym czasie Spencer szczegółowo przeglądał sprawę Kristiny. Zatrzymywał się nad każdym drobiazgiem jak głodny pies szukający okruchów jedzenia na kuchennej podłodze.

W następnym roku jego pamięć zaczęła blaknąć. Zapomniał, jak długo dziewczyna leżała w zaspie i nikt się o nią nie martwił. Zapomniał o śladach kolan na jej klatce piersiowej. Zapomniał, na jak długo Conni wyszła z pokoju. Nie pamiętał już dokładnie jej wysokiego głosu i twarzy Jima Shawa.

Nie potrafił jednak zapomnieć o Nathanie Sinclairze.

Czasami przed jego oczyma pojawiała się twarz Nathana, stojącego tuż przed nim na schodach sądu w Concord i mówiącego: „Nie jestem tego wart, detektywie. Nie jestem wart tego, żeby przeze mnie stracić pracę”. Wówczas ogarniała go wściekłość, czysta i nie do opanowania.

Spencer coś przeoczył i ciągle o tym myślał, aż wreszcie stało się to rodzajem nawyku, który towarzyszył mu w dzień i nie pozwolił spokojnie spać w nocy.

Nathan Sinclair. Nathan Sinclair. O'Malley chciał powiedzieć temu mężczyźnie, jak bardzo kochała go Kristina. Kochała go nade wszystko w świecie, dała mu wszystko i gotowa była wszystko zaryzykować, byle mieć Nathana przy sobie.

Na myśl o Kristinie i Nathanie brakowało mu tchu w piersi.

Spencer zaczął spotykać się z policjantką. Była młoda, bardzo atrakcyjna - zbyt atrakcyjna dla niego, myślał - gotowa i chętna. Byli rówieśnikami i zgodził się z nią, że już najwyższy czas wrócić do ludzi.

Nie chciał żyć sam.

Sny o Hanover nie mijały. Widział w nich sosny spoglądające na martwą Kristinę, tak jak patrzyły na nią w ostatnich chwilach jej życia, i śnił,

że biegnie mroczną ścieżką za Biblioteką Feldberga, słysząc dochodzące z dołu hałasy.

Co noc budził się zlany potem, zadając sobie ciągle od nowa to samo pytanie.

Czy Nathan Sinclair mógł zabić Kristinę?

Zapalał światło, otwierał szufladę nocnego stolika i wyjmował przetartą od nazbyt częstego składania kartkę papieru, po czym po raz kolejny czytał niezrozumiałe słowa: „Z jej powodu sam na siebie sprowadzisz zagładę”.

A potem wrzucał ją do szuflady i gasił światło.

Zawartość sejfów bankowego Kristiny głośno krzyczała o jej miłości do Nathana, lecz dziwne było to, że dziewczyna nie uczyniła go swoim jedynym spadkobiercą, nie wyjawiała mu nawet, że wkrótce wejdzie w posiadanie zaskakująco wielkiej sumy pieniędzy, która oznaczała wolność od rodziny i Howarda, wolność od Conni i Jima, wolność od pracy. Mogli z tymi pieniędzmi uciec na St. Bart i nikt by o nich więcej nie usłyszał. Dlaczego nic mu nie powiedziała?

Nie tylko nie wspomniała ukochanemu ani słowem o milionach po babce, ale w dzień po niemal śmiertelnym w skutkach wypadku samochodowym poszła do banku i dopilnowała, by nie dostał wszystkich pieniędzy. Dlaczego?

Gdyby umarła, nie pozostawiwszy testamentu, Nathan, jako jej najbliższy krewny, odziedziczyłby wszystko. Musiałby tylko zrzucić skórę Alberta Maplethorpe'a, lecz dla dziewięciu milionów dolarów wstąpiłby pewnie do zakonu.

„Z jej powodu sam na siebie sprowadzisz zagładę”.

Kristina napisała testament, poświadczyła go notarialnie w banku, po czym schowała dokument w skrytce. To wówczas zapewne napisała tę z pozoru bezsensowną notatkę do Nathana.

Przeznaczyła dla niego trzy miliony. Przed czym go ostrzegła?

Dlaczego Nathan zrezygnował z tych pieniędzy? Taka suma musiała wydawać się fortuną biednemu sierocie z Teksasu. A mimo to oddał swoją część spadku, jakby to była dodatkowa łopatką do piasku. Był zły, że nie zostawiła mu wszystkiego? Lecz przecież ten gest nic nie znaczył dla Kristiny, która już nie żyła.

Jeśli nie zabił jej dla pieniędzy, to jaki inny mógł mieć powód? A jeśli zabił ją dla pieniędzy, dlaczego z nich zrezygnował?

Pewnej nocy Spencer pomyślał: On mógł ją zabić. Mógł przez nikogo niezauważony wymknąć się z akademika z poduszką pod kurtką i czekać

na Kristinę w zaroślach koło mostu. Może dlatego poszedł do Frankiego tamtego popołudnia. Nie żeby zobaczyć się z przyjacielem, lecz żeby przejść przez las, zaplanować atak, powrót, gdzie i jak pozbyć się poduszki, a może nawet i kurtki. W tamten wieczór mógł się wymknąć, poczekać na Kristinę, zabić ją, wrócić szybko przez las, wyrzucić poduszkę i rękawiczki do śmietnika, może nawet miał ze sobą worek na śmieci i włożył do niego kurtkę, rękawiczki oraz poduszkę, a potem cały worek wrzucił do pojemnika. W ten sposób nie musiał zanosić rzeczy do pokoju, tylko od razu poszedł do świetlicy, gdzie spał tamten chłopak, i udawał, że cały czas tam był i oglądał telewizję.

Spencer głośno się roześmiał. Jego udręczony umysł tworzył niesamowite wizje. Pragnął jedynie stłumić ból. Nawet upijanie się przed pójściem spać było dobre tylko wtedy, gdy pił.

Wciąż wracał myślami do Nathana Sinclaira.

Tamten czekał na Kristinę w lesie, zawołał ją, więc przyszła, ponieważ nie bała się ani jego, ani nocy z nim, ani mrocznego lasu, ani śniegu. Przyszła do niego. Czy go pocałowała? Uśmiechnęła się do niego? Czy patrząc na niego, wiedziała, że to ostatnia chwila jej życia? Czy przeraziła się i uciekła?

Czy krzyczała?

Ten jej krzyk nie chciał Spencera opuścić - co noc o tym myślał. A jeśli krzyczała i nikt jej nie słyszał? Żeby ją uciszyć, morderca pchnął jej bezbronne ciało na ziemię, ukląkł na niej i przycisnął poduszkę do jej twarzy. Próbowwała się uwolnić, ale nie mogła, bo miała obolałe zebra i zranione ramię. Spencer nie wiedział na pewno, niewykluczone jednak, że płakał, gdy myślał o Kristinie walczącej ze śmiercią.

„Z jej powodu sam na siebie sprowadzisz zagładę”.

To nie miało sensu. Czemu Nathan miałby mordować jedyną osobę, której na nim zależało, która kochała go i troszczyła się o niego, która zabrała go z rysztoła sądów dla nieletnich, zapłaciła za zmianę nazwiska i zamieszkała blisko niego?

Nie mógł pragnąć jej pieniędzy, ponieważ oddał swoją część, jakby to było ćwierć dolara.

Dlaczego miałby ją zabijać? Detektyw rozumiał powody, dla których zrobiłaby to Conni. W jej oczach płonęły irracjonalne uczucia. Zbyt często i zbyt długo ją oszukiwano, nie potrafiła już odróżnić prawdy od szaleństwa. Wszystko jej się poplątało. Nie panowała nad sobą, kiedy po raz pierwszy poszła na most. Za drugim razem postanowiła być dokładniejsza. Kupiła stosowne rekwizyty. To Spencer potrafił zrozumieć.

Dlaczego jednak Nathan miałby zabijać Kristinę?

I wówczas detektyw przypomniał sobie, co sam powiedział Kristinie Kim w owo niedzielne popołudnie, gdy poszli razem na kawę. „Władza i zastraszenie” - tłumaczył jej wtedy. Uduszenie jest aktem władzy. W ciągu tych ostatnich wspólnych lat Kristina miała pieniądze, a tym samym całą władzę. Nathan nie chciał, by pieniądze wydzielała mu dziewczyna, która może pewnego dnia będzie miała go dość i zechce się odeń uwolnić. Kto wie, może Kristina przestała kochać Alberta, może z tego właśnie powodu nie uczyniła go swoim jedynym spadkobiercą. Zapragnął więc, by w czasie ostatniego spotkania cała władza należała do niego.

Słowa Conni: „Ja tego nie zrobiłam”, zaczęły dudnić Spencerowi w głowie niczym dźwięczące piskliwie dzwony, i uderzały go w serce.

Cierpiała na tym jego praca.

W końcu, po szczególnie dotkliwym ataku smutku w deszczową marcową niedzielę, wysłał do Conni list zawiadamiający, że niedługo ją odwiedzi. Po kilku tygodniach, dając jej aż za dużo czasu na otrzymanie listu, Spencer pojechał do New Hampshire.

Minęły ponad dwa lata, odkąd ostatni raz ją widział. Zmieniła się bardzo. Zniknęła dawna młoda dziewczyna; twarz Conni była teraz ściągnięta, malował się na niej wyraz gorzkiego rozczarowania. Zniknął radosny uśmiech i długie blond włosy. Była szczuplejsza, bledsza, twardsza. Miała dwadzieścia trzy lata, za dwa i pół roku mogła starać się o zwolnienie warunkowe. Teraz dużo paliła i tak jak przedtem nerwowo skubała brwi.

- Jak się pani miewa? - zapytał detektyw, siadając naprzeciw niej za szklaną szybą; widzieli się jednak i słyszeli bez telefonu.

- Dobrze, jak pan widzi. Zmienił się pan.

O'Malley przesunął dłonią po włosach.

- Nie strzygę się już po wojskowemu.

- Tak, to prawda. Nie wygląda pan tak groźnie.

- To pozory.

Conni się uśmiechnęła.

- Wygląda pan dobrze, naprawdę.

Spencer jednak nie przebył blisko pięciuset kilometrów, żeby rozmawiać o sobie.

- Ma pani wiele wizyt?

- Jasne, rodzice ciągle przychodzą. Brat pojawia się jakieś pięć razy na rok, całkiem niezły

wynik, wzięwszy pod uwagę, że mieszka w Los Angeles i w ogóle... Ale nie o to pan pytał? - zapytała po przerwie.

Pokręcił głową.

- Przychodzi też adwokat - ciągnęła Conni. - Niezbyt często. Gdybym została skazana przez sąd, złożylibyśmy apelację i wtedy widywałabym go o wiele częściej. Nie ma jednak powodu do apelacji, więc jeden gość mi ubył... - Znowu przerwała. - Miło, że pan przyszedł.

Machnął dłonią.

- Nie jest miło z mojej strony, że przyszedłem dopiero teraz.

- A po co miałby pan przychodzić? - zapytała łagodnie. - Prokuratorzy okręgowi też nie przychodzą.

- Jasne, że nie. Ale oni... - Zabrakło mu słów. Oni co? Nie budzą się zlanii potem?

- Co, detektywie?

- Spencer, proszę tak do mnie mówić.

- Zgoda, Spencerze. Dlaczego więc tu jesteś?

- Bo... - Spuścił wzrok na szary blat. - No cóż, sporo o tobie myślałem.

- Tak? - Conni się uśmiechnęła. - Dobrze czy źle?

- Ani jedno, ani drugie. Myślałem o tobie w więzieniu i o tobie dawnej, w Dartmouth.

Widujesz starych przyjaciół?

- Wiesz, już chciałam cię zapytać o to samo. Widujesz moich starych przyjaciół?

- Nie, od wyroku nie byłem w New Hampshire.

Zamilkła, jak gdyby z trudem próbowała słowami wyrazić swoje pragnienia i potrzeby.

O'Malley chciał jej pomóc, lecz także nie wiedział jak. Lata pracy sprawiły, że umiał skutecznie prowadzić przesłuchania, nie nauczył się jednak rozmawiać z ludźmi. A lata pozbawione związków osobistych uczyniły go ostrożnym introwertykiem.

Siedzieli tak przez długą chwilę, w trakcie której Spencer walczył ze sobą. W końcu cicho zapytał:

- Nie zrobiłaś tego, prawda, Constance?

- Nie - odparła chrapliwie.

Kiwnął głową. Uznał, że jej wierzy.

- Rok wcześniej próbowałaś zabić Kristinę? - Wygodniej mu było, gdy zadawał pytania jak policjant.

- Coś w tym rodzaju, choć tak naprawdę to nie.
- Dlaczego więc poszłaś na układ?
- Miałam do wyboru to albo dożywocie. Pięć lat wydawało się lepsze niż dożywocie. -

Pochyliła głowę.

- Conni, jeśli tego nie zrobiłaś, powinnaś była zgodzić się na rozprawę. Powiedzieć prawdę, wyjaśnić, jak to wyglądało z twojej strony. Niewinni ludzie zwykle nie są skazywani.

- Czasami jednak to się zdarza, prawda?

- Czasami - przyznał detektyw.

- Posłuchaj, Spencerze, nie mam nic do dodania prócz tego, co już słyszałeś. Pewnie jesteś tym zmęczony.

O'Malley, który to samo słyszał dzień po dniu przez ostatnie dwa lata, kiwnął głową.

Conni nachyliła się ku niemu.

- Odszukaj Alberta. Odszukaj go. Sprawdź, co on teraz planuje.

Twarz detektywa stwardniała.

- Wątpię, by miał jakieś wielkie plany.

- Odszukaj go. Przekonaj się, co teraz porabia Albert Maplethorpe.

Spencer położył dłonie na stole i westchnął.

- A według ciebie, Conni, co on teraz może porabiać?

- Nie mam pojęcia. Nie odwiedza mnie.

- Myślałaś, że będzie przychodził?

- Tak, myślałam, że tak. - O mało się nie rozplakała; jej oczy pozostały suche, lecz twarz się wykrzywiła. - Coś ci powiem. Nie powiedziałam o tym nikomu, ani bratu, ani rodzicom, ani Jimowi, nikomu... - urwała, a po chwili ciągnęła dalej: - Tej nocy, gdy zginęła Krissy, wybiegłam z akademika. Byłam jak oszalała z gniewu i z zazdrości. Strasznie się pokłóciłam z Kristiną. Szukałam Alberta, ale nigdzie go nie dostrzegłam, tak samo jak jej. To już nie mógł być zbieg okoliczności, poza tym zawsze było tak samo. Jej nie ma, jego również i odwrotnie. Wtedy także.

- Która była godzina?

- Po pierwszej. Może dziesięć, może piętnaście po.

Spencer cały drżał.

- Mów dalej.

- Nie potrafisz zrozumieć, co czułam. O dwunastej czterdzieści pięć zadzwoniłam do pokoju

Alberta. Zajęte. Zadzwoiłam drugi raz, trzeci, czwarty. Zajęte. W końcu trochę po pierwszej poszłam na górę. Myślisz, że nie zapukałam do drzwi Kristiny? Zapukałam, a jakże. Był tylko pies. Pobiegłam do świetlicy. Zobaczyłam tam Tima, ale nie Alberta. Nie zostałam długo, wiem jednak, że na korytarzu i w łazience panowała kompletna cisza... Na jednym ze stolików faktycznie zauważyłam piwo, mogło jednak należeć do kogokolwiek.

- To prawda, czyli równie dobrze do Alberta.

- Tak, ale gdzie on wtedy był? Ile czasu zajmuje facetowi sikanie? Wróciłam na górę, znowu zadzwoniłam do jego pokoju, a potem do Frankiego i do Jima. Oszalałam. Pomyślałam, że Albert jest z Kristiną. Wzięłam kurtkę i wybiegłam przed akademik.

- Nie wybiegłaś tak po prostu. Włożyłaś kurtkę. - Spencer myślał o poduszce, którą zabito Kristinę.

- Padał śnieg. Narzuciłam kurtkę na siebie.

- Czy ukryłaś pod nią poduszkę?

- Poduszkę? O czym ty mówisz?

- Taki kwadratowy większy jasiek. Miękki. Wystarczający, aby przykryć twarz Kristiny.

- Nie, nie miałam poduszki - odrzekła z westchnieniem Conni. - Mogę opowiedzieć, co się stało?

- Proszę - łagodnie odezwał się Spencer.

- Niedługo przed tym pokłóciłyśmy się z Kristiną.

- Wiem, miała twoją skórę pod paznokciami.

- Okropna była ta kłótnia, nie wiem, co we mnie wstąpiło. Jak zwykle ona wszystkiemu zaprzeczyła... - Conni urwała, nawet teraz zraniona, miotana sprzecznymi uczuciami. - Cóż, nie wszystkiemu. Myślę, że w istocie próbowała powiedzieć mi prawdę. Tylko że ja nie chciałam słuchać. Dlatego tak się zdenerwowałam. Myślałam, że chcę poznać prawdę, ale kiedy mi powiedziała, straciłam rozum. Uświadomiłam sobie, że nie chcę wiedzieć. Pragnęłam uwierzyć Albertowi. Czemu miałabym wierzyć jej? To on był moim chłopakiem. Kimże ona była dla mnie?

- Musiałaś jednak coś podejrzewać.

- Nie chciałam o tym myśleć - oświadczyła stanowczo. - Wolałam nie myśleć.

- Dlaczego?

- Dlaczego? - Pytanie to najwyraźniej ją zdenerwowało. W głosie Conni pojawił się smutek. -

Ponieważ wówczas uświadomiłabym sobie, że Albert kłamie. Uświadomiłabym sobie, że miał powody po temu i oszukiwał mnie od długiego czasu, a gdybym to sobie uświadomiła, musiałabym z nim zerwać. A ja nie chciałam z nim zrywać, wiesz?

Detektyw nie wierzył własnym uszom.

- Nawet jeśli oznaczało to życie w ciągłym kłamstwie?

- Nawet - potwierdziła cicho Conni.

Nie miał nic do powiedzenia.

- Po tej kłótni - ciągnęła - wyszłam, ale nie potrafiłam go znaleźć, potem okazało się, że jej też nie ma i ja... ja chyba straciłam rozum. Wybiegłam z akademika. Najpierw pognałam na parking, później w dół po schodach prowadzących do przystani, a potem poszłam na most. Nie widziałam nigdzie ani jej, ani jego. Zaczęłam ją wołać. Doszłam do końca mostu i spojrzałam na prawo. - Przełknęła głośno ślinę. - Wiesz, wydawało mi się, że coś zobaczyłam. Kogoś. Nie byłam pewna. Nie wiem, czy byłeś za Biblioteką Feldberga w nocy. Jest tam bardzo ciemno.

Bez słowa skinął głową. Znał mrok za Feldbergiem.

- Mimo to wydawało mi się, że widzę, jak coś poruszyło się w lesie. Zwolniłam i poszłam w dół. Nie było widać ścieżki, wszystko zasypał śnieg, szłam bezszelestnie. Nagle ogarnął mnie strach. Nie potrafię tego wyjaśnić. Byłam przerażona. Jak dziecko bojące się w ciemności Czarnego Luda. Było cicho jak makiem zasiał. A potem coś usłyszałam. Albo tak mi się wydawało. - Conni zakaszłała. - Jakby na zboczu gałązki trzasnęły pod czyimiś stopami.

Spencer wstrzymał oddech, nie chcąc uronić ani słowa.

- Te odgłosy mogły dochodzić z Tuck Drive.

Conni pokręciła głową.

- Nie, to był trzask łamanych gałązek. Całkiem blisko. Tak blisko, że pomyślałam, iż zaraz mogę na kogoś wejść. Przestałam cokolwiek słyszeć, bo serce waliło mi głośno, rozumiesz?

O'Malley rozumiał.

- Zapomniałam o gniewie, o zazdrości, o wszystkim. Pozostał tylko strach. Przystanąłam i nasłuchiwałam. Rzeczywiście, kroki rozległy się znowu, tylko że teraz były dalej. Jakby ktoś bardzo szybko szedł przez las w kierunku akademika.

- Widziałaś kogoś? - zapytał Spencer, teraz siedząc już na samej krawędzi krzesła.

- Pytasz, czy wiem, kto to był? Nie, równie dobrze mogło tamtędy biec jakieś zwierzę.

Chociaż te odgłosy nie wskazywały na zwierzę. Co nie znaczy, że wiem, jakie dźwięki słyhać, gdy ucieka zwierzę, potrafię natomiast rozpoznać ludzkie kroki. A to przypominało kroki człowieka idącego szybko przez gęste zarośla. Nie słyszałam samych kroków, tylko trzask łamanych gałązek... Odgłosy cichły, aż w końcu zupełnie umilkły. To dziwne, ale wcale nie byłam wtedy mniej przerażona. Bałam się czegoś innego. Czegoś... jakieś niegodziwości. Zła. Nie potrafię tego wytłumaczyć.

- Nie musisz - odrzekł Spencer. Nie miał ani cienia wątpliwości, że Conni Tobias mówi prawdę. - Odwróciłaś się i poszłaś z powrotem?

- Nie, nie wtedy w każdym razie. Tak bardzo bałam się ciemności. Ze zbocza nie dochodziły żadne dźwięki. Nie myślałam, że ktoś tam jeszcze jest. Chciałam się tylko przekonać, czy miałam rację, czy rzeczywiście to były odgłosy kroków albo po prostu wyobrażałam sobie straszne rzeczy, jak często to robią ludzie w ciemności.

Detektyw kiwnął głową.

- Stawiałam małe kroczyki, trzymając się ścieżki za Feldbergiem i starając się nie robić żadnego hałasu. Doszłam mniej więcej do miejsca, skąd, jak mi się wydawało, po raz pierwszy dobiegały te odgłosy. Przystanęłam i spojrzałam w dół na zbocze, ale było bardzo ciemno. Nie kompletna ciemność, rozumiesz. Drzewa stały czarne jak sadza. Z okien biblioteki padały smugi światła i odbijały się od śniegu. Widziałam biały śnieg i kępę sosen oddaloną ode mnie o jakieś kilka metrów w dół. Zrobiłam parę kroków, potem jeszcze następne. Chciałam coś zobaczyć, ale nic nie widziałam. Rozumiesz, co mówię?

- Aż za dobrze - zapewnił ją, wstrzymując oddech.

- Doszłam do tej kępy drzew. Zajęło mi to... sama nie wiem, jakieś pięć, sześć minut. Zrobiłam kroczyki, przystanęłam i nasłuchiwałam. Kolejny kroczyki. Znowu nasłuchiwałam. Panowała absolutna cisza, chciałam się upewnić, czy przypadkiem nie ogłuchłam. - Conni głośno przełknęła ślinę i spojrzała w bok.

Spencer nie odrywał spojrzenia od jej twarzy.

- W odległości jakichś pięciu kroków coś zobaczyłam, to znaczy wydawało mi się, że zobaczyłam, nie byłam pewna, dopiero teraz mogę powiedzieć, że zobaczyłam, ale wtedy wcale nie byłam tego pewna. Wydawało mi się, że zobaczyłam... parę czarnych butów.

Detektyw odetchnął głośno i zgarbił się w krześle.

- Nie - szepnął.

Conni dalej unikała jego oczu.

- Na początku nie umiałam ich umiejscowić. To wydawało się bez sensu, wyglądały jak dwa kleksy i nie potrafiłam się połapać, co to jest.

To mogły być niewielkie pnie drzew albo sterczące uszy jakiegoś zwierzaka. Ale zatrzymałam się, bo znowu ogarnęło mnie przerażenie. Byłam jak sparaliżowana, nie potrafiłam zrobić kroku. Nawet zanim uświadomiłam sobie, co widzę, nie zdołałam się poruszyć.

Spencer kiwał tylko głową, oddychając ciężko, niemal dysząc.

- Minęło kilka sekund, ale dokładnie pamiętam własne myśli, ponieważ kiedy stało się jasne, że te czarne przedmioty wyglądają jak buty, sekundę zajęło mi ich rozpoznanie, a w następnej tak gwałtownie się cofnęłam, że upadłam i nie mogłam się podnieść. Poczołgałam się w górę. A potem odwróciłam się tyłem do tego, co właśnie zobaczyłam. Nie wiem, jak udało mi się odwrócić, ale to było tak, jakbym gorączkowo próbowała obudzić się z koszmarne snu. Nigdy w życiu tak strasznie się nie bałam. Na zboczu podniosłam się i ani razu nie patrząc w tył, pobiegłam do akademika. Nie szłam szybkim krokiem przez most, jak mówił Frankie. Biegłam, ile sił w nogach. Dzięki Bogu, zostawiłam otwarte drzwi. Nie umiałabym poradzić sobie z kluczem, tak bardzo mi się ręce trzęsły. W pokoju nikogo nie było. Chwilę trwało, nim się uspokoiłam, a potem zadzwoniłam do Alberta. Zajęte. U Frankiego i Jima nikt nie odbierał. Zeszłam więc do świetlicy i znalazłam tam Alberta. Na jego widok poczułam wielką ulgę. Powiedział mi, że cały czas siedział w przed telewizorem, a ja mu uwierzyłam.

Spencer długi czas milczał.

- Widziałaś... ją? - zapytał wreszcie zduszonym głosem. Nagą, martwą, przysypywaną śniegiem.

Dziewczyna energicznie pokręciła głową.

- Ależ nie. Widziałam tylko czarne buty, nic więcej.

Spencer miał ochotę spryskać twarz wodą. Dlatego Conni nie szukała Kristiny, gdy wróciła do Dartmouth po Święcie Dziękczynienia. Wiedziała, że to i tak nie ma sensu.

- Conni, dlaczego zachowałam to dla siebie? - zapytał. - Zwłaszcza w świetle wszystkiego, co stało się później? Gdyby nic się nie wydarzyło, zrozumiałbym twoje milczenie, skoro jednak Kristinę znaleziono martwą, czemu nic nie powiedziałaś?

- Komu na przykład i co?

- Dlaczego tamtej nocy nic nie powiedziałaś Albertowi?

- Byłam naprawdę przerażona. Całą noc wymiotowałam, a potem rano wyjechaliśmy i starałam się wyrzucić to z myśli. Zaczęłam przypuszczać, że może się pomyliłam.

- Dlaczego następnego dnia rano nie powiedziałaś Albertowi, żebyście oboje poszli i sprawdzili, co to jest?

Pochyliła głowę.

- Nie mogłam mu powiedzieć. Sama nie wiem. Nie mogłam.

- Dlaczego?

- Nie wiem.

- Mnie to nie przekonuje.

- To prawda.

- Więc czemu nie powiedziałaś o tym swoim obrońcom? Dlaczego nie powiedziałaś, że jesteś niewinna? - W tej chwili jednak Spencer uświadomił sobie, że wcale taka niewinna nie była. I w tym samym momencie przestał jej współczuć.

- A jak mogłabym dowieść swojej niewinności? - zapytała. - Okoliczności przemawiały przeciwko mnie, widziano mnie uciekającą z miejsca zbrodni, nie mam świadków na swoje poczynania przez prawie godzinę, akurat w czasie gdy ona umarła. A ty byłeś przekonany, że ja coś ukrywam.

- Bo ukrywałaś - wtrącił.

Kiwnęła głową.

- To prawda. I w dodatku pod jej paznokciami była moja krew. Co mam poza własnym słowem? Albert zeznawał przeciwko mnie - powiedziała z przygnębieniem. - Jim zeznawał przeciwko mnie. Ty zeznawałeś przeciwko mnie.

- Myliłem się.

- Wtedy byłeś przekonany, że masz rację.

- Przez co błąd wcale nie jest mniejszy.

- Nie stałeś po mojej stronie, a ja o tym wiedziałem.

- Po twojej stronie? Conni, widziałaś ludzkie zwłoki w śniegu i nikomu o tym nie wspomniałaś. Nawet Albertowi. Powinnaś była mu powiedzieć.

Oboje zamilkli.

- Czy Albert miał rękawiczki? - przerwał ciszę Spencer.

- Rękawiczki?

- Tak, skórzane albo jakieś inne.

- Owszem. Nie pamiętam dokładnie, ale chyba miał rękawiczki z brązowej skóry. - Znowu zwiesiła głowę, wpatrując się w blat. - I coś jeszcze. Kurtkę z brązowej skóry.

- Tak?

- Ta kurtka zniknęła.

- Co takiego?

- Zniknęła. Wtedy starałam się o tym nie myśleć. Byliśmy już gotowi do wyjazdu na Święto Dziękczynienia, a on włożył kurtkę narciarską. Zapytałam go, gdzie jego druga kurtka, odpowiedział, że nie może nigdzie jej znaleźć. Po powrocie zapytałam, czy ją znalazł, a on zaprzeczył. Trochę się nawet na ten temat posprzeczałyśmy. Nie potrafiłam zrozumieć, jak mógł zgubić skórzaną kurtkę. Byłam zdenerwowana. Widzisz, podarowałam mu ją na poprzednie Boże Narodzenie. - Conni uniosła wzrok; w jej oczach malował się wstyd. - Nie chciałam nawet myśleć, gdzie ta kurtka może być.

- Tak, tego jestem pewny. - Zobaczył ból na jej twarzy. - Wszystko w porządku, to nie ma już znaczenia. - Kłamał jednak.

Conni poprawiła krótkie włosy i dotknęła twarzy.

- I co teraz?

- Teraz? - Zaskoczyło go to pytanie. - Nie wiem. Możesz na przykład powtórzyć swojemu obrońcy to wszystko, co powiedziałaś mnie.

Poruszyła się z ożywieniem.

- A po co? Co dobrego miałyby z tego wyniknąć?

- Conni, poproś go o wznowienie śledztwa.

- I po co? Zgodziłam się na układ! - wykrzyknęła piskliwym głosem. - Ale jestem niewinna. Nie zrobiłam nic złego.

Spencer cicho zakaszłał.

- Nie posuwałbym się aż tak daleko, Conni.

- Powiedziałam, że jej nie zabiłam.

- Nie, nie zabiłaś, ale... - Urwał, miał kłopoty z doбором odpowiednich słów. - Widziałaś ją martwą. - Siłą woli powstrzymał się od łez. - Wiedziałaś, czyje są te buty. Wiedziałaś, że ona tam leży. Rozumiem, że w tamtej chwili nie chciałaś o tym myśleć - choć żałuję, że tak było - ale następnego dnia nie spotkałaś Kristiny. Musiałaś zdawać sobie sprawę, że ona jest tam w śniegu,

a mimo to wyjechałaś, zabierając psa. Wyjechałaś na Święto Dziękczynienia. Zostawiłaś ją w śniegu na ponad tydzień... - nie potrafił mówić dalej.

- Potem nie mogłam już nic powiedzieć. To trwało za długo.

- Tak, dlatego też tłumaczę, że natychmiast powinnaś była sprowadzić pomoc. Wątpię, czy to by ją uratowało, ponieważ przypuszczalnie nie żyła już, kiedy ją widziałas. A może jednak żyła. Pomyśl o tym. Żyj z tym. Gdybyś od razu sprowadziła pomoc, nie musiałabyś spędzić tu pięciu lat życia.

- Nie mogłam iść po pomoc! Nie rozumiesz? - W głosie Conni brzmiały rozpacz i bezradność.

- Nie, prawdę mówiąc, nie rozumiem. Wiem, że się bałaś.

- To nie był tylko strach. To było przerażenie. Tak bardzo nigdy w życiu się nie bałam.

- Przed tamtą nocą miałaś niewiele powodów do strachu, Conni -odrzekł Spencer. - Ale to, jacy jesteśmy, okazuje się w sytuacjach kryzysowych. Tak łatwo jest być biernym w codziennym życiu, które nie stawia przed nami wyzwań. Nie ma ryzyka. Jednakże raz czy dwa w ciągu całego życia wywoływane jest nasze imię. A kiedy do tego odchodzi, musimy stawić czoło sytuacji, a nie uciekać w przeciwnym kierunku.

Wpatrywała się w niego, oszołomiona i zbita z tropu.

- Więc mi nie pomożesz? - zapytała zimno. - Po co w takim razie tu przyszedłeś?

- Żeby się przekonać, czy miałem rację.

Kiedy nic więcej nie powiedział, Conni zapytała:

- I miałeś rację?

Wolno kiwnął głową.

- Miałem.

Spencer nie czuł się już młody. Wpadł w sieć uplecioną przez tych troje i w żaden sposób nie potrafił się z niej uwolnić. Nie mógł znowu być młody. Przez tę sprawę jego skronie przyprószyła siwizna, zmarszczki na twarzy się pogłębiły. Ci smarkacze chcieli, żeby się postarzał, ale nie zamierzał im na to pozwolić. Musiał się od nich odciąć.

- Conni - odezwał się poważnym tonem - wiem, dlaczego nie powiedziałaś nic Albertowi tamtej nocy, kiedy uciekłaś z mostu. Nie mówiłaś mu, bo myślałaś, że to on zabił Kristinę. A kiedy milczał na jej temat, kiedy dni mijały, a on nic nie wspominał, chociaż nie ulegało wątpliwości, że coś się z nią stało, ty już wiedziałaś na pewno. I nic nie mówiłaś. Na co liczyłaś? Że nigdy jej nie znajdą? Jeśli uważałaś, że on ją zabił, to czy zdawałaś sobie sprawę, że będziesz

związana z mordercą, czy też w ogóle cię to nie obchodziło?

- Nie mów tak. - Zabrakło jej tchu. - Nie mów. Bądź cicho.

Lecz on ciągnął głośniejszym głosem niż przedtem:

- Trzymałaś buzię na kłódkę, mając nadzieję, że twoje podejrzenia są niesłuszne. Liczyłaś na to, że jeśli weźmiesz jego winę na siebie, to ciebie też pokocha?

- On mnie kochał! - wykrzyknęła.

- Och, Conni - powiedział ze znużeniem O'Malley. - Na litość boską! On nigdy cię nie kochał, nigdy nikogo nie kochał. - Przypomniawszy sobie kaszmirowy płaszcz Kristiny. - Oprócz niej. Nie widzisz tego? Myślałaś, że uda ci się wzbudzić w nim miłość swoim poświęceniem, ale zapomniał o tobie, gdy tylko zamknęły się za tobą drzwi więzienia, i teraz chcesz się zemścić. Powinnaś była go zostawić, a nie uganiać się za nim.

Conni wybuchnęła płaczem.

- Nie płacz. Co chcesz, żebym zrobił? Nawet nie wiemy na pewno, niczego nie wiemy na pewno, ani ty, ani ja. Nie płacz. Może ja się mylę. Może on tego nie zrobił.

Conni szlochała, łzy płynęły jej po twarzy, lecz o to nie dbała.

- Odszukaj Alberta - wykrztusiła. - Odszukaj go.

- Tak, a potem co?

- Nie wiem - wyznała. - Ale ty będziesz wiedział, serce ci podpowie.

- Nie mieszaj do tego mojego serca - rzucił ostro Spencer, zaraz jednak złagodniał. - Co mam zrobić, kiedy go znajdę? Pocałować w oba policzki?

- Będziesz wiedział, ja w ciebie wierzę - odrzekła Conni, pociągając nosem.

Pojął, że w nim ulokowała całą swoją nadzieję.

- Twoim zdaniem Albert przyzna się do winy? Ty go nie znasz, Conni.

- Nieprawda, znam go.

- Mylisz się, w ogóle go nie znasz. - I znowu przeszło mu przez głowę, by powiedzieć jej o Nathanie Sinclairze. Lecz czy nie została już dostatecznie ukarana? By zmienić temat, zapytał o Jima.

- Tak - odpowiedziała. - Przychodzi tu co niedziela.

- Żartujesz. Co niedziela? - W gruncie rzeczy jednak nie był zdziwiony. - Co on porabia?

- Niewiele. Pracuje w banku.

- Poszedł do Dartmouth, żeby pracować w banku?

- Nie - zaprzeczyła Conni. - Poszedł do Dartmouth, żeby studiować prawo, ale... zmienił zdanie.

- Zmienił zdanie? A skończył college?

- W tej sprawie też zmienił zdanie - odpowiedziała z namysłem, czule.

- Rozumiem. Conni, a czy ty zmieniłaś zdanie co do Jima?

Kiwnęła głową zawstydzona.

- Przychodzi tu w każdą niedzielę. - Głos jej się załamał, a Spencer nie wiedział, czy powodem jest to, co zrobił Jim, czy też to, co uczynił jej Nathan Sinclair.

- Zrobię, co w mojej mocy, Conni. - Miał ochotę pogłodzić ją po ramieniu.

- Wiem, że tak, Spencerze. Jesteś takim człowiekiem.

- Zrozum jednak, że nie dla ciebie. Dla Kristiny.

I dla niego samego także. I dla matki Kristiny, której to przyrzekł.

- Rozumiem - odparła z zapalem.

- Niczego wszakże nie obiecuję, rozumiesz?

- Całkowicie. - Uśmiechnęła się ze smutkiem. - Dziękuję.

Spencer pomyślał, że jej podziękowanie zabrzmiało szczerze. Wstał.

- Nie ma za co. - Pragnął powiedzieć: Przynajmniej to mogę zrobić, aczkolwiek w gruncie rzeczy myślał, że to najwięcej, co może zrobić. Dla siebie samego. - Nie wydaje mi się, żebyśmy jeszcze mieli się spotkać, Conni - dodał na pożegnanie. - Dbaj o siebie.

Oto znowu tu był, znowu sam się wplątał w trzęsawisko pogruchotanych istnień tej czwórki. I swego własnego. Sądził, że kiedy wyjechał z niegdyś ukochanego Hanover, ich także zostawił za sobą, lecz to nieprawda; miał ich ze sobą cały czas, upchanych w starej walizce jego duszy. Zepsuli mu Hanover. Splamili swoim nieszczęściem.

W trzy miesiące później, w czerwcu, Spencer O'Malley odnalazł A. Ma-plethorpe'a na białych kartkach książki telefonicznej miasta Greenwich w stanie Connecticut.

A. Maplethorpe mieszkał niedaleko Sound Beach Road, obok cieśniny Long Island, tuż przy eleganckim Greenwich Point Park. Detektyw telefonicznie uprzedził go o swojej wizycie. Nathan wydawał się dziwnie zadowolony.

- Dlaczego trwało to tak długo? - zapytał, zapraszając go na lunch.

Przed wizytą Spencer starannie wszystko przemyślał i zdecydował, że pod kieszonką koszuli

przyklei sobie do piersi mikrofon. Wziął też policyjne magnum. Nie ruszał się nigdzie bez broni, nawet gdy nie był na służbie.

Nędzarz Nathan Sinclair istotnie przebył długą drogę od czasów domu dziecka w Fort Worth w Teksasie i więzienia dla nieletnich w Brooklyn Heights.

Dom wyglądał wspaniale. Odgradzony od świata bujną zielenią, miał dwa piętra z oknami w białych ramach, świetliki na mansardzie i bluszcz na ogrodzeniu. Budynek otaczały głównie klony i dęby, przez które prześwitywała tafla cieśniny.

Jego właściciel wyszedł na zewnątrz, aby powitać gościa, który podziwiał drzewa i wdychał ostre powietrze. Wskazując na klony, Nathan powiedział z dumą:

- Sprowadziłem je z New Hampshire i Vermontu. Nie znajdzie pan drugich takich pięknych okazów w całym Connecticut.

Uklonili się sobie chłodno, nie wyciągając rąk. Spencer słyszał cichy szum magnetofonu. Dotknął klapy marynarki.

Nathan wyglądał na dojrzałego mężczyznę. Spencer przypuszczał, że wróciwszy do Greenwich, gdzie aż roilo się od Sinclairów, tamten nie miał innego wyjścia, jak tylko dalej być Albertem Maplethorpe'em. Pod każdym innym względem wszakże - zachowaniem, ubiorem, uprzejmym i wyrafinowanym sposobem wypowiedania się oraz starannie wypielęgnowanymi, niemal wymuskanymi włosami, Nathan przypominał w każdym calu Sinclaira. Wszystko w nim świadczyło o sporych pieniądzach, które z korzyścią spożytkowano.

- Dalej jesteś Maplethorpe'em, co, Nathan?

- Trudno powiedzieć, bym był kimś innym. - Błysnął w uśmiechu białymi zębami. - Dokąd pójdziemy?

- Myślałem, że zostaniemy tutaj.

- Nie, dzisiaj to raczej nie wchodzi w grę. Właśnie zwolniłem kucharkę i sprzątaczkę. Może wybierzemy się do miasta? Jest urocze, na pewno się panu spodoba.

Spencer nie dbał o to, gdzie pójda. Chciał zostać w domu, zobaczyć wnętrze. Czego się spodziewał - w słonecznym pokoju, pomiędzy kwiatami, roślinami doniczkowymi, książkami i bibelotami? Czy oczekiwał, że na sofie zobaczy kwadratową poduszkę?

Tak więc poszli do restauracji i usiedli przy wychodzącym na południe oknie, przez które promienie słoneczne padały na stoliki przykryte obrusami w biało-czerwona kratkę. Kelnerka w takim samym fartuszku przyniosła im kawę.

Przez pierwsze dziesięć minut, gdy gawędzili sobie luźno, Nathan palił jednego papierosa za drugim. Spencer uświadomił sobie, że za chłodem, spokojną mową i uprzejmymi manierami tamtego kryje się napięcie, widoczne w palcach ściskających papierosa.

- Czemu więc zawdzięczam twoją wizytę, Spencerze? - zapytał po jakimś czasie Sinclair. - Mogę tak się do ciebie zwracać? Czyżbyś pisał książkę?

- Pisanie nigdy nie było moją mocną stroną - odparł detektyw.

- Aha - mruknął Nathan, nie doczekawszy się odpowiedzi.

O'Malley nie chciał, by jego rozmówca miał się na baczności - aczkolwiek najwyraźniej było na to za późno - więc oznajmił:

- Widziałem się z twoją dawną dziewczyną, Constance Tobias. Pamiętasz ją?

- Oczywiście, że pamiętam Conni - odrzekł Nathan obojętnie. - Co u niej?

- Wszystko świetnie, doskonale sobie radzi. Zastanawia się tylko, dlaczego jej nie odwiedzasz.

Młody człowiek lekko wzruszył ramionami.

- No cóż, sam wiesz. To było bardzo trudne. Dla mnie to też był niełatwy okres.

- Jasne, niełatwy. Pracujesz?

- Nie. - Nathan się uśmiechnął. - Bogata żona. Kupiła nasz dom.

- Aha. Żona. Więc się ożeniłeś.

- Tak - odrzekł z powagą - byłem żonaty.

Spencer nie od razu pojął jego słowa.

- Byłeś? Nathan, minęły dopiero dwa lata...

- Ściśle rzecz biorąc, prawie cztery - poprawił go Sinclair. Czy w jego głosie zabrzmiała nuta sarkazmu?

- I już się rozwiodłeś?

- Nie, jestem wdowcem.

- Wdowcem? - Wdowcem! Spencerowi zaczęły trząść się ręce. Z wysiłkiem zachował panowanie nad sobą. - Czy jesteś czarnym wdowcem, Nathanie?

Tamten palił w milczeniu, lekko krzywiąc wargi.

- Cóż, przykro mi to słyszeć. Już miałem pogratulować ci małżeństwa - O'Malley zdołał powiedzieć to w miarę spokojnie.

- W tej sytuacji nie byłoby to stosowne.

- Jak umarła żona?

- Straciła panowanie nad samochodem. Głupia sprawa. Wyleciała z drogi, auto przekoziółkowało.

O'Malley przetrwał usłyszane właśnie informacje. Miał nadzieję, że wyraz jego twarzy nie zdradza tego, co czuje. Miał nadzieję, że nie spoci się i nie zostanie rażony prądem z mikrofonu przyklejonego do klatki piersiowej.

- Proszę pani! - zawołał do kelnerki. - Proszę o whisky.

- Mamy...

- Cokolwiek, o ile to whisky - przerwał jej.

Podawała mu drinka.

- Pozwolisz, że zapytam - odezwał się wreszcie detektyw - czy w sprawie jej śmierci przeprowadzono dochodzenie?

- Oczywiście. Zrobiła to firma ubezpieczeniowa. - Sinclair nachylił się nad stolikiem i uśmiechnął z przymusem. - To naprawdę był wypadek, detektywie O'Malley.

- Tak, a Kristina była przecież naga na mrozie. Równie dobrze mogła zamarznąć na śmierć.

- O czym ty mówisz? - zapytał Nathan. - Wiesz przecież, że nie zamarzła.

- Tak, ale starano się uporzadkować wypadek. Kristina miała wyglądać, jakby zamarzła.

Nathan zapalił kolejnego papierosa i odgarnął do tyłu wypielęgnowane włosy.

- Spencerze, nie mówię, że się nie cieszę na twój widok, ale jaki jest powód twojej wizyty? Conni Tobias siedzi w więzieniu.

- Tak, Conni Tobias siedzi - rzekł detektyw z naciskiem. Gdyby nie to, że minęło dopiero pół godziny, a tamten otworzył drugą już paczkę papierosów, O'Malley pomyślałby, że przyjeżdżając tu, zmarnował czas. Nathan jednak palił tak mechanicznie, z takim napięciem, tak niecierpliwie, że Spencera nagle ogarnęło przekonanie, iż intuicja go nie zawiodła. - Nathanie...

- Naprawdę wołałbym, żebyś nazywał mnie Albertem - przerwał mężczyzna. - Od lat nie używałem już innego imienia.

- To dziwne. Pod nim właśnie występujesz w listach Kristiny do babki i w listach do ciebie, których nigdy nie wysłała, a także w innych papierach, które ci zostawiła, z wyjątkiem testamentu. Jesteś Nathanem także dla matki Kristiny. Pozwól, że zapytam, czy żona знаła twoje prawdziwe imię?

- Nie, ponieważ nie jest to moje prawdziwe imię i nie było nim od lat.
- A jak miała na imię twoja żona?

Tamten zapalił następnego papierosa i dopiero potem odpowiedział:

- Elizabeth.
- Elizabeth. Piękne imię. A nazwisko?
- Jak umierała, nazywała się Maplethorpe.
- A zanim umarła?
- Doprawdy nie pamiętam. Dlaczego tak cię to obchodzi?
- To akurat wcale mnie nie obchodzi, chociaż obchodzi mnie jej śmierć, jeśli mam być

szczerzy.

- No cóż, nie ma powodu - uśmiechnął się Nathan.

Na pozór ten mężczyzna wydawał się niezwykle opanowany. Spencer natomiast był tak roztrzęsiony, że nie pił whisky; nie chciał, by tamten zobaczył jego drżące palce.

Co robi człowiek, gdy wypełniają go tak niedobre emocje?

Wycofuje się gdzieś na bok i umiera z nimi?

O'Malley nie chciał jednak nigdzie się wycofywać. Pragnął dowiedzieć się czegoś więcej o Elizabeth. Nathan wszakże nie rozwodził się na ten temat, przyznał jedynie, że ciężkim przeżyciem jest strata żony, gdy człowiek ma dopiero dwadzieścia pięć lat. Spencer nie odrywał od niego wzroku, chcąc się przekonać, czy za tymi słowami kryje się szczerze uczucie. Kiedy tak spoglądał na niego, widział jedynie chłodnego młodego mężczyznę w eleganckim ubraniu, palącego nieustannie camelę. Mówił właściwe słowa, bez wątpienia, lecz nie sprawiał wrażenia kogoś cierpiącego z powodu tragicznej straty. A Spencer wiedział coś o takiej stracie.

- Pozwolisz, że zapytam, czy było podejrzenie o nieczystą grę?
- Nie, a dlaczego? Powinno być?
- Ja nie wiem, ty mi powiedz.
- Nieczysta gra z czyjej strony? - zapytał Nathan, nie kryjąc zdziwienia.
- Twojej - odparł Spencer bez ogródek.

Tamten przekrzywił głowę i szeroko się uśmiechnął.

- Nie, detektywie, nie było podejrzeń o nieczystą grę z mojej strony. Widzisz, wówczas byłem z nią w tym samochodzie.

Spencer kiwnął głową, zupełnie nieprzekonany.

- Wygląda na to, że gdziekolwiek się udajesz, Nathanie Sinclair, śmierć idzie za tobą. Kristina nie żyje...

- Oskarżasz mnie o zamordowanie Kristiny, detektywie? - roześmiał się młody człowiek.

- Śmierć idzie krok w krok za tobą, jak robił to Arystoteles - ciągnął Spencer. - Jak ci się udało skłonić żonę, by umarła?

- Ha, więc to jednak nie jest przyjacielska wizyta. Jak już kilka razy mówiłem, moja żona prowadziła auto. To był nieszczęśliwy wypadek...

- Nieszczęśliwe wypadki to zdaje się twój modus operandi.

- Nieszczęśliwe wypadki w żadnym razie nie są moim modus operandi - odparł Nathan, przedrzeźniając detektywa. - To, co się stało z Kristiną...

- O czym mówisz? O tym, jak zaszła z tobą w ciążę? Czy o tym, jak... - O'Malley zamilkł; mało brakowało, a oskarżyłby tego człowieka o morderstwo.

Nie przyniosłoby to żadnej korzyści.

Nie chciał, by żarliwe zaprzeczenia jego rozmówcy nagrały się na taśmie. Uspokoił się więc, a choć miał ochotę na whisky, napił się kawy.

Straciwszy żonę w wypadku, dobrze wiedział, jak czuje się pogrążony w żałobie mąż, a Nathan wcale tak się nie zachowywał. Równie dobrze mógłby mówić o wiosennych przegranych drużyny Red Sox. Nathana nic to nie obeszło. Patrzył wprost na Spencera zuchwale, jakby chciał powiedzieć: „Rzucam ci wyzwanie. Od tak dawna próbujesz mnie na czymś przyłapać, ale dotąd ci się nie udało. Teraz też wrócisz z pustymi rękami do swego mieszkania na przedmieściach, podczas gdy ja dalej będę mieszkał przy Sound Beach Road w domu, o jakim możesz sobie tylko pomarzyć. Nie pozwolę ci nawet przekroczyć progu tego domu. Nie wpuszczę cię do mojego domu, a wiesz dlaczego? Bo ty bardzo chcesz tam wejść. Ale ja ci nie pozwolę”.

Spencer wiedział jednak, że coś w ich rozmowie otworzy przed nim drzwi tego pałacu.

- Student filozofii, co? - odezwał się z ironią. - Dziwię się, że twoje poczucie winy jest tak mało rozwinięte.

Nathan zaśmiał się sucho.

- Poczucie winy? To nie ma nic wspólnego z filozofią, za to wiele z religią i matczyną troską. A ja nie zaznałem ani jednego, ani drugiego. Filozofia pomaga wyłącznie w racjonalizacji świata. Tej miałem mnóstwo.

- Matczynej troski też miałeś sporo.

- Z czyjej strony? Katherine? - cicho prychnął. - Jeśli tak nazywasz zajmowanie się dobroczynnością przez cztery dni w tygodniu i przyjmowanie gości w pozostałe, to owszem, miałem tego sporo.

- Bardzo cię kochała.

- Tak ci powiedziała? No cóż, jestem pewny, że w to wierzyła.

- Dała ci własny dom - zauważył Spencer obojętnym tonem. - Jak możesz być taki niewdzięczny?

- A za co niby mam być wdzięczny? Czy ją o to prosiłem? Kto powiedział, że nie byłem szczęśliwy tam, gdzie byłem? Miałem przyjaciół, a trzy zakonnice zajmowały się mną o wiele troskliwiej, niż kiedykolwiek robiła to Katherine Sinclair. Przeszedłem z miejsca pełnego ciepła do złoczonej klatki, gdzie nie było żadnego nadzoru ani dyscypliny. Wszystko na pokaz. Doskonale maniery. Ale co poza tym? Miałem siedem lat, kiedy zamieszkałem u Sinclairów. Myśleli, że dopiero co się urodziłem, a przecież ja już wcześniej kimś byłem. Potem nagle nie spodobało się, kim jestem, i wyrzucili mnie. Nie tylko zresztą mnie, własną córkę też. - W jego głosie brzmiał gniew.

Spencer był zaskoczony. Dotąd Nathan nie okazywał uczuć. Wyjątek stanowił kaszmirowy płaszcz.

- Oni jej nie wyrzucili - powiedział głośno.

- A jak byś to nazwał? Wydali ją za męża, żeby zatuszować skandal. Nie mogli zatrzymać jedyne dziecko w domu? Skąd, znacznie ważniejsze były pozory, opinia sąsiadów. Boże uchojaj, żeby Sinclairowie stali się tematem plotek w mieście. Wyrzucili ją, tak samo jak wyrzucili mnie. I to w najgorszym momencie jej życia.

- No cóż - oświadczył Spencer sarkastycznie - nie miała za wiele tego życia. Powiedziałbym, że gwałtowna śmierć w wieku dwudziestu jeden lat to najgorszy moment jej życia, nie sądzisz?

Nathan wzdrygnął się, choć niemal niewidocznie, i właśnie ten nieznaczny ruch utkwił detektywowi w pamięci. Tamten się wzdrygnął, Spencer nie był na to przygotowany.

Wzruszając ramionami z pozornym spokojem, młody człowiek odrzekł:

- Nie wiem. Przykro mi, że jej nie ma.

- Oczywiście, przecież poza nią nie miałeś nikogo. Tylko ona traktowała cię jak członka rodziny.

- I tu się mylisz, detektywie. - Nathan się skrzywił. - Nazbyt romantycznie podchodzisz do

naszego związku. Jestem sierotą, a może zapomniałeś? Każda kobieta, którą spotykam, topnieje na dźwięk tego słowa. „Sierota”. Och, mówią, biedactwo, pozwól, żebym zabrała cię do domu, nakarmiła i pościeliła łóżeczko. Kristina taka była, Conni taka była, Elizabeth również. Cały instynkt macierzyński reaguje od razu na słowo „sierota”. Niczego więcej nie pragną, tylko się mną zaopiekować. Wprowadzić do rodziny.

- Zachowują się tak dlatego, że cię nie znają.

Spencera ogarniało coraz silniejsze przekonanie, że to Nathan zamordował Kristinę. Tylko on jeden wydawał się do tego zdolny, tylko on jeden do takiego stopnia pozbawiony był skrupułów i serca, by odebrać życie młodej dziewczynie, która go kochała, a potem żyć dalej, jakby jej śmierć nie miała znaczenia. Tak jak w wypadku tamtego kota. Zabił ją i zajął się swoimi sprawami, jak gdyby ona nigdy nie istniała. Ten biedny smarkacz znikąd zabił dziewczynę, która go karmiła, a później zrezygnował z nauki w college’u, gdzie uczęszczał za jej pieniądze.

Nie ulegało wątpliwości, że dzięki zmarłej żonie jest w doskonałej sytuacji. Teraz został sam, ale na oko całkiem szczęśliwy, żył w tych samych kręgach, które wyrzuciły go ze swego grona, gdy był nastolatkiem. Nathan Sinclair nie musiał jechać do Edynburga, by uczyć się filozofii i racjonalizowania. Sprawiał wrażenie, że popełnione czyny nie dręczą go nocami, a nie było rzeczy, która budziłaby większy wstręt w katolickiej duszy Spencera. Gdyby okazał choć cień poczucia winy, śmierć jego siostry nie byłaby aż tak pozbawiona znaczenia. On jednak zachowywał się jak człowiek, dla którego morderstwo było równie łatwe do zapomnienia jak wyjście z Arystotelesem na spacer.

- Wiem, kim jestem - odezwał się Nathan z rozbawieniem. - Ale czym jestem, detektywie?

O'Malley nachylił się ku niemu, chowając pod stołem zaciśnięte w pięści dłonie.

- Sinclairowie cię adoptowali! Jak możesz być aż tak bez serca?

- Kto jest bez serca? Adoptowali mnie i nazwali imieniem zmarłego synka. Co roku dwudziestego pierwszego listopada, niezależnie od tego, czy wypadało akurat wtedy Święto Dziękczynienia, czy nie, zabierali mnie na cmentarz i kazali kłaść kwiaty na grobie Nathana Sinclaira. Co roku, odkąd miałem siedem lat. Ależ to była zabawa! - powiedział Nathan sucho. - Według inskrypcji na nagrobku już byłem martwy.

Spencer słuchał, aczkolwiek nie przyszedł tu, by słuchać właśnie tego.

- A czy przedtem jakoś się nazywałeś?

- Naturalnie, choć tego nie pamiętam. Zakonnice mówiły na mnie Billy.

- Billy, Nathan, Albert. Czy ty w ogóle wiesz, kim jesteś?

- A ty wiesz, kim jesteś? - odparował jego rozmówca. - Mówisz, że masz na imię Spencer, ale słyszałem, jak twoi koledzy gliniarze nazywali cię Tracy, a przedstawiasz się jako Spencer Patrick O'Malley. Nikt nie przedstawia się drugim imieniem.

- Ale to właśnie ja - oznajmił Spencer, trzęsąc się z bezsilnego gniewu. - Spencer Patrick O'Malley.

- A to właśnie ja, Albert Maplethorpe.

- Kristina wybrała ci to nazwisko, prawda?

Nathan dwukrotnie mrugnął.

- Wybraliśmy je razem.

- A tatuaż na ramieniu też razem zrobiliście? Z jej inicjałami? Czy po jej śmierci próbowałeś usunąć go chirurgicznie?

- O czym ty mówisz, detektywie? Dlaczego miałbym to robić?

- Powiedz mi, Nathanie-Albercie-Billy, kochałeś ją?

- Tak, kochałem ją - odpowiedział natychmiast, bez chwili namysłu.

- Czy ją zabiłeś?

- Nie, nie zabiłem - padła równie szybka odpowiedź. Magnetofon cicho warczał.

- Kłamiesz!

- Nie.

- Przez całe życie kłamałeś w każdej sprawie. Kłamiesz teraz?

- Nie.

- Rozumiem.

- Mam alibi, detektywie. Przecież o tym wiesz.

- Tak, alibi. - Spencer bębnił z furją po pustej szklance. Tamten wybuchnął śmiechem.

A potem zapadło milczenie. Nathan jadł kanapkę z indykiem bez mayo i bez bekonu, Spencer popijał kawę. Wspomnił o babce Kristiny.

- Tak, a co? Zawsze spędzaliśmy u niej lato. Świetnie się bawiliśmy. Jezioro było piękne, ona dobrze gotowała. Kristina była smutna, gdy babka umarła.

- Wiesz, że Louise Morgan zostawiła testament?

- Naturalnie, że wiem. Tacy są Sinclairowie i Morganowie. Oni rodzą się z testamentem. -

Nathan uniósł do ust kolejny kęs indyka, po czym ciągnął: - Kiedy Kristina mieszkała w Brooklyn Heights, powiedziała mi, że babka zareagowała furią na sposób, w jaki rodzice potraktowali jej jedyną wnuczkę. Louise nie mogła uwierzyć, że Kristinę wyrzucono razem z dzieckiem, tylko dlatego, by utrzymać pozory na North Street. Więc Louise odwróciła się tyłem do tych, którzy odwrócili się tyłem do Kristiny. Przysięgła, że nikogo z nich nie umieści w testamencie, nawet własnej córki.

- Czy Kristina mówiła, komu w takim razie Louise Morgan zamierza zostawić swoje pieniądze?

- Krissy mówiła, że nie wie - odrzekł Nathan po przerwie.

Spencera przeszedł dreszcz, gdy usłyszał w jego ustach zdrobnienie jej imienia. Było w tym coś bluźnierczego.

- Mówisz tak, jakbyś uważał, że Louise Morgan miała prawo wydziedziczyć swoich bliskich.

- Absolutnie tak. Potraktowali Kristinę strasznie. Mnie to nie obchodzi, ja się tego spodziewałem. Kim dla nich byłem? Ale ją uważali za swoją księżniczkę, żrenicę oka. Wszystko, kim ci oboje, John i Katherine byli, znalazło sublimację w Kristinie.

- Myślałem, że John znalazł sublimację w tobie.

- Ona ci tak powiedziała? - prychnął pogardliwie Nathan. - Cóż, racja.

- Nathanie, nie możesz ignorować faktu, że z powodu tego, coście oboje zrobili, cała rodzina się rozpadła.

Wzruszył ramionami.

- Widocznie byli słabą rodziną. - Na chwilę się zamyślił i przestał jeść. - Kiedy byłem bardzo mały, miałem może rok, stało coś się mojej mamie i umarła. Jej siostra chciała się mną zaopiekować, ojciec jednak się nie zgodził. Żył z innymi kobietami. Pewnego dnia ciotka odebrała mnie po szkole. Mieszkaliśmy wtedy w Kolorado, a ona zawiozła mnie do Nowego Meksyku. Jakiś czas mieszkaliśmy w Albuquerque, aż wytropił nas ojciec. Nie wiem, co zrobił z moją ciotką, ale pamiętam, że był środek letniej nocy. Zabrał mnie i autostopem pojechaliśmy do Teksasu. Potem coś się stało z tatą na parkingu dla ciężarówek. Chyba wdał się w bójkę, bo znalazłem go leżącego bez ruchu. Siedziałem przy nim całą noc, a kiedy sobie uświadomiłem, że już nie wstanie, wstałem i poszedłem sam autostradą. Chciałem wrócić do ciotki... I pomyśleć tylko, że w rezultacie wylądowałem u Sinclairów.

Spencer słuchał w milczeniu. Nathan wziął do ręki kanapkę.

- Nie znam ich nazwisk, nie znam własnego nazwiska, nie wiem, gdzie jest moja ciotka ani gdzie dokładnie mieszkaliśmy w Kolorado. To równie dobrze mogło być w Wyoming. Tak czy owak to, co się przydarzyło Sinclairom, było oczywiście nieprzyjemne, ale nie umarli. Wręcz przeciwnie, miało się urodzić dziecko. Mogło być o wiele gorzej i powinni się wstydzić, że nie spojrzeli na to od tej strony. Ilu wnuków będą teraz mieć?

Spencer czuł się zbyt oszołomiony, aby się odezwać. Jak ktoś może do tego stopnia być pozbawiony ludzkich uczuć? Kiedy w końcu przemówił, jego głos brzmiał niepewnie:

- Uważali cię za własnego syna, nie rozumiesz tego? Mieli się cieszyć z wnuka, którego ojcem był syn, a matką córka?

Nathan skończył jeść kanapkę.

- I co z tego?

- Rozumiałeś wtedy albo teraz, że wasze postępowanie miało określone konsekwencje? - zapytał Spencer z gniewem. - Posłuchaj, wy dwoje nie żyliście w próżni. Świat nie jest amoralną dziurą, w której czyjeś uczynki nie mają znaczenia i sensu. Czy kiedykolwiek myślałeś o ludziach, których skrzywdziłeś?

- Nie byli wystarczająco silni. Nie prosiłem ich, żeby tak się czuli.

- Gdybyś nie zachował się jak idiota, po skończeniu dwudziestu jeden lat miałbyś do dyspozycji wiele milionów.

- Nie zachowałem się jak idiota - odparł Nathan z urazą. - Skąd mogłem wiedzieć, że tak przesadnie zareagują?

- Powinieneś być wiedzieć, że twój mały flirt złamie im serce. I ta świadomość odróżniłaby cię od zwierzęcia.

- Mieć tę świadomość, ale i tak to zrobić? - zapytał tamten z sarkazmem.

- Ta świadomość byłaby początkiem - oświadczył Spencer, gotując się z wściekłości. Jego rozmówca tylko się uśmiechnął. - Twoim zdaniem cały świat jest właściwie zbędny, co?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

O'Malley miał ochotę walnąć pięścią w stół.

- Pozwól, że cię o coś zapytam, Nathanie Sinclair. Czy nocami, kiedy jesteś sam, czy czasami, powiedz, choć czasami, nie ogarnia cię wstręt do samego siebie?

Tamten wytarł usta i odłożył serwetkę, po czym aroganckim tonem odparł:

- O co właściwie mnie oskarżasz, detektywie? Bo jeśli nie jestem aresztowany, to chyba już

sobie pójdę.

- Nie jesteś aresztowany - oświadczył z niesmakiem O'Malley.

- To tak jak myślałem.

Wstał, żegnając detektywa na poły kpiącym, na poły wulgarnym gestem.

Spencer ze wszystkich sił starał się, by nie stracić panowania nad sobą. Nie chciał wybuchnąć gniewem w miejscu publicznym, a kiedy to sobie uświadomił, poczuł strach. Pomyślał: Nie chcę stracić panowania w obecności tych wszystkich ludzi i wdać się w bójkę, którą wszyscy w tej restauracji długo będą pamiętać. Uspokoił się, wcześniej jednak rzucił:

- Pilnuj się, Nathanie Sinclair.

- Nie, to ty się pilnuj, detektywie - szepnął tamten złowieszczym tonem, nachylając się nad detektywem.

- Zniszczyłeś rodzinę, zmarnowałeś życie Conni Tobias, która pięć lat swego życia spędzi w więzieniu. Nic cię to nie obchodzi?

O'Malley widział wyraz jego twarzy. Nic go to nie obchodziło.

Nathan sięgnął do tylnej kieszeni spodni po portfel i wyjął z niego pięćdziesięciodolarowy banknot. Rzucił go beztroskim gestem na stół i z uśmiechem powiedział:

- Dziękuję za miły lunch.

Spencer zaklął pod nosem i sam zapłacił za lunch, zostawiając pięćdziesięciodolarowy banknot jako napiwek dla kelnerki.

Nie wrócił do domu. Nie mógł. Było wczesne popołudnie, a Spencer jeździł po ulicach Greenwich, powtarzając w duchu niczym mantrę pytanie: Co przeoczyłem? Czego mi brakuje?

Poszedł do urzędu stanu cywilnego i sprawdził datę ślubu Nathana Sinclaira i Elizabeth - Elizabeth Barrett, jak się dowiedział. Pobrali się przed dwoma laty, 12 czerwca 1995 roku. Więc Elizabeth była czerwcową panną młodą. Później Spencer odszukał datę jej śmierci - 13 kwietnia 1996 roku. W rejestrach nie podano żadnych szczegółów, Spencer udał się więc do biblioteki, gdzie w starym numerze „Greenwich Time” przeczytał krótką notkę o śmierci Elizabeth Barrett Maplethorpe.

W biały dzień, na szerokiej drodze, jadąc z szybkością niespełna siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, trzeźwa Elizabeth Maplethorpe straciła panowanie nad samochodem i wypadła z szosy. Towarzyszący jej pasażer nie odniósł poważnych obrażeń, ona jednakże nie zapięła pasów i uderzyła w kierownicę, doznając rozległych urazów głowy. Cytowano wypowiedzi krewnych

Elizabeth, którzy mówili, że nie potrafią uwierzyć, iż nie zapięła pasów, ponieważ nie ruszyła z miejsca, póki wszyscy w samochodzie tego nie zrobili. Miało to związek z poważnym wypadkiem wcześniej. Albert Maplethorpe potwierdził, że żona zwykle zapinała pasy, ale ostatnimi czasy zaczęła traktować tę sprawę luźniej. Czasami po prostu zapominała i tak było właśnie wtedy. Pan Maplethorpe wyszedł z wypadku w zasadzie nietknięty, miał tylko rozbity nos i siniaki tam, gdzie pasy wbiły mu się w ciało, ratując tym samym życie. W artykule podano niewiele informacji o jej rodzinie: pochodziła z New Hampshire. Zostawiła tylko męża. Nie mieli dzieci. W gazecie nie zamieszczono zdjęcia.

Spencer siedział w bibliotece i przez długi czas rozmyślał. Był pewny, że ma to przed sobą, tutaj, gdzieś pomiędzy tymi wierszami, ukryte w tych słowach, ale nie wiedział, gdzie, i nie wiedział co. Elizabeth nie zostawiła testamentu, co oznaczało, że jej majątek dziedziczył małżonek. Cóż jednak takiego miała, że warto było odpiąć jej pasy?

W pewną pogodną niedzielę Elizabeth jechała na przejażdżkę z mężem, który oczywiście zapiął pasy jak trzeba. Spencer był przekonany, że ona też. Jechała zapięta, dopiero tuż przed „wypadkiem” Nathan je odpiął. Wystarczył lekki ruch jego wypielęgowanego paluszka, a potem mógł zrobić milion najrozmaitszych rzeczy, by straciła panowanie nad samochodem. To nie była ruchliwa szosa, to nie była autostrada międzystanowa. Nathan nie mógłby równie łatwo zapewnić sobie bezpieczeństwa, gdyby jaguar jechał z prędkością stu kilometrów na godzinę, a nie siedemdziesięciu. Nie, toczyli się całkiem wolno po wiejskiej drodze, świeciło wiosenne słońce, wiał lekki wietrzyk, i zupełnie nagle ona jest martwa, a on żywy. Dochodzenie zamknięto, gdy firma ubezpieczeniowa przekonała się, że pas nie został w żaden sposób uszkodzony. A nie został. Mąż był z nią w samochodzie, oboje z miejsca wypadku zabrała karetka, później on wrócił do domu i odziedziczył wszystkie pieniądze.

Spencer nie wiedział, czy Elizabeth Barrett miała ich dużo, był jednak pewny, że Nathan Sinclair nie śmierdział groszem. I w tym cała rzecz. Biedny Nathan zawsze musiał okradać kobiety, które go kochały, pomyślał detektyw.

Nazwisko Elizabeth Barrett brzmiało znajomo. W krótkim artykule napisano, że pochodziła z New Hampshire. Ale skąd dokładnie?

Wyszedł z biblioteki i pojechał na północ, w kierunku New Hampshire. Nie zamierzał wracać do domu, póki nie dowie się czegoś o Elizabeth Barrett.

Z roztargnieniem słuchał radia. Gdy nadawano piosenki, które znał, nucił pod nosem, jak „Dancing in the Dark” Bruce’a Springsteena, „Come as You Are” Nirvany i „Benny and the Jets” Eltona Johna.

W Massachusetts, jakieś siedemdziesiąt kilometrów na południe od Brattleboro w stanie Vermont, Spencer mruczał do wtóru „Bette Davis Eyes” Kim Carnes.

Nagle coś eksplodowało mu w głowie, wpadł w poślizg i o mało nie wylądował na drzewie po prawej stronie. Dojazd do Lebanon w stanie New Hampshire zajął mu pięćdziesiąt trzy minuty. Kiedy zjechał z szosy między stanowej na lokalną drogę, nie zapadł jeszcze zmrok. Do Lebanon pozostało kilka kilometrów, ale Spencer złamał wszelkie ograniczenia szybkości i znaki drogowe. Dwa razy przejechał na czerwonym świetle i kompletnie ignorował znaki stopu. W końcu znalazł się na rondzie, skręcił na prawo do Wheeler, a potem jeszcze raz na prawo.

Jego celem był Dom pod Czerwonymi Liśćmi.

I wreszcie znalazł się na miejscu. Słoneczna, cicha uliczka, stare, dobrze utrzymane wille, a pomiędzy nimi budynek, niegdyś zwany Domem pod Czerwonymi Liśćmi, zaniedbany i opuszczony. W oknach nie było szyb, tylko drewniane deski przybite zardzewiałymi gwoźdźmi. Frontowe drzwi pokrywały graffiti. Asfalt na podjeździe popękał, w szparach wyrosły trawa i zielska.

Spencer długo siedział za kierownicą, trzymając głowę w dłoniach. A potem wyłączył silnik, wysiadł i przeszedł na drugą stronę ulicy, w kierunku schroniska. Z tego, co pamiętał tu wcześniej, nic nie pozostało. Tabliczkę z nazwą, która niegdyś wisiała na słupku, znalazł w trawie niedaleko schodów. Podniósł ją i przeczytał: „Dom pod Czerwonymi Liśćmi, Zał. 1973 r., właścicielka Elizabeth «Betty» Barrett”.

Przez następną godzinę Spencer siedział bez ruchu przed domem. Teraz wszystko rozumiał.

Potem wyjechał z Lebanon i ruszył dziesiątką do Hanover. Zamierzał pójść do swego dawnego partnera Willa, a potem odwiedzić Kena Gallaghery, może wypić z nim szklaneczkę i opowiedzieć, co właśnie odkrył.

Baker pewnie wzruszy ramionami, komendant pokiwa uprzejmie głową. A potem wymienią uwagi ściszonymi głosami, zerkając znacząco na Spencera. Pomyślą, że oszalał, i będą mieć rację.

Zawrócił przed Hanover i pojechał do Concord, do biura prokuratora okręgowego. Zmienił jednak zdanie po półgodzinie drogi i rozmyślał. Jak ktoś może być sądzony za zbrodnię, do

której popełnienia przyznała się inna osoba?

A poza tym co Spencer właściwie ma?

Nic.

Nic oprócz prawdy.

Na cóż jednak prokuratorowi okręgowemu prawda? „Prawda - powie Dave Peterson. - Masz opuszczony dom z zerwanym szyldem i chcesz, żebym aresztował człowieka? Za co? Że nie dba o ciężarne nastolatki?”. „Ale zaraz - będzie argumentował Spencer. - On się z nią ożenił, nie rozumiesz, wszystko przewidział, chciał wszystko zagarnąć. Nie rozumiesz?”. „Rozumiem - przyzna Peterson. - A masz jakiś dowód? Aha, tylko przeczucie. Cóż, jeśli to tylko przeczucie, to od razu wsadźmy go z wyrokiem dożywotnim do pudła”.

O'Malley krzyknął i w rozpaczy uderzył pięścią w kierownicę.

Peterson będzie miał rację. Poradzi Spencerowi, żeby wydostał od łajdaka zeznanie, postawi drinka, a potem odeśle.

Detektyw zjechał z drogi numer 89 z powrotem na 91 i wolno ruszył ku centrum handlowemu Brattleboro, gdzie wmieszał się w tłum klientów. Najpierw kupił wysokie robocze buty, potem w trzech różnych sklepach nabył czarne robocze kombinezony, a także czarną torbę podróżną oraz czarne skórzane rękawiczki z wodoodporną podszewką. Kosztowały siedemdziesiąt dolarów, zapłacił gotówką, jak zresztą za wszystkie zakupy.

Wrócił do samochodu i wyjechał za miasto. W łazience na stacji benzynowej włożył kamizelkę kuloodporną, na to dwa kombinezony, potem wciągnął nowe buty. Pod ubraniem wciąż przymocowany miał mikrofon - wcześniej nie zadał sobie trudu, by go usunąć. Zrobił to teraz, wyjął z magnetofonu taśmę z nagraniem rozmową z Nathanem, spalił w umywalce i splukał popiół wodą.

Magnetofon i mikrofon z kablem włożył do schowka na rękawiczki w samochodzie.

W brązowych rękawiczkach na dłoniach otworzył bagażnik i zaczął przerzucać jego zawartość, aż znalazł tanią broń, którą skonfiskował podczas nalotu na dealerów narkotykowych dwa lub trzy tygodnie wcześniej. Miał około tuzina pukawek, jeszcze ich nie oddał do magazynu. Broń była nędzna, Spencer liczył jednak, że okaże się skuteczna. Schował ją w plastikowym worku pod siedzeniem, później przesunął kaburę z magnum 357 na plecy i ruszył w drogę powrotną do Greenwich.

Zamierzał ponownie porozmawiać z Nathanem, tym razem jednak bez magnetofonu i bez

pretekstu, że chce zjeść z nim lunch.

Kiedy dojechał do Greenwich, była jedenasta w nocy. Zostawił samochód na parkingu przy stacji metra Old Greenwich i pieszo pokonał cztery kilometry dzielące go od domu Sinclaira.

Zdawał sobie sprawę, że musi być bardzo ostrożny. Tamten przypuszczalnie był uzbrojony po zęby, mieszkał przecież sam w wielkim domu. Kto wie, wizyty jakich duchów się spodziewał? We frontowych oknach nie paliły się światła; wyglądało to niemal tak, jakby nikogo nie było. Spencer jednak podejrzewał, że Nathan tam jest, bo i dokąd miałby pójść?

Pomiędzy tym domem a sąsiednim biegła ocieniona drzewami ścieżka, która prowadziła na plażę - detektyw widział ją, gdy tamten oprowadzał go po swej posiadłości.

Teraz O'Malley poszedł ścieżką na tyły posesji. Nie było tu ogrodzenia, a z domu rozciągał się widok na cieśninę Long Island. Tu też okna były ciemne, z wyjątkiem dwóch po lewej stronie, oświetlonych niebieskimi refleksami z telewizora. Okna znajdowały się za wysoko, żeby Spencer mógł przez nie zajrzeć, wszedł więc po schodach i nacisnął klamkę tylnych drzwi.

Nie były zamknięte na klucz.

Detektyw wszedł do środka. Telewizor grał głośno, Spencer szybkim krokiem przemierzył wielką kuchnię i stanął w progu gabinetu, w którym Nathan leżał na sofie pod oknem i oglądał program.

Mężczyzna zobaczył go, ale się nie poruszył.

- No, no - odezwał się po chwili. - Nie pamiętam, żebym cię zapraszał. O'Malley był zbyt spięty, by odpowiedzieć.

- Powinienem był zamknąć na klucz tylne drzwi - dodał Nathan.

- To prawda - zgodził się detektyw.

Tamten usiadł powoli.

- Czemu zawdzięczam pańską wizytę, panie Spencerze Patricku O'Malley?

- Byłem w Czerwonych Liściach.

- Byłeś tam, to świetnie. I przyjechałeś tu, żeby mi o tym powiedzieć? - Wyciągnął rękę w kierunku lampy, lecz Spencer go powstrzymał.

- Nie ruszaj się. Siedź spokojnie - polecił; stał na rozstawionych nogach, w dłoniach trzymał magnum.

Nathan skrzywił się, lecz posłuchał.

- Zamierzasz mnie aresztować, detektywie?

- Nie, Nathanie Sinclair, nie mam takiego zamiaru.

Tamten roześmiał się beztrąsko i swobodnie.

- Jasne, że nie. Nie masz dowodów. I wiesz o tym.

- Tak, wiem - odpowiedział O'Malley.

- Jeśli sądzisz, że uda ci się wydobyć ze mnie łzawe wyznanie, jesteś w strasznym błędzie.

- Nie mam złudzeń, Nathanie, zbyt dobrze cię znam.

- W ogóle mnie nie znasz, Spencerze.

- Jedno mnie ciekawi: widzę cię tutaj, otoczonego luksusem, i ciekaw jestem, czy warto było to wszystko zrobić?

- Skoro tak dobrze mnie znasz, sam powinieneś odpowiedzieć sobie na to pytanie.

- Powiedz mi coś - odezwał się Spencer, obniżając lufę. - Powiedz mi, że nie zabiłeś jej dla pieniędzy. Powiedz, że bardzo ją kochałeś, że za nią szalałeś. To mógłbym zrozumieć. Bałeś się, że przestała cię kochać, obawiałeś się, że pokocha innego. Że się od ciebie odsuwa, a po skończeniu Dartmouth wyjdzie za Jima Shawa i nigdy więcej nie będziecie razem. Przyznaj się, że zabiłeś ją w ataku szalonej zazdrości. Ale mi nie mów, że zamordowałeś ją dla pieniędzy. Tego mi nie mów, nie mogę znieść myśli, że straciła życie z takiego powodu. Powiedz, że ją kochałeś, i jednocześnie jej nienawidziłeś, powiedz, że twoje uczucia do niej były zbyt silne. Powiedz, że za bardzo ją kochałeś! - zakończył z pasją.

Nathan milczał.

- Sam siebie oszukuję, prawda? - mówił zimno detektyw. - Wiedziałeś, że babka zostawiła Kristinie wszystkie pieniądze, i dlatego ją zabiłeś. Liczyłeś, że wszystko ci zapisze w testamencie. Jakże byłoby to miłe i wygodne - ciągnął przez zaciśnięte zęby. - A gdyby nawet umarła, nie sporządziwszy ostatniej woli, wówczas zmieniłbyś zdanie, prawda? Dla dziewięciu milionów dolarów nie udawałbyś dalej, że jesteś Albertem Maplethorpe'em.

- Nie wiem, o czym mówisz - oświadczył Sinclair.

- Chciałbym tylko się dowiedzieć, skąd miałeś pewność, że Betty Barrett się w tobie zakocha? - zapytał Spencer. - Czerwone Liście były całym jej życiem. Jak ją namówiłeś, żeby zamknęła schronisko?

- Nie wiedziałem, że się we mnie zakocha - odparł Nathan, przedrzeźniając detektywa. - Oboje przeżywalismy śmierć Kristiny, byliśmy w żałobie i to w naturalny sposób nas do siebie zbliżyło. Była bardzo wdzięczna, że Conni, Jim i ja przekazaliśmy pieniądze na schronisko. -

Uśmiechnął się miło. - Co do drugiego pytania, to Elizabeth aż tak nie zależało na prowadzeniu Czerwonych Liści, jak ci się wydaje. Po pięciu minutach dyskusji zmieniła zdanie. Zawsze chciała mieszkać blisko cieśniny.

O'Malley czuł, jak mrok wypełniający serce Nathana spływa na niego. Włożył magnum do kabury i zacisnął dłoń na broni, którą miał w tylnej kieszeni kombinezonu. Nie potrafił znieść myśli, że Kristina umarła z powodu pieniędzy. Nie potrafił znieść, że z ich powodu odebrano jej życie.

Zabójca milczał.

- Nie jesteś wart życia, które ci dano - przerwał ciszę Spencer. - Twoje własne życie nie ma dla ciebie wartości, czemu więc miałbyś przywiązywać jakąkolwiek wagę do życia Kristiny? Wiesz, byłoby lepiej, gdyby to Conni ją zabiła; przynajmniej zrobiłaby to z namiętności, z pasji. Doprowadziliście ją do szaleństwa kłamstwami i zdradami, ty i Kristina. Byłoby lepiej, gdyby Kristina umarła z powodu uczucia, a nie chciwości.

- Lepiej dla kogo? - zapytał Nathan. - I kogo to teraz obchodzi? Na pewno nie ją, bo nie żyje. Lepiej dla kogo, detektywie?

- Czy tego właśnie pragnąłeś, mieszkać nad wodą w pozbawionym duszy domu, otoczony ogrodami pełnymi kwiatów? - Detektyw potrząsnął głową.

- Musisz przyznać - odparł Sinclair niemal jowialnym tonem - że to wcale nie jest takie złe.

Mrok opanował Spencera bez reszty.

- „Z jej powodu sam na siebie sprowadzisz zagładę” - szepnął. - Rozumiem. Ona cię przestrzegała. Miałem rację, przestrzegała cię, żebyś nie był zbyt chciwy. Mówiła, że masz wiele, ale trzy miliony to było dla ciebie za mało forsy.

Tamten nie odpowiedział.

- Dlaczego nie zostawiła ci wszystkiego, Nathanie? Byłeś jej prawdziwą miłością, czemu nie zostawiła ci wszystkiego?

- To teraz bez znaczenia, prawda, detektywie? - Wzruszył ramionami.

- Nie zostawiła ci wszystkiego, ponieważ chciała, żebyś się zmienił, odmienił swoje serce. Żebyś stał się człowiekiem.

- Ona uważała mnie za ludzką istotę, detektywie. Kochała mnie, nie pamiętasz?

Spencer miał trudności z oddychaniem. Jego serce zatrzymywało się i waliło, zatrzymywało i waliło.

- Więc dlaczego nie powiedziała ci o spadku? Bała się ciebie. Obawiała się, że ją zabijesz dla tych pieniędzy. Nie ufała ci i miała rację.

Nathan wykrzywił się pogardliwie.

- Wcale się mnie nie bała. Ale teraz to bez znaczenia, prawda?

Spencer zatoczył w powietrzu kółko ręką, w której trzymał broń.

- Czy ty nie widzisz, że ona dalej tu jest? Dzięki Kristinie masz ten dom, nigdy jej się nie pozbędziesz. Nie wydaje ci się, że mieszkasz w więzieniu? Popatrz! Rozejrzyj się dokoła!

Pokój rozjaśniła tylko poświata z telewizora, wzrok Spencera przykuł jednak stolik niedaleko sofy. Obok lampy i telefonu leżał tam pistolet półautomatyczny. Detektyw pomyślał, iż to dobrze, że telewizor grał tak głośno i Nathan nie słyszał jego kroków, bo w przeciwnym wypadku jego zwłoki spoczęłyby pod rabatką z kwiatami. Opuścił broń i powiedział:

- Jak dawni filozofowie usprawiedliwiają to, że nie mając i nie czując nic, odebrałeś życie jednej osobie, która dała ci wszystko? Dla śmierci zrezygnowałeś z miłości. Wolałeś raczej nadal nie mieć nikogo niż mieć miłość. Miłość Kristiny. Nie sądzisz, że jej uczucie było coś warte? Te pudełka zapalek, które zachowała z Edynburga - one też były coś warte.

I uśmiechnięte twarze na serwetkach z nazwami pubów - również. Warte więcej niż ten dom, w którym mieszkasz, spoglądając na park, gdzie jako dzieci puszczałyście latawce.

Oczy Nathana zabłyśły; wstał, szybko i płynnie, zwrócony twarzą do detektywa.

- Wiesz, coś mi właśnie przyszło do głowy - odezwał się szorstko. - Jesteś intruzem, wdarłeś się na mój teren. Uznałem, że nie będę tego więcej słuchał. Wynoś się albo wzywam policję.

- Nie ma potrzeby. Już tu jestem.

Nathan zrobił krok w kierunku telefonu i pistoletu. Spencer poczuł mrowienie na karku.

- Nie ruszaj się.

- Albo co? Znudziły mnie już twoje gierki. - I zrobił kolejny krok.

- Ostrzegam cię, Nathanie, nie ruszaj się. - Detektyw ujął broń w obie ręce, odbezpieczył i przyjął pozycję do strzału. Sinclaira od jego pistoletu dzieliła niewielka odległość. Gdyby skoczył, miałby broń w ręce.

- O'Malley, co ty chcesz zrobić? - zapytał tamten z taką arogancką wrogością, że detektyw zaczął się trząść. - Czy warto przeze mnie stracić pracę?

- Powiedziałem ci już, Nathanie, że nie jesteś wart nawet jednej bezsennej nocy.

W następnej sekundzie Sinclair rzucił się z wyciągniętą ręką po swój pistolet. Spencer

wycelował w jego udo i strzelił. Nathan upadł, strącając broń ze stolika na dywan. Zaczął gorączkowo szukać, w ciemności jednak nie potrafił go dostrzec. Spojrzał na swoją nogę i przycisnął do rany dłoń.

Strzelanie w ciemności było specjalnością O'Malleya.

- Coś ty zrobił? - jęknął ranny. - Coś ty zrobił?

Mimo mroku Spencer widział strumień krwi, który płynął przez zaciśnięte palce Nathana i wsiąkał w dywan. Kula trafiła w tętnicę udową.

Za niespełna cztery minuty Nathan Sinclair wykrwawi się na śmierć. Spencer zadał sobie ze smutkiem pytanie, czy Kristina też miała te cztery minuty.

- Coś ty zrobił? - szepnął tamten głosem, w którym nie brzmiał już gniew.

Leżał, trzymając się za nogę, w rosnącej kałuży krwi, jak w rzeźni. Lecz krew nie była czerwona. Ostra poświata telewizora odebrała barwy otoczeniu, wszystko wydawało się czarne lub białe. Krew Nathana była czarna.

Detektyw opuścił broń. Wiedział, że już nie będzie mu potrzebna. Podszedł i kucnął koło rannego.

- Nie przyszedłem cię aresztować - powiedział - i nie przyszedłem, żeby wydobyć z ciebie zeznanie. Pod tymi ubraniami mam kamizelkę kuloodporną. Wiedziałem, że będziesz próbował mnie zabić i nie myliłem się.

Oczy leżącego mężczyzny błyszczały.

- Czy wciąż mnie słyszysz, Nathanie? Wiesz, że za chwilę umrzesz. Kristina Sinclair była jedyną osobą na świecie, która płakałaby po twojej śmierci. Ale jej nie ma, a teraz ty też umrzesz i nikt na świecie nie będzie cię żałował, nikt nie zgłosi się po twoje ciało, kiedy po wielu miesiącach odkryje je jakiś listonosz albo ogrodnik. Będziesz tu leżał martwy w kałuży krwi, i nikt nie zapyta o ciebie, nikt nie zawoła cię po imieniu, nikt nie będzie się zastanawiał, co się z tobą stało. Przy tobie nie będzie siedział do rana mały chłopiec, czekając, aż wstaniesz, tak jak przy twoim ojcu. - Spencer z trudem powstrzymywał łzy. - A kiedy cię znajdą - ciągnął łamiącym się głosem - i koroner zbada już twoje ciało, będziesz leżał w szpitalnej kostnicy, dopóki państwo nie pochowa cię w grobie dla nędzarzy albo nie spali, zostawiając popioły w piecu. Nikt nie uroni po tobie łzy, ponieważ na ten świat przyniosłeś tylko śmierć i żalobę. Twoje istnienie uczyniło świat gorszym. Zrobiłeś dokładnie to, co chciałeś uczynić, a twoje pragnienia były jedyną absolutną prawdą, którą wyznawałeś. Umrzesz za dwie minuty i nigdy nie zobaczysz

Kristiny.

Nathan przez chwilę milczał, później wyszeptał:

- To nieprawda, detektywie. Ty... ty po mnie płaczesz.

Spencer zachwiał się i o mało nie upadł.

- Nie po tobie, draniu. Nie po tobie. - Mijały sekundy. O'Malley pochylił się i szeptem zapytał: - Jak to zrobiłeś? Jak ją namówiłeś, żeby naga, zmarznięta i przerażona, przyszła do ciebie w samym środku nocy?

Dłoń Nathana zsunęła się z uda.

- Nie wiem, o czym... - urwał i łagodniejszym tonem wyjaśnił: - Bała się ciemności, nie mnie.

Do mnie przyszłaby zawsze i wszędzie.

Spencer milczał wstrząśnięty; czuł odór krwi i zbierało mu się na wymioty.

- Nathanie - przemógł się wreszcie. - Co teraz ukrywasz? Nie nagrywam cię, a ty... cóż... czego się boisz?

- Śmierci - odrzekł Sinclair.

- A twoim zdaniem Kristina bała się śmierci?

- Tak. Nie chciała umierać - dodał bardzo cicho.

O'Malley jęknął głośno.

- Umierasz za nią, za jej matkę i babkę, za jej ojca, za Elizabeth Barrett i za Constance Tobias. I za mnie też. Bóg obdarzył cię wolną wolą, a ty co zrobiłeś? Zostawiłeś Kristinę samotną w śniegu... nawet nie miała koło siebie księdza, który by ją pobłogosławił...

Nathan przerwał mu, szepcząc chrapliwie:

- Pobłogosław mnie.

- Czy Bóg kiedykolwiek błogosławi diabła? - zapytał Spencer. - Nigdy, tak mówiła moja czcigodna matka jedenaściorga dzieci. Diabeł sam wybrał swój los i musi za to zapłacić własnym piekłem. Jak mówi Apokalipsa: „I ujrzałem: oto koń trupio blady, a imię siedzącego na nim Śmierć, i Otchłań mu towarzyszyła”.

Ranny próbował potrząsnąć głową, lecz nie był w stanie.

- Coś innego - jęknął, oddychając konwulsyjnie.

- „Ja nie pragnę śmierci występnego...” - Detektyw zacytował Księgę Ezechiela.

- Oczy - wydyszał Nathan. - Jej oczy. Nie umiem wymazać ich z pamięci. Kiedy zamykam własne, od razu się pojawiają. Czy będą na mnie patrzeć przez całą wieczność w piekle? Boże,

zmiłuj się nade mną. Nie chcę znowu widzieć tych oczu, tych czarnych stawów pełnych zrozumienia i bólu...

O'Malley, pod którym ugięły się kolana, wyszeptał:

- Uwierz w Pana, a będziesz zbawiony.

Tamten opadł bezwładnie na podłogę, niewiele już życia w nim pozostało. Spencer wykonał nad nim znak krzyża i czekał. I wreszcie niemal niedosłyszalnie Nathan Sinclair szepnął:

- Zasłużyłem sobie na to.

Pięć minut później wyszedł z domu, zamykając za sobą tylko drzwi na klucz. Przez Sound Beach Road doszedł do skrzyżowania, tam skręcił w lewo i pieszo pokonał kolejne dwa kilometry do stacji kolejki. Koło samochodu zdjął zewnętrzną warstwę ubrania, a broń włożył do plastikowego worka. Nożem pociął na kawałki to, co miał na sobie w domu Nathana: kombinezon, rękawiczki i buty, następnie schował wszystko do torby podróżnej i pojechał w kierunku Long Island. Po drodze zatrzymał się na Bronksie przy centrum Co-Op, miniaturowym mieście składającym się z trzydziestopiętrowych wieżowców i rozległych parkingów. Worek z bronią wrzucił do przepelnionego śmietnika koło wielkiego kina, torbę podróżną spalił w innym pojemniku. A potem wrócił do domu i zrobił coś, czego nie robił od trzech i pół roku - od dnia, kiedy umarła Kristina Sinclair. Przespał całą noc aż do rana.

EPILOG

Później dzieci siedziały na ławce koło zamku. Zwykle nie przebywały długo w enklawie porośniętej żółtymi forsycjami. Tego popołudnia także wyszły stamtąd i usiadły na ławce, skąd widać było spokojną tafłę wody. Po kilku minutach dłonie dziewczynki przestały drżeć. Poprawiła włosy i przesunęła dłonią po kancie dżinsów, jakby szukając otuchy. Bo schludność i porządek dawały otuchę. Dzięki nim czuła, że panuje nad sytuacją. A to uczucie było dla niej ważne.

- Jak to możliwe, że nie umiesz pływać? - zapytała chłopca. Wzruszył ramionami.

- Nigdy się nie nauczyłem.

- Dlaczego? Pływanie to świetna zabawa.

- Mnie się nie podoba.

- Boisz się wody? - zapytała, drocząc się z nim. Lecz chłopiec się nie uśmiechnął, więc z jej twarzy także zniknął uśmiech. - Przepraszam - rzuciła pośpiesznie. Nie spodobał jej się wyraz jego oczu, zimny, niemal nienawistny. - To czemu chodzisz po tym głupim murze? Z jednej strony jest woda, możesz spaść.

- Na pewno nie spadnę - roześmiał się chłopiec.

- Skąd wiesz?

- Chodzę pewnie i szybko, nie chwieję się nawet.

- Możesz spaść do wody.

- Ja nie, ale ty tak.

- Nie cierpię tam chodzić - przyznała się dziewczynka.

- Przerażony kotek! - zawołał drwiącym tonem.

- Wcale nie przerażony! Tylko... ostrożny.

- No to bądź ostrożna, żebyś nie spadła - powiedział, a ona się skrzywiła; nie lubiła, gdy tak bawił się jej słowami.

- Jak spadnę, to kto mnie uratuje? - zapytała z rozdrażnieniem.

- Ja.

- Jak to? Przecież...

- Pobiegnę i sprowadzę pomoc.

- Zanim z kimś wrócisz, ja już dawno nie będę żyła, bo się utopię.
- Pobiegnę szybko. Bardzo szybko biegam.
- Nie umiesz pływać - powtórzyła. - Powinieneś się nauczyć.
- Czego ty się właściwie boisz? A jak ja spadnę, to kto mnie uratuje?
- Ja - odparła bez wahania. - Wskoczę i cię uratuję.
- Oboje byśmy się utopili - roześmiał się chłopiec.
- Nieprawda - zaprotestowała z urazą. - Księżniczki też mogą uratować swoich królewiczów.

Jej towarzysz potrząsnął głową.

- Jasne, a potem żylibyśmy długo i szczęśliwie.
- Właśnie - potwierdziła z zapalem.

Spojrzał na nią równie ożywiony.

- Przysiękasz?
- Przysięgam. - Dziewczynka przeżegnała się z przejęciem.
- Nie rób tego - zaprotestował. - Samo „przysięgam” wystarczy, nie musisz się żegnać. -

Zobaczyła, że chłopiec zadrzał. Zamilkła. Czasami w ogóle go nie rozumiała, ani trochę.

- Mogę cię o coś zapytać?
- Aha.
- Czy ty znałeś swoich prawdziwych rodziców?

Przez chwilę się wahał.

- Nie, nie pamiętam ich.
- To bardzo źle - uznała dziewczynka, patrząc na wody cieśniny. - To smutne, prawda?
- Nie. Bo wiesz, jak można tęsknić za czymś, czego nigdy się nie miało?
- No tak - odrzekła niepewnie. - Ale teraz już masz.
- Tak.
- Wiesz, odkąd ty jesteś - ciągnęła Kristina - ja przestałam czuć się samotna.
- Wiem.
- Zanim się pojawiłeś, byłam taka samotna. Teraz czuję, że mam brata do końca życia.
- I masz. Dopóki będę żył, masz we mnie brata.
- Dziękuję - powiedziała serdecznie. - Wiem, że mama i tata też bardzo cię kochają. Zawsze

chcieli mieć chłopca.

- Nie wierzę.

Kopnęła kamyk w kierunku niskiego muru.

- To prawda. Zawsze chcieli syna. Kochają mnie i tak dalej, ale kiedyś w nocy podsłuchałam, jak rozmawiali. To było na krótko przed twoim przyjazdem. Tatuś powiedział, że jeśli Bóg przeznaczył dla nich tylko jedno dziecko, to dlaczego nie mógł zachować przy życiu mojego brata, a nie mnie?

- A mama co odpowiedziała?

Że jest szczęśliwa z tym, co Bóg jej dał, ale bardzo by chciała mieć jeszcze jedno dziecko, które mogłaby kochać.

- Twoja mama jest naprawdę miła.

- No, teraz to jest twoja mama - zauważyła z uśmiechem Kristina.

Chłopiec także się uśmiechnął.

- Przypuszczam, że tak - odrzekł bez przekonania.

- Lubisz mnie?

- Wiesz, że cię lubię - powiedział, po czym dodał: - Tylko ciebie na całym świecie lubię.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- A co z mamą i tatą?

- Oni są mili, ale mają mało wolnego czasu, no nie? Twojej mamy nigdy nie ma w domu.

- Lubi być zajęta. - Kristina się uśmiechnęła.

- Musimy trzymać się razem - postanowił chłopiec.

- Wiem.

Wstał z ławki.

- W chorobie i zdrowiu, na dobre i na złe, w doli i niedoli, dopóki śmierć nas nie rozłączy.

Dziewczynka milczała chwilę, a potem zapytała:

- Tak mówią ludzie przy ślubie, prawda?

- Mówią tak, bo to ma sens - odparł chłopiec. - I ja to mówię, bo to ma sens.

- Dobrze - zgodziła się Kristina. - Dopóki śmierć nas nie rozłączy. - I znowu umilkła. Po jakimś czasie z niepokojem oświadczyła: - Ja nie chcę umierać.

- A kto chce? Przecież nie umrzemy. Jesteśmy za młodzi, żeby umierać.

- To może tej części nie musimy mówić? - zapytała.

Chłopiec westchnął ciężko.

- Ale jesteś niezdolna. No dobrze, tę część ominie. Chodź już, robi się późno.

Dzieci opuściły swoją kryjówkę w ruinach zamku, zsunęły się po zboczu i zbiegły po kamiennych schodach.

W parku nie było nikogo, tylko chłopiec idący po wysokim murze nad wodą i dziewczynka, która z rozpostartymi ramionami ostrożnie stąpała za swym towarzyszem, spoglądając to na swoje stopy, to na niego. Słone powietrze niesło szum wiatru i szelest liści oraz wołanie dziewczynki:

- Poczekaj na mnie... poczekaj na mnie...

SPIS TREŚCI

Prolog	3
Część pierwsza.	
Dziewczyna w czarnych butach	6
Rozdział pierwszy.	
Niedziela.....	8
Rozdział drugi.	
Poniedziałek	65
Rozdział trzeci.	
Wtorek.....	106
Część druga.	
Spencer Patrick O'Malley	142
Rozdział czwarty.	
W lesie i na murze	144
Rozdział piąty.	
Bliscy przyjaciele	187
Rozdział szósty.	
Spadek	244
Rozdział siódmy.	
Constance Tobias	299
Rozdział ósmy.	
Dawno, dawno temu w Greenwich	340
Rozdział dziewiąty.	
Czerwone Liście	357
Epilog	398